



BETTY MAHMOODY  
Tylko razem  
z cōrka



RYTHANICTWO TEXTEN

BETTY MAHMOODY  
Tylko razem z córką

---

BETTY MAHMOODY

Tylko razem z córką

Przełożyła z angielskiego Maria Kwiatkowska

WYDAWNICTWO TENTEN

TYTUŁ ORYGINAŁU NOT WITHOUT MY DAUGHTER

ILUSTRACJA NA OKŁADCE JANUSZ OBŁUCKI

OPRACOWANIE GRAFICZNE

I TYPOGRAFICZNE

GRAŻYNA I ANDRZEJ BARECCY

REDAKCJA HANNA JANKOWSKA

KOREKTA MARIA MAGDALENA MATUSIAK

COPYRIGHT © 1987 BY BETTY MAHMOODY

„ALL RIGHT RESERVED”

® COPYRIGHT FOR THE POLISH EDITION

BY TENTEN

PUBLISHING HOUSE

WARSZAWA 1992

ISBN 8-85477-36-5 FOTOTYPE, MILANÓWEK,

Moja córka drzemała przy oknie w samolocie British Airways. Kasztanowe loki, nigdy nie podcinane, okalały jej twarz i swobodnie opadały na ramiona.

Był 3 sierpnia 1984 roku.

Moje kochane dziecko było znużone tą długą podróżą. Wyjechaliśmy z Detroit w środę rano, a teraz, kiedy zbliżaliśmy się do końca ostatniego etapu naszej drogi, słońce wstawało i był już piątek.

Mudi, mój mąż, podniósł wzrok znad książki spoczywającej na jego wydatnym brzuchu. Zsunął okulary na tysięcące czoło i powiedział:

- Powinnaś się przygotować.

Odpięłam pas, wzięłam torebkę i zaczęłam się przeciskać przez wąskie przejście do toalety w tyle samolotu. Stewardessy zbierały już nakrycia i czyniły inne przygotowania przed lądowaniem.

To był błąd, mówiłam do siebie. Gdybym tak mogła wsiąść teraz z tego samolotu... Zamknęłam się w toalecie i spojrzawszy w lustro zobaczyłam kobietę bliską paniki. Skończyłam dopiero co trzydzieści dziewięć lat. Kobieta w tym wieku powinna panować nad własnym życiem. Jak mogłam stracić kontrolę?

Poprawiłam makijaż starając się uzyskać jak najkorzystniejszy wygląd, żeby się tylko czymś zająć. Nie chciałam się tutaj znaleźć, ale się znalazłam, trzeba więc robić wszystko, żeby sprawy ułożyły się jak najlepiej. Może te dwa tygodnie szybko miną. Kiedy będziemy z powrotem w Detroit, Mahtab zacznie chodzić do przedszkola przy szkole Montessori\* na przedmieściu. Mudi zajmie się pracą. Zaczniemy budować wymarzony dom. Żeby tylko jakoś przebrnąć przez te dwa tygodnie.

Wydobyłam z torby grube, czarne rajstopy, które Mudi polecił mi

\* Szkoła o systemie pedagogicznym, zakładającym spontaniczny rozwój aktywności dziecka; naturalizm pedagogiczny (przyp. tłum.).

kupić. Naciągnęłam je i wygładziłam z wierzchu spódnicę skromnego, ciemnozielonego kostiumu.

Jeszcze raz przejrzałam się w lustrze, walcząc z chęcią przyczesania włosów. Po co ta fatyga? Nałożyłam na głowę grubą zieloną chustę. Mudi powiedział, że będę musiała zawsze ją nosić poza domem. Zawiązana pod brodą, nadawała mi wygląd starej chłopki.

Zawahałam się, czy włożyć okulary. Bez nich, jak mi się wydawało, wyglądałam korzystniej. Zachodziło jednak pytanie, czy bardziej zależy mi na wywarciu wrażenia na rodzinie Mudiego, czy też chcę zobaczyć ten niespokojny kraj. Zostałam w okularach, zdając sobie sprawę, że chusta i tak już wystarczająco popsuka moją prezencję.

Wróciłam na swoje miejsce.

- Właśnie myślałam - powiedział Mudi - że musimy schować nasze amerykańskie paszporty. Jeśli je znajdą, zabiorą nam.
- Co powinniśmy zrobić? Mudi zawahał się.
- Twoją torbę przeszukają, bo jesteś Amerykanką. Daj mi je. Mniejsze jest prawdopodobieństwo, że zrewidują mnie.

Było to zapewne prawdą, jako że mój mąż wywodził się ze sławnego w tym kraju rodu, co znajdowało wyraz nawet w jego nazwisku. Perskie imiona mają całe warstwy znaczeń. Każdy Irańczyk mógłby wiele wydedukować z pełnego nazwiska i imienia Mudiego: Sajjid Bozorg Mahmudi. Sajjid to tytuł religijny, oznaczający pochodzenie w prostej linii, po mieczu i po kądzieli, od proroka Mahometa. Mudi posiada na dowód tego całe drzewo genealogiczne wypisane po persku. Rodzice nadali mu przydomek „Bozorg” w nadziei, że kiedy dorośnie, zasłuży w pełni na to miano, oznaczające kogoś, kto jest wielki, czcigodny, szanowany. Nazwisko rodowe brzmiało Hakim, ale Mudi urodził się w czasach, kiedy szajch wydał dekret zakazujący używania tego rodzaju muzułmańskich nazwisk, ojciec zmienił więc rodowe miano na „Mahmudi”, o bardziej perskim niż muzułmańskim brzmieniu. Pochodzi ono od imienia Mahmud, co oznacza „pochwalony”.

Poza nazwiskiem, prestiżu dodawało mu "wykształcenie. Chociaż rodacy Mudiego nienawidzą Amerykanów, szanują bardzo amerykański system edukacyjny. Jako lekarz wykształcony w Ameryce, z odbytą tam praktyką, Mudi z całą pewnością zostałby zaliczony do uprzywilejowanej elity swojego ojczystego kraju.

Sięgnęłam do torby, wyjęłam paszporty i podałam Mudiemu. Wsunął je do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Samolot zaczął podchodzić do lądowania. Silniki wyraźnie zwolniły obroty, dziób pochylił się ostro w dół.

- Musimy się szybko zniżyć, ponieważ miasto otaczają góry - wyjaśnił Mudi.

Wszyscy na pokładzie odrzutowca drżeli z napięcia. Mahtab obudziła się, nagle zaniepokojona, i ścisnęła mnie za rękę. Spojrzała na mnie, szukając otuchy.

- Wszystko w porządku - powiedziałam - zaraz będziemy lądować.

Co też ja robię najlepszego przybywając jako Amerykanka do kraju, który zajmuje najbardziej antyamerykańskie stanowisko na całym świecie? Dlaczego przywiozłam córkę do kraju pogrążonego w tragicznej wojnie z Irakiem?

Chociaż się starałam, nie mogłam pozbyć się niejasnych obaw, które towarzyszyły mi od chwili, kiedy siostrzeniec Mudiego Mammal Ghodsi zaproponował tę podróż. Dwa tygodnie urlopu można wytrzymać wszędzie, jeśli ma się w perspektywie powrót do wygodnej normalności. Ale mnie męczyło przecucie - irracjonalne, jak zapewniali przyjaciele - że skoro Mudi ściągał Mahtab i mnie do Iranu, spróbuje zatrzymać nas tu na zawsze.

Przyjaciele zapewniali, że nigdy by tego nie zrobił. Jest całkowicie zamerykanizowany. Mieszka w Stanach od dwudziestu lat. Wszystko, co posiadał, jego praktyka lekarska, cała teraźniejszość i przyszłość, były związane z Ameryką. Dlaczego miałby myśleć o powrocie do dawnego życia?

Argumenty te, jeśli ująć je racjonalnie, były przekonujące, ale nikt tak jak ja nie znał złożonej osobowości Mudiego. Był kochającym mężem i ojcem, ale potrafił na zimno lekceważyć potrzeby i pragnienia własnej rodziny. Jego umysł

był połączeniem błyskotliwej inteligencji i ciemnego nieładu. Pod względem kulturowym stanowił mieszaninę Wschodu i Zachodu, sam nie wiedział, co w jego życiu przeważało.

Miał wszelkie powody, żeby po dwutygodniowym urlopie zabrać nas z powrotem do Stanów. Miał też wszelkie powody, żeby nas zmusić do pozostania w Iranie.

Dlaczego zgodziłam się na przyjazd, narażając się na taką, mrozącą krew w żyłach, ewentualność?

Mahtab.

Przez pierwsze cztery lata była szczęśliwym, rozszczębiotanym dzieckiem, pełnym radości życia, przywiązany do mnie, do ojca i do swego pluszowego królika; taniego, sfatygowanego już królika wysokości prawie czterech stóp, w białe kropki na zielonym tle. Miał tasiemki u łap, Mahtab mogła przywiązywać go do swoich stopek i tańczyć razem z nim.

Mahtab.

W farsy, urzędowym języku Islamskiej Republiki Iranu, słowo to oznacza „światło księżyca”.

Ale dla mnie Mahtab jest słonecznym blaskiem.

Kiedy koła odrzutowca dotknęły pasa startowego, spojrzałam na Mahtab, potem na Mudiego i wiedziałam już, dlaczego przyjechałam do Iranu.

7

Wysiedliśmy z samolotu prosto we wszechogarniający, ciężki upał teherańskiego lata, który zdawał się przygniatać nas fizycznie do ziemi, kiedy szliśmy przez płytę lotniska do autobusu, co miał nas zawieźć do terminalu. A była dopiero siódma rano.

Mahtab przylgnęła do mojej ręki. Jej piwne oczy chłonęły ten obcy świat.

- Mamusiu - szepnęła - muszę do ubikacji.
- Dobrze, zaraz jakiejś poszukamy.

Kiedy weszliśmy do budynku terminalu, w wielkiej hali przylotów uderzyło nas kolejne nieprzyjemne zjawisko: wszechobecny odór ludzkiego potu, potęgowany przez upał. Miałam nadzieję, że szybko stąd wyjdziemy, ale sala była przepełniona pasażerami z kilku samolotów naraz, a wszyscy tłoczyli się i przepychali do jedyne go stanowiska odprawy paszportowej, jedyne go wyjścia z tej sali.

Musieliśmy walczyć o swoje torując sobie łokciami drogę przez tłum. Trzymałam Mahtab przed sobą w objęciach chroniąc ją od ścisku. Rozgadane skrzekliwe głosy rozlegały się wokół nas. Ociekałyśmy potem.

Wiedziałam, że od kobiet w Iranie wymaga się, żeby zakrywały ramiona, nogi i czoła, ale zaskoczył mnie widok pracownic lotniska i większości pasażerek, które były prawie całkiem owinięte w coś, co, jak mi powiedział Mudi, nazywa się czador. Jest to kawał tkaniny w kształcie półkola, którą zarzuca się na głowę i ramiona. Okala ona czoło i podbródek odsłaniając tylko oczy, nos i usta. Przypomina to w efekcie zakonny habit z dawnych czasów. Najpobożniejsze Iranki zostawiały tylko jedno oko odsłonięte. Kobiety rozbiegane po lotnisku targały ciężkie pakunki w jednej ręce, bo drugą musiały przytrzymywać czador pod brodą. Długie zamaszyste płachty falowały ze wszystkich stron. Najbardziej mnie zdumiało, że przecież czador wcale nie był obowiązujący. Reszta ubrania spełniała surowe wymogi kodeksu dotyczącego stroju, ale te muzułmańskie kobiety z własnej woli nosiły jeszcze czador na tym wszystkim, pomimo koszmarne go upału. Dziwiło mnie, że tak wielką władzę ma nad nimi społeczeństwo i religia.

Pół godziny zajęło nam utorowanie sobie drogi przez tłum do odprawy paszportowej, gdzie ponury funkcjonariusz spojrzał na nasz irański paszport, wspólny dla wszystkich trojga, przystawił pieczęć i machnął ręką, żebyśmy przechodzili. Mahtab i ja poszłyśmy za Mudim po schodach, za róg, i znalazłyśmy się przy odprawie bagażu, w kolejnej wielkiej sali nabitej ludźmi.

- Mamusiu, muszę do ubikacji - powtórzyła Mahtab wiercąc się niespokojnie.

Mudi zapytał po persku odzianą w czador kobietę, dokąd iść. Pokazała odległy koniec sali i pospiesznie się oddaliła, zajęta własnymi sprawami. Zostawiłam Mudiego, żeby czekał na bagaż. Znalazłyśmy



8

?

toaletę, ale kiedy zbliżyliśmy się do wejścia, poraził nas niesamowity smród. Weszliśmy z niechęcią. Rozejrzałyśmy się po ciemnym pomieszczeniu szukając sedesu, ale znalazłyśmy tylko dziurę w cementowej podłodze, okoloną owalną fajansową miską. Podłoga była zafajdana rojącymi się od much kupami ekstrementów, bo ludzie nie trafiali do dziury albo ją ignorowali.

- Tu strasznie śmierdzi - powiedziała płacząco Mahtab odciągając mnie.

Pobiegłyśmy z powrotem do Mudiego.

Mahtab wyraźnie się męczyła, ale nie miała ochoty szukać innej publicznej toalety. Woląca poczekać, aż znajdziemy się w domu ciotki, siostry Mudiego, o której mówił zawsze z najwyższym uznaniem. Sara Mahmudi Ghodsi matkowała całej rodzinie, wszyscy z głębokim szacunkiem zwracali się do niej „Amme Bozorg” - Czcigodna Ciotko. Wszystko będzie dobrze, jak tylko się znajdziemy w domu Amme Bozorg - myślałam sobie.

Mahtab była bardzo zmęczona, ale nie miała gdzie usiąść. Od-pakowaliśmy więc wózek spacerowy przywieziony dla nowo narodzonego dziecka któregoś z krewniaków Mudiego. Mahtab rozsiadła się wygodnie.

Kiedy czekaliśmy na bagaż, który nie miał zamiaru się zjawiać, usłyszeliśmy, że ktoś głośno woła w naszym kierunku:

- Da' idžan\ - wrzeszczał - da' idžan!

Słyszając, że ktoś krzyczy po persku „Drogi wujku”, Mudi odwrócił się i radośnie zawołał na powitanie biegnącego do nas człowieka. Padli sobie w objęcia. Kiedy zobaczyłam łzy w oczach Mudiego, ogarnęło mnie nagle poczucie winy na myśl, że byłam tak niechętna tej podróży. To przecież jego rodzina. Jego korzenie. Nacieszy się nimi przez dwa tygodnie, a potem wrócimy do domu.

- To Zia - powiedział Mudi.

Zia Hakim serdecznie uściśnął mi dłoń.

Był jednym z tych niezliczonych młodych krewnych płci męskiej, których Mudi określał wygodnym wspólnym mianem „bratankowie”. Maluk, siostra Zii, była żoną Mustafy, trzeciego z kolei syna starszej siostry Mudiego. Matka Zii była siostrą matki Mudiego, a ojciec był bratem jego ojca, a może odwrotnie. Nigdy nie było to dla mnie jasne. Określenie „bratanek” było najłatwiejsze w użyciu.

Zia był podekscytowany tym pierwszym spotkaniem z amerykańską żoną Mudiego. Niezłą angielszczyznę powitał mnie w Iranie.

- Tak się cieszę, że przyjechałaś - powiedział - tak długo na to czekaliśmy!

Porwał Mahtab na ręce i obsypał pieszczotami i pocałunkami. Był przystojnym mężczyzną o charakterystycznych arabskich rysach i zniewalającym uśmiechu. Górował wzrostem nad większością

9

otaczających nas krępych Irańczyków, jego urok osobisty i wyrafinowanie widać było od pierwszego wejrzenia. Spodziewałam się, że rodzina Mudiego będzie właśnie taka. Kasztanowe włosy Zii były modnie ostrzyżone. Miał na sobie elegancki, dobrze skrojony garnitur i wyprasowaną koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. A przede wszystkim był czysty.

- Masa ludzi czeka na was na zewnątrz - powiedział promieniejąc z radości - są tam już od paru godzin.

- Jak się dostałeś do sali odpraw celnych? - zapytał Mudi.

- Mam kolegę, który tu pracuje.

Twarz Mudiego rozjaśniła się. Ukradkiem wydostał z kieszeni nasze amerykańskie paszporty.

- Co z nimi zrobić? - zapytał. - Nie chcemy, żeby je skonfiskowali.

- Zajmę się nimi - powiedział Zia. - Masz jakieś pieniądze?

- Tak.

Mudi odliczył kilka banknotów i podał je Zii razem z naszymi amerykańskimi paszportami.

- Zobaczymy się na zewnątrz - powiedział Zia znikając w tłumie. Zrobił na mnie wrażenie. Wygląd Zii i poczucie, że ma wpływy,

potwierdzały to, co Mudi mówił o swojej rodzinie. Większość z nich była wykształcona, wielu miało dyplomy wyższych uczelni. Byli lekarzami, jak Mudi, albo ludźmi ze świata biznesu. Kilku tych „bratanków” spotkałam, kiedy odwiedzali nas w Stanach Zjednoczonych, wszyscy wyglądali na ludzi o pewnym statusie społecznym.

Tużaj

Lecz nawet Zia, jak się wydawało, nie był w stanie przyspieszyć tempa bagażowych. Wszyscy poruszali się bezładnie i bez przerwy gadali, ale mało z tego wynikało. W rezultacie staliśmy w tym upale ponad trzy godziny, najpierw czekając na bagaż, a potem w nie kończącej się kolejce do odprawy celnej. Mahtab zachowywała się cicho i spokojnie, chociaż wiedziałam, jak bardzo musi się męczyć. W końcu dostaliśmy się na początek kolejki, z przodu Mudi, za nim ja, Mahtab i wózek.

Celnik dokładnie przeszukał każdą sztukę bagażu, zatrzymując się przy walizce pełnej lekarstw wydawanych na receptę. Wdali się z Mudim w ożywioną dyskusję po persku. Mudi wyjaśnił mi po angielsku, że powiedział celnikowi, iż jest lekarzem i przywiózł te lekarstwa w darze dla tutejszego stowarzyszenia medycznego.

Celnik, który nabrał podejrzeń, zadawał wciąż nowe pytania. Mudi wiózł niezliczone prezenty dla rodziny. Każdy trzeba było odpakować i pokazać do sprawdzenia. Funkcjonariusz otworzył naszą walizkę z ubraniami i natknął się na królika Mahtab, zapakowanego w ostatniej chwili. Był to weteran naszych podróży, towarzyszył nam do Teksasu, Meksyku i Kanady. Kiedy już wychodziliśmy z domu w Detroit, Mahtab zdecydowała, że nie pojedzie do Iranu bez swojego najlepszego przyjaciela.

Celnik pozwolił nam zabrać walizkę z ubraniami i - ku uldze

10

Mahtab - królika. Powiedział, że resztę bagażu odeślą nam później, po dokładnym sprawdzeniu.

Tak więc bez zbytniego obciążenia wyszliśmy na zewnątrz w jakieś cztery godziny po wylądowaniu.

Mudi został natychmiast otoczony przez tłum w długich szatach i zasłonach. Wpili się w jego wyjściowy garnitur i podnieśli pełną podniecenia wrzawę. Ponad setka krewniaków tłoczyła się wokół krzyżąc, płacząc, potrząsając mu dłoń, obejmując go i obsypując pocałunkami, całując mnie i Mahtab. Wszyscy chyba mieli kwiaty, którymi nas z Mahtab zasypali. Za chwilę miałyśmy ich pełne ręce.

Dlaczego właściwie mam na sobie tę idiotyczną chustę? Włosy przyklejały mi się do głowy. Ociekając potem pomyślałam, że muszę teraz śmierdzieć jak i oni wszyscy.

Mudi rozplakał się z radości, kiedy Amme Bozorg przytuliła się do niego. Była spowita we wszechobecny tu ciężki, czarny czador, ale mimo to rozpoznałam jej twarz widzianą przedtem na zdjęciach. Tego zakrzywionego nosa nie można było pomylić z innym. Grubokoścista, szeroka w ramionach kobieta, starsza od czterdziestosiedmioletniego Mudiego, porwała brata w ciasny uścisk, zarzucając mu ramiona na szyję, odbijając się stopami od ziemi i otaczając go nogami, jakby chciała na zawsze zatrzymać go przy sobie.

W Ameryce Mudi był anestezjologiem i dyplomowanym osteopatą \*, szanowanym specjalistą o dochodzie około stu tysięcy dolarów rocznie. Tutaj był znowu jedynie małym chłopczykiem Amme Bozorg. Rodzice Mudiego, oboje lekarze, umarli, kiedy miał sześć lat, i siostra wychowała go jak własnego syna. Jego powrót po blisko dziesięcioletniej nieobecności takie wywarł wrażenie na Amme Bozorg, że pozostali krewni musieli w końcu odrywać ją od Mudiego siłą.

Mudi przedstawił nas sobie. Rzuciła się na mnie ciasno obejmując, zasypując pocałunkami, gadając cały czas coś po persku. Nos miała tak wielki, że wydawał się nierzeczywisty. Sterczał z jej twarzy poniżej zielonopiwnych oczu, błyszczących od łez. Zęby miała krzywe i pełne plam.

Mudi przedstawił mi też męża siostry, Baba Hadździ. Powiedział, że to imię oznacza „ojca, który był w Mekce”. Niski nachmurzony mężczyzna, odziany w workowaty szary garnitur, którego luźne spodnie prawie zakrywały obcasy płóciennych pantofli. Nie odezwał się ani słowem. Wzrok miał utkwiony w

ziemię gdzieś przede mną, jego oczy, głęboko osadzone w ogorzalej, pomarszczonej twarzy, nie spotkały się z moimi. Jego siwa spiczasta broda była dokładną kopią brody ajatollaha Chomej niego.

\* Osteopatia: leczenie niektórych chorób za pomocą ręcznego stymulowania mięśni i kości; także chiropraktyka lub terapia manualna (przyp. tłum.).

11

Nagle poczułam, że włożono mi przez głowę ciężką girlandę z kwiatów, większą chyba ode mnie, która spoczęła mi na ramionach. Musiał to być jakiś sygnał, bo wszyscy naraz rzucili się jak jeden mąż w stronę parkingu. Biegnąc na wyścigi do jednakowych małych, białych samochodów o kanciastym kształcie zaczęli się w nich upychać - po sześcioro, po ośmioro, nawet po dwanaścioro w jednym. Zewsząd sterczały ramiona i nogi.

Naszą trójkę - Mudiego, Mahtab i mnie - poprowadzono uroczyście do honorowego samochodu, wielkiego chevroleta w kolorze twrk\^m, 7. począ\ku \?? siedemdziesiątych. \Jmieszczono nas na tylnym siedzeniu. Z przodu siadła Amme Bozorg ze swym synem Hosejmem, który jako jej najstarszy męski potomek dostąpił zaszczytu wiezienia nas. Zohre, najstarsza niezamężna córka, usiadła między matką a bratem.

W samochodzie przystrojonym kwiatami jechaliśmy z lotniska na przedzie hałaśliwej kawalkady. Po chwili okrążyliśmy ogromną wieżę Szajad wznoszącą się na czterech zgrabnych łukowatych podstawach. Szara, wysadzana turkusową mozaiką, błyszczała w słońcu południa. Została zbudowana przez szacha jako wspaniały przykład perskiej architektury. Mudi powiedział mi, że Teheran słynął z tej imponującej wieży, która jak strażnik pełniła wartę na przedmieściach stolicy.

Minąwszy wieżę wjechaliśmy na drogę szybkiego ruchu, gdzie Hosejn przycisnął gaz do deski, zmuszając starego chevroleta do wyciągnięcia osiemdziesięciu mil na godzinę, co było niemal granicą osiąganą przez niego prędkości.

Kiedy ruszyliśmy z impetem do przodu, Amme Bozorg odwróciła się i wręczyła mi paczkę ozdobnie opakowaną jak prezent. Było to ciężkie. Popatrzyłam pytająco na Mudiego.

- Otwórz to - powiedział.

W środku znalazłam szeroki płaszcz, na oko sięgający mi prawie do kostek. Nie był w ogóle dopasowany, nie miał ani śladu talii. Mudi powiedział, że jest uszyty z drogiej wełny, ale w dotyku sprawiał wrażenie nylonowego czy nawet plastikowego. Tkanina była cienka, ale o tak gęstym splocie, że z pewnością potęgować będzie letni upał. Brudnooliwkowy kolor był brzydki. Znalazłam też długą, ciemnozieloną chustę, o wiele grubszą od tej, którą miałam na głowie.

Uśmiechając się, uradowana własną hojnością, Amme Bozorg powiedziała coś, a Mudi przetłumaczył:

- Ten płaszcz nazywa się manto. My to nosimy. Chusta nazywa się rusari. W Iranie musisz zakładać na siebie płaszcz i chustę, gdy wychodzisz na ulicę.

Nie byłam na to przygotowana. Kiedy Mammal, czwarty syn Amme Bozorg i Baba. Hadździ, podczas pobytu u nas w Michigan, zaproponował spędzenie urlopu w Iranie, powiedział:

12

- Wychodząc na ulicę będziesz musiała nosić ubiór z długimi rękawami, chustę i ciemne pończochy.

Nie było jednak mowy o noszeniu długiego, ciężkiego płaszcza w piekielnym upale lata.

- Nie przejmuj się - powiedział Mudi - to prezent. Będziesz musiała go zakładać wychodząc z domu.

Przejmowałam się. Kiedy Hosejn skręcił z drogi szybkiego ruchu, zaczęłam przyglądać się kobietom drepczącym po zatłoczonych trotua-rach Teheranu. Były okryte od stóp do głów, większość nosiła czarne czadory na płaszcach i chustach, manto i rusari, takich, jakie mi właśnie podarowano. Wszystko to było w ponurych kolorach.

Co mi zrobią, jeśli tego nie założę? Aresztują?

Zapytałam Mudiego, który całkiem po prostu odpowiedział:

- Tak, aresztują.

Szybko przestałam się jednak martwić miejscowymi przepisami dotyczącymi ubioru, bo Hosejn wpadł w miejski ruch. Wąskie ulice były zatkane samochodami ocierającymi się o siebie. Każdy z kierowców wypatrywał kawałka wolnej przestrzeni, a zobaczywszy ją, naciskał równocześnie na gaz i na klakson. Zniecierpliwiony kolejnym czekaniem Hosejn dał do tyłu i ocierając się o inne samochody pojechał wstecz ulicą jednokierunkową. Zobaczyłam skutek: pogięte zderzaki, kierowców i pasażerów, którzy wysiedli krzycząc na siebie, doszło też do wymiany ciosów.

Z pomocą Mudiego Amme Bozorg wyjaśniła mi, że przeważnie w piątki ruch jest niewielki. Piątek to muzułmańska niedziela, rodziny zbierają się w domu najstarszego z krewnych i spędzają wolny czas na modlitwie. Ale teraz zbliżała się pora piątkowego kazania, które w centrum miasta wygłaszał jeden z najświętszych ze świętych mężów islamu. Najczęściej tę religijną powinność spełniał hodżatul-islam prezydent Sajjid Ali Chamenei (nie mylić z ajatollahem Ruhollahem Chomejnim, który, jako przywódca religijny, ma wyższą rangę od samego prezydenta), a asystował mu przewodniczący parlamentu hodżatul-islam Ali Akbar Haszemi Rafsandżani. Na piątkowe modły przybywały miliony ludzi - nie tysiące, lecz miliony, podkreśliła Amme Bozorg.

Mahtab spokojnie przypatrywała się tej scenie ściskając swojego królika. Szeroko otwartymi oczami pochłaniała nowy, obcy świat, zdumiona widokami, dźwiękami i zapachami. Zdawałam sobie sprawę, że bardzo się męczę, że musi do toalety.

Po godzinie takiej jazdy, podczas której nasze życie znajdowało się w niepewnych rękach Hosejna, zatrzymaliśmy się wreszcie przed domem naszych gospodarzy, Baba Hadździ i Amme Bozorg. Mudi pochwalił się, że dom położony jest w dobrym sąsiedztwie w północnej części Teheranu; o dwa budynki stąd znajdowała się chińska ambasada. Od

13

ulicy oddzielało go ogrodzenie z zielonych żelaznych prętów ciasno osadzonych koło siebie. Przez dwuskrzydłową żelazną bramę weszliśmy na wybetonowane podwórze.

Mahtab i ja wiedziałyśmy, że w domu nie nosi się butów. Biorąc wzór z Mudiego zdjęłyśmy je i zostawiłyśmy na podwórzu. Przybyło już tylu gości, że w jednym z kątów wznosiła się cała sterta różnorodnego obuwia. Na podwórzu stały też trzy gazowe grille obsługiwane przez wynajętych na tę okazję kelnerów.

W samych pończochach weszłyśmy do dużego betonowego domu o płaskim dachu. Hall był co najmniej dwa razy większy niż duży amerykański living room. Ściany i drzwi z solidnego orzecha ozdabiała kolorowa wykładzina z tego samego drewna. Grube perskie dywany, ułożone w dwóch lub trzech rzędach zachodzących na siebie, pokrywały prawie całą podłogę. Na nich rozłożone były ozdobne sofry, ceratowe serwety w jaskrawe kwiaty. W pokoju nie było żadnych mebli z wyjątkiem małego telewizora w jednym rogu.

Przez okna w końcu pokoju dostrzegłam basen na tyłach domu wypełniony jasnoblękitną wodą. Chociaż nie lubię pływać, dzisiaj zimna woda wyglądała wyjątkowo zachęcająco.

Nowe grupy radośnie rozgadanych krewnych wyładowywały się z samochodów i wchodziły za nami do hallu. Mudi wyraźnie pękał z dumy z powodu amerykańskiej żony. Cały promieniał, kiedy jego krewni obskakiwali Mahtab.

Amme Bozorg pokazała nam nasz pokój w skrzydle oddalonym nieco od reszty domu, na lewo od hallu. Było to małe kwadratowe pomieszczenie z dwoma zsuniętymi łózkami o zapadniętych w środku materacach. Jedynym meblem była wielka wolno stojąca drewniana szafa.

Odnalazłam szybko ubikację dla Mahtab, zaraz na końcu korytarza, przy którym była nasza sypialnia. Kiedy otworzyłam drzwi, obie odskoczyłyśmy na widok biegających po kamiennej posadzce karaluchów, największych, jakie kiedykolwiek w życiu widziałyśmy. Mahtab nie chciała wejść do środka, ale było to już naprawdę konieczne. Pociągnęła mnie za sobą. Tutaj znajdowała się przynajmniej toaleta w amerykańskim stylu, a nawet bidet. Ale zamiast papieru toaletowego wisiał na ścianie szlauch z wodą. Czuć było stęchlizną, a kwaśny odór zalaływał przez okno otwarte na sąsiednią perską toaletę, lecz w porównaniu z urządzeniami sanitarnymi na lotnisku było tu dużo lepiej. Mahtab nareszcie mogła się spokojnie załatwić, przy mojej asyście.



Wróciłyśmy do hallu, gdzie czekał na nas Mudi.

- Chodźcie, chcę wam coś pokazać - powiedział.

Wyszłyśmy za nim przez frontowe drzwi na podwórze.

Mahtab aż krzyknęła. Kałuża świeżej, jaskrawoczerwonej krwi oddzielała nas od ulicy. Mahtab odwróciła twarz.

Mudi spokojnie wyjaśnił, że rodzina kupiła barana od ulicznego

14

sprzedawcy, który zarznął zwierzę na naszą cześć. Powinno to być zrobione przed naszym przybyciem, żebyśmy mogli przekroczyć kałużę krwi wchodząc po raz pierwszy do domu. Teraz musimy wejść jeszcze raz, przestępując przez krew.

- No dobrze, zrób to - powiedziałam - ja nie chcę wyczyniać takich idiotyzmów.

- Mudi spokojnie ale stanowczo oznajmił:

- Musisz to zrobić. Musisz okazać szacunek. Mięso zostanie rozdane ubogim.

Pomyślałam, że to jakaś dzika tradycja, ale nie chciałam nikogo urazić, więc niechętnie zgodziłam się. Mahtab ukryła twarz na moim ramieniu, kiedy ją podniosłam. W ślad za Mudim okrążyłam kałużę krwi, a potem przekroczyłam ją od strony ulicy. Krewni zaintonowali modlitwę. Mieliśmy za sobą oficjalne powitanie.

Rozdano podarunki. Jest w Iranie zwyczaj, że panna młoda dostaje od rodziny męża złotą biżuterię. Nie byłam już panną młodą, ale wystarczająco wiele wiedziałam o obyczajach tych ludzi, żeby przy pierwszym z nimi spotkaniu spodziewać się złota. Amme Bozorg nie zastosowała się jednak do tradycji. Podarowała Mahtab dwie złote bransoletki, ale dla mnie biżuterii nie było. Był to wyraźny przytyk. Wiedziałam, jak zirytowało ją małżeństwo Mudiego z Amerykanką.

Podarowała też Mahtab i mnie ozdobne czadory do noszenia po domu. Mój był w kolorze jasnokremowym w brzoskwiniowe kwiaty. Mahtab dostała biały w różowe pączki róż.

Mruknęłam coś w podziękowaniu.

Wokół krzątały się córki Amme Bozorg, Zohre i Fereszte, podając co znaczniejszym gościom papierosy na tacy i częstując wszystkich herbatą. Wrzeszczące dzieciaki biegały po całym pomieszczeniu. Dorośli nie zwracali na nie uwagi.

Było wczesne popołudnie. Goście rozsiedli się na podłodze wielkiego hallu, kobiety wniosły tace z jedzeniem i postawiły na sofrach rozłożonych na dywanach. Były tam półmiski sałatek, ozdobionych rzodkiewkami, powycinanymi w prześliczne różyczki, i marchewkami ponacinanymi tak, że przypominały sosnowe gałązki. Były misy z jogurtem i tace z chlebem w kształcie płaskich placków, kawałki ostrego sera, wysokie piramidy owoców. Jaskrawy zestaw kolorów uzupełniały tace z zieleniną - sabzi - świeżą bazylią, miętą i młodymi porami.

Kelnerzy wynieśli półmiski z domu na dziedziniec, gdzie układano na nich dania zamówione w restauracji. Tutaj były rozmaite wariacje w jednym temacie. Wypełniający dwa kotły ryż - w jednym biały, normalny, w drugim zaś zielony, gotowany z sabzi i dużym grochem przypominającym limony - przyrządzony był na sposób irański, którego Mudi dawno mnie nauczył. Ryż najpierw się gotuje, a potem zalewa oliwą i odparowuje, aż na powierzchni utworzy się chrupiąca skórka.

15

To podstawowe danie irańskiego jadłospisu uzupełnia się różnymi sosami zwanymi choresz - z jarzyn, z dodatkiem przypraw, często z kawałkami mięsa.

Kelnerzy rozłożyli ryż na półmiski. Biały ryż posypali czymś w rodzaju małych borówek albo polali roztworem szafranu. Wnieśli półmiski do hallu i dostawili do innych tac pełnych jedzenia. Na tę okazję przygotowano dwa rodzaje sosu choresz. Jeden, ulubione w naszym domu danie, składał się z bakłażanów, pomidorów i kawałków baraniny. Drugi zrobiony był z baraniny, pomidorów, cebuli i żółtego grochu.

Głównym daniem była kura, rzadki w Iranie rarytas, najpierw duszona z cebulą, a potem obsmażana na oleju.

Rozsiadłszy się po turecku na podłodze albo przykłęknąwszy na jednym kolanie, Irańczycy rzucili się na jedzenie jak horda dzikich, wygłodniałych zwierząt. Ze sztucców podano tylko wielkie jak warzach-wie łyżki. Niektórzy używali ich razem z rękami albo pomagali sobie kawałkami zwiniętego chleba, inni nie zawracali sobie głowy żadnymi łyżkami. Za chwilę wszędzie było pełno jedzenia. Wpychali je do rozgadanych ust, z których kapało i kruszyło się na sofry, na dywany, czasem z powrotem do półmisków. Tej nieapetycznej scenie towarzyszył gwar w języku farsi. Każde niemal zdanie kończyli formułą Insz Allah

- jak Allah zechce. Nie widzieli nic gorszego we wzywaniu świętego imienia Allaha przy jednoczesnym pluciu dookoła jedzeniem.

Nikt nie mówił po angielsku. Na Mahtab i na mnie nikt nie zwracał uwagi.

Próbowałam jeść, ale trudno mi było pochylać się i sięgać do półmisków zachowując równocześnie równowagę i skromność. Obcisła spódnica mojego kostiumu nie była skrojona do spożywania posiłków na podłodze. Jakoś jednak udało mi się napełnić talerz.

Mudi nauczył mnie gotować sporo irańskich potraw. Mahtab i ja zasmakowałyśmy nie tylko w kuchni irańskiej, ale i w specjalnościach wielu krajów muzułmańskich. Skosztowawszy jednak tego odświętnego posiłku przekonałam się, że jedzenie jest niesamowicie tłuste. Oliwa

- nawet olej do smażenia - stanowi w Iranie oznakę bogactwa. Ponieważ okazja była niecodzienna, wszystko wprost pływało w ogromnych ilościach tłuszczu. Ani Mahtab, ani ja nie zdołałyśmy wiele przełknąć. Poskubałyśmy trochę sałatek, ale apetyt nam przeszedł.

Łatwo nam było ukryć odrazę do tego jedzenia, ponieważ Mudi był głównym obiektem pełnej uwielbienia uwagi swojej rodziny. Rozumiałam, godziłam się z tym, ale czułam się samotna i wyizolowana.

Niecodzienne zdarzenia tego nie kończącego się dnia pomogły mi jednak złagodzić trochę obawę, że Mudi mógłby przedłużyć nasz pobyt ponad dwa tygodnie, po upływie których mieliśmy rezerwację. To prawda, że pałał żądzą zobaczenia swojej rodziny, ale to życie nie było

w jego stylu. Był lekarzem. Znał wartość higieny i doceniał zdrową dietę. Miał o wiele subtelniejszy charakter niż ci tutaj. Bardzo też cenił komfort, lubił pogawędki lub popołudniową drzemkę w swoim ulubionym obrotowym fotelu na kółkach. Tutaj, na podłodze, wiercił się niespokojnie nie przyzwyczajony do siedzenia w kucki. Doszłam do wniosku, że w żadnym razie nie przedłożyłby Iranu nad Amerykę.

Wymieniłyśmy z Mahtab spojrzenia czytając nawzajem swoje myśli. Ten urlop był krótką przerwą w naszym normalnym amerykańskim życiu. Mogłyśmy to znieść, ale nie musiało się nam podobać. Od tej chwili zaczęłyśmy liczyć dni do powrotu do domu.

Uczta ciągnęła się. Podczas gdy dorośli wciąż się opychali, dzieci zaczęły być niespokojne. Wybuchły kłótnie. Dzieci obrzucały się jedzeniem i wrzeszczały przeraźliwie, biegały po sofach, a ich brudne bosa stopy lądowały co jakiś czas w półmiskach z potrawami.

Zauważyłam, że niektóre dzieci miały wady wrodzone albo inne deformacje. Kilkoro miało szczególny, debilowaty wyraz twarzy. Zastanowiło mnie, czy nie są to przypadkiem rezultaty zawierania małżeństw w obrębie rodziny. Mudi próbował mnie przekonać, że w Iranie nie ma to szkodliwych następstw, ale ja wiedziałam, że wiele par małżeńskich zgromadzonych w tym pokoju to kuzyni i kuzynki. Skutki było widać po dzieciach.

Po jakimś czasie Reza, piąty syn Baba Hadździ i Amme Bozorg, przedstawił mnie swojej żonie Essej. Znałam go dobrze. Mieszkał jakiś czas u nas w Corpus Christi w Teksasie. Chociaż dał mi się wtedy we znaki i w końcu, co nie było w moim stylu, postawiłam Mudiemu ultimatum, żeby się go pozbył z domu, tutaj i teraz był jakąś przyjazną twarzą, jednym z niewielu, którzy odezwali się do mnie po angielsku. Essej studiowała w Anglii i mówiła po angielsku znośnie. W ramionach trzymała niemowlę.

- Reza tak dużo opowiadał mi o tobie - powiedziała - jest tak wdzięczny za wszystko, co dla niego zrobiliście.

Zapytałam o dziecko. Essej nachmurzyła się. Małdi przyszedł na świat ze zdeformowanymi wykręconymi do tyłu stopkami. Główkę też miał

zniekształconą, czoło zbyt duże w stosunku do twarzy. Wiedziałam, że Essej była kuzynką swojego męża.

Rozmawialiśmy tylko parę chwil, potem Reza zabrał ją w inny kąt pokoju.

Mahtab próbowała zabić komara, który zostawił na jej czole nabrzmiałą czerwoną plamę. Byliśmy wykończone upałem sierpniowego wieczoru. Jak się spodziewałam, w domu była klimatyzacja, wszystko działało, ale z jakiegoś powodu Amme Bozorg nie zamknęła drzwi, w których nie było moskitier ani okien, co stanowiło otwarte zaproszenie dla gorąca i komarów.

Widziałam, że Mahtab męczy się tak jak ja. Na człowieku z Zachodu

2 — Tylko razem z córką

17

zwykła irańska konwersacja robi wrażenie zażartej sprzeczki, z przeraźliwym pokrzykiwaniem i wyrazistymi gestami, punktowanymi wypowiedzianymi formuły insz Allah. Natężenie hałasu jest wprost niesamowite.

Zaczęła mnie boleć głowa. Zapach tłustego jada, zaduch ludzkich ciał, nie kończący się jazgot i skutki zmiany czasu zrobiły swoje.

- Mahtab i ja chcemy się położyć - powiedziałam do męża.

Był wczesny wieczór, większość krewnych jeszcze się nie rozeszła, ale Mudi wiedział, że chcą rozmawiać z nim, a nie ze mną.

- Dobrze - zgodził się.

- Strasznie boli mnie głowa. Czy masz coś na to?

Przeprosił na chwilę, zabrał Mahtab i mnie do sypialni i odszukał wydawany na receptę środek przeciwbólowy, przeoczony przez celników. Dał mi trzy tabletki i wrócił do rodziny.

Wpełzliśmy do łóżka tak zmęczone, że nawet wygniecione materace, zatęchłe koce ani kłujące poduszki nie mogły nam przeszkodzić w zaśnięciu. Wiedziałam, że Mahtab zasypia z tą samą modlitwą, która kołatała się po mojej obolałej głowie: Boże, spraw, żeby te dwa tygodnie szybko minęły.

,

2.

Była chyba czwarta rano, kiedy Baba Hadździ załomotał do drzwi naszej sypialni. Krzyczał coś po persku.

Na dworze rozlegał się głos azanu wzmocniony przez megafon, smutny, przeciągły, zawodzący głos wzywający wiernych do wypełniania religijnych obowiązków.

- Czas na modlitwę - wymamrotał Mudi.

Ziewając i przeciągając się wstał i poszedł do łazienki, żeby dokonać rytualnej ablucji. Ochlapał wodą obie ręce od łokci w dół, czoło, nos i stopy po wierzchniej stronie.

Wszystko mnie bolało od spania w głębokiej dziurze na cienkim materacu, nie podtrzymywanym przez sprężyny. Mahtab, która spała między mną a Mudim, nie mogła się wygodnie ułożyć na środku, gdzie uwierały ją drewniane ramy stykających się łóżek. Zsunęła się w zagłębienie po mojej stronie i spała teraz

tak mocno, że nie mogłam jej poruszyć. Leżałyśmy więc razem, przyciśnięte do siebie mimo gorąca. Mudi wyszedł do hallu, żeby się pomodlić.

Po chwili jego głos splótł się z głosami Baba Hadździ, Amme Bozorg, ich córek Zohre i Fereszte i najmłodszego trzydziestoletniego syna Madżida. Pozostałych pięciu synów i córka Ferri miało już własne domy.

Nie wiedziałam, jak długo trwały te modły, bo co chwila pogrążałam się we śnie i wynurzałam z niego i nie zauważyłam, kiedy Mudi wrócił do łóżka. Ale nawet wtedy nie skończyły się w tym domu religijne obrzędy. Baba Hadździ recytował Koran drąc się monotonią na cały głos. Amme Bozorg w swojej sypialni na drugim końcu domu także czytała Koran. Trwało to godzinami, ich głosy przybrały hipnotyzujące brzmienie.

Zanim wstałam, Baba Hadździ zakończył religijne ceremonie i wyszedł do biura. Miał firmę importowo-eksportową H.S. Salam Ghodsi i Synowie.

19

Pomyślałam przede wszystkim, żeby wziąć prysznic i zmyć z siebie skutki wczorajszego upału. W łazience nie było ręczników. Mudi powiedział, że Amme Bozorg prawdopodobnie w ogóle ich nie posiada, oderwałam więc kawał prześcieradła, żeby posłużył naszej trójce jako ręcznik. Nie było też zastony od prysznicza. Woda wypływała po prostu dziurą w rogu pochyłej marmurowej posadzki. Mimo tych wszystkich niewygód woda była orzeźwiająca.

Po mnie pod prysznic poszła Mahtab, a potem Mudi. Ubrałam się w najskromniejszą spódnicę i bluzkę, podmalowałam się i trochę czasu poświęciłam włosom. Mudi powiedział mi, że w domu, w rodzinnym gronie, nie muszę się zakrywać.

Amme Bozorg, ubrana we wzorzysty, domowy czador, krzątała się po kuchni. Obie ręce musiała mieć wolne do pracy, owinęła więc obszerną płachtę dodatkowo wokół ciała i zebrała pod pachami. Żeby czador nie opadł, musiała przyciskać ramiona do boków.

Skrępowana w taki sposób zajmowała się swoją robotą w pomieszczeniu, które, jak cały dom, nosiło ślady dawnej świetności, lecz było ogólnie zapuszczone. Ściany pokrywała warstwa brudu, osadzająca się od dziesiątków lat. Duże

metalowe szafki, podobne do wyposażenia wielkich amerykańskich kuchni, były pordzewiałe. W dwukomorowym zlewie z nierdzewnej stali piętrzyły się brudne naczynia. Stosy rozmaitych garnków i patelni zajmowały duży stół i mały kwadratowy stolik. Na kuchennym stole nie było ani skrawka miejsca, Amme Bozorg pracowała więc na podłodze. Podłoga z marmuru w jasnobrązowym kolorze była częściowo pokryta resztkami czarno-czerwonego dywanu. Pokrywały ją również resztki jedzenia, lepkie plamy rozlanego oleju i tajemnicze szlaczki rozsypanego cukru. Zdziwiłam się na widok chłodziarko-zamrażarki z urządzeniem do robienia lodu. Kiedy zerknęłam do środka, moim oczom ukazał się cały magazyn dodatkowych dań, w nie przykrytych naczyniach, z łyżkami w środku. Wyposażenie kuchni stanowiła również włoska, ładowana od przodu zmywarka do naczyń i jedyny w tym domu telefon.

Największą niespodziankę przeżyłam, kiedy Mudi powiedział z dumą, że Amme Bozorg wysprzątała cały dom na naszą cześć. Ciekawa byłam, jak ten dom wyglądał, kiedy był brudny.

Starzejąca się chuderlawa służąca, której zepsute zęby dziwnie pasowały do znoszonego granatowego czadoru, apatycznie wykonywała polecenia Amme Bozorg. Na kuchennej podłodze przygotowała tacę z herbatą, serem i chlebem i zaserwowała nam to wszystko na podłodze w hallu.

Przy podawaniu herbaty w maleńkich szklaneczkach zwanych estakan, zawierających najwyżej ćwierć filiżanki, ściśle przestrzegano kolejności: najpierw został obsłużony Mudi, jedyny obecny w danej

20

chwili mężczyzna, potem Amme Bozorg, kobieta wyższej rangi, potem ja, a na końcu Mahtab.

Amme Bozorg obficie pocukrzyła herbatę, wygrzebując cukier z cukiernicy i tę samą łyżeczkę kładąc do szklanki. Pozostawiła na dywanie gruby ślad rozsypanego cukru, jakby zapraszała karaluchy na śniadanie.

Herbata była mocna i gorąca, nadzwyczaj smaczna. Kiedy jej próbowałam, Amme Bozorg powiedziała coś do Mudiego.



- Nie pocukrzyłaś byłaś herbaty - przetłumaczył. Zauważyłam coś nienaturalnego w jego stylu mówienia. W domu

użyłby skróconej formy czasownika. Tutaj jej unikał, wyrażając się bardziej formalnie, jak ludzie, dla których angielski jest drugim językiem. Mudi od dawna mówił jak rodowity Amerykanin. Skąd ta zmiana? Zastanowiłam się, czy zaczął z powrotem myśleć po persku, przekładając słowa na angielski przed ich wypowiedzeniem?

- Nie chcę cukru. Smakuje mi tak - odpowiedziałam na jego pytanie.

- Ciotka jest tobą zaszokowana, ale jej powiedziałem, że sama jesteś wystarczająco słodka. Nie potrzebujesz cukru.

Z wyrazu głęboko osadzonych oczu Amme Bozorg łatwo można było wyczytać, że żart jej się nie spodobał. Picie herbaty bez cukru było jak widać wykroczeniem towarzyskim, ale się nie przejęłam. Spojrzałam znacząco na szwagierkę, pociągnęłam łyk herbaty i przywołałam uśmiech na twarz.

Chleb, który nam podano, był przaśny, bez smaku, płaski i suchy, o konsystencji miękkiej tektury. Do chleba dostaliśmy ostry duński ser typu feta. Obie z Mahtab lubiłyśmy ten gatunek, ale Amme Bozorg nie wiedziała, że należy go przechowywać razem z płynem, żeby zachował zapach. Ten ser śmierdzał brudnymi nogami. Mahtab i ja przełknęłyśmy coś z trudem.

Po śniadaniu Madżid, najmłodszy syn, wdał się ze mną w dłuższą pogawędkę. Był przyjaźnie nastawiony i miły, mówił znośnie po angielsku. Chciał nam pokazać wiele miejsc. Powiedział, że musimy zobaczyć pałac szacha, a także park Mellat, gdzie rośnie trawa - rzadkość w Teheranie. Chciał nas też zabrać po zakupy.

Wiedzieliśmy, że trzeba z tym wszystkim poczekać. Pierwsze dni należało poświęcić przyjmowaniu gości. Krewni i przyjaciele z bliska i z daleka chcieli zobaczyć Mudiego i jego rodzinę.

Jeszcze tego ranka Mudi uparł się, żebyśmy zadzwonili do moich rodziców w Michigan. Tu powstał problem. Moi synowie Joe i John, którzy mieszkali w Michigan u mojego byłego męża, wiedzieli, dokąd jedziemy, ale kazałam im przysiąc, że będą trzymali to w tajemnicy. Nie chciałam, żeby mama i tata się

dowiedzieli. Niepokoiliby się. Mają obecnie tyle innych kłopotów. Tato zmagał się z chorobą - rozpoznano u niego nowotwór jelita grubego. Nie chciałam dokładać im zmartwień, powiedziałam więc tylko, że jedziemy do Europy.

- Nie chcę im mówić, że jesteśmy w Iranie - powiedziałam.

21

- Oni wiedzą, że mieliśmy tu przyjechać - odparł Mudi.

- Nie, nie wiedzą. Powiedziałam im, że jedziemy do Londynu.

- Podczas naszego ostatniego spotkania, kiedy już wychodziliśmy, powiedziałem im, że jedziemy do Iranu.

Zadzwoniliśmy. Z drugiej niemalże półkuli usłyszałam głos matki. Po wymianie pozdrowień zapytałam o tatę.

- Czuje się dobrze - powiedziała mama - ale chemoterapia go męczy. Powiedziałam jej w końcu, że dzwonię z Teheranu.

- O mój Boże! Tego właśnie się obawiałam.

- Nie martw się. Jest nam tu dobrze - skłamałam. - Wszystko w porządku. Siedemnastego będziemy w domu.

Podaliśmy słuchawkę Mahtab. Oczy jej rozbłysły, kiedy usłyszała znajomy głos babci.

Po zakończeniu rozmowy zwróciłam się do Mudiego.

- Okłamałaś mnie! Mówiłaś, że wiedzą, dokąd jedziemy, ale oni nie \*  
wiedzieli.

Wzruszył ramionami.

- Powiedziałem im.

Ogarnęła mnie panika. Czyżby rodzice nie dostyszeli? Czy też przyłapałam Mudiego na kłamstwie?

Krewniacy Mudiego napływali całymi falami wypełniając hall podczas obiadów lub kolacji. Mężczyznom podawano przy wejściu domowe piżamy. Przebierali

się szybko w sąsiednim pokoju i przechodzili do hallu. Amme Bozorg miała też pod ręką zapas kolorowych czadorów dla kobiet, które zadziwiająco zręcznie zmieniały czarne, wyjściowe SZatjMfiŚBWęphchty nOSZOnepo domu nie odkrywajcc pizy tym ani kawałka zakazanej części twarzy.

Wizyty upływały na jedzeniu i gadaniu.

Mężczyźni odprawiali podczas rozmowy nie kończące się modły. Każdy dzierzył w ręku różaniec z plastikowych lub kamiennych paciorków i przebierał go wypowiadając trzydzieści trzy razy Allah akbar - Allah jest wielki.

Jeżeli goście przychodzili rano, nużąca ceremonia wychodzenia zaczynała się około południa. Przebrawszy się w wyjściowe ubrania, obcałowywali się na pożegnanie, przesuwali powoli w kierunku drzwi, ciągle gadali, znów wymieniali pocałunki i przesuwali się trochę dalej, rozmawiając, krzycząc, ściskając się jeszcze przez pół godziny, trzy kwadranse albo godzinę. Nikt nie miał zamiaru trzymać się jakichkolwiek terminów.

Udawało im się jednak wyjść zaraz po południu, bo następne godziny były porą sjeisty, koniecznej ze względu na upał i rozkład obowiązujących modlitw.

22

Jeżeli goście zjawiali się w porze kolacji, zostawali do późna, bo zawsze czekaliśmy, aż wróci z pracy Baba Hadździ - a nie wracał nigdy przed dziesiątą - żeby dołączyć do tłumu mężczyzn w piżamach i kobiet owiniętych w czadory i razem spożyć wieczorny posiłek.

Nie kłopotąłem się zwykle nakrywaniem głowy w domowych pieleszach, ale zdarzali się goście bardziej pobożni od innych. Musiałam wtedy zakładać chustę. Pewnego wieczora, wraz z przybyciem niespodziewanych gości Amme Bozorg wpadła do naszej sypialni, rzuciła mi czarny czador i warknęła coś do Mudiego.

- Załóż to natychmiast - rozkazał mój mąż. - Mamy gości. Przyszedł pan w turbanie.

Pan w turbanie to przełożony meczetu, odpowiednik księdza lub pastora. Ubrany w abę, szatę podobną do peleryny, w nakryciu głowy, któremu zawdzięcza swój przydomek, taki pan w turbanie daje się natychmiast odróżnić

od zwykłego Irańczyka, odzianego przeważnie w garnitur lub kurtkę i nie nakrywającego głowy. Pan w turbanie budzi respekt.

Nie było więc jak się sprzeciwić nakazowi Mudiego, żebym założyła czador, ale kiedy przywdziałam niewygodną szatę okazało się, że jest brudna. Zastona zakrywająca dolną część twarzy była aż sztywna od zaschniętych smarków. Nie widziałam w tym domu chustek do nosa ani klineksów, zauważyłam natomiast, że kobiety zamiast nich używają swoich zaston. Zapach był odrażający.

Przybyły pan w turbanie nazywał się Aga Maraszi. Był żonaty z siostrą Baba Hadździ. Był też jakoś spokrewniony z Mudim. Podpierając się grubo ciosaną drewnianą laską wtoczył się chwiejnym krokiem do hallu z trudem dźwigając ponad 300 funtów ciała. Rozsiadł się na podłodze stękając z wysiłku. Nie był w stanie usiąść po turecku, jak inni, wyciągnął więc przed siebie rozkraczone nogi i pochylił się do przodu. Jego potężny brzuch ukryty pod czarnymi szatami oparł się o podłogę. Zohre szybko przyniosła na tacy papierosy dla dostojnego gościa.

- Daj mi herbaty - rozkazał ostro, przypalając jednego papierosa od drugiego. Kaszlał i charczał głośno nie zadając sobie trudu, żeby zakryć usta.

Herbatę podano natychmiast. Aga Maraszi wsypał do swojej szklaneczki kopiastą łyżeczkę cukru, zaciągnął się papierosem, zakaszlał i pocukrzył herbatę jeszcze raz.

- Będę twoim pacjentem - powiedział do Muhdiego - masz mnie leczyć z cukrzycy.

Sama nie wiedziałam, co było wstrętniejsze: zasmarkany czador, który trzymałam przy samej twarzy, czy też pan w turbanie, na którego cześć musiałam go założyć.

Przez całą wizytę siedziałam walcząc z ogarniającymi mnie

23

mdłościami. Kiedy goście wyszli, zrzuciłam czador i powiedziałam Mudiemu, że był obrzydliwie brudny.

- Te kobiety wycierają w to nosy - poskarżyłam się.

- Nieprawda. Kłamiesz - zaprzeczył mój mąż.

- Dobrze, popatrz tylko.

Dopiero kiedy sam obejrzał czador, przyznał mi rację. Zdumiało mnie, jak dziwne rzeczy chodziły mu po głowie. Czyżby tak wygodnie mu było znaleźć się z powrotem w otoczeniu z czasów jego dzieciństwa, że wszystko wydawało mu się naturalne, i zmieniał zdanie dopiero, kiedy mu coś udowodniłam?

Przez pierwsze dni Mahtab i ja spędzałyśmy większość czasu w sypialni wychodząc tylko wtedy, gdy Mudi zawiadamiał nas, że trzeba przywitać się z kolejnymi gośćmi. W naszym pokoju mogłyśmy przynajmniej siedzieć na łóżku, a nie na podłodze. Mahtab bawiła się swoim królikiem albo ze mną. Przeważnie nudziłyśmy się, było nam gorąco, czułyśmy się fatalnie.

Codziennie późnym popołudniem irańska telewizja nadawała wiadomości po angielsku. Mudi zwrócił mi na to uwagę i przyszedł popatrzeć, nie ze względu na treść, ale żeby posłuchać ojczystego języka. Dziennik zaczynał się o wpół do piątej i trwał kwadrans albo 20 minut, nigdy nie przestrzegano dokładnego czasu.

Pierwsza część była obowiązkowo poświęcona toczącej się wojnie z Irakiem. Codziennie odbywało się triumfalne liczenie zabitych żołnierzy irackich, ale nigdy nie wspomniano o żadnych stratach po stronie Iranu. Zawsze nadawano sceny przedstawiające pełnych zapału młodych mężczyzn i kobiety udających się na świętą wojnę (mężczyźni szli walczyć, kobiety gotować, a także piec chleb, co było w tym kraju męską powinnością), po czym następował patriotyczny apel do nowych ochotników, żeby się zgłaszali. Następnie pięć minut poświęcano wiadomościom z Libanu, ponieważ tamtejsi szyici, silna i lubująca się w przemocy sekta, popierani byli przez Iran i lojalni wobec Chomejniego. W ciągu trzech minut załatwiano wiadomości ze świata, na które składały się relacje prezentujące negatywny obraz Ameryki. Amerykanie padają jak muchy na AIDS. Wskaźnik rozwodów w Ameryce rośnie jak szalony. Jeśli irackie lotnictwo zbombardowało jakiś tankowiec na wodach Zatoki Perskiej, to niewątpliwie za namową Ameryki.

Szybko znużyła mnie ta retoryka. Jeżeli tyle mieli do powiedzenia w anglojęzycznym dzienniku, to jakie wiadomości prezentowali Irań-czykom?

Sajjid Salam Ghodsi, którego nazywaliśmy Baba Hadździ, był zagadkowym człowiekiem. Rzadko bywał w domu i prawie nigdy nie rozmawiał z rodziną, chyba że zwoływał domowników na modlitwę albo czytał im Koran. Mimo to jego obecność przenikała cały dom. Kiedy po kilkugodzinnych modłach wychodził rano do pracy, zawsze

24

w tym samym szarym, przepeczonym garniturze, mamrocząc pod nosem święte wersety i przebierając paciorki różańca, jego żelazna wola nadal przygniatała domowników. Przez cały dzień, kiedy prowadzenie interesów swojej firmy przeplatał wyprawami do meczetu, dawała się odczuć w domu ciężka aura jego ponurej osobowości. Jego ojciec był „panem w turbanie”. Brat poległ niedawno w Iraku. Baba Hadździ, zawsze świadomy swoich zasług, zachowywał się jak ktoś, kto zdaje sobie sprawę z własnej wyższości.

Pod koniec długiego dnia wypełnionego pracą i modlitwą Baba Hadździ wywoływał w domu zamieszanie swoim powrotem. Szczęk stalowej bramy, która otwierała się około dziesiątej wieczorem, był sygnałem alarmowym. „Baba Hadździ!” - mówił ktoś z domowników i ostrzeżenie obiegało wkrótce cały dom. Zohre i jej młodsza siostra Fereszte w ciągu dnia nosiły tylko chustki rusari, ale kiedy wracał ojciec, szybko narzucały czadory.

Po jakichś pięciu dniach gościny w domu Baba Hadździ, Mudi powiedział do mnie:

- Powinnaś zacząć nosić w domu czador albo przynajmniej chustę.
- Nie - sprzeciwiłam się. - I ty, i Mammal mówiliście mi przedtem, że w domu nie będę musiała się zakrywać. Mówiłeś, że to zrozumieją, bo jestem Amerykanką.
- Baba Hadździ jest bardzo niezadowolony, że się nie zakrywasz - ciągnął dalej Mudi. - To jego dom.

Głos Mudiego w pewnym tylko stopniu brzmiał przepraszająco. Wyczułam w nim jakiś władczy, prawie groźący ton. Dobrze znałam tę stronę jego osobowości, którą kiedyś zwalczałam. Ale teraz był we własnym kraju, wśród swoich. Nie miałam wyboru, lecz za każdym razem, kiedy zakładałam chustę,

żeby móc ukazać się oczom Baba Hadździ, przepowiadałam sobie w myśli, że niedługo wracamy do Michigan, do mojego kraju, do moich rodaków.

Z biegiem dni Amme Bozorg stawała się coraz mniej serdeczna. Poskarżyła się Mudiemu na naszą amerykańską rozrzutność - kto to widział brać codziennie prysznic. Przygotowując się na nasz przyjazd poszła do hamamu, publicznej łaźni, gdzie odbyła rytuał zajmujący cały dzień. Od tamtej pory nie kąpała się i nie miała zamiaru tego uczynić w przewidywalnej przyszłości. Tak jak cała reszta klanu nosiła codziennie te same brudne ubrania bez względu na przeraźliwy upał.

- Nie możecie się kąpać codziennie - powiedziała.
- Musimy się kąpać codziennie - zareplikował Mudi.
- Nie. Wymyjecie wszystkie komórki waszej skóry, przeziębicie sobie żołądki i będziecie chorować.

Dyskusja zakończyła się remisem. Dalej braliśmy codziennie prysznic, a Amme Bozorg i jej rodzina dalej śmierdzieli.

Chociaż Mudi dbał o higienę osobistą, wciąż, co było niewiarygodne,

25

jakby nie dostrzegał brudu w najbliższym otoczeniu, jeśli go do tego nie zmusiałam.

- W ryżu są robaki - poskarżyłam się kiedyś.
- Nieprawda. To tylko ty postanowiłaś, że nic ci się tutaj nie będzie podobało.

Tego samego dnia podczas kolacji ukradkiem przebrałam swój ryż, powyławiałam całą porcję czarnych robaków i podrzuciłam Mudiemu na talerz. Pozostawienie choć kęsa jedzenia uchodziło za niegrzeczność. Mudi zjadł więc robaki nie chcąc nikogo urazić. Zyskał u mnie punkt.

Zauważył jednak przenikliwy zapach, jaki ogarnął cały dom, kiedy Amme Bozorg doszła do wniosku, że musi odczynić uroki. Służyło temu spalanie obrzydliwie cuchnących czarnych ziaren w dziurkowanym metalowym naczyniu podobnym do durszlaka. Naczynia tego używa się do gotowania ryżu po irańsku, ciepło jest

w nim równo rozprowadzone i na ryżu tworzy się skorupka. Ale w rękach Amme Bozorg kociołek z tłącymi się nasionami, obnoszony po wszystkich kątach mieszkania, był narzędziem tortur. Mudi nie znosił tego zapachu tak samo jak ja.

Mahtab bawiła się czasem z przychodzącymi w odwiedziny dziećmi i podłapała parę perskich słów, ale całe otoczenie było tak obce, że trzymała się zawsze blisko mnie i swojego królika. Pewnego razu, chcąc się czymś zająć, policzyła ślady po ukąszeniach komarów na twarzy. Było ich dwadzieścia trzy. Czerwone napuchnięcia pokrywały całe jej ciało.

Z upływem czasu Mudi coraz bardziej zdawał się zapominać o naszym istnieniu. Najpierw tłumaczył każdą rozmowę, każdą błąhą uwagę. Teraz nie zadawał sobie trudu. Byliśmy wystawiane na pokaz gościom i przez całe godziny musiałyśmy siedzieć, usiłując zachować przyjemny wyraz twarzy, choć nic nie rozumiałyśmy. Zdarzały się dni, podczas których rozmawiałyśmy tylko ze sobą.

Razem czekałyśmy z utęsknieniem na chwilę powrotu do domu, do Ameryki.

Na kuchni podgrzewał się bez przerwy gar z jedzeniem dla wygody domowników, w razie gdyby zgłodnieli. Często widziałam, jak zanurzali w nim wielką łychę, próbowali, i nie obchodziło ich, że resztki spadają z powrotem do garnka albo na podłogę. Stoły i podłogi były usiane szlaczkami cukru rozsypanego przez nieostrożnych amatorów herbaty. Karaluchy mnożyły się w kuchni tak samo jak w łazience.

Prawie nic nie jadłam. Amme Bozorg gotowała zwykle na obiad choresz z baraniną, nie żałując sadła z dombe. Dombe to inaczej kurdiuk, zwal tłuszczu o średnicy około 18 cali, który zwisa pod ogonem tłustopośladowych owiec hodowanych w Iranie, kolebiąc się w takt kroków zwierzęcia. Zjęczyły smak tego tłuszczu, używanego jako tania namiastka oleju do smażenia, odpowiada irańskim podniebieniom.

26

Amme Bozorg trzymała dombe w lodówce i zaczynała przygotowywanie każdej potrawy od odkrojenia płatu sadła i wrzucenia go do rondla. Potem obsmażała na nim cebulę, dodawała trochę kawałków mięsa, wrzucała groch i inne warzywa, jakie były pod ręką. Dusило się to przez popołudnie i wieczór



wypełniając cały dom przenikliwym zapachem kurdiucznego sadła. Przy kolacji ani Mahtab, ani ja nie byłyśmy w stanie wziąć do ust jedzenia przygotowanego przez Amme Bozorg. Nawet Mudiemu nie smakowało.

Jego wykształcenie medyczne i zdrowy rozsądek brały powoli górę nad szacunkiem dla rodziny. Ponieważ nieustannie skarżyłam się na anty-sanitarne warunki, Mudi w końcu zauważył je na tyle, żeby podjąć ten temat.

- Jestem lekarzem i sądzę, że powinnaś posłuchać mojej rady - powiedział do siostry. - Nie jesteś czysta. Powinnaś się wykąpać. Powinnaś nauczyć dzieci, żeby brały prysznic. Przykro mi, że żyjecie w taki sposób.

Amme Bozorg puściła mimo uszu słowa młodszego brata. Kiedy nie patrzył, posłała w moją stronę nienawistne spojrzenie, żebym wiedziała, że uważa mnie za intrygantkę.

Codzienna kąpiel nie była jedynym zachodnim zwyczajem, który raził moją szwagierkę. Pewnego dnia Mudi wychodząc z domu pocałował mnie w policzek na pożegnanie. Amme Bozorg widziała tę scenę i natychmiast wybuchnęła gniewem.

- Nie wolno ci się tak zachowywać w tym domu - zbeształa Mudiego - tu są dzieci!

Nie miało widać znaczenia, że najmłodsze „dziecko”, Fereszte, przygotowywało się właśnie do podjęcia studiów na Uniwersytecie Teherańskim.

Po kilku dniach, podczas których byliśmy zamknięci jak w klatce w ponurym domostwie Amme Bozorg, wyszliśmy wreszcie po zakupy. Mudi, Mahtab i ja czekaliśmy niecierpliwie na ten punkt naszego wakacyjnego programu. Nadarzała się sposobność nabycia egzotycznych upominków dla przyjaciół i rodziny w Stanach. Chcieliśmy też skorzystać z okazji i kupić w Teheranie po niskich cenach biżuterię i dywany dla siebie.

Przez kilka dni z rzędu Zohre albo Madżid podwozili nas rano do miasta. Każda taka wycieczka była przygodą, zapuszczaliśmy się do miasta, które przez cztery lata od rewolucji rozrosło się od pięciu do czternastu milionów mieszkańców. Uzyskanie dokładnego spisu ludności było niepodobieństwem. Kryzys gospodarczy wyludnił całe wsie, ich mieszkańcy uciekli do Teheranu, szukając

chleba i dachu nad głową. Tysiące, a może miliony uchodźców z Afganistanu również napłynęły do miasta.

Wszędzie, gdzie poszliśmy, otaczały nas całe stada ponurych,

27

zabieganych ludzi, zaferowanych swoimi sprawami. Żaden uśmiech nie gościł na tych twarzach. Zohre lub Madżid prowadzili samochód przez niesamowite korki uliczne, potęgowane jeszcze przez pieszych ryzykujących swoje nędzne życie, i dzieci biegające bezładnie po zatłoczonych jezdniach.

Wzdłuż ulic biegły szerokie rynsztoki pełne wody spływającej z gór. Ludność wykorzystywała te zasoby darmowej wody do rozmaitych celów. Był to ogólnie dostępny śmietnik, zmywający odpadki. Sklepikarze pługali w rynsztokach szmaty do podłogi. Jedni ludzie sikali do wody, inni myli w niej ręce. Na każdym rogu musieliśmy przeskakiwać przez brudny potok.

W całym mieście trwały prace budowlane, wykonywane ręcznie, bez ładu i składu. Szkielety tych budowli konstruowano nie z desek Kantówek, lecz z drewnianych bali o przekroju około dziesięciu centymetrów, odartych z kory, ale świeżych i często spaczonych. Bez troski o precyzję budowniczowie składali bale różnych rozmiarów, co przypominało niedopasowane budownictwo z klocków. Powstawały w ten sposób domostwa wątpliwej jakości i trwałości.

Miasto było jakby w stanie oblężenia, pod kontrolą uzbrojonych po zęby żołnierzy i groźnie wyglądającej policji. Spacer ulicami - wśród nabitych karabinów - przerażał. Wszędzie pełno było ludzi w ciemnoniebieskich mundurach policyjnych, lufy karabinów, gotowych do użycia przeciw tłoczącym się na chodnikach ludziom, celowały w nas. A gdyby tak karabin przypadkowo wypalił?

Wszechobecni byli też żołnierze rewolucji ubrani w panterki. Zatrzymywali samochody jak popadło, szukając kontrrewolucyjnej kontrabandy - narkotyków, książek krytycznych wobec szyckiej doktryny islamu lub kaset magnetofonowych amerykańskiej produkcji. Za te ostatnie groziło pół roku odsiadki.

Byli też złowieszczy pasdarowie, specjalny rodzaj policji, którzy grasowali w białych nisanach, małych półciężarówkach o napędzie na cztery koła. Każdy mógł przytoczyć jakąś mrozącą krew w żyłach historię na ich temat. Ajatollah stworzył tę formację jako odpowiedź na Savak, tajną policję szacha. Owiani ponurą legendą pasdarowie byli w gruncie rzeczy bandą ulicznych zbirów obdarzonych władzą.

Do ich zadań należało między innymi kontrolowanie, czy kobiety są ubrane jak należy. Nie byłam w stanie pojąć tej obsesji na punkcie przyzwoitości. Kobiety na oczach wszystkich karmiły dzieci piersią, niewiele je obchodziło, że pokazują biust, jeśli miały zakryte głowy, podbródki, ręce do przegubów i nogi do kostek.

W tym dziwnym społeczeństwie zaliczaliśmy się, jak powiedział mi Mudi, do elity. Cieszyliśmy się prestiżem szanowanej rodziny, która, w zestawieniu z przeciętnymi Irańczykami, była daleko bardziej obyta i kulturalna. Nawet Amrae Bozorg mogła stanowić wzór mądrości

28

i czystości w porównaniu z ludźmi z teheranskich ulic. Byliśmy też względnie zamożni.

Mudi powiedział mi, że bierze z sobą dwa tysiące dolarów w czekach podróжных, ale z pewnością przywiózł więcej i miał zamiar wydawać pieniądze lekką ręką. Mammala też radowało obrzucanie nas gotówką, chciał bowiem pokazać władzę i prestiż i zrewanżować się za wszystko, co zrobiliśmy dla niego w Ameryce.

Kurs dolara do riala był trudny do pojęcia. Banki płaciły około stu riali za dolara, ale Mudi powiedział, że kurs czarnorynkowy jest wyższy. Podejrzewałam, że dlatego wypuszczał się parokrotnie beze mnie na miasto. Miał tyle gotówki, że nie sposób było ją nosić ze sobą. Napchał pieniędzmi kieszenie ubrań wiszących w szafie w naszej sypialni.

Teraz zrozumiałam, dlaczego tylu ludzi na ulicy nosiło całe pliki banknotów, grubości parunastu centymetrów. Za wszystko trzeba było płacić dużą ilością gotówki. W Iranie nie ma kart kredytowych i nikt nie płaci czekami.

Oboje z Mudim nie umieliśmy sobie przedstawić względnej wartości tej waluty. Miło było poczuć się zamożnym; stosownie do tego robiliśmy zakupy. Kupowaliśmy ręcznie haftowane powłoczki na poduszki, drewniane ramy do obrazów wysadzane dwudziestodwukaratowym złotem, miniatury o zawitych wzorach. Mudi kupił dla Mahtab złote kolczyki z diamentami. Dla mnie kupił pierścionek, bransoletkę i diamentowe kolczyki. Kupił mi też specjalny podarunek - złoty naszyjnik wartości trzech tysięcy dolarów. Wiedziałam, że w Stanach będzie wart o wiele więcej.

Mahtab i mnie spodobały się długie, kolorowe suknie z Pakistanu. Mudi kupił je dla nas.

Wybraliśmy do dwóch pokoi komplety mebli na wysoki połysk, z masywnego drewna inkrustowanego listkami złota w zawile wzory i obite egzotyczną tkaniną. Było to wyposażenie jadalni oraz kanapa i fotele do salonu. Madżid powiedział, że załatwi transport do Ameryki drogą morską. Obawy moje trochę się rozwiały, kiedy Mudi zdecydował się na ten zakup. A więc planował powrót do domu.

Pewnego dnia, kiedy Zohre miała zabrać Mahtab i mnie oraz kilka kobiet z rodziny po zakupy, Mudi, demonstrując swą hojność, wręczył mi gruby zwitek banknotów, których nawet nie policzył. Tym razem wpadł mi w oko włoski gobelin o wymiarach półtora na dwa i pół metra. Wiedziałam, że wspaniale będzie się prezentować u nas na ścianie. Kosztował około dwudziestu tysięcy riali, czyli mniej więcej dwa tysiące dolarów. Pod koniec dnia zostało mi jeszcze dużo pieniędzy, które zatrzymałam na następne zakupy. Mudi tak hojnie szastał groszem, że byłam pewna, iż nie będzie o to pytał, a może nawet nie zauważy.

29

Prawie co wieczór odbywało się przyjęcie w domu kogoś z rozległej kolekcji krewnych Mudiego. Mahtab i ja byłyśmy zawsze kimś obcym, osobliwością. Wieczory te w najlepszym razie nudziły nas, ale dawały przynajmniej okazję do wyjścia z okropnego domu Amme Bozorg.

W krótkim czasie okazało się, że krewnych Mudiego można podzielić na dwie wyraźne kategorie. Połowa rodu żyła jak Amme Bozorg, obojętna na brud, pogardzając zachodnimi obyczajami i ideałami, przestrzegając gorliwie nakazów

fanatycznej szyickiej doktryny islamu w wydaniu ajatollaha Chomejniego. Inni byli nieco bardziej zwester-nizowani, otwarci na zmiany, bardziej kulturalni i przyjacielscy, i wyraźniej przestrzegający nakazów higieny. Chętniej mówili po angielsku i o wiele uprzejmiej odnosili się do Mahtab i do mnie.

Lubiliśmy odwiedzać Rezę i Essej. We własnym domu bratanek Mudiego zachowywał się przyjaźnie i był dla mnie miły. Także Essej okazywała, że mnie lubi. Korzystała z każdej okazji, żeby w konwersacji ze mną ćwiczyć swoją skromną angielszczyznę. Ona i kilkoro innych osób z rodziny pomagało mi przemóc w pewnym stopniu uczucie nudy i frustracji.

Ale rzadko dawano mi zapomnieć, że jako Amerykanka zaliczam się do wrogów. Na przykład pewnego wieczora zostaliśmy zaproszeni do kuzynki Mudiego, Fatimy Hakim. Niektóre Iranki przyjmują po ślubie nazwisko męża, ale większość pozostaje przy panieńskim nazwisku. Nie wiadomo, jak to było w przypadku Fatimy, bo pochodziła z rodziny Hakimów i wyszła za mąż za Hakima, blisko z nią spokrewnionego. Była ciepłą w obejściu kobietą pod pięćdziesiątkę, ośmielała się obdarzać mnie i Mahtab częstymi uśmiechami. Nie mówiła po angielsku, ale podczas kolacji, którą jedliśmy na podłodze w hallu jej domu, robiła wrażenie bardzo miłej i troskliwej osoby. Jej mąż, wyjątkowo wysoki jak na Irancyka, przez większość wieczoru odmawiał pod nosem modlitwy i recytował Koran, podczas gdy naokoło atakował nasze uszy znajomy już zgiełk czyniony przez rozgadaną rodzinę.

Syn Fatimy był dziwnym z wyglądu osobnikiem. Mógł mieć trzydzieści pięć lat, ale liczył zaledwie metr dwadzieścia, a rysy miał chłopięce. Zadawałam sobie pytanie, czy to' przykład jeszcze jednej z wielu genetycznych aberracji, których tyle widziałam w pożenionej między sobą rodzinie Mudiego.

Podczas kolacji to stworzenie o wyglądzie gnoma odezwało się do mnie przykładowym brytyjskim akcentem. Chociaż miło mi było usłyszeć język angielski, zachowanie rozmówcy mogło każdego wytrącić z równowagi. Jako człowiek pobożny, nie patrzył na mnie w ogóle, kiedy się do mnie zwracał.

Po kolacji powiedział do mnie, spoglądając gdzieś w kąt:

- Chcielibyśmy, żebyś poszła na górę.

Mudi, Mahtab i ja poszliśmy więc za nim na górę, gdzie ku naszemu zdziwieniu znaleźliśmy się w salonie umeblowanym amerykańskimi meblami. Półki z angielskimi książkami zajmowały całą ścianę. Syn Fatimy podprowadził mnie do niskiej kanapy, na której usiadłam. Mudi i Mahtab zajęli miejsca po bokach.

Kiedy moje oczy wpatrywały się w tak miło znajomy wystrój tego pokoju, weszli inni członkowie rodziny. Zajęli miejsca według hierarchii, najbardziej honorowe przypadło mężowi Fatimy.

Spojrzałam pytająco na Mudiego. Wzruszył ramionami, sam nie wiedząc, czego się spodziewać.

Mąż Fatimy powiedział coś po persku, a syn przetłumaczył, zwracając się do mnie:

- Czy lubisz prezydenta Reagana?

Zaskoczona, usiłując zachować się uprzejmie, wyjąkałam:

- No, tak.

Nastąpiła szybka seria kolejnych pytań:

- Lubiałś prezydenta Cartera? Co sądzisz o stosunkach Cartera z Iranem?

W tym momencie okazałam uległość, nie mając ochoty na kłopotliwą obronę swojego kraju w tej pułapce w irańskim saloniku.

- Nie chcę rozmawiać na takie tematy. Nigdy nie interesowałam się polityką.

Nie ustępowali.

- Dobrze - powiedział syn Fatimy - na pewno przed przybyciem tutaj słyszałaś masę rzeczy na temat dyskryminacji kobiet w Iranie. Teraz, jak jesteś na miejscu, rozumiesz, że to nieprawda, że to wszystko kłamstwa.

To stwierdzenie było zbyt absurdalne, żeby dało się przejść nad nim do porządku dziennego.

- Ależ ja widzę coś zupełnie innego - powiedziałam, gotowa wybuchnąć tyradą przeciwko dyskryminacji kobiet w Iranie. Otaczali mnie jednak wyniośli, pewni siebie mężczyźni przebierający paciorki różańca i mruczący pod nosem Allah

akbar, podczas gdy owinięte w czadory kobiety siedziały cicho, w poddańczej postawie.

- Nie chcę dalej o tym rozmawiać - powiedziałam niespodziewanie. - Nie będę odpowiadała na żadne pytania.

Odwróciłam się do Mudiego i mruknęłam:

- Lepiej zabierz mnie stąd. Nie mam ochoty robić tu za świadka. Mudi był w niewygodnym położeniu, rozdarty między powinnością

wobec żony a obowiązkiem okazania szacunku krewnym. Nic nie zrobił, a rozmowa potoczyła się na inny temat - o religii.

Syn Fatimy wyjął z półki książkę i napisał na niej dedykację: „Dla Betty. Dar z całego serca”.

Był to zbiór dydaktycznych przypowieści autorstwa imama Alego,

założyciela sekty szyitów. Wyjaśniono mi, że sam Mahomet wyznaczył Alego na swojego następcę, ale po śmierci proroka sekta sunnicka dorwała się do władzy, uzyskując kontrolę nad większością muzułmańskiego świata. Był to wciąż główny przedmiot sporu między sunnitami a szyitami.

Usiłowałam przyjąć podarunek tak uprzejmie, jak tylko mogłam, ale wieczór zakończył się dysonansem. Wypiliśmy herbatę i wyszliśmy. Posprzeczałam się z Mudim, kiedy znaleźliśmy się w naszej sypialni w domu Amme Bozorg.

- Zachowałeś się niegrzecznie - powiedział - powinnaś była się z nimi zgodzić.

- Ale to nieprawda.

- Ależ to prawda.

Ku mojemu zdziwieniu, własny mąż poparł linię szyitów, utrzymując, \ że kobiety mają w Iranie więcej praw niż ktokolwiek inny.

- Jesteś uprzedzona - mówił - w Iranie nikt nie uciska kobiet. Nie mogłam uwierzyć. Sam widział, że Iranki były niewolnicami

swoich mężów, widział, że na każdym kroku poddane były presji władzy i religii, czego przykładem był chociażby narzucony im przestarzały, a nawet niezdrowy strój.

Tej nocy poszliśmy do łóżka obrażeni na siebie.

Część rodziny namawiała nas na zwiedzenie jednego z pałaców byłego szacha. Kiedy znaleźliśmy się na miejscu, rozdzielono nas | według płci. Poszłam za innymi kobietami do przedpokoju, gdzie zrewidowano nas na okoliczność kontrabandy i sprawdzono, czy | jesteśmy odpowiednio ubrane. Miałam na sobie manto i rusari ofiaro- | wane mi przez Amme Bozorg, a także grube czarne pończochy. Nie było widać ani kawałka nogi, ale mimo to nie przeszłam przez sito inspekcji. Przy pomocy tłumaczki kontrolująca nas matrona poinfor- | mowała mnie, że muszę dodatkowo założyć długie spodnie.

Kiedy Mudi zajrzał, żeby zobaczyć, dlaczego się spóźniamy, wynalazł | argument. Wyjaśnił, że jestem cudzoziemką i nie mam przy sobie długich spodni. Okazało się to jednak niewystarczające, cała nasza grupa musiała więc zaczekać, aż żona Mammala, Nasserin, pójdzie do pobliskiego domu swoich rodziców i przyniesie stamtąd parę spodni.

Mudi twierdził, że nawet to nie było przejawem dyskryminacji.

- Jedna osoba chciała pokazać, jak bardzo jest ważna. W rzeczywistości-1 tości wszystko inaczej wygląda.

Kiedy w końcu obejrzeliliśmy pałac, poczułam się rozczarowana. | Wiele legendarnych skarbów zostało rozkradzionych przez rewolucyj- | nych maruderów spod znaku Chomejniego, niektóre z pozostawionych | na miejscu przedmiotów porozbijano na kawałki. Po szachu nie | pozostało ani śladu, ale przewodnik opisał nam niegodziwie zdobyte i bezużyteczne bogactwo władcy, a potem polecił popatrzeć na sąsiednie

32

slumsy i zastanowić się, jak szach mógł żyć w takim przepychu mając przed oczami śmietnik, w jakim wegetowały masy. Szliśmy przez puste sale, zaglądaliśmy do skąpo umeblowanych pokojów, a wokół szalały niedomyte i nie



dopilnowane dzieciaki. Główną atrakcją był, jak się wydawało, kiosk z religijną literaturą.

Chociaż to wszystko nie miało znaczenia, Mahtab i ja odliczyłyśmy jeszcze jeden dzień, jaki musiałyśmy spędzić w Iranie.

Czas włókł się tak powoli. Gorąco pragnęłyśmy wrócić wreszcie do Ameryki, do normalnego świata.

W połowie drugiego tygodnia naszego urlopu Reza i Essej stworzyli nam okazję zakosztowania domowej atmosfery. Jednym z najmielszych dla Rezy wspomnień, jakie wyniósł z wizyty u nas w Corpus Christi, było Święto Dziękczynienia.

Poprosił teraz, żebym przygotowała świątecznego indyka.

Ucieszyłam się. Dałam Rezie listę zakupów. Cały dzień upłynął mu na gromadzeniu potrzebnych produktów.

Indyk okazał się mizernym ptakiem, z głową, nogami i pierzem, oraz z wnętrznościami pozostawionymi w środku. Miałam co robić, i zajęło mi to cały dzień. Kuchnia Essej, chociaż zapuszczona, była oazą czystości w porównaniu z kuchnią Amme Bozorg i z zadowoleniem wzięłam się do roboty nad przygotowaniem amerykańskiego świątecznego dania.

Essej nie miała brytfanny. Nigdy w ogóle nie używała piekarnika swojej gazowej kuchenki. Musiałam podzielić indyka na części i piec je w garnkach. Pogoniłam do roboty Mudiego i Rezę, którzy uwijali się między kuchnią Essej a kuchnią Amme Bozorg, wykonując dokładne instrukcje.

Musiałam wymyślić wiele sybstitutów. Nie było szatwii do przybrania indyka, użyłam więc ostrego zioła marse i świeżego selera, znalezionego przez Rezę po wielogodzinnym poszukiwaniu w sklepach. Upiekłam coś w rodzaju pieczywa francuskiego do nadzienia. Kartofle, rzadki tutaj delikates, przetałam przez durszlak drewnianym tłuczkiem przypominającym pionek do kręgli, po ubiciu ich tymże tłuczkiem otrzymałam puree.

Różnice kulturowe komplikowały każdą czynność. Nie było kuchennych ścierek ani łapek do garnków, Irańczycy po prostu nie wiedzą o ich istnieniu. Nie było pergaminu ani folii - Irańczycy używają gazet. Chciałam upiec paję z jabłkami, ale nie miałam odpowiedniej blachy, zrobiłam więc szarlotkę na kruchym

spodzie. Temperaturę pieca ustalałam na oko, nie znałam się bowiem na stopniach w skali Celsjusza, jakie były na tarczy termometru w piecyku, a Essej, która nigdy go nie używała, też nie była zorientowana.

3 — Tylko razem z córką

33

!1

Zajął mi to cały dzień, ale w końcu spreparowałam indyka, który był suchy, łykowały i raczej bez smaku. Smakował jednak Rezie, Essej i ich gościom. Musiałam przyznać w duchu, że w porównaniu z brudnym i tłustym jedzeniem, jakie serwowano nam w Iranie, był to naprawdę świąteczny przysmak.

Mudi był ze mnie dumny.

Nadszedł wreszcie ostatni dzień naszych wakacji. Madżid namówił nas na spędzenie przedpołudnia w parku Mellat.

Było to przyjemne. Madżid jako jedyny z domowników Amme Bozorg dał się lubić, był jedyną w tym domu osobą z błyskiem życia w oku. Madżid i Zia - który wywarł na mnie takie wrażenie na lotnisku - byli współwłaścicielami wytwórni kosmetyków. Produkowała głównie dezodoranty, czego jednak nie dało się odczuć w domu Amme Bozorg.

Świat biznesu dawał Madżidowi tyle wolnego czasu, ile zapragnął, wykorzystywał ten czas na zabawy z liczną dzieciarnią całego rodu. Jako jedyny dorosły w tej rodzinie okazywał jakieś zainteresowanie dziećmi. Mahtab i ja nazywałyśmy go wesołym wujkiem.

Na spacer do parku Mellat poszło nas tylko czworo - Madżid, Mudi, Mahtab i ja. Było to najprzyjemniejsze zajęcie, jakie mogłam sobie wyobrazić na ten ostatni dzień dwutygodniowego pobytu, który - wydawało się - nigdy się nie skończy. Mahtab i ja liczyłyśmy godziny do wyjazdu.

Park był oazą zielonych trawników i kwiatowych klombów. Mahtab aż ze skóry wychodziła ciesząc się, że znalazła miejsce do zabawy. Razem z Madżidem pobiegli naprzód. Mudi i ja powoli szliśmy za nimi.

O ile przyjemniej byłoby tutaj, gdybym mogła się pozbyć tego idiotycznego palta i chustki. Nienawidziłam gorąca i wszechogarniającego odoru nie mytych ciał, który przenikał nawet ten rajski ogród. Jakże odrażający był dla mnie Iran!

Nagle zdałam sobie sprawę, że Mudi ścisnął mnie za rękę. Naruszył szyckie obyczaje. Miał zamyśloną i smutną twarz.

- Przed naszym wyjazdem z domu stało się coś - powiedział. - Ty o tym nie wiesz.

- Co takiego?

- Wylali mnie z pracy. Cofnęłam rękę podejrzewając podstęp, wyczuwając zagrożenie, moje

obawy wróciły.

- Dlaczego? - zapytałam.

- Klinika chciała zatrudnić kogoś na moje miejsce za o wiele mniejszą pensję.

- Kłamiesz - powiedziałam ze złością - to nieprawda.

- To prawda. Usiedliśmy na trawie i kontynuowaliśmy rozmowę. Zobaczyłam na

i

34

twarzy Mudiego wyraz głębokiej depresji, która prześladowała go przez ostatnie dwa lata. W młodości opuścił ojczysty kraj, żeby szukać szczęścia na Zachodzie. Ciężko pracował, przebijał się przez szkołę, uzyskał w końcu dyplom osteopaty i zrobił dodatkowo specjalizację z anestezjologii. Razem zorganizowaliśmy mu praktykę, najpierw w Corpus Christi, a potem w Alpenie, małym miasteczku w północnej części dolnego półwyspu w stanie Michigan. Dobrze nam się żyło, zanim zaczęły się kłopoty. Wiele z nich spowodowaliśmy sami, chociaż Mudi zwykle temu zaprzeczał. Część trudności wynikała z przesądów rasowych, przyczyną innych był nasz pech. Bez względu na powód, dochody Mudiego drastycznie spadły, a jego zawodowy prestiż został podkopany. Musieliśmy wynieść się z Alpeny, którą tak lubiliśmy.

Ponad rok Mudi pracował w klinice przy Czternastej Ulicy w Detroit. Przyjął tę posadę dopiero po moich namowach. A teraz i to najwyraźniej przepadło.

Przyszłość nie malowała się jednak ponuro. Siedząc w parku, ocierając łzy, próbowałam pocieszać Mudiego.

- To nie ma znaczenia - mówiłam - dostaniesz nową posadę, a ja wrócę do pracy.

Mudi był niepokieszony. Wzrok miał tępy i pusty, jak tylu innych Irańczyków.

Późnym popołudniem zaczęłyśmy z Mahtab fascynującą przygodę - pakowanie. Powrót do domu był jedyną rzeczą, jakiej pragnęłyśmy najbardziej na świecie. Jeszcze nigdy znikąd nie pragnęłam tak bardzo wyjechać. Jeszcze tylko jedna irańska kolacja - mówiłam do siebie. Jeszcze tylko jeden wieczór wśród ludzi, których języka i obyczajów nie mogłam zrozumieć.

Musiłyśmy znaleźć w bagażu miejsce na wszystkie skarby, które zgromadziliśmy, ale było to przyjemne zadanie. Oczy Mahtab błyszczały ze szczęścia. Wiedziała, że już jutro razem ze swoim królikiem będzie siedziała w samolocie, przypięta pasem do siedzenia, w drodze do domu.

Częściowo wczuwałam się w położenie Mudiego. Wiedział, że odstręczał mnie jego kraj i jego rodzina, i nie widziałam powodu, żeby ten fakt jeszcze podkreślać przez manifestowanie radości z końca tych wakacji. Chciałam jednak, żeby też przygotował się do wyjazdu.

Rozglądając się po naszej małej, skromnie umeblowanej sypialni, żeby zobaczyć, czy czegoś nie przeoczyłam, zauważyłam, że Mudi siedzi na łóżku pogrążony w myślach.

- Rusz się - powiedziałam - spakujmy razem nasze rzeczy. Popatrzyłam na walizkę pełną leków, które przywiózł w darze dla stowarzyszenia lekarzy.

- Co masz zamiar z tym zrobić? - zapytałam.

35

- Nie wiem.

- Dlaczego nie dasz ich Hosejnowi?

Najstarszy syn Baba Hadździ i Amme Bozorg był nieźle prosperującym aptekarzem.

Gdzieś daleko zadzwonił telefon, ale ja ledwo sobie zdałam z tego sprawę. Chciałam skończyć pakowanie.

- Nie zdecydowałem jeszcze, co z tym zrobić - powiedział Mudi Głos miał cichy, chłodny. Był zamyślony.

Zanim podjęliśmy rozmowę, Mudiego zawołano do telefonu, a ja poszłam za nim do kuchni. Dzwonił Madżid, który pojechał potwierdzić naszą rezerwację. Rozmawiali przez parę minut po persku, potem Mudi powiedział po angielsku.

- Lepiej będzie, jak sam powiesz to Betty.

Kiedy brałam słuchawkę telefoniczną z rąk męża, przejął mnie dreszcz - zrozumiałam. Nagle wszystko zaczęło się układać w przerażającej, mozaikę. Niesamowita radość Mudiego ze spotkania z rodziną i jego niewątpliwy entuzjizm dla islamskiej rewolucji. Pomyślałam, jak wydawał nasze pieniądze na prawo i lewo. Co z meblami, które kupiliśmy? Przypomniałam sobie, że Madżid do tej pory nic nie zrobił, żeby je wysłać do Ameryki. Czy przez przypadek Madżid zniknął z Mahtab w parku dziś rano, żebyśmy mogli z Mudim porozmawiać sam na sam? Wróciłam myślami do potajemnych rozmów Mudiego z Mammalem odbywanych po persku, kiedy Mammal mieszkał u nas w Michigan. Podejrzewałam już wtedy, że spiskowali przeciwko mnie. Teraz zdałam sobie sprawę, że dzieje się coś złego, zanim jeszcze Madżid powiedział mi przez telefon:

- Nie będziecie mogli jutro wyjechać.

Czyniąc wysiłki, żeby w moim głosie nie było znać paniki, zapytałam:

- Co masz na myśli mówiąc, że nie możemy jutro wyjechać?

- Musicie przedstawić paszporty na lotnisku trzy dni naprzód, żeby uzyskać zgodę na wyjazd. Nie złożyliście ich w porę.

- Nie wiedziałam o tym. To nie mój obowiązek.

- Nie możecie więc jutro jechać.

W głosie Madżida wyczułam protekcjonalny ton, jakby chciał powiedzieć: „wy, kobiety - zwłaszcza wy, kobiety z Zachodu - nigdy nie zrozumiecie, jak naprawdę działa ten świat”. Ale było też coś jeszcze, zimna precyzja, która robiła wrażenie przeciwicznej. Madżid przestał mi się podobać.

- Na który najwcześniejszy lot możemy się zabrać!? - krzyknęłam w słuchawkę.

- Nie wiem. Będę musiał sprawdzić.

Odkładając słuchawkę czułam, jakby odplynęła ze mnie cała krew. Cała energia mnie opuściła. Czułam, że chodzi o coś więcej niż biurokratyczny problem z paszportami.

36

Zaciągnęłam Mudiego do sypialni.

- Co się dzieje? - zapytałam.

- Nic takiego, polecimy następnym samolotem.

- Dlaczego nie załatwiłeś z paszportami?

- To był błąd. Nikt o tym nie pomyślał.

Byłam bliska paniki. Nie chciałam stracić panowania nad sobą, ale czułam, że cała zaczynam się trząść. Mój głos przybrał wysoki i ostry ton; drżał, nie mogłam go opanować.

- Nie wierzę ci! - krzyknęłam. - Kłamiesz! Bierz paszporty, bierz nasze rzeczy. Jedziemy na lotnisko. Powiemy im, że nie wiedzieliśmy o trzydniowym terminie, może pozwolą nam wsiąść do samolotu. Jeśli nie, zostaniemy tam tak długo, aż będzie można odlecieć.

Mudi przez chwilę milczał. Potem głęboko westchnął. Nasze małżeństwo trwało siedem lat, przez ten czas przeważnie unikaliśmy konfrontacji. Oboje umiejętnie potrafiliśmy grać na zwłokę, kiedy w grę wchodziły poważne problemy naszego wspólnego życia.

Teraz Mudi wiedział, że nie może dłużej zwlekać, a ja z góry wiedziałam, co ma mi do powiedzenia.

Usiadł koło mnie na łóżku i próbował objąć mnie, ale się odsunęłam. Mówił spokojnie i zdecydowanie, z narastającym poczuciem siły w głosie:

- Naprawdę nie wiem, jak ci to powiedzieć. Nie jedziemy do domu. Zostajemy tutaj.

Chociaż od paru minut spodziewałam się takiego wyniku tej rozmowy, nie mogłam opanować gniewu, słysząc w końcu te słowa. Zerwałam się na równe nogi.

- Oszust! Oszust! Oszust! - krzyknęłam. - Jak mogłeś mi to zrobić? Wiesz, że przyleciałam tu z jednego tylko powodu. Musisz mnie puścić do domu!

Mudi oczywiście wiedział, ale wcale go to nie obchodziło. Mahtab obserwowała tę scenę, niezdolna zrozumieć co oznacza ponura zmiana w zachowaniu ojca.

Mudi warknął:

- Nie muszę cię puszczać do domu. To ty musisz robić wszystko, co ci każę, i zostajesz tutaj.

Złapał mnie za ramiona i pchnął na łóżko. Jego głos brzmiał bezczelnie, przechodził prawie w śmiech, jak gdyby mój mąż był triumfującym zwycięzcą w długiej, choć nie wypowiedzianej wojnie.

- Zostajesz tutaj na całą resztę życia. Rozumiesz? Nie wyjedziesz z Iranu. Zostaniesz tu aż do śmierci.

Leżałam na łóżku oszołomiona, nic nie mówiąc, łzy spływały mi po twarzy, słów Mudiego słuchałam, jakby dobiegały gdzieś z dalekiego końca tunelu.

Mahtab szlochając przytuliła się do swojego królika. Zimna, ohydna prawda ogłuszyła nas i zdruzgotała. Czy to dzieje się naprawdę? Czyżbyśmy były z Mahtab więźniarkami? Zakładniczkami?

37

Niewolnicami tego przewrotnego obcego człowieka, który był kiedyś kochającym mężem i ojcem?

Musi być jakieś wyjście z tego szaleństwa. W przypiływie słusznego oburzenia zdałam sobie sprawę, że Allah, o ironio, jest po mojej stronie.

Łzy gniewu i rozpacz płynęły mi z oczu, kiedy wybiegłam z sypialni i wpadłam na Amme Bozorg i kilkoro innych członków rodziny, którzy, jak zwykle, kręcili się w pobliżu.

- Jesteście bandą oszustów! - krzyknęłam.

Nie wydawało się, żeby ktokolwiek był zainteresowany lub zatroskany kłopotami amerykańskiej żony Mudiego. Stałam patrząc na ich wrogie twarze; czułam się śmieszna i bezsilna.

Ciekło mi z nosa. Łzy spływały po policzkach. Nie miałam chusteczki ani klineksu, więc jak ci z rodziny Mudiego wytarłam nos w chustę.

- Chcę natychmiast rozmawiać z całą rodziną!

Moje żądanie jakoś do nich dotarło, powiadomiono krewnych, żeby się zebrali.

Kilka godzin spędziłam z Mahtab w sypialni płacząc, przemagając mdłości, rozdygotana między gniewem a paraliżem. Kiedy Mudi zażądał, żebym oddała mu książeczkę czekową, pokornie mu ją wręczyłam.

- A gdzie są pozostałe? - zapytał. Mieliśmy trzy konta.

- Przywiozłam tylko jedną.

To wyjaśnienie zadowoliło go i nie zadał sobie trudu, żeby przeszukać moją torebkę.

Zostawił mnie samą. Zebrałam się jakoś w garść i zaczęłam planować linię obrony.

Późnym wieczorem, kiedy Baba Hadździ wrócił z pracy i zjadł kolację, a cała rodzina zebrała się na moje wezwanie, wkroczyłam do hallu upewniwszy się, że jestem zakryta jak należy i godnie się trzymam. Obmyśliłam sobie strategię. Odwołam się do religijnych zasad, których przykład dawał Baba Hadździ. Zło i dobro były dlań wyraźnymi pojęciami.

- Reza - powiedziałam siląc się, żeby mój głos brzmiał spokojnie - przetłumacz Baba Hadździ moje słowa.



Słyszając swoje imię stary człowiek podniósł na chwilę wzrok, a potem jak zawsze opuścił głowę, nie chcąc w swej pobożności patrzeć prosto na mnie.

Mając nadzieję, że moje słowa są dokładnie tłumaczone na perski, przystąpiłam do rozpaczliwej obrony. Powiedziałam Baba Hadździ, że nie chciałam przyjeżdżać do Iranu, mając świadomość, że z chwilą przybycia do tego kraju wyrzekam się podstawowych praw, jakie ma każda amerykańska kobieta. Tego się właśnie obawiałam wiedząc, że dopóki jestem w Iranie, Mudi jest moim panem i władcą.

38

- Dlaczego więc przyjechałam? - zadałam pytanie retoryczne. Przyjechałam, żeby zobaczyć rodzinę Mudiego i pokazać im Ma-

htab. Był jeszcze inny, głębszy i przerażający powód mojego przyjazdu, ale nie mogłam, nie miałam odwagi, ująć tego w słowa i zawierzyć rodzinie Mudiego. Zamiast tego opowiedziałam im o krzywoprzysięstwie mojego męża.

W Detroit, kiedy przedstawiłam Mudiemu swoje obawy, że mógłby zatrzymać mnie w Iranie, zareagował w jedyny sposób, który mógł potwierdzić jego dobre intencje.

- Mudi przysiągł na Koran, że nie będzie próbował zatrzymać mnie tutaj wbrew mojej woli - powiedziałam, zastanawiając się, co z tego Baba Hadździ usłyszy i zrozumie. - Jesteś człowiekiem pobożnym. Jak możesz pozwolić, żeby mi coś takiego zrobił po tym, jak przysiągł na Koran?

Mudi mówił krótko. Potwierdził prawdziwość moich słów o przysiędze, jaką złożył na Koran.

- Ale jestem usprawiedliwiony. Bóg mi wybaczy, bo gdybym tego nie zrobił, ona by tu nigdy nie przyjechała.

Baba Hadździ podjął szybką decyzję nie zostawiając miejsca na odwołanie. Reza przetłumaczył:

- Będziemy spełniać wszystko, czego da' idżan sobie zażyczy. Poczułam wręcz namacalnie, że otacza mnie zło. Zareagowałam

ostro, choć wiedziałam, że kłótnia na nic się nie zda.

- Jesteście bandą oszustów! Wszyscy o tym dawno wiedzieliście. To była pułapka. Planowaliście to od miesięcy. Nienawidzę was wszystkich!

Zanosłam się płaczem wykrzykując, co miałam do powiedzenia.

- Policzę się kiedyś z wami! Zrobiliście to pod osłoną autorytetu islamu, bo dobrze wiedzieliście, że będę go szanować. Kiedyś za to zapłacicie, Bóg was ukarze!

Cała rodzina sprawiała wrażenie, że nie obchodzi jej mój los. Wymieniali między sobą porozumiewawcze spojrzenia, wyraźnie zadowoleni, że Mudi pokazał, jaką ma władzę nad tą amerykańską kobietą.

39

3.

Mahtab i ja płakałyśmy przez kilka godzin, zanim sen zmorzył moje wyczerpane dziecko. Ja nie mogłam usnąć przez całą noc. W głowie waliło mi jak młotem, czułam wstręt do mężczyzny, który spał z drugiej strony, i bałam się go.

Mahtab leżąca między nami szlochała przez sen, aż serce mi się krajało. Jak Mudi mógł tak cicho spać obok swojej maleńkiej, zrozpaczonej córeczki? Jak mógł jej coś takiego zrobić?

Ja przynajmniej dokonałam wyboru, ale biedna Mahtab nie miała nic do powiedzenia. Była niewinnym czteroletnim stworzeniem, schwytanym w pułapkę okrutnych realiów tego niecodziennego, pełnego problemów małżeństwa, które jakimś trafem - do tej pory nie pojmowałam jak - zmieniło się w melodramat, boczną scenę niezgłębionego spektaklu wielkich wydarzeń politycznych.

Przez całą noc czyniłam sobie wyrzuty: jak mogłam ją tutaj przywieźć?

Ale znałam odpowiedź: jak mogłabym jej nie przywieźć?

Mogło się to wydawać dziwne, ale jedynym znanym mi sposobem, żeby raz na zawsze utrzymać Mahtab z dala od Iranu, było przywiezienie jej tutaj na jakiś czas. Teraz nawet ten rozpaczliwy wybieg zakończył się fiaskiem.

Nigdy nie interesowałam się polityką ani międzynarodowymi intrygami. Pragnęłam przede wszystkim szczęścia i harmonii dla swojej rodziny. Ale tej nocy mój umysł nawiedziło tysiące wspomnień i wydawało się, że nawet te przebłyśki radości, których doświadczyliśmy, były zawsze napiętnowane bólem.

To za sprawą bólu spotkaliśmy się z Mudim ponad dziesięć lat temu. Ból miał swój początek po lewej stronie głowy i szybko rozprzestrzenił się na całe ciało. Migreny zaczęły mnie dręczyć w lutym 1974 roku. Towarzyszyły im zawroty głowy, mdłości oraz ogólne osłabienie. Nawet

40

otwarcie oczu sprawiało mi straszny ból. Nawet niewielki hałas wywoływał ataki bólu w karku i kręgosłupie. Tylko silne lekarstwa sprowadzały sen.

Cierpienia te były szczególnie kłopotliwe, bo właśnie uwierzyłam, że w wieku dwudziestu ośmiu lat stałam się nareszcie gotowa do rozpoczęcia dojrzałego życia na własną rękę. Za mąż wyszłam lekkomyślnie, zaraz po ukończeniu szkoły wyższej, i znalazłam się w związku pozbawionym miłości, który zakończył się długim i trudnym procesem rozwodowym. Teraz jednak wkraczałam w etap stabilizacji i szczęścia, co było bezpośrednim rezultatem moich własnych wysiłków. Posada w ITT Hancock, w małym miasteczku Elsie w stanie Michigan, otwierała perspektywy obiecującej kariery w dziedzinie zarządzania. Z początku zostałam zatrudniona jako urzędniczka od rachunków na nocnej zmianie, ale dopracowałam się swojej obecnej pozycji - odpowiadałam za cały personel biurowy, składając sprawozdania bezpośrednio dyrektorowi fabryki. Moja pensja wystarczała, żeby zapewnić wygodny, choć skromny dom dla mnie i synów, Joego i Johna.

Zajęłam się przynoszącą satysfakcję działalnością społeczną, pomagając miejscowemu Stowarzyszeniu Pomocy Chorym na Zanik Mięśni w koordynowaniu rocznych planów, których ukoronowaniem był udział w telewizyjnym programie Jerry'ego Lewisa. W ubiegłym roku wystąpiłam w

telewizji w Lansing z okazji Święta Pracy. Czułam się dobrze w swojej roli. Napawałam się nowo odkrytą w sobie zdolnością do samodzielnego życia.

Wszystko wskazywało, że robię postępy, że realizuję może niewyraźnie sprecyzowane lecz prawdziwie ambitne cele, które wytyczyłam sobie jako nastolatka. Otaczali mnie robotnicy, kobiety i mężczyźni, zadowoleni z życiowych osiągnięć, które mnie wydawały się skromne. Ja chciałam od życia czegoś więcej - może dyplomu wyższej uczelni, może kariery sądowego sprawozdawcy, może własnego przedsiębiorstwa, może... Kto wie? Pragnęłam czegoś więcej niż monotonne bytowanie na wzór ludzi, jacy żyli wokół mnie.

Ale zaczęły się bóle głowy. Przez wiele dni chciałam tylko jednego - uwolnić się od nieszczęsnego, otępiającego bólu.

Rozpaczliwie szukając pomocy, poszłam do doktora Rogera Morrisa, który od lat był lekarzem naszej rodziny. Tego samego dnia zapisał mnie do szpitala w Carson City, jakieś pół godziny jazdy samochodem na zachód od Elsie. Był to ośrodek osteopatii.

Leżałam w łóżku w osobnym pokoju, przy zaciągniętych zasłonach i zgaszonych światłach, zwinięta w kłębek jak embrion, słuchając z niedowierzaniem lekarzy, którzy dopuszczali możliwość guza na mózgu.

Rodzice przyjechali z Bannister, żeby mnie odwiedzić. Przyprawdzili do pokoju Joego i Johna, choć chłopcy jako małoletni nie mieli prawa wstępu na oddział. Ucieszyłam się na widok synów, ale przestraszyło

41

mnie to naruszenie szpitalnych przepisów regulujących wizyty. Kiedy następnego dnia zajrzał do mnie pastor, powiedziałam mu, że chcę spisać testament.

Mój przypadek był niecodzienny. Lekarze zalecili codzienne zabiegi fizjoterapeutyczne, po których następowała terapia manualna. Potem odesłano mnie do mojego ciemnego, spokojnego pokoju. Terapia ta, polegająca na oddziaływaniu na kości i mięśnie, stanowi jedną z głównych różnic między osteopatią a - lepiej znanym - leczeniem allopatycz-nym stosowanym przez lekarzy medycyny. Dyplomowany lekarz osteo-pata jest kształcony tak samo,

jak każdy lekarz medycyny i takie same warunki musi spełnić, żeby móc wykonywać zawód, ale istnieje wyraźna różnica w podejściu do pacjenta. Dyplomowani osteopaci mogą praktykować we wszystkich pięćdziesięciu stanach. Stosują te same nowoczesne metody co allopaci - anestezjolodzy, chirurdzy, położnicy, pediatrzy i neurologi, że wymienię tylko niektóre specjalności. Lekarz osteopata odznacza się jednak holistycznym podejściem do medycyny, leczy całe ciało.

Terapia manualna ma na celu usuwanie bólu w naturalny sposób przez stymulowanie dotkniętych chorobą zakończeń nerwowych i łagodzenie napięcia bolących mięśni. Dla mnie okazała się skuteczna w przeszłości, łagodząc rozmaite dolegliwości. Miałam nadzieję, że oddziała również teraz, kiedy rozpaczliwie szukałam ulgi.

Cierpiałam tak, że nie zwróciłam uwagi na lekarza, który zjawił się na pierwszy zabieg. Leżałam twarzą w dół na twardej wyściełanej leżance, poddając się jego rękom, które uciskały mi mięśnie na plecach. Dotyk był delikatny, zachowanie lekarza pełne kurtuazji.

Pomógł mi przewrócić się na plecy, żeby powtórzyć zabieg na mięśniach szyi i ramion. Ostatnim punktem zabiegu było szybkie, ostrożne skręcenie szyi, przy którym słychać było lekki trzask. Uwalniało to jak gdyby gazy z kręgosłupa i przynosiło natychmiastową ulgę.

Leżąc na plecach przyjrzałam się dokładniej lekarzowi. Wyglądał na starszego ode mnie o jakieś sześć lat. Był więc starszy od większości kolegów w szpitalu. Zaczynał tracić włosy. Dojrzałość była jego atutem, stwarzała wokół niego atmosferę autorytetu. Nie był szczególnie przystojny, ale silna, krępa budowa ciała mogła się podobać. Nadające mu wygląd uczonego okulary przesłaniały twarz o nieco arabskich rysach. Jeśli nie liczyć śladu obcego akcentu, jego zachowanie i osobowość były całkiem amerykańskie.

Nazywał się Sajjid Bozorg Mahmudi, ale inni lekarze nazywali go po prostu Mudi.

Zabiegi doktora Mahmudi były jasnymi chwilami mojego pobytu w szpitalu. Na jakiś czas łagodziły ból, a sama obecność lekarza działała kojąco. Był

najtroskliwszym lekarzem, z jakim kiedykolwiek miałam do czynienia.  
Codziennie widywałam go podczas zabiegów, ale

42

często w ciągu dnia także zaglądał, żeby zapytać, jak się czuję. Zachodził też wieczorem, żeby powiedzieć dobranoc.

Całe serie badań wykluczyły możliwość guza mózgu. Lekarze doszli do wniosku, że cierpię na ostrą formę migreny, która powinna w końcu sama przejść. Diagnoza była nieprecyzyjna, ale okazała się prawidłowa, bo po wielu tygodniach ból zaczął ustępować. Wszystko to nie miało następstw fizycznych, lecz dramatycznie zmieniło przebieg mojego życia.

Ostatniego dnia mojego pobytu w szpitalu dr Mahmudi w środku zabiegu powiedział:

- Lubię pani perfumy. Kojarzę ten miły zapach z pani osobą. Mówił o perfumach „Charlie”, których zawsze używałam.
- Kiedy wracam do domu, czuję wciąż ten zapach na rękach. Zapytał, czy może do mnie zadzwonić, kiedy będę w domu, żeby zapytać jak się czuję.
- Oczywiście - powiedziałam.

Zapisał sobie mój adres i numer telefonu.

Po zakończeniu zabiegu spokojnie i delikatnie pochylił się nade mną i złożył pocałunek na moich wargach. Skąd mogłam wiedzieć, dokąd mnie ten pocałunek zaprowadzi?

Mudi nie lubił mówić o Iranie. „Nigdy nie chciałbym tam wrócić - powiedział kiedyś - Zmieniłem się. Rodzina już mnie nie rozumie. Po prostu nie pasuję do nich”.

Chociaż Mudi lubił amerykański styl życia, krytykował szacha za zamerykanizowanie Iranu. Irytowało go zawsze, że w Iranie nie sprzedają już na każdym rogu czelokebabów - irańskich przekąsek z baraniny na kupce ryżu.

Zamiast tego pienieł się wszędzie Mac Donald i inne zachodnie specjalności. Nie był to już ten kraj, w którym Mudi się wychował.

Urodził się w Szusztar, w południowozachodnim Iranie, ale po śmierci rodziców przeniósł się do domu siostry w Choromszahr, w tej samej prowincji. Iran jest typowym krajem Trzeciego Świata, gdzie występują wyraźne różnice między klasami wyższymi a niższymi. Gdyby Mudi przyszedł na świat w uboższej rodzinie, żyłby jak niezliczona biedota teherańska, w lepiance skleconej z budowlanych odpadów, żebrząc o byle jakie zajęcie i jałmużnę. Ale jego rodzinę Allah pobłogosławił pieniędzmi i splendorem, zaraz po ukończeniu gimnazjum dostał więc finansowe wsparcie i mógł szukać swego przeznaczenia. On też miał swoje ambicje.

Mnóstwo dobrze sytuowanych młodych Irańczyków podróżowało wtedy po całym świecie. Rząd szacha popierał studia za granicą spodziewając się, że przyspieszy to westernizację kraju. W ostatecznym rachunku strategia ta obróciła się przeciw jej twórcom. Irańczycy

43

okazali się odporni na wpływy kultury zachodniej. Nawet ci, którzy przez .dziesiątki lat mieszkali w Ameryce, byli często wyizolowani, utrzymywali kontakty głównie z innymi irańskimi emigrantami. Zachowali islamską wiarę i perskie obyczaje. Spotkałam kiedyś Irankę, która mieszkała w Stanach od dwudziestu lat i nie miała pojęcia, co to jest ścierka do naczyń. Kiedy jej pokazałam, uznała to za wspaniały wynalazek.

Awangarda irańskich studentów przyswoiła sobie natomiast inną rzecz: przekonanie, że lud może mieć coś do powiedzenia na temat określenia formy rządów; ten rozwój świadomości politycznej doprowadził w końcu do upadku szacha.

Losy Mudiego były w pewnym sensie nietypowe. Przez prawie dwadzieścia lat przyswoił sobie wiele zwyczajów zachodniego społeczeństwa i - w odróżnieniu od swoich rodaków - wziął rozwód z polityką. Odnalazł świat bardzo odległy od świata swojego dzieciństwa; świat, który oferował mu więcej dostatku, kultury i elementarnego poszanowania ludzkiej godności niż irańskie społeczeństwo. Mudi naprawdę chciał się stać człowiekiem Zachodu.

Najpierw pojechał do Londynu, gdzie przez dwa lata uczył się angielskiego. Po przybyciu do Ameryki 11 lipca 1961 roku, ze studencką wizą, spełnił niezbędne wymagania i pierwszy dyplom uzyskał na stanowym uniwersytecie w północnowschodnim Missouri. Przez kilka lat studiował matematykę. Będąc człowiekiem inteligentnym, który dawał sobie radę z każdym przedmiotem, czuł, że z powodu tak wielostronnych zainteresowań myśli o nowych sukcesach nie daje mu spokoju. Zafrapowała go inżynieria. Wrócił na uczelnię, a potem podjął pracę w firmie kierowanej przez tureckiego biznesmena. Firma, która była podwykonawcą NASA, pracowała na potrzeby programu Apollo - podróży na Księżyc. Mudi często z dumą mawiał, iż przyczynił się do tego, że człowiek stanął na Księżycu.

Po przekroczeniu trzydziestki znowu poczuł niepokój. Tym razem jego uwagę przykuł zawód najbardziej poważany przez jego rodaków, zawód obojga jego zmarłych rodziców. Postanowił zostać lekarzem. Pomimo wspaniałych świadectw, kilka uczelni medycznych odrzuciło z powodu wieku jego podania o przyjęcie. W końcu dostał się do College of Osteopathic Medicine w Kansas City.

Kiedy zaczęła się nasza bliższa znajomość, kończył właśnie praktykę w Carson City i miał rozpocząć trzyletnią specjalizację w szpitalu osteopatycznym w Detroit, gdzie chciał zostać anestezjologiem.

- Powinieneś specjalizować się w medycynie ogólnej - powiedziałam mu - masz takie dobre podejście do pacjentów.

- Anestezjologia przynosi pieniądze - odparł Mudi, dowodząc, że naprawdę był zamerykanizowany. Miał już zieloną kartę umożliwiającą mu wykonywanie w Stanach zawodu lekarza i torującą drogę do ubiegania się o amerykańskie obywatelstwo.

44

Wyglądało na to, że chce zupełnie zerwać więzy z rodziną. Rzadko pisał do krewnych, nawet do swojej siostry Amme Bozorg, która przeniosła się z Choremszahru do Teheranu. Ten brak kontaktu z rodziną trochę mnie smucił. Oczywiście, sama miałam problemy dotyczące stosunków w mojej własnej rodzinie, ale nadal mocno wierzyłam w znaczenie naturalnych więzi.



- Powinieneś przynajmniej do nich dzwonić - powiedziałam. - Jesteś lekarzem, stać cię na telefon do Teheranu raz w miesiącu.

To ja zachęciłam go, żeby odwiedził rodzinny kraj. Po zakończeniu w lipcu swojej praktyki pojechał, niechętnie, na dwa tygodnie do Amme Bozorg. Stamtąd pisał do mnie codziennie, relacjonując, jak bardzo za mną tęskni. Sama byłam zaskoczona, że i ja tak bardzo tęsknię za nim. To wtedy zdałam sobie sprawę, że zaczynam go kochać.

Byliśmy ze sobą przez trzy lata praktyki Mudiego. Zalecał się do mnie ze wszystkimi szukanami. Zawsze miał słodczyce dla Joego i Johna, a dla mnie kwiaty, biżuterię lub perfumy.

Prezenty, jakie mi dawał, miały w sobie coś osobistego. Mój pierwszy mąż nie uznawał świąt, ale Mudi pamiętał nawet o najdrobniejszych okazjach, często sam przygotowywał odpowiednie karty z życzeniami. Na urodziny podarował mi kunsztownie wykonaną pozytywkę ozdobioną figurką matki piastującej dziecko w ramionach.

- Dlatego, że jesteś taką dobrą matką - powiedział. Używałam jej usypiając Johna melodią „Kołysanki” Brahmsa.

Moje życie było usłane różami.

Oznajmiłam jednak wyraźnie, że nie mam zamiaru ponownie wychodzić za mąż.

- Chcę być wolna - powiedziałam mu. - Nie chcę być od nikogo zależna.

I on wtedy czuł to samo.

Praktykę w szpitalu w Detroit Mudi łączył z dodatkowymi dyżurami, jako lekarz ogólny w klinice przy Czternastej Ulicy. Tymczasem ja w Elsie przykładając się pilniej niż kiedykolwiek do roli głowy domu - swojego własnego domu. Zaczęło się też spełniać moje wieloletnie marzenie - zapisałam się na kursy organizowane przez filię Lansing Community College w Owosso. Studiując zarządzanie przemysłem, zbierałam całe kolekcje piątek.

Kiedy Mudi mógł się wyrwać na weekend, jechał trzy i pół godziny samochodem, żeby zobaczyć mnie i chłopców. Zawsze przywoził mnóstwo

prezentów. W te weekendy, kiedy musiał być pod telefonem, ja jechałam do Detroit i zostawałam u niego.

Pocałunek Mudiiego sprawiał, że zapominałam o wszystkim. Był czułym kochankiem, troszczył się o moją przyjemność tak samo, jak

45

o swoją. Nigdy przedtem nie doświadczałam tak silnego pociągu fizycznego. Nie mogliśmy się wprost sobą nacieszyć. Całą noc spaliśmy objęci.

Nasze życie, pełne napięć, toczyło się jednak błogo. Mudi dobrze zastępował ojca moim synom. Zabieraliśmy Joego i Johna do ZOO, na pikniki, a także często na święta różnych grup narodowościowych w Detroit, gdzie poznawaliśmy wschodnią kulturę.

Mudi nauczył mnie gotować na sposób muzułmański. Główne składniki tej kuchni to baranina, ryż z egzotycznymi sosami oraz masa świeżych warzyw i owoców. Moi synowie, znajomi i ja sama zasmakowaliśmy w tym jedzeniu.

Zaczęłam bezwiednie dokładać starań, żeby zrobić Mudiemu przyjemność. Lubiłam sprzątać u niego, gotować, robić mu zakupy. Jego kawalerskie mieszkanie aż się prosiło o kobiecą rękę.

Mudi miał mało własnych przyjaciół, ale moi wkrótce się z nim zaprzyjaźnili. Miał całą kolekcję książek z dowcipami i opisami magicznych sztuczek; korzystając z tych źródeł stawał się, w sposób naturalny i nienatrętny, duszą wszystkich towarzyskich zgromadzeń.

W wolnym czasie zapoznawał mnie z niektórymi zasadami islamu. Zrobił na mnie wrażenie fakt, że religia ta w wielu zasadniczych ujęciach filozoficznych była zbieżna z tradycją judeochrześcijańską. Muzułmański Allah jest tą samą Najwyższą Istotą, którą ja i moi współwyznawcy z Kościoła Wolnych Metodystów czcimy jako Boga. Muzułmanie wierzą, że Mojżesz był wysłanym od Boga prorokiem i że Stary Testament to boskie prawo objawione Żydom. Wierzą, że Jezus był również prorokiem i że Nowy Testament jest świętą księgą. Mahomet był według nich ostatnim i najważniejszym z proroków wybranym bezpośrednio przez Boga. Jego Koran, jako ostatnia objawiona ze świętych ksiąg, ma pierwszeństwo przed Starym i Nowym Testamentem. Mudi wyjaśnił

mi, że islam dzieli się na wiele sekt. Tak jak chrześcijanin może być baptystą, katolikiem lub luteraninem, tak i zbiór zasad rządzących życiem jakiegoś muzułmanina może go odróżniać od innych wyznawców islamu. Rodzina Mudiego należała do sekty szyitów, mało znanej zachodniemu światu. Jak twierdził mój mąż, są to fanatyczni fundamentaliści. Chociaż w Iranie stanowili dominującą sektę, nie mieli wpływów wśród przedstawicieli zwesternizowanej władzy szacha. Mudi przestał wyznawać ekstremistyczną odmianę islamu, w jakiej został wychowany. Chociaż nadal nie jadał wieprzowiny, lubił się uraczyć kieliszkiem mocnego alkoholu. Rzadko się zdarzało, żeby wyciągał modlitewny dywanik i wypełniał religijne powinności.

Wkrótce po moim przyjeździe do Detroit na weekend, w mieszkaniu Mudiego zadzwonił telefon. Mudi po krótkiej rozmowie powiedział do mnie:

- To nagły wypadek. Wrócę tak szybko, jak tylko będę mógł. Kiedy tylko wyszedł, pobiegłam do samochodu, żeby pownosić

46

składane krzeselka, pojemniki z talerzami i kieliszkami oraz tace z perskimi potrawami, które przygotowałam w domu w Elsie.

Za chwilę zjawił się doktor Gerald White z żoną. Przynieśli dodatkowe zapasy jedzenia, które dałam im na przechowanie, a także specjalnie zamówiony przeze mnie tort, ozdobiony czerwono-biało-zieloną flagą irańską i perskim napisem: „Najlepsze życzenia z okazji urodzin”.

Przyszli pozostali goście, około trzydziestu osób. Ich przybycie zbiegło się w czasie z zaplanowaną uprzednio nieobecnością Mudiego. Kiedy wrócił, wszyscy byli już w świątecznym nastroju.

- Niespodzianka! - krzyknęli chórem.

Mudi uśmiechnął się szeroko, a uśmiech stał się jeszcze radośniejszy, kiedy zaintonowaliśmy „Happy Birthday”.

Miał trzydzieści dziewięć lat, ale zareagował z chłopięcym entuzjazmem.

- Jak to wszystko zorganizowałaś? Jestem zachwycony, że tak ci się udało!

Odczułam satysfakcję, że poszło mi tak gładko; uszczęśliwiłam go.

Stawało się to w coraz większym stopniu celem mojego życia. Po dwuletniej bliższej znajomości, poświęcałam Mudiemu wszystkie moje myśli. Moja praca z każdym dniem traciła na atrakcyjności. Tylko weekendy się liczyły.

Nawet moja kariera przyblakła. Osiągnęłam stanowisko, na którym przedtem pracował mężczyzna, ale płacono mi mniej. Do tego coraz bardziej frustrowało mnie odpieranie zalotów jednego z przełożonych, który wmówił sobie, że jako kobieta samotna jestem łatwą zdobyczą. W końcu dał mi jasno do zrozumienia, że jeśli się z nim nie prześpię, nie mam co liczyć na awans.

Zaczynało się to stawać nie do zniesienia. Weekendy z Mudim były mi potrzebne, żebym mogła uwolnić się od stresu. Ten weekend był szczególnie miły; zaskoczyłam nie tylko Mudiego, ale i siebie samą. Byłam dumna, że potrafiłam, sterując z dala, zorganizować całe przyjęcie. Okazałam się sprawną gospodynią na spotkaniu lekarzy i ich małżonek. Było to towarzystwo odmienne od mojego małomiasteczkowego świata.

Przyjęcie skończyło się po północy. Kiedy drzwi się zamknęły za ostatnim gościem, Mudi wziął mnie w ramiona i powiedział:

- Kocham cię za to.

Oświadczył się w styczniu 1977 roku.

Trzy lata wcześniej odrzuciłabym propozycję Mudiego czy kogokolwiek innego. Teraz jednak zdałam sobie sprawę, że się zmieniłam. Doświadczyłam wolności i wiedziałam, że jestem w stanie zatroszczyć

47

się o siebie i swoją rodzinę. Nie znajdowałam już przyjemności w samotnym życiu. Nienawidziłam piętna kobiety rozwiedzionej.

Kochałam Mudiego i wiedziałam, że i on mnie kocha. Przez trzy lata ani razu się nie pokłóciliśmy. Teraz stanęłam przed wyborem, szansą na nowe życie - „etatowej” żony i matki. Cieszyłam się z góry, że będę pełnić rolę idealnej pani domu podczas licznych przyjęć, które będziemy wydawać jako Dr Mahmudi z małżonką. Może ukończę college. Może będziemy mieli dziecko.

Siedem lat później, podczas okropnej bezsennej nocy, kiedy miotałam się po łóżku obok córeczki i mężczyzny, którego niegdyś kochałam, okazałam się mądra po szkodzie. Było tak wiele sygnałów, które zignorowałam.

Na cóż się jednak w terażniejszym życiu przyda spóźniony refleks? Wiedziałam, że wspomnianie przeszłości nic mi teraz nie pomoże. Jesteśmy tutaj - Mahtab i ja - zakładniczki w obcym kraju. Przyczyny naszego obecnego losu były sprawą drugorzędną w porównaniu z realiami dni, które nas czekały.

Dni?

Tygodni?

Miesiący?

Jak długo będziemy musiały wytrwać? Nie byłam w stanie myśleć w kategoriach lat. Przecież Mudi tego by nam nie zrobił, nie mógłby. Dostrzeże wreszcie brud, który go otacza, i nabierze wstrętu. Uprzytomni sobie, że cała jego przyszłość zawodowa jest związana z Ameryką, a nie z zacofanym narodem, który musi się dopiero uczyć podstawowych zasad higieny i sprawiedliwości społecznej. Rozmyśli się. Zabierze nas do domu, nawet licząc się z możliwością, że kiedy tylko moja stopa stanie na amerykańskiej ziemi, mogę złapać Mahtab za rękę i pobiec do najbliższego adwokata.

A jeżeli się nie rozmyśli? Na pewno ktoś pomoże. Moi rodzice? Przyjaciele w Michigan? Departament Stanu? Mahtab i ja jesteśmy obywatelkami amerykańskimi, nawet jeśli Mudi nie jest. Mamy swoje prawa. Musimy tylko znaleźć sposób na realizację tych praw.

Ale jak?

I jak długo to potrwa?

40

"•

Po tym, jak Mudi oświadczył, że zostajemy w Iranie, kilka dni upłynęło jakby w mglistym koszmarze.

Zachowałam jakoś trzeźwość umysłu i jeszcze pierwszej nocy podliczyłam swój majątek. Mudi zabrał mi książeczkę czekową, ale nie przyszło mu do głowy, żeby zapytać, czy mam jakąś gotówkę. Przeszukując torebkę znalazłam skarb - pieniądze, o których oboje zapomnieliśmy w szale zakupów. Miałam prawie dwieście tysięcy riali i sto dolarów w amerykańskiej walucie. Riale były warte około dwóch tysięcy dolarów, a amerykańską walutę można byłoby sześciokrotnie pomnożyć, gdyby udało mi się przeprowadzić czarnorynkową transakcję. Schowałam swój majątek w łóżku pod cienkim materacem. Codziennie rano, kiedy Mudi i cała rodzina odprawiali modły, wyciągałam pieniądze i chowałam pod wieloma warstwami swoich ubrań na wypadek, gdyby w ciągu dnia nadarzyła się jakaś okazja. Te pieniądze były całą moją siłą, moim kołem ratunkowym. Nie miałam pojęcia, co mogłabym za ich pomocą zrobić, ale może pomogłyby kupić wolność. Kiedyś, w jakiś sposób, Mahtab i ja wydostaniemy się z tego więzienia.

I było to więzienie. Mudi zatrzymał nasze amerykańskie i irańskie paszporty, a także nasze świadectwa urodzenia. Bez tych najważniejszych dokumentów nie mogłyśmy wyjechać z Teheranu, nawet gdyby udało nam się uciec z domu.

Przez wiele dni Mahtab i ja rzadko wysuwałyśmy nos poza sypialnię. Dopadły mnie rozmaite choroby, mogłam jeść tylko małe porcje ryżu bez przypraw. Chociaż energia całkiem mnie opuściła, nie mogłam spać. Mudi dał mi lekarstwa.

Przez większość czasu pozostawiał nas same, chcąc żebyśmy pogodziły się z losem i perspektywą spędzenia reszty życia w Iranie. Teraz raczej strażnik więzienny niż mąż, traktował mnie lekceważąco, ale żywił irracjonalne przekonanie, że Mahtab, która miała wkrótce skończyć pięć lat, łatwo i przyjemnie zaakceptuje ten przewrót w jej

4 — Tylko razem z córką

życiu. Próbował zdobyć jej uczucie, ale była zamknięta w sobie i nieufna. Kiedy chciał ją wziąć za rękę, cofała się i przywierała do mnie. Jej piwne oczy wyrażały zdumienie, kiedy spoglądała na tatusia, który nagle stał się naszym wrogiem.

Co noc Mahtab płakała przez sen. Ciągłe się bała zostać sama w ubikacji. Obie cierpiałyśmy na skurcze żołądka i biegunkę, niemając część dnia i nocy spędzałyśmy więc w rojącej się od karaluchów łazience, która stała się naszym schronieniem. Bezpieczne w swej prywatności razem odmawiałyśmy codzienną modlitwę: „Panie Boże, pomóż nam pokonać te przeszkody. Pomóż nam znaleźć bezpieczną drogę, żebyśmy razem dostały się do Ameryki, do naszej rodziny”. Z naciskiem mówiłam córeczce, że zawsze musimy się trzymać razem. Najbardziej ze wszystkiego obawiałam się, że Mudi może mi ją zabrać.

Jedyną dostępną dla mnie rozrywką była lektura Koranu w angielskim przekładzie dra Raszada Chalify, imama meczetu w Tucson w stanie Arizona. Dostarczono mi świętą księgę, żebym przejrzała na oczy. Tak bardzo potrzebowałam się czymkolwiek zająć, że czekałam, aż pierwsze promienie wschodzącego słońca przenikną przez okno naszej sypialni, w której nie było lamp, i będę mogła czytać. Głos Baba Hadździ, zawodzącego w hallu modlitwy, dźwięczał monotonicznie w tle, kiedy wczytywałam się uważnie w świętą księgę islamu, szukając ustępów określających stosunki między mężem i żoną.

Znalazszy w Koranie jakiegokolwiek argumenty wspierające moją sprawę, przemawiające za prawami kobiet i dzieci, pokazywałam je Mudiemu i innym członkom rodziny.

W surze IV werset 34 natknęłam się na takie oto niepokojące wskazówki Mahometa:

„Mężczyźni stoją nad kobietami ze względu na to, że Bóg dał wyższość jednym nad drugimi, i ze względu na to, że oni rozdają ze swojego majątku. Przeto cnotliwe kobiety są pokorne i zachowują w skrytości to, co zachował Bóg. I napominajcie te, których nieposłuszeństwa się boicie, pozostawiajcie je w łóżkach i bijcie je! A jeśli są wam posłuszne, to starajcie się nie stosować do nich przymusu. Zaprawdę, Bóg jest wzniosły, wielki" \*.

Jednakże już w następnym wersecie znalazłam powód do nadziei: „A jeśli obawiacie się rozdarcia między nimi obojgiem, to pošlijcie rozjemcę z jego

rodziny i rozjemcę z jej rodziny. Jeśli oni oboje zechcą się pogodzić, to Bóg doprowadzi do zgody między nimi. Zaprawdę, Bóg jest wszechwiedzący, świadomy!"

\* Koran. Przekład Józefa Bielawskiego. Warszawa 1986. Państwowy Instytut Wydawniczy.

Wszystkie następne cytaty pochodzą z tego wydania (przyp. tłum.).

50

- Obie nasze rodziny powinny nam pomóc w rozwiązaniu problemów - powiedziałam do Mudiego pokazując mu ten werset.

- Twoja rodzina to nie muzułmanie - odparł - oni się nie liczą. A poza tym to twój problem, nie nasz.

Byli to muzułmanie szyici wciąż świętujący zwycięstwo rewolucji, strojący się obłudnie w szaty fanatyzmu. Jak mogłam - chrześcijanka, Amerykanka, kobieta - poważać się na własną interpretację Koranu, naruszając monopol imama Rezy, ajatollaha Chomejniego, Baba Hadżdżi czy wreszcie mojego męża? Jako żona Mudiego byłam w przekonaniu wszystkich jego dobytkiem. Mógł ze mną robić, co tylko zechciał.

Trzeciego dnia niewoli, dnia, w którym mieliśmy znaleźć się z powrotem w domu w Michigan, Mudi zmusił mnie, żebym zatelefonowała do rodziców. Powiedział, co mam mówić, i uważnie przysłuchiwał się rozmowie. Zachowywał się wystarczająco groźnie, żeby wymóc na mnie posłuszeństwo.

- Mudi postanowił, że zostaniemy trochę dłużej - powiedziałam swoim - nie wracamy teraz do domu.

Mama i tato byli zrozpaczeni.

- Nie martwcie się - mówiłam, siląc się na beztroski ton - niedługo będziemy z powrotem. Nawet jeśli trochę tu pobędziemy, to za jakiś czas wrócimy do domu.

To ich uspokoiło. Nienawidziłam kłamstwa, ale - ze stojącym przy mnie Mudim - nie miałam wyboru. Tak strasznie chciałam być z nimi, uściskać Joego i Johna. Czy ich kiedykolwiek zobaczę?



Mudi stał się kapryśny. Najczęściej był ponury i groźny, teraz już także wobec Mahtab. Czasami próbował być miły i uprzejmy. Wydawało mi się, że jest chyba tak samo wytrącony z równowagi i niepewny, jak ja. Czynił sporadyczne wysiłki, żeby mi pomóc w przystosowaniu się.

- Betty przygotuje dziś dla nas wszystkich kolację - oznajmił pewnego dnia Amme Bozorg.

Zabrał mnie po zakupy. Chociaż z początku ucieszył mnie blask słońca, stwierdziłam, że dźwięki i zapachy miasta stały się jeszcze bardziej obce i odpychające niż przedtem. O kilka przecznic dalej znajdował się sklep rzeźnika, poszliśmy tam tylko po to, żeby usłyszeć:

- Mięsa już nie ma, będzie o czwartej po południu. Przyjdźcie o czwartej.

W kilku innych sklepach usłyszeliśmy tę samą odpowiedź. Powtórzywszy po południu naszą wyprawę, znaleźliśmy w końcu wołowinę na pieczeń w sklepie odległym o dwie mile od domu.

W brudnej kuchni Amme Bozorg starałam się, jak mogłam, żeby wyszorować potrzebne naczynia i przygotować amerykański posiłek,

51

nie zwracając uwagi na chmurne spojrzenia, jakimi obrzucała mnie szwagierka.

Po kolacji Amme Bozorg odzyskała władzę nad młodszym bratem:

- Nasze żołądki nie znoszą wołowiny. Nigdy więcej nie będzie w tym domu wołowego mięsa.

W Iranie wołowina uchodzi za mięso gorszej jakości. Tak naprawdę Amme Bozorg chciała powiedzieć, że posiłek, który ja przygotowałam, był poniżej jej godności.

Mudi nie potrafił przeciwstawić się siostrze i zrezygnował. Jasne było, że Amme Bozorg nie miała zamiaru godzić się na żaden mój wkład w codzienne funkcjonowanie swego gospodarstwa. Cała rodzina ignorowała mnie, odwracali się plecami, kiedy wchodziłam do pokoju, albo patrzyli na mnie spode łba. Moje amerykańskie pochodzenie było ważniejsze niż wątpliwa pozycja żony Mudiego.

Podczas pierwszego tygodnia niewoli jedna tylko Eszej uprzejmie ze mną rozmawiała. Pewnego dnia, kiedy wraz z Rezą przyszli odwiedzić rodzinę, udało jej się wziąć mnie na chwilę na bok.

- Tak mi przykro - powiedziała - lubię cię, ale kazali nam wszystkim, żebyśmy trzymali się z daleka. Nie wolno nam przesiadywać u ciebie ani z tobą rozmawiać. Martwi mnie to, przez co przechodzisz, ale nie mogę sobie pozwolić na konflikt z całą rodziną.

Zadałam sobie pytanie, czy Amme Bozorg naprawdę chce, żebym przez jakiś nieokreślony czas żyła w izolacji i pogardzie? Co się właściwie dzieje w tym zwariowanym domu?

Mudi wyglądał na zadowolonego z życia na koszt hojnej rodziny. Coś tam mamrotał, że szuka pracy, ale cała jego inicjatywa sprowadzała się do wysłania jednego z bratanków, żeby się popytał o status jego dyplomu lekarskiego. Był pewien, że jako lekarz z praktyką w Stanach wejdzie natychmiast w miejscowe środowisko lekarskie. Chciał wykonywać tutaj swój zawód.

Dla przeciętnego Irańczyka czas wydaje się nie mieć znaczenia, a Mudi szybko przyswoił sobie z powrotem tę postawę. Dni upływały mu na słuchaniu radia, czytaniu gazety i prowadzeniu nie kończących się, pustych rozmów z Amme Bozorg. Kilka razy zabrał Mahtab i mnie na krótką przechadzkę, ale miał na mnie oko. Czasami po południu lub wieczorem, upewniwszy się, że rodzina będzie mnie pilnowała, wybierał się z bratankami do innych krewnych. Kiedyś wziął udział w anty-amerykańskiej demonstracji i wrócił spieniony wygadując różne bzdury przeciwko Stanom Zjednoczonym.

Dni mijały - nie kończące się, nieszczęsne, upalne, chorobliwe, nużące i straszne dni. Ogarniała mnie coraz głębsza melancholia, jak gdybym umierała. Mało jadłam, spałam krótkim, przerywanym snem, chociaż Mudi faszerował mnie środkami nasennymi. Dlaczego nikt mi nie pomagał?

52

Przypadkiem, a było to wieczorem w środku drugiego tygodnia niewoli, stałam koło telefonu, kiedy zadzwonił. Instynktownie podniosłam słuchawkę i niespodziewanie usłyszałam głos matki, która dzwoniła z Ameryki. Powiedziała, że wiele razy usiłowała się ze mną skontaktować, teraz więc nie traciła czasu na

niepotrzebne gadanie. Szybko podyktowała mi numer telefonu i adres Sekcji Interesów USA przy ambasadzie Szwajcarii w Teheranie. Z bijącym sercem starałam się zapamiętać numer. Za chwilę Mudi wyrwał mi słuchawkę z ręki i przerwał rozmowę.

- Nie wolno ci z nimi rozmawiać, jeśli nie ma mnie w pobliżu - zawyrokował.

Tej nocy w sypialni obmyśliłam prosty szyfr dla telefonu i adresu ambasady, i zapisałam je w swoim notesie, który razem z pieniędzmi miałam schowany pod materacem. Na wszelki wypadek powtarzałam sobie cyfry w pamięci przez całą noc. Nareszcie pokazano mi, gdzie mogę szukać pomocy. Jestem obywatelką amerykańską. Na pewno ambasada wydobędzie mnie i Mahtab stąd - jeśli tylko uda mi się skontaktować jakoś z urzędnikiem, który okaże zrozumienie.

Okazja nadarzyła się nazajutrz po południu. Mudi wyszedł, nie informując mnie dokąd. Amme Bozorg i reszta rodziny zapadli w codzienne odrętwienie, rodzaj sjesty. Serce waliło mi jak oszalałe, kiedy zakradłam się do kuchni, podniosłam słuchawkę i wykręciłam zapamiętany numer. Sekundy wydawały się godzinami, gdy czekałam na połączenie. Jeden sygnał, dwa, trzy - modliłam się, żeby ktoś szybko się odezwał. I wtedy, w momencie kiedy podniesiono słuchawkę, do pokoju weszła Fereszte, córka Amme Bozorg. Usiłowałam zachować spokój. Fereszte nigdy się do mnie nie odezwała po angielsku i byłam pewna, że nie zrozumie rozmowy.

- Halo - powiedziałam stłumionym szeptem.

- Proszę mówić głośniej - odezwał się kobiecy głos po drugiej stronie.

- Nie mogę. Błagam o pomoc. Jestem uwięziona.

- Proszę mówić głośniej. Nic nie słyszę.

Walcząc ze łzami i ogarniającą mnie rozpaczą odezwałam się trochę głośniejszym szeptem:

- Pomocy! Jestem uwięziona!

- Proszę mówić głośniej - powiedziała kobieta i odłożyła słuchawkę.

W dziesięć minut po powrocie do domu Mudi wpadł do naszego pokoju, wyciągnął mnie z łóżka i zaczął gwałtownie potrząsać za ramiona.

- Z kim rozmawiałaś?!

Byłam zaskoczona. Zdawałam sobie sprawę, że cały dom sprzysiągł się przeciwko mnie, ale nie spodziewałam się, że Fereszte złoży mojemu

53

mężowi donos już w momencie jego powrotu. Spróbowałam na poczekaniu wymyślić jakieś kłamstwo.

- Z nikim - powiedziałam słabym głosem. Było to pół prawdy.

- Ależ tak. Rozmawiałaś dzisiaj z kimś przez telefon.

- Nie. Próbowałam zadzwonić do Essej, ale mi się nie udało. To była pomyłka.

Palce Mudiego wpiły mi się w ramiona. Obok nas Mahtab zaniosta się od krzyku.

- Okłamujesz mnie! - wrzasnął Mudi.

Pchnął mnie brutalnie na łóżko i wściekał się jeszcze przez jakiś czas, zanim wyszedł z pokoju, rzuciwszy przez ramię kategoriyczny rozkaz:

- Nigdy więcej nie dotkniesz telefonu!

Mudi wytrącił mnie z równowagi. Ponieważ nie mogłam z dnia na dzień przewidzieć, jak się wobec mnie zachowa, trudno mi było ułożyć jakiś plan działania. Kiedy mi groził, umacniałam się w przekonaniu, że trzeba jakoś nawiązać kontakt z ambasadą. Kiedy był troskliwy, rodziły się we mnie nadzieje, że się rozmyśli i zabierze nas do domu. Grał ze mną w taki sposób, że podjęcie jakichkolwiek działań było niemożliwe. Każdej nocy szukałam ulgi w proszkach, których mi dostarczał. Każdego ranka z niepewnością stawiałam mu czoło.

Pewnego dnia pod koniec sierpnia - byliśmy już w Iranie prawie od miesiąca - zapytał mnie:

- Czy chcesz urządzić w piątek przyjęcie urodzinowe dla Mahtab? Dziwnie to zabrzmiało. Mahtab kończyła pięć lat we wtorek,

czwartego września, a nie w piątek.

- Chciałabym, żeby to było w dniu jej urodzin.

Mudi był poruszony. Wyjaśnił mi, że przyjęcie urodzinowe jest w Iranie wielką imprezą towarzyską, którą zawsze urządza się w piątek, kiedy ludzie nie pracują.

Opierałam się nadal. Jeśli nie mogę przeciwstawić się Mudiemu w walce o moje własne prawa, będę walczyć o każdą chwilę szczęścia dla Mahtab. Nie obchodziły mnie irańskie obyczaje. Ku mojemu zaskoczeniu i niezadowoleniu rodziny, Mudi zgodził się, żeby urządzić przyjęcie we wtorek po południu.

- Chcę jej kupić lalkę - powiedziałam, podkreślając swoją przewagę. Mudi i na to się zgodził i poprosił Madżida, żeby nas zawiózł po

zakupy. Obeszliśmy mnóstwo sklepów, odrzucając irańskie lalki, które były zbyt szmatławe, aż znaleźliśmy w końcu japońską lalkę ubraną w biało-czerwona piżamę. Miała w buzi smoczek i kiedy się go wyjęło, śmiała się albo płakała. Kosztowała, w przeliczeniu na irańskie pieniądze, około trzydziestu dolarów.

54

- To stanowczo za drogo - zdecydował Mudi - nie możemy tyle pieniędzy wydawać na lalkę.

- A właśnie że wydamy - powiedziałam wyzywająco - ona nie ma tutaj żadnej lalki i kupimy jej.

Kupiliśmy.

Miałam nadzieję, że przyjęcie sprawi Mahtab przyjemność, że będzie pierwszym radosnym momentem w ciągu tego miesiąca. Oczekiwała go z narastającym entuzjazmem. Tak było przyjemnie widzieć jej uśmiech, słyszeć radosny szczebiot.

Jednakże na dwa dni przed tym wielkim wydarzeniem stało się coś, co zepsuło jej radosny nastrój. Podczas zabawy w kuchni Mahtab spadła ze stołka. Stołek załamał się pod jej ciężarem i ostra krawędź jednej z drewnianych nóg wbiła jej się w ramię. Przybiegłam słysząc jej krzyki i przeraziłam się na widok krwi tryskającej z głębokiej rany.

Mudi szybko założył opaskę uciskową, a Madżid przygotował w tym czasie samochód, żeby nas zawieźć do szpitala. Tuląc do siebie szlochające dziecko

słyszałam, jak Mudi mówił, żebym się nie martwiła. Szpital był o kilka przecznic od naszego domu.

Ale nie przyjęto nas.

- Nie ma u nas ostrego dyżuru - powiedział pracownik w izbie przyjęć, obojętny na cierpienia Mahtab.

Pokonując korki uliczne, Madzid zawiózł nas do innego szpitala, gdzie był ostry dyżur. Wpadliśmy do środka, gdzie zastaliśmy niesamowity brud i rozgardiasz, ale nie mieliśmy przecież wyboru. W izbie przyjęć pełno było czekających pacjentów.

Mudi wziął doktora na stronę i powiedział mu po persku, że sam jest lekarzem z Ameryki i że jego córce trzeba założyć szwy. Irański doktor zaraz nas zabrał do pokoju zabiegowego i w ramach zawodowej grzeczności dla kolegi po fachu zobowiązał się, że wykona zabieg za darmo. Mahtab trzymała się mnie kurczowo, kiedy lekarz badał ranę i szykował narzędzia.

- Czy mają tu jakieś środki znieczulające? — zapytałam z niedowierzaniem.

- Nie - odparł Mudi. Aż mnie skręciło.

- Mahtab, musisz być dzielna - powiedziałam.

Rozplakała się głośno na widok igły. Mudi warknął, żeby była cicho.

Muskularnym ramieniem przytrzymał ją na stole zabiegowym. Z całej siły ścisnęła mnie za rękę. Schwytna w pułapkę przez uścisk ojca, szlochając histerycznie, Mahtab wciąż walczyła. Odwróciłam wzrok, kiedy igła wbijała się w jej ciało. Każdy krzyk rozlegający się w małym pokoiku zabiegowym rozdzierał mi serce. Ogarnęła mnie nienawiść. To Mudi przywiózł nas do tego piekła.

Zabieg trwał kilka minut. Łzy spływały mi po policzkach. Nikt

55

bardziej nie cierpi niż matka patrząca bezsilnie na męczarnie własnego dziecka. Chciałam wycierpieć te tortury zamiast Mahtab, ale przecież nie mogłam. Było mi słabo, pokryłam się potem, ale to przecież Mahtab odczuwała fizyczny ból. Nie mogłam nic zrobić, poza trzymaniem jej za rękę i dodawaniem odwagi.

Nałożywszy szwy, irański lekarz wypisał receptę na zastrzyk przeciw-tężcowy, wręczył Mudiemu i coś tam mu nagadał.

Pojechaliśmy. Mahtab szlochała na mojej piersi, a Mudi wyjaśnił osobliwą procedurę, jaka nas czekała: musieliśmy znaleźć aptekę, w której sprzedawano surowicę przeciw-tężcową, a potem pojechać do innej kliniki, upoważnionej do wykonywania zastrzyków.

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego Mudi wolał wykonywać swój zawód tutaj, a nie w Stanach. Skrytykował irańskiego kolegę. Gdyby miał swoje instrumenty, zaszyłby ranę Mahtab o wiele lepiej.

Mahtab była u kresu sił, kiedy wróciliśmy do domu Amme Bozorg, i szybko zapadła w niespokojny sen. Bardzo jej współczułam. Postanowiłam przez dwa następne dni pokazywać pogodniejszą twarz, ze względu na jej urodziny.

Po dwóch dniach, wcześnie rano, w dniu piątych urodzin Mahtab, poszliśmy z Mudim do cukierni zamówić wielki tort, długości ponad metra, w kształcie gitary. Z koloru i konsystencji przypominał amerykańskie żółte ciasto, ale był raczej bez smaku.

- Dlaczego sama go nie przybierzesz? - zaproponował Mudi. Miałam do tego specjalny talent.

- Nie mogę, nie mam czym.

Niezrażony Mudi pochwalił się cukiernikowi:

- Ona umie dekorować torty!

Tamten niespodziewanie zapytał po angielsku:

- Chciałaby pani tutaj pracować?

- Nie - zachnęłam się.

Nie chciałam podejmować w Iranie absolutnie żadnej pracy.

Wróciliśmy do domu, żeby przygotować przyjęcie. Miała się zjawić ponad setka krewnych, choć niektórzy musieli nawet wziąć dzień urlopu z pracy. Amme Bozorg działała w kuchni, szykując coś w rodzaju sałatki z kury, przyozdobionej majonezem. Ułożyła na tym z groszku imię Mahtab w perskim alfabecie. Córki

Amme Bozorg układały na tacach kebab, kawałki jagnięciny na zimno, kawałki białego sera i ozdobne desenie z warzyw i zieleniny.

Morteza, drugi syn Baba Hadździ i Amme Bozorg, przyszedł nam pomóc. Przyprowadził swoją żonę Nastaran i roczną córkę Nelufar, słodkie stworzonko o bystrym spojrzeniu i dobrym serduszku. Mahtab bawiła się z nią, a Morteza i Nastaran dekorowali hall balonami, serpentynami i kolorową folią. Mahtab zapomniała o wczorajszym szoku i cały czas paplała o rozpakowywaniu prezentów.

56

Goście zaczęli napływać, niosąc paczki w jaskrawych opakowaniach. Oczy Mahtab robiły się coraz większe, kiedy tak patrzyła na rosnącą górę tych cudowności.

Morteza, Nastaran i Nelufar wyszli i wrócili po jakimś czasie z niespodzianką - tortem identycznym jak ten, który zamówiliśmy. W tym samym czasie Madżid przyniósł z cukierni nasz tort. Dwa bliźniacze torty okazały się szczęśliwym przypadkiem, bo kiedy tylko Madżid wkroczył z naszym, Nelufar radośnie rzuciła się ku niemu i wytrąciła mu ciasto z rąk. Tort upadł na podłogę i przestał istnieć, ku rozpaczycy Madżida i Nelufar.

Przynajmniej jeden tort nam pozostał.

Mammal rozpoczął zabawę, klaszcząc rytmicznie w ręce i intonując dziwnie brzmiące piosenki dziecięce. Do tej pory odnosiłam wrażenie, że w Iranie wszelki uśmiech musi być niezgodny z prawem. Nikt nie wyglądał nawet na zadowolonego. Dzisiaj jednak rodzina autentycznie się bawiła na urodzinach naszej córki.

Śpiewanie trwało przez jakieś trzy kwadranse. Mammal i Reza byli w radosnym nastroju bawiąc się wesoło z dziećmi. Potem, jak na sygnał, obaj dorośli mężczyźni rzucili się na stos prezentów i zaczęli zdzierać z nich opakowania.

Mahtab nie wierzyła własnym oczom. Łzy spływały jej po twarzy.

- Mamusiu, oni otwierają moje prezenty - zawołała.



- Nie podoba mi się to - powiedziałam do Mudiego - niech sama odpakuje to, co dostała.

Mudi powiedział coś do Mammala i Rezy. Niechętnie pozwolili Mahtab otworzyć kilka paczek; podczas gdy nadal zdzierali kolorowe opakowania, Mudi wyjaśnił mi, że w Iranie mężczyźni zawsze od-pakowują prezenty dla dzieci.

Rozczarowanie, jakiego z początku doznała Mahtab, minęło, kiedy zobaczyła swoje zdobycze. Dostała całą masę irańskich zabawek: ślicznego białoróżowego anioła zawieszzonego na linie, piłkę, kamizelkę ratunkową i nadmuchiwaną kółko do zabawy w basenie, śmieszny lampkę z balonikami, mnóstwo sukienek, no i lalkę.

Zabawek było zbyt wiele, żeby mogła bawić się wszystkimi naraz. Przycisnęła do siebie lalkę, ale reszta dzieci rzuciła się na prezenty, zaczęła o nie walczyć i rozrzucać po całym pokoju. Mahtab jeszcze raz wybuchnęła płaczem, lecz nie było sposobu, żeby zapanować nad tłumem niegrzecznych dzieciaków.

Wydawało się, że dorośli w ogóle nie zauważają ich zachowania.

Trzymając swoją lalkę bezpiecznie na kolanach, Mahtab przez cały czas kolacji była ponura, ale twarz jej rozjaśniła się na widok tortu. Ze zbolałym sercem patrzyłam, jak się nim zajada. Wiedziałam, że nie mogę dać jej prezentu, jakiego najbardziej pragnęła.

57

Po urodzinach Mahtab pogłębiła się melancholia. Nadszedł wrzesień. Od trzech tygodni powinniśmy byli być w domu.

Wkrótce nadeszła inna rocznica, która wzmogła moją depresję. Były to urodziny imama Rezy, założyciela sekty szyitów. W tym uroczystym dniu dobry szyita powinien odwiedzić grób imama, ale ponieważ grób ten znajdował się we wrogim kraju, w Iraku, musieliśmy zadowolić się odwiedzeniem grobu jego siostry w Reju, dawnej stolicy Iranu, jakąś godzinę jazdy samochodem na południe.

Tego poranka utrzymywał się nadal przytłaczający letni upał. Musiało być ponad sto stopni w skali Fahrenheita. Patrząc na ciężki strój, jaki musiałam założyć, nie mogłam się pogodzić z myślą o godzinnej jeździe w przepięknym

samochodzie w tym potwornym upale, po to tylko, żeby odwiedzić święty grobowiec, który nie miał dla mnie żadnego znaczenia.

- Nie chcę jechać - powiedziałam do Mudiego.

- Musisz - odparł. I tak było w istocie.

Policzyłam ludzi zgromadzonych w domu Amme Bozorg. Dwadzieścia osób szykowało się, żeby wsiąść do dwóch samochodów.

Mahtab była tak samo jak ja zdenerwowana i nieszczęśliwa. Przed wyjściem powtórzyłyśmy jeszcze raz naszą modlitwę odmawianą w łazience: „Panie Boże, spraw, żebyśmy razem bezpiecznie wróciły do domu”.

Mudi zmusił mnie, żebym założyła na tę uroczystą okazję ciężki, czarny czador. W przepelnionym samochodzie musiałam usiąść na kolanach męża, sama trzymając na kolanach Mahtab. Po męczącej godzinnej podróży dotarliśmy do Reju w burzy piaskowej i wyładowaliśmy się z samochodu prosto w czarno odziany, rozpychający się i rozkrzyczany tłum pielgrzymów. Razem z Mahtab automatycznie podążyłyśmy do wejścia przeznaczonego dla kobiet.

- Mahtab może iść ze mną - powiedział Mudi - wezmę ją na ręce.

- Nie! - zawołała.

Wziął ją za rękę, ale się wyrwała. Ludzie odwrócili się, żeby zobaczyć, co to za zamieszanie. Mahtab krzyczała:

- Nieee!

Rozzłoszczony tym oporem, Mudi pociągnął ją mocno za rękę i oderwał ode mnie. Równocześnie kopnął małą w plecy.

- Nie! - wrzasnęłam.

Skrępowana ciężkim czadorem, rzuciłam się za córką. Mudi natychmiast skierował swój gniew przeciw mnie, krzycząc na cały głos, wykrzykując wszystkie angielskie przekleństwa, jakie tylko mógł sobie przypomnieć. Rozpłakałam się, bezsilna wobec tej wściekłości.

Teraz Mahtab próbowała przyjść mi z pomocą i wcisnęła się pomiędzy nas. Mudi spojrzał na nią z góry, jakby nie wiadomo skąd się

pojawiła. Zaślepiiony gniewem mocno uderzył ją wierzchem dłoni w twarz. Z rozciętej górnej wargi dziecka popłynęła krew, mieszając się z kurzem.

- Nadżes - zaczęli szemrać ludzie wokół nas - nieczystość.

Krew uchodzi w Iranie za substancję nieczystą i musi być natychmiast zmyta. Nikt jednak nie ingerował w coś, co było wyraźnie kłótnią w rodzinie. Ani Amme Bozorg, ani nikt z krewniaków nawet nie próbował uspokoić Mudiego. Patrzyli pod nogi albo gdzieś w przestrzeń.

Mahtab płakała z bólu. Podniosłam ją i usiłowałam rogiem czadoru obetrzeć krew, podczas gdy Mudi wciąż sypał obelgami wykrzykując ordynarne słowa, jakich nigdy nie słyszałam z jego ust. Przez łzy widziałam jego twarz wykrzywioną pełnym nienawiści, przerażającym grymasem.

- Musimy zdobyć gdzieś trochę lodu, żeby położyć jej na usta! - zawołałam.

Widok krwi rozmazanej po całej twarzy Mahtab trochę go zmyty-gował, ale nie wywołał skruchy. Mudi opanował się, razem poszukaliśmy sprzedawcy, który zgodził się odłupać parę kawałków lodu z wielkiego, brudnego bloku i sprzedał nam w filizance.

Mahtab szlochała. Mudi, bez cienia skruchy, miał obrażoną minę. A ja próbowałam poradzić sobie z myślą, że jestem żoną szaleńca, uwięzioną w kraju, gdzie według prawa ma on nade mną władzę absolutną.

Minął niecały miesiąc od czasu, kiedy Mudi uczynił z nas zakładniczki. Im dłużej trwał nasz pobyt w Iranie, w tym większym stopniu mąż mój ulegał magnetycznemu przyciąganiu swojej rodzimej kultury. W jego osobowości była jakaś straszliwa skaza. Musiałam wydostać się razem z córką z tego koszmaru, zanim nas obie zabije.

W kilka dni później podczas popołudniowej sjesty, kiedy Mudiego nie było w domu, zdecydowałam się na rozpaczliwą ucieczkę na wolność. Wydostałam z kryjówki swój zapas irańskich riali, wzięłam Mahtab za rękę i spokojnie wyszłam z domu. Jeśli nie uda mi się dodzwonić do ambasady, jakoś tam się dostanę. Owinięta w manto i rusari miałam nadzieję, że nie rozpoznają we mnie cudzoziemki. Nie miałam ochoty tłumaczyć się przed nikim. Trzymałam chustę

przy twarzy, żeby nie zwracać uwagi pasdarów, wszechobecnej i przerażającej tajnej policji.

- Dokąd idziemy, mamó? - zapytała Mahtab.

- Zaraz ci powiem. Chodź prędko.

Nie chciałam rozbudzać w niej nadziei, póki się nie upewnię, że jesteśmy bezpieczne.

Szliśmy szybko, onieśmiałe gwarem zaafierowanego miasta, nie wiedząc, dokąd iść. Serce waliło mi ze strachu. Byliśmy zdeterminowane.

59

UCH

Nie mogłam sobie wyobrazić wściekłości Mudiego, kiedy się dowie, że uciekłyśmy, ale nie miałam zamiaru wracać. Pozwoliłam sobie na słabutkie uczucie ulgi na myśl, że nigdy go już nie zobaczymy. -

Znalazłyśmy w końcu budynek, na którym widniał napis po angielsku TAXI. Weszłyśmy zamówić taksówkę i po pięciu minutach byłyśmy już w drodze do wolności.

Usiłowałam wytłumaczyć szoferowi, żeby nas zawiózł do Sekcji Interesów USA przy ambasadzie Szwajcarii, ale nie rozumiał. Powtórzyłam adres, który matka przekazała mi telefonicznie: „Aleja Parkowa i Siedemnasta ulica”. Twarz mu się rozjaśniła, kiedy usłyszał nazwę Aleja Parkowa i zaczął przedzierać się przez niesamowicie zatłoczone jezdnie.

- Mamó, dokąd jedziemy? - zapytała w końcu Mahtab.

- Do ambasady - odpowiedziałam. Mogłam już teraz swobodniej oddychać. Byłyśmy przecież w drodze.

- Będziemy tam bezpieczne. Pojedziemy stamtąd do domu. Mahtab wydała okrzyk radości.

Po półgodzinnym przedzieraniu się przez ulice Teheranu taksówkarz zatrzymał się przy Alei Parkowej przed ambasadą Australii. Zapytał strażnika, który pokazał mu, żeby skręcił za róg. Za chwilę wysiadłyśmy przed naszą bezpieczną przystanią, wielkim nowoczesnym budynkiem z betonu, z szyldem oznajmiającym, że jest to Sekcja Interesów USA przy ambasadzie Szwajcarii. Wejście było zagrodzone metalowymi barierkami i strzeżone przez policjanta.

Zapłaciłam taksówkarzowi i nacisnęłam guzik domofonu u wejścia. Rozległ się brzęczyk otwierający bramę. Znalazłyśmy się z Mahtab na szwajcarskim, nie irańskim terytorium.

Mówiący po angielsku Irańczyk wyszedł nam naprzeciw i poprosił o paszporty.

- Nie mamy przy sobie paszportów - powiedziałem.

Uważnie zmierzył nas wzrokiem, doszedł do wniosku, że jesteśmy Amerykankami, i pozwolił nam wejść. Poddano nas rewizji osobistej. Z każdą chwilą dusza we mnie rosła na wspaniałą myśl, że jesteśmy wolne.

W końcu wpuszczono nas na teren biura, gdzie poważna lecz przyjaźnie nastawiona irańska Ormianka, Helen Balassanian, wysłuchała spokojnie całej historii o naszym uwięzieniu. Wysoka, szczupła, wyglądająca na czterdzieści lat, ubrana zdecydowanie nie po irańsku, w europejski kostium ze spódnicą do kolan, z nieprzystojnie odsłoniętą głową, patrzyła na nas współczująco.

- Dajcie nam tu schronienie - błagałam - a potem znajdźcie jakiś sposób, żebyśmy mogły wrócić do domu.

- O czym pani mówi? Nie możecie tutaj zostać!

- Nie możemy wrócić do tamtego domu.

60

- Jest pani obywatelką irańską - powiedziała łagodnie Helen.

- Nie, jestem obywatelką Stanów Zjednoczonych.
- Jest pani Iranką - powtórzyła - i musi się pani stosować do tutejszego prawa.

Uprzejmie ale zdecydowanie wyjaśniła, że poślubiając Irańczyka stałam się w świetle irańskiego prawa obywatelką tego kraju. I ja, i Mahtab z punktu widzenia prawa byliśmy więc Irankami.

Przeszedł mnie zimny dreszcz.

- Nie chcę być Iranką. Urodziłam się jako Amerykanka. Chcę być obywatelką Stanów Zjednoczonych.

Helen potrząsnęła głową.

- Nie - powiedziała łagodnie - musi pani do niego wrócić.
- On mnie zbije! - krzyknęłam. Wskazałam na Mahtab - On nas zbije!

Helen wczuła się w naszą sytuację, ale była bezsilna.

- Trzymali nas w tym domu - mówiłam, próbując jeszcze raz, podczas gdy wielkie łzy spływały mi po policzkach - udało nam się uciec przez frontowe drzwi, kiedy wszyscy spali. Nie możemy wrócić. On nas zamknie. Naprawdę się boję, co się z nami stanie.
- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego Amerykanki to robią - mruknęła pod nosem Helen. - Mogę dać pani ubranie, mogę wysłać listy, mogę skontaktować się z rodziną i zawiadomić, że dobrze się pani czuje. Tyle mogę dla pani zrobić, ale nic ponadto.

Prosty, mrozący krew w żyłach fakt był taki, że Mahtab i ja podlegałyśmy całkowicie prawom tej fanatycznej patriarii.

Następna godzina pobytu w ambasadzie upłynęła mi w szoku. Zrobiliśmy co się dało. Zadzwoiłam do Stanów.

- Próbuję jakoś wydostać się stąd do domu - krzyczałam do matki odległej o tysiące mil - zobacz, co możesz zrobić tam na miejscu.
- Skontaktowałam się już z Departamentem Stanu - powiedziała mama łamiącym się głosem - robimy co w naszej mocy.

Helen pomogła mi napisać list do Departamentu Stanu. Miał zostać wysłany przez Szwajcarię. Stwierdziła, że jestem przetrzymywana w Iranie wbrew mojej woli i że nie chcę, żeby mój mąż wycofał nasze pieniądze z kont w Stanach.

Helen wypełniła formularze, wypytyując mnie szczegółowo o Mudie-go. Interesowała ją zwłaszcza sprawa jego obywatelstwa. Mudi nie uzyskał amerykańskiego obywatelstwa, ponieważ wplątał się w sprawę irańskiej rewolucji. Helen zapytała o jego zieloną kartę - oficjalne pozwolenie na zamieszkanie i pracę w Stanach. Jeszcze teraz mógł wrócić do USA i podjąć pracę, ale jeśli będzie zbyt długo zwlekał, zielona karta wygaśnie i nie będzie już miał prawa praktykować w Stanach jako lekarz.

- Bardziej się obawiam, że podejmie pracę tutaj - powiedziałam

61

- jeśli pozwolą mu tutaj podjąć praktykę, znajdziemy się w pułapce. Jeśli nie będzie mógł dostać tu pracy, może zdecydować się wrócić do Stanów.

Zrobiwszy wszystko, co tylko mogła, Helen postawiła nam w końcu straszliwe ultimatum:

- Musicie teraz wracać - powiedziała spokojnie - za to my będziemy robić wszystko, co w naszej mocy. Cierpliwości.

Sprowadziła dla nas taksówkę. Kiedy nadszedła, Helen wyszła na ulicę, żeby porozmawiać z szoferem. Podała mu adres w pewnej odległości od domu Amme Bozorg. Ostatni odcinek przejdziemy pieszo, żeby Mudi nie zobaczył, jak wysiadamy z taksówki.

Wszystko się we mnie skręcało, kiedy znów znalazłyśmy się z Mahtab na ulicach Teheranu, nie mając dokąd iść, nie mając nikogo, z wyjątkiem męża i ojca, który przejął rolę naszego wszechpotężnego, więziennego strażnika.

Próbując myśleć logicznie, chociaż w głowie mi dudniło, powiedziałam do Mahtab:

- Nie możemy powiedzieć tacie ani nikomu, gdzie byliśmy. Powiem mu, że poszliśmy na spacer i zgubiliśmy drogę. Jeśli będzie pytał, nic nie mów.

Mahtab skinęła głową. Życie ją zmuszało, żeby szybko dorastała. Mudi czekał na nas.

- Gdzie byliście? - warknął.

- Wyszliśmy na spacer - skłamałam - zgubiliśmy drogę. Zawędrowaliśmy dalej, niż nam się wydawało. Tyle jest rzeczy do obejrzenia.

Mudi przez chwilę analizował moje wyjaśnienie, a potem je odrzucił. Wiedział, że dobrze się orientuję w terenie. Oczy mu błyszczały, była w nich słuszna groźba muzułmańskiego mężczyzny, któremu kobieta weszła w drogę. Jedną ręką złapał mnie mocno za ramię, drugą za włosy. Ciągnął mnie tak na oczach członków rodziny, którzy w liczbie kilkunastu snuli się po hallu.

- Nie wolno jej wychodzić z domu! - rozkazał. A do mnie powiedział:

- Jeśli jeszcze raz wyjdiesz z domu, zabiję cię!

I znowu samotna sypialnia, dni pełne nicości; mdłości i wymioty, głęboka depresja. Kiedy wychodziłam z pokoju, na każdym kroku byłam pilnowana przez Amme Bozorg albo jedną z jej córek. Moja wola słabła. Zdałam sobie sprawę, że wkrótce pogodzę się z losem i na zawsze pozostanę oderwana od rodziny i ojczystego kraju.

Odcięta od świata, z ironią przyłapywałam się na tym, że martwię mnie drobiazgi. Upływa ostatni miesiąc sezonu baseballowych rozgrywek, a ja nie wiem, jak się wiedzie drużynie Tygrysów. Kiedy

62

wyjeżdżaliśmy do Iranu, prowadzili w swojej lidze. Chciałam zabrać ojca na mecz po powrocie do domu, wiedząc, że może oglądałby rozgrywki po raz ostatni w życiu.

Owładnięta nostalgią próbowałam pewnego popołudnia napisać list do rodziców, nie wiedząc, jak zdołam go wysłać. Ku mojemu przerażeniu odkryłam, że mam zbyt słabą rękę, nie byłam w stanie nakreślić nawet własnego imienia.

Godziny mijały, a ja analizowałam sytuację. Byłam chora, zdenerwowana, pogrążona w depresji, utraciłam właściwe mi poczucie rzeczywistości. Mudi wydawał się zadowolony z tego, że zostałam zapędzona w kąt i był pewien, że



nie będę w stanie powstać i walczyć o wolność. Patrzyłam na dziecko. Delikatna skóra Mahtab była usiana wielkimi plamami od ukłuć komarów, które stanowiły tu plagę. Lato mijało. Wkrótce nastąpi zima. Pory roku, nawet sam czas, zleją się w pasmo nicości, zanim zdam sobie z tego sprawę. Im dłużej tu pozostanę, tym łatwiej będzie mi się z tym pogodzić.

Przyszło mi na myśl ulubione powiedzenie mojego taty: chcieć to móc. Ale jeśli nawet okażę silną wolę, kto i w jaki sposób nam pomoże? Czy ktokolwiek zdoła wyrwać mnie i moje dziecko z tego koszmaru?

Stopniowo, pomimo oszołomienia spowodowanego chorobą, a także środkami uspokajającymi, które aplikował mi Mudi, uświadomiłam sobie jedyną odpowiedź.

Nikt mi nie pomoże.

Tylko ja mogę nas stąd wyrwać.

—

Pewnego wieczoru, kiedy znajdowałam się w hallu domu Amme Bozorg, wkrótce po zapadnięciu zmroku, usłyszałam złowieszczy świst lecącego nisko odrzutowca, który zbliżał się do naszej dzielnicy. Niebo rozświetliły smugi

pocisków artylerii przeciwlotniczej, potem dały się słyszeć głucho echa eksplozji.

O Boże, wojna ogarnęła Teheran - pomyślałam.

Rozejrzałam się za Mahtab, żeby razem z nią uciec w bezpieczne miejsce, ale Madżid, zobaczywszy moją wystraszoną minę, zaczął mnie uspokajać:

- To tylko demonstracja z okazji Tygodnia Wojny. Mudi wyjaśnił, że Tydzień Wojny to doroczne święto obchodzone

na pamiątkę historycznych zwycięstw islamu. Zbiega się z toczącą się wojną z Irakiem, a także - z Ameryką, jako że cała propaganda przekonuje Irańczyków, że Irak to tylko marionetka, uzbrojona i kontrolowana przez Stany Zjednoczone.

- Wybieramy się na wojnę z Ameryką - powiedział Mudi z niekłamaną satysfakcją. - Tak jest sprawiedliwie. Twój ojciec zabił mojego,

- Co ty gadasz?

Mudi powiedział, że podczas II wojny światowej, kiedy mój ojciec służył w armii amerykańskiej w Abadanie na południu Iranu, jego ojciec, który jako lekarz polowy leczył wielu chorych na malarię amerykańskich żołnierzy, zaraził się i zmarł na tę chorobę.

- Teraz ty za to zapłacisz - powiedział mój mąż. - Twój syn Jog poległ na wojnie na Bliskim Wschodzie. Możesz się tego spodziewać.

Wiedziałam, że Mudi mnie prowokuje, ale nie umiałam jeszcze odróżnić realnego zagrożenia od jego sadystycznych urojeń. Po prostu nie był to ten sam człowiek, którego poślubiłam. Skąd mogłam więc wiedzieć, co jest naprawdę możliwe.

- Chodź, pójdziemy na dach - powiedział.

- Po co?

64

- Demonstrować.

Mogło to oznaczać wyłącznie antyamerykańską demonstrację.

- Nie, nie pójdę.

Mudi bez słowa porwał Mahtab i wyniósł z pokoju. Zaskoczona i przestraszona, zaczęła krzyczeć wyrывая się z jego uścisku, ale trzymał ją mocno i poszedł za resztą rodziny na dach.

Po chwili usłyszałam wokół ohydny okrzyk wdzierający się przez otwarte okna.

Marg bar Amrika! - wołał chór głosów na dachach sąsiednich domów. Znałam już dobrze te słowa, które wciąż słyszałam w irańskich dziennikach. Znaczyło to „śmierć Ameryce!”

Marg bar Amrika!

Płakałam nad Mahtab, która na dachu wśród reszty rodziny skręcała się z bólu w łapach oszalałego ojca, żądającego, żeby się zwróciła przeciw własnemu krajowi.

Marg bar Amrika!

Tej nocy w Teheranie czternaście milionów głosów krzychało jak jeden mąż. Z dachu na dach, w narastającym crescendo, przyprawiając ludzi o szaleństwo, wręcz hipnotyzując; ogłupiający, przerażający zaśpiew ranił mi duszę jak nóż.

Marg bar Amrika! Marg bar Amrika!

Marg bar Amrika!

- Jutro jedziemy do Kumu - oznajmił Mudi.

- Co to takiego?

- Kum to teologiczna stolica Iranu. Święte miasto. Jutro przypada pierwszy piątek moharrama, miesiąca żałoby. Jedziemy do grobowca. Założysz czarny czador.

Przypomniała mi się nasza wyprawa do Reju, koszmarne podróże, która zakończyła się pobiciem Mahtab przez własnego ojca. Dlaczego rodzina musi ciągnąć Mahtab i mnie na te swoje bezsensowne pielgrzymki?

- Nie chce mi się jechać - powiedziałam.

- Jedziemy.

Znałam na tyle prawo muzułmańskie, żeby przedstawić ważny powód odmowy.

- Nie mogę jechać do świętego grobu. Mam okres.

Mudi zachmurzył się. Za każdym razem, kiedy miałam okres, przypominało mu się, że od urodzenia Mahtab minęło już pięć lat, a ja nie byłam w stanie obdarzyć go drugim dzieckiem, synem.

- Jedziemy i już - powiedział.

Obie z Mahtab obudziłyśmy się następnego dnia bardzo przygnębione taką perspektywą. Mahtab miała biegunkę - wiedziałam już, że w taki sposób manifestował się u niej stan napięcia.

5 — Tylko razem z córką

65

- Mała jest chora - powiedziałam do Mudiego - powinna zostać w domu.

- Jedziemy - powtórzył surowo.

Pogrążona w głębokiej melancholii przywdziałam przepisowy strój: czarne spodnie, długie czarne pończochy, czarne manto z długimi rękawami, głowę owinęłam czarną chustą. Na to wszystko zarzuciłam znieawidzony czarny czador.

Mieliśmy jechać samochodem Mortezy, bratanka Mudiego. Razem z nami załadowała się Amme Bozorg, jej córka Fereszte, Morteza z żoną Nastaran i córeczką - małą, wesołą Nelufar. Kilka godzin trwała jazda, zanim wjechaliśmy na autostradę, a potem jeszcze przez dwie godziny poruszaliśmy się zderzak w zderzak z innymi samochodami pełnymi wiernych, wśród krajobrazu wyblakłego i ponurego jak moja dusza.

Nad miastem Kum unosił się lekki brązowawy pył. Ulice nie były brukowane, i samochody gromadzących się mas wiernych wznosiły chmury duszącego kurzu. Kiedy wygramoliliśmy się z auta, na naszych przepoconych ubraniach osiadła brudna warstwa.

Na środku głównego placu był basen o olimpijskich wymiarach otoczony rozkrzyczanymi pielgrzymami, którzy próbowali dostać się do wody, żeby dokonać przepisowej ablucji przed modlitwą. Tłum nie przejawiał najmniejszych oznak miłości bliźniego. Łokcie były w robocie, a celnie wymierzone kopniaki

pomagały niektórym utrzymać pozycję tuż przy basenie. Od czasu do czasu rozlegał się nagły plusk, po którym następował wściekły krzyk pielgrzyma, który dostąpił nieoczekiwanego chrztu.

Ani Mahtab, ani ja nie zamierzałyśmy brać udziału w modlitwie, nie spieszyło się nam więc do brudnej wody. Czekałyśmy na resztę.

Potem rozdzielono nas według płci. Razem z Amme Bozorg, Fereszte, Nastaran i Nelufar podążyłyśmy do części świątyni przeznaczonej dla kobiet. Nie było tyle miejsca, żeby przykucnąć i zdjąć buty, strząsnęłyśmy je więc z nóg i odrzuciłyśmy na rosnącą stertę obuwia.

Mahtab, poszturchiwana ze wszystkich stron, uchwyciła się kurczowo mojej ręki, kiedy weszłyśmy do przestronnej sali, której ściany pokrywały lustra. Z głośników dobiegała muzułmańska muzyka, ale nawet ona nie zagłuszała lamentu tysięcy odzianych w czarne czadory kobiet, które siedząc na podłodze biły się w piersi i śpiewały modlitwy. Łzy żałoby spływały im po policzkach.

Wielkie zwierciadła były oprawione w złoto i srebro; błyski szlachetnego metalu odbijały się w lustrach, a ten przepych ostro kontrastował z czarnymi szatami rozmodlonych kobiet. Obraz i dźwięk wywierały obezwładniające wrażenie.

- Biszen - powiedziała Amme Bozorg - siadaj.

66

Mahtab i ja usiadłyśmy, Nastaran i Nelufar przycupnęły koło nas.

- Biszen - powtórzyła Amme Bozorg.

Za pomocą gestów i kilku podstawowych perskich słów kazała mi patrzeć w lustra. Razem z Fereszte poszły do sąsiedniej sali, do wielkiego ozdobionego ornamentami sarkofagu.

Patrzyłam w lustra. Po chwili odczułam, że wpadam w trans. Lustra odbijające się jedne w drugich stwarzały złudzenie nieskończoności. Muzułmańska muzyka, rytmiczne odgłosy uderzeń w piersi i zawodzące pienia kobiet urzekały wbrew woli. Dla wierzących musiało to być wstrząsające przeżycie.

Nie wiedziałam, jak wiele czasu upłynęło. Zdałam sobie w końcu sprawę, że Amme Bozorg i Fereszte wracają do sali, w której czekałyśmy: Mahtab, Nastaran, Nelufar i ja. Stara matrona podeszła prosto do mnie wydzierając się na cały głos po persku i celując mi w twarz kościstym palcem.

Co ja takiego zrobiłam?

Nic nie rozumiałam z przemowy Amme Bozorg, poza słowem „Amrika”.

Łzy wściekłości płynęły z jej oczu. Sięgnęła ręką pod czador i szarpała się za włosy. Drugą ręką biła się w piersi i po głowie.

Ze złością pokazała nam, że mamy wyjść. Podążyliśmy za nią na dziedziniec meczetu, zatrzymując się na chwilę, żeby zabrać buty.

Mudi i Morteza zakończyli już swoje obrządki i czekali na nas. Amme Bozorg podbiegła do Mudiego wrzeszcząc i waląc się w pierś.

- Co się stało? - zapytałam.

Odwrócił się do mnie i spojrzał w wściekłością.

- Dlaczego odmówiłaś pójścia do horami
- Niczego nie odmawiałam. Co to jest haram?
- Grobowiec. Haram to grobowiec. Nie poszłaś.
- Kazała mi siedzieć i patrzeć w lustro.

Wyglądało na to, jakby awantura z Rej miała się powtórzyć. Mudi tak się rozgniewał, że bałam się, że mnie uderzy. Na wszelki wypadek odepchnęłam Mahtab od siebie. Wiedziałam, że wstrętna starucha oszukała mnie. Chciała skłócić nas z Mudim.

Czekałam, aż Mudi przerwie swoją tyradę. Najuprzejmiej jak tylko umiałam, ale stanowczo, powiedziałam:

- Lepiej przestań i zastanów się, co mówisz. Kazała mi siedzieć i patrzeć w lustro.

Mudi odwrócił się do siostry, którą wciąż miotła furia, wymienili parę słów, a potem powiedział do mnie:

- Mówiła, żebyś siadła i popatrzyła w lustra, ale nie miała na myśli, że masz tam zostać.

Jakże nienawidziłam tej złośliwej kobiety!

67

- Nastaran też nie poszła - odparłam - dlaczego ona nie wścieka się na Nastaran?

Mudi zapytał Amme Bozorg. Był tak zły na mnie, że zaczął tłumaczyć odpowiedź siostry nie pomyślawszy o okolicznościach.

- Nastaran ma okres. Nie mogła...

W tym momencie przypomniał sobie, że ja też jestem niezdrowa.

Logika wzięła górę nad szaleństwem. Natychmiast złagodniał w stosunku do mnie i obrócił gniew przeciw siostrze. Kłócili się przez dłuższy czas i kontynuowali jeszcze dyskusję, kiedy wladowaliśmy się do samochodu, żeby jechać do domu ich brata.

- Powiedziałem jej, że była niesprawiedliwa.

Tym razem Mudi przemówił do mnie łagodnie i ze współczuciem.

- Nie rozumiesz po persku. Powiedziałem jej, że nie jest dość cierpliwa.

I znowu zaskoczył mnie niespodziewanie. Dziś okazał zrozumienie. Jaki będzie jutro?

Zaczął się rok szkolny. Pierwszego dnia nauczyciele w całym Teheranie wyprowadzili dzieci na ulice na masowe demonstracje. Setki uczniów z sąsiedniej szkoły maszerowały koło domu Amme Bozorg krzyżąc chórem wstrętne hasło Marg bar Amrika! i dodając jeszcze jednego wroga: Marg bar Israell

W sypialni Mahtab zatykała sobie uszy, ale krzyk wdzierał się wszędzie.

Co gorsza, ten przykład roli, jaką odgrywa szkoła w życiu irańskich dzieci, zainspirował Mudiego. Był zdecydowany zrobić z Mahtab potulną, irańską dziewczynkę. Po kilku dniach oświadczył niespodziewanie:

- Mahtab pójdzie jutro do szkoły.
- Nie, nie możesz tego zrobić! - krzyknęłam.

Mahtab złapała mnie kurczowo za ramię. Wiedziałam, że się boi rozstania ze mną. Obie wiedziałyśmy również, że słowo „szkoła” oznacza w jakiś sposób utrwalenie obecnego stanu.

Ale Mudi był nieubłagany. Dyskutowaliśmy z nim przez jakiś czas, lecz bez skutku.

W końcu powiedziałam, że chcę najpierw zobaczyć tę szkołę, i Mudi zgodził się.

Po południu poszliśmy na inspekcję do szkoły. Zaskoczył mnie widok czystego nowoczesnego budynku, w pięknym wypielęgnowanym ogrodzie, z basenem i łazienkami w amerykańskim stylu. Mudi powiedział, że to prywatna szkoła - zerówka. Każdy pierwszoklasista musi znaleźć się w szkole państwowej. To byłoby dla Mahtab ostatni rok, w którym może uczęszczać do prywatnej szkoły. Mudi chciał, żeby tak

68

zaczęła, zanim będzie musiała się przenieść do stawiającej większe wymagania szkoły państwowej.

Byłam zdecydowana, że Mahtab zacznie naukę w Ameryce, ale trzymałam język za zębami, kiedy Mudi rozmawiał z dyrektorką i tłumaczył moje pytania.

- Czy ktoś tu zna angielski? - zapytałam. - Mahtab nie mówi zbyt dobrze po persku.

- Tak, ale tej pani w tej chwili nie ma - brzmiała odpowiedź. Mudi powiedział, że chciałby posłać Mahtab do szkoły już od jutra,

ale dyrektorka oświadczyła, że pół roku trzeba czekać na przyjęcie.

Mahtab odetchnęła z ulgą, bo na razie problem był rozwiązany. Kiedy jednak wracaliśmy do domu Amme Bozorg, mój umysł pracował gorączkowo. Gdyby Mudi zdołał wprowadzić w życie swój plan, byłoby to dla mnie początek klęski. To przecież oznacza konkretny krok w kierunku ułożenia naszego życia w Iranie. Ale może okazałby się krokiem w kierunku wolności. Może dobrze byłoby



udawać, że wszystko jest normalnie. Mudi był chorobliwie czujny, śledził każdy mój krok. W obecnych warunkach nie było sposobu, żeby podjąć jakiegokolwiek działania celem wydostania się z Iranu. Zaczęłam sobie uświadamiać, że nie ma innego sposobu nakłonienia Mudiego do złagodzenia rygorów, jak udawanie, że jestem gotowa pogodzić się z perspektywą pozostania tutaj.

Przez całe popołudnie i wieczór, skulona w sypialni, która stała się moją celą, próbowałam ułożyć plan działań. W głowie miałam zamęt, ale zmuszałam się do racjonalnego myślenia. Po pierwsze muszę zadbać o swoje zdrowie. Pokonana przez chorobę i depresję, niewiele jedząc i śpiąc, znajdowałam ulgę w lekarstwach Mudiego. Trzeba z tym skończyć.

Musiałam go jakoś przekonać, żebyśmy się wyprowadzili z domu Amme Bozorg. Cała rodzina pełniła wobec mnie funkcję więziennych strażników. Byliśmy tutaj od sześciu tygodni, i Amme Bozorg i Baba Hadździ odnosili się do mnie z coraz większą pogardą. Baba Hadździ domagał się, żebym brała udział w codziennych modlitwach. Na tym tle doszło do konfliktu z Mudim, który mu wyjaśniał, że studiuje Koran i poznaję nauki islamu na własną rękę. Nie chciał mnie przymuszać do modlitwy. Myśląc o tym doszłam do wniosku, że Mudi naprawdę ma nadzieję, że się tu zaaklimatyzuję.

Z pewnością nie chciał, żeby jego rodzina stale żyła w taki sposób. Od sześciu tygodni nie spaliśmy ze sobą. Mahtab nie mogła ukryć odrazy do ojca. W swoim zamroczonym umyśle musiał sobie uroić, że kiedyś będziemy mogli prowadzić w Iranie normalne życie. Był tylko jeden sposób na uśpienie jego czujności - musiałam go przekonać, że podzielam to złudzenie i że pogodziłam się z decyzją pozostania w Iranie.

Kiedy analizowałam zadanie, jakie przede mną stało, ogarniało

69

mnie zwątpienie. Droga do wolności wymagała, żebym przekształciła się w pierwszorzędną aktorkę. Musiałam sprawić, żeby Mudi uwierzył, że go nadal kocham, choć w rzeczywistości modliłam się o jego śmierć.

Zaczęłam swoją kampanię następnego ranka. Po raz pierwszy od wielu tygodni ułożyłam włosy i umalowałam się. Wybrałam ładną sukienkę, niebieską, pakistańską, z długimi rękawami i falbaną u dołu. Mudi natychmiast zauważył

zmianę i zgodził się na zaproponowaną rozmowę. Znaleźliśmy odosobnione miejsce na placyku za domem, koło basenu.

- Nie czuję się dobrze - zaczęłam - jestem coraz słabsza, nie mogę nawet napisać swojego imienia.

Mudi przytaknął z wyrazem szczerego współczucia. - Nie chcę brać więcej lekarstw.

Mudi zgodził się. Jako osteopata był, ze względów zasadniczych, przeciwny nadużywaniu lekarstw. Powiedział, że próbował mi pomóc w ciężkich chwilach, ale może czas odstawić leki.

Ośmielona jego odpowiedzią, ciągnęłam dalej:

- Pogodziłam się w końcu z myślą, że będziemy mieszkać w Teheranie. Chciałabym, żeby to się zaczęło układać, chcę zorganizować nam tutaj życie.

Mudi przejawiał ostrożność, lecz ja atakowałam dalej.

- Chcę, żebyśmy się tutaj urządzili, ale potrzebuję twojej pomocy. Nie mogę tego zrobić sama. Nie jest to możliwe w tym domu.

- Musisz - odparł podnosząc trochę głos - Amme Bozorg jest moją siostrą. Należy jej się szacunek.

- Nie mogę z nią wytrzymać.

Łzy popłynęły mi z oczu, przybrałam niespodziewanie złośliwy ton.

- Nienawidzę jej. Jest brudna, niechlujna. Kiedy wchodzisz do kuchni, zawsze ktoś je prosto z garnka, a resztki wpadają z powrotem. Podają herbatę w nie mytych filiżankach. W jedzeniu są robaki, w ryżu też, cały dom śmierdzi. Chcesz, żebyśmy tak żyli?

Chociaż ostrożnie to wszystko zaplanowałam, musiałam popełnić błąd i rozgniewałam go.

- Musimy tutaj mieszkać - warknął.

Przez cały ranek ostro się sprzeczałyśmy. Próbowałam zwrócić mu uwagę na brud panujący w domu Amme Bozorg, lecz on lojalnie bronił swojej siostry.

Widząc w końcu, że mój plan się wali, zrobiłam wysiłek, żeby się opanować i przejąć inicjatywę, grając rolę posłusznej żony. Podniosłam skraj sukienki i otarłam łzy falbaną.

- Proszę cię. Chcę, żebyś był szczęśliwy i żeby Mahtab była szczęśliwa. Zrób coś, proszę, żeby mi pomóc. Jeśli mamy zacząć od początku tutaj, w Teheranie, zabierz mnie z tego domu.

70

Na łagodniejsze słowa Mudi zareagował. Wiedział, że mówię prawdę, ale nie umiał pogodzić życzeń swojej żony i swojej siostry.

- Nie mamy dokąd się przenieść - powiedział. Byłam na to przygotowana.
- Zapytaj Rezy, czy możemy u niego zamieszkać.
- Przecież nie lubisz Rezy.
- Ależ lubię. Odkąd przyjechaliśmy do Iranu, jest dla mnie miły. Essej też.
- No dobrze, ale nie wiem, czy to się uda.
- Przecież prosił nas tyle razy, żeby go odwiedzić.
- To tylko ta'arof. Tak naprawdę nie miał tego na myśli.

Ta ar oj'to irański zwyczaj przyjęty w rozmowie, polega na składaniu grzecznych lecz nie traktowanych serio propozycji.

- Dobrze - powiedziałam - daj mu poznać, że wzięłeś jego słowa poważnie.

Przez kilka dni męczyłam Mudiego. Mógł się przekonać, że starałam się być miłsza dla całej rodziny. Poczułam się istotnie podniesiona na duchu, kiedy odstawiłam lekarstwa Mudiego i zaczęłam hartować wolę, przygotowując się do niebezpiecznego zadania, jakie mnie czekało. Mudi powiedział mi w końcu, że Reza dziś wieczorem ma przyjść z wizytą, i pozwolił mi pomówić z nim o przeprowadzce.

- Oczywiście, że możecie się przenieść - odparł Reza - ale nie dzisiaj. Dziś wychodzimy.

Ta'arof.

- A jutro? - nalegałam.

- Na pewno. Pożyczę samochód i przyjedziemy po was. Ta 'arof.

Mudi pozwolił mi zapakować tylko trochę rzeczy z naszego skromnego zapasu ubrań. Nienawisć, jaką Amme Bozorg do mnie żywiła, równała się jej irytacji z powodu naszej planowanej przeprowadzki. Pozostawiając tutaj większość naszych rzeczy Mudi próbował dać jej do zrozumienia, że nasz pobyt w domu Rezy i Essej nie będzie długi. Ale przez cały dzień unikał groźnych spojrzeń siostry.

Następnego dnia o dziesiątej wieczorem Reza jeszcze po nas nie przyjechał, poprosiłam więc Mudiego, żeby pozwolił mi zadzwonić. Stał nade mną, kiedy wybierałam numer.

- Czekamy na ciebie - powiedziałam do Rezy - nie przyjechałeś po nas.

- Ach, byliśmy tak bardzo zajęci. Przyjedziemy jutro. Ta'arof.

- Nie mogę czekać do jutra. Czy moglibyście przyjechać jeszcze dziś wieczorem?

Reza pojął w końcu, że biorę jego obietnicę poważnie.

- Dobrze, przyjedziemy.

71

Kiedy stanął w drzwiach, byłam gotowa do wyjścia, lecz on próbował grać na zwłokę. Przebrał się w piżamę, wypił herbatę, zjadł owoce i wdał się w długą rozmowę z Amme Bozorg. Pożegnalny rytuał całowania, obejmowania i gadania trwał całą godzinę.

Było dobrze po północy, kiedy wreszcie opuściliśmy dom. Po kilku minutach podjechaliśmy pod piętrowy budynek w bocznej uliczce, który był własnością Rezy i jego brata Mammala. Reza i Essej mieszkali na parterze z trzyletnią córeczką Mariam i czteromiesięcznym Mehdim. Mammal, jego żona Nasserin i synek Amir mieszkali na piętrze.

Kiedy zajechaliśmy, Essej sprzątała jak szalona. Zrozumiałam, dlaczego Reza tak się ociągał. Nie spodziewali się żadnych gości, polegając na zasadzie taarof. Mimo to Essej powitała nas serdecznie.

Było tak późno, że natychmiast poszłam do sypialni i przebrałam się w nocną koszulę. Pieniądze i notes z adresami ukryłam pod materacem. Ułożywszy Mahtab do snu, zaczęłam wprowadzać w życie kolejny etap swojego planu.

Zawołałam Mudiego do sypialni i pieszczotliwie dotknęłam jego ramienia.

- Kocham cię za to, że nas tutaj przywiozłeś.

Otoczył mnie delikatnie ramionami, czekając na dalszą zachętę. Minęło sześć tygodni. Przytuliłam się do niego i nadstawiłam twarz do pocałunku.

Przez kolejne minuty robiłam wszystko, co mogłam, żeby nie wymiotować, ale jakoś udało mi się symulować rozkosz. Nienawidzę go, nienawidzę, nienawidzę - powtarzałam sobie przez cały ten ohydny akt.

Ale kiedy wszystko się skończyło, szepnęłam:

- Kocham cię. Taarof!!!

!

72

Następnego ranka Mudi wstał wcześniej, żeby wziąć prysznic, zgodnie z muzułmańskim prawem nakazującym zmyć z siebie nieczystość stosunku płciowego przed przystąpieniem do modlitwy. Hałas lejącej się wody był dla Rezy, Essej, Mammala i Nasserin sygnałem, że między mną a Mudim układa się dobrze.

Było to oczywiście dalekie od prawdy. Współżycie z Mudim stało się po prostu jednym z wielu paskudnych doświadczeń, które musiałam zaliczyć, żeby wywalczyć sobie wolność.

Naszego pierwszego poranka w domu Rezy i Essej Mahtab bawiła się z trzyletnią Mariam wśród ogromnej kolekcji zabawek przysłanych małej przez

wujków mieszkających w Anglii. Na podwórku za domem Mariam miała nawet huśtawkę.

Podwórko stanowiło wysepkę prywatności w samym środku tłumnego, hałaśliwego miasta. Otaczał je trzymetrowy mur z cegły. W środku była nie tylko huśtawka, ale i cedr, drzewko granatu i kilka różanych krzewów. Po murze pięła się winorośl.

Sam dom był położony w kwartale złożonym z podobnych ponurych zabudowań połączonych wspólnymi ścianami. Każdy z domów miał identyczne podwórko. Na tyłach tych podwórek wznosił się kolejny rząd takich samych domów.

Essej była pod wieloma względami znacznie lepszą gospodynią niż Amme Bozorg, ale wszystko było względne. Chociaż przez cały wczorajszy wieczór sprzątała, jej dom, jak na amerykańskie standardy, nadal był brudny. Roilo się od karaluchów. Zakładając buty przed wyjściem musieliśmy najpierw wytrząsać z nich robactwo. Wszędzie panował nieład, a na dodatek śmierdziało moczem, ponieważ Essej kładła małego Mehdiego bez pieluszek wprost na dywanie, a on załatwiał się gdzie popadło. Essej szybko sprzątała odchody, ale mocz wsiąkał w perskie dywany.

Może ten zaduch tak dalece dokuczył Mudiemu - choć on sam się nie przyznał - że tego pierwszego poranka zabrał Mariam, Mahtab

73

i mnie na spacer do pobliskiego parku, odległego od domu o kilka kwartałów. Kiedy wyszliśmy frontowymi drzwiami na wąski chodnik oddzielający dom od ulicy, Mudi był zdenerwowany i spięty. Rozglądał się wokół, żeby się upewnić, że nikt nas nie obserwuje.

Próbowałam nie zwracać na niego uwagi i obserwować szczegóły mojego nowego otoczenia. Ten sam wzór - dwa rzędy domów o płaskich dachach

wciśniętych między podwórka - powtarzał się wielokrotnie, jak tylko mogłam okiem sięgnąć. Setki, może tysiące ludzi wtłoczono w te blokowiska, co sprawiało, że w wąskich uliczkach stale panował gwar.

Był jasny, słoneczny dzień, wrzesień miał się ku końcowi, w powietrzu czuło się już jesień. Kiedy znaleźliśmy się w parku, okazało się, że to przyjemne miejsce wytchnienia po nie kończących się rzędach jednakowych domów. Był to obszerny teren porośnięty trawą, z pięknymi rabatami kwiatów i dobrze utrzymanymi drzewami. Znajdowało się tu kilka ozdobnych fontann, ale były nieczynne. Prądu ledwie starczało dla mieszkańców, a władze nie mogły przecież marnować energii na pompowanie bezużytecznej wody.

Mahtab i Mariam bawiły się wesoło na huśtawkach i zjeżdżalni, ale trwało to krótko, bo Mudi zniecierpliwiony oznajmił, że musimy wracać do domu.

- Dlaczego? - zapytałam - tu jest o wiele przyjemniej.
- Musimy iść - powiedział obcesowo.

Pamiętając o swoim planie, spokojnie się zgodziłam. Chciałam stwarzać jak najmniej konfliktów.

Z biegiem dni przyzwyczaiałam się do cierpkiej atmosfery tego mieszkania i do zgiełku w sąsiedztwie. Przez cały dzień głosy wędrownych sprzedawców wdzierały się przez otwarte okna.

Aszghali, aszghali, aszghali! - wołał śmieciarz zbliżający się ze swoim skrzypiącym wózkiem; przemierzał brudne ulice w podartych, roz-człapanych butach. Gospodynie wybiegały przed domy, żeby zostawić śmieci na chodniku. Czasem, kiedy pozbiarał już śmieci, wracał z prowizoryczną miotłą zrobioną z gałęzi przymocowanych do kija. Zamiatał ulicę, żeby usunąć odpadki porozciągane przez koty i szczury. Ale zamiast pozbierać cuchnące resztki, zmiatał je po prostu do wilgotnych rynsztoków, których nikt chyba nigdy nie czyścił.

Namakie! - krzyczał sprzedawca soli, popychając wózek, na którym piętrzył się kopczyk mokrej, zbrylonej soli. Na jego sygnał kobiety wynosiły resztki suchego chleba, który wymieniały na sól. Handlarz sprzedawał z kolei ten chleb jako paszę dla bydła.

Sabzi! - wołał inny sprzedawca, sunąc powoli półciążarówką wyładowaną szpinakiem, pietruszką, bazylią i inną sezonową zieleniną. Czasem oznajmiał swoje przybycie przez megafon. Jeśli zjawiał się niespodziewanie, Essej musiała pospieszyć owijać się

74

w czador, zanim wybiegła na ulicę po zioła, które handlarz ważył na wadze.

Przybycie owczarza zwiastowały wystraszone głosy beczącego stadka dziesięciu - dwunastu owiec, których kurdiuki dombe zwisały jak krowie wymiona. Owce były często znaczone kółkami jaskrawej opalizującej farby, żeby wiadomo było, do kogo należą. Sam owczarz był po prostu agentem handlowym.

Niekiedy przyjeżdżał na rowerze obdarty mężczyzna, który ostrzył noże.

Essej powiedziała mi, że wszyscy ci ludzie byli bardzo ubodzy, mieszkali prawdopodobnie w prowizorycznych lepiankach.

Jeśli na ulicę przychodziły kobiety, to były to wynędzniałe żebraczki, które dzwoniły do drzwi i prosiły o trochę jedzenia albo parę riali. Trzymając podarte czadory przy samej twarzy, tak że było widać tylko jedno oko, błagały o pomoc. Essej zawsze coś dla nich znajdowała, ale Nasserin, żona Mammala, umiała odmówić najbardziej rozpaczliwej prośbie.

W ogólnym efekcie była to dziwaczna mozaika ludzi wyklętych, mężczyzn i kobiet walczących o przeżycie.

Polubiłyśmy się z Essej, tak jak mogą to uczynić ludzie rzućni w takie dziwne warunki. Tutaj mogliśmy przynajmniej ze sobą rozmawiać. Ulgą dla mnie było znalezienie się w domu, gdzie wszyscy mówili po angielsku. W przeciwieństwie do Amme Bozorg, Essej była wdzięczna, kiedy ofiarowałam się, że pomogę w gospodarstwie.

Dom utrzymywała w nieładzie, ale była sumienną kucharką. Zawsze kiedy pomagałam jej w gotowaniu, byłam pod wrażeniem najlepiej uporządkowanej lodówki, jaką w życiu widziałam. Mięso i jarzyny, oczyszczone, pokrojone, gotowe do użycia były posegregowane i starannie popakowane w plastikowe pudełka. Essej planowała posiłki na miesiąc z góry i miała menu wywieszane w kuchni. Posiłki były przemyślane i przygotowane według podstawowych zasad



higieny. Całe godziny spędzałyśmy na skrupulatnym wybieraniu robactwa z ryżu przed ugotowaniem.

Jakie to było dziwne, że taki zapach budziła we mnie sama możliwość usunięcia robaków z jedzenia! W ciągu dwóch miesięcy moja hierarchia wartości bardzo się zmieniła. Zdałam sobie sprawę, jak bardzo byłam rozpieszczona amerykańskim stylem życia, jak dręczyłam się drobiazgami. Tutaj wszystko było inne. Nauczyłam się już, że nie mogę dopuścić, by drobiazgi z codziennego życia wzięły górę nad ważniejszymi sprawami. Jeśli w ryżu były robaki, należało go przebrać. Jeśli dziecko narobiło na perski dywan, trzeba było posprzątać. Jeśli mąż chciał wcześniej wyjść z parku, należało pójść z nim.

75

Zohre przywiozła Amme Bozorg z wizytą. Ta miała dla nas w podarku poduszkę, co zepsuło Mudiemu humor. Wyjaśnił, że taki prezent daje się gościowi, kiedy wyjeżdża. Aluzja była przejrzysta. Amme Bozorg nie uważała naszego pobytu u Rezy i Essej za tymczasowy. Była obrażona, że wzgardziliśmy jej gościnnością.

Nie było czasu na rozważanie tej kwestii. Zohre podziękowała za herbatę, którą Essej chciała podać.

- Musimy uciekać. Wiozę mamę do hamamu.
- Najwyższy czas - mruknął Mudi. - Jesteśmy tu osiem tygodni, a ona po raz pierwszy bierze kąpiel.

Jeszcze tego samego wieczora Zohre zadzwoniła.

- Da'idżan, proszę cię, przyjeźdź. Mama zachorowała.

Reza poszedł do swojej siostry Ferri o kilka przecznic stąd, pożyczył samochód i wrócił po Mudiego, który był dumny, że zjawi się w domu rodzinnym jako lekarz.

Kiedy jednak wrócił późno w nocy, zaczął się skarżyć na siostrę. Amme Bozorg, zmęczona trudami kąpeli, po powrocie z hamamu położyła się od razu do łóżka, narzekając, że ją bolą kości. Kazała Zohre zmieszać hennę z wodą i posmarować sobie czoło i ręce.

Mudi zastał ją ubraną w całe warstwy odzieży i przywaloną kocami, żeby wypocić z siebie demony. Dał jej zastrzyk przeciwbólowy.

- Wcale nie była chora - mrucał gniewnie - chciała tylko zrobić wielką aferę z pójścia do łaźni.

Reza był wobec mnie wprost zaskakująco uprzejmy. Kiedy wykopałam go z naszego domu w Corpus Christi, miotał różne przekleństwa pod moim adresem. Zapomniał jednak najwyraźniej o naszych dawnych konfliktach, a poza tym, chociaż był zwolennikiem rewolucji irańskiej, zachował dobre wspomnienia z Ameryki.

Pewnego wieczoru spróbował wnieść w nasze życie jakiś amerykański akcent i zabrał nas na pizzę. Byłyśmy z Mahtab podekscytowane i głodne, ale apetyt nam przeszedł, kiedy postawiono przed nami tę pizzę. Jej podstawą był lawasz, suchy, cienki placek tak popularny w Iranie. Na wierzch chlapnięto parę łyżeczek przecieru pomidorowego i rzucono kilka plasterków baraniej kiełbasy. Sera nie było w ogóle. Smakowało to okropnie, ale zjadłyśmy, ile tylko się dało, a ja byłam wdzięczna Rezie za ten gest.

Bratanek Mudiego był zadowolony ze swojej hojności i dumny z wyrafinowanej znajomości zachodniej kultury. Po kolacji złożył propozycję, która odpowiadała moim planom:

- Chcę, żebyś nauczyła Essej gotować po amerykańsku.

Żeby nauczyć Essej, jak przyrządzać stek albo puree z kartofli, trzeba było najpierw odbyć dalekie wyprawy do sklepów w poszukiwaniu

76

rzadko dostępnych składników. Z ogromną ochotą podjęłam się tego zadania, zanim Mudi zdążył się sprzeciwić. Przez następne dni towarzyszył nam jak pies pasterski podczas długich wycieczek na irańskie bazyry. Byłam wciąż czujna i uczyłam się orientacji w mieście. Nauczyłam się korzystać z taksówek oznaczonych kolorem pomarańczowym zamiast z droższych i trudniejszych do znalezienia taksówek na telefon. Szoferem takiej pomarańczowej taksówki może być każdy właściciel samochodu, który chce sobie dorobić parę riali i

przemierza główne ulice z tuzinem pasażerów upchanych w wozie. Taksówki te kursują w miarę regularnie, jak autobusy.

Obecność Mudiego podczas naszych wypraw po zakupy była niepożądana. Miałam nadzieję, że w końcu jego czujność osłabnie i że pozwoli Essej i mnie wychodzić samodzielnie. Może nawet pozwoli mi wyjść razem z Mahtab. Dałoby mi to szansę ponownego nawiązania kontaktu z ambasadą, żeby dowiedzieć się, czy Helen ma dla mnie jakieś listy albo czy Departament Stanu zdołał coś dla mnie zrobić.

Mudi był z natury leniwy. Wiedziałam, że jeśli mi się uda przekonać go stopniowo, że przyzwyczajam się do życia w Teheranie, dojdzie on w końcu do wniosku, że towarzyszenie mi podczas babskich sprawunków jest zbyt męczące.

Jednakże pod koniec drugiego tygodnia naszego pobytu u Rezy i Essej zorientowałam się, że nie mam na to czasu. Każdy dzień przynosił coraz więcej sygnałów, że gospodarze są nami zmęczeni. Mariam była egoistycznym dzieckiem, nie chciała się dzielić z Mahtab swoimi zabawkami. Essej siliła się na gościnność, ale ja zdawałam sobie sprawę, że nasza obecność w zatłoczonych pokojach nie jest mile widziana. Także Reza próbował nadal być miły, ale kiedy wracał po całym długim dniu pracy - a pracował jako księgowy w handlowej spółce Baba Hadździ - widziałam na jego twarzy niezadowolenie z bezczynności Mudiego. Role się odwróciły. W Ameryce Reza był zadowolony z życia na koszt Mudiego. Tutaj nie podobało mu się bynajmniej wspomaganie drogiego wujka. Zaproszenie do domu było tylko zdawkową uprzejmością.

Mudi był oburzony, że Reza ma tak krótką pamięć, ale wolał ustąpić, zamiast nazbyt wykorzystywać swój prestiż wynikający z rodzinnej hierarchii.

- Nie możemy tutaj zostać - powiedział mi - przenieśliśmy się na krótko, żebyś się lepiej poczuła. Musimy wracać. Nie możemy ranić uczuć mojej siostry.

Ogarnęła mnie panika. Błagałam Mudiego, żeby nie zabierał mnie z powrotem do straszego, potwornego domu Amme Bozorg, lecz on był zdecydowany. Wiadomość ta wstrząsnęła też Mahtab. Chociaż wiecznie gniewała się z Mariam, o wiele bardziej wolała ten dom.

Wieczorem modliłyśmy się razem w łazience, żeby Pan Bóg wstawił się za nami.

I tak się stało. Nie wiedziałam, czy to Mudi, widząc nasze przygnębienie, porozmawiał najpierw z Mammalem i Nasserin, w każdym razie przyszli do nas na parter, żeby zaproponować nam nowe rozwiązanie. Zdziwiłam się, że Nasserin mówi płynnie po angielsku - do tej pory ukrywała to przede mną.

- Mammal przez cały dzień jest w pracy, a ja po południu chodzę na uczelnię - powiedziała. - Potrzebujemy kogoś do opieki nad dzieckiem.

Mahtab aż zapiszczała z radości. Amir, roczny synek Nasserin, był miłym, inteligentnym dzieckiem i Mahtab lubiła się z nim bawić. Co więcej, nosił pieluszki.

W Ameryce zniecierpiałam Mammala jeszcze bardziej niż Rezę; Nasserin przez cały mój pobyt w Iranie traktowała mnie pogardliwie, ale okazja przeniesienia się do nich na górę była o wiele atrakcyjniejsza niż powrót do Amme Bozorg. Poza tym ich propozycja nie była taarof. Chcieli, żebyśmy zamieszkali u nich i potrzebowali nas. Mudi zgodził się na przeprowadzkę, ale jeszcze raz ostrzegł mnie, że to tylko na jakiś czas. Wkrótce nadejdzie dzień, kiedy będziemy musieli wrócić do domu jego siostry.

Mieliśmy ze sobą tylko trochę rzeczy, więc ich spakowanie i przeniesienie było prostym zadaniem.

Kiedy targaliśmy nasze bagaże na górę, zobaczyliśmy Nasserin machającą wokół głowy synka kadzielnicą pełną tłących się czarnych ziaren, które wydawały ohydny woń. Chroniła go przed „złym spojrzeniem”, zanim poszedł spać. Pomyślałam sobie, że bajka na dobranoc i szklanka ciepłego mleka byłyby skuteczniejsze, ale trzymałam język za zębami.

Mammal i Nasserin hojnie ofiarowali nam swoją sypialnię, bo na podłodze w drugim pokoju było im tak samo wygodnie, jak w podwójnym małżeńskim łożu. W gruncie rzeczy okazywali całkowitą pogardę dla mebli. W jadalni mieli duży stół z tuzinem krzesel, w salonie nowoczesny, wygodny komplet pokryty zielonym aksamitem. Ignorowali jednak te pozostałości zachodnich gustów szacha. Drzwi od tych pokoi były zamknięte, a gospodarze woleli jeść i rozmawiać na podłodze w hallu, którego całe wyposażenie stanowiły perskie dywany, telefon i niemiecki telewizor kolorowy.

Nasserin utrzymywała dom czystiej niż Essej, ale wkrótce zorientowałam się, że była okropną kucharką, nie miała pojęcia o higienie, żywieniu i smacznym gotowaniu, i nie dbała o to. Kiedy kupiła kawałek baraniny albo kiedy się jej poszczęściło i zdobyła kurę, owijała ją, razem z pierzem i wnętrznościami, w kawałki papieru i wrzucała do zamrażalnika. To samo mięso było potem rozmrażane i zamrażane cztery albo

78

pięć razy, zanim całe zużyła. Zapas ryżu był najbrudniejszy, jaki w życiu widziałam, roiło się w nim nie tylko od czarnych żuczków, ale i białych robaków. Nie zadawała sobie trudu, żeby przemyć ryż przed gotowaniem.

Na szczęście gotowanie spadło wkrótce na mnie. Mammal domagał się irańskiego jedzenia, lecz ja mogłam przynajmniej mieć tę pewność, że będzie ono czyste.

Miałam w końcu coś do roboty. Kiedy Nasserin była na wykładach, zajmowałam się domem: odkurzałam, zamiatałam i szorowałam. Mammal był członkiem rady nadzorczej irańskiej firmy farmaceutycznej, co, jak się okazało, dawało mu dostęp do rzadkich materiałów. W pokoju, gdzie Nasserin przechowywała różne zapasy, pełno było takich luksusów, jak gumowe rękawiczki, tuzin butelek rozcieńczonego szamponu, chyba ponad sto pudełek prawie niemożliwego do zdobycia proszku do prania.

Nasserin ze zdumieniem dowiedziała się, że ściany również można myć, i że ściany w jej domu były pierwotnie białe, a nie szare. Zadowolona była z pomocy domowej na stałe, bo miała dzięki temu więcej czasu nie tylko na studiowanie, ale i na dodatkowe modlitwy i recytacje Koranu. Była pobożniejsza od Essej i nawet w domowym zaciszu cały czas nosiła czador.

Przez kilka pierwszych dni Mahtab z ochotą bawiła się z Amirem, ja gotowałam i sprzątałam, a Mudi zabijał jakoś czas nic nie robiąc. W pewnym sensie byliśmy wszyscy zadowoleni. Mudi przestał mówić o przeprowadzce do Amme Bozorg.

Irańczycy wynajdują wszelkie możliwe sposoby komplikowania sobie życia. Na przykład Mudi wziął mnie pewnego dnia na miasto, żeby kupić cukier, i te proste zakupy stały się całodniową wyprawą. Irańczycy używają do herbaty różnych rodzajów cukru, mają pod tym względem rozmaite gusta. Amme

Bozorg wolała cukier granulowany, który mogła sobie rozsypywać na podłogę. Mammal natomiast kładł sobie kostkę cukru na języku za zębami i przez tę kostkę pił herbatę.

Mammal zaopatrzył Mudiego w kartki, na które mogliśmy kupić zapas cukru różnego rodzaju na kilka miesięcy. Sprzedawca w sklepie sprawdził, czy są ważne, a potem odsypał nam parę kilo sypkiego cukru z piętrzącego się na podłodze stosu, który najwyraźniej zapraszał robactwo na ucztę. Potem przy użyciu młotka odłupał kawał z wielkiej głowy cukru.

W domu musiałam przerobić to na „kostki”. Najpierw rozbiłam na mniejsze kawałki, a potem pocięłam je podobnym do szczypiec narzędziem, od którego porobiły mi się pęcherze na rękach.

Podobne temu zadania wypełniały mi ponure dni października 1984 roku. Wkrótce odnotowałam jednak postęp. Mudi stopniowo coraz

79

mniej mnie kontrolował. W jego opinii gotowałam po irańsku lepiej niż którakolwiek Iranka, wiedział więc, że muszę codziennie robić zakupy w okolicznych sklepach, żeby wybrać jak najświeższe mięso, owoce, warzywa i chleb. Z Mahtab i Amirem, kuląc się od powiewów zimnego jesiennego wiatru, odbywaliśmy co rano wyprawy do różnych sklepów.

Odkryłam coś w rodzaju pizzerii i sklepu z hamburgerami. Ponieważ byłam Amerykanką, sprzedano mi tam dwa kilo rzadko spotykanego irańskiego sera, podobnego do mozarelli. Mogłam dzięki temu przyrządzić niezłą imitację amerykańskiej pizzy. Właściciel tego Pol Pizza Shop powiedział, że zawsze sprzeda mi ten ser - ale tylko mnie. Po raz pierwszy moja narodowość na coś się tu przydała.

Podczas tych pierwszych wypraw Mudi był przy mnie i bacznie mnie obserwował, ale z satysfakcją mogłam zaobserwować postępujące oznaki znużenia.

Raz pozwolił Nasserin zabrać mnie do sklepu, żebym kupiła wełny na sweterek dla Mahtab. Przez całe przedpołudnie polowałyśmy na druty, ale bez skutku.

- Trzeba mieć szczęście, żeby je dostać - powiedziała Nasserin - na razie możesz używać moich.

Spokojnie sterowałam Mudim tak, żeby sam podjął decyzję, że chodzenie po babskie zakupy kosztuje zbyt wiele wysiłku. Zapewniałam podczas gotowania kolacji, że muszę wyskoczyć po jakiś niezbędny składnik potrawy albo po jakiś kuchenny sprzęt.

- Potrzebuję zaraz trochę fasoli - mówiłam.

Albo sera, chleba, czy nawet keczupu, za którym Irańczycy przepadają.

Przez kilka dni, z jakichś nie wypowiedzianych powodów, Mudi był bardziej ponury i posępniejszy niż zwykle, ale musiał chyba dojść do wniosku, że skutecznie zapędził mnie w kąt. Pewnego dnia, zaabsorbowany swoimi własnymi troskami, poskarżył się, że nie ma czasu iść ze mną po zakupy.

- Idź sama - powiedział.

Tutaj pojawiła się jednak inna kwestia. Mudi nie chciał, żebym miała jakieś własne pieniądze, bo pieniądz zapewnia jakąś tam - ograniczoną - wolność (nie był jeszcze świadomy, że mam swój własny majątek).

- Idź najpierw i dowiedz się, ile to kosztuje - powiedział. - Potem, jak wrócisz, dam ci pieniądze i będziesz mogła to kupić.

Zadanie należało do trudnych, ale byłam zdecydowana mu podołać. Wszystko sprzedawano na kilogramy, a miary metryczne były dla mnie równie nieprzeniknione jak język perski. Najpierw brałam ze sobą papier i ołówek i prosiłam sprzedawcę, żeby pisał mi cenę. Stopniowo nauczyłam się odczytywać perskie cyfry.

Ta nużąca procedura okazała się wyrafinowanym uzupełnieniem

mon żaku;

Mmi gniew iść za

poza doir wymówki W końciij iam do kii wypatrując

sobie Szyi

jakie

dozai

Szybki

banknoi i jał

zwrac

ubrań

- D W\ -M -'I

- M Naz;

Kied) połącz -A

Helei

ustalili

u/iai

80

moich planów, bo pozwalała mi dwa razy przy okazji tych samych zakupów, choć na krótko, oddalić się od Mudiego.

Podczas kilku pierwszych wypraw po zakupy bez towarzystwa Mudiego wypełniałam dokładnie jego instrukcje, nie chcąc prowokować gniewu ani podejrzeń. Brałam też pod uwagę ewentualność, że mógłby iść za mną i szpiegować, co robię, by przeniknąć moje zamiary. Potem, kiedy już ustaliła się pewna rutyna, przedłużałam czas nieobecności poza domem, skarżąc się na tłok w sklepach i kiepską obsługę. Były to wymówki usprawiedliwione w tak przeludnionym mieście jak Teheran. W końcu, podczas czwartej czy piątej wyprawy po zakupy, postanowiłam zaryzykować i zadzwonić do ambasady szwajcarskiej. Wsunąwszy do kieszeni kilka riali, pognałam ulicą z Mahtab i Amirem w wózku, wypatrując automatu telefonicznego. Miałam nadzieję, że poradzę sobie z jego obsługą.



Szybko znalazłam telefon, ale oczywiście okazało się, że banknoty, jakie miałam przy sobie, były bezużyteczne. Automat przyjmował tylko dozari, dwurialowe monety wartości około pół centa, i raczej rzadkie. Szybko zajrzałam do kilku sklepów pod rząd, trzymając w ręku banknot i jękając dozari. Sprzedawcy byli zbyt zajęci albo wcale nie zwracali na mnie uwagi, aż w końcu wstąpiłam do sklepu z męskimi ubraniami.

- Dozarf! - zapytałam.

Wysoki ciemnowłosy mężczyzna za ladą przyjrzał mi się i zapytał:

- Mówi pani po angielsku?

- Tak. Potrzebuję drobnych na telefon. Można prosić?

- Może pani skorzystać z mojego telefonu.

Nazywał się Hamid i pochwalił mi się, że kilka razy był w Ameryce. Kiedy zajął się swoją pracą, zadzwoniłam do ambasady i udało mi się połączyć z Helen.

- A więc przekazano pani wiadomość od nas? - zapytała ucieszona.

- Jaką wiadomość?

- Mąż powiedział pani, żeby do nas zadzwonić?

- Nie.

Helen zdziwiła się.

- Och, przecież próbowaliśmy się z panią skontaktować. Pani rodzice zawiadomili Departament Stanu i poproszono nas, żebyśmy ustalili pani aktualny adres i sprawdzili, czy pani i córka mają się dobrze. Kilka razy dzwoniłam do pani szwagierki, ale ona powiedziała, że pojechaliście nad Morze Kaspijskie.

- Nigdy nie byłam nad Morzem Kaspijskim.

- Pani szwagierka stwierdziła, że nie wie, kiedy wrócicie. Powiedziałam, że muszę z panią natychmiast porozmawiać.

Helen wyjaśniła, że jedną z niewielu rzeczy, na jakie władze irańskie pozwoliły Sekcji Interesów USA w mojej sprawie, było zmuszenie

mojego męża do informowania rodziny w Stanach o tym, gdzie przebywamy ja i Mahtab, żeby można było śledzić, czy mamy się dobrze. Powiedziała też, że wysłała do Mudiego dwa listy polecane, każąc przyprowadzić nas do ambasady. Zignorował pierwszy list, ale właśnie dziś rano zadzwonił w odpowiedzi na drugi.

- Nie był zbyt skłonny do współpracy - stwierdziła Helen. Przestraszyłam się. Mudi już wie, że moi rodzice działają przez

oficjalne kanały, robiąc co tylko w ich mocy, żeby mi pomóc. Czyżby z tego powodu był przez ostatnie dni w złym humorze?

Nie miałam odwagi odwlekać powrotu do domu, a poza tym musiałam jeszcze kupić chleb. Ale kiedy odłożyłam słuchawkę, Hamid chciał ze mną przez parę minut porozmawiać.

- Ma pani jakieś problemy? - zapytał.

Do tej pory nie zwierzałam się ze swoich spraw nikomu poza ambasadą. Jedyne kontakty z Irańczykami ograniczały się do członków rodziny Mudiego, stosunek Irańczyków do Amerykanów mogłam oceniać tylko na podstawie reakcji tych ludzi na moją osobę, a odnosili się do mnie z otwartą wrogością i ironią. Czy wszyscy Irańczycy byli tacy? Właściciel Pol Pizza Shop nie był. Ale w jakim stopniu mogłam zaufać jakiemukolwiek Irańczykowi?

Przeżykając łzy, wiedząc, że wcześniej czy później będę musiała szukać pomocy u kogoś spoza rodziny, opowiedziałam całą swoją historię temu obcemu człowiekowi.

- Kiedy tylko będę mógł coś dla pani zrobić, z pewnością pomogę - zapewnił Hamid. - Nie wszyscy Irańczycy są tacy, jak pani mąż. Proszę tu przychodzić, gdy będzie pani chciała skorzystać z telefonu.

I dodał jeszcze:

- Niech mi pani pozwoli sprawdzić parę rzeczy. Mam znajomych w biurze paszportowym.

Dziękując Bogu za Hamida pobiegłam z Mahtab i maleństwem do nanni, piekarni. Musiałyśmy kupić lawasz na kolację, taki był oficjalny cel mojej wyprawy. Stałyśmy jak zwykle w powoli posuwającej się kolejce, patrząc na grupę czterech mężczyzn przy pracy. Cały proces zaczynał się w odległym końcu pomieszczenia, gdzie w wielkiej niecce z nierdzewnej stali, wysokości około czterech stóp i o przekroju ponad sześciu stóp, spoczywała masa ciasta.

Poruszając się rytmicznie, ociekając potem od silnego gorąca otwartego pieca w drugim końcu sali, jeden z mężczyzn nabierał lewą ręką porcję ciasta z kadzi i rzucał na blachę, przycinając ostrym nożem do odpowiedniej wielkości. Ciskał potem ciasto na cementową posadzkę sklepu, gdzie dwóch bosych mężczyzn brodziło w mące pokrywającej podłogę.

Następny mężczyzna, który siedział po turecku na podłodze i kołysał się w rytm recytowanych z pamięci wersetów Koranu, podnosił z ziemi

o2

mokrą bryłę ciasta, obtaczał ją kilka razy w kupce mąki i formował kulę. Potem rzucał ją z powrotem na podłogę, na miejsce w mniej lub bardziej równym rzędzie podobnych kul.

Trzeci podnosił ciasto z tej sterty i kładł na drewnianą stolnicę. Używając długiego drewnianego kołka rozwałkowywał ciasto na płaski placek i kilka razy podrzucał w powietrze, łapiąc na koniec wałka. Szybkim ruchem ręki ciskał placek na wypukłą ramę przykrytą szmatami, którą trzymał czwarty mężczyzna.

Czwarty stał we wgłębieniu w cementowej podłodze. Było mu widać tylko głowę i ręce. Podłoga z przodu wgłębienia była wyścielona szmatami, żeby ochronić ciało mężczyzny od gorąca otwartego pieca. Wciąż tym samym posuwistym ruchem wyjmował gotowe już porcje lawasz.

Tego dnia czekałyśmy na nasz lawasz dłużej niż zwykle. Niepokoiłam się, jak zareaguje Mudi.

Kiedy przyszła nasza kolej, położyłyśmy pieniądze i wzięłyśmy z podłogi świeżo upieczony lawasz, niosąc go do domu bez opakowania.

W drodze do domu tłumaczyłam Mahtab, że musi trzymać w tajemnicy przed tatusiem wizytę u Hamida i telefon. Ale mój wykład nie był potrzebny. Pięcioletnie dziecko już wiedziało, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem.

Mudi coś podejrzewał w związku z naszą długą nieobecnością. Wyłgałam się na swój sposób z tego kłopotu, mówiąc, że stałyśmy w długiej kolejce w jednej piekarni, ale chleb się skończył i musiałyśmy pójść do drugiej.

Nie wiem, czy dlatego, że wątpił w moje słowa, czy też dlatego, że listy z ambasady go zaalarmowały, w każdym razie przez kilka następných dni zachowywał się wrogo i szukał zwady.

Kolejny problem stworzył list mojej zdenerwowanej matki. Do tej pory Mudi przechwytywał wszystkie listy wysyłane przez moją niespokojną rodzinę i przyjaciół. Teraz jednak z jakiegoś powodu przyniósł mi nie otwartą kopertę zaadresowaną pismem Mamy. Pierwszy raz od przyjazdu do Iranu widziałam jej pismo. Mudi usiadł koło mnie na podłodze i zaglądał mi przez ramię, kiedy czytałam. Mama pisała:

Kochana Betty, kochana Mahtab,

Bardzo się o was niepokoiłiśmy. Przed waszym wyjazdem miałam zły sen, śniło mi się, że to się może zdarzyć, że on was tam zabierze i nie pozwoli wrócić. Nigdy ci o tym nie mówiłam, bo nie chciałam się wtrącać.

Teraz śniło mi się, że Mahtab straciła nóżkę od wybuchu bomby. Jeśli cokolwiek złego przydarzy się którejś z was, on powinien czuć się winny. To wszystko przez niego...

83

Mudi wyrwał mi list z ręki.

- To stek bzdur! - wrzasnął. - Nigdy więcej nie dam ci żadnego listu od nich ani nie pozwolę ci z nimi rozmawiać.

Przez następných kilka dni towarzyszył nam na zakupach, a ja drżałam ze zdenerwowania, ilekroć mijaliśmy sklep Hamida.

Jak do tej pory Mudi nie pamiętał chyba, że poza Iranem istnieje jeszcze jakiś świat, ale konsekwencje własnego braku odpowiedzialności dosięgnęły go aż z drugiej półkuli.

Przed wyjazdem z Ameryki Mudi wpadł w szal zakupów. Nie wiedziałam wtedy, że kupił na kartę kredytową hojne upominki dla swoich krewnych za ponad cztery tysiące dolarów. Podpisaliśmy umowę na wynajęcie domu w Detroit, ale nie było na miejscu nikogo, kto płaciłby właścicielowi regularnie co miesiąc sześćset dolarów. Nikt nie opłacał świadczeń. W tej chwili zalegaliśmy już nawet z podatkami.

Mieliśmy wciąż majątek nagromadzony przez lata dochodowej praktyki Mudiego. Mudi w tajemnicy przede mną podjął większą gotówkę z banku przed wyjazdem do Iranu, ale nie chciał likwidować wszystkich kont, bo to z pewnością zaalarmowałoby mnie i zwróciło uwagę na jego plany. Mieliśmy dom pełen drogich mebli i dwa samochody. Na naszych kontach znajdowało się kilkadziesiąt tysięcy dolarów i Mudi zamierzał przetransferować te pieniądze do Iranu.

Nie miał pojęcia, że wysłałam do Departamentu Stanu dokumenty z zupełnie innymi poleceniami. Nie miał też zamiaru płacić swoich należności w Ameryce. Nie chciał zwłaszcza ani jednym swoim groszem wspomagać amerykańskiego skarbu państwa.

- Nie zapłacę ani grosza podatków w Ameryce - zarzekał się.
- Koniec z tym. Nie dostanę więcej moich pieniędzy.

Mudi wiedział jednak, że jeśli nie ureguluje zaległych płatności, nasi wierzyciele mogą w końcu wytoczyć proces i odzyskać swoje pieniądze wraz z odsetkami i karami. Każdy mijający dzień uszczuplał nasze konta.

- Twoi rodzice powinni wszystko sprzedać i wysłać nam pieniądze
- zrzędził Mudi, jak gdyby bałagan w sprawach finansowych był moją winą i jakby moi rodzice mieli obowiązek tym się zająć.

Mudi był typem niezdolnym do działania, a z każdym mijającym dniem nasz powrót do Ameryki stawał się coraz mniej prawdopodobny. Skomplikował

swoje i nasze życie w taki sposób, że doprowadzenie go do ładu stało się niemożliwe.

Po powrocie do Ameryki zostałby osaczony przez wierzycieli, a ja wystąpiłabym o rozwód, wiedział o tym dobrze.

Ale tutaj, w Iranie, jego lekarski dyplom był, jak do tej pory, bez wartości. Presja, pod jaką się znajdował, była dla niego nie do zniesienia,

84

co przejawiało się w narastającej drażliwości, której ofiarą padało otoczenie. Mahtab i ja odsunęliśmy się od niego jeszcze bardziej, unikając w miarę możliwości nawet powierzchownych kontaktów. W niespokojnych oczach Mudiego czaiła się groźba.

Robotnicy budowlani zaczęli naprawiać kanalizację w sąsiedztwie. Przez dwa dni byliśmy pozbawieni wody. Rosły stosy brudnych naczyń. Co gorsza, nie mogłam dokładnie wymyć produktów żywnościowych. Słyszając moje skargi, Mammal zaproponował, że zabierze nas następnego wieczora do restauracji. Rodzina Mudiego prawie nigdy nie jadła w lokalach, spodziewaliśmy się więc nadzwyczajnej gali. Zamiast przygotowywać kolację, Mahtab i ja przez całe popołudnie robiłyśmy wszystko, żeby wyglądać najlepiej jak tylko się dało w tych warunkach. Byłyśmy gotowe, kiedy Mammal wrócił z pracy, ale przyszedł zmęczony i w złym humorze.

- Nie, nigdzie nie idziemy - powiedział. Znowu ta'arof.

Byłyśmy rozczarowane. Tak mało nam było trzeba, żeby rozjaśnić to życie.

- Weźmy taksówkę i jedźmy sami - powiedziałam do Mudiego, kiedy razem z Mahtab siedzieliśmy w hallu.

- Nie, nie wyjdziemy - odparł.

- Słucham?

- Mówię, że nie. Jesteśmy w ich domu. Nie możemy wyjść bez nich. Oni nie chcą wychodzić, więc coś ugotuj.

Rozczarowanie, jakiego doznałam, sprawiło, że opuściła mnie czujność. Zapominając o tym, jak bezsilna jestem w mojej sytuacji, i dając upust nagromadzonej złości, odgryzłam się:

- Wczoraj była mowa o tym, że wyjdziemy zjeść coś na mieście. Teraz Mammai nie chce iść.

Mammai zaczęłam uważać za główną przyczynę wszystkich moich kłopotów. To on przecież zaprosił nas do Iranu. Miałam przed oczami jego fałszywie uśmiechniętą twarz i pamiętałam, jak zapewniał mnie w Detroit, że jego rodzina nigdy nie pozwoli Mudiemu, żeby zatrzymał mnie w Iranie wbrew mojej woli.

Wstałam. Patrząc z góry na Mudiego wypowiedziałam tłumione dotąd słowa:

- To oszust! To zwykły oszust!

Mudi zerwał się na równe nogi. Twarz miał ściągniętą grymasem wściekłości.

- Nazywasz Mammai oszustem?! - krzyknął.

- Tak, nazywam go oszustem - zawołałam. - I ty też jesteś oszustem. Obaj mówiliście, że...

85

Mój wybuch został przerwany potężnym ciosem pięści Mudiego; uderzył mnie w prawą stronę głowy. Zachwiałam się na nogach, zbyt oszołomiona, żeby od razu poczuć ból. Zdołałam zauważyć, że Mammai i Nasserin weszli do pokoju zobaczyć, co to za zamieszanie, słyszałam przerażony krzyk Mahtab i wściekłe przekleństwa Mudiego. Hall wirował mi przed oczami.

Zataczając się poszłam schronić się do sypialni, mając nadzieję, że zamknę się tam i przeczekam, aż złość Mudiego przejdzie. Za mną biegła płacząca Mahtab.

Znalazłam się u drzwi sypialni z Mahtab następującą mi na pięty, ale Mudi był już za nami. Mahtab próbowała wcisnąć się między nas, lecz Mudi brutalnie ją odepchnął. Jej małe ciało uderzyło o ścianę, krzyknęła z bólu. Odwróciłam się do niej, ale Mudi jednym ciosem rzucił mnie na łóżko.

- Ratunku! - krzyczałam. - Mammai, na pomoc!

Mudi lewą ręką złapał mnie za włosy. Drugą zwiniętą w pięść walił mnie raz za razem po głowie.

Mahtab przybiegła na pomoc, ale znowu ją odepchnął.

Walczyłam, żeby uwolnić się z jego uścisku, lecz był zbyt silny. Otwartą dłońią uderzył mnie w policzek.

- Zabiję cię! - ryczał.

Zdołałam go kopnąć i częściowo się uwolnić, próbowałam rzucić się do ucieczki, ale Mudi wymierzył mi tak silnego kopniaka w plecy, że paralizujący ból przebiegł mi po krzyżu.

Mahtab szlochła w kącie, ja byłam zdana na jego łaskę i niełaskę, przystąpił więc do bardziej metodycznego bicia, tłukąc mnie pięściami po ramionach, ciągnąc za włosy i policzkując. Przez cały czas przeklinał i krzyczał;

- Zabiję cię! Zabiję!

- Ratunku! - błagałam - niech mi ktoś pomoże!

Ani Mammai, ani Nasserin nie próbowali interweniować. Nie zrobili tego Reza i Essej, którzy musieli wszystko słyszeć.

Nie wiedziałam, przez ile minut okładał mnie kułakami. Czekałam na utratę świadomości, na śmierć, którą mi obiecał.

Ciosy stopniowo słabły. Przerwał, żeby zaczerpnąć tchu, ale wciąż przytrzymywał mnie na łóżku. Mahtab gdzieś obok zanosila się płaczem.

- Daidżan - rozległ się cichy głos od strony drzwi - daidżan. To był Mammai. Nareszcie.

Mudi podniósł głowę, usłyszał, jak się zdawało, ten cichy głos dochodzący z normalnego świata.

- Daidżan - powtórzył Mammai.

Delikatnie odsunął Mudiego ode mnie i wyprowadził do hallu. Mahtab podbiegła i ukryła twarz na mojej piersi. Połączył nas wspólny ból, nie tylko fizyczny, ale głębszy, ukryty w sercu. Płakałyśmy



i zachłystywałyśmy się powietrzem, ale żadna z nas nie była w stanie odezwać się przez wiele minut.

Ciało dokuczało mi jak jedna wielka rana. Od ciosów Mudiego miałam na głowie dwa guzy tak wielkie, że bałam się, iż doznałam poważnego urazu. Bolały mnie ręce i plecy. Jedna noga bolała tak mocno, że wiedziałam, że będę kuleć przez parę dni. Jak też może wyglądać moja twarz?

Po jakimś czasie Nasserin weszła na palcach do pokoju - żywy wzór pokornej irańskiej kobiety, przytrzymującej lewą ręką czador na głowie. Mahtab i ja wciąż szlochałyśmy. Nasserin usiadła na łóżku, objęła mnie.

- Nie przejmuj się - powiedziała - wszystko jest w porządku.
- W porządku? - powiedziałam z niedowierzaniem - to w porządku, że on mnie tak bije? To w porządku, że mówi, że mnie zabije?
- On cię nie zabije.
- On mówi, że tak. Dlaczego mi nie pomogłaś? Dlaczego nic nie zrobiliście?

Nasserin próbowała uspokajać mnie, jak tylko mogła, pomóc mi, żebym się nauczyła reguł gry panujących w tym strasznym kraju.

- Nie możemy się wtrącać. Nie możemy wystąpić przeciw daidżan. Mahtab uważnie słuchała. Patrząc w jej załzawione oczy, po których

widać było, że próbuje pojąć całą tę sytuację, poczułam, jak znów po moim obolałym krzyżu przeszedł dreszcz na okropną myśl; a gdyby tak Mudi naprawdę mnie zabił? Co się wtedy stanie z Mahtab? Czy ją również zabije? Czy też jest na tyle mała i podatna na wpływy, że w miarę dorastania zaakceptuje to szaleństwo jako normę? Czy stanie się taką kobietą jak Nasserin albo Essej, będzie ukrywać swoją urodę, umysł i duszę pod czadorem? Czy Mudi wyda ją za mąż za kuzyna, który będzie ją bił i płodził z nią upośledzone dzieci o tępym spojrzeniu?

- Nie możemy wystąpić przeciwko wujkowi - powtórzyła Nasserin - Teraz wszystko jest znowu w porządku. Wszyscy mężczyźni są tacy.

- Nie - powiedziała ostro - nie wszyscy mężczyźni są tacy.
- Ależ tak - zapewniała mnie - Mammal robi ze mną to samo. Reza robi z Essej to samo. Wszyscy są tacy.

Mój Boże - pomyślałam sobie - co dalej?

87

—  
/•

Przez kilka dni utykałam i nie czułam się na tyle dobrze, żeby móc pokonać nawet krótką odległość dzielącą dom od sklepów. Nie chciałam też, żeby mnie ktoś widział. Nawet chusta nie mogła zasłonić sińców na mojej twarzy.

Mahtab jeszcze bardziej odsunęła się od ojca. Co noc przed zaśnięciem długo płakała.

Mijały dni pełne napięcia. Mudi był ponury i wyniosły, Mahtab i ja 1 żyłyśmy w strachu, poczucie bezsilności i beznadziejność naszego położenia ciążyły nam bardziej niż kiedykolwiek. To ciężkie pobicie wskazywało, jak wielkie ryzyko miałam przed sobą. Moje sińce były dowodem, że Mudi jest na tyle szalony, że gotów byłby zabić mnie - albo nas obie - gdyby cokolwiek wywołało jego gniew. Dalsza realizacja moich, tak niesprecyzowanych jeszcze, planów ucieczki, oznaczała narażanie nas na coraz większe niebezpieczeństwo. Nasze życie zależało od kaprysu Mudiego.

Kiedy musiałam mieć z nim w jakiś sposób do czynienia - mówić do niego, patrzeć, czy nawet myśleć o nim - umacniałam się w swoim postanowieniu. Znałam tego człowieka zbyt dobrze. Przez lata mogłam obserwować, jak ogarnia go szaleństwo. Usiłowałam nie pozwalać sobie na luksus rozpamiętywania nauk po szkodziu, bo prowadziło to tylko do

obezwładniającego uzalania się nad sobą, ale przywoływanie przeszłości było nieuniknione. Gdybym wcześniej, zanim znaleźliśmy się w samolocie do Teheranu, działała zgodnie z tym, co podpowiadały mi moje lęki... Ilekroć o tym pomyślałam, a myślałam często, tym bardziej czułam się złapaną w pułapkę.

Mogłam wyliczyć wiele przyczyn, które nas tu sprowadziły: finansowych, prawnych, uczuciowych, nawet zawodowych. Ale jedna nad wszystkimi górowała - przywiozłam Mahtab do Iranu, czyniąc rozpaczliwy wysiłek, żeby zapewnić jej wolność. Ironia losu była teraz zbyt oczywista.

88

Czy mogę przyzwyczać się do życia w Iranie, żeby oddalić niebezpieczeństwo od Mahtab? Ciężko. Nie miało dla mnie większego znaczenia to, że Mudi tego czy innego dnia potrafił być spokojny i czarujący. Wiedziałam, że jego szaleństwo nieuchronnie weźmie górę. Chcąc ratować życie Mahtab, musiałam ją narazić, nawet gdyby trzeba było podjąć duże ryzyko.

Gniew Mudiego w żadnym wypadku nie skłonił mnie do kapitulacji, lecz ostatecznie zahartował moją wolę. Pomimo nieuciążliwych w gruncie rzeczy codziennych zajęć, każda moja myśl, każde działanie zmierzało do jednego celu.

Mahtab umacniała moje zdecydowanie.

Kiedy byliśmy razem w łazience, szlochała cichutko i błagała mnie, żebym zabrała ją od tatusia do domu, do Ameryki.

- Wiem, jak możemy dostać się do Ameryki - powiedziała kiedyś
- kiedy tatuś pójdzie spać, wymkniemy się z domu, pojedziemy na lotnisko i wsiądziemy do samolotu.

Dla pięciolatki życie może być tak proste. I tak skomplikowane.

Modliłyśmy się coraz żarliwiej. Chociaż przez wiele lat nie chodziłam do kościoła, teraz wróciła mi głęboka wiara w Boga. Nie mogłam pojąć, dlaczego tak ciężko nas doświadczył, ale wiedziałam, że nie pozbędziemy się tego brzemienia bez Jego pomocy.

Pewna pomoc przyszła od Hamida, właściciela sklepu z męską odzieżą. Kiedy zawędrowałam tam po raz pierwszy po pobiciu, zapytał:

- Co się pani stało? Opowiedziałam mu wszystko.
- On musi być szalony - Hamid mówił powoli, ważąc słowa.
- Gdzie mieszkacie? Mógłbym postać kogoś, żeby się nim zajął.

Była to możliwość warta rozważenia, ale po namyśle doszliśmy do wniosku, że Mudi mógłby się zorientować, że mam nieznaną przyjaciół.

Kiedy wyzdrowiałam i zaczęłam częściej wychodzić, zaglądałam przy każdej okazji do sklepu Hamida, żeby zadzwonić do Helen do ambasady i żeby porozmawiać z nowym przyjacielem o swoim losie.

Hamid, były oficer armii szacha, żył teraz w głębokiej konspiracji.

- Irańczycy pragnęli rewolucji - zapewniał mnie spokojnie - ale nie pragnęli tego
- wskazał na tłum ponurych ludzi snujących się po ulicach islamskiej republiki ajatollaha.

Hamid też szukał jakiegoś sposobu, żeby razem z rodziną wydostać się z Iranu. Musiał najpierw załatwić wiele spraw. Musiał sprzedać sklep, zlikwidować konta, przedsięwziąć niezbędne środki ostrożności, ale był zdecydowany uciec, zanim jego przeszłość wyjdzie na jaw.

- Mam wielu wpływowych przyjaciół w Stanach Zjednoczonych
- powiedział - robią dla mnie, co tylko mogą.

Powiedziałam mu, że moja rodzina i przyjaciele w Stanach też robili

89

-

! ' '

dla mnie wszystko, co było w ich mocy. Ale najwyraźniej mało można było zdziałać poprzez oficjalne kanały.

Możliwość korzystania z telefonu Hamida bardzo się przydawała. Chociaż informacje z ambasady - a raczej ich brak - były zniechęcające, nadal był to jedyny kontakt z domem. Przyjaźń Hamida miała jeszcze inne znaczenie. On

pierwszy pokazał mi, że wielu Irańczyków nadal ceni zachodni styl życia i zżyma się na pogardliwą postawę obecnego rządu wobec Stanów Zjednoczonych.

'Z- upływem czasu przekonałam się, że Mudi nie był tak wszechmocny, jak sobie wyobrażał. Niewiele udało mu się zdziałać, żeby uzyskać pozwolenie na wykonywanie zawodu lekarza w Iranie. Amerykańskie dyplomy w wielu przypadkach zapewniały mu prestiż, ale w urzędach republiki ajatollaha spotkał się z określonymi uprzedzeniami.

Nie zajmował też wysokiej pozycji w skomplikowanej hierarchii rodzinnej. Podlegał starszym od niego krewnym, tak jak jemu podlegali młodszy. Nie mógł wymigiwać się od rodzinnych zobowiązań, co zaczęło teraz działać na jego korzyść. Krewni zainteresowali się, co się stało z Mahtab i ze mną. Przez pierwsze dwa tygodnie zaprezentował swoją żonę i dziecko wszystkim co do jednego. Różni krewniacy chcieli nas znowu zobaczyć. Mudi wiedział, że nie może stale trzymać nas w ukryciu.

Z niechęcią przyjął zaproszenie na kolację do agi (pana) Hakima, którego bardzo poważał. Byli kuzynami spokrewnionymi przez skomplikowane układy rodzinne. Na przykład siostrzeniec agi Hakima był mężem siostry Essej, a siostrzenica - żoną brata Essej. Zia Hakim, którego spotkaliśmy na lotnisku, też był krewnym agi Hakima - pierwszego, drugiego lub trzeciego stopnia. Chanum (pani) Hakim, jego żona, była także kuzynką Mudiego. Cały ten łańcuch ciągnął się w nieskończoność.

Więzy rodzinne nakazywały szacunek, ale tym, co dawało adze Hakimowi największą władzę nad Mudim, był jego status „człowieka w turbanie”, zarządzającego meczetem Niaravan koło pałacu szacha. Uczył też na Uniwersytecie Teologicznym w Teheranie. Był poważanym autorem książek na temat islamu i przetłumaczył z arabskiego na perski wiele prac dydaktycznych autorstwa Tagati Hakima, dziadka Hakima i Mudiego. Podczas rewolucji dowodził udaną akcją zajęcia pałacu szacha, dzięki temu wyczynowi jego zdjęcie znalazło się w „Newsweeku”. Do tego jeszcze jego małżonka nosiła zaszczytny tytuł Bibi Hadździ, „pani, która była w Mekce”.

Mudi nie mógł odrzucić tego zaproszenia.

- Musisz założyć czarny czador - przykazał mi - nie możesz pokazać się bez niego w tamtym domu.

90

Dom Hakimów w Niaravan, eleganckiej dzielnicy północnego Teheranu, był nowoczesny i przestronny, ale prawie całkiem pozbawiony mebli. Cieszyłam się z tej wyprawy, ale ubranie, jakie musiałam przywdziać, psuło mi humor, spodziewałam się poza tym nudnego wieczoru w towarzystwie jeszcze jednego człowieka w turbanie.

Aga Hakim był szczupły, kilka cali wyższy od Mudiego, miał gęstą siwiejącą brodę, cały czas ujmująco się uśmiechał. Nosił się na czarno, czarny też był jego turban. To miało istotne znaczenie. Inni ludzie w turbanach nosili przeważnie turbany białe. Czarny turban oznaczał, że aga Hakim wywodzi się w prostej linii od proroka Mahometa.

Ku mojemu zdziwieniu nie okazał się aż tak bardzo święty, ba; mówiąc do mnie patrzył mi prosto w oczy.

- Dlaczego nosisz czador? - zapytał za pośrednictwem Mudiego.
- Myślałam, że muszę.

Mudi musiał być zakłopotany słowami agi Hakima, ale przetłumaczył je.

- W czadorze nie jest ci wygodnie. To nie muzułmański tylko perski zwyczaj. W moim domu nie musisz nosić czadoru.

Przypadł mi do serca.

Aga Hakim zapytał o moją rodzinę w Ameryce - pierwszy Irańczyk, który to zrobił. Opowiedziałam mu, że mój ojciec umiera na raka i że bardzo się martwię o niego, a także o matkę i synów.

Współczująco skinął głową. Rozumiał siłę więzi rodzinnych.

Mudi chował w zanadrzu coś dla Mahtab i oznajmił jej to w specyficznym okrutny sposób. Bez żadnych wstępów oświadczył pewnego ranka:

- No dobrze, Mahtab, dziś idziemy do szkoły.

Obie zalałyśmy się łzami, bałyśmy się bowiem wszystkiego, co mogłoby nas choć na moment rozłączyć.

- Nie każ jej iść - błagałam.

Mudi jednak nalegał. Powiedział, że Mahtab ma się nauczyć, jak się przystosować, a szkoła stanowi niezbędny pierwszy krok. Do tej pory poznała już język na tyle, że może się porozumieć z innymi dziećmi. Czas na szkołę.

Nie chciało mu się dłużej czekać na otwarcie szkoły prywatnej, w której już byliśmy. Jego siostrzenica Feri, nauczycielka, zapisała Mahtab do klasy zerowej w państwowej szkole. Mudi podkreślił, że trudno było o miejsce w zerówce, ale dzięki protekcji Feri udało się to załatwić.

- Pozwól, że pójdę z wami - poprosiłam, a on ustąpił.

Grubo ubrani dla ochrony przed silnym jesiennym wiatrem wiejącym od północnych gór, podeszliśmy do ulicy Szariatiego, odległej o kilka

91

przecznic od domu Mammala. Tam Mudi przywołał pomarańczową taksówkę. Wcisnęliśmy się do środka z pół tuzinem Irańczyków i pojechaliśmy na miejsce, co trwało jakieś dziesięć minut.

Madrase (szkoła) Zajnab mieściła się w niskim cementowym budynku pomalowanym na ponury ciemnozielony kolor. Z zewnątrz wyglądało to jak forteca. W środku kręciły się dziewczynki w różnym wieku, ubrane na czarno i ciemnoszaro, w chustkach rusari na głowach. Mahtab i ja szłyśmy niepewnie za Mudim przez ciemny korytarz. Na widok Mudiego zjawiała się zaniepokojona woźna. Szkoła była wyłącznie żeńska. Woźna szybko zapukała do drzwi biura, uchyliła je troszkę i ostrzegła, że zbliża się mężczyzna.

Mahtab i ja stałyśmy nieśmiało z boku, kiedy Mudi rozmawiał z dyrektorką, przytrzymującą oburącz czarny czador tuż przy twarzy. Słuchając go miała wzrok wbity w ziemię, od czasu do czasu spoglądała na mnie, ale nigdy na mężczyznę, który stał przed nią. Po kilku minutach Mudi obrócił się do mnie i burknął:

- Ona mówi, że moja żona nie wygląda na zbyt zadowoloną. Wzrokiem nakazywał mi posłuszeństwo, lecz ja ponownie - kiedy

chodziło przede wszystkim o dobro Mahtab - znalazłam się, żeby mu się przeciwstawić.

- Nie podoba mi się ta szkoła - powiedziałam - chciałabym zobaczyć klasę, w której Mahtab ma się uczyć.

Mudi zamienił kilka słów z dyrektorką.

- Chanum Szahin pokaże ci - powiedział. - To żeńska szkoła, mężczyznom nie wolno dalej wchodzić.

Chanum Szahin była młoda, w wieku dwudziestu paru lat, pod czadorem wyglądała atrakcyjnie, moje nieprzyjazne spojrzenie napotkało na szczerą życzliwość w jej wzroku. Była jedną z nielicznych Iranek, jakie dotąd widziałam, które nosiły okulary. Porozumiewałyśmy się, jak tylko się dało, przy użyciu gestów i kilku podstawowych słów w farsy.

Przeraziło mnie zarówno wyposażenie szkoły, jak i jej funkcjonowanie. Słyśmy przez obskurne korytarze, mijając wielki portret nachmurzonego ajatollaha i niezliczone plakaty sławiące czyny wojenne. Figurował na nich przeważnie dzielny żołnierz dumnie stojący obok karabinu, szczyjący się zakrwawionym bandażem, który opasywał mu czoło.

Uczennice siedziały stłoczone na długich ławkach, chociaż mało rozumiałam po persku, metoda nauczania była na tyle prosta, że mogłam ją pojąć. Polegało to na wkuwaniu na pamięć - nauczycielka recytowała zdanie, a uczennice powtarzały je chórem.

Dopóki nie zobaczyłam szkolnej łazienki, jednej na pięćset uczennic, wydawało mi się, że wiem, jak brudno może być w Iranie. Było to maleńkie pomieszczenie z otwartym na oścież oknem, przez które wpadał wiatr, deszcz, muchy i komary. Rolę ustępu pełniła dziura

92

w podłodze, z której większość użytkowniczek korzystała najwyraźniej na chybił trafił. Zamiast papieru toaletowego był kranik z lodowatą wodą.



Kiedy wróciłyśmy do biura, powiedziałam do Mudiego:

- Nie wyjdę stąd, dopóki sam nie obejrzy tej szkoły. W głowie mi się nie mieści, że mógłbyś zostawić własną córkę w takim miejscu.

Mudi zapytał, czy mógłby obejrzeć szkołę.

- Nie - powiedziała po persku chanum Szahin - mężczyznom nie wolno.

Przemówiłam głośniej i żądajaco, głosem zlekceważonej matki.

- Nie wyjdziemy stąd, dopóki nie zobaczysz szkoły! - powtórzyłam. Dyrektorka ustąpiła w końcu. Wysłała przodem woźną, żeby

uprzedzić nauczycielki i uczennice o wkroczeniu mężczyzny na zakazane terytorium. Zabrała potem Mudiego na obchód szkoły, podczas gdy ja i Mahtab czekałyśmy w biurze.

- Miałaś rację - przyznał Mudi po powrocie - mnie się też tutaj nie podoba. To straszne. Ale tak w tym kraju wyglądają szkoły i mała tu będzie uczęszczać. Tu jest lepiej niż w szkole, do której ja chodziłem.

Mahtab przyjęła to do wiadomości cicho, pogrążona w myślach. Łzy wisały w powietrzu. Odetchnęła z ulgą, kiedy Mudi powiedział:

- Nie mogą jej dzisiaj przyjąć. Zacznie jutro.

Kiedy jechaliśmy taksówką do domu, Mahtab błagała ojca, żeby nie kazał jej chodzić do tej szkoły, lecz on był nieugięty. Całe popołudnie przepłakała w moich ramionach.

- Panie Boże - modliła się w łazience - spraw, żeby coś się stało, żebym nie musiała iść do tej szkoły.

Kiedy słuchałam modlitwy swego dziecka, coś przyszło mi do głowy, może przypadkiem, może za sprawą inspiracji. Przypomniałam sobie jedną z podstawowych nauk katechizmu dotyczących modlitwy i teraz powiedziałam o tym Mahtab.

- T3óg odpowiada na nasze modlitwy, ale nie zawsze w taki sposób, jak sami chcemy, żeby odpowiedział. Może będziesz musiała pójść do szkoły i może Pan

Bóg chce, żeby tak się stało. Może z chodzenia do tej szkoły wyniknie w końcu co dobrego.

Mahtab nie dała się pocieszyć, ale ja poczułam, że ogarnia mnie jakiś spokój. Może naprawdę wyniknie z tego coś dobrego. Obie nienawidziłyśmy narzuconego przez podjęcie nauki w szkole poczucia, że coś się utrwaliło, że tu zostajemy. Zdałam sobie jednak sprawę, że dzięki szkole Mahtab będzie przez sześć dni w tygodniu zajęta od ósmej rano do południa. Codziennie z wyjątkiem piątku będziemy miały pretekst do wyjścia z domu, a wtedy kto wie, jakie możliwości się otworzą?

93

Wszyscy troje wstaliśmy wcześniej następnego ranka i sam ten fakt stał się dla mnie dodatkowym powodem do optymizmu na dłuższą metę. Do tej pory Mudi podniósł swój status wujka daldżan do roli duchowego mistrza tego domu. Wstawał przed świtem i sprawdzał, czy wszyscy (z wyjątkiem Mahtab i mnie) uczestniczą w modlitwach. Była to czysta formalność, jako że pobożna Nasserin i Mammal byli równie sumienni. Mudi jednak zaczął wykorzystywać swój autorytet także wobec mieszkańców parteru, Rezy i Essej, mało dbających o religijne obowiązki. Drażniło to szczególnie Rezę, który musiał na wiele godzin iść do pracy, podczas gdy Mudi wślizgiwał się z powrotem do łóżka.

Zmęczony modlitwami, Mudi nabrał leniwego zwyczaju sypiania do dziesiątej lub jedenastej. Dobrze wiedziałam, że szybko się znuży nowym rozkładem zajęć Mahtab. Może wkrótce pozwoli, żebym sama odprowadzała ją do szkoły. Wiedziałam, że w ten sposób bardzo się powiększy zakres mojej wolności.

Pomimo tej nadziei, pierwszy poranek był pełen napięcia. Mahtab milczała, kiedy zakładałam jej taką samą chustkę rusari, jakie nosiły inne dziewczynki w szkole. Nie odezwała się ani jednym słowem, dopóki nie znaleźliśmy się w szkolnym sekretariacie, gdzie asystentka nauczycielki wyciągnęła rękę, żeby zabrać ją ode mnie i zaprowadzić do klasy. Mahtab rozplakała się, wstrzymywane łzy trysnęły jej z oczu. Uczepiła się kurczowo skraju mojego płaszcza.

Napotkałam spojrzenie Mudiego. Jego oczy nie wyrażały żadnego współczucia, tylko groźbę.

- Musisz iść, Mahtab - powiedziałam, z najwyższym trudem zachowując spokój.
- Wszystko będzie dobrze. Przyjedziemy po ciebie. Nie martw się o to.

Asystentka delikatnie poprowadziła Mahtab. Mała próbowała być dzielna, ale kiedy Mudi i ja odwróciliśmy się, żeby wyjść, usłyszeliśmy jej głośny płacz wywołany bólem rozstania. Serce mi się krajało, ale wiedziałam, że nie mogę przeciwstawić się szaleńcowi, który mocno trzymał mnie za ramię i prowadził do wyjścia.

Wsiedliśmy do pomarańczowej taksówki i w milczeniu pojechaliśmy do domu, gdzie Nasserin czekała już na nas z wiadomością:

- Dzwonili ze szkoły. Mahtab robi zbyt wiele zamieszania. Musicie pojechać i ją zabrać.
- To wszystko twoja wina! - krzyknął na mnie Mudi. - Ty ją tak urządziłaś! Przestała być normalnym dzieckiem. Byłaś wobec niej zbyt zaborcza!

W milczeniu słuchałam tych wyrzutów, nie chcąc ryzykować bardziej niż musiałam. Moja wina? Chciało mi się krzyczeć. To ty wywróciłeś jej życie do góry nogami! Ale trzymałam język za zębami wiedząc, że to, co mówił, było częściowo prawdą. Chroniłam Mahtab, bałam się spuścić ją z oka, lękałam się bowiem dalekosiężnych planów, które

94

mógłby uknuć Mudi wraz z rodziną, żeby mi ją zabrać. Czy to była moja wina? Jeżeli kiedykolwiek istniała sytuacja wymagająca od matki nadopiekuńczości, to istniała ona właśnie tu.

Mudi sam wybiegł z domu i po niedługim czasie zjawił się ciągnąc za sobą pokonaną Mahtab.

- Jutro wracasz do szkoły - nakazał - i zostaniesz tam sama. Lepiej, żebyś nie beczała.

Przez całe popołudnie i wieczór przy każdej okazji na osobności przemawiałam do Mahtab.

- Musisz to zrobić - mówiłam - bądź dzielna. Bądź dużą dziewczynką. Wiesz, że Bóg będzie z tobą.

- Modliłam się, żeby Pan Bóg znalazł jakiś sposób, żebym nie poszła do szkoły - płakała Mahtab - ale On nie odpowiedział na moją modlitwę.

- Może odpowiedział - upomniałam ją - może jest jakaś przyczyna, dla której powinnaś iść do szkoły. Nie myśl nigdy, że jesteś sama, Mahtab. Bóg jest zawsze z tobą. Będzie się tobą opiekował. Nie zapominaj pomodlić się, kiedy czujesz się naprawdę przerażona i opuszczona i nie wiesz, co się dzieje. Nie musisz zwracać uwagi na to, co mówią inni, po prostu pomódl się. Wszystko będzie dobrze.

Pomimo mojej rady Mahtab wstała następnego ranka wystraszona i płacząca. Serce mnie bolało, kiedy Mudi porwał ją i zabrał do szkoły, nie pozwalając, żebym mu towarzyszyła. Płacz przerażonej Mahtab dźwięczał mi w uszach jeszcze długo po jej wyjściu. Nerwowo chodziłam po pokoju i przeżykałam twardą grudę, która tkwiła mi w gardle. Czekałam, aż wróci Mudi i zda mi raport.

Kiedy tylko wrócił, sam, Eszej zatrzymała go u dołu schodów i powiedziała, że znowu dzwoniłi ze szkoły, żeby zabrał Mahtab. Mała jest nieposłuszna. Jej krzyki wytrąciły z równowagi całą szkołę.

- Jadę po nią - powiedział do mnie z gniewem - tak jej dołożę, że następnym razem zostanie w szkole.

- Proszę cię, nie rób jej krzywdy - krzyczałam za nim, kiedy wybiegał z domu - ja z nią pomówię!

Nie zbił jej. Kiedy wrócił, bardziej był wściekły na mnie niż na Mahtab, ponieważ dyrektorka poprosiła go o coś, na co nie miał ochoty.

- Chcą, żebyś przychodziła z nią do szkoły i siedziała tam w sekretariacie, kiedy ona będzie w klasie. Przynajmniej przez kilka dni. Tylko pod takim warunkiem ją przyjmą.

A więc coś zaczęło działać - powiedziałam sobie. Byłam przygnębiona i smutna, że zmuszał Mahtab do chodzenia do irańskiej szkoły, lecz nagle otworzyła się przede mną możliwość regularnego wychodzenia z domu.

Mudi był zaniepokojony tym rozwiązaniem, ale nie widział innego wyjścia. Określił ściśle reguły:

- Masz siedzieć w sekretariacie i nigdzie nie wychodzić, dopóki nie przyjdę po ciebie i Mahtab. Nie wolno ci korzystać z telefonu.

- Dobrze - przytaknęłam, uważając to w głębi serca za ta'arof. Na drugi dzień pojechaliliśmy w trójkę taksówką do szkoły. Mahtab

była wystraszona, ale wyraźnie spokojniejsza niż podczas dwóchi poprzednich dni.

- Twoja matka tu zostanie - powiedział do niej Mudi wskazując na krzesło w korytarzu koło drzwi sekretariatu. - Będzie tutaj przez cały i czas, kiedy jesteś w szkole.

Mahtab skinęła głową i pozwoliła asystentce zaprowadzić się do klasy. W połowie korytarza przystanęła i obejrzała się. Zobaczywszy mnie na krześle, poszła dalej.

- Masz tu zostać, aż po ciebie przyjadę - powtórzył mi Mudi. Potem wyszedł.

Poranek ciągnął się. Nie wzięłam ze sobą nic, czym mogłabym się zająć. Korytarze opustoszały, uczennice znalazły się w klasach, i wkrótce usłyszałam pierwsze poranne zajęcia. Marg bar Amrika - dobiegało z każdej klasy. Marg bar Amrika! Marg bar Amrika! Oto więc znowu wpajana w podatne umysły uczennic, dźwięcząca w uszach mojego niewinnego dziecka oficjalna polityka Islamskiej Republiki Iranu: „Śmierć Ameryce!”

Po zakończeniu politycznych ablucji, na korytarzu rozległ się cichy poszum - to uczennice przystępowały do swojego spokojniejszego już zajęcia; rutynowego wkuwania lekcji na pamięć. W każdej z klas, nawet \ w tych najstarszych, nauczycielki recytowały pytanie, a uczennice! chórem odpowiadały, deklamując te same słowa. Żadnego luzu, żadnego miejsca na samodzielne myślenie, pytanie czy nawet odmienną intonację głosu. Takie nauki pobierał Mudi jako dziecko. Rozmyślając nad tym, ] lepiej zrozumiałam, dlaczego tak wielu Irańczyków potulnie poddaje się j autorytetom. Wydaje się, że wszyscy oni mają trudności z podjęciem! decyzji.

Ktoś poddany takiemu wychowaniu w sposób naturalny znajdował i swoje miejsce w hierarchii, wydając surowe rozkazy osobom stojącymi niżej i

podporządkowując się ślepo tym o wyższym statusie. Tego I rodzaju system szkolny wydał takiego Mudiego, który mógł domagać I się i oczekiwać całkowitej kontroli nad swoją rodziną, wydał też] Nasserin, całkowicie zdominowaną przez stojącego wyżej od niej I w hierarchii osobnika płci męskiej. Tego rodzaju system szkolny był w stanie ukształtować cały naród, który - w sposób niekwestionowany! - okazywał posłuszeństwo na śmierć i życie ajatollahowi uznanemu za mądrość i sumienie tego kraju. A jeśli tak było, to co zrobi ten system! z jedną maleńką, pięcioletnią dziewczynką?

Po jakimś czasie chanum Szahin wyrzuciła na korytarz i skinęła ??? mnie, żebym weszła do sekretariatu. Odpowiedziałam irańskim gestem I

odmów

lam v.

skinęła Zna chanum

wował wściek jęłyśm

' Ban w mo powa/sl.im W 'mały kobiet. ? robiła. przekładał) czasu telefoni choć

W poi

sekret pokornie ?

wiar,

CO p>'

przył dopn nych

wska; dziei

- h szłoci

złapał

pożj miał

pojęi

PLOSi

odmowy, lekkim uniesieniem głowy i cmoknięciem języka. Nienawidziłam w tej chwili wszystkich Iranczyków, zwłaszcza potulnych kobiet w czadorach. Ale dyrektorka, przemawiając ciepło i uprzejmie, znów skinęła, nalegając, żebym weszła.

Znalazłam się więc w sekretariacie. Za pomocą kolejnych gestów chanum Szahin wskazała mi wygodniejsze miejsce do siedzenia i zapytała, czy chcę się napić herbaty. Zgodziłam się, i popijając herbatę obserwowałam kobiety przy ich zajęciach. Chociaż musiały uczyć dziewczynki wściekle antyamerykańskiej pieśni, patrzyły na mnie przyjaźnie. Podjęłyśmy kilka prób porozumienia się, lecz bez większych efektów.

Bardzo chciałam podnieść słuchawkę telefonu, który znajdował się w moim zasięgu, i zadzwonić do ambasady, ale pierwszego dnia nie poważylałam się na żadne kroki w tym kierunku.

W małym biurze stały trzy biurka, przy których pracowało pięć kobiet. Dyrektorka siedziała w rogu pokoju i, jak się wydaje, nic nie robiła. Pozostałe biurka były zajęte przez urzędniczki, które jedną ręką przekładały papiery, a drugą przytrzymywały czadory przy szyjach. Od czasu do czasu któraś wstawiała, żeby zatelefonować. Przyjęły kilka telefonów. Większość czasu upływała im jednak na rozmowach, które, choć nie mogłam zrozumieć treści, były z pewnością zwykłymi plotkami.

W połowie poranka wyczułam, że na korytarzu coś się dzieje. Do sekretariatu wpadła nauczycielka ciągnąc za sobą uczennicę ze schyloną pokornie głową. Nauczycielka wykrzyczała całą serię oskarżeń, powtarzając często słowo bad, które po persku znaczy dokładnie to samo, co po angielsku: zły, niedobry. Chanum Szahin i pozostałe urzędniczki przyłączyły się do ataku. Krzycząc chórem zaczęły besztać dziewczynkę, doprowadzając ją do płaczu. Podczas tej całej przemowy jedna z obecnych gdzieś zadzwoniła. Za kilka minut zjawiała się kobieta o dzikim wzroku, najwyraźniej matka dziewczynki. Krzyczała i oskarżycielsko wskazywała palcem swoją własną córkę, wylewając gniew na bezbronne dziecko.

- Bad! Bad! - wrzeszczała matka. Dziewczynka reagowała żalnym szlochem.

To upokarzanie trwało przez czas dłuższy, aż w końcu matka złapała małą za ramię i wywlokła z pokoju.

Chanum Szahin i inne kobiety natychmiast porzuciły agresywne pozy. Śmiały się i gratulowały jedna drugiej sukcesu, który najwyraźniej miał polegać na tym, żeby dziewczynka poczuła się źle. Nie miałam pojęcia, o co chodziło, mogłam tylko współczuć nieszczęsnemu dziecku. Prosiłam Boga, żeby Mahtab nie stała się nigdy bohaterką podobnego przedstawienia.

Mahtab dała sobie świetnie radę, była nawet zadowolona, wiedząc, że jestem w pobliżu. W południe, kiedy skończyły się zajęcia w klasach przedszkolnych, Mudi przyjechał i odwiózł nas taksówką do domu.

7 — Tylko razem z córką

97

Następnego ranka, kiedy siedziałam w sekretariacie, chanum Szahin i przyproceedziła jedną z nauczycielek.

- Jestem pani Azahr - powiedziała - mówię trochę po angielsku. I Będę z panią rozmawiać.

Usiadła koło mnie badając wzrokiem moje nieufne spojrzenie.

- Wiemy, że pani nas nie lubi - powiedziała - nie chcemy, żeby myślała pani, że jesteśmy niedobre. Nie podoba się pani szkoła?

- Jest brudna - odparłam - nie chcę, żeby Mahtab tu chodziła.

- Przykro nam - powiedziała Azahr - my czujemy się źle, że jest 1 pani obca w naszym kraju. Chciałyśmy coś dla pani zrobić.

Chanum Szahin stanęła przy nas. Ciekawa byłam, jak wiele zro- j zumiała.

Powiedziała coś po persku, a pani Azahr przetłumaczyła:

- Dyrektorka mówi, że wszystkie chciałyby naprawdę znać angielski, i Mówi, że mogłaby pani przychodzić codziennie i czekając na Mahtab i uczyć je angielskiego. A one uczyłyby panią po persku.

Tak więc moje modlitwy będą wysłuchane - pomyślałam. Możemy się nawzajem poznać.



- Dobrze - zgodziłam się.

Zaczęłyśmy więc. Kobiety w biurze miały mało zajęć, jeśli nie liczyć i zdarzających się od czasu do czasu seansów dyscyplinowania i upoko- 1 rzeń, przez całe ranki uczyłyśmy się więc nawzajem. W trakcie naszej i pracy zaczęłam przynajmniej częściowo rozumieć te kobiety. Odległe i ode mnie o całe światy jeśli chodzi o marzenia i obyczaje, były przecież i kobietami, które troszczyły się o dzieci i chciały je dobrze wychować i w jedyny sposób, jaki znały. Uwięzione były w pułapce systemu i edukacyjnego, który dyktował, co i jak mają robić, ale i tutaj prze-1 świecały iskry indywidualizmu. Porozumienie było trudne, lecz odniosłam wrażenie, że jest więcej Irańczyków rozczarowanych stanem rzeczy i w swoim państwie.

Jeśli chodzi o stosunki osobiste, moje nowe koleżanki naprawdę i troszczyły się o Mahtab i o mnie. Co ranka nadskakiwały Mahtab; to i jedna, to druga podnosiła ją i całowała. Chanum Szahin zawsze i powtarzała mojej córeczce, że lubi jej zapach, mając na myśli muśnięcie i nielegalnymi tutaj perfumami, jakie jej aplikowałam każdego ranka. i Kiedy byłyśmy same, okazywały pogardę Mudiemu, który rano przy-1 woził nas i w południe odbierał, pełniąc rolę więziennego konwojenta. i Starannie ukrywały swoje uczucia, ale jeżyły się widząc, jak Mudi i bezceremonialnie traktuje własną żonę i córkę.

Azahr była zajęta swoimi lekcjami i nie mogła mi poświęcać wiele i czasu, ale kiedy tylko mogła, zaglądała do sekretariatu.

Byłam zaskoczona, kiedy się dowiedziałam, że Azahr była niegdyś | dyrektorką tej szkoły. Było to przed rewolucją. Przy nowej władzy kompetentni jak ona fachowcy, z dyplomami i latami praktyki, zostali zdymisjonowani i zastąpieni przez bardziej politycznie sprawdzonych

98

zarządców. Nowa kadra była przeważnie młodsza i mniej wykształcona, ale wykazywała się religijnym fanatyzmem, co dla rządu stało się teraz najważniejsze.

- Dlatego właśnie wybrali chanum Szahin - powiedziała mi pani Azahr. - Ona i cała jej rodzina jest bardzo religijna. Trzeba pochodzić z rodziny fanatyków. Sprawdzają to. Nie da się tylko udawać, kiedy się jest w pracy.

Chanum Szahin była w swoich uczuciach wyraźnie antyamerykańska, ale im dłużej trwały nasze wymuszone kontakty, tym bardziej mnie lubiła pomimo mojej narodowości.

Pewnego dnia, po cichej rozmowie z chanum Szahin, pani Azahr powiedziała:

- Chciałybyśmy naprawdę coś dla pani zrobić.
- Dobrze - odparłam podejmując decyzję - pozwólcie mi tylko skorzystać z telefonu.

Azahr wdała się w rozmowę z chanum Szahin. Dyrektorka uniosła głowę i cmoknęła. Nie. Wymamrotała kilka słów, które Azahr przetłumaczyła:

- Obiecałyśmy pani mężowi, że nigdy nie pozwolimy pani wyjść z budynku ani skorzystać z telefonu.

Zdałam sobie od nowa sprawę, że kobiety te znajdowały się w pułapce, tak samo jak ja, poddane regułom męskiego świata, niezadowolone z tego lecz posłuszne. Rozejrzałam się po pokoju i popatrzyłam im w oczy. Dostrzegłam wyłącznie głębokie zrozumienie.

99

o.

Pewnego popołudnia, niezwykle jak na tę porę roku ciepłego i jasnego, Mudi zgodził się niechętnie na prośbę Mahtab, która chciała pójść do parku. Od parku dzieliło nas zaledwie kilka przecznic, ale Mudi zrzędził, że to daleko.

- Możemy zostać tylko przez parę minut - powiedział. Wiedziałam, że ma co robić. Przeczytać gazety. Posłuchać bełkotu nadawanego przez radio. Uciąć sobie drzemkę.

Kiedy zbliżyliśmy się do huśtawek i zjeżdżalni w odległym kącie parku, Mahtab wydała radosny okrzyk na widok jasnowłosej dziewczynki, na oko czteroletniej,

ubranej w szorty i tenisówki, identyczne jak te, które Mahtab przywiozła z Ameryki.

Nie opodal stali rodzice pilnując huśtającego się dziecka. Matka była młodą, przystojną kobietą. Spod chusty wymykały się jej jasne kosmyki włosów. Miała na sobie brązowy trencz przepasany paskiem, całkiem inny niż irańskie manto.

- To Amerykanka - powiedziałam do Mudiego.

- Nie - burknął - mówi po niemiecku.

Mahtab podbiegła do zjeżdżalni, żeby pobawić się z dziewczynką, a ja podeszłam szybko do kobiety, nie bacząc na protest Mudiego. Kobieta rozmawiała z Irańczykiem, ale mówiła po angielsku!

Przedstawiłam się. Mudi czujnie stał przy mnie.

Kobieta miała na imię Judy. Jej mąż, Irańczyk z pochodzenia, był przedsiębiorcą budowlanym w Nowym Jorku. Został tam, a Judy przywiozła dwójkę dzieci do Iranu, żeby zobaczyć dziadków. Uptęnęła właśnie połowa ich dwutygodniowych wakacji. Jakże jej zazdrościłam biletu na samolot, paszportu, wizy wyjazdowej! Ale nic nie mogłam jej opowiedzieć, bo Mudi warował tuż przy mnie.

Judy przedstawiła mnie Irańczykowi, który jej towarzyszył - był to jej szwagier Ali. Kiedy się tylko dowiedział, że Mudi jest lekarzem, oznajmił, że próbuje dostać wizę do Stanów na leczenie kardiologiczne.

100

Judy dodała, że w przyszłym tygodniu leci do Frankfurtu, gdzie pójdzie do ambasady amerykańskiej, żeby załatwić dla niego wizę. Interesowało ich, co mógłby doradzić irańsko-amerykański lekarz. Mudi poczuł się w tym momencie bardzo ważny, przestał zwracać na mnie uwagę i skoncentrował się na sobie.

Dziewczynki zeskoczyły ze zjeżdżalni i poszły bawić się na huśtawki. Judy i ja podążyłyśmy za nimi. Wydostawszy się poza zasięg uszu Mudiego, nie traciłam czasu.

- Jestem tutaj zakładniczką - szepnęłam. - Musi mi pani pomóc. Proszę iść do ambasady amerykańskiej we Frankfurcie i powiedzieć, że jestem tutaj. Muszą coś dla mnie zrobić.

Mudi i Ali zmierzali powoli w naszym kierunku cały czas pogrążeni w rozmowie. Judy zauważyła moje spojrzenie i poszłyśmy trochę do przodu, żeby się od nich oddalić.

- On mi nie pozwala rozmawiać z ludźmi - powiedziałam. - Jestem tutaj uwięziona i nie mam kontaktu z rodziną.

- Jak mogłabym pomóc? - zapytała Judy. Zastanowiłam się przez chwilę.

- Mówmy o leczeniu - zaproponowałam. - Mój mąż czuje się podbudowany na duchu, jeśli ktoś z nim rozmawia na medyczne tematy.

- Świetnie - powiedziała Judy. - I tak, i tak musimy załatwić wizę na leczenie dla Alego. Zobaczymy, na ile da się w to wciągnąć pani męża.

Odwróciłyśmy się do mężczyzn.

- Czy możesz mu pomóc? - zapytałam Mudiego.

- Tak. Z największą przyjemnością.

Zauważyłam, że Mudi po raz pierwszy od kilku miesięcy poczuł się lekarzem.

- Napiszę list - zaproponował - wiem, z kim się skontaktować. Mam nawet trochę papieru listowego z amerykańskimi nagłówkami.

Zamyślił się przez chwilę.

- Ale będę potrzebował maszyny do pisania - powiedział.

- Mogę to załatwić - obiecała Judy.

Wymieniliśmy numery telefonów i ustaliliśmy, że niedługo spotkamy się w parku. Podczas krótkiego spaceru do domu byliśmy bardzo ożywieni. Mudi był w świetnym humorze. Potwierdzenie zawodowej pozycji wywarło na nim takie

wrażenie, że nie dostrzegł, iż udało mi się porozmawiać na osobności z Amerykanką.

Judy działała szybko. Po dwóch dniach zadzwoniła i zaprosiła mnie i Mahtab do parku. Miałam słabą nadzieję, że Mudi puści nas same, ale nie odstąpił od swego zwyczaju. Nie podejrzewał, jak się zdaje, żadnego spisku, lecz był zdecydowany nie spuszczać z nas oka.

Tym razem był z Judy niski, brodaty Irańczyk, w wieku około trzydziestu lat. Przedstawiła go nam jako Raszida, zarządzającego

101

biurem dużej kliniki medycznej. Mudi był szczęśliwy, że znowu może sobie porozmawiać na tematy zawodowe i zaczął zasypywać rozmówcę pytaniami na temat procedury uzyskiwania zezwoleń na praktykę lekarską w Iranie.

Tymczasem Judy i ja znów poszliśmy naprzód, żeby pogadać na osobności.

- Proszę się nie martwić - powiedziała. - Raszid zna całą sytuację. Będzie uważał na to, co mówi pani mężowi. Mieliśmy nadzieję, że porozmawiamy z panią sam na sam, ale Raszid wie, jak go zająć, tak że my dwie możemy swobodnie pogadać.

Wsunęła mi do ręki kilka znaczków.

- Jeśli będzie pani mogła się dostać do skrzynki pocztowej, może pani wysłać listy.

Objawiła mi następny etap planu. Za parę dni teściowa ma wydać pożegnalne przyjęcie dla Judy i dzieci. Judy załatwiła, że zostaniemy zaproszeni. Pożyczyła maszynę do pisania, żebyśmy mogła przepisać list Mudiego dla Alego. Ma nadzieję, że w ogólnym zamieszaniu podczas przyjęcia będę mogła porozmawiać na osobności z Raszidem.

- On zna takich, którzy wywożą ludzi przez Turcję.

Kolejne dwa dni wlokły się niemiłosiernie w oczekiwaniu na przyjęcie, gdzie miałam dowiedzieć się czegoś więcej na temat wydostania się z Iranu. Czy wywożą ludzi samolotem? A może samochodem? Dlaczego narażają się na surowe kary, jakie ajatollah przewiduje za każde naruszenie muzułmańskiego

prawa? Czy dużo to będzie kosztować? Czy Mahtab i ja będziemy potrzebowały paszportów?

O Boże, spraw, żebym mogła na przyjęciu zostać sam na sam z Raszidem!

W międzyczasie postanowiłam użyć Judy jako listonosza. Napisałam listy do mamy, do taty, Joego i Johna, napisałam, jak bardzo ich kocham i tęsknię, opisałam szczegółowo, w jakich warunkach się znajdujemy. Czytając je powtórnie zdałam sobie sprawę, że są zasmucające i pełne rozpacz i o mało ich nie podarłam. Postanowiłam jednak wysłać je mimo wszystko; odzwierciedlały mój stan psychiczny.

Napisałam jeszcze jeden list, do mojego brata Jima i jego żony Robin, proponując pewien plan. Wytłumaczyłam im, jak bardzo Mudiemu zależy na pieniądzach. Wydaliśmy tutaj bardzo dużo, a on ciągle jest bez pracy. Cały nasz majątek został w Ameryce. Może Mudiemu potrzebny jest tylko jakiś pretekst, żeby wrócić. Zasugerowałam, żeby Jim do nas zadzwonił i powiedział, że ojcu bardzo się pogorszyło i że powinniśmy przyjechać do domu „w odwiedziny”. Mógłby powiedzieć, że rodzina zebrała pieniądze i zapłaci za nasze bilety. Dla Mudiego byłaby to zachęta finansowa - darmowa podróż do domu.

Przyjęcie u teściowej Judy było wspaniałe. Kiedy weszliśmy do domu, usłyszeliśmy głośną amerykańską muzykę i zobaczyliśmy coś

102

niesamowitego - muzułmanie szyici tańczyli rock-and-rolla. Kobiety były ubrane po europejsku, nikomu nie były w głowie czadory czy rusari. Goście stali się mimowolnie moimi współnikami w spisku. Tak poczuli się zaszczytleni obecnością doktora z Ameryki, że Mudi został natychmiast otoczony przez grono uważnych słuchaczy. Pławił się w składanych mu hołdach, podczas gdy Judy, za jego wiedzą, zabrała mnie do sypialni, żebym przepisała na maszynie list. Tam czekał już Raszid.

- Mój przyjaciel przewozi ludzi do Turcji - powiedział - to kosztuje trzydzieści tysięcy dolarów.

- Nie interesują mnie pieniądze - odparłam - chcę wydostać się razem z córką.

Wiedziałam, że rodzina i przyjaciele mogą i na pewno jakoś zbiorą tyle gotówki, ile będzie trzeba.

- Kiedy mogłybyśmy jechać? - zapytałam niecierpliwie.

- On jest teraz w Turcji, a pogoda niedługo się pogorszy. Nie wiem, czy będziecie mogli pojechać zimą, zanim stopnieją śniegi. Proszę zadzwonić do mnie za dwa tygodnie. Dowiem się.

Zaszyfrowałam sobie numer telefonu Raszida i wpisałam do notesu.

Raszid wyszedł z pokoju, lecz Judy pozostała ze mną jeszcze długo po napisaniu listu. Wciąż spoglądałam przez ramię na drzwi, w obawie że Mudi może wejść do pokoju i szukać mnie, ale nie wszedł.

Dałam Judy listy, które napisałam. Zgodziła się wysłać je z Frankfurtu.

Rozmawiałyśmy bez końca o Ameryce, kiedy pomagałam Judy w przyjemnej, a zarazem gorzkiej dla mnie czynności, jaką było pakowanie jej rzeczy w przeddzień wyjazdu z Iranu. Ani ona, ani ja nie wiedziałyśmy, co jej się uda zrobić dla mnie, nie wiedziałyśmy też, czy przyjaciel Raszida będzie mógł mnie i Mahtab przerzucić do Turcji, lecz Judy była zdecydowana zrobić wszystko, co w jej mocy.

- Mam innych przyjaciół, z którymi się skontaktuję - powiedziała. Pod koniec wieczoru Mudi był cały w ekstazie.

- Raszid zaproponował mi pracę w klinice - promieniał - będę musiał sprawdzić, co z moim zezwoleniem na praktykę.

Było już późno, kiedy się żegnaliśmy. Rozstawałyśmy się z Judy ze łzami w oczach, nie wiedząc, czy się kiedykolwiek spotkamy.

Amme Bozorg była przyzwyczajona, że cała rodzina zbierała się u niej w domu w piątek, dzień świąteczny, ale Mudi, coraz mniej rozkochany w swojej siostrze, oznajmił jej pewnego dnia, że mamy na piątek inne plany.

Kiedy to się stało, Amme Bozorg ciężko się rozchorowała w czwartkowy wieczór.

- Mama umiera - powiedziała Zohre Mudiemu przez telefon - musisz przyjechać i spędzić z nią te ostatnie chwile.

Mudi świetnie znał pokrętny charakter swojej siostry, niemniej zaniepokoił się, załadował nas do taksówki i pojechaliśmy. Zohre i Fereszte wprowadziły nas uroczyście do matczynej sypialni, gdzie Amme Bozorg spoczywała na samym środku na podłodze, z głową owiniętą jak w turban w różne szmaty, przykryta dwudziestocentymetrową warstwą koców. Z czoła spływał jej pot, który ocierała rękami. Wiła się jak w agonii i bez przerwy jęczała po persku:

- Umieram, umieram!

Madżid i Reza już przy niej czuwali, inni krewni byli w drodze.

Mudi dokładnie zbadał siostrę, lecz żadnego schorzenia nie wykrył. Szepnął do mnie, że jest spocona nie z gorączki, ale raczej z powodu koców, które ją przywalają. Zawodziła jednak boleśnie, mówiła, że boli ją całe ciało, że umiera.

Zohre i Fereszte ugotowały rosół z kury. Przyniosły go do śmiertelnej komnaty i cała rodzina, jeden przez drugiego, zaczęła błagać Amme Bozorg, żeby się posiliła. Najmłodszy syn Madżid zdołał donieść do jej ust łyżkę zupy, lecz Amme Bozorg zacisnęła wargi i nie chciała nic przełknąć.

W końcu Madżid ubłagał ją, żeby przełknęła choć tę łyżkę zupy. Kiedy to się stało, w pokoju rozległ się chóralny okrzyk triumfu.

Czuwanie trwało całą noc i dzień. Baba Hadżdzi nie tak znów często zaglądał do pokoju, większość czasu zajmowały mu modlitwy i recytowanie Koranu.

Mudiego, Mahtab i mnie denerwowała coraz bardziej ta oczywista symulacja. Chciałyśmy z Mahtab wyjść, lecz Mudi znów był rozdarty między szacunkiem dla rodziny a zdrowym rozsądkiem. Amme Bozorg pozostała na łożu boleści przez cały piątkowy wieczór, kiedy powinniśmy byli być całkiem gdzie indziej.

W końcu, powierzając się Allanowi, wstała ze swojego materaca i oznajmiła, że natychmiast odbędzie pielgrzymkę do świętego miasta Meshedu na północnym wschodzie kraju, gdzie znajduje się meczet otoczony wyjątkową czcią, znany ze swych uzdrawiających mocy. W sobotę cały klan odprowadził całkiem żwawą Amme Bozorg na lotnisko i wsadził do samolotu. Kobiety płakały ze wzruszenia, mężczyźni przebierali paciorki różańca i modlili się o cud.



Mudi grał aż do końca, wypełniając swoje obowiązki, ale kiedy zostaliśmy sami, mruknął do mnie:

- Ona to wszystko sobie wyimaginowała.

Październik przeszedł w listopad. Przejmująco zimne poranki w nie dogrzanym mieszkaniu ostrzegały, że zima w Teheranie potrafi być równie dokuczliwa, jak upalne lato. Przyjechaliśmy tutaj oczywiście nie przygotowani na zimę, zwłaszcza Mahtab potrzebowała ciepłego płasz-

104

cza. Ku mojemu zaskoczeniu, Mudi zakwestionował ten zakup. Zdałam sobie sprawę, że zaczyna dostawać fioła na punkcie pieniędzy.

Plan z moim bratem Jimem nie udał się. Jim zadzwonił do domu Mammala jakieś dwa tygodnie po wyjeździe Judy i zastosował się do moich instrukcji. Powiedział Mudiemu, że ojciec jest bardzo chory i że rodzina zebrała pieniądze na nasz przelot do domu.

- Chcesz, żebym wysłał bilety? - zapytał. - Jaką datę mam wpisać?

- To podstęp - wrzasnął Mudi do telefonu - ona nigdzie nie pojedzie. Nie puszczę jej!

Cisnął słuchawkę na widełki i wyładował swój gniew na mnie.

Zażarcie kłóciliśmy się o pieniądze. Oferta pracy w klinice Raszida nigdy się nie zmaterializowała. Podejrzewałam, że była to tylko zdawkowa propozycja, taarof.

Dyplom Mudiego, jak na razie, spoczywał nadal w szufladzie, a Mudi twierdził, że z mojej winy nie może podjąć pracy.

- Muszę siedzieć w domu, żeby ciebie pilnować - mówił, a jego gderanie było coraz bardziej irracjonalne - potrzebuję dla ciebie opiekunki. Nie mogę przez ciebie zrobić ani kroku. CIA ma mnie na oku, bo zrobiłaś coś, żeby twoi rodacy zaczęli szukać ciebie i Mahtab.

- Na jakiej podstawie sądzisz, że rodacy mnie szukają? Odpowiedział mi spojrzaniem, które wyrażało całe tomy. Jak dużo

wiedział? Kiedy uwierzy, i czy w ogóle uwierzy, że nie będę próbowała uciekać? Kiedy, na skutek bicia, dojdzie do tego, że się całkiem poddam? Mudi groźbą i podstępem ściągnął mnie do Iranu. Teraz nie wiedział, co ze mną zrobić.

- Chcę, żebyś napisała do Ameryki, do swoich rodziców - powiedział. - Powiedz im, żeby wysłali tutaj wszystkie nasze rzeczy.

Trudno mi było ułożyć ten list, zwłaszcza że Mudi zaglądał mi przez ramię i czytał każde słowo. Zastosowałam się jednak do jego poleceń wierząc, że moi rodzice tych żądań nie spełnią.

Kiedy to zrobiłam, Mudi zgodził się w końcu na kupienie palta dla Mahtab. Nasserin i Amir mieli nam towarzyszyć na zakupach.

Wiedząc, że Nasserin była skutecznym szpiegiem i strażniczką, Mudi postanowił zostać w domu. Powlókł się do sypialni, żeby się pograć w popołudniowej drzemce. Przygotowywałyśmy się do wyjścia, ale zanim przekroczyłyśmy próg domu, zadzwonił telefon.

- To do ciebie - powiedziała podejrzliwie Nasserin - jakaś pani mówi po angielsku.

Oddała mi słuchawkę i warowała przy mnie podczas rozmowy.

- Halo.

- Tu Helen - usłyszałam. Byłam zaskoczona i zaszokowana, że ktoś z ambasady dzwoni do mnie tutaj, ale przemogłam się, żeby ukryć przed Nasserin, że poznałam, kto dzwoni.

- Muszę z panią pomówić - powiedziała Helen.

105

- To pomyłka - odparłam.

Helen pominęła tę uwagę, świadoma mojej trudnej sytuacji.

- Nie chciałam dzwonić do pani do domu - usprawiedliwiała się - ale ktoś skontaktował się z nami w pani sprawie i muszę porozmawiać. Proszę do mnie zadzwonić albo przyjść najszybciej jak tylko się da.

- Nie wiem, o czym pani mówi - skłamałam - to pomyłka.

W tejże chwili odłożyłam słuchawkę. Nasserin odwróciła się na pięcie, pobiegła do naszej sypialni i obudziła Mudiego. Byłam na nią wściekła, ale na razie nie miałam okazji się pokłócić, bo Mudi rzucił się na mnie.

- Kto dzwonił? - zapytał.

- Nie wiem - wyjąkałam - jakaś pani. Nie wiem, kto to był. Mudi był całkiem wytrącony z równowagi.

- Wiesz, kto to był! - wrzeszczał - I ja też chcę wiedzieć!

- Naprawdę nie wiem - odpowiedziałam, próbując w miarę możliwości zachować spokój i manewrując tak, żeby własnym ciałem odgrodzić Mudiego od Mahtab na wypadek, gdyby chciał znów uciec się do przemocy. Nasserin, posłuszna muzułmańska agentka, odciągnęła Amira w róg pokoju.

- Chcę wiedzieć, co ona mówiła - zażądał Mudi.

- To była jakaś pani, która zapytała: „Czy to Betty?”. Ja powiedziałam: „Tak”, a wtedy ona spytała, czy ja i Mahtab czujemy się dobrze. Powiedziałam jej, że wszystko jest w porządku, i to był koniec całej rozmowy. Połączenie zostało przerwane.

- Ty wiesz, kto to był - stwierdził Mudi.

- Nie wiem.

Był otumaniony po wyrwaniu go ze snu, a jego zdolność do oceny sytuacji stała w ogóle pod znakiem zapytania, lecz próbował racjonalnie podejść do całej sprawy. Wiedział, że ambasada próbowała się ze mną skontaktować, ale nie zdawał sobie sprawy, że ja o tym wiem. Postanowił uwierzyć w moją ignorancję, ale wytrąciło go wyraźnie z równowagi, że ktoś - najprawdopodobniej z ambasady - wytropił mnie w domu Mammala.

- Uważaj - powiedział do Nasserin i jeszcze tego samego wieczora ostrzegł również Mammala - ktoś ją śledzi. Dopadną ją i zabiorą wprost z ulicy.

Telefon zasiał we mnie ogromny niepokój, który odczuwałam przez kilka następných dni. Co mogło być tak ważnego, że Helen zadzwoniła do mnie do

domu? Wiedziała, jakie ryzyko niesie z sobą temperament Mudiego, a więc co takiego mogło się zdarzyć, co ważniejsze było od niebezpieczeństwa? Musiałam przez cały tydzień żyć samymi spekulacjami, ponieważ Mudi z powodu telefonu wzmocnił strażę. Albo on sam, albo Nasserin towarzyszyli mi na wyprawach po zakupy. Oczekiwanie

106

było bardzo męczące. Machina przybliżająca wolność mogła już działać, ale nie miałam jak się dowiedzieć.

W końcu nastał błogosławiony dzień, kiedy Nasserin była na zajęciach na uniwersytecie, a Mudi doszedł do wniosku, że zbyt wielkim trudem byłoby pójście ze mną i Mahtab do sklepów, pozwolił więc nam iść samym.

Pobiegłam do sklepu Hamida i zadzwoniłam do Helen.

- Niech pani uważa - ostrzegła mnie - były tutaj dwie kobiety, które pani szukały. Rozmawiały z pani rodziną i chcą panią stąd wydostać. Ale proszę zachować ostrożność, bo one nie mają pojęcia, o czym mówią. - Potem dodała: - Niech pani spróbuje przyjść do mnie jak najszybciej. Musimy porozmawiać o wielu sprawach.

Po tej rozmowie byłam wytrącona z równowagi jeszcze bardziej niż przedtem. Kim mogły być te dwie tajemnicze kobiety? Czyżby Judy udało się zorganizować jakiś tajemniczy spisek, żeby mnie i Mahtab wydostać z Iranu? Czy mogłam wierzyć tym ludziom? Czy mieli na tyle wiedzy i wpływów, żeby istotnie coś pomóc? Helen w to nie wierzyła, zaryzykowała więc rozgniewaniem Mudiego, żeby mnie ostrzec przed ich obecnością w Teheranie, ale ja nie miałam pewności. Wyglądało to na jakąś niewiarygodną rzecz, która miała się zdarzyć. Co ja właściwie robiłam w tej całej pokrętnej intrydze?

Kilka dni po mojej rozmowie z Helen, grudniowego poranka, który zwiastował nadejście ciężkiej do zniesienia zimy, rozległ się dzwonek u drzwi. Essej otworzyła i zobaczyła wysoką, szczupłą kobietę spowitą w czarny czador, która powiedziała, że chce się widzieć z doktorem Mahmudim. Skierowała ją na piętro, gdzie Mudi i ja przyjęliśmy ją u wejścia do pokoju Mammala. Choć miała na sobie czador, mogłam stwierdzić, że nie jest Iranką, ale nie udało mi się ustalić jej narodowości.

- Chciałabym mówić z doktorem Mahmudim - powiedziała. Mudi odsunął mnie i wepchnął do pokoju. Wyszedł do hallu, na

schody, a mnie zamknął w środku. Przytknęłam ucho do drzwi, żeby wyłowić, o czym rozmawiali.

- Jestem Amerykanką - powiedziała kobieta nienaganną angielszczyzną - mam problemy, bo cierpię na cukrzycę. Czy mógłby mi pan zrobić analizę krwi?

Wyjaśniła, że ma męża Irańczyka z Meshedu, tego samego miasta, do którego Amme Bozorg pojechała na pielgrzymkę. Mąż udał się na wojnę z Irakiem, zamieszkała więc tymczasowo u jego rodziny w Teheranie.

- Naprawdę jestem chora. Rodzina nie rozumie, co to cukrzyca. Musi mi pan pomóc.

- Nie mogę zrobić pani teraz analizy krwi - odpowiedział Mudi. Z tonu jego głosu mogłam wywnioskować, że próbuje rozważać

różne możliwości. Nie miał jeszcze pozwolenia na wykonywanie zawodu

107

w Iranie, a tutaj pacjentka potrzebowała jego pomocy. Nie miał pracy, przydałyby mu się pieniądze nawet od jednego pacjenta. Jakaś obca kobieta próbowała w zeszłym tygodniu skontaktować się ze mną; teraz obca kobieta zastukała do jego drzwi.

- Musi pani przyjść jutro o dziewiątej rano - powiedział w końcu - przez całą noc trzeba pościć.

- Nie mogę przyjść, bo chodzę na lekcje Koranu.

Dla mnie, podsłuchującej za drzwiami, cała ta historia brzmiała całkiem fałszywie. Jeśli mieszkała w Teheranie tymczasowo - od miesiąca, jak twierdziła - dlaczego zapisała się na lekcje Koranu? Jeżeli naprawdę była chora na cukrzycę, dlaczego nie przestrzegała zaleceń lekarza?

- Proszę mi podać swój numer telefonu - zaproponował Mudi.

- Nie mogę. Rodzina męża nie wie, że poszłam do amerykańskiego lekarza.

Miałabym problemy.

ir

- Jak się pani tutaj dostała?

m

- Zamówiłam taksówkę na telefon. Czeka na mnie.

Skuliłam się. Nie chciałam, żeby Mudi wiedział, że Amerykanka może się nauczyć, jak się poruszać po Teheranie.

Po jej wyjściu Mudi pogrążył się w myślach na całe popołudnie. Zadzwoił do Amme Bozorg do hotelu w Meszhedzie, żeby zapytać, czy komukolwiek mówiła, że jej brat jest amerykańskim lekarzem. Zaprzeczyła.

Tego samego wieczora Mudi opowiedział tę całą dziwną historię Mammalowi i Nasserin, nie zwracając uwagi, że i ja słucham. Wymienił szczegóły, które wzbudziły jego podejrzenia.

- Wiem, że miała mikrofon pod sukienką - stwierdził - wiem, że jest z CIA.

Czy to możliwe? Czy ta kobieta mogła być agentką CIA?

Byłam jak zwierzę zapędzone w kąt, obchodziło mnie tylko jedno: wolność dla mnie i dla córki, bezustannie biłam się z myślami, wciąż rozważając ukryte znaczenia każdego incydentu, każdej rozmowy. Przemyślawszy sprawę dogłębnie, doszłam do wniosku, że hipoteza Mudiego jest wątpliwa. Kobieta zachowywała się po amatorsku, a jaki interes mogłaby mieć CIA w wyciągnięciu mnie i Mahtab z Iranu? Czy CIA była tak wszechobecna i potężna, jak głosiły legendy? Wydawało się niepodobieństwem, żeby amerykańscy agenci mogli wiele zdziałać w Iranie. Agenci ajatollaha, żołnierze, policjanci i pasdarowie byli wszędzie. Jak większość przyzwyczajonych do opieki państwa Amerykanów, przeceniałam możliwości naszego rządu wobec fanatycznej obcej potęgi.

Pomyślałam, że najprawdopodobniej kobieta usłyszała o moim losie od Judy albo Hamida, właściciela sklepu. Nie miałam jak się dowiedzieć, mogłam tylko czekać i zobaczyć, co się stanie.

108

Niepewność powodowała napięcie, ale była też podniecająca. Po raz pierwszy mogłam się przekonać, że moja szeroko zakrojona strategia zaczyna działać. Zrobię co się da, będę rozmawiać z każdym, komu mogę zaufać, i prędzej czy później znajdę ludzi, którzy mi pomogą. Przez cały czas wiedziałam, że będę

musiała umiejętnie rozkładać moje wysiłki, biorąc pod uwagę nadzór roztoczony przez Mudiego.

Pewnego dnia, kiedy wyszłam po zakupy, zajrzałam do sklepu Hamida, żeby zadzwonić do Raszida, znajomego Judy, który obiecał skontaktować się z człowiekiem przemycającym ludzi do Turcji.

- On nie zabiera dzieci - powiedział Raszid.
- Niech mi pan da z nim porozmawiać - błagałam - mogę nieść Mahtab na rękach, to żaden problem.
- Nie. On powiedział, że nie zabrałby nawet pani samej. To jest trudne nawet dla mężczyzn. Droga, którą on przebywa, to cztery dni marszu przez góry. W żaden sposób nie może pani pójść z dzieckiem.
- Jestem naprawdę silna - powiedziałam, wierząc połowicznie w swoje kłamstwa. - Mam dobrą kondycję. Mogę nieść małą przez całą dobę, to żaden problem. Niech mi pan przynajmniej pozwoli porozmawiać z tym człowiekiem.
- Teraz na nic to się nie zda. W górach leży śnieg. Zimą nie można przejść do Turcji.

Mijał grudzień. Mudi przykazał mi, że mam zignorować zbliżające się święta Bożego Narodzenia. Nie chciał mi pozwolić, żebym kupiła jakieś prezenty dla Mahtab, czy obchodziła święta w jakikolwiek inny sposób. Nikt z naszych znajomych w Iranie nie uznawał chrześcijańskiego święta.

Zima spłynęła na Teheran z okolicznych gór. Zimne wiatry usypywały śnieżne zasy. Z powodu oblodzonych jezdni było jeszcze więcej wypadków, które powodowały przerwy w nieustannym ruchu, ale nie wpływały na ograniczanie szybkości ani nie studziły temperamentów szalonych kierowców.

Mudi przeziębził się. Obudził się wprawdzie pewnego ranka w porę, żeby nas zawieźć do szkoły, ale jęknął usiłując podnieść się z łóżka.

- Masz gorączkę - powiedziałam dotykając jego czoła.
- To przeziębienie - odburknął - gdybyśmy mieli nasze zimowe płaszcze... Twoi rodzice powinni mieć na tyle rozumu, żeby je nam przysłać.

Pominęłam milczeniem tę śmieszoną, egoistyczną skargę, bo nie chciałam rozpętywać kłótni w momencie, kiedy otworzyła się szansa poprawienia mojej sytuacji. Czesząc Mahtab powiedziałam, starając się, żeby mój głos brzmiał rzeczowo:

- W porządku, możemy same pojechać do szkoły.

Mudi był w zbyt opłakanym stanie, żeby coś podejrzewać, ale myślał, że nie potrafię sprostać zadaniu.

109

- Nie wiesz przecież, jak samej pojechać taksówką - powiedział.

- Ależ wiem. Codziennie obserwowałam, jak to robisz. Powiedziałam mu, że pójdę do ulicy Szariatiego i krzyknę: Seda

Zafar, co znaczy, że chcę zatrzymać taksówkę jadącą w kierunku ulicy Zafar.

- Musisz być stanowcza.

- Umiem być stanowcza.

- Dobrze - powiedział i obrócił się na drugi bok, żeby spać dalej.

Poranne powietrze miało lodowaty posmak, ale się nie przejmowałam. Dużo czasu upłynęło, zanim taksówka zatrzymała się przede mną. Musiałam w końcu z narażeniem życia wyjść na jezdnię i niemal stanąć przed samochodem, ale poczułam, że czegoś dokonałam. Potrafię więc dać sobie radę w Teheranie, a był to krok zbliżający mnie do wydostania się z miasta i z kraju.

Wyładowana Irańczykami taksówka lawirowała w ruchu ulicznym, na przemian to pędziła naprzód na pełny gaz, to zatrzymywała się z piskiem opon, podczas gdy szofer naciskał klakson i obdarzał swoich braci w islamie mianem sag, wyjątkowo obelżywym epitetem, znaczącym dosłownie „pies”.

Dotarliśmy do szkoły w samą porę i bez żadnych incydentów. Ale po czterech godzinach, kiedy miałyśmy wracać i kiedy stanęłam przed szkołą próbując zatrzymać pomarańczową taksówkę, biały pakon (popularny samochód produkcji irańskiej), w którym siedziały cztery kobiety w czadorach, nadszedł



powoli prawym pasem jezdni. Ku mojemu zaskoczeniu kobieta siedząca na przednim siedzeniu odkręciła okno i krzyknęła na mnie po persku.

Czyżby pytała o drogę? - zastanowiłam się.

Samochód skręcił i zahamował tuż koło nas. Wszystkie cztery kobiety wygramoliły się ze środka i podbiegły do nas. Przytrzymując czadory tuż pod szyją, wrzeszczały na mnie chórem.

Nie miałam pojęcia, co mogłam zrobić takiego, że wytrąciłam je z równowagi. Dopiero Mahtab wyjaśniła.

- Popraw sobie chustkę - powiedziała.

Dotknęłam rusari i poczułam, że kilka zakazanych kosmyków wymknęło się, ściągnęłam więc chustkę bardziej na czoło.

Cztery dziwaczne kobiety załadowały się z powrotem do pakona równie szybko, jak z niego wyskoczyły, i odjechały. Zatrzymałam pomarańczową taksówkę i wróciłyśmy do domu. Mudi był dumny, że sobie poradziłam, a ja w głębi duszy cieszyłam się wiedząc, że osiągnęłam coś ważnego, ale oboje zastanawialiśmy się nad tymi czterema kobietami w białym pakonie.

Następnego dnia pani Azahr wyjaśniła zagadkę.

- Widziałam, że miała pani wczoraj kłopot - powiedziała - widziałam, jak te kobiety podjechały do pani, kiedy po szkole czekałyście na taksówkę. Chciałam przyjść z pomocą, ale już odjechały.

110

- Kim one były? - zapytałam.

- To pasdarki, strażniczki rewolucji.

A więc tutaj przynajmniej istniała równość. Żeńska policja specjalna miała, jeśli chodzi o narzucanie kobietom obowiązkowego stroju, równą władzę, jak jej męski odpowiednik.

25 grudnia 1984 roku był najtrudniejszym dniem w moim życiu. Nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego, i właśnie to było takie przykre. Nie mogłam zrobić nic dla Mahtab, żeby sprawić jej radość z okazji Gwiazdki, a w tych warunkach nie

chciałam nawet podejmować żadnych takich prób, żeby nie pogłębić jej tęsknoty za domem. Myślami byłam daleko, w domu w Michigan, z Joe, Johnem i rodzicami. Mudi nie pozwoliłby mi zadzwonić do nich i złożyć świątecznych życzeń. Tygodnie upłynęły od mojej rozmowy z Helen, która ostrzegła mnie przed tajemniczymi kobietami, które mnie szukają. Nie miałam żadnej wiadomości o zdrowiu ojca, ani słowa od synów.

Teheran oficjalnie nie dostrzegał tego święta, co oznaczało, że Mahtab poszła jak zwykle do szkoły. Mudi, który wciąż był przeziębiony i pociągał nosem, oznajmił mi, że jestem złą żoną, bo zostaję z Mahtab w szkole.

- Powinnaś wrócić do domu i ugotować mi rosół z kury.

- Mahtab nie zostanie sama w szkole - odparłam - wiesz o tym. Nasserin ugotuje ci rosół.

Mudi podniósł oczy ku niebu. Oboje wiedzieliśmy, że Nasserin była okropną kucharką.

Mam nadzieję, że zdechniesz od jej rosółu - pomyślałam sobie. Albo od gorączki. Modliłam się do Boga, żeby Mudi zginął w wypadku, żeby bomba go rozerwała, żeby dostał zawału. Wiedziałam, że to nikczemne myśli, ale wciąż tłukły mi się po głowie.

Tego dnia w szkole nauczycielki i urzędniczki zrobiły wszystko, żeby sprawić mi trochę radości. „Wesołych Świąt” - powiedziała pani Azahr, podając mi paczuszkę. Otworzyłam ją i znalazłam pięknie ilustrowane, luksusowe wydanie rubajjatów Omara Chajjama, w wersji perskiej, angielskiej i francuskiej.

Chanum Szahin była tak pobożną muzułmanką, że nigdy bym nie przypuszczała, że uzna Boże Narodzenie za coś szczególnego. Tymczasem i ona podarowała mi komplet książek na temat islamu, dotyczących wszystkich reguł i przepisów związanych z modlitwami, świętami i innymi obrzędami. Najbardziej z tych książek zainteresowało mnie angielskie tłumaczenie konstytucji Iranu. Studiowałam ją uważnie tego ranka i przez następne dni, szukając szczególnie ustępów dotyczących praw kobiet.

Jeden z rozdziałów poświęcony był kwestiom małżeństwa. Wynikało

z niego, że Iranka będąca w konflikcie z mężem mogła przedstawić swoją sprawę pewnemu biuru w pewnym ministerstwie. Pociągało to za sobą przeprowadzenie wizji lokalnej w ich domu oraz rozmów z mężem i żoną. Oboje musieli potem podporządkować się decyzji rozjemcy, którym był oczywiście mężczyzna. Odrzuciłam tę strategię.

Fragmenty dotyczące pieniędzy i własności były jasne. Do męża należało wszystko, do żony nic. Częścią majątku były dzieci. Po rozwodzie dzieci zamieszkiwały z ojcem.

Konstytucja dążyła do uregulowania wszystkich szczegółów życia jednostki, nawet najintymniej szych kobiecych spraw. Na przykład za zbrodnię uchodziło zapobieganie ciąży przez kobietę, jeśli mąż sobie tego nie życzył. Wiedziałam już o tym. Mudi powiedział mi kiedyś, że grozi za to kara śmierci. Czytając o tym tu, na miejscu, poczułam nagły lęk. Wiedziałam, że naruszyłam prawdopodobnie do tej pory wiele irańskich praw i nadal je będę łamać, nieswojo mi się jednak zrobiło na myśl, że bez wiedzy Mudiego mam założoną spiralę domaciczną, co może narazić moje życie. Czy naprawdę wykonaliby wyrok śmierci na kobiecie zapobiegającej ciąży? Odpowiedź znałam. W tym kraju mężczyźni mogli robić z kobietami wszystko - i zrobiliby.

Inny ustęp konstytucji przejął mnie jeszcze bardziej dojmującym strachem. Było tam napisane, że w razie śmierci mężczyzny dzieci nie pozostają przy wdowie, lecz przy jego rodzinie. Gdyby Mudi umarł, Mahtab nie należałaby do mnie. Przeszłaby pod opiekę najbliższej krewnej Mudiego, Amme Bozorg! Przestałam się modlić o śmierć Mudiego.

W całej irańskiej konstytucji nie było ani jednej wzmianki o prawie, polityce czy programie, która dawałaby mi choć trochę nadziei. Książka potwierdziła tylko to, co już intuicyjnie wiedziałam. Bez uzyskania pozwolenia Mudiego nie było żadnej legalnej drogi, żebyśmy mogły razem z Mahtab opuścić ten kraj. Mogły zajść nieprzewidziane wypadki, jak rozwód czy śmierć Mudiego, które mogłyby spowodować moją deportację, ale Mahtab byłaby dla mnie na zawsze stracona.

Raczej umarłabym, niż pozwoliłabym na coś takiego. Przyjechałam do Iranu, żeby zapobiec takiej bardzo realnej i mrożącej krew w żyłach ewentualności. Ponowiłam w duchu swoje ślubowanie. Wydostaną nas. Obie. Jakoś to osiągnę. Kiedyś to się stanie.

Nadejście nowego roku podniosło mnie trochę na duchu. Nie byłam już uwięziona przez cały dzień w mieszkaniu Mammala. Znalazłam przyjazne dusze w szkole. Były chętnymi i wdzięcznymi uczennicami, a ja ze swej strony zdałam sobie sprawę, że każde poznane perskie słowo umożliwi mi coraz lepsze poruszanie się po mieście, a w końcu wyrwanie się z niego. Miałam przeczucie, że w 1985 roku Mahtab i ja wrócimy do domu. Nie mogłam znieść innej myśli.

112

Mudi był równie nieprzenikniony jak zawsze, czasem ciepły i serdeczny, czasem naburmuszony i groźny, ale przynajmniej był zadowolony z tego, jak się urządziliśmy, i przestał wspominać o powrocie do Amme Bozorg. Jego lenistwo, jak się mogłam spodziewać, pogłębiło się. Po niedługim czasie pozwolił nam samym jeździć do szkoły i stopniowo przestawał zadawać sobie trud odbierania nas w południe. Dopóki zjawialiśmy się w domu zgodnie z planem, był całkiem zadowolony. Pokładałam nadzieję w zwiększeniu swobody poruszania się.

Chartum Szahin również o tym pomyślała, zauważywszy, że Mudi tylko wyjątkowo pojawiał się teraz w szkole. Pewnego dnia za pośrednictwem pani Azahr, odbyła ze mną dyskrecjonalną rozmowę:

- Obiecałyśmy twojemu mężowi, że nie pozwolimy ci korzystać z telefonu ani wychodzić z budynku - powiedziała - i musimy dotrzymać obietnicy.
- Ale - mówiła dalej - nie obiecywałyśmy, że mu powiemy, że przychodzisz później do szkoły. Nic mu nie powiemy, jeśli się spóźnisz. Nie mów nam, gdzie byłeś, bo jeżeli nas zapyta, będziemy musiały mu powiedzieć. Ale jeśli nie będziemy wiedziały, nie będziemy musiały nic mu mówić.

dIm

Mudi, któremu wciąż dokuczało przeziębienie, z każdym dniem bardziej leniwił i stopniowo ograniczał straż nad nami. Najwyraźniej był tak przekonany, że irańskie nauczycielki będą mnie zgodnie z jego życzeniem pilnować, że niczego nie podejrzewał.

Pewnego dnia spóźniłam się trochę do szkoły, zaledwie o kilka minut, żeby zobaczyć reakcję nauczycielek. Nic się nie stało. Chanum Szahin dotrzymała słowa. Wykorzystałam ten czas, żeby zadzwonić do ambasady, do Helen, która jeszcze raz mnie ostrzegła przed dwiema tajemniczymi kobietami, które najwyraźniej uparły się, żeby mi pomóc. Powiedziały, że chciałyby się ze mną osobiście spotkać, ale ja nie byłam pewna, czy mogę sobie pozwolić na długą,

ryzykowną wyprawę. Nieprzewidziany korek w ruchu miejskim mógł spowodować fatalne spóźnienie.

Jednak potrzeba działania była coraz bardziej nagląca. Na przykład zaniepokoiły mnie zabawy Mahtab i Mariam. Dziewczynki sadzały swoje lalki, ustawiały naczynia i bawiły się w dom. Z radością naśladowały pracę pań domu. Nagle Mariam mówiła po persku: „Mężczyzna idzie!” i obie szybko zawijały się w czadory.

Pewnego ranka podjęłam więc stanowczą decyzję. W drodze do szkoły doszliśmy z Mahtab do ulicy Szariatiego, gdzie zwykle łąpałyśmy pomarańczową taksówkę. Obejrzałam się kilka razy za siebie, żeby się upewnić, że nie obserwuje mnie ani Mudi, ani nikt inny.

- Mahtab - powiedziałam - jedziemy dzisiaj do ambasady. Nie wolno nic mówić tatusiowi.

- Czasem - zgodziła się Mahtab, nieświadomie przytakując po persku, co podkreśliło jeszcze potrzebę szybkiego działania. Mahtab bardziej niż kiedykolwiek chciała wydostać się z Iranu, ale przyswajała sobie po trochu irańską kulturę.

Wiedziałam, że za jakiś czas zasymiluje się, nawet wbrew własnej woli.

się

pi

114

Znalazłyśmy biuro taksówek zamawianych przez telefon, powiedziałam szoferowi, że ma nas zawieźć do Sekcji Interesów USA przy ambasadzie Szwajcarii. Mahtab pomagała tłumaczyć. Po niesłychanie długiej jeździe przez miasto, po nużącej procedurze ustalania tożsamości i rewidowania, dotarliśmy wreszcie do biura Helen.

Szybko pochłonęłam listy od Joego, Johna, mamy i taty. List Johna był szczególnie wzruszający: „Uważaj na Mahtab, proszę cię, i trzymaj ją przy sobie” - pisał.

- Coś się dzieje - powiedziała Helen - Departament Stanu wie, gdzie pani jest, i robi, co może.

A nie może zbyt wiele - pomyślałam.

- Pewna Amerykanka skontaktowała się z ambasadą amerykańską we Frankfurcie w pani sprawie.

Judy!

- Robią, co mogą.

Chciało mi się krzyknąć. Dlaczego więc ja i Mahtab ciągle tu jesteśmy?

- Jedno, co możemy zrobić to uzyskać dla was nowe amerykańskie paszporty - powiedziała Helen. - Zostaną wydane przez ambasadę USA w Szwajcarii. Nie będzie w nich oczywiście odpowiednich wiz, ale może się kiedyś przydadzą. Będziemy je dla was trzymać.

Pół godziny zajęła nam papierkowa robota niezbędna do wyrobienia nowych paszportów.

- Teraz muszę z panią porozmawiać o tych dwóch kobietach, które o panią pytały - powiedziała Helen. - Kontaktowały się z pani rodziną w Stanach. Ale proszę zachować ostrożność. One nie mają pojęcia, o czym mówią. Proszę nie robić tego, co one proponują, bo będzie miała pani ogromne kłopoty.

Dwie kobiety były Amerykankami - żonami Irańczyków. Jedna z nich, Trish, miała za męża lotnika. Druga, Suzanne, była żoną wysokiego urzędnika państwowego. Obie całkiem swobodnie poruszały się po całym kraju i mogły wyjeżdżać z Iranu, kiedy tylko chciały, ale współczuły mi i chciały pomóc.

- Jak mogłabym się z nimi skontaktować? - zapytałam.

Helen zachmurzyła się, niezadowolona, że chcę jednak wykorzystać tę możliwość, lecz mnie coraz bardziej dręczyła myśl, że oficjalną drogą nie da się

nic wskórać. Mogła dostrzec na mojej twarzy wyraz zatroskania i zdesperowania.

- Niech pani pozwoli ze mną - powiedziała.

Wprowadziła Mahtab i mnie do biura swojego szefa, pana Vincopa, wicekonsula ambasady.

- Niech się pani nie zadaje z tymi kobietami - ostrzegł - to wariatki. Same nie wiedzą, co robią. Powiedziały nam, że jeden z ich planów miałby polegać na porwaniu pani na ulicy i wywiezieniu

115

z kraju, ale nie wiedzą jak to zrobić. W ich wydaniu wygląda to jak w kinie. To się absolutnie nie może udać.

Moje życie było bardziej skomplikowane niż jakikolwiek sensacyjny film. Wszystko się mogło zdarzyć. Dlaczego nie miałabym przynajmniej porozmawiać z tymi kobietami? Wtem przyszło mi na myśl coś innego.

- A przedostanie się do Turcji? - zapytałam, przypominając sobie znajomego Raszida, który szmuglował ludzi przez góry.

- Nie! - powiedział ostro pan Vincop - to bardzo niebezpieczne. Są tacy ludzie, którzy będą opowiadać, że mogą panią przerzucić za granicę. Wezmą od pani pieniądze, dowiozą panią do granicy, zgwałcą, zabiją albo wydadzą w ręce władz. Nie może pani tego zrobić, bo naraziłaby pani życie córki. To zbyt niebezpieczne.

Oczy Mahtab rozszerzyły się ze strachu, a mnie serce zaczęło walić. Do tej pory Mahtab nie zdawała sobie sprawy, że powrót do Ameryki może być związany z fizycznym niebezpieczeństwem. Wtuliła się w moje objęcia.

Helen dopowiedziała całą historię. Całkiem niedawno pewna Iranka próbowała razem z córką uciec tą drogą, płacąc przemytnikom za przewiezienie przez granicę. Przemytnicy zabrali je do Turcji i po prostu porzucili w górach. Córka umarła z wycieńczenia i zimna. Kobieta błądząc dotarła w końcu do jakiejś wioski, bliska śmierci. Wypadły jej wszystkie zęby.



- Ze wszystkich dróg z tego kraju ta przez Turcję jest najbardziej niebezpieczna - powiedziała Helen. - Ale mogłaby pani uzyskać rozwód. Wezmę panią do biura Narodów Zjednoczonych, dostanie pani rozwód i pozwolenie na wyjazd ze względów humanitarnych. Wtedy będzie pani mogła wrócić do Ameryki.

- Tylko razem z córką - powiedziałam ostro.

- Jest pani szalona - oznajmiła Helen. I w obecności Mahtab dodała:

- Dlaczego nie wyjedzie pani i nie zostawi jej tutaj? Proszę opuścić ten kraj i zapomnieć o niej.

W głowie mi się nie mieściło, że Helen może być do tego stopnia gruboskórna i mówić coś takiego przy Mahtab. Najwyraźniej nie miała pojęcia o głębokiej więzi między matką i dzieckiem.

- Mamusiu, nie pojedziesz do Ameryki beze mnie - zapłakała Mahtab.

Przytuliłam ją mocno i zapewniłam, że nigdy w życiu jej nie zostawię. Ta chwila umocniła we mnie postanowienie, żeby działać - i to zaraz!

- Chcę skontaktować się z tymi paniami - powiedziałam stanowczo. Helen wzniosła oczy ku niebu, a pan Vincop nerwowo zakaszłał.

Nie wierzyłam w swoje własne słowa, nie przypuszczałam, że mogę tak głęboko pakować się w jakąś intrygę.

116

Przez jakiś czas nikt się nie odzywał. Kiedy pan Vincop przekonał się w końcu, że jestem nieugięta, westchnął i powiedział:

- Mamy obowiązek udzielić pani informacji, ale naprawdę radziłbym nie kontaktować się z nimi.

- Mam zamiar wykorzystać każdą okazję - odparłam - wypróbuję każdą nadarzającą się szansę.

Podał mi numer telefonu Trish. Od razu do niej zadzwoniłam.

- Dzwonię z biura wicekonsula ambasady - powiedziałam. Trish niezmiernie się ucieszyła z mojego telefonu.

- Wczoraj wieczorem rozmawiałam z pani matką - powiedziała
- rozmawiałyśmy z nią codziennie. Ona ciągle płacze i jest załamana. Chciałaby, żebyśmy coś zrobiły, a my obiecałyśmy, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Czekałyśmy, próbowałyśmy się z panią skontaktować. Jak mogłybyśmy się spotkać?

Ustaliliśmy szczegóły. Jutro powiem Mudiemu, że po szkole muszę zrobić zakupy, żebyśmy mogły wrócić trochę później niż zwykle. Jeśli nie będzie nic podejrzewał, zadzwonię do Trish i potwierdzę spotkanie. Będziemy z Mahtab kwadrans po dwunastej przy tylnej bramie parku Karosz. Trish i Suzanne podjadą białym pakonem.

- Dobrze! - powiedziała Trish. - Będziemy tam.

Udzielił mi się jej entuzjazm, ale byłam też ostrożna. Co to wszystko dla niej znaczyło? Chodziło jej o pieniądze czy tylko o dreszczyk emocji? Byłam pewna, że mogę wierzyć w szczerą jej intencję, ale jakie miała możliwości? Z drugiej strony, promieniała optymizmem, a tego było mi właśnie teraz potrzeba. Oczekiwałam tego spotkania i ciekawa byłam, co z niego wyniknie.

Kiedy odkładałam słuchawkę, Helen załamała rękę.

- Zjedlibyście jutro na kolację pizzę? - zapytałam.

- Tak! - powiedzieli chórem Mudi, Mammal i Nasserin. Żadne z nich nie podejrzewało, że knułam jakiś podstęp.

Denerwowałam się przez całą noc. Opadały mnie różne wątpliwości, odbierając sen. Czy postępowałam racjonalnie? Czy powinnam słuchać rad urzędników z ambasady, czy też próbować wyrwać się na wolność wszelkimi nadarzającymi się sposobami? Czy narażam Mahtab na niebezpieczeństwo? Czy mam do tego prawo? A jeśli nas złapią? Czy odeślą mnie do Mudiego, czy też — co gorsza — deportują z kraju, a Mahtab prześlą prawowitemu w ich mniemaniu właścicielowi, czyli ojcu? To był najgorszy koszmar. Nie chciałam wracać sama do Ameryki.

Okazało się prawie niemożliwe przemyślenie i rozważenie wszystkich aspektów ryzyka. Przed świtem, kiedy Mudi wstał na modlitwę, ja wciąż czuwałam, wciąż

niezdecydowana. Wślizgnąwszy się z powrotem do łóżka Mudi przywarł do mnie, żeby się ogrzać i schronić przed

117

\/^

?^?^?

chłodem zimowego poranka. Udając, że śpię, szybko podjęłam decyzję. Muszę uciec jak najdalej od tego odrażającego człowieka!

Po dwóch godzinach, kiedy przygotowywałyśmy się z Mahtab do wyjścia do szkoły, Mudi wylegiwał się w łóżku.

- Wróć dzisiaj trochę później - rzuciłam od niechcienia - muszę zajść do Pol Pizza po ser.

- Uhmum - wymamrotał Mudi. Wzięłam to za znak zgody. Kiedy w południe zakończyły się lekcje w klasach zerowych, Mahtab

była gotowa, równie podniecona jak ja, ale chyba lepiej się z tym kryła. Złapałyśmy taksówkę i pojechałyśmy do parku Karosz, gdzie znalazłyśmy automat telefoniczny.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziałam do Trish.

- Będziemy tam za pięć minut. Biały pakon z dwiema kobietami i kilkorgiem rozwrzeszczanych

dzieci zjawiał się punktualnie. Z przedniego siedzenia wyskoczyła kobieta, złapała mnie za ramię i pociągnęła do samochodu.

- Szybko! - zawołała - jedzicie z nami. Uwolniłam ramię.

- Musimy porozmawiać. Co tu się dzieje?

- Od tygodni cię szukałyśmy. A teraz cię zabieramy. Znów szarpnęła mnie za ramię, a drugą ręką złapała Mahtab. Mała

odskoczyła ze strachem i ostro krzyknęła.

- Musicie zaraz jechać z nami. Nie dajemy wam wyboru. Albo teraz zabieracie się z nami, albo wam nie pomożemy.

- Słuchaj, nawet cię nie znam. Powiedz, jak się o mnie dowiedziałyś- mi w cie? Na czym polega wasz plan? wolności!

Kobieta mówiła szybko, próbując uspokoić wystraszoną Mahtab. się sama

Rozglądała się nerwowo wokół, z nadzieją, że cała ta scena nie zwróci z Mali lab,

uwagi policji ani pasdarów. Były ti

- Jestem Trish. Judy nam o tobie opowiedziała. Codziennie z nią w bia/' rozmawiamy. Codziennie rozmawiamy z twoją rodziną. Wiemy, jak cię stąd wydostać. Shop ]

- Jak? - zapytałam.

- Zabierzemy was do pewnego mieszkania. Może będziecie ukrywać się przez miesiąc, może przez parę dni czy godzin - nie wiemy. Ale potem wywieziemy was z kraju.

Kobieta siedząca za kierownicą wyszła, żeby zobaczyć, dlaczego się opóźniamy. Poznałam w niej „chorą na cukrzycę”, która zgłosiła się do Mudiego. Trish przedstawiła ją jako Suzanne.

- No dobrze, opowiedzcie mi o swoim planie - poprosiłam - chciałabym się włączyć.

- Opracowałyśmy go dokładnie - zapewniła mnie Trish - ale nie chcemy ci go zdradzać.

Nasunęło mi się całe mnóstwo pytań i postanowiłam, że nie wsiądę

118

do samochodu z tymi dziwnymi, nawiedzonymi kobietami, zanim uzyskam parę odpowiedzi.

- Jedźcie do domu i dopracujcie swój plan. Spotkamy się znowu, i kiedy plan będzie gotowy, pojedę z wami.
- Nic innego nie robimy, tylko dniem i nocą przemierzamy ulice, żeby ciebie znaleźć, chcemy cię stąd wydostać, i teraz masz szansę. Chodź z nami albo zapomnij o wszystkim.
- Dajcie mi dwadzieścia cztery godziny i dopracujcie swój plan.
- Nie. Teraz albo nigdy.

Jeszcze przez jakiś czas kłóciłyśmy się na ulicy, lecz nie byłam w stanie poważnie się na ten nagły skok w stronę wolności. Co będzie, jeśli znajdę się z Mahtab w ukryciu w jakimś mieszkaniu, a kobietom nie uda\*się zorganizować ucieczki? Jak długo Amerykanka z córką może unikać zdemaskowania w kraju, gdzie tak się nienawidzi Amerykanów?

- No dobrze. Do widzenia - powiedziałam w końcu.

Trish odwróciła się, wściekła na mnie i otworzyła drzwiczki samochodu.

- Nie chcesz od niego odejść. Nigdy go nie opuścisz. Tylko tak gadasz, a ludzie ci wierzą, że chciałyś odejść. My ci nie wierzymy. Tak naprawdę to chcesz tutaj zostać.

Samochód pomknął w chaos zatłoczonych teherańskich ulic.

Mahtab i ja zostałyśmy same, w paradoksalny sposób izolowane w gęstym tłumie irańskich przechodniów. Przemowa Trish dźwięczała mi w uszach.

Dlaczego nie rzuciłam się na tę szansę odzyskania wolności? Czy w jej oskarżeniach mogło być ziarno prawdy? Czyżbym się sama oszukiwała, wierząc, że kiedykolwiek uda mi się uciec razem z Mahtab, że uciekniemy?

Były to straszne pytania. Mahtab i ja mogłyśmy teraz pędzić w białym pakonie ku nieznanemu przeznaczeniu i nieznaną, być może niebezpieczną, przyszłości. Zamiast tego pospieszyłyśmy do Pol Pizza Shop po ser, żeby przygotować wymyślny przysmak dla mojego męża.

Zaczęliśmy spotykać się regularnie z małżeństwem Hakimów. Polubiłam bardzo agę w turbanie, bo traktował religię z należyтым dystansem. Mudi też go lubił. Przez swoje kontakty w kręgu znajomych, kolegów z dawnych lat, aga Hakim starał się pomóc Mudiemu w znalezieniu jakiejś pracy, w zawodzie lekarza albo przynajmniej wykładowcy. Zachęcał też Mudiego, żeby wziął się do roboty w domu i zaczął tłumaczyć na angielski dzieła ich dziadka, które Hakim przełożył z arabskiego na perski.

Mudi kupił maszynę do pisania, poinformował mnie, że mam być jego sekretarką i wziął się za tłumaczenie traktatu „Ojciec i dziecko” przedstawiającego poglądy Tagati Hakima na to zagadnienie.

Rzadko używany stół w jadalni Mammala i Nasserin został w niedługim czasie zawalony stertą papieru. Mudi siedział w jednym końcu stołu, gryzmolił tłumaczenie i podawał mi strony do przepisania.

W trakcie tej pracy zaczęłam lepiej rozumieć postawę Mudiego. W oczach Tagati Hakima ojciec był całkowicie odpowiedzialny za wychowanie dziecka; żeby się właściwie i z szacunkiem zachowywało, myślało w „prawidłowy” sposób i żyło zgodnie z zasadami islamu. Matka nie odgrywała żadnej roli w tym procesie.

Tygodnie upłynęły nam przy tej żmudnej pracy. Dziadek Mudiego pisał kwiecistym, przeładowanym, dydaktycznym stylem. Każdego popołudnia, kiedy przyprowadzałam Mahtab ze szkoły, czekał już na mnie stos kartek do przepisania, a Mudi spodziewał się po mnie, że natychmiast zasiądę do pracy, ponieważ przywiązywał do tego przedsięwzięcia ogromną wagę.

Pewnego razu głęboko poruszyły mnie słowa Tagati Hakima. Pisząc szczegółowo o powinnościach dziecka względem ojca, przytoczył historię o umierającym ojcu, który chciał po raz ostatni zobaczyć syna. Łzy

popłynęły mi po policzkach. Tekst na leżącej przede mną stronie rozmazał się. Mój własny ojciec umierał, powinnam być przy nim. Mudi zobaczył moje łzy.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Ta opowieść o umierającym ojcu... - zaszlochałam -jak możesz trzymać mnie z dala od mojego ojca, kiedy on umiera? Nie przestrzegasz obowiązków, o których pisał twój własny dziadek.

- Czy twój ojciec jest muzułmaninem? - zapytał z ironią.

- Oczywiście, że nie.

- A więc to nie ma znaczenia. On się nie liczy.

Pobiegłam do sypialni, żeby wyplakać się w samotności. Tak głęboko odczułam swoje osamotnienie, że prawie nie mogłam oddychać. Pod zamkniętymi powiekami zobaczyłam twarz Taty i usłyszałam jego głos: „Pamiętaj, chcieć - to moc”.

Musi być jakiś sposób. Po prostu musi - powiedziałam sobie.

Podczas jednej z wizyt Hakimowie podsunęli pomysł, żebym zaczęła razem z Mahtab uczęszczać na lekcje Koranu dla anglojęzycznych kobiet. Odbływały się one w czwartkowe popołudnia w meczecie Hossajni Erszada. Propozycja ta była jeszcze jednym dowodem dobrych intencji, jakie żywili w stosunku do mnie. Z pewnością mieli nadzieję, że się nawrócę, ale wynikało to ze szczerzej troski o moją pomyślność i szczęście, bo takie były według nich owoce islamu. Co więcej, w ich sugestii zawarte było przesłanie pod adresem Mudiego, że musi pozwolić mi częściej wychodzić z domu i spotykać się z innymi ludźmi mówiącymi moim językiem. Hakimowie byliby zachwyceni, gdybym stała się posłuszną, muzułmańską żoną, ale wyłącznie z własnej woli.

Propozycja ta natychmiast podniosła mnie na duchu. Nie miałam ochoty studiować Koranu, ale perspektywa regularnych spotkań z kobietami mówiącymi po angielsku była podniecająca.

Mudi przyjął to powściągliwie, bo nadarzała mi się okazja wymknięcia się spod jego kontroli. Wiedziałam jednak, że musi ulec. Każda „sugestia” agi Hakima była dla Mudiego jednoznaczna z rozkazem.

Następnego czwartku po lekcjach niechętnie zawiózł nas taksówką do meczetu. Próbował narzucić swoją dominację usiłując wejść do klasy i obejrzeć ją, zanim nas tam wpuści, ale rezolutna Angielka zastąpiła mu drogę.

- Chciałbym tylko wejść i zobaczyć, co tu się dzieje - powiedział - chcę zobaczyć, o co tu chodzi.

- Nie - odparła - tu wstęp mają tylko kobiety. Nie wpuszczamy mężczyzn.

Zaniepokoiłam się, że Mudi wpadnie we wściekłość i wyjątkowo

121

tego dnia nie zastosuje się do życzenia agi Hakima. Zmrużył oczy przyglądając się kobietom, które się schodziły na lekcje. Wszystkie były należycie zakryte, większość nosiła czadory. Wyglądały na dobre muzułmanki, chociaż mówiły po angielsku. Żadna nie przypominała agentki CIA.

Po kilku chwilach wahania Mudi musiał przyznać, że aga Hakim miał rację, że to mi pomoże zasymilować się w Teheranie. Wzruszył ramionami i wyszedł zostawiając Mahtab i mnie pod opieką Angielki.

- Żadnych plotek - zastrzegła - jesteśmy tu po to, żeby studiować Koran.

No i studiowałyśmy. Czytałyśmy chórem wersety, uczestniczyłyśmy w „godzinach pytań i odpowiedzi” wysławiających islam i poniżających chrześcijaństwo, razem intonowałyśmy popołudniową modlitwę. Nie było to samo w sobie przyjemnym zajęciem, ale ogarniała mnie niezmierna ciekawość, kiedy przyglądałam się twarzom, a właściwie fragmentom twarzy tych kobiet. Chciałam znać ich historie. Co tutaj robiły? Czy przebywały tu z własnej woli? Czy były wśród nich równie zniewolone jak ja?

Spodziewałam się, że Mudi będzie na nas po zajęciach czekał przed meczetem, ale nie dostrzegłam jego twarzy w falującym na chodniku tłumie śpieszących się, ponurych Irańczyków. Nie chcąc budzić jego podejrzeń już od pierwszego dnia, złapałam pomarańczową taksówkę i popędziłam z Mahtab do domu. Mudi spojrzął na zegarek, kiedy otworzyłyśmy drzwi. Był zadowolony, że nie nadużyłam danego mi przywileju.



- Ten kurs zrobił na mnie duże wrażenie! - powiedziałam mu. - Tam naprawdę trzeba pracować. Nie dadzą wyjść, dopóki się nie nauczysz. Sądzę, że mogę się tam dużo nauczyć.

- Dobrze - powiedział Mudi, ostrożnie dając wyraz zadowoleniu, że jego żona poczyniła znaczny krok, by wejść w odpowiednią dla niej rolę w Islamskiej Republice Iranu.

Ja byłam też zadowolona, ale z zupełnie innego powodu. Poczyniłam bowiem mały krok, by uciec z Islamskiej Republiki Iranu. Kurs Koranu zaczynał się zaraz po szkole. Jeśli nawet Mudi z początku uważał za niezbędne odprowadzanie nas do meczetu, wiedziałam, że niewiele czasu upłynie, a pozwoli, żebyśmy chodziły tam same, i w ten sposób będę wolna przez prawie cały czwartek.

Chociaż plotkowanie było w zasadzie zakazane, trochę rozmów odbywało się oczywiście przed zajęciami i po nich. Po mojej drugiej lekcji jedna z kobiet zapytała, skąd jestem. Kiedy powiedziałam, że z Michigan, stwierdziła:

- Musi pani zobaczyć Ellen. Ona jest też z Michigan.

122

Przedstawiono nas sobie. Wysoka, silnie zbudowana, Ellen Rafaie, miała około trzydziestu lat, ale jej skóra była wysuszona i wyglądała staro. Ellen nosiła chustę tak dokładnie przylegającą do twarzy, że nie mogłam dostrzec koloru jej włosów.

- Gdzie pani mieszkała w stanie Michigan? - zapytałam.

- Koło Lansing.

- A gdzie?

- Och, nikt nawet nie słyszał o tej miejscowości.

- Proszę mi powiedzieć, bo ja też mieszkałam koło Lansing.

- W Owosso.

- Bujasz chyba! - wykrzyknęłam - moja rodzina mieszka w Ban-nister. Pracowałam w Elsie. Chodziłam do szkoły w Owosso!

Byłyśmy podekscytowane jak małe dziewczynki odkrywając ten zdumiewający zbieg okoliczności i wiedziałyśmy, że mamy masę tematów do obgadania.

- Czy mogłabyś przyjść z rodziną do nas w piątek po południu? - zapytała Ellen.
- Nie wiem. Mąż nie pozwala mi z nikim rozmawiać ani się spotykać. Nie sądzę, żeby się zgodził, ale zapytam.

Tym razem Mudi czekał na nas przed meczetem. Zaskoczyłam go prawdziwym, szczerym uśmiechem.

- Zgadnij, co się stało - powiedziałam - nigdy byś się nie domyślił. Spotkałam rodaczkę z Owosso.

Mudi ucieszył się z mojej radości. Po raz pierwszy od wielu miesięcy zobaczył uśmiech na mojej twarzy. Przedstawiłam go Ellen. Przez jakiś czas rozmawiali, żeby poznać się bliżej, aż w końcu powiedziałam:

- Ellen zaprasza nas na piątkowe popołudnie.

W głębi duszy byłam przekonana, że Mudi zaoponuje. Ale on powiedział:

- Dobrze.

Ellen przerwała naukę w szkole średniej w ostatniej klasie, żeby wyjść za mąż za Hormoza Rafaie. Przesądziła w ten sposób o swoim życiu stając się żoną na utrzymaniu męża. Hormoz, inżynier elektryk wykształcony w Ameryce, statusem materialnym i społecznym górował nad Ellen i całkiem naturalnie przyjął na siebie - i polubił - rolę żywiciela i opiekuna. Podobnie jak Mudi, Hormoz był kiedyś zamerykanizowany. W Iranie został zaliczony do wrogów reżimu szacha. Powrót do rodzinnego kraju oznaczałby dla niego w tamtych latach uwięzienie, a być może tortury i śmierć z rąk Savaku. Ale tak jak w przypadku Mudiego, wydarzenia polityczne na drugiej półkuli wywarły bardzo głęboki wpływ na jego życie osobiste.

123

Hormoz podjął pracę w Minnesocie i żyli tam z Ellen jak mniej lub bardziej typowa rodzina amerykańska. Urodziła im się córka, Jessica. Tuż przed narodzinami drugiego dziecka Ellen wróciła do Owosso, żeby tam odbyć poród.

28 lutego 1978 roku wydała na świat syna. Jeszcze tego samego dnia zadzwoniła do Hormoza, żeby podzielić się z nim radosną nowiną.

- Nie mogę teraz z tobą rozmawiać - odpowiedział - słucham radia. Tego właśnie dnia szach opuścił Iran.

Ilu jeszcze mogło być takich ludzi, jak Hormoz i Mudi, dla których wygnanie i hańba szacha stały się sygnałem do powrotu do przeszłości?

Kiedy Hormoz znalazł czas, żeby zdać sobie wreszcie sprawę, że został obdarzony synem, nadał mu irańskie imię, Ali. Jego życie, a więc i życie Ellen, diametralnie się zmieniło.

Mudi opierał się przez pięć lat, ale Hormoz prawie natychmiast zdecydował się wrócić do kraju i żyć pod rządami ajatollaha Chomej-niego.

Ellen, lojalna Amerykanka, sprzeciwiła się temu pomysłowi. Była jednak również żoną i matką. Hormoz jasno postawił sprawę - wraca do Iranu z rodziną albo bez niej. Znalazłszy się w sytuacji bez wyjścia, Ellen zgodziła się spróbować życia w Iranie, przynajmniej przez jakiś czas. Hormoz zapewnił ją, że jeśli źle się będzie czuła w Teheranie, będzie mogła wrócić razem z dziećmi do Ameryki, kiedy tylko zechce.

W Teheranie okazało się, że Ellen jest uwięziona, tak jak ja. Hormoz zdecydował, że nigdy nie wróci do Stanów. Stała się obywatelką irańską, podlegającą prawom tego kraju i woli męża. Przez jakiś czas zamykał ją i bił.

Jak dziwnie brzmiała ta cała historia! Hormoz i Ellen opowiedzieli ją nam razem, kiedy w piątkowe popołudnie siedzieliśmy w ich zapuszczonym mieszkaniu. Z początku ciekawa byłam, czy Mudiemu ta rozmowa sprawia przykrość, ale zdałam sobie sprawę, że musi być zadowolony. Znał zakończenie tej historii - w sześć lat później Ellen nadal była w Teheranie, najwyraźniej pogodzona z życiem w kraju swego męża. Usłyszałam dokładnie to, czego sobie życzył Mudi.

- Pierwszy rok był okropny - powiedział Hormoz - ale potem się poprawiło.

Kiedy upłynął rok od przybycia Ellen do Iranu, Hormoz powiedział do niej:

- Dobrze, jedź do domu. Chciałem, żebyś pomieszkała w Iranie przez rok, żeby zobaczyć, czy zdecydujesz się na życie tutaj. Teraz jedź j do domu.

Chciałam, żeby Mudi coś takiego usłyszał! Modliłam się, żeby słuchał uważnie i przekonał się, jak mądrze byłoby pozwolić mi na taki sam wybór.

Jednak wraz z dalszym ciągiem tej historii mój niepokój narastał. I

Ellen

do wiary.

z Iranu..

zbyt „i.,

- posl

koli1

muzuhoti

publikacji,

miała nic p Tak ? zbadać mot oka/| i.

Ilisiona zdum - pr/ ramio Ra powie dom.

- M niem

Wybili:

do Iranu.

W/,

Mik: spiii Zna / nii od k

mogłam m mogl

koja: CO lii

naju i pozu

po/U'

cicr

124

Ellen wróciła z Jessicą i Alim do Ameryki, ale po sześciu tygodniach zadzwoniła do Hormoza i powiedziała: „Przyjedź i zabierz mnie”. Nie do wiary, zdarzyło się to dwa razy! Za każdym razem Ellen wyjeżdżała z Iranu za pozwoleniem Hormoza i za każdym razem wracała. Było to zbyt nieprawdopodobne, żeby wierzyć, a przecież miałam ją przed sobą

- posłuszną muzułmańską żonę. Pracowała w redakcji „Mahdżuby”, kolportowanego po całym świecie magazynu w języku angielskim dla muzułmańskich kobiet. Wszystkie materiały, jakie przygotowywała do publikacji, musiały mieć akceptację Rady Muzułmańskiej - Ellen nie miała nic przeciwko temu.

Tak rozpaczliwie chciałam pomówić z Ellen sam na sam, żeby zbadać motywy, jakie nią kierowały, ale tego popołudnia nie było okazji.

Historia Ellen zaparła mi dech w piersiach, zazdrościłam i byłam zdumiona. Jak doszło do tego, że Amerykanka - że ktokolwiek

- przedłożyła Iran nad Amerykę? Miałam ochotę potrząsnąć Ellen za ramiona i krzyknąć: „Dlaczego?!”

Rozmowa, z innego powodu, przybrała nieprzyjemny obrót. Hormoz powiedział, że niedawno odziedziczył spadek po ojcu i że budują własny dom, który niedługo będzie ukończony.

- My też chcielibyśmy wybudować dom - powiedział z zadowoleniem Mudi - mieliśmy go postawić w Detroit, ale teraz chcemy wybudować tutaj, kiedy tylko uda się przetransferować nasze pieniądze do Iranu.

Wzdrygnęłam się na samą myśl.

Mudi i ja szybko zaprzyjaźniliśmy się z Ellen i Hormozem i regularnie spotykaliśmy się z nimi. We mnie budziło to ambiwalentne uczucia. Znalazienie koleżanki mówiącej po angielsku, zwłaszcza pochodzącej z moich rodzinnych stron, było rzeczą wspaniałą. Różniło się to bardzo od konwersacji z mówiącymi po angielsku Irankami. Z nimi nigdy nie mogłam mieć pewności, czy zostaną do końca zrozumiana. Z Ellen mogłam gadać całkiem swobodnie, wiedząc, że wszystko do niej dociera. Ciężko mi jednak było oglądać Ellen i Hormoza razem - zbyt mi się to kojarzyło ze spoglądaniem w mroczne zwierciadło przyszłości.

Robiłam, co mogłam, żeby zostać sam na sam z Ellen. -Mudi był podejrzliwy, najwyraźniej miał ochotę dowiedzieć się o niej czegoś więcej, zanim pozwoli nam na zbyt dużą zażyłość.

Ellen i Hormoz nie mieli telefonu. Trzeba było mieć specjalne pozwolenie, a często i poczekać parę lat, zanim uzyskało się to udogodnienie. Jak wielu ludzi w takiej sytuacji, umówili się z właścicielem pobliskiego sklepu, że w razie potrzeby będą korzystać z jego aparatu.

125

Pewnego dnia Ellen zadzwoniła i powiedziała Mudiemu, że chciałaby zaprosić Mahtab i mnie na popołudniową herbatkę. Mudi, niechętnie, poprosił mnie do telefonu, nie chcąc, żeby Ellen zorientowała się, jak bardzo ograniczona jest moja wolność.

- Zrobiłam pączki z lukrem czekoladowym! - powiedziała Ellen. Zakryłam słuchawkę ręką i zapytałam Mudiego o zgodę.

- A ja? - zapytał podejrzliwie - Też jestem zaproszony?

- Nie sądzę, żeby Hormoz był w domu.

- Nie. Nie pójdziesz.

Głębokie rozczarowanie musiało się odmalować na mojej twarzy. W tym momencie myślałam nie tyle o wyrwaniu się spod kontroli Mudiego, ile o pączkach z czekoladowym lukrem. W każdym razie Mudi był tego dnia w dobrym humorze i widocznie zastanowił się, co ma większe znaczenie: korzyści, jakie dawała przyjaźń z Ellen przeważały nad ryzykiem wypuszczenia mnie na całe popołudnie. Po chwili powiedział:

- Dobrze, idź.

Pączki były przepyszne, wspaniale było też porozmawiać z Ellen całkiem swobodnie o prywatnych sprawach. Mahtab bawiła się wesoło z dziewięcioletnią Mariam (zislamizowane imię Jessiki) i sześciolatnim Alim. Co więcej, Miriam i Ali mieli amerykańskie zabawki: książeczki, puzzle i prawdziwą lalkę Barbie.

Podczas gdy dzieci się bawiły, odbyliśmy z Ellen poważną rozmowę. Zadałam jej pytanie, które mnie prześladowało:

- Dlaczego?

- Gdybym była w twoim położeniu, może zostałamby w Ameryce - powiedziała zamyśliwszy się głęboko. - Ale wszystko, co mam, jest tutaj. Rodzice są na emeryturze, nie stać ich, żeby mnie wspomóc. Nie mam pieniędzy, wykształcenia, zawodu. I mam dwoje dzieci.

Nawet i to było mi trudno pojąć. Co gorsza, Ellen mówiła o Hormozie ze złością w głosie.

- Bije mnie - płakała - bije dzieci. I nie widzi w tym niczego niewłaściwego.

(Usłyszałam słowa Nasserin: „Wszyscy mężczyźni są tacy”.) Ellen podjęła decyzję nie z miłości, lecz ze strachu. Było to oparte raczej na kalkulacji niż na uczuciu. Nie potrafiła stawić czoła przeciwnościom stanowiącym cenę emancypacji. Wybrała za to życie, które w szczegółach bywało straszne, ale zapewniało przynajmniej pozory tego, co nazywała bezpieczeństwem.

Odpowiedziała w końcu na moje „dlaczego?” szlochając:

- Bo się boję, że nic by mi się nie udało, gdybym wróciła do I Ameryki.

Rozpłakałam się razem z nią.

126

Ułynęło sporo czasu, zanim Ellen się opanowała i zanim zdobyłam się na odwagę, żeby poruszyć kolejny temat, jaki sobie zaplanowałam.

- Bardzo chciałabym z tobą o czymś pomówić, ale nie wiem, jak będziesz się czuła ukrywając to przed mężem. Jeśli wszystko będzie w porządku, jeśli możesz dotrzymać tajemnicy i nie wygadać się przed nim, powiem ci. W przeciwnym razie nie chciałabym cię tym obarczać.

Ellen zamyśliła się głęboko. Powiedziała mi, że kiedy po raz drugi wróciła do Iranu, postanowiła jakoś z tej sytuacji wybrnąć i zmienić się w idealną muzułmańską żonę. Przyjęła islam w szyickim wydaniu, zaczęła zakrywać twarz, nawet w domowym zaciszu (i teraz była zakryta), modliła się w określonych

porach, czciła wszystkich świętych mężów, studiowała Koran i prawdziwie zaakceptowała swój los jako wolę Allaha.

Była posłuszną muzułmańską żoną, a jednocześnie ciekawską Amerykanką.

- Nie powiem mu nic - obiecała w końcu.
- Zależy mi na tym. Nie możesz powiedzieć nikomu, absolutnie nikomu.
- Obiecuję.

Wzięłam głęboki oddech i zaczęłam mówić.

- Opowiadam ci o tym, ponieważ jesteś Amerykanką, a ja potrzebuję pomocy. Chcę się stąd wydostać.
- To niemożliwe. Jeśli on ci nie pozwoli, nie ma sposobu.
- Jest sposób. Chcę uciec.
- Jesteś szalona. To ci się nie uda.
- Nie proszę, żebyś się w to w jakikolwiek sposób mieszała. Chcę od ciebie tylko, żebyś od czasu do czasu stworzyła mi okazję do wyjścia z domu, tak jak dzisiaj, żebym mogła pójść do ambasady amerykańskiej.

Opowiedziałam o swoich kontaktach w ambasadzie, o tym, jak wysyłają i przyjmują listy dla mnie i robią wszystko, żeby mi pomóc.

- Czy pomagają ci wydostać się z kraju? - zapytała Ellen.
- Nie. Przekazuję tylko przez nich informacje, i to wszystko. Jeśli ktokolwiek potrzebuje się ze mną skontaktować, może to zrobić za pośrednictwem ambasady.
- Ja nie chcę chodzić do ambasady - stwierdziła Ellen - nigdy tam nie byłam. Kiedy po raz pierwszy tu przyjechaliśmy, zapowiedział, że nie wolno mi tam chodzić, więc nawet tej ambasady nie widziałam.
- Nie musisz tam chodzić - zapewniłam - upłynie trochę czasu, zanim Mudi pozwoli nam się spoufalić, ale myślę, że w końcu zgodzi się, żebym z tobą wychodziła, bo cię lubi. Załatw tylko jakoś, żebym mogła wyjść z domu.



Powiedz, że idziemy po zakupy, albo coś w tym rodzaju, i kryj mnie przez ten czas.

127

EUn przez dłuższy czas myślała nad moją prośbą, aż w końcu skinęła głową. Reszta popołudnia upłynęła nam na układaniu różnych planów, choć nie miałyśmy pojęcia, kiedy będziemy mogły je zrealizować.

Mahtab tak się spodobała zabawa z Mariam i Alim, że nie miała ochoty iść do domu, ale dzieci EUn ośodziły chwilę rozstania pozwalając jej pożyczyć kilka książek. Wzięła „Oscar the Grouch”, „Goldilock and the Three Bears” i książeczkę o Kaczorze Donaldzie. EUn miała też Nowy Testament i obiecała, że będzie mi go od czasu do czasu pożyczać.

Mudi był zmienny, czasem wykorzystywał swoją fizyczną przewagę, ale kiedy indziej próbował mnie pokonać łagodnością.

- Chodźmy jutro do restauracji - zaproponował 13 lutego - jutro jest Świętego Walentego.

- Dobrze, oczywiście.

Umyślił sobie, że zabierze nas do restauracji w hotelu Khayam, która szczyliła się mówiącą po angielsku obsługą. Obie z Mahtab byłyśmy podekscytowane. W popołudnie dnia Świętego Walentego kilka godzin zajęły nam przygotowania. Włożyłam kostium z czerwonego jedwabiu, stosowny na tę okazję, ale skandaliczny w Iranie. Musiałam oczywiście nałożyć na wierzch manto i rusari, ale miałam nadzieję, iż hotel okaże się na tyle zamerykanizowany, że pozwoli mi zaprezentować w restauracji mój kostium. Starannie ułożyłam fryzurę i nałożyłam szkła kontaktowe zamiast okularów. Mahtab ubrała się w białą sukieneczkę haftowaną w czerwone pączki róż, na nóżki założyła białe skórzane buciki.

Poszliśmy w trójkę do ulicy Szariatiego, gdzie wsiedliśmy do pierwszej z czterech stojących tam pomarańczowych taksówek, która powiozła nas przez miasto na wschód, do miejsca przeznaczenia. Hotel znajdował się przy głównej ulicy, którą wielu ludzi wciąż jeszcze nazywało mianem rodziny szacha, Aleja Pahlavi.

Kiedy wysiadaliśmy z taksówki, Mudi przez chwilę pozostał w środku, żeby zapłacić za kurs. Ruch uliczny przelewał się z hałasem w obu kierunkach. Okazało się, że od chodnika oddziela nas wyjątkowo szeroki rynsztok, pełen brudnej wody. Był zbyt szeroki, żeby go przeskoczyć, wzięłam więc Mahtab za rękę i poszliśmy w kierunku pobliskiej kraty ściekowej, gdzie mogliśmy przejść suchą nogą.

Kiedy wstąpiliśmy na kratę, spojrzałam w dół i zobaczyłam olbrzymiego, ohydneho szczura, wielkości małego kota, który ulokował się na jednym z białych bucików Mahtab.

Szybko wyciągnęłam rękę i odciągnęłam zdziwioną Mahtab z powrotem na ulicę. Szczur uciekł.

128

- Co ty robisz?! - krzyknął za mną Mudi.

- Nie chciałam, żeby potrącił ją tamten samochód - skłamałam, chcąc oszczędzić Mahtab opowiadania o szczurze.

Poszliśmy do góry, w kierunku hotelu Khayam. Szeptem powiedziałam Mudiemu, co się naprawdę stało, ale nie okazał zdziwienia. Szczury są w Teheranie elementem codziennego życia.

Uspokoiliłam się i usiłowałam cieszyć się z wieczoru. W hotelu nikt nie mówił po angielsku wbrew temu, co reklamowano, a ja przez całą kolację musiałam mieć na sobie manto i rusari. Narażając się na gniew Allaha rozpięłam jednak trochę płaszcz. Kolacja była nadzwyczajna i smaczna: krewetki z frytkami.

Mudi demonstrował hojność, nalegając, żebyśmy po jedzeniu napili się kawy, chociaż filiżanka kosztowała równowartość czterech dolarów. Kawę podano w małych filiżankach espresso, smakowała jak mocna neska. Nie była zbyt dobra, ale liczył się gest Mudiego. Próbował sprawić mi przyjemność. Ja ze swej strony usiłowałam przekonać go, że jest mi miło.

Przede wszystkim jednak czułam się niepewnie, bo wiedziałam, że Mudi potrafi w jednej chwili z czułego męża przeobrazić się w furiata. Nie ufałam przyptywom jego uczuć.

Prześladowała mnie stale jedna myśl: czy powinniśmy być pojechać z Trish i Susanne? Nie wiedziałam, nie mogłam wiedzieć, co by się stało. Rozważając różne możliwości, nadal wierzyłam, że moja decyzja była rozsądna. Obie amatorki opracowały tylko ogólne zarysy planu. Sama mogłam z nimi pojechać, ale czy miałam prawo narażać Mahtab na takie niejasne niebezpieczeństwa?

Kiedy jednak Mudi zachowywał się wstrętne, nachodziły mnie wątpliwości. Może na największe niebezpieczeństwo narażam Mahtab pozostając z jej ojcem?

Odgłos strasznej eksplozji wyrwał mnie z niespokojnego snu. Widziałam przez okno rozpłomienione nocne niebo, całe w ogniu. Kolejne wybuchy rozlegały się wokół nas w krótkich odstępach. Dom zatrzęsł się w posadach.

- Bomby! - krzyknęłam. - Bombardują nas!

Dobiegło nas wycie odrzutowców przelatujących nad naszymi głowami. Smugi upiornego biało-żółtego światła rozbłyły w oknie, a potem, jak grzmot po błyskawicy, rozległ się straszliwy huk.

Mahtab krzyknęła z przerażenia. Mudi pochwycił ją i położył w łóżku między nami. Przyłgnęliśmy do siebie, beznadziejnie samotni w obliczu przeznaczenia.

Mudi jak szalony wykrzykiwał jakieś perskie modlitwy, w jego głosie słychać było panikę. Objął nas, chcąc ochronić, ale wzmogło to

9 — Tylko razem z córką

129

tylko nasz strach, bo drżał na całym ciele. Modliłyśmy się z Mahtab po angielsku, pewne, że nadeszła chwila śmierci. Nigdy nie czułam takiej trwogi. Serce mi waliło. Czułam ból w uszach, które wypełniał wszechobecny grzmot zniszczenia.

Samoloty nadlatywały falami, to dając nam minutę wytchnienia, to znów pikując na nas, a ich motory wyrzaskiwały całą nienawiść do ludzi w dole. Pomarańczowe i żółte smugi ognia artylerii przeciwlotniczej ulatywały w górę. Za każdym razem, kiedy nad głowami rozlegało się wycie samolotów, czekaliśmy w beznadziejnej męczarni na błyski i dudniące wstrząsy. Czasem

światło było słabe, a odgłosy stłumione. Innym razem rozjaśniało cały pokój, a odgłos eksplozji wstrząsał domem aż do fundamentów, okna brzęczały, a nam wyrwały się krzyki przerażenia. Przy świetle wybuchów, ognia artylerii przeciwlotniczej i mniej jaskrawego odbłasku płonących budynków mogłam dostrzec, że Mudi był równie przerażony jak ja.

Przytulał nas coraz mocniej, a moja nienawiść do niego narastała, gotowa byłabym go zamordować. W porywach strachu przypominałam sobie list mojej matki i jej sen o tym, że Mahtab straciła nogę od wybuchu bomby.

O Boże, proszę, błagam, pomóż nam! Ratuj nas! Ratuj Mahtab!

Kolejna fala bombowców przeszła nad nami i odleciała. Czekaliśmy powstrzymując oddech. Minuty mijały, stopniowo rozluźnialiśmy uścisk, w nadziei, że to już po wszystkim. Wiele czasu upłynęło, zanim pozwoliliśmy sobie głośno odetchnąć. Nalot trwał może piętnaście minut, ale wydawały się one godzinami.

Strach ustąpił miejsca wściekłości.

- Widzisz, co nam zrobiłeś - krzyknęłam na Mudiego - tego dla nas chciałeś?!

Mudi wrócił do linii partyjnej.

- Nie - wrzasnął na mnie - ja ci tego nie zrobiłem. To twój kraj robi moim rodakom. Twój własny kraj chce cię zabić.

Zanim kłótnia się rozwinęła, Mammal wsunął głowę przez drzwi sypialni i powiedział:

- Nie denerwuj się, daidżan, to była tylko artyleria przeciwlotnicza.

- Słyszeliśmy samoloty - powiedziałam.

- Nie.

Nie do wiary. Mammal chciał mnie przekonać, że były to tylko ćwiczenia, takie jak podczas Tygodnia Wojny.

W hallu zadzwonił telefon. Mammal poszedł odebrać, a my wstaliśmy i wyszliśmy za nim z sypialni. Nie dało się spać przez resztę tej nocy. Nie było

prądu. Całe miasto spowijała koszmarna ciemność, rozświetlana tylko przez upiorne pożary po bombardowaniu na ślepo.

130

Dzwoniła Amme Bozorg. Mammal i Mudi zapewnili ją, że czujemy się dobrze.

Nasserin zapaliła świece, zrobiła herbatę i próbowała nas uspokoić.

- Nie ma się czego bać - powiedziała z autentyczną pewnością siebie - nie trafią nas.

Jej wiara w Allana była niewzruszona, poparta szczerym przekonaniem, że jeśli nawet Allah dopuści, żeby zginęła ona od bomby irackiego lotnictwa, to nie ma bardziej chwalebnej śmierci niż męczeństwo w Świętej Wojnie.

- Nie było żadnych bomb - upierał się Mammal.

- Więc dlaczego ten huk był czasami taki straszny? - zapytałam.

- Wszystko się trzęsło.

Mammal wzruszył ramionami.

Rankiem miasto, pełne gwaru, lizało swoje rany, krzyczało o pomstę. Naloty były - rzecz jasna - dziełem irackiego lotnictwa, ale radio bluzgało łatwą do przewidzenia retoryką. Irakijczyków wspomogli Amerykanie. Ich piloci byli szkoleni przez Amerykanów. Nalot zaplanowali i nadzorowali amerykańscy doradcy. W przekonaniu przeciętnego Irańczyka, prezydent Reagan osobiście leciał na czele atakującej eskadry. Tego dnia nie należało do przyjemności być Amerykaninem w Iranie.

Mudi wyczuł to i zmienił się w troskliwego opiekuna. Mahtab i ja nie pojechałyśmy do szkoły. Jak się zresztą okazało, w pobliżu szkoły doszło do największych zniszczeń. Wielu ludzi zginęło.

Później, tego samego dnia, Ellen i Hormoz obwieźli nas po mieście, żebyśmy zobaczyli skutki nalotu. Całe kwartały domów zostały starte z powierzchni ziemi, rozsądzone eksplozją lub spustoszone przez ogień. W wielu miejscach unosił się jeszcze dym.

Zgodziliśmy się wszyscy, że to straszne, ale mieliśmy różny pogląd na przyczyny. Dla mnie była to naturalna konsekwencja życia pod rządami sfanatyzowanego szaleńca. Mudi i Hormoz przeklinali Amerykanów za spowodowanie takiego ludobójstwa.

Ellen wzięła stronę mężczyzn.

Mudi wciągnął Hormoza w dyskusję na jeden ze swoich ulubionych tematów - o dwulicowości rządu amerykańskiego. Twierdził, że Stany Zjednoczone, chcąc utrzymać równowagę sił w Zatoce Perskiej, muszą wygrywać obie strony przeciwko sobie, zbrojąc Iran i Irak. Był przekonany, że Amerykanie finansują nie tylko bomby zrzucone z irackich samolotów, lecz także artykerię przeciwlotniczą irańskich obrońców. Jednakże z powodu długotrwałego embarga na broń, Amerykanie mogli wspomagać Iran tylko potajemnie.

- Iran musi wszystkie swoje pieniądze wydawać na broń - warczał
- z powodu embarga musimy ją kupować za pośrednictwem krajów trzecich i płacić im więcej.

131

Modliliśmy się wszyscy, żeby nalot się nie powtórzył. Radio zapewniało Mudiego, że tak będzie, że święte wojska szyitów wezmą szybki i skuteczny odwet na amerykańskich marionetkach.

Dzięki ustnym przekazom wszyscy w Teheranie wiedzieli, że w nalocie zginęły dziesiątki, a może setki ludzi. Według oficjalnych raportów ofiar było tylko sześć. W wiadomościach podano również, że - ironia losu - nalot irackiego lotnictwa dowiódł, iż Allah jest po stronie Islamskiej Republiki Iranu. Jedna z irackich bomb, z pewnością kierowana przez Allaha, trafiła i zniszczyła magazyn zaopatrzenia munafiżynów, wiernego szachowi ruchu oporu, walczącego przeciw Chomejnemu. Przeszukując ruiny domu, odkryto nie tylko pokaźny zapas broni i amunicji, lecz także aparaturę do produkcji zakazanego w Iranie alkoholu.

Władze orzekły, że było to niepodważalne świadectwo, iż Allah z pewnością dopilnuje, żeby Iran wygrał wojnę, a przy okazji wykończy demonicznych munafiżynów.

Miasto przeszło na wojenny tryb życia. Elektrownie zostały zniszczone, wszystkim zalecono więc, żeby używali jak najmniej prądu. Tej nocy - i podczas kolejnych nocy, aż do odwołania - miasto było zaciemnione, zarówno z powodu oszczędzania energii, jak i dla ochrony przed atakiem. Latarnie uliczne wygaszono. W domach mogliśmy używać tylko najślabszego oświetlenia, i to pod warunkiem że nie było widoczne z ulicy. Mudi zaczął nosić przy sobie pióro z małą latarką.

Po dniach pełnych dyskusji i pytań nastąpiły noce strachu i napięcia. Przez kilka tygodni naloty powtarzały się co dwie lub trzy noce, potem już co noc. Co wieczór, kiedy się ściemniało, Mahtab skarżyła się na ból brzucha. Wiele czasu spędzałyśmy razem w łazience, modląc się, płacząc, drżąc. Wynieśliśmy się z łóżka i spaliśmy na podłodze pod solidnym stołem w jadalni, koce zwisające po bokach miały nas chronić przed rozpryskującym się szkłem. Wszyscy cierpieliśmy z powodu niedospania. Nalot bombowców był najstraszliwszą rzeczą, jaką mogliśmy sobie wyobrazić.

Pewnego dnia po lekcjach, wysiadłszy z taksówki na ulicy Szariatiego, poszliśmy jak zwykle po chleb. Tego dnia chcieliśmy kupić barbari, chleb robiony na drożdżach, w kształcie owalnych bułek długości dwóch stóp. Świeży, jeszcze ciepły, jest bardzo smaczny, o wiele lepszy niż bardziej pospolity lawasz.

Czekałyśmy w kolejce w piekarni, nanni, przez ponad pół godziny, przypatrując się bezmyślnie znanemu już nam procesowi. Grupa mężczyzn pracowała szybko, odmierzając porcje ciasta, formując je

132

i odkładając na bok, żeby urosło. Kiedy już było gotowe, jeden z nich nadawał mu ostateczny podłużny kształt, a potem palcami przeciągał po wierzchu wzdłuż, formując linie. Piekarz wkładał bochenki do rozpalonego pieca i wyjmował je za pomocą płaskiej łopaty przymocowanej do ośmiostopowego kija.

Kiedy tak czekałyśmy, wyczerpał się zapas ciasta. Pierwszy mężczyzna z zespołu zaczął przygotowywać nowe. Włożył koniec szlauchu do wielkiej kadzi i odkręcił kran. Wiedząc, że sporo czasu upłynie, zanim się ona napełni, zrobił sobie przerwę. Poszedł do toalety, małego odgrodzonego pomieszczenia w środku

sklepu. Smród zaleciał nas kiedy otworzył drzwi, a potem jeszcze raz, kiedy wychodził.

Ciekawa byłam, czy umyje ręce przed przystąpieniem do pracy. W polu widzenia nie było żadnej umywalki.

Poczułam obrzydzenie, kiedy piekarz wrócił do kadzi i obmył ręce w tej samej wodzie, której miał za chwilę użyć do wyrobu ciasta.

Nie miałam czasu dłużej się nad tym zastanawiać, bo nagle rozległ się głos syreny alarmowej. Za kilka sekund usłyszeliśmy ryk nadlatujących odrzutowców.

Różne myśli przebiegły mi przez głowę, rozum usiłował walczyć z paniką. Czy mamy schronić się tutaj, czy też biec do domu? Uznałam, że trzeba pokazać Mudiemu, że umiemy sobie w razie czego poradzić, wtedy będzie nadal pozwalał nam wychodzić samym.

- Biegnij, Mahtab! - krzyknęłam - musimy dostać się do domu!

- Mamusiu, boję się - zawołała Mahtab.

Chwyciłam dziecko na ręce. Jakieś przeczucie kazało mi uciekać z ulicy Szariatiego w boczną ulicę. Rzuciłam się w labirynt zaułków prowadzących do domu okrężną drogą, przebieierałam nogami tak szybko, jak tylko mogłam. Otaczał nas zewsząd upiorny ryk odrzutowców. Słyszałyśmy salwy artylerii przeciwlotniczej, przerażające wybuchy bomb trafiających w cele, jęki i krzyki ginących ludzi.

Odlamki pocisków artyleryjskich spadały wokół nas na ulicę, niektóre wystarczająco duże, żeby zabić. Wciąż biegłyśmy.

Mahtab ukryła twarz na mojej piersi. Jej palce wpijały mi się w bok.

- Boję się, mammo, boję się! - szlochała.

- Wszystko będzie dobrze - przekrzykiwałam zgiełk - módl się, Mahtab, módl się!

Dotarliśmy w końcu na naszą ulicę i dopadłyśmy bramy. Mudi wyglądał na zewnątrz, czekał na nas, niepokoił się. Kiedy się zbliżyłyśmy, otworzył drzwi i



wciągnął nas do środka. Zgromadziliśmy się w korytarzu na parterze, opierając się plecami o betonową ścianę, i tak trwaliśmy do końca nalotu.

133

Zabrałam kiedyś do parku Mahtab i Amira w wózek. Chcąc dojść do placu zabaw, musieliśmy minąć boisko do siatkówki, gdzie toczył się właśnie ożywiony mecz. Dwudziestka chłopców-nastołatków dokazywała w słońcu chłodnego dnia wczesnej wiosny.

Po jakimś czasie Mahtab bawiła się na huśtawkach, a ja usłyszałam podniesione głosy dobiegające od strony boiska. Spojrzawszy w tamtą stronę zobaczyłam cztery albo pięć białych półciężarówek marki nissan blokujących wejście do ogrodzonego płotem parku. Pasdarowie Szukają kogoś w parku - pomyślałam.

Upewniłam się, czy wszystko w porządku z moim strojem. Płaszcz był zapięty, chusta na swoim miejscu. Nie miałam jednak ochoty na bliskie spotkanie z pasdarami i postanowiłam szybko wracać do domu. Zawołałam Mahtab.

Pchając przed sobą wózek z Amirem, z Mahtab przy boku, szłam w stronę bramy. Kiedy zbliżyliśmy się do boiska, przekonałam się, że dzisiaj celem pasdarów byli chłopcy. Pod lufami karabinów załadowano ich do samochodów. Poddawali się w milczeniu.

Obserwowałyśmy tę scenę do chwili, aż wszyscy chłopcy znaleźli się w środku, a samochody odjechały.

Co się z nimi stanie? Pospieszyłam do domu czując lęk, humor miałam zepsuty.

Essej otworzyła drzwi i wpuściła mnie do środka. Opowiedziałam jej i Rezie, co widziałam.

- To pewnie dlatego, że byli w grupie - zawyrokował Reza - nie wolno się gromadzić bez pozwolenia.

- Co z nimi będzie? - zapytałam. Reza wzruszył ramionami.

- Nie wiem - powiedział obojętnie.

Również Mudi lekko przeszedł nad tym incydentem do porządku dziennego.

- Musieli zrobić coś złego, jeśli pasdarowie ich zabrali.

Inaczej zareagowała pani Azahr, kiedy jej opowiedziałam tę historię nazajutrz w szkole.

- Gdy widzą grupę chłopców, wyłapują ich i wysyłają na wojnę
- powiedziała ze smutkiem. - To samo robią w szkołach. Czasem podjeżdżają ciężarówkami pod szkołę dla chłopców i zabierają uczniów na front. Rodziny nigdy ich już nie oglądają.

Jakże nienawidziłam wojny! Była taka bezsensowna. Nie mogłam pojąć kraju pełnego ludzi tak żądnych zabijania, do takiego stopnia gotowych na śmierć. Była to jedna z najdziwniejszych i najbardziej dla Amerykanów niepojętych różnic kulturowych między rozpieszczonymi mieszkańcami Stanów a ludźmi z ubogich, w porównaniu z nimi, społeczeństw. Dla Mammala i Nasserin życie - w tym także ich własne

- nie miało wielkiej ceny. Śmierć jest zjawiskiem pospolitym, a więc nie

134

tak znowu tajemniczym. Co człowiek może zdziałać poza ufaniem Allanowi? Jeśli nawet zdarzy się najgorsze, to czy nie było i tak nieuniknione? Ich brawura podczas bombardowań nie była udawana. Manifestowała się w ten sposób filozofia, która doprowadzona do skrajnej postaci produkuje męczenników-terrorystów.

Przejawilo się to z całą mocą w piątkowe popołudnie, kiedy jak zwykle zebrani w domu Amme Bozorg odprawialiśmy nie kończące się modlitwy z okazji święta. Telewizor był włączony, bo nadawano piątkowe kazanie. Nie zwracałam na to uwagi, dopóki nie usłyszałam wzburzonych głosów Mudiego i Mammała. Amme Bozorg zawtórowała okrzykami bólu.

- Bombardują piątkowe nabożeństwo! - powiedział Mammal. Transmisja na żywo pokazywała tłum wiernych stłoczonych na

placu, rozbiegających się w panice. Kamery zwróciły się ku niebu i zarejestrowały widok irackich samolotów. Wybuchy spowodowały w tłumie wyrwy pełne martwych i konających ciał.

- Tam jest Baba Hadździ - przypomniał Mudi. Zawsze uczęszczał na piątkowe modły.

Zamieszanie ogarnęło dolny Teheran. Doniesienia o ofiarach były ogólnikowe, ale dobrze zaplanowany nalot stanowił wyraźne materialne i moralne zwycięstwo Iraku.

Niespokojna rodzina czekała na powrót Baba Hadździ. Wybiła druga, potem wópół do trzeciej. Baba Hadździ nigdy nie wracał później z piątkowych modłów.

Amme Bozorg nie traciła czasu - przyjęła postawę żałobnicy, zawodziła, wrywała sobie włosy. Zmieniła wzorzysty czador na biały i zasiadła na podłodze śpiewnie recytując Koran, czemu towarzyszyły krzyki i szlochy.

- Zwariowała - powiedział Mudi o siostrze - możemy tylko czekać, nic innego nie da się zrobić. Powinna czekać, aż dowiemy się o jego śmierci.

Krewni po kolei wybiegali na ulicę wyglądając patriarchy rodu. Godziny upływały na pełnym napięcia wyczekiwaniu, odmierzonym rytualnym zawodzeniem Amme Bozorg. Wydawało się, że czuje dumę ze swojego nowego statusu wdowy po męczenniku.

Około piątej Fereszte wpadła do domu z nowiną:

- On wraca - krzyczała - idzie właśnie ulicą!

Cały klan zebrał się przy drzwiach porywając Baba Hadździ w objęcia, kiedy tylko wszedł. Wkroczył do domu powoli, nic nie mówiąc, wzrok miał utkwiony w ziemię. Tłum rozstąpił się robiąc miejsce świętemu mężowi. Jego ubranie było zbryzgane krwią i szczątkami ludzkiego ciała. Ku zdumieniu wszystkich, podążył prosto do łazienki urządzonej w zachodnim stylu, żeby się obmyć.

135

Mudi porozmawiał z nim później i powiedział mi:

- Jest załamany, że nie zginął. Chce zostać męczennikiem, jak jego brat.

Mudi nie podzielał ślepego zapału swej rodziny. Był śmiertelnie przerażony. Kiedy Teheran przywykł do wojennej rzeczywistości, dowództwo obrony cywilnej wydało poprawione instrukcje. Podczas nalotu wszyscy powinni się

chronić w pozbawionym okien miejscu na parterze. Wróciliśmy do łóżka na niespokojny wypoczynek, w oczekiwaniu straszego sygnału, który nas wygna na parter, u dołu schodów.

Tam, nawet w obecności Rezy i Mammala, Mudi nie mógł ukryć swego przerażenia. Płakał ze strachu. Trzął się w bezsilnej trwodze. Kiedy było po wszystkim, próbował maskować swoje tchórzostwo przeklinając Amerykanów, ale z każdym udanym nalotem jego słowa miały coraz mniej treści.

Od czasu do czasu nasze oczy spotykały się w krótkim momencie zrozumienia. Mudi wiedział, że ponosi odpowiedzialność za nasz los, ale nie miał pojęcia, co w tej sytuacji robić.

!

136

11.

Raz do roku wszyscy w Iranie biorą kąpiel.

Okazją ku temu jest Nouruz, perski Nowy Rok, dwutygodniowe święto, podczas którego wszystkie kobiety doprowadzają swoje domy do względnej czystości. Na Nouruz czekają też z niecierpliwością właściciele sklepów z obuwem, bo wszyscy zaopatrują się wtedy w nowe buty. W ciągu tych dwóch tygodni mało kto pracuje: całe rodziny spędzają czas na uroczystych kolacjach, herbatkach i przyjęciach w domach krewnych. Zgodnie ze ścisłym porządkiem rodzinnej hierarchii, krewniacy po kolei udostępniają swoje domy na świąteczne uroczystości.

Nouruz przypada 21 marca, w pierwszy dzień wiosny. Tego wieczora zasiedliśmy wraz z Rezą, Mammalem i ich rodzinami wokół haft sin (siedmiu S), czyli sofry zastawionej potrawami o symbolicznym znaczeniu, których nazwy zaczynają się na literę S. Uwaga wszystkich obecnych była skupiona na jajkach umieszczonych na lusterku. Perska legenda mówi, że ziemia spoczywa na rogu byka, który co roku przerzuca swój ciężar z jednego rogu na drugi. Dokładny moment nadejścia perskiego Nowego Roku można ustalić obserwując ułożone

na lusterku jajka. Kiedy byk przerzuca kulę ziemską na drugi róg, jajka podskakują.

Wszyscy liczą chwile dzielące stary rok od nowego, zupełnie jak 31 grudnia w Ameryce. Wpatrzeni w jajka, czekaliśmy na moment kiedy słońce znajdzie się w znaku Barana.

Nagle w pokoju zrobiło się ciemno, a wycie syreny oznajmiło, że nadlatują samoloty. Pobiegliśmy schronić się do korytarza przy wejściu, znów ogarnięci przerażeniem. Tego dnia jajka z pewnością podskakiwały.

Choć naloty były straszne, życie jakoś toczyło się dalej, a zagrożenie ze strony irackiego lotnictwa nie przeszkodziło Iranowi w świętowaniu Nouruz. Cykl przyjęć według wytyczonego planu rozpoczął się już na drugi dzień, a nasza towarzyska odyseja została, rzecz jasna,

137

zainicjowana w domu patriarchy i matrony rodu. Reza, Essej, Mariam, Mehdi, Mammal, Nasserin, Amir, Mudi, Mahtab i ja załadowaliśmy się do samochodu Mammala i pojechaliśmy do domu Amme Bozorg na wielkie party. Nie byłam bynajmniej w świątecznym nastroju.

Wielkonosa siostra Mudiego wybiegła nam na spotkanie, gdy tylko weszliśmy do domu. Krzyczała z radości i rzuciła się na brata obsypując go pocałunkami. Potem zwróciła się ku Mahtab i czule ją objęła. Zanim zdążyła szybko mnie cmoknąć w policzek, instynktownie obciągnęłam chustę, żeby uniknąć dotyku jej ust.

Amme Bozorg miała już przygotowane świąteczne prezenty. Podarowała Mudiemu kosztowne biurko i biblioteczkę z zasuwanymi szybami. Mahtab dostała uszytą przez krawca sukienkę z prawdziwego jedwabiu sprowadzonego z Mekki. Amme Bozorg przez dłuższy czas krzątała się, cała uszczęśliwiona, i rozdawała kosztowne podarunki wszystkim z wyjątkiem mnie. Mudi nie zauważył, że zostałam pominięta, a mnie to nie obchodziło.

Ponure było dla mnie to popołudnie, które spędziłam izolowana, na terenie swego dawnego więzienia. Nikt nie zadał sobie trudu, czy też nie miał odwagi, żeby pogadać ze mną po angielsku. Mahtab przylgnęła do mnie, bojąc się zostać sama blisko Amme Bozorg.

Każdego dnia powtarzały się te nużące uroczystości. Pewnego ranka, kiedy wybieraliśmy się odwiedzić kilka domów, założyłam brązowy wełniany kostium z zakietem trzy czwarte, który wyglądał prawie jak płaszcz. Włożyłam grube skarpety, na głowie zawiązałam chustę.

- Czy muszę nakładać manto ?? ten kostium? -zapytałam Mudiego.

- Nie, oczywiście, że nie - odparł - trzeba by się było przyjrzeć z bardzo bliska, żeby zobaczyć, że to nie płaszcz.

Madżid obwiał nas po domach różnych krewnych, gdzie musieliśmy się pokazać. Później jednak miał inne obowiązki, pojechaliśmy więc w trójkę taksówką do państwa Hakimów.

Było już prawie ciemno, kiedy od nich wyszliśmy. Musieliśmy minąć kilka przecznic, żeby dojść do głównej ulicy i złapać tam taksówkę. Masa pojazdów mijała nas z hałasem, ale nie było żadnego środka transportu.

Niespodziewanie z piskiem opon zahamowała obok nas biała półciężarówka - nissan, a za nią biały pakon. Z nissana wyskoczyło czterech brodaczy w oliwkowobrunatnych mundurach pasdarów. Jeden z nich złapał Mudiego, a inni wymierzili w niego karabiny. Równocześnie opadły mnie cztery strażniczki rewolucji umundurowane w czarne czadory i zaczęły mi wrzeszczeć prosto w twarz.

Wiedziałam, że to z powodu brązowego kostiumu. Powinnam była założyć manto.

138

Pasdarowie ciągnęli Mudiego do nissana, lecz on instynktownie się opierał, krzycząc do nich po persku.

Weźcie go do więzienia! - agitowałam ich w duchu. Zabierzcie go sobie!

Mudi sprzeczał się przez jakiś czas z pasdarami, a strażniczki rewolucji wykrzykiwały do mnie perskie przekleństwa. Potem wszyscy razem wskoczyli do samochodów i odjechali równie szybko, jak przybyli.

- Co im powiedziałaś? - zapytałam.
- Że jesteś gościem z zagranicy i nie znasz przepisów.
- Sam mi mówiłeś, że mogę się tak ubrać. Mudi przyznał się do pomyłki.
- Nie wiedziałem. Od tej pory musisz nosić na ulicy manto albo czador.

Potem spróbowałem odzyskać utraconą godność:

- Teraz już znasz przepisy - burknął - więcej cię nie zatrzymają. Pod koniec tygodnia przyszła kolej na Mammala i Nasserin, którzy

mieli wejść w rolę gospodarzy. Wysprzątałyśmy dom, Mudi i Mammal pojechali na targ i nazwozili mnóstwo świeżych owoców, słodczy i orzeszków.

Naparzyłyśmy całe litry herbaty. Mogliśmy się spodziewać, że w ciągu dnia zajrzą do nas setki gości.

Ellen i Hormoz byli właśnie u nas, kiedy na zewnątrz rozległo się z megafonów wezwanie na modlitwę, azan. Trzy razy każdego dnia wezwanie na modlitwę ingeruje w życie wszystkich mieszkańców Teheranu. Wszystko jedno, gdzie jesteś i co robisz, nie wolno ci nigdy zapomnieć o porze modlitwy. W zasadzie modlitwy można odmawiać i podczas następnych godzin, ale Allah szczerzej wynagradza tych, którzy natychmiast odpowiadają na wezwanie.

- Potrzebny mi czador - powiedziała Ellen podrywając się na nogi. Reszta wiernych, wraz z Amme Bozorg, przyłączyła się do przygotowań i już po chwili monotonny szmer pacierzy zaczął dobiegać z sąsiedniego pokoju.

Później Amme Bozorg zwierzyła się, jak bardzo spodobała jej się Ellen.

- Maszallah, Bogu niech będzie chwała - powiedziała do Mudiego - jak wspaniale ona się modli. Allah ją wynagrodzi.

W środku ciągnących się tego dnia uroczystości Mudi wdał się w rozmowę z jednym z kuzynów Nasserin, który także był lekarzem.

- Dlaczego nie pracujesz? - zapytał doktor Maraszi.

- Sprawa z moimi dokumentami jeszcze się nie wyjaśniła - odpowiedział Mudi.
- Pogadam w szpitalu. Potrzebujemy anestezjologa.
- Naprawdę mógłbyś coś dla mnie zrobić? - zapytał Mudi z wyraźnym tonem optymizmu w głosie.

139

- Moj kolega jest dyrektorem szpitala. Porozmawiam z nim i zobaczę, co da się zrobić.

Mudi nie posiadał się z radości, bo wiedział, jak ważne jest stanowisko i dobre kontakty z władzą. Ta praca w każdym razie wydawała się realna. Mudi był leniwy, to prawda, ale był także wykształconym lekarzem. Szalenie mu zależało zarówno na pieniądzach, jak i na statusie, jakim doktorzy medycyny cieszyli się w Iranie.

Kiedy się nad takim rozwojem wypadków zastanowiłam, doszłam do wniosku, że byłoby to dla mnie korzystne. Już teraz miałam trochę swobody, choć raczej niewiele. Z czasem Mudi zdał sobie sprawę, że nieustanne pilnowanie mnie jest zbyt trudnym zadaniem. Musiał pozwolić na poszerzanie kawałek po kawałku zakresu mojej wolności, żeby uprościć sobie swoje, i tak skomplikowane, życie.

Jeśli teraz Mudi poszedłby do pracy, mogłabym poruszać się znacznie swobodniej. Może podbudowałoby to również jego podupadające poczucie własnej wartości.

Drugi tydzień święta Nouruz spędziliśmy na tak zwanym „urlopie” nad Morzem Kaspijskim, które rozpościera się na północ od Teheranu i stanowi część granicy irańsko-rosyjskiej. Brat Essej pracował w ministerstwie do spraw islamizacji, które skonfiskowało wszystkie posiadłości szacha. Zaproponował rodzinie, żeby skorzystała z wypoczynku w jednej z dawnych willi monarchy, opisując cuda i bogactwa, jakie się tam znajdowały.

Gdybym była w Iranie od niedawna, wywarłoby to na mnie wrażenie. Willa szacha! Ale zbyt wiele już wiedziałam, żeby wierzyć w jakiegokolwiek opowieści o przepychu w republice ajatollaha.



Przede wszystkim moje wyobrażenia na temat tygodnia, jaki mieliśmy spędzić w willi szacha, nie zaczynałyby się od tego, że będę jedną z dwudziestu sześciu osób wtłoczonych do trzech samochodów. Ale cieszyłam się, że nadarza się okazja poznania okolic poza miastem. Wiedziałam, że Iran jest krajem bardzo rozległym i nie miałam pojęcia, jak wielkie przestrzenie będziemy musiały razem z Mahtab pokonać, zanim się kiedykolwiek stąd wydostaniemy. Zwracałam więc na wszystko uwagę, gromadziłam obserwacje dotyczące okolicy, nie wiedząc, na ile będą mogły się przydać.

Im dłużej jednak trwała nasza podróż, tym większe czułam zniechęcenie. Krajobraz był piękny, to prawda, lecz było to piękno ogromnych łańcuchów górskich, wyższych i ostrzej wyrzeźbionych niż Góry Skaliste na zachodzie Stanów Zjednoczonych. Otaczały Teheran ze wszystkich stron czyniąc z miasta pułapkę. Ściśnięta w przeładowanym samochodzie, mając ograniczone pole widzenia, oglądałam godzi-

140

nami coraz wyższe i coraz bardziej urwiste góry. Pogрузyłam się wreszcie w melancholijnej rozmowie z samą sobą.

Może podczas tego tygodnia nadarzy się jakaś szczęśliwa okazja i wyrwiemy się wraz z Mahtab na wolność. Mogłybyśmy dostać się na jakiś statek, przepłynąć Morze Kaspijskie i znaleźć się w...

W Rosji.

Nieważne! Chcę się tylko stąd wydostać.

Wszystkie te rozmyślenia doprowadziły mnie do przerażającego wniosku. Zdałam sobie sprawę, że z każdym mijającym dniem popadam w coraz większy pesymizm, zgorzknienie, panikę. Mudi był też pod-denerwowany, zastanawiałam się, czy może podświadomie reaguje na moje przygnębienie. Przejął mnie zimny dreszcz. I ja, i Mudi znajdowaliśmy się pod coraz silniejszą presją, co groziło zniweczeniem mojego ostrożnego planu, który zakładał, że wpoję mu wreszcie poczucie bezpieczeństwa.

Obawiałam się, że jeśli wkrótce nie zdarzy się nic dobrego, może się zdarzyć coś złego.

Willa szacha okazała się, co można było przewidzieć, kompletnie ogołocona. Wszystko, co przypominało o zachodniej cywilizacji, zniknęło. Zwłaszcza meble. Kiedyś dom musiał robić wrażenie, teraz była to tylko pusta skorupa. Po kolacji wszyscy - a było nas 26 osób

- ułożyliśmy się pokotem do snu na podłodze w tym samym pokoju. Ponieważ byli z nami mężczyźni - koło mnie spał sam aga Hakim

- musiałam przez całą noc mieć na sobie obowiązkowy uniform i usiłowałam znaleźć jakiś sposób, żeby usnąć w zapiętym płaszczu i chustce na głowie.

Przez otwarte okna ciągnęło od morza lodowate powietrze wiosennej nocy. Razem z Mahtab trzęsłyśmy się przez całą noc i przewracałyśmy z boku na bok, podczas gdy nasi irańscy krewni spali jak dzieci.

Rano okazało się, że w całej okolicy panuje susza. Przez większą część dnia, ponieważ oszczędzano, nie było zaopatrzenia w wodę, skutkiem czego pierwszy poranek swoich „wakacji” spędziłam na podwórzu wraz z innymi kobietami, myjąc warzywa i sałatę w jednym kubie lodowatej wody, podczas gdy mężczyźni w domu spali do późna albo snuli się po podwórzu przyglądając się, jak pracujemy.

Potem mężczyźni poszli pojeździć konno, kobiet do tej rozrywki nie dopuszczono.

Spacerowałyśmy po plaży, która niegdyś musiała być piękna, teraz zaścielały ją śmieci i nieczystości.

Tydzień ciągnął się niemiłosiernie, wynikały coraz to nowe niewygody i mnożyły upokorzenia. Mahtab i ja wytrzymywałyśmy to jakoś, wiedząc, że nie ma innego wyjścia. Byłyśmy już przyzwyczajone.

Nadejście wiosny przyniosło optymizm i depresję zarazem. Niedługo w górach stopnieją śniegi. Czy znajomy Raszida będzie teraz mógł

141

przeszmuglować nas do Turcji? Łagodniejsza pogoda stwarzała możliwości działania.

Ale nastanie nowej pory roku uświadomiło mi dobitnie, jak długo już jesteśmy uwięzione; Mahtab i ja znajdowałyśmy się w irańskiej pułapce od ponad siedmiu miesięcy.

Po powrocie do Teheranu Mudi dowiedział się, że dostał pracę w szpitalu. Był podniecony, przez cały dzień biegał po domu, uśmiechał się do Mahtab i do mnie, co dotąd rzadko się zdarzało, promieniał czułością i miłością, które kiedyś - tak dawno temu - przyciągnęły mnie do niego.

- Nie załatwili jeszcze prawdę mówiąc, wszystkich papierów - zwierzył mi się - ale szpital po prostu to zignoruje i zatrudni mnie. Potrzebują anestezjologa. Gdy już papiery będą w porządku, zapłacą mi za cały okres pracy.

Ale, jeszcze tego samego dnia, z upływem czasu, jego entuzjazm osłabł. Był zamyślony; mogłam czytać w jego myślach. Jak mógł iść do pracy i jednocześnie mnie pilnować? Zostawiłam go samego, chcąc uniknąć podejrzeń, że staram się przy okazji uzyskać większą swobodę ruchów. Niech sam to sobie rozważy. Plan zajęć w szpitalu nie był zbyt napięty. Mudi nie będzie codziennie poza domem, a nawet w razie jego nieobecności i tak pozostanę pod kontrolą. Nasserin może donosić, kiedy przychodzę i wychodzę, i będzie to robić. Musiałam wracać prawie natychmiast po skończeniu lekcji Mahtab, żeby zająć się Amirem, bo Nasserin wychodziła na uniwersytet. Wyjątkiem w tym rozkładzie zajęć były czwartkowe lekcje Koranu. Nasserin zorganizowała sobie w czwartki opiekę nad Amirem.

Miałam wrażenie, że słyszę, jak w głowie Mudiego aż trzeszczy. Czy może mi zaufać? Musiał. Albo musiałby zapomnieć o pracy.

- W czwartki musisz wracać do domu zaraz po lekcjach Koranu - powiedział. - Będę cię sprawdzać.

- Dobrze - obiecałam.

- W porządku - powiedział Mudi.

Jeszcze raz odzyskał pewność siebie na myśl, że znowu będzie pracował.

Korzystałam ze swobody jak najrzadziej, tylko wtedy, kiedy warto było zaryzykować. Mudi był wystarczająco perfidny, żeby dowolną liczbę swoich krewnych skłonić do szpiegowania mnie. Może kazał im sporadycznie

kontrolować moje poczynania. Sam robił to od czasu do czasu. Kiedy miał wolny dzień albo wcześniej wyszedł z pracy, pojawiał się czasami w szkole i zabierał nas do domu. Trzymał mnie pod strażą.

142

Przestrzegałam więc skrupulatnie ustalonego rozkładu zajęć, odstępując od niego tylko wtedy, kiedy miało to sens.

Pewnego dnia w szkole, gdy dzieci bawiły się na przerwie, jedna z nauczycielek weszła nieśmiało do sekretariatu i usiadła koło mnie na ławce. Znałam ją tylko z widzenia, zawsze się do mnie miło uśmiechała. Skinęłyśmy sobie głowami na powitanie.

Rozejrzała się po niewielkim pokoju, żeby się upewnić, że nikt nas nie obserwuje, a potem szepnęła kącikiem ust:

- Nagu - nie mów. Nagu, pani Azhar. Przytaknęłam.
- Ja mówić mój mąż o tobie - powiedziała zmagając się z obcymi słowami. - Ona chce pomóc tobie.

Język perski nie rozróżnia rodzajów. Irańczycy zawsze mylą zaimki „on” i „ona”. Nauczycielka spuściła wzrok patrząc na swoje kolana. Prawie niedostrzegalnie wysunęła rękę spod luźnej szaty i przysunęła do mojej. Jeszcze raz upewniła się, że nikt na nas nie patrzy. Potem szybko jej ręka dotknęła mojej i cofnęła się, zostawiając mi w dłoni skrawek papieru. Był na nim nabazgrany numer telefonu.

- Ty zadzwonić - szepnęła - pani.

Spiesząc z Mahtab do domu zaryzykowałam i wpadłam na chwilę do sklepu Hamida, żeby zastosować się do tej intrygującej wskazówki. Pod zapisanym numerem odezwała się mówiąca po angielsku kobieta, która przedstawiła się jako panna Alavi. Powitała mnie z entuzjazmem. Powiedziała, że pracuje u męża nauczycielki, który opowiedział jej i jej matce o moim położeniu.

- Zapytał mnie, czy mogłabym w czymś pomóc, bo znam angielski i studiowałam w Anglii. Powiedziałam, że spróbuję.

Był to jeszcze jeden dowód na to, że Irańczyków nie sposób hurtem zaliczyć do jednej kategorii fanatycznych wrogów Ameryki. Panna Alavi była absolutnie szczerą, a rozmawiając ze mną być może ryzykowała życie, a na pewno wolność.

- Jak mogłybyśmy się spotkać? - zapytała.
- Muszę poczekać, aż nadarzy się okazja.
- Kiedy tylko będzie mogła się pani ze mną spotkać, zrobię sobie przerwę na lunch. Wsiądę do samochodu i przyjadę, gdzie tylko pani wskaże.
- Dobrze.

Biuro, w którym pracowała, było daleko od domu Mammala, daleko od szkoły Mahtab, a nawet od meczetu, gdzie odbywały się lekcje Koranu. Trudno byłoby zorganizować spotkanie tak, żebyśmy obojdwie i tego samego dnia miały wystarczająco dużo swobody i czasu na wzajemne poznanie się. Ciekawa byłam, jakimi motywami kieruje się panna Alavi, ale nie wątpiłam w jej dyskrecję. Jej słowa brzmiały szczerze, od razu budziły zaufanie.

143

Dni ciągnęły się niemiłosiernie, powoli mijały tygodnie, a ja szukałam najbezpieczniejszego i najbardziej skutecznego sposobu, żeby zorganizować spotkanie. Odkąd Mudi zaczął pracować, poczułam, że nadzór nade mną w jakimś sensie wzmocniono. Nasserin była jeszcze bardziej czujna niż mój mąż. Spoglądała natychmiast na zegarek za każdym razem, kiedy wchodziłam do domu.

System bezpieczeństwa stworzony przez Mudiego musiał się jednak nieuchronnie załamać. W czternastomilionowym mieście nie mógł nieustannie śledzić moich ruchów. Wróciwszy kiedyś z Mahtab ze szkoły, zastałam Nasserin czekającą niecierpliwie na moje przybycie. Zadzwonili do niej, że jest jakieś nadzwyczajne zebranie na uniwersytecie i musiała zostawić Amira pod moją opieką. Wyszła pospiesznie. Mudi był w pracy, Reza i Essej poszli z wizytą do krewnych.

Zadzwoiłam do panny Alavi.

- Mogę się z panią dzisiaj, zaraz, spotkać.

- Już jadę.

Opisałam jej, gdzie znajduje się park odległy o kilka przecznic od naszego domu.

- Jak panią rozpoznam? - zapytałam.

- Będę w czarnym płaszczu, czarnych spodniach i chustce. W żałobie. Moja matka zmarła niedawno.

- Jak mi przykro!

- Dziękuję. Już dobrze - powiedziała.

Napisałam kartkę do Mudiego. Plan jego zajęć w szpitalu był nie do przewidzenia, wcześniej rano miał operacje, ale nigdy nie wiedział, kiedy wyjdzie. Mógł nie wrócić aż do jedenastej w nocy, mógł równie dobrze zjawić się w każdej chwili.

„Dzieci są nieznośne - napisałam - idę z nimi do parku.”

Mahtab i Amir zawsze cieszyli się z wyjścia do parku. Mogłam z góry zaufać wyczuciu bezpieczeństwa Mahtab, a Amir był jeszcze malutki, nie obawiałam się więc niczego ze strony dzieci. Niepokoiło mnie tylko, jak Mudi zareaguje na fakt, że wyszłam z domu do parku bez eskorty i bez jego pozwolenia. Miałam nadzieję, że zdążymy się spotkać i wrócić do domu przed jego przyjściem.

Dzieci bawiły się wesoło na huśtawkach dzieląc swą radość z innymi, gdy zbliżyła się do mnie kobieta w czerni. Trudno określić wygląd obcej osoby w irańskim stroju, ale oceniłam, że mogła mieć jakieś pięćdziesiąt lat, może trochę mniej. Usiadła koło mnie na ławce.

- Zostawiłam mężowi kartkę - powiedziałam szybko - może się tutaj zjawić.

- Dobrze - odpowiedziała - gdyby przyszedł, będę udawała, że jestem tu z dziećmi.

Spojrzała na kobietę siedzącą na ławce naprzeciw nas i zamieniła z nią parę słów po persku.

- Powiedziałam jej, że kiedy przyjdzie pani mąż, będę udawała, że jestem w parku z nią i z jej dziećmi, a nie z panią. Zgodziła się.

Obca osoba bez chwili wahania włączyła się do gry. Zaczęłam pojmować, że Irańczycy uwielbiają spiski i intrygi. Przyzwyczaili się do życia w konspiracji, może jeszcze za szachą, a na pewno za ajatollaha. Nie tylko ich oficjalne kontakty z władzami, ale i życie rodzinne pełne jest spisków i kontrspisków. Prośba panny Alavi nie zdziwiła ani nie zaniepokoiła naszej sąsiadki. Być może raczej stała się dla niej atrakcją tego dnia.

- A więc co się stało? - zapytała panna Alavi. - Dlaczego jest pani w Iranie?

Opowiedziałam jej swoją historię tak krótko, jak tylko się dało, przy zachowaniu najważniejszych wątków.

- Rozumiem pani problem. Kiedy studiowałam w Anglii, byłam cudzoziemką. Cały czas traktowano mnie jako cudzoziemkę, choć nie chciałam nią być. Pragnęłam zostać w Anglii, ale potrzebowałam pomocy innych ludzi. Nie pomogli mi i musiałam wrócić do Iranu. Bardzo to było smutne dla mnie i dla matki. Postanowiliśmy, że będziemy pomagać cudzoziemcom w naszym kraju, jeśli się tylko da. Pomogę pani. Wiem, że mogę to zrobić.

Przerwała na chwilę, żeby zebrać myśli.

- Moja matka umarła dwa tygodnie temu - powiedziała - wie już pani o tym. Przed śmiercią mówiłyśmy o pani. Kazała mi przysiąc. „Nikt ci nie pomógł w obcym kraju” - przypomniała. Kazała mi przysiąc, że udzielę pomocy cudzoziemcowi, gdy tylko będę mogła. Muszę dotrzymać tej obietnicy. I chcę to zrobić.

Otarła skrajem chustki łzy napływające jej do oczu.

- Jak? - zapytałam. - Co może pani dla mnie zrobić?

- Mój brat mieszka w Zahidanie, na granicy z Pakistanem. Mam zamiar...

- Mamusiu, mamusiu! - przerwała Mahtab podbiegając do mnie

- tatuś jest tutaj!

Stał nie opodal, za płotem z kutego żelaza okalającym park, i patrzył na mnie z niezwykle podejrzliwym wyrazem twarzy. Gwałtownym gestem nakazał, żebym do niego podeszła.

- Tylko spokojnie - szepnęłam do panny Alavi i do Mahtab

- zachowujcie się normalnie. Mahtab, wracaj do zabawy na huśtawkę.

Wstałam z ławki i podeszłam do Mudiego, dziękując Bogu, że rozdziela nas płot.

- Co tu robisz? - burknął.

- Taki ładny dzień - powiedziałam - czuje się już wiosnę. Chciałam wyprowadzić dzieci do parku.

- Co to za osoba siedzi koło ciebie?

- Nie wiem, kto to. Jej dzieci bawią się tutaj.

10 — Tylko razem z córką

145

- Rozmawiałaś z nią. Czy mówi po angielsku?

Wiedząc, że Mudi był zbyt daleko, żeby mógł usłyszeć naszą rozmowę, skłamałam:

- Nie. Ćwiczę się w mówieniu po persku.

Mudi podejrzliwie rozejrzał się po parku, ale zobaczył tylko hałaśliwe dzieci bawiące się pod okiem matek. Panna Alavi i sąsiadka z ławki podeszły do huśtawek, żeby wszyscy widzieli, że się bawią ze swoimi dziećmi. Nie działo się nic podejrzanego. Mudi mnie sprawdził, byłam tam, gdzie miałam być. Bez słowa odwrócił się na pięcie i poszedł do domu.

Odeszłam powoli w stronę placu zabaw, zatrzymując się na chwilę, żeby pobujać Mahtab i Amira na huśtawce. Miałam ochotę odwrócić głowę, żeby zobaczyć, czy Mudi jeszcze mnie obserwuje, ale wytrwałam w swojej roli. Po paru minutach wróciłam na ławkę jak gdyby nigdy nic. Panna Alavi odczekała jakiś czas, zanim znów się do mnie przysiadła.

- Poszedł już - powiedziała.



Spojrzała na kobietę z przeciwległej ławki i skinęła jej głową w podziękowaniu. Tamta wykonała taki sam gest, nie wiedząc, o co chodziło w całej intrydze, ale z chęcią w niej uczestnicząc. Jakież cierpienia muszą na co dzień znosić te kobiety - pomyślałam sobie.

Ale szybko wróciłam myślą do swoich własnych problemów.

- I co z tym pani bratem? - zapytałam, żeby nie marnować czasu.
- Mieszka w Zahidanie. Na granicy z Pakistanem. Pomówię z nim i zapytam, czy będzie mógł zorganizować wydostanie się stąd, jeśli przewiozę panią do Zahidanu.
- A mógłby?

Panna Alavi ściszyła głos do szeptu.

- On to robi przez cały czas, przerzuca ludzi za granicę. Podniosło mnie to na duchu. Przemyślawszy sobie okoliczności tego

spotkania doszłam do wniosku, że było ono w gruncie rzeczy o wiele mniej przypadkowe, niż się mogło wydawać. I nauczycielka ze szkoły, i jej mąż musieli wiedzieć, że panna Alavi jest kimś więcej niż tylko osobą mówiącą po angielsku i że jest w stanie mi pomóc.

Wiedzieli o jej bracie! Z pewnością. Nie byłam jedyną osobą, która znalazła się w irańskiej pułapce. Jeśli tutejsze życie było nie do wytrzymania dla mnie, na pewno miliony ludzi wokół mnie podzielały te odczucia. Ten kraj ma tradycje autorytarnych rządów, jest więc logiczne, że od dawna rozwinęła się skomplikowana zawodowa siatka zajmująca się przemycaaniem ludzi za granicę. Znalazłam w końcu kontakt z jednym z takich zawodowców.

- Ile to będzie kosztowało? - zapytałam.
- Niech się pani nie martwi o pieniądze. Sama zapłacę. Przyrzekłam to matce. Jeśli będzie mi pani chciała kiedyś zwrócić, to świetnie. Jeśli nie, nie ma to znaczenia.

- Kiedy możemy jechać? - zapytałam z ponieceniem. - Jak dostaniemy się do Zahidanu?

- Wyjedziemy wkrótce. Muszę zdobyć dla pani dokumenty, żebyście mogły z córką polecieć do Zahidanu.

Wyjaśniła mi dokładniej cały plan, podkreślając szczególnie jedną rzecz. Pośpiech był sprawą zasadniczą. Kiedy wszystko będzie gotowe, będziemy musiały jakoś wydostać się spod straży Mudiego na kilka godzin, zanim zauważy naszą nieobecność. Musimy dotrzeć na lotnisko, wsiąść do samolotu, polecieć do Zahidanu i skontaktować się z bratem panny Alavi - z tym wszystkim trzeba zdążyć, zanim Mudi zaniepokoi się na tyle, żeby zawiadomić policję.

Oczywiście najlepszy byłby czwartek. Mudi będzie w pracy. Mahtab i ja mamy ustalony rozkład - rano szkoła, po południu lekcje Koranu. Mogłybyśmy dostać się do Zahidanu, zanim Mudi zorientuje się, że nas nie ma.

Był to o wiele sensowniejszy i lepiej przemyślany plan niż propozycje Trish i Suzanne. Helen i pan Vincop z ambasady podkreślali przecież, że największym ryzykiem w tym pierwszym scenariuszu była konieczność ukrywania się przed Mudim, a może i przed policją, w samym Teheranie. Panna Alavi też stwierdziła, że ukrywanie się nie miałoby sensu. Funkcjonariusze na lotnisku zostaliby od razu uprzedzeni, że mają zwracać uwagę na podróżującą Amerykankę z dzieckiem. Musimy przede wszystkim przejść przez kontrolę na lotniskach w Teheranie i Zahidanie i dotrzeć do ludzi organizujących ucieczki przez granicę, zanim władze zostaną powiadomione o naszej nieobecności.

- Jak szybko? - zapytałam żywo.

- Za dwa tygodnie. Pomówię z bratem. Proszę zadzwonić do mnie w najbliższą niedzielę, jeśli pani będzie mogła. Zobaczymy, czy uda nam się tutaj znów spotkać, i omówimy szczegóły.

Choć tak wiele od tego zależało, trudno mi było ukryć ożywienie, nie tylko przed Mudim, Mammalem, Nasserin i innymi wrogami, lecz także przed własną córką. Mahtab wprawdzie, jeśli zachodziła taka potrzeba, była pierwszorzędną aktorką, ale nie miałam odwagi podzielić się z nią moją radosną tajemnicą. Powiem jej, kiedy nadejdzie czas ucieczki. Nie wcześniej.

Gdy wróciłyśmy z parku, Mudi był zajęty. Zostawił mnie samą z moimi myślami; wrzały mi w głowie gwałtowniej niż fasola, którą gotowałam na kolację.

W trakcie tych rozważań nagle zmartwiałam. Przypomniałam sobie straszne rzeczy, które Helen i pan Vincop opowiadali o przemytnikach.

Ale oni przecież mówili o takich, co przerzucają ludzi do Turcji - wmawiałam sobie. Ci zaś mają nas zabrać do Pakistanu.

147

To jednak przemytnicy. Zgwałcą cię. Zabiorą pieniądze. Zabiją cię albo wydadzą w ręce pasdarów.

Czy te przerażające opowieści były rozpowszechniane przez władze, żeby odstraszyć ludzi? Czy też taka była okrutna prawda?

Panna Alavi łatwo pozyskała moje zaufanie. Nie znałam jednak jej brata ani innych desperatów ryzykujących własne życie. Miałam ogromną ochotę odwiedzić Helen w ambasadzie i omówić z nią ten nowy plan; skonfrontować jej rady z sympatią, jaką spontanicznie poczułam do panny Alavi.

Na drugi dzień, w drodze do szkoły, wstąpiłyśmy do sklepu Hamida. Zadzwoiłam do Helen. Opowiedziałam jej, co mogłam, o moich nowych kontaktach, ale musiałam być ostrożna mówiąc przez telefon.

- Proszę przyjść - powiedziała Helen - dobrze byłoby spotkać się jeszcze dzisiaj. Są dla pani listy od rodziny i wasze paszporty. Proszę dzisiaj przyjść.

- Spróbuję.

Ale jak? Dzień był niebezpieczny. Mudi nie miał zajęć w szpitalu i nie wiedziałam, czy zjawi się w szkole, i kiedy to może nastąpić.

Jeszcze raz skorzystałam z telefonu Hamida. Zadzwoiłam do Ellen do pracy i powiedziałam, że nadszedł czas, żebyśmy wprowadziły w życie nasz plan - muszę się dostać do ambasady szwajcarskiej.

Po jakimś czasie Ellen zadzwoniła do Mudiego i zapytała, czy możemy iść z nią po południu po zakupy. Zabierze nas ze szkoły, zjemy u niej obiad i pojedziemy kupić wiosenne ubrania.

Mudi się zgodził!

Teraz Ellen wypróbowała drugą część naszego planu. W sekretariacie szkoły zadzwonił telefon. Jedna z urzędniczek poprosiła panią Szahin. Dyrektorka mówiła po persku, ale kilka razy powtórzyła imię „Beti”, wiedziałam więc, że rozmawia z Ellen.

Chciałyśmy sprawdzić, czy chanum Szahin pozwoli mi odebrać telefon. Nie pozwoliła. Ellen musiała więc zadzwonić do Mudiego, żeby on z kolei zatelefonował do szkoły i udzielił mi pozwolenia na rozmowę.

W końcu połączyłyśmy się.

- W porządku - powiedziała Ellen, lecz jej głos wyraźnie się łamał - odbiorę was ze szkoły.

- Dobrze. Ale czy coś się stało?

- Nie - odparła ostro.

Po kwadransie zadzwoniła znowu.

- Skontaktowałam się z Mudim i powiedziałam mu, że coś mi wypadło. Nie mogę dziś po południu - oznajmiła.

- Co się stało?

- Rozmyśliłam się. Muszę z tobą na ten temat pomówić.

148

Byłam wściekła na Ellen, rozpaczliwie chciałam się dostać do ambasady, ale nie miałam odwagi tam jechać bez zabezpieczenia.

Co się takiego stało? Jak mogę się dostać do ambasady?

Następnego dnia nie było okazji, bo Mudi znów nie poszedł do pracy i był w okropnym nastroju. Konwojował nas do szkoły i przed odejściem nawarczał, wydając polecenia. Nie wolno nam samym wracać do domu, przyjedzie po nas w południe. Ale południe przyszło i minęło, a jego ani śladu. Czekałyśmy posłusznie. Minuty mijały, spoglądałyśmy po sobie pytająco, nerwowo. Czy poddaje nas próbie? Nie wiedziałyśmy, co robić.

Upłynęła cała godzina, a Mudiego wciąż nie było.

-» Jedźmy lepiej do domu - powiedziałam do Mahtab.

Nie traciłyśmy czasu martwiąc się, że mogło zajść coś, co skomplikuje i tak już niebezpieczną sytuację. Zatrzymałam pomarańczową taksówkę. Gdy wysadziła nas na naszym przystanku przy ulicy Szariatiego, popędziłyśmy prosto do domu, nie chcąc ryzykować najmniejszego zboczenia z drogi. Może Mudi nas szpiegował.

Ale przybywszy do domu, zastałyśmy go leżącego na podłodze w hallu. Płakał.

- Co się stało? - zapytałam.

- Nelufar! Spadła z balkonu. Szybko, jedźmy tam.

.

Nelufar miała dziewiętnaście miesięcy, była córeczką Nastaran i Mor-tezy, drugiego syna Baba Hadździ i Amme Bozorg. To ona była tym rozkosznym szkrabem, który nieumyślnie zniszczył jeden z tortów urodzinowych Mahtab. Wciąż gaworzyła i śmiała się, była zawsze milutka dla Mahtab i dla mnie.

Moją pierwszą reakcją był ogromny niepokój o jej zdrowie, ale po chwili jakby rozległ się w mojej głowie ostrzegawczy dzwonek. Czyżby to była pułapka? Czy Mudi coś uknuł, żeby nas stąd wywieźć?

Nie mogłam zrobić nic innego, jak wyjść razem z nim, z powrotem na ulicę Szariatiego, i złapać taksówkę. Strach zwiększył moją czujność, niepokoiłam się. Czy Ellen wygadała coś Mudiemu? Czyżby chciał nas przenieść do innej kryjówki, zanim nadarzy się nam okazja powiadomienia kogokolwiek?

Musieliśmy po drodze dwa razy przesiadać się do innej taksówki. Modliłam się, żeby Mahtab nie dała poznać po sobie, że zna tę okolicę. Jechaliśmy znaną już drogą, która wiodła do Sekcji Interesów USA przy ambasadzie szwajcarskiej.

Okazało się, że szpital, do którego w końcu przybyliśmy, znajdował się dokładnie naprzeciwko ambasady!

Mudi szybko zaprowadził nas do izby przyjęć i zapytał o numer pokoju, w którym leżała Nelufar. Nawet mimo mojej ograniczonej znajomości perskiego mogłam się domyślić, że wyłoniły się jakieś problemy i że Mudi rzucił na szalę swój autorytet lekarza, żeby się przebić przez mur biurokracji. Przez jakiś czas kłócił się zażarcie z recepcjonistką, a potem wyjaśnił nam:

- Tobie i Mahtab nie wolno wejść do środka. Nie macie na sobie czadorów.

Od razu się zorientowałam, jaki kłopot mu to sprawiło. Gdyby chciał iść do Nelufar, musiałby zostawić nas bez żadnej opieki w izbie przyjęć, tak blisko ambasady. Zrozumiałam, że to nie zasadzka, Nelufar

150

naprawdę coś się stało. Przez moment zapomniałam o swoich kłopotach. Serdecznie współczułam małej i jej rodzicom, Mudi doszedł w końcu do wniosku, że rodzinne okoliczności są ważniejsze od pilnowania żony i córki, i nie wiedział oczywiście, że ja się orientuję, gdzie jesteśmy.

- Zostańcie tutaj! - rozkazał i pospieszył dowiedzieć się czegoś o stanie Nelufar.

Być tak blisko ambasady i nie móc nic zdziałać... To niesamowite. Ale dla kilku minut rozmowy z Helen nie warto było ryzykować wywołania wściekłości Mudiego.

I tak za parę minut wrócił.

- Nikogo tu nie ma - powiedział - Morteza zabrał ją do innego szpitala, a Nastaran wróciła do domu. Pójdziemy tam.

Pospieszaliśmy do pobliskiego domu, przechodząc obok ambasady. Zmuszałam się, żeby nie spoglądać w stronę budynku i po cichu modliłam się, żeby Mahtab zachowała się tak samo. Nie chciałam, żeby Mudi się zorientował, że rozpoznaliśmy go.

Dom Mortezy i Nastaran znajdował się o jedną przecznicę za ambasadą. Zebrało się już tam kilka kobiet, żeby wyrazić współczucie. Była wśród nich siostrzenica Mudiego, Fereszte, która zajęła się przygotowaniem herbaty. Nastaran chodziła w tę i z powrotem, wyglądając od czasu do czasu na balkon, skąd wypatrywała, czy nie wraca Morteza z wiadomościami o córce.

Z tego samego balkonu mała spadła trzy piętra w dół na chodnik przechyliwszy się przez słabą metalową barierkę o wysokości zaledwie osiemnastu cali. Takie balkony - i takie tragedie - były w Teheranie czymś zwyczajnym.

Dwie godziny minęły na urywanych, nerwowych, pocieszających rozmowach. Mahtab trzymała się przy mnie, twarzą miała poważną. Obie myślałyśmy o ślicznej, miłutkiej dziewczynce i razem modliłyśmy się szeptem, żeby Bóg miał w opiece maleńką Nelufar.

Próbowałam uspokajać Nastaran. Wiedziała, że moje uczucia były szczerze. Miałam w sercu macierzyńskie współczucie.

Byłyśmy razem z Nastaran, kiedy kolejny raz wyszła na balkon wyglądać męża. W przeciwległym końcu podwórza zobaczyłyśmy nadchodzącego Mortezę, obok szli bracia. Nieśli pudła chusteczek higienicznych, które tak trudno było kupić.

Nastaran wydała straszny, przesywający krzyk bólu, odgadując, co to znaczyło. Chusteczki były potrzebne do ocierania łez.

Pobiegła do drzwi i spotkała się z mężczyznami na podeście schodów.

- Mordę! Nie żyje! - powiedział Morteza przez łzy. Nastaran osunęła się na podłogę.

Prawie natychmiast cały dom wypełnili pogrążeni w smutku krewni. Kobiety biły się w piersi i krzyczały, jak nakazywał rytuał. Mudi, Mahtab i ja płakaliśmy wraz z nimi.

151

Moje współczucie dla Nastaran i Mortezy było szczere, ale kiedy noc j upływała w smutku i łzach, zadawałam sobie pytanie, jak bardzo ta tragedia odbije się na moich planach. Był wtorek, a w niedzielę miałam się spotkać w parku z panną Ala vi. Czy uda mi się dotrzymać terminu, czy też nasze życie będzie teraz wytrącone ze zwykłych kolein z powodu tragedii, jaka się zdarzyła? Musiałam jakoś dostać się do telefonu, żeby zadzwonić do panny Alavi, a może i do Helen w ambasadzie. Bardzo też chciałam się dowiedzieć, co takiego napadło Ellen.

Następnego ranka odziani w żałobę przygotowaliśmy się, żeby towarzyszyć rodzinie i niezliczonym krewnym na cmentarz. Ciało Nelufar włożono na noc do lodówki, w dzień rodzice mieli zgodnie z tradycją dokonać rytualnego obmycia jej ciała, podczas gdy krewni intonowali specjalne modlitwy. Potem Nelufar spowitą w biały całun mieli zabrać na cmentarz.

Kiedy w naszej sypialni w domu Mammala przygotowywaliśmy się do smutnego dnia, jaki nas czekał, zaproponowałam:

- Dlaczego nie mogłabym zostać w domu i dopilnować dzieci, kiedy wszyscy pójdą na cmentarz?

- Nie - powiedział Mudi - musisz iść z nami.

- Nie chcę, żeby Mahtab na to patrzyła. Naprawdę więcej będzie ze mnie pożytku, jeśli zostanę i zajmę się dziećmi.

- Nie ma mowy! Ale kiedy przybyliśmy do domu Nastaran i Mortezy, i w obecności



Mudiego powtórzyłam wobec wszystkich swoją propozycję, uznali to za dobry pomysł. Mudi szybko ustąpił, zbyt był zajęty, żeby się mną martwić.

Nie miałam ochoty wychodzić z domu bez jego pozwolenia, ale kiedy tylko zostałam sama z niczego nie podejrzewającymi dziećmi, pobiegłam do telefonu i zadzwoniłam do Helen.

- Proszę przyjść - powiedziała - muszę z panią pomówić.

- Nie mogę. Jestem po drugiej stronie ulicy, ale nie mogę przyjść. Pomyślałam jednak, że może uda mi się wyjść z dziećmi do parku,

później, kiedy dorośli już wrócą. Ustaliliśmy z Helen na wszelki wypadek, że spotkamy się o trzeciej w parku koło ambasady.

Nie udało mi się połączyć z panną Alavi, co wytrąciło mnie trochę z równowagi, ale dodzwoniłam się do biura do Ellen, i była to przerażająca rozmowa.

- Mam zamiar opowiedzieć wszystko Mudiemu - oświadczyła Ellen. - Powiem mu, że próbujesz uciec.

- Nie rób mi tego! - błagałam. - Wtajemniczyłam cię, bo jesteś Amerykanką. Powiedziałam ci, bo obiecałaś dotrzymać tajemnicy. Przysiękałaś, że nikomu nie powiesz.

- Powiedziałam wszystko Hormozowi - głos Ellen zaczął się załamywać - jest ze mnie niezadowolony. Zakazał mi zbliżać się do ambasady

152

i powiedział, że muszę zawiadomić Mudiego, bo to mój muzułmański obowiązek. Jeśli tego nie zrobię, a tobie i Mahtab coś się stanie, będzie to mój grzech, jak gdybym was zabiła. Muszę mu powiedzieć.

Ogarnęła mnie panika. Mudi mnie zabije! Z pewnością zamknie mnie i zabierze Mahtab. Utracę raz na zawsze cenny margines swobody, jaki uzyskałam. Już mi nigdy więcej nie uwierzy.

- Proszę cię - zaszlochałam - nie mów mu.

Krzyczałam przez telefon na Ellen, płakałam, prosiłam, odwoływałam się do naszego wspólnego dziedzictwa kulturowego, ale pozostała niewzruszona.

Powtórzyła, że musi wypełnić obowiązek muzułmanki, bo kocha mnie i troszczy się o moje i Mahtab dobro. Musi powiedzieć Mudiemu.

- Pozwól, że sama mu powiem - oświadczyłam zdesperowana - rozegram to lepiej. Zajmę się tym.

- Dobrze - zdecydowała Ellen - dam ci trochę czasu. Ale powiesz mu albo ja to zrobię.

Odłożyłam słuchawkę, czując się, jakby na szyi zaciskała mi się islamska pętla. Co mam teraz robić? Jak długo mogę czekać? Jak długo uda mi się wymyślać wymówki, które powstrzymają Ellen? Czy mam powiedzieć Mudiemu? Jak zareaguje? Zbije mnie - co do tego nie ma wątpliwości - ale jak daleko posunie się w gniewie? I co wtedy?

Gdybym trzymała język za zębami i nie zdradziła Ellen mojej tajemnicy! Ale jak mogłam się spodziewać, że taki cios spadnie na mnie wcale nie ze strony Irańczyków, lecz zada mi go Amerykanka z mojego rodzinnego miasta?

Czując, że przepełnia mnie nerwowa energia i gniew, którego nie mogę wyładować, rozejrzałam się wokół siebie i zobaczyłam znajomy domowy brud. Nie wiedząc, co robić, wzięłam się do pracy, zaczynając od kuchni. Podłoga w irańskiej kuchni jest pochylona, można ją więc łatwo umyć wylewając parę wiader wody i spłukując brudy do kanalizacji. Zrobiłam to teraz, wychlustując kubek za kubkiem. Wymyłam też podłogę pod metalowymi szafkami, gdzie większość irańskich pań domu nigdy nie zagląda. Wypłynęły spod nich zezwłoki ogromnych karaluchów.

Przemagając odrazę wyszorowałam kuchnię do czysta, nie zwracałam przy tym uwagi na zgiełk dochodzący z hallu, gdzie szalało z piętnaścioro dzieci.

Przejrzałam zapasy żywności i postanowiłam przygotować kolację. Jedzenie to główna forma życia towarzyskiego tych ludzi, wiedziałam, że po powrocie docenią czekający na nich posiłek. Musiałam po prostu coś robić. W lodówce znalazłam wołowinę zamiast używanej tu zwykle jagnięciny. Postanowiłam przyrządzić taskabab, perskie danie, które Mudi szczególnie lubił. Pokroiłam i przysmażyłam dużą ilość cebuli, potem ułożyłam warstwami w garnku razem z cienkimi płatkami mięsa i przyprawami, szczególnie dużo dodałam curry. Na wierzch wrzuciłam

kartofle, pomidory i marchew. Potrawa wolno pyrkotała na ogniu, rozsiewając przyjemny zapach pikantnego gulaszu wołowego.

Serce tłuło mi się ze strachu, ale znajome czynności pozwoliły mi zachować spokój i rozwagę. Dzięki tragicznej śmierci Nelufar zyskałam kilka dni czasu. W okresie żałoby Mudi nie skontaktuje się z Ellen i Hormozem. Pomyślałam, że najlepiej dla mnie będzie utrzymywać, tak długo jak tylko się da, stan aktualny i mieć nadzieję, że panna Alavi dokona jakiegoś cudu, zanim zdrada Ellen spowoduje kryzys.

Musisz się czymś zająć - nakazałam sobie.

Przyrządzałam właśnie swoją specjalność - groch po libańsku - kiedy żałobnicy wrócili.

- Nie umiesz tego robić. My nie tak to robimy - powiedziała Fereszte widząc, że dodaję cebuli.

- Daj mi zrobić na mój sposób - odparłam.

- I tak nikt tego nie będzie jadł.

Fereszte nie miała racji. Rodzime smakowały moje potrawy, obsypali mnie pochwałami. Cieszyłam się oczywiście z tego, a Mudi pękał z dumy, ale miałam swoje ukryte motywy. Wiedziałam, że przez cały nadchodzący tydzień dorośli będą zajęci żałobnym rytuałem, chciałam więc utrwalić swoją pozycję pozostając w domu, doglądając dzieci, gotując i sprzątając. Po posiłku jednomyślnie powierzono mi te funkcje.

Okolo trzeciej zaproponowałam, że zabiorę dzieci do parku, i wszyscy byli zachwyceni. Ku mojemu przerażeniu poszedł jednak z nami wesoly Madzid, zawsze gotowy do zabawy. Z daleka widziałam Helen i prawie niedostrzegalnie skinęłam jej głową. Obserwowała nas przez jakiś czas, ale nie odważyła się podejść.

Tydzień włócił się niemiłosiernie. Nie mogłam znów skorzystać z telefonu, bo ktoś z dorosłych zawsze znajdował powód, żeby zostać ze mną i z dziećmi w domu. Ucieszyłam się, kiedy Mudi oznajmił wreszcie, że w piątek kończy się

żałoba i że w sobotę - na dzień przed umówionym spotkaniem z panną Alavi - Mahtab wróci do szkoły.

Mudi był popędliwy. Smutek po śmierci Nelufar przygasał, mój mąż coraz bardziej zajmował się własnymi kłopotami. W jego błędnym wzroku dostrzegałam cień narastającego szaleństwa. Widywałam to już przedtem, ale naprawdę rzadko. Czułam się wytrącona z równowagi, o włos od paniki. Czasami miałam pewność, że Ellen wszystko mu powiedziała, innym razem przekonana byłam, że ma wystarczająco i wiele własnych powodów, żeby oszaleć.

W sobotę, kiedy szykowaliśmy się do szkoły, okazał szczególne nierównoważenie. Nie chciał spuścić z nas oka ani na moment; odprowadził nas do szkoły. Był rozdrażniony i w wojowniczym nastroju, kiedy prowadził nas ulicą, a potem brutalnie wepchnął do taksówki.

przez pier sekretami

- Mah

Pr/eraz kurczowo

- Mahl Nagle

i zakłopot upewniając wdarł się ni

Mu gniewu. ? oczach gori

154

Wymieniałyśmy z Mahtab wystraszone spojrzenia, wiedząc, że za chwilę zaczyną się problemy.

W szkole Mudi powiedział do mnie w obecności Mahtab:

- Zostaw ją tutaj. Musi się nauczyć zostawać sama. Odprowadź ją do klasy, zostaw i wracaj ze mną do domu.

Mahtab krzyknęła i uczepliła się mojego płaszcza. Miała dopiero pięć lat, nie umiała ocenić, co będzie gorsze: rozgniewanie ojca czy rozstanie z matką.

- Mahtab, musisz być dzielna - powiedziałam szybko. Próbowałam zachować spokój, ale czułam, że głos mi drży. - Chodź ze mną do klasy. Wszystko będzie w porządku. W południe przyjdę po ciebie.

Pociągnęłam ją delikatnie za sobą. Mahtab poszła za mną przez korytarz. Ale im bliżej klasy, im dalej od pogroźek ojca i bliżej chwili rozstania ze mną, tym było gorzej; zaczęła pociągać nosem, a potem szlochać. Kiedy doszliśmy do klasy, płakała już ze strachu, tak jak przez pierwsze dwa dni, zanim zaczęłam zostawać blisko niej w szkolnym sekretariacie.

- Mahtab - błagałam - masz się uspokoić. Tata naprawdę jest zły. Przeraźliwe krzyki Mahtab zagłuszyły moje słowa. Jedną ręką

kurczowo trzymała się mnie, drugą odpychała nauczycielkę.

- Mahtab! - krzyknęłam - proszę cię...

Nagle cała klasa pełna dziewczynek zapiszczała ze zdumienia i zakłopotania. Wszystkie jak jeden mąż złapały się za chustki, upewniając się, że mają głowy nakryte jak należy. Do ich sanktuarium wdarł się mężczyzna!

Mudi stał nad nami, jego łysiejące czoło płonęło, czerwone od gniewu. Uniósł pięść, żeby zadać cios swoim prześladowczyniom. W jego oczach gorzała tłumiona wściekłość tysiąca torturowanych demonów.

155

-

Mudi porwał Mahtab za rękę i wymierzył jej kopniaka. Potem odwrócił małą twarzą do siebie i brutalnie spoliczkował.

- Nie bij jej! - wrzasnęłam.

Mahtab krzyknęła z bólu i zaskoczenia, ale udało jej się wyrwać, podbiegła i jeszcze mocniej uczepliła się skraju mojego płaszcza. Próbowałam zasłonić ją własnym ciałem, ale Mudi był silniejszy od nas obu. Kolejne ciosy dosięgały małego, ruchomego celu, jej ramion i pleców. Za każdym razem Mahtab krzyczała z przerażenia.

Gwałtownie szarpnęłam Mahtab za ramię, próbując ją odciągnąć. Jednym ruchem lewej ręki Mudi odepchnął ją, aż uderzyła o ścianę. Chartum Szahin i kilka innych nauczycielek pospieszyło, żeby ochronić małą. Usiłowała uciec, wyrwać się z ich rąk, ale ją przytrzymały.

Gniew Mudiego znalazł natychmiast nowy obiekt. Prawa jego pięść wylądowała na mojej głowie. Potknęłam się i zatoczyłam do tyłu.

- Zabiję cię! - ryczał po angielsku patrząc na mnie z nienawiścią. Potem wyzywająco spojrzał w stronę nauczycielek, schwycił mnie za przegub i trzymając mocno jak w imadle, zwrócił się do pani Szahin:

- Zabiję ją - powtarzał powoli, z jadem w głosie.

Pociągnął mnie za ramię. Stawiałam słaby opór, ale zbyt byłam ogłuszona ciosem, żeby móc się wyzwolić z tego uścisku. Gdzieś w moim zastraszonej umyśle kołatało się zadowolenie, że obrócił gniew przeciwko mnie. Zdecydowałam, że z nim pójdę, żeby znalazł się jak najdalej od Mahtab. Wszystko będzie dobrze, póki nie znajdzie się przy niej. Dopóki ja z nim jestem, wszystko jest w porządku.

Niespodziewanie Mahtab wyrwała się trzymającym ją nauczycielkom i przybiegła mi na pomoc, ciągnąc mnie za ubranie.

- Nie bój się, Mahtab - wyszlochałam - wrócę. Zostaw nas. Pani Szahin podeszła i otoczyła Mahtab ramionami. Pozostałe

nauczycielki stanęły po bokach robiąc szpaler, żebyśmy z Mudim mogli wyjść. Wszystkie te kobiety były całkiem bezsilne wobec jednego

156

agresywnego mężczyzny. Krzyki Mahtab stawały się coraz głośniejsze i bardziej rozpaczliwe, kiedy Mudi wywlókł mnie z klasy przez korytarz na ulicę. Byłam

oszołomiona bólem i strachem, przerażona, co też ze mną zrobi. Czy naprawdę mnie zabije? Jeśli ujdę z życiem, to co zrobi z Mahtab? Czy jeszcze kiedyś ją zobaczę?

Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, krzyknął do nadjeżdżającej pomarańczowej taksówki:

- Mustakim! Prosto!

Taksówka zatrzymała się. Mudi otworzył tylne drzwi i brutalnie wepchnął mnie do środka. Tłoczyło się tam już czterech czy pięciu Irańczyków. Mudi wskoczył więc na przednie siedzenie.

Kiedy taksówka ruszyła, Mudi, nie zwracając uwagi na obecność innych pasażerów, odwrócił się do mnie i zaczął krzyczeć:

- Jesteś podła! Mam ciebie dosyć. Zabiję cię. Jeszcze dziś cię zabiję. Wymyślał tak przez jakiś czas, aż w końcu, czując się w taksówce

stosunkowo bezpiecznie, poczułam przyptyw gniewu silniejszy niż strach i ły.

- Tak? - zapytałam sarkastycznie - a więc powiedz, jak masz zamiar mnie zabić?

- Wezmę wielki nóż. Pokroję cię na kawałki. Odeślę twojej rodzinie nos i ucho. Nigdy już cię nie zobaczą! Wyślę im razem z twoją trumną popiół ze spalonej, amerykańskiej flagi.

Strach powrócił, silniejszy niż przedtem. Czemu go sprowokowałam? Naprawdę oszalał i nie sposób przewidzieć, co zrobi. Groźby brzmiały przerażająco realnie. Byłam pewna, że jest zdolny do okropności, które tak dokładnie opisał.

Mówił coś bez związku, krzyczał, wrzeszczał, zaklinał się. Nie miałam już odwagi ripostować. Mogłam tylko żywić nadzieję, że wyładowuje swój gniew w słowach, nie w czynach.

Taksówka nie jechała w stronę domu, ale do szpitala, gdzie Mudi pracował. Uspokoił się, planując kolejne posunięcie.

Kiedy auto stanęło w korku ulicznym, Mudi odwrócił się do mnie:

- Wsiadaj! - rozkazał.

- Nie wysiądę.

- Mówię ci, wysiadaj! - wrzasnął. Sięgnął do tyłu, złapał za klamkę i otworzył drzwi. Drugą ręką popchnął mnie i tak, na wpół wysiadłszy, a na wpół zatoczywszy się, znalazłam się na ulicy. Ku mojemu zdziwieniu, Mudi został w środku. Zanim sobie uświadomiłam, co się dzieje, drzwi się zatrzasnęły i taksówka odjechała uwożąc Mudiego.

Otoczona tłumem spieszących się ludzi, zajętych swoimi sprawami, czułam się opuszczona i sama jak nigdy dotąd. Pomyślałam przede wszystkim o Mahtab. Czy Mudi pojedzie do szkoły, żeby ją zabrać, pobić, ukryć przede mną? Nie, pojechał przecież do szpitala.

157

Wiedziałam, że w południe wróci po Mahtab, ale na razie mam kilka godzin przed sobą.

Znaleźć telefon! Zadzwoić do Helen. Zadzwoić na policję. Zadzwoić do kogokolwiek, kto mógłby położyć kres temu koszmarowi.

Nie mogłam nigdzie znaleźć telefonu i przez jakiś czas wlokłam się jak błędna po ulicy. Łzy wsiąkały w chustę. W pewnej chwili zorientowałam się, gdzie jestem. Znajdowałam się dość blisko domu Ellen. Puściłam się biegiem, przeklinając powiewający płaszcz, który krępował moje ruchy. Modliłam się, żeby Ellen była w domu. I Hormoz też. Jeśli nie uda mi się skontaktować z ambasadą, muszę zaufać Ellen i Hormozowi. Muszę komuś zaufać!

Już koło domu Ellen przypomniałam sobie o pobliskim sklepiku, skąd zawsze dzwoniła. Może uda mi się stamtąd zatelefonować do ambasady. Mijając pędem dom Ellen i zbliżając się do sklepu czyniłam wysiłki, żeby się opanować i nie wywołać podejrzeń. Weszłam do sklepu i najspokojniej, jak tylko mogłam, powiedziałam właścicielowi, że jestem przyjaciółką Ellen i że chciałabym zadzwonić. Zgodził się.

Już za chwilę miałam na linii Helen z ambasady i całe moje opanowanie diabli wzięli.

- Proszę mi pomóc. Musicie mi pomóc - szlochałam.



- Niech się pani uspokoi. Co się stało? Opowiedziałam całą historię.
- On pani nie zabije - zapewniała Helen - mówił to już przedtem.
- Nie. Tym razem mówi serio. Ma zamiar zrobić to dzisiaj. Musi pani przyjść do mnie. Proszę...
- Czy może pani przyjść do ambasady?

Zastanowiłam się. Nie byłabym w stanie pokonać okrężnej drogi do ambasady i zdążyć z powrotem do szkoły Mahtab na dwunastą. A musiałam tam być, bez względu na własne ryzyko, żeby ratować dziecko.

- Nie - powiedziałam - nie mogę przyjść do ambasady.

Wiedziałam, że Helen otacza codziennie niezliczona liczba interesantów, cudzoziemców, którzy znaleźli się w Iranie, każdy ze smutną, rozpaczliwą historią. Jej czas był cenny i prawie nie miała możliwości wychodzić z biura. Ale potrzebowałam jej teraz.

- Musi pani przyjść!
- Dobrze, ale gdzie?
- Do szkoły Mahtab.
- W porządku.

Pobiegłam z powrotem w stronę głównej ulicy, gdzie mogłam złapać taksówkę. Łzy płynęły mi po twarzy, biegnąc rozpychałam przechodniów, którzy zagradzali mi drogę. Mijałam dom Ellen, kiedy Hormoz wyjrzał akurat przez otwarte okno na drugim piętrze.

158

- Beti! - krzyknął - dokąd biegniesz?
- Nigdzie. Wszystko w porządku. Zostaw mnie.

Hormoz wyczuł panikę w moim głosie. Wybiegł z domu i dogonił mnie. Udało mu się to z łatwością w połowie drogi między jedną a drugą przecznicą.

- Co się stało? - zapytał.

- Zostaw mnie - wyszlochałam.
- Nie. Nie zostawimy cię samej. Co się stało?
- Nic. Muszę iść.
- Wejdz do nas.
- Nie mogę. Muszę być w szkole Mahtab.
- Wejdz - powtórzył łagodnie - opowiedz, co się stało. Potem odwieziemy cię do szkoły.
- Nie. Dzwoniłam już do ambasady, ktoś stamtąd ma na mnie czekać koło szkoły.

Hormoz poczuł się dotknięty w swej narodowej dumie.

- Po co dzwoniłaś do ambasady? Nie masz w tym żadnego interesu. Niech się nie mieszają. W niczym ci nie mogą pomóc.

Załkałam głośno w odpowiedzi.

- Robisz wielki błąd. Będziesz miała naprawdę kłopoty z Mudim przez to dzwonicie do ambasady.
- Idę stąd. Idę do szkoły Mahtab.

Hormoz zrozumiał, że mnie nie przekona i że muszę znaleźć się przy córce.

- Zabierzemy cię - powiedział - odwiozę cię razem z Ellen.
- Dobrze. Tylko prędko!

W szkole panowało zamieszanie. Chanum Szahin powiedziała, że Mahtab jest w klasie, przygnębiona, ale spokojna. Zasugerowała, żeby jej teraz nie niepokoić, a ja się zgodziłam. Ellen i Hormoz długo rozmawiali z dyrektorką, upewniając się co do szczegółów mojej historii. Hormoz wyglądał na zmartwionego i zaniepokojonego. Czuł się nieswojo, słuchając o wyczynach Mudiego i widząc moje cierpienia. Zastanawiał się, jakby rozwiązać ten cały konflikt nie powodując nowych zagrożeń.

Po jakimś czasie pani Azhar podeszła do mnie i powiedziała:

- Ktoś czeka na panią na zewnątrz.
- Kto? - zapytała podejrzliwie pani Szahin.

Hormoz powiedział do niej coś po persku i twarz jej spochmurniała. Nie chciała, żeby zostali w to wszystko wmieszani urzędnicy ambasady szwajcarskiej. Pomimo gniewnego spojrzenia dyrektorki wyszłam sama, żeby z nimi porozmawiać.

Helen i pan Yincop czekali przed szkołą. Podprowadzili mnie do

159

samochodu, który nie wyglądał na auto ambasady, i posadzili na tylnym siedzeniu. Tam opowiedziałam im całą historię.

- Zabieramy panią na policję - oświadczył pan Vincop.

Na policję! Od dawna denerwowałam się taką możliwością, rozważałam ją i zawsze odrzucałam. Policjanci byli Irańczykami, wykonawcami irańskiego prawa. W świetle irańskiego prawa Mudi był władcą rodziny. Mogliby jakoś pomóc, ale bałam się ostatecznego rozwiązania. Mogli mnie deportować, zmusić do opuszczenia kraju bez córki. Mahtab zostałaaby na zawsze uwięziona w tym obłąkanym kraju u psychicznie chorego ojca. Ale w tej chwili policja wydawała się jedynym ratunkiem. Przypominając sobie wydarzenia tego poranka nabierałam pewności, że Mudi zrealizowałby swoje pogróżki. Bałam się o Mahtab tak samo, jak o siebie.

- Dobrze - zgodziłam się - pojedę na policję, ale najpierw muszę zabrać Mahtab.

Wróciłam do szkoły, gdzie Ellen i Hormoz nadal dyskutowali z chanum Szahin.

- Zabieram Mahtab - oświadczyłam.

Pani Azhar przetłumaczyła moje słowa, a potem odpowiedź chanum Szahin. Kędy jej słowa do mnie dotarły, pojęłam, że wyrażają poważną zmianę w nastawieniu dyrektorki, a nawet jej gniew. Przez kilka miesięcy, a zwłaszcza dziś rano, była wyraźnie po mojej stronie w konflikcie z mężem. Ale teraz popełniłam grzech nie do wybaczenia sprowadzając tutaj urzędników Sekcji Interesów USA. Oficjalnie rzecz biorąc byli funkcjonariuszami szwajcarskimi, ale reprezentowali Amerykę. Zadaniem pani Szahin było „myśleć przeciwko

Ameryce" i wpajać tę antyamerykańską postawę innym. Wybrano ją na tę posadę ze względu na niezłomne przekonania polityczne.

- Nie możemy jej oddać. Takie jest prawo muzułmańskie. To jest muzułmańska szkoła i musimy przestrzegać prawa, a według prawa dziecko należy do ojca. W takiej sytuacji absolutnie nie możemy wydać pani córki.

- Musicie - krzyknęłam - On zrobi jej coś złego. Chanum Szahin nasrożyła się jeszcze bardziej.

- Nie. Nie powinna była pani sprowadzać tu ludzi z ambasady.

- No dobrze, a czy pojedzie pani z Mahtab i ze mną na policję? Czy ktoś ze szkoły pojechałby z nami?

- Nie. O niczym nie wiemy.

- Przecież mówił w waszej obecności, że mnie zabije!

- O niczym nie wiemy - powtórzyła dyrektorka.

Spojrzałam na chanum Matavi, jedną z urzędniczek, która na lekcjach angielskiego była moją najlepszą uczennicą.

- A pani? Pani słyszała, że on to mówił.

- Tak, słyszałam.

160

- Pojedzie pani ze mną na policję?

Matavi spojrzała szybko na panią Szahin, która uniosła głowę i cmoknęła językiem. Nie.

- Podczas lekcji nie mogę - powiedziała chanum Matavi - ale po szkole pojedę z panią na policję i powiem, że chciał panią zabić.

Chanum Szahin nachmurzyła się, słysząc takie zuchwalstwo.

Doznawszy zawodu na każdym kroku, oszołomiona strachem, wściekła na muzułmańskie prawo, broniące mi dostępu do własnej córki, wyszłam na ulicę i wróciłam do samochodu ambasady.

- Nie oddadzą mi Mahtab - płakałam - nie chcę iść na policję.
- Co ma pani zamiar robić? - zapytała Helen.
- Nie wiem.

Słowa „policja” i „prawo muzułmańskie” wirowały mi w głowie. Jeżeli prawo muzułmańskie ma taką władzę nad chanum Szahin, czy mogłam się spodziewać zrozumienia ze strony policji? Będą to mężczyźni. Byłam już teraz pewna, że pójście na policję oznacza utratę Mahtab raz na zawsze. Nie mogłam tego zrobić, nawet jeśli w grę wchodziło moje życie. Czy mogłam zakładać, że Mudi się uspokoi, że nie urzeczywistni swoich pogroźek, że przeżyję do następnego dnia? Czy miałam jakiś wybór?

Helen i pan Vincop usiłowali mi pomóc, sprawić, żebym zaczęła racjonalnie myśleć. Zrozumieli, że boję się iść na policję. To było jasne. Bali się także o moje bezpieczeństwo i o niewinną pięcioletnią dziewczynkę wplątaną w całe to szaleństwo.

Myśląc na głos opowiedziałam im o panie Alavi i jej planach - dostać się do jej brata, który przetrzuci Mahtab i mnie do Pakistanu.

- To ma wkrótce nastąpić. Myślę, że powinnam poczekać i zobaczyć, co się zdarzy. Może w taki sposób wydostaniemy się z tego kraju.
- Pani oszalała - powiedziała spokojnie Helen - proszę iść na policję. Wydostać się z kraju przy ich pomocy. Niech Mahtab zostanie tutaj.
- Nigdy! - powiedziałam stanowczo, jeszcze raz zdumiona bezceremonialną postawą Helen. Była ciepłą w obejściu osobą, nie chciała sprawić mi bólu. Pamiętałam jednak, że jest Iranką, mimo ormiańskiego pochodzenia. W jej pojęciu dzieci naprawdę należały do ojca. Nie była w stanie zrozumieć moich uczuć - uczuć matki.
- Nie pójdzie pani na policję? - zapytał pan Vincop.
- Nie. Jeśli to zrobię, nigdy nie zobaczę Mahtab. Urzędnik ambasady głęboko westchnął.
- A więc dobrze - powiedział. - Nie możemy teraz nic więcej dla pani zrobić. Może powinniśmy porozmawiać z pani przyjaciółmi?

Zawołałam Ellen i Hormoza.

- Czy możecie jej pomóc? - zapytał pan Vincop.

— Tylko razem z córką

161

- Tak - odparł Hormoz - nie zostawimy jej samej. Zostaniemy z nią, aż przyjdzie Mudi. Zabierzemy Betty i Mahtab do nas do domu i zapewnimy im bezpieczeństwo. Zostaną u nas, dopóki wszystko się nie wyjaśni.

Wszyscy się już trochę uspokoiili. Ellen i Hormoz naprawdę chcieli pomóc na swój irański sposób. Helen i pan Vincop dali mi swoje domowe telefony, prosząc, żebym natychmiast się z nimi skontaktowała, jeśli będą jakieś problemy, i odjechali.

Czekałam razem z Ellen i Hormozem przed szkołą w ich samochodzie, wypatrując powrotu Mudiego. W pewnym momencie Hormoz powiedział:

- Chociaż to nasz muzułmański obowiązek, postanowiliśmy, że nie powiemy Mudiemu o ludziach z ambasady i o twoich planach. Nie i teraz. Ale musisz obiecać, że to wszystko ułudzisz i nie będziesz niczego nowego próbowała.

- Dziękuję - szepnęłam - obiecuję, że zostanę w Iranie, jeśli będę mogła być razem z Mahtab. Przysięgam, że nie podejmę próby ucieczki.

Przysięgłabym nawet na Koran.

Tuż przed dwunastą przed szkołą zatrzymała się taksówka i pojawił się Mudi. Natychmiast dostrzegł nas w samochodzie Hormoza.

- Dlaczego ich w to wciągnęłaś?! - krzyknął na mnie.

- Ona nic nie zrobiła - wtrącił się Hormoz - nie chciała, żebyśmy I przyjeżdżali, ale my nalegaliśmy.

- To nieprawda. Poszła po was. Wciąga was do naszych spraw. Hormoz postawił się Mudiemu, nie tak, jak Mammal i Reza, którzy

nie ośmielili się zadrzeć z „drogim wujkiem”. Był młodszy, silniejszy, o wiele lepiej umięśniony i wiedział, że w razie czego da Mudiemu radę. Mudi też o tym wiedział. Hormoz obrał jednak rozsądne wyjście.

- Zabierzmy Mahtab, pojedźmy do nas i przedyskutujmy to wszystko - zaproponował.

Mudi rozważył różne warianty i zgodził się, zobaczywszy, że przynajmniej w razie Ellen i Hormoz mnie chronią.

Spędziliśmy popołudnie w ich domu. Mahtab skuliła się w pozycji embriona na moich kolanach, przylgnęła do mnie i ze strachem słuchała tyrady Mudiego. Opowiedział Ellen i Hormozowi, jaką jestem okropną żoną. Dawno powinien się ze mną rozwieść. Powiedział, że nienawidzę ajatollaha Chomejniego, co było prawdą, w którą łatwo uwierzyć, i że jestem agentką CIA, co było śmieszne, ale pozwoliło zobaczyć głębię jego szaleństwa.

Poczułam, że mam okazję się odgryźć.

- Szlag mnie trafia, kiedy na niego patrzę - warknęłam. - On chce zostać w Iranie dlatego, że jest złym lekarzem.

162

Nie myślałam tak. Mudi był kompetentnym, a nawet świetnym lekarzem, ale nie miałam powodu, żeby grać fair.

- Jest tak fatalnym lekarzem, że wyrzucili go ze szpitala w Alpenie

- powiedziałam - miał jeden proces za drugim, jeden błąd w sztuce po drugim.

Wymienialiśmy przez jakiś czas jadowite obelgi, aż Hormoz i Mudi wyszli w końcu na krótką przechadzkę pod grubymi nićmi szytym pretekstem, żeby kupić papierosy dla EUen.

Ellen skorzystała z okazji, żeby zacząć udzielać mi rad.

- Nie mów nic złego. Siedź po prostu i daj mu gadać o tobie, co mu się tylko podoba, ale nic nie mów. Bądź dla niego miła. To, co on mówi, nie ma znaczenia.

- Ale on mówi o mnie bardzo wiele nieprawdziwych rzeczy.

- Irańscy mężczyźni dostają szału, kiedy mówi się o nich coś złego
- ostrzegę Ellen.

Konflikt znów się zaczął, kiedy Hormoz i Mudi wrócili. Nienawidząc samej siebie próbowałam zastosować się do rady Ellen, zagryzłam wargi i słuchałam, jak Mudi wylewał na mnie swoją wściekłość. Wiedziałam, że jego słowa nie mogą mnie fizycznie zranić, a Ellen i Hormoz obiecali mi schronienie w swoim domu. Siedziałam więc pokornie i pozwalałam Mudiemu wyładowywać szaloną złość.

Zadziało. Stopniowo Mudi się uspokajał, a z upływem czasu Hormoz próbował dyplomatycznie łagodzić dzielące nas różnice. Chciał, żebyśmy się pogodzili. Chciał, żebyśmy byli szczęśliwi. Wiedział, że mieszane małżeństwa mogą być udane. On w każdym razie był szczęśliwy. Ellen też, przynajmniej on tak myślał.

- No dobra, chodźmy do domu - powiedział w końcu Mudi.
- Nie - odparł Hormoz - musicie tu zostać, aż wszystko będzie załatwione.
- Nie - burknął Mudi - wracamy do siebie. Nie zostaniemy w waszym domu.

Ku mojemu przerażeniu, Hormoz zgodził się.

- Dobrze, ale wolelibyśmy, żebyście zostali.
- Nie możecie mnie z nim puścić - zawołałam - obiecaliście...
- o mało nie przygryzłam sobie języka, żeby nie wyrwały mi się słowa „ludziom z ambasady” - obiecaliście, że będziecie mnie chronić. Nie możecie odesłać mnie do domu razem z nim.
- On nie zrobi ci krzywdy - powiedział Hormoz, patrząc Mudiemu prosto w oczy
- on tylko gada - dodał ze śmiechem.
- Idziemy - powtórzył Mudi.
- Dobrze - zgodził się Hormoz.

Mahtab zeszywniała w moich objęciach. Czy zostawią nas na łasce tego szaleńca, który przysiągł, że jeszcze dziś mnie zabije?

- Chodź! - warknął.



Kiedy przygotowywał się do wyjścia, udało mi się zostać na chwilę z Ellen.

- Błagam, sprawdzajcie, co się ze mną dzieje - szlochałam - mam pewność, że coś się stanie.

Wysiedliśmy z taksówki na ulicy Szariatiego przed sklepem z sokami owocowymi. Pomimo strasznych przeżyć tego dnia, Mahtab zauważyła, że w sklepie wystawiono rzadki przysmak.

- Truskawki! - pisnęła.

Nie wiedziałam, że w Iranie są truskawki. Były to moje ulubione owoce.

- Tatusiu, możemy kupić truskawek? - zapytała Mahtab. - Proszę... Mudi znowu wpadł we wściekłość.

- Nie potrzeba ci truskawek. Są za drogie. Mahtab rozplakała się.

- Do domu! - krzyknął Mudi, popychając nas w uliczkę.

14.

Ile bezsennych nocy spędziłam już w tym ponurym otoczeniu? Oto kolejna z nich, jak dotąd najgorsza.

Mudi przez cały wieczór nie zwracał na mnie uwagi, rozmawiając konspiracyjnym tonem z Mammalem i Nasserin. Kiedy dobrze po północy przyszedł wreszcie do sypialni, nie mogłam zmrużyć oka ze strachu, ale udałam, że śpię.

Zasnął chyba szybko, lecz ja wciąż czuwałam, a w miarę jak upływały minuty tej ciemnej nocy, wzrastał się mój strach. Nie mogłam się spodziewać żadnej ochrony ze strony Mammala, Rezy czy kogokolwiek, a co do Mudiego - mogłam tylko oczekiwać, że szaleństwo się spotęguje. Strach nie pozwalał mi zasnąć - bałam się, że mój mąż przebudzi się z niespokojnego snu i przyjdzie do mnie z nożem, kawałkiem sznura albo gołymi rękami. Może spróbuje załatwić mnie śmiertelnym zastrzykiem.

Każda chwila ciągnęła się w nieskończoność. Moje uszy czujnie nasłuchiwały, czułam ból w ramionach, w których mocno tuliłam córkę, w duchu modliłam się bez przerwy. Czekałam na swoją ostatnią chwilę, bezsilna wobec wściekłości mojego oszalałego męża.

Wieczność upłynęła, zanim odgłos azanu rozległ się z miejskich głośników. Po paru minutach usłyszałam, jak Mudi razem z Mammalem i Nasserin modlą się w hallu. Mahtab kręciła się na łóżku niespokojnie. Pierwsze blade promienie zimnego świtu przeszły tę straszną noc.

Mahtab wstała do szkoły, trzęsąc się ze strachu, trzymając się za brzuch i skarżąc na bóle żołądka. Poranne przygotowania były przerywane nieustannymi wyprawami do ubikacji.

Teraz już wiedziałam, naprawdę miałam pewność, jaki będzie kolejny krok Mudiego. Mogłam to dostrzec w jego oczach i usłyszeć w jego głosie, kiedy poganiając Mahtab powiedział do mnie:

- Zabieram ją dzisiaj do szkoły. Ty zostaniesz tutaj.

Przez ostatnie osiem miesięcy byliśmy nierozłącznymi sojuszniczkami,

765

walcząc przeciw wielkiemu marzeniu Mudiego, który chciał nas zamienić w irańską rodzinę. Razem mogliśmy stawiać opór, rozdzielone z pewnością ulegniemy.

- Jeśli tata cię zabierze, musisz z nim iść - powiedziałam łagodnie, przez łzy, kiedy rano zostaliśmy razem w łazience. - Musisz być miła dla tatusia, nawet jeśli zabierze cię ode mnie i nie przyprowadzi z powrotem. Nie mów nigdy nikomu, że byliśmy w ambasadzie. Nie mów, że próbowaliśmy uciec. Nawet gdy cię będą bili, nie mów nic. Jeżeli powiesz, nigdy nie uda nam się wyjechać. Niech to będzie nasza tajemnica.

- Nie chcę, żeby mnie od ciebie zabierał - płakała Mahtab.

- Wiem. I ja tego nie zniosę. Ale jeśli cię zabiera, nie martw się. Pamiętaj, że nigdy nie jesteś sama. Pamiętaj, że Bóg zawsze jest przy tobie, bez względu na to, jak bardzo samotna się czujesz. Kiedy tylko będziesz się bała, pomódl się. I pamiętaj, że nigdy stąd nie wyjadę bez ciebie. Nigdy. Kiedyś uda nam się wyjechać.

Mahtab była już całkiem ubrana i gotowa do szkoły, zrobiło się późno. Mudi, wystrojony w ciemnoniebieski garnitur w drobne paski, niecierpliwił się już. Spóźnił się do szpitala. Całą swoją postawą ostrzegał, że gotów jest za chwilę wybuchnąć, a Mahtab podpaliła lont, kiedy ponownie jęknęła i w momencie, gdy Mudi chciał ją wyprowadzić, pobiegła do łazienki. Mudi rzucił się za nią i powlókł małą w stronę drzwi.

- Ona jest chora - krzyknęłam - nie możesz jej tego robić.

- A właśnie, że mogę - warknął.

- Pozwól, żebym z wami poszła.

- Nie!

Szturchnął Mahtab w głowę, aż pisnęła.

Zapomniałam znowu o swoim własnym bezpieczeństwie. Rzuciłam się na Mudiego, gotowa desperacko bronić Mahtab przed wszelkim grożącym jej ciosem. Schwyciłam go gwałtownie za ramię, rozdzierając paznokciami garnitur.

Mudi odepchnął Mahtab, schwycił mnie, rzucił na ziemię i zaczął okładać. Złapał mnie rękami za głowę i walił nią o podłogę.

Mahtab krzycząc pobiegła do kuchni, szukając Nasserin. Mudi odwrócił się na chwilę, spojrzał w ślad za nią, a ja wykorzystałam ten moment, żeby mu oddać. Rozorałam mu paznokciami twarz. Przez pewien czas tarzaliśmy się po podłodze, aż uzyskał nade mną przewagę walnąwszy mnie podstępnie pięścią w skroń.

W kuchni nikogo nie było i Mahtab pobiegła przez hall do sypialni Mammala i Nasserin.

- Pomocy! Pomocy! - wołałam.

Mahtab szarpała drzwi sypialni, ale były zamknięte. Żadnego głosu z wewnątrz, żadnej pomocy.

166

Czując w sobie nagromadzoną frustrację i gniew z całych ośmiu miesięcy zaskoczyłam Mudiego siłą oporu, jaki mu stawiałam. Kopiąc go, gryząc, sięgając paznokciami do jego oczu, usiłując wymierzyć kopniaka w krocze, odwróciłam jego uwagę od dziecka.

- Biegnij na dół do Essej! - krzyknęłam do córki.

Mahtab, która bała się o moje życie tak samo, jak o swoje, nie chciała zostawić mnie samej z oszalałym tatusiem. Płacząc i krzycząc zaatakowała go maleńkimi piąstkami od tyłu, waląc go w poczuciu bezradności i rozpacz. Szarpała go za przegub, próbując oderwać ode mnie. Uderzył ją z wściekłością i lekko odrzucił na bok.

- Biegnij do Essej! - krzyknęłam jeszcze raz.

Zrozpaczone dziecko zniknęło wreszcie za drzwiami. Pobiegå na dół, a ja i Mudi kontynuowaliśmy naszą walkę na śmierć i życie.

Mudi ugryzł mnie mocno w ramię, popłynęła krew. Krzyknęłam, wyrwałam się z jego uścisku i kopnęłam go w bok. Ale bardziej go to rozwścieczyło niż zabolęło. Złapał mnie swoimi silnymi rękami i pchnął na twardą podłogę. Upadłam na plecy i poczułam ból przeszywający wzdłuż całe moje ciało.

Ledwo mogłam się ruszyć. Przez jakiś czas Mudi stał nade mną, miotał przekleństwa, kopał, nachylał się, żeby wymierzyć policzek. Szarpnął mnie za włosy ciągnąc po podłodze. Kilka kosmyków zostało mu w rękach.

Pzerwał, żeby zaczerpnąć tchu. Leżałam na podłodze łkając, niezdolna do żadnego ruchu.

Nagle obrócił się na pięcie i wybiegł z mieszkania na półpiętro. Ciężkie drewniane drzwi głośnie trzasnęły, potem usłyszałam, jak dwa razy przekręcił klucz w zamku, żeby się lepiej zabezpieczyć. Po chwili dobiegł mnie krzyk Mahtab - drzwi i hall prowadzący do mieszkania Essej na dole stłumiły ten okropny dźwięk, ale i tak rozdzierał mi serce. Potem nastęła cisza.

Sporo czasu upłynęło, zanim zdołałam usiąść, jeszcze więcej zanim stanęłam. Potykając się poszłam do łazienki, starając się zapomnieć o swoich cierpieniach, niespokojna o Mahtab. Chociaż przy każdym ruchu czułam ból, jakby rozpalone kleszcze szarpały mi plecy, wspięłam się na sedes i stojąc na palcach przyłożyłam ucho do szybu wentylacyjnego, połączonego z łazienką piętro niżej. Udało mi się usłyszeć, jak Mudi skarżył się Essej na mnie, miotając przekleństwa i przysięgając co najgorsze. Essej odpowiadała łagodnie i uprzejmie. Mahtab nie było słyhać.

Trwało to przez jakiś czas. Chciało mi się krzyczeć, tak bardzo bolały mnie plecy, co wzmagala jeszcze moja pozycja; stałam na palcach. Nie mogłam jednak zajmować się teraz własną krzywdą. Rozmowa na dole stopniowo przycichala i już nie byłam w stanie wyłowić nawet kilku perskich słów. Potem nagle usłyszałam Mahtab, znowu zaczęła krzyczeć.

Śledziłam ten krzyk, który przeniósł się z mieszkania Essej do hallu, a potem na zewnątrz domu. Żelazna brama zatrzasnęła się z głuchym, wstrętnym łoskotem, jak wrota więzienia.

Zsunęłam się z sedesu i pobiegłam do sypialni Mammala i Nasserin, klucz był w zamku, otworzyłam drzwi. W środku nie było nikogo. Podeszłam do okna, które wychodziło na front domu. Musiałam przycisnąć nos do szyby i oprzeć czoło o kraty, żeby chociaż fragmentarycznie dostrzec, co się dzieje na dole.

Zobaczyłam Mudiego, ze świeżo zeszytym rękawem garnituru. Była tam oczywiście Essej. Mudi mocno trzymał Mahtab pod pachą, panując nad nią, chociaż próbowała kopać i wyrwać się z tego uścisku. Wolną ręką rozłożył wózek Amira, posadził na nim Mahtab i przywiązał ją za ręce i nogi.

Nawiedziła mnie przerażająca myśl, że nigdy więcej Mahtab nie zobaczę. Byłam tego pewna. Obróciłam się na pięcie, pobiegłam do naszej sypialni, porwałam z szafy aparat fotograficzny Mudiego i wróciłam do okna na czas, zdążyłam jeszcze zrobić zdjęcie obojga oddalających się w stronę ulicy Szariatiego. Mahtab wciąż krzyczała, ale Mudi był nieczuły na te protesty.

Patrzyłam przez łyzy, aż zniknęli mi z oczu. Nigdy więcej jej nie zobaczę - powtórzyłam w myśli.

- Dobrze się czujesz?

To Essej wołała do mnie przez przewód wentylacyjny w łazience. Musiała usłyszeć mój płacz, kiedy obmywałam się z krwi.

- Tak - odpowiedziałam - ale chciałabym z tobą pomówić.

Nie mogłyśmy dłużej rozmawiać w ten sposób, bo musiałybyśmy krzyczeć głośno do siebie.

- Wyjdź na tylne podwórko, będę mogła do ciebie mówić. Powlokłam się całą obolała na balkon z tyłu domu i zobaczyłam

Essej, która czekała na mnie na dole.

- Dlaczego wpuściłaś Mudiego? - zapytałam szlochając gwałtownie.

- Dlaczego nie obroniłaś Mahtab?

- Oboje zjawili się w tym samym czasie - wyjaśniła Essej. - Mahtab schowała się pod schodami. Znalazł ją i wniósł do środka.

Biedna Mahtab!

- Musisz mi pomóc, bardzo cię proszę - powiedziałam do Essej.

- Reza poszedł do pracy.

W oczach Essej malowało się szczere współczucie, znać to było również w jej zachowaniu, ale obok tego czuło się wpojoną irańskiej kobiecie ostrożność. Zrobiłaby dla mnie wszystko, lecz nie odważyłaby się przeciwstawić woli męża lub jego wujka.

- Naprawdę bardzo mi przykro, ale nic nie możemy zrobić.

- Co z Mahtab? Gdzie ona jest?

168

- Nie wiem, dokąd ją zabrał.

Usłyszałyśmy, że Mehdi, synek Essej, zaczął płakać.

- Muszę wracać do mieszkania - powiedziała.

I ja wróciłam do pokoju. Trzeba zadzwonić do ambasady - pomyślałam. Dlaczego jeszcze tego nie zrobiłam? Jeśli nie zastanę Helen ani pana Vincopa, mam przecież ich domowe telefony.

Pobiegłam do kuchni, ale telefonu nie było!

Umocniłam się w przekonaniu, że Mudi dokładnie zaplanował dzisiejsze poranne wydarzenia. Gdzie był Mammal? Gdzie była Nasserin? Co się stało z telefonem? Ten problem był poważniejszy, niż mogłam przypuszczać. Starłam się ze wszystkich sił myśleć racjonalnie, żeby móc jakoś zareagować.

Doświadczona już w roli zamkniętego w klatce zwierzęcia, instynktownie zaczęłam badać najbliższe otoczenie. Konkretnego planu nie miałam, ale wiedziałam, że muszę znaleźć słabe miejsca w nowej pułapce zastawionej przez Mudiego. Wyszłam znów na balkon i rozejrzałam się, ale wykluczyłam

możliwość wyskoczenia na dół, bo znalazłabym się wtedy na tylnym podwórku Rezy i Essej, otoczonym wysokim murem.

Po jednej stronie balkonu znajdował się wąski występ, szerokości zaledwie kilkunastu centymetrów, po którym można się było dostać na dach sąsiedniego jednopiętrowego domu. Mogłabym wyjść przez okno naszej sypialni i przejść po tym występie na sąsiedni dach, choć wymagałoby to odwagi. Ale co dalej? Czy drzwi balkonowe w tamtym domu będą otwarte? Czy ktoś będzie w domu? Czy sąsiadka pomoże mi, czy też zadzwoni po policję? A jeśli nawet odzyskam wolność, to co będzie z Mahtab?

Choć głowę miałam obolałą od ciosów Mudiego, rozważałam bezustannie to różne obawy, to różne możliwości.

Zgnębiona absolutną izolacją, bardzo chciałam nawiązać jakikolwiek kontakt ze światem zewnętrznym. Poszłam szybko do sypialni Mammala i Nasserin, do okna, które się otwierało na ulicę. Na dworze trwał nieustający, powszedni zgiełk, mój los nie miał na to żadnego wpływu. Szczególnej wagi nabrało dla mnie zbliżenie się do ludzi tam na zewnątrz, tak zajętych swoimi sprawami.

Okno chroniły żelazne kraty oddalone od siebie o jakieś dziesięć centymetrów, a z przodu, od strony pokoju, znajdował się ekran ograniczający mi widoczność. Chodnik pod oknem miał tylko trzydzieści centymetrów szerokości i przylegał do budynku, nie mogłam więc dostrzec, co się działo na dole.

Jeśli uda mi się usunąć ekran, będę mogła przytknąć głowę do kraty i spojrzeć w dół na chodnik. Ekran był umocowany śrubami. Przeszukałam dom, żeby znaleźć śrubokręt, ale bez skutku, porwałam więc nóż kuchenny, którym się posłużyłam.

169

Usunąwszy ekran, przycisnęłam się do kraty i wyjrzałam. Mogłam teraz widzieć całą codzienną krzątaninę, ale co osiągnęłam? Nikt z tych ludzi na dole nie pomoże mi. Zniechęcona, przykręciłam ekran z powrotem, żeby Mudi nic nie zauważył.

Znalazłszy się z powrotem w hallu odkryłam, że Mudi może jeszcze bardziej ograniczyć moją wolność. Wszystkie drzwi wewnątrz mieszkania miały zamki.



Mógłby, jeśli zechce, zamknąć mnie w hallu. Jeszcze raz przeszukałam dom, chcąc znaleźć jakieś narzędzia albo broń, i w końcu wybrałam ostro zakończony nóż do obierania jarzyn. Razem z nożem, który posłużył mi jako śrubokręt, ukryłam go pod perskim dywanem w hallu. Jeśli Mudi mnie tutaj zamknie, poodkręcam śruby z zawiasów u drzwi.

Przeszukując mieszkanie przypominałam sobie o wewnętrznym oknie w ścianie między jadalnią a podestem na drugim piętrze. O tym wyjściu Mudi zapomniał. Zastłonięte firanką, było prawie niedostrzegalne.

Okazało się, że nie jest zamknięte, wystarczyło dotknąć, a lekko się otworzyło. Wysunęłam głowę i zbadałam, co się da zrobić. Mogłabym dość łatwo prześlizgnąć się przez to okno i wyjść na podest, ale nie dałabym rady wydostać się przez ciężką żelazną bramę, która zawsze była zamknięta. Popatrzyłam na schody, które prowadziły z podestu w górę na dach, koło mieszkania Mammala i Nasserin. Mogłabym dostać się tam i przebiec na dach przyległego budynku, ale co dalej? Czy którakolwiek z sąsiadek zdobyłaby się na to, żeby wpuścić do domu amerykańską uciekinierkę i pozwolić jej wyjść na ulicę? Nawet gdyby tak było, zostałabym bez Mahtab.

Łzy popłynęły mi strumieniem po policzkach, czułam, że moje życie jest skończone i że Mudi w każdej chwili może mnie załatwić, i że ma na to ochotę. Zdałam sobie sprawę, że trzeba ochronić innych. Wydostałam swój notes z adresami i przekartkowałam go, wycierając w pośpiechu numery telefonów. Chociaż przeważnie były zaszyfrowane, bałam się - nie chciałam narażać osób, które uczyniły choć najdrobniejszy wysiłek, żeby mi pomóc.

Niektóre luźne kartki z zaszyfrowanymi numerami telefonów znajdowały się między stronami mojego notesu. Spaliłam je na sicie i spłukałam popiół.

Wykończona wszystkim, co zaszło w ciągu tych kilku strasznych dni, osunęłam się w końcu na podłogę i nie wiem, jak długo leżałam w otępieniu. Być może usnęłam.

Obudził mnie odgłos klucza przekręcanego w zamku. Zanim zdążyłam zareagować, weszła Essej. Niosła tacę zjedzeniem.

- Zjedz coś - powiedziała.

Wzięłam tacę, podziękowałam za jedzenie i próbowałam nawiązać rozmowę, ale Essej była onieśmielona i nastroszona. Szybko zawróciła do drzwi.

170

- Przepraszam - powiedziała cicho, zanim wyszła i znów mnie zamknęła. Głos obracającego się klucza rozległ się echem w mojej głowie. Odniosłam tacę do kuchni, jedzenia nie tknęłam.

Minęło wiele pełnych udręki godzin, zanim, tuż po południu, wrócił Mudi. Był sam.

- Gdzie ona jest? - krzyknęłam.

- Nie musisz wiedzieć - odparł surowo - nie martw się o nią. Teraz ja się nią zajmę.

Minął mnie i pomaszerował do sypialni. Pozwoliłam sobie na moment występnej satysfakcji widząc na jego twarzy ślady moich paznokci. Ale to uczucie szybko ustąpiło, kiedy pomyślałam o swoich własnych, o wiele poważniejszych obrażeniach. Gdzie jest moje dziecko?

Mudi wrócił za chwilę do hallu niosąc kilka sukienek Mahtab i lalkę, którą podarowaliśmy jej na urodziny.

- Ona chce lalkę - powiedział.

- Gdzie ona jest? Pozwól mi ją zobaczyć.

Nie mówiąc ani słowa odepchnął mnie i wyszedł, przekręcając za sobą dwa razy klucz w zamku.

Późnym popołudniem, kiedy leżałam w łóżku zwijając się z pulsującego bólu, który rozdzierał mi plecy, usłyszałam brzęczyk domofonu. Ktoś stał na chodniku przed domem. Podbiegłam i podniosłam słuchawkę. To była Ellen.

- Jestem zamknięta - powiedziałam - poczekaj, podejść do okna. Będziemy mogły porozmawiać.

Szybko odkręciłam ekran i przycisnęłam głowę do krat. Ellen razem z dziećmi stała na chodniku.

- Przyszłam zobaczyć, co się z tobą dzieje - powiedziała i dodała zaraz: - Alemu chce się pić.

- Nie mogę dać ci pić - powiedziałam do Alego - zamknęli mnie. Eszej oczywiście wszystko słyszała i za chwilę wyszła przed dom niosąc szklankę wody dla małego.

- Co możemy zrobić? - zapytała Ellen. Eszej też chciałyby znać odpowiedź na to pytanie.

- Idź po Hormoza - zaproponowałam - spróbuj pogadać z Mudim. Ellen zgodziła się. Przynagliła dzieci, żeby szły wzdłuż zatłoczonego chodnika. Wiosenny wietrzyk rozwiewał poły jej czarnego czadoru.

Jeszcze później tego samego popołudnia odezwał się do mnie Reza. Stał na podwórku, a ja na balkonie. Wiedziałam, że Eszej ma klucz, ale Reza nie chciał przyjść do mieszkania na górę.

- Reza! - zawołałam - jestem ci naprawdę wdzięczna, że byłeś dla

171

mnie taki miły, odkąd przyjechałam do Iranu. Byłeś dla mnie życzliwszy i niż ktokolwiek inny, mimo tego, co zdarzyło się między nami w Stanach. I

- Dziękuję. Dobrze się czujesz?

- Pomóż mi, proszę. Jesteś chyba jedynym człowiekiem, który i mógłby pomówić z Mudim. Czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę Mahtab?

- Nie martw się. Zobaczysz ją. Nie będzie jej przed tobą ukrywał. Kocha ciebie i kocha Mahiab.

- Proszę, pomów z uim - błagałam.

- Nie mogę z nim rozmawiać. Jeśli o czymś decyduje, to musi być jego decyzja. Nie mogę mu powiedzieć, co ma robić.

- Proszę cię, spróbuj. Dziś wieczorem.

- Nie, dzisiaj nie. Jutro muszę jechać do Resztu w sprawach służbowych. Jeśli za kilka dni wrócę i nic się nie zmieni, może z nim pogadam.
- Proszę cię, nie wyjeżdżaj. Zostań tutaj. Boję się. Nie chcę być sama.
- Nie. Muszę jechać. Wieczorem Essej otworzyła drzwi.
- Chodź na dół - powiedziała.

Zastałam tam Ellen i Hormoza, był też Reza. Mariam i Ali bawili się z dziećmi Rezy i Essej, a my rozmawialiśmy o jakimś wyjściu z obecnej sytuacji. Wszyscy popierali kiedyś Mudiego i byli po jego stronie w konflikcie ze mną, ale kierowali się motywami, które ich zdaniem były oczywiste. Byli wszyscy posłusznymi muzułmanami. Musieli szanować prawo Mudiego do rządów w rodzinie. Ale byli także moimi przyjaciółmi i kochali Mahtab. Nawet żyjąc w tej ponurej Republice Islamskiej wiedzieli, że czasem mąż i ojciec może posunąć się za daleko.

Nikt nie chciał iść na policję, a ja najmniej. W obecności Rezy i Essej nie chciałam rozmawiać z Ellen i Hormozem na temat ambasady. Wiedziałam, że gdybym to nawet zrobiła, to i tak nie zgodziliby się na żaden kolejny kontakt z dyplomatami amerykańskimi czy szwajcarskimi.

Byliśmy w kłopotcie. Nie dało się nic zrobić, poza ewentualną próbą podyskutowania z Mudim, ale wszyscy wiedzieliśmy, że nie jest on w stanie normalnie rozmawiać. W każdym razie nie teraz. Może już nigdy.

Próbowałam zdusić narastającą we mnie wściekłość. Zbijcie go! Zamknijcie! Odeślijcie mnie z Mahtab do Ameryki! Chciało mi się i krzyżeć i wymóc na nich siłą oczywiste rozwiązanie tego całego ; ohydny problem. Ale musiałam brać pod uwagę rzeczywistość, w jakiej oni żyją. Musiałam znaleźć jakieś pośrednie rozwiązanie, które mogliby zastosować. Wydawało się, że nie ma żadnego.

W środku naszej rozmowy usłyszeliśmy, jak otwiera się i zamyka brama od ulicy. Reza wyszedł do korytarza, żeby zobaczyć, kto to, i przyprowadził Mudiego do mieszkania na dole.

- Jak się wydostałaś? - zapytał mój mąż. - Dlaczego jesteś tutaj?
- Essej ma klucz. Sprowadziła mnie na dół.
- Oddaj mi go! - wrzasnął. Essej posłusznie wykonała rozkaz.
- Wszystko w porządku, daidżan - powiedział miękko Reza, próbując złagodzić oczywiste objawy psychopatii Mudiego.
- Co oni tutaj robią?! - krzyknął Mudi wymachując w stronę Ellen i Hormoza.
- Próbują pomóc - powiedziałam. - Mamy problemy. Potrzebujemy pomocy.
- Nie mamy żadnych problemów! To ty masz problemy. Mudi zwrócił się do Ellen i Hormoza:
- Wynoście się i zostawcie nas. To nie wasz interes. Nie chcę, żebyście mieli z nią cokolwiek do czynienia.

Ku mojemu przerażeniu, Ellen i Hormoz wstali, gotowi do wyjścia.

- Błagam, nie wychodźcie. Boję się, że mnie znów pobije. Zabije mnie i nikt nie będzie o tym wiedział. Nie idźcie, nie zostawiajcie mnie samej.
- Musimy iść - odparł Hormoz. - Kazał nam wyjść, to jego decyzja. Za chwilę poszli. Mudi powlókł mnie na górę i zamknął się razem ze mną.

- Gdzie Mammal i Nasserin - zapytałam niespokojnie.

- Nie mogli wytrzymać twojego okropnego zachowania. Przenieśli się do rodziców Nasserin. Musieli się wynieść z własnego domu - Mudi mówił coraz głośniej. - To nie ich interes. Nikt się nie powinien wtrącać. Teraz ja się wszystkim zajmę. Ja będę decydował. Ja wszystko i wszystkich doprowadzę do porządku.

Zbyt byłam obolała, żeby wstać, więc spokojnie usiadłam, a Mudi jeszcze przez jakiś czas przemawiał i wściekał się. Ale przynajmniej mnie nie bił.

Zostaliśmy na noc sami w mieszkaniu, spaliśmy w jednym łóżku, ale odsunięci na najdalszą możliwą odległość, plecami do siebie. Mudi spał, lecz ja przewracałam się z boku na bok, próbując bez skutku znaleźć jakąś wygodną

pozycję dla obolałego ciała. Martwiłam się o Mahtab, wołałam ją, próbowałam z nią w myślach rozmawiać. Modliłam się bez końca.

Rano Mudi ubrał się do pracy, wybierając inny garnitur zamiast tego, który wczoraj zniszczyłam. Wychodząc zabrał królika Mahtab.

- Ona to chce mieć - powiedział. A potem poszedł.

173

? S.

Długo jeszcze po wyjściu Mudiego leżałam na łóżku płacząc i wołając: „Mahtab! Mahtab!” Moje ciało było jak jedna wielka rana. Najbardziej bolało mnie w okolicy krzyża wskutek uderzenia, gdy Mudi powalił mnie na podłogę. Skręcałam się z bólu.

Wydawało mi się, że upłynęły godziny, gdy wtem dotarł do mnie znajomy odgłos z podwórza za domem. To zardzewiały łańcuch zgrzytał na metalowej belce - dźwięk ten wydawała huśtawka Mariam, ulubione miejsce zabaw Mahtab. Wstałam wolniutko i pokuśtykałam na balkon, by zobaczyć, kto się tam bawi.

Była to właśnie Mariam - córeczka Essej - rozkoszująca się ciepłem kwietniowego poranka. Spozregła, że się jej przyglądam i zawołała niewinnym, dziecięcym głosem:

- Gdzie jest Mahtab?

Nie odpowiedziałam, bo gardło dławili mi łzy.

Z tylko mnie znanych powodów przywiozłam Mahtab do Iranu po to, by ją uratować. A teraz zewsząd otacza mnie ciemność, ja zaś zaczęłam ztorzczyć losowi. Muszę się pozbierać i znaleźć rozwiązanie. Czyżby Mudiemu udało się w końcu mnie złamać? Bałam się odpowiedzi na to pytanie.

Najważniejsze pytanie, co Mudi zrobił z Mahtab, nie dawało mi spokoju, ale dotkliwiej i uporczywiej dręczyła mnie zagadka, jak mógł uczynić z nią coś

podobnego? Jak to możliwe, że mnie potraktował w ten sposób. Mudi, jakiego teraz znałam, nie był tym samym człowiekiem, którego poślubiłam.

Co się popsuło? Chyba wiedziałam, a mimo to nie do końca byłam świadoma. Przecież mogłam przewidzieć to wszystko. Przez osiem lat naszego małżeństwa miałam okazję obserwować nasilanie się i cofanie

174

depresji psychicznej mego męża, mogłam kojarzyć ją z kłopotami zawodowymi, zauważyć, że niektóre stany euforii oraz załamania zbiegają się w czasie z zaskakującymi go wydarzeniami politycznymi.

Jakże mogłam nie dostrzegać tego i nie zapobiec nieszczęściu? Czułam się zdruzgotana uprzytamniając sobie, jak spóźnione są te refleksje.

Osiem lat wcześniej, gdy kontrakt Mudiego w szpitalu osteopatycznym w Detroit dobiegał końca, stanęliśmy oboje przed trudną decyzją. Trzeba było zdecydować, czy będziemy żyć razem, czy też nasze drogi się rozejdą. Wspólnie rozważaliśmy propozycję pracy w szpitalu osteopatycznym w Corpus Christi, gdzie co prawda był już jeden anestezjolog, ale potrzebowali drugiego. Można było spodziewać się całkiem realnie dochodu w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów rocznie - co przyprawiało nas o zawrót głowy.

Jakaś część mojej jaźni wzbraniała się przed porzuceniem rodziców w Michigan, lecz ta druga - przeważająca - gotowa była zacząć nowe, szczęśliwe życie w dostatku, zajmując godną szacunku pozycję społeczną.

Joe, a zwłaszcza sześciolatek John, byli z tego pomysłu bardzo zadowoleni.

John przed naszym ślubem tak do mnie powiedział:

- Mamusiu, nie wiem, czy powinienem mieszkać z Mudim.
- A to dlaczego? - spytałam.
- Daje mi tyle cukierków. Zęby mi się popsują. Zrozumiałam, że mówi to serio, i roześmiałam się. Johnowi Mudi

kojarzył się z cukierkami i z przyjemnościami.

Koronnym argumentem przemawiającym za małżeństwem był fakt, że ja i Mudi kochaliśmy się. Rozstać się z nim, wysłać go do Corpus Christi i dalej wieść dość smętny żywot w przemysłowym centrum Michigan, było już dla mnie teraz nie do pomyślenia.

Tak więc 6 czerwca 1977 roku wzięliśmy cichy ślub w meczecie w Houston. Po wypowiedzeniu kilku prostych słów po persku i po angielsku czułam się tak, jakbym dostąpiła ogromnego zaszczytu i szczęścia, jak gdybym została koronowaną królową u boku Mudiego.

Mudi obsypywał mnie kwiatami, bardzo osobistymi prezentami, nieustannie wypełniał moje życie zaskakującymi dowodami głębokiego uczucia. W codziennej poczcie znajdowałam ręcznie malowane kartki pocztowe lub miłosne liściki; słowa wycięte z gazet i naklejane na kartkę papieru. Szczególnie lubił adorować mnie w obecności naszych przyjaciół. Pewnego razu podczas kolacji obdarzył mnie ogromnym medalem, iskrzącym się złotem i błękitem, który obwoływał mnie „Najwspanialszą Żoną na Świecie”. Mój zbiór pozytywek-szkatułek rozrósł się niepomierne. Zасыpywał mnie książkami przy byle okazji, każdą zaś opatrywał dedykacją pełną uczucia. Do rzadkości należały dni, w których nie zapewniał mnie wciąż na nowo o swojej miłości.

175

Wkrótce okazało się, jak mądrze wybrał specjalizację. Anestezjologia należy do najbardziej lukratywnych i cenionych dziedzin medycyny, a Mudi wykonywał swój zawód raczej sporadycznie. Sprawował głównie nadzór nad zespołem złożonym z dyplomowanych terapeutów i pielęgniarek wyspecjalizowanych w metodach znieczulania, co pozwalało mu jednocześnie przyjmować trzech lub czterech pacjentów i wystawiać im dość słone rachunki. Rozkład dnia nie był zbyt napięty. Mudi musiał być w szpitalu wcześniej rano, by asystować podczas operacji chirurgicznych, ale często już w południe wracał do domu. Nie obowiązywały go stałe godziny pracy, a dyżury w nagłych przypadkach dzielił z tym drugim anestezjologiem.

Wychowany w zamożnej rodzinie irańskiej, Mudi łatwo nauczył się grać rolę cieszącego się powodzeniem amerykańskiego lekarza. Kupiliśmy przestronny, piękny dom w eleganckiej dzielnicy Corpus Christi, naszymi sąsiadami byli lekarze, dentyści, prawnicy i przedstawiciele innych, podobnych profesji.



Mudi zatrudnił służącą, by uwolnić mnie od najbardziej prozaicznych zajęć domowych, co pozwoliło mi wreszcie wykorzystać moje organizacyjne przygotowanie zawodowe i zdolności menedżerskie.

Moje dni wypełnione były przynoszącą satysfakcję pracą, polegającą na wystawianiu pacjentom rachunków i prowadzeniu księgowości lekarskiej praktyki Mudiego, do tego dochodziły przyjemności zajmowania się domem i rodziną. Ponieważ służąca wykonywała najczarniejszą robotę, ja mogłam się skoncentrować na prowadzeniu domu i kuchni, co sprawiało mi wiele przyjemności.

Dużo czasu poświęciliśmy życiu towarzyskiemu - częściowo dlatego, że to lubiliśmy, a po części dlatego, że kontakty towarzyskie są bardzo ważne dla kariery lekarza. Przed naszym przybyciem do Corpus Christi jedyny praktykujący tam anestezjolog był przepracowany. Wdzięczny więc był, że ubyło mu zajęć, z drugiej zaś strony, jako że lekarze są z natury stworzeniami, które starają się zdobyć jak największe terytorium, obecność Mudiego stwarzała okazję do zdrowo pojętej rywalizacji. Pracy starczało dla obu, jednak mieliśmy świadomość, że ugruntowanie naszej pozycji wymaga rozległych stosunków. Nasze grono składało się przede wszystkim z rodowitych Amerykanów oraz z ludzi, którzy - podobnie jak Mudi - przybyli z innych państw, by studiować i praktykować w USA. Było tu więc sporo Hindusów, Saudyjczyków, Pakistańczyków, Egipcjan oraz grupka innych narodowości. Łączyła nas przyjemność, jaką czerpaliśmy z poznawania rozmaitych kulturowych i obyczajowych odmienności. Ja słynęłam z doskonałej irańskiej kuchni.

Praca z żeńskim personelem pomocniczym w szpitalu stanowiła jeszcze jedną okazję do zaprzyjaźnienia się z żonami innych lekarzy.

176

W innym za to kręgu zaczęliśmy od razu odgrywać wiodącą rolę. Tak się złożyło, że na pobliskim Uniwersytecie Teksanskim studiowało wielu Irańczyków. Często gościliśmy ich u siebie, a jako członkowie Towarzystwa Islamskiego Południowego Teksasu organizowaliśmy spotkania i uroczystości w związku ze świętami obchodzonymi przez Irańczyków i muzułmanów. Byłam zadowolona, że Mudi uchwycił wreszcie równowagę między przeszłością a teraźniejszością.

Był zachwycony swoją rolą zamerykanizowanego doktora, starszego i darzonego szacunkiem przywódcy swych młodych ziomków.

Mudi postanowił udowodnić swoją wolę zostania Amerykaninem składając podanie o przyznanie mu obywatelstwa Stanów Zjednoczonych. Formularz podania zawiera mnóstwo pytań, między innymi i takie:

„Czy jesteś zwolennikiem Konstytucji Stanów Zjednoczonych i formy rządów sprawowanych w USA? Czy jesteś gotów złożyć przysięgę na wierność Stanom Zjednoczonym? Czy, jeśli prawo tego wymaga, będziesz walczył z bronią w rękę w obronie Stanów Zjednoczonych?”

Na każde z tych pytań Mudi odpowiedział twierdząco.

Często podróżowaliśmy - w Kalifornii i Meksyku byliśmy kilkakrotnie. Jechaliśmy zawsze i wszędzie tam, gdzie odbywały się medyczne seminaria lub sympozja naukowe, dzieci zostawiając pod opieką niani. Przepisy podatkowe umożliwiły nam korzystanie z komfortowych hoteli i dobrych restauracji, koszty bowiem wpisywaliśmy w wydatki firmy. Podczas każdej takiej podróży zbierałam troskliwie wszystkie pokwitowania i rachunki, potwierdzające zawodowy charakter naszej działalności.

Wydawało mi się, że te olśniewające zmiany w moim życiu przytłaczają mnie. Choć nie pracowałam - w potocznym rozumieniu tego słowa - byłam bardziej zajęta niż kiedykolwiek przedtem. Ale obsypywana pieniędzmi i czułościami, ubóstwiana wręcz przez męża

- czyż miałam prawo narzekać na cokolwiek?

Od samego początku do naszego pożycia małżeńskiego wkrały się problemy, i także od początku staraliśmy się mówić o nich wprost. W tych rzadkich przypadkach nieporozumienia z reguły wynikały z różnic kulturowych. Dla Mudiego były to rzeczy nieistotne, wprawiały go w zdumienie. Na przykład gdy w banku w Corpus Christi otwieraliśmy rachunek, w formularzu wpisał tylko swoje imię i nazwisko.

- A to co znowu - spytałam - dlaczego nie wpiszesz także mojego imienia?

Wyglądał na zaskoczonego:

- My nie wpisujemy imion kobiet na rachunkach bankowych

- odparł. - Irańczycy tego nie robią.

12 — Tylko razem z córką

177

- Tutaj nie jesteś Irańczykiem - zaproponowałam. - Masz przecież zostać Amerykaninem.

Po krótkiej wymianie zdań Mudi ustąpił. Po prostu nie rozumiał, że wszystko, co posiadamy, jest naszą wspólną własnością.

Irytujące było także to, że traktował rrinie jak swoją własność, tak jakbym - na podobieństwo konta w banku - stanowiła jego prywatny majątek. Ilekroć znajdowaliśmy się wśród ludzi, zawsze domagał się, bym była blisko niego. Zwykle obejmował mnie lub trzymał za rękę jakby w obawie, że mogłabym uciec. Schlebiało mi to jego zainteresowanie i przywiązanie, ale uporczywość, z jaką to demonstrował, była niekiedy drażniąca.

Przemieniwszy się z przyjaciela mamy w ojczyrna, Mudi także trochę stracił w oczach dzieci. Naturalną jak gdyby kolejną rzeczą, przyjął irańską postawę głowy domu, żądając od Joego i Johna bezwarunkowego posłuszeństwa. Było to szczególnie uciążliwe dla Joego, który, będąc już jedenastoletnim chłopcem, zaczynał okazywać swoją niezależność. Przedtem to właśnie Joe był najważniejszą mężczyzną w rodzinie.

A poza tym był Reza - z pewnością źródło największych napięć w owym czasie. Reza studiował na Uniwersytecie Stanowym Wayne w Detroit i przez pewien czas mieszkał tam w pokoju Mudiego. W ponad rok po zawarciu naszego małżeństwa Reza uzyskał dyplom z ekonomii, a Mudi zaprosił go do nas do Corpus Christi, by pomieszkał z nami aż do czasu znalezienia pracy.

Ilekroć Mudi był poza domem, Reza przejmował na siebie rolę pana i władcy, próbując wydawać mnie i dzieciom polecenia, wymagając posłuszeństwa, jakby to mu się słusznie należało. Krótco po tym, jak u nas zamieszkał, gościłam kilka przyjaciółek na herbatce. Reza siedział milcząco z nami w pokoju, widać było, że stara się zapamiętać wszystko, by potem złożyć Mudiemu relację, na wypadek

gdybyśmy - jego zdaniem - mówiły coś niestosownego. Po wyjściu gości polecił mi umyć naczynia.

- Zajmę się tym we właściwym czasie - wycedziłam przez zęby. Reza usiłował instruować mnie, kiedy należy robić pranie, co dawać

chłopcom na obiad i kiedy wolno mi pójść do sąsiadów na kawę. Spierałam się z nim, ale robił się coraz bardziej nieznośny. Sam natomiast nigdy nie tknął nawet palcem domowej roboty.

Wielokrotnie skarżyłam się Mudiemu na to wtrącanie się Rezy w moje sprawy. Ale on - nie będąc przecież świadkiem najgorszych incydentów - zalecał mi, bym była cierpliwa:

- To tylko na krótko - mówił - dopóki nie znajdzie pracy. Jest przecież moim siostrzeńcem, muszę mu pomóc.

Interesowaliśmy się z Mudim giełdą nieruchomości, poszukiwaliśmy możliwości zainwestowania naszych pieniędzy i skorzystania tym samym

178

z ulgi podatkowej. Z tego względu nawiązaliśmy znajomość z jednym z najlepiej prosperujących bankierów w mieście. Namówiłam go, by odbył wstępną rozmowę z Rezą, i - być może - zatrudnił go.

- Proponuję mi posadę kasjera - narzekał Reza, powróciwszy z banku. - Ani myślę pracować jako kasjer.

- Niejeden byłby zachwycony taką pracą - odparłam zniesmaczona jego zachowaniem. - Z tej posady można awansować na wiele innych stanowisk.

Wówczas Reza powiedział coś bardzo szczególnego - coś, co zrozumiałam dopiero w wiele lat później, gdy poznałam już dokładnie mentalność Irańczyka, zwłaszcza męskiej części rodu Mudiego. Reza oświadczył:

- W tym kraju nie przyjmę żadnej posady poniżej prezesa.

Był zdecydowany korzystać z naszej wspaniałomyślności dopóty, dopóki jakaś amerykańska firma nie okaże się na tyle mądra, by bez reszty poddać się jego władzy.

Tymczasem całe dni spędzał na opalaniu się na plaży, czytaniu Koranu, modlitwie i kontrolowaniu każdego swojego kroku. A gdy już się tym zmęczył, ucinął sobie drzemkę.

Krępująca obecność Rezy z tygodni przeciągnęła się w miesiące, aż w końcu zmusiłam Mudiego, by zajął się Rezą.

- Albo on nas opuści, albo ja odejdę! - oświadczyłam zdecydowanie. Czy mówiłam poważnie? Z pewnością bardzo liczyłam na miłość Mudiego, i nie pomyliłam się. Gderając coś po persku, pewnie obrzucając mnie wyzwiskami, Reza wyprowadził się do własnego mieszkania - oczywiście za pieniądze Mudiego. Wkrótce potem wrócił do Iranu i ożenił się ze swoją kuzynką Essej.

Po odejściu Rezy mogliśmy wreszcie powrócić do naszego wygodnego i szczęśliwego życia małżeńskiego - tak mi się przynajmniej zdawało. Między mną a Mudim były zgrzyty, ale wiedziałam, że małżeństwo polega na kompromisach. Byłam przekonana, że czas pozwoli nam osiągnąć równowagę.

Starałam się dostrzegać pozytywy. Moje życie rozkwitało w wielu dziedzinach. Odnalazłam wreszcie to ulotne coś więcej.

Skąd mogłam wiedzieć, że gdzieś tam, dwadzieścia tysięcy kilometrów na wschód od naszego domu, rozpęta się burza, która rozbije nasze małżeństwo, że mnie uczyni więźnia, oderwie mnie od synów i zagrozi życiu nie tylko mojemu, ale i mojej, nie narodzonej jeszcze wtedy córki?

Byliśmy małżeństwem już od półtora roku, gdy krótko po Nowym Roku 1979, Mudi kupił sobie kosztowne małe radio tranzystorowe ze słuchawkami. Było tak silne, że odbierało audycje z prawie połowy globu. Mudi zaczął nagle przejawiać zainteresowanie audycjami Radia Teheran.

179

Studenci w Teheranie zorganizowali serię demonstracji, wymierzo-1 nych przeciwko rządowi szacha. W przeszłości zdarzały się już takie i incydenty, tym razem jednak wyglądały poważniej i miały o wiele większy zasięg. Przebywający na emigracji w Paryżu ajatollah Chomejni i zaczął głośno i ostro wypowiadać się przeciwko szachowi w szczególności, a wpływom Zachodu w ogóle.

Informacje, jakie Mudi słyszał w radiu, były często sprzeczne z tym, co podawał wieczorny dziennik telewizyjny. W efekcie Mudi stał się nieufny wobec amerykańskich środków przekazu.

Kiedy szach opuścił Iran, a następnego dnia ajatollah Chomejni triumfalnie powrócił do kraju, Mudi uznał to za wielkie święto. Przyprowadził na przyjęcie mnóstwo irańskich studentów nie uprzedzając mnie o tym ani słowem. Siedzieli u nas do późnej nocy, napętniając mój amerykański dom podnieconymi, ożywionymi rozmowami prowadzonymi po persku.

Rewolucja zawitała nie tylko do Iranu, ale i do naszego domu. Mudi odprawiał swoje muzułmańskie modły z żarliwością, jakiej nigdy przedtem u niego nie widziałam. Udzielał wsparcia rozlicznym grupom szyitów.

Nie pytając mnie o zdanie wyrzucił spory zapas trunków, które trzymaliśmy zawsze pod ręką dla licznie nas odwiedzających gości. Już to samo zniechęciło wielu naszych amerykańskich znajomych, a ton, j jakiego Mudi używał w rozmowie, wkrótce zraził także abstynentów. Mudi wściekał się na amerykańskich dziennikarzy, nazywając ich kłamcami. Przez kilka następnych miesięcy studenci często wykorzystywali nasz dom jako miejsce zebrań. Stworzyli coś, co nazwali Grupą Zaangażowanych Muzułmanów i - obok innych form działalności - ułożyli następującą odezwę, którą rozestali do mass mediów:

W imię Ałlaha Miłościwego, Litościwego!

Dziś w Stanach Zjednoczonych wokół islamu panuje wiele nieporozumień. Dzieje się tak z kilku powodów: 1) mass media błędnie interpretują fakty związane z powstaniem Islamskiej Republiki Iranu; 2) rząd Stanów Zjednoczonych nie prowadzi czystej gry z krajami muzułmańskimi; 3) chrześcijaństwo nie chce zaakceptować islamu i jego wyznawców.

Środki przekazu wywierają niekwestionowany wpływ na umysły Amerykanów. Wiadomości wieczorne, gazety oraz tygodniki stanowią jedyne źródło kształtowania się amerykańskiej opinii publicznej. Źródła te są jedynie narzędziem propagandy, ponieważ przedstawiają tylko te fakty, które są zgodne z interesem Stanów Zjednoczonych. Z tego względu wydarzenia międzynarodowe są umyślnie zniekształcane. Obecnie przykładem takiego

przekłamywania wydarzeń na arenie międzynarodowej jest Islamska Republika Iranu. To lud Iranu wyrzucił

180

szacha i jednogłośnie zaaprobował ustanowienie Republiki Islamskiej. Ostatnio słyszeliśmy o kurdyjskich rebeliantach w Iranie. Jeżeli Kurdowie walczyli o samorząd, to o co walczyli izraelscy, rosyjscy i iraccy żołnierze?

Rewolucja islamska w Iranie dowiodła, że Irańczycy są przeciwko amerykańskiej polityce zagranicznej, a nie przeciwko amerykańskiemu narodowi. Zwracamy się do was, abyście bardzo ostrożnie podchodzili do tego, co głoszą wasze mass media. Kontaktujcie się z irańskimi muzułmanami, którzy właściwie oceniają obecną sytuację.

Dziękujemy

Grupa Zaangażowanych Muzułmanów

Corpus Christi - Teksas

Tego już było dla mnie za wiele. Stałam w obronie mego kraju, jednocześnie rzucając oskarżenia pod adresem ojczyzny Mudiego. Nasze dyskusje przemieniły się w zawzięte kłótnie, co zupełnie nie było podobne do dotychczasowego, pozbawionego poważnych konfliktów wspólnego życia.

- Musimy ogłosić zawieszenie broni - zaproponowałam zrozpaczona. - Po prostu nie możemy dyskutować o polityce.

Mudi zgodził się ze mną i przez jakiś czas udawało się nam utrzymać pokojowe współżycie. Ale przestałam już być pępkiem świata. Zanikały codzienne dowody miłości Mudiego. Mogłoby się zdawać, że teraz był żonaty nie ze mną, ale ze swoim tranzystorowym radiem i plikami gazet, czasopism i wszelkiej maści propagandowych broszurek, które zaczęły prenumerować. Niektóre drukowane były po persku, ale część ukazywała się po angielsku. Czasem - gdy Mudiego nie było w pobliżu - przeglądałam je, i doprawdy byłam zaskoczona i niemile zdziwiona zawartymi w nich obłądnymi i irracjonalnymi atakami na Amerykę.

Mudi wycofał swoje podanie o udzielenie mu obywatelstwa USA.

Chwilami - tuż pod powierzchnią mej świadomości - pojawiała się raz po raz słowo „rozwód”. Słowo to było mi nienawistne, bałam się go. Już raz przez to przeszłam i nie chciałam znowu jeść tej żaby. Rozwód z Mudim byłby równoznaczny z porzuceniem egzystencji, jakiej nie byłam w stanie zapewnić sobie samodzielnie, a także oznaczałby rezygnację ze związku, który nadal był - w moim przekonaniu - oparty na solidnym fundamencie miłości.

A poza tym wszelkie rozważania na ten temat stały się bezprzedmiotowe, z chwilą gdy zorientowałam się, że jestem w ciąży.

Ta wspaniała wiadomość sprawiła, że Mudi oprzytomniał. Przestał gloryfikować irańską politykę, a poczuł się dumnym ojcem. Powrócił do dawnego, uroczego zwyczaju obsypywania mnie codziennie podarunkami.

181

Z chwilą gdy zaczęłam nosić ciężowe suknie, pokazywał mój brzuch każdemu, kto chciał i nie chciał go oglądać. Zrobił mi setki zdjęć i stwierdził, że ciąża sprawia, iż wyglądam piękniej niż przedtem.

Trzecie lato naszego małżeństwa upłynęło w pogodnym oczekiwaniu narodzin dziecka. Gdy Mudi pracował w szpitalu, ja spędzałam przyjemnie czas z Johnem. Miał wówczas osiem lat, był już na tyle dojrzałym młodym mężczyzną, by pomóc w przygotowaniu domu na przyjęcie braciszka lub siostrzyczki. Wspólnie przekształciliśmy jedną z sypialni w pokój dziecienny. Bawiliśmy się świetnie kupując białe i żółte ciuszki niemowlęce. Oboje z Mudim chodziliśmy na lekcje rodzenia, gdzie nie taił swoich preferencji - chciał mieć syna. Dla mnie nie miało to znaczenia. To nowe życie we mnie - obojętne: dziewczynka czy chłopiec - było istotą, którą już kochałam.

W początkach września, gdy byłam już w ósmym miesiącu, Mudi zaproponował, bym wraz z nim wzięła udział w konferencji medycznej w Houston. Podróż ta dałaby nam kilka beztroskich dni przed trudami rodzicielstwa. Mój lekarz wyraził zgodę zapewniając, że poród nie nastąpi przed upływem miesiąca.

Jednakże już pierwszego wieczoru w Houston poczułam w hotelowym pokoju silne bóle krzyża, zaczęłam się obawiać, czy aby nie nadszedł mój czas.



- Wszystko w porządku - zapewniał Mudi. Chciał następnego dnia zwiedzić centrum NASA.

- Nie czuję się zbyt dobrze - powiedziałam.

- No cóż, to pójdziemy po zakupy - zaproponował.

Przed zakupami poszliśmy na obiad, ale w restauracji bóle krzyża nasiliły się i poczułam ogromne zmęczenie.

- Wracajmy do hotelu - powiedziałam. - Może jeśli przez chwilę odpocznę, to będę w stanie pójść do miasta.

W hotelu skurcze porodowe zaczęły się na dobre i odeszły wody. Mudi nie mógł uwierzyć, że nadszedł ten moment.

- Jesteś przecież lekarzem - mówiłam. - Wody już odeszły. Nie rozumiesz, co to oznacza?

Zatelefonował do mojego lekarza w Corpus Christi, ten zaś polecił mu położnika w Houston, który zgodził się mną zająć i kazał nam udać się natychmiast do szpitala.

Pamiętam jasne ciepłe światła sali porodowej, pamiętam także Mudiego, który odziany w sterylny uniform, stał obok trzymając moją rękę, dodając otuchy. Pamiętam ten ogromny trud i silny ból towarzyszący rodzeniu się nowego życia. Może to było ostrzeżenie przed tym, I co miało zdarzyć się w kilka lat później.

Najlepiej jednak pamiętam położnika, który obwieścił:

- Ma pani córeczkę!

182

Zespół porodówki jął wydawać okrzyki zachwytu z powodu tego cudownego wydarzenia, ja uśmiechałam się, a w głowie miałam zamęt ze szczęścia i zmęczenia.

Pielęgniarka i lekarz zajęli się rutynowymi zabiegami wokół noworodka, a potem przynieśli nam naszą córeczkę.

To był prawdziwy różowutki klejnocik z jasnoniebieskimi oczkami, lekko zezującymi pod silnym oświetleniem sali porodowej. Kosmyki rudawoblond włosów lepiły się do wilgotnej główki. Rysy twarzyczki były zmianiaturyzowanym obliczem Mudiego.

- Dlaczego ona ma jasne włosy? - Mudi spytał z nutką wyraźnego napięcia w głosie. - Dlaczego ma niebieskie oczy?

- Doprawdy, nie miałam na to żadnego wpływu - odparłam, zbyt zmęczona i rozradowana, by zwracać uwagę na pretensje Mudiego do tak doskonałego dziecka, które właśnie wydałam na świat. - Wyjąwszy karnację, wygląda dokładnie jak ty sam.

Przez chwilę byłam tak bez reszty pochłonięta moim dzieckiem, że nie zwracałam nawet uwagi na to, co ze mną robią lekarze i pielęgniarki lub jaki jest kolor nieba. Tuliłam córeczkę w ramionach i po prostu ją kochałam. „Dam ci na imię Mariam” - szeptałam. Wiedziałam, że było to jedno z najulubieńszych imion kobiecych w Iranie, a dla mnie brzmiało jak imię amerykańskie, wymawiane w nieco egzotyczny sposób.

Ułynęło kilka chwil, zanim zorientowałam się, że Mudi zniknął.

Ogarnęła mnie fala mieszanych uczuć! Najwyraźniej Mudi nie potrafił głośno wyrazić swojego rozczarowania. „Dlaczego to jest dziewczynka” - takie zapewne pytanie zadawał sobie w cichości ducha. Jego muzułmańska, męska godność została głęboko zraniona faktem, iż jego pierworodnym dzieckiem była dziewczynka, porzucił więc nas obie tej nocy, choć właśnie teraz powinien być razem z nami. Nie takiego zachowania spodziewałam się po mężczyźnie.

Noc upłynęła mi na niespokojnym śnie, przerywanym to zachwytem nie do opisanego z powodu tego nowego życia przy mojej piersi, to znów napadami zniechęcenia z powodu dziecinnego zachowania się Mudiego. Zastanawiałam się, czy jest to tylko przemijający atak złego humoru, czy też porzucił nas na dobre. Chwilami czułam taką złość, że naprawdę było mi to obojętne.

Zadzwonił wczesnym rankiem, bez słowa usprawiedliwienia wczorajszej nieobecności, nie wspominając jednak o zawiedzionych nadziejach. Wyjaśnił, że noc spędził w meczecie, w którym braliśmy ślub, modląc się do Allaha.

Gdy nieco później przyjechał do szpitala, uśmiechał się radośnie wymachując plikiem kartek pokrytych różowymi perskimi literami. Były to podarunki mężczyzn z meczetu.

- Co tam jest napisane? - spytałam.

183

- Mahtab - odparł rozpromieniony.

- Mahtab? A co to znaczy?

- Promień księżyca - odparł. Wyjaśnił mi, że zatelefonował do swojej rodziny w Iranie, a oni zaproponowali kilka imion dla dziecka. I Powiedział, że wybrał imię Mahtab, ponieważ poprzedniej nocy była pełnia.

Upierałam się przy Mariam, ponieważ to imię brzmiało bardziej pol amerykańsku, a dziecko jest i będzie Amerykanką. Byłam jednak osłabiona i nieco zagubiona w tym chaosie uczuć i emocji, a poza tym to Mudi wypełnił akt urodzenia, pisząc w nim Mahtab Mariami Mahmudi. Tylko dziwiłam się w duchu, jak to się stało, że do tego 1 stopnia podporządkowałam się woli męża.

Mahtab miała dwa miesiące, ubrana w różowości wybrane z mnóstwa strojów, jakimi szafował bez umiaru człowiek, który uznał, że jest zachwycająca i szybko zapomniał o swoim początkowym rozczarowaniu, stając się najdumniejszym z ojców. Niemowlę zadowolone spoczywało w moich objęciach, patrząc mi w oczy. Jej własne zmieniły kolor z błękitnego na ciemnobrązowy. Baczenie przyglądały się ożywieniu wokół nas, bo w domu gościła ponad setka muzułmańskich studentów, świętujących Eid-e-Qorban - święto ofiarowania. Był 14 listopada 1979 roku.

Mudi, którego aktywność w Towarzystwie Islamskim Południowego Teksasu stale rosła, był jednym z inicjatorów obchodów święta, odbywających się w miejscowym parku. Szybko wróciłam do dawnej kondycji, a jako że uroczystość miała towarzyski, nie polityczny charakter, cieszyło mnie uczestnictwo w przygotowywaniu obchodów. Pomagałam w gotowaniu ogromnych ilości ryżu. Wraz z innymi żonami - były wśród nich Iranki, Egipcjanki, Saudyjki i Amerykanki - przygotowywałam pachnące sosy do choesz. Kroiliśmy w plasterki J ogórki, pomidory i cebulę, skrapiając to sokiem z cytryny. W ogromnych koszach

układałyśmy świeże, soczyste owoce wszelkiego rodzaju. Przyrządzałyśmy baklawę.

Ale to mężczyźni byli najważniejszymi aktorami tej uroczystości. I Święto upamiętnia dzień, kiedy Bóg polecił Abrahamowi złożyć ofiarę z syna Izaaka, lecz w ostatniej chwili oszczędził chłopca, zsyłając baranka ofiarnego. Kilku mężczyzn, obróconych twarzą w kierunku I Mekki, poderżnęło żywym owcom gardła, śpiewając przy tym modlitwy I ofiarne. Potem zawlekli martwe już zwierzęta do roznów, tam piekło się I święteczne mięso.

Uroczystość związana była z islamem w ogóle, a nie tylko z obrzędami przyjętymi w Iranie; tak więc polityką zajmowały się tego dnia tylko nieliczne grupy Irańczyków, którzy entuzjastycznie wypowiadali I

\\*«s^V

w Telie

Ten sprawa. pół świ wyrażać do pr/c' łatwa

Lecz ścieżkę To nie małżonki, pobity | się,

ewentuai" Niekt Pewnego na ulicy. was -was' domu i C/y I

184

się na temat udanych prób ajatollaha Chomejniego skupienia władzy w swym ręku.

Trzymałam się z dala od tych dyskusji, przebywałam za to w towarzystwie znajomych pań, stanowiących Organizację Narodów Zjednoczonych w miniaturze. Większości podobały się egzotyczne akcenty wschodniej kultury, ale wszystkie zadowolone były, że mieszkają w Ameryce.

Wkrótce po tej uroczystości Mudi, Mahtab i ja udaliśmy się do Dallas na konferencję osteopatów, chłopcy natomiast zostali w domu. Po drodze zatrzymaliśmy się w Austin, by odwiedzić kilku ze stale rosnącego stada krewniaków Mudiego, którzy także porzucili ojczyznę i osiedli w Ameryce. Mudi nazywał ich siostrzeńcami, oni zaś mówili do niego daidzan. Zjedliśmy z nimi kolację tego wieczoru i zamierzaliśmy zaprosić ich na śniadanie następnego ranka w naszym hotelu.

Zmęczeni trudnym dniem, rano zaspaliśmy. Śpiesząc się z poranną toaletą, nie pomyśleliśmy o włączeniu telewizora. Gdy dotarliśmy do hallu hotelowego, jeden z „siostrzeńców” - młodzieniec imieniem Dżamal - czekał już na nas niecierpliwie. Podniecony podbiegł do nas, mówiąc:

- Daidżan, czy słyszałeś wiadomości? Zajęto ambasadę amerykańską w Teheranie - zaśmiał się.

Teraz dopiero Mudi przekonał się, że polityka to diabelnie poważna sprawa. Z początku, korzystając z wygodnego faktu, iż znajdował się pół świata drogi od Iranu, czuł się wystarczająco bezpieczny, by głośno wyrażać swoje poparcie dla rewolucji i dla dążeń ajatollaha Chomejniego do przekształcenia Iranu w islamską republikę. Walka na słowa była łatwa na odległość.

Lecz teraz, gdy studenci Uniwersytetu Teherańskiego weszli na ścieżkę wojenną z USA, Mudi stanął wobec rzeczywistego zagrożenia. To nie były czasy dobre dla Irańczyka w Ameryce - ani dla jego małżonki. Pewien irański student z Teksasńskiego Uniwersytetu został pobity przez dwu niezidentyfikowanych napastników, zaś Mudi obawiał się, że ten sam los może spotkać także jego. Obawiał się również ewentualnego aresztowania lub deportacji.

Niektórzy ludzie w szpitalu zaczęli nazywać go „doktor Chomejni”. Pewnego razu oświadczył mi, że jakiś samochód usiłował przejechać go na ulicy. Otrzymaliśmy kilka telefonów z pogrózkami. „Dopadniemy was - głos w słuchawce mówił z południowym akcentem - zabijemy was”. Nie na żarty przerażony, Mudi wynajął prywatną ochronę do domu i dla nas - gdy wychodziliśmy na miasto.

Czy ten obłąd nigdy się nie skończy? - zastanawiałam się. - Dlaczego

185

mężczyźni muszą wplątywać mnie w te swoje idiotyczne gry wojenne. Dlaczego nie zostawią mnie wreszcie w spokoju, pozwolą być żoną i matką?

Mudi stwierdził, że nie zdoła wykręcić się z międzynarodowego konfliktu. Po prostu nie mógł pozostać obojętny. Jego irańscy przyjaciele chcieli go wciągnąć do aktywnej roboty, w przygotowywanie demonstracji, a z naszego domu uczynili coś w rodzaju bazy operacyjnej. Natomiast nasi amerykańscy znajomi,

sąsiedzi, a także koledzy lekarze w szpitalu żądali od Mudiego deklaracji lojalności wobec kraju, który umożliwił mu wygodne życie.

Wahał się z początku. Prywatnie ekscytował się przerażającym rozwojem wypadków związanych z dramatem amerykańskich zakładników, był wyraźnie ucieszony, że Ameryka ukazała całemu światu swoje słabe strony.

Nienawidziłam go za to i często ostro sprzeczałyśmy się. Wygłaszał także nie kończące się tyrady na temat amerykańskiego embarga na dostawy broni do Iranu. Stale powtarzał, że to tylko mydlenie oczu, że Ameryka po prostu wysyła broń do Iranu za pośrednictwem kraju trzeciego, biorąc wyższe ceny.

Stało się coś dziwnego. Mudi nawiązał był swego czasu bliskie kontakty z doktorem Modżallali, irańskim neurochirurgiem. Ponieważ ów kształcił się w Iranie, nie miał pozwolenia na praktykę w Stanach. Pracował zatem jako laborant. Mudi jednak traktował go z pełnym szacunkiem jako kolegę po fachu, obaj zaś chętnie pomagali irańskim studentom. Z dnia na dzień ta przyjaźń ochłodła. Ni z tego, ni z owego Mudi przestał się odzywać do doktora Modżallali, ale nie chciał mi wyjawiać przyczyny.

W szpitalu Mudi przyjął strategię unikania konfrontacji. Aczkolwiek nadal pozwalał irańskim studentom zbierać się w naszym domu, to I jednak teraz już starał się te zebrania trzymać w tajemnicy i unikać rozmów na tematy polityczne, twierdząc, iż zerwał związki z Grupą Zaangażowanych Muzułmanów. W szpitalu koncentrował się wyłącznie I na pracy.

Ale szkód nie dało się naprawić. Zbyt głośno mówił swego czasu o swoich sympatiach i to uczyniło zeń łatwy cel dla każdego, kto miał powody mu dokuczyć.

Sytuacja stała się krańcowo napięta, gdy ów drugi anestezjolog w szpitalu oskarżył Mudiego o to, że słuchał swojego radia na słuchawki podczas wykonywania obowiązków, w trakcie operacji. Mogłam łatwo i uwierzyć w to oskarżenie. Jednak z drugiej strony znałam sytuację zawodową Mudiego. Oboje mogliśmy liczyć na łatwe zarobki Mudiego ! jako anestezjologa, ale tylko pod takim warunkiem, że będzie miał I coraz liczniejszą klientelę. Niezbyt zapracowany i dość drogi „kolega" I Mudiego mógł dojrzeć teraz szansę zdobycia szerszego grona pacjentów i uzyskania większych profitów.

Spór podzielił szpitalny personel na dwa obozy. Zanosiło się na jeszcze większe zamieszanie, zwłaszcza odkąd sprawa zakładników przerodziła się w długotrwałą, chroniczną kryzys.

Burzliwy rok dobiegał końca, a Mudi tkwił pomiędzy dwiema międzynarodowymi orientacjami, wystawiony na ataki z obu stron.

Na Boże Narodzenie wybraliśmy się w odwiedziny do moich rodziców w Michigan. Była to błogosławiona ulga po niemożliwym do wytrzymania napięciu w Corpus Christi. Wszyscy spędziliśmy radosne święta z moimi rodzicami, którzy obsypali prezentami Joego, Johna i malutką Mahtab. Podczas leniwie i przyjemnie płynących dni zastanawiałam się, w jaki sposób uniknąć tego całego zamętu w naszym życiu w Corpus Christi. Mudiemu podobało się w Michigan. Czy brał poważnie pod uwagę możliwość ponownego podjęcia tu pracy, gdyby nadarzyła się taka okazja? Czy otwarto tu nowe kliniki? Wiedziałam, że jeśli spotka kilku dawnych kolegów, to może dojść do rozmowy na ten temat, tak więc pewnego dnia zaproponowałam:

- Może wybrałbyś się do starych kumpli w Carson City?

Twarz mu się rozjaśniła na tę myśl. Mógł sobie porozmawiać o sprawach zawodowych w bezpiecznej atmosferze, w środowisku, w którym nie był znany jako sympatyk rewolucji irańskiej. Spotkanie przywróciło mu zapał do pracy i uświadomiło, że są jeszcze miejsca, w których jego przekonania nie były sprawą pierwszoplanową. Promieniał opowiadając mi, że jeden z lekarzy zagadnął go w pewnym momencie: „Słuchaj, znam kogoś, kto potrzebuje anestezjologa”.

Mudi skontaktował się z lekarzem, także anestezjologiem w Alpenie, i uzyskał zaproszenie na wstępną rozmowę. Następnie wypadki potoczyły się błyskawicznie. Zostawiliśmy dzieci pod opieką rodziców, wskoczyliśmy do samochodu i ruszyliśmy w trzygodzinną podróż.

Prószył drobny śnieżek, po drodze mijaliśmy posągowe sylwetki ciemnozielonych sosen na białym tle. Ten pocztówkowy zimowy widok zapierał swą urodą dech w piersiach - po trzech latach spędzonych w gorącym, jałowym Teksasie.

- Jak mogliśmy stąd odejść? - zastanawiał się głośno.

Szpital w Alpenie położony był w swojej własnej „krajnie czarów”. Od frontu znajdował się zespół nowoczesnych budynków, pięknie wkomponowanych w pokryty śniegiem park. Dzikie gęsi kanadyjskie przechadzały się pośród sosen, nie płoszone. W oddali faliste wzgórza tworzyły kojące tło.

Rozmowa przebiegała gładko. W Alpenie był potrzebny jeszcze jeden anestezjolog. Pod koniec doktor uśmiechnął się, wyciągnął dłoń i spytał: Kiedy może pan zacząć?

Upłynęło jeszcze kilka miesięcy, zanim udało się nam załatwić wszystkie sprawy w Corpus Christi. Mudi tak bardzo pragnął się

187

przenieść, że parokrotnie w samym środku łagodnej teksańskiej zimy włączał klimatyzację, by móc napalić w kominku. Przypominało mu to Michigan. Z lekkim sercem załatwiliśmy sprawy związane z przeprowadzką. Znowu stanowiliśmy zgodną drużynę, wspólnie dążącą do jednego celu. Mudi dokonał wyboru: będzie żył i pracował w Ameryce. Będzie - w istocie był - Amerykaninem.

Sprzedaliśmy nasz dom w Corpus Christi, zachowaliśmy natomiast inną nieruchomość, w którą zainwestowaliśmy kiedyś, aby uniknąć podatków. A wiosną byliśmy już w Alpenie - tylko trzy godziny jazdy samochodem od domu rodziców - i miliony kilometrów od Iranu.



Jal ten dali

że Czj

mi'

o l

we

poi

będ

Bo;

pro

igno

gd\

miał

/ M /nin oil/\ czul kocham.F

aktó wioń ponn

188

Jakże odległa była Alpena od tego pośępnego mieszkania, gdzie mnie teraz uwięziono. Mama i tata byli tak daleko. Joe i John byli tak daleko. Mahtab była tak daleko!

Czy znajdowała się teraz u Mammala i Nasserin? Miałam nadzieję, że nie. Pocieszałam się, że jest u kogoś, kogo zna i lubi, kto ją kocha. Czy była u Amme Bozorg? Wzdrygnęłam się na samą myśl o takiej możliwości. Och, jak bardzo żał mi było mojego dziecka!

Sama w mieszkaniu, zamknięta jak w więzieniu, oszalała na myśl o losie Mahtab, poważnie obawiałam się o stan mego umysłu. Tonąc we łzach zawodu i bólu uczyniłam to, co niegdyś radziłam Mahtab: gdy poczujesz się samotna, zawsze możesz się modlić. I już nigdy nie będziesz sama. Zamknęłam oczy i spróbowałam się modlić. Dobry Boże, pomóż mi! - zaczęłam... ale mój zmęczony umysł nie chciał iść prostą drogą, zamiast ulgi pojawiło się poczucie winy. Przez lata ignorowałam religię, zwróciłam się do Boga o pomoc dopiero wówczas, gdy stałam się zakładnikiem w tym niepojętym kraju. Dlaczego On miałby mnie teraz wysłuchać?

Spróbowałam jeszcze raz. Nie modliłam się już o to, żebyśmy obie z Mahtab znalazły się znów w Ameryce. Modliłam się jedynie o to, by znów była ze mną moja córeczka. Dobry Boże - mówiłam - pomóż mi odzyskać Mahtab. Opiekuj się nią i spraw, by nie cierpiała. Spraw, by czuła Twą miłość, by wiedziała, że jesteś obok niej i że ja bardzo ją kocham. Pomóż mi znaleźć sposób na jej odzyskanie.

Coś - ktoś? - powiedział mi, bym otworzyła oczy. Czy naprawdę słyszałam jakiś głos? Zaskoczona, rozejrzałam się dokoła i spostrzegłam aktówkę Mudiego leżącą na podłodze w kącie pokoju. Zwykle brał ją z sobą, lecz dziś zapomniał lub po prostu zostawił w domu. Zainteresowana podeszłam i zaczęłam oglądać uważnie aktówkę. Nie miałam pojęcia, jaka jest jej zawartość, ale może znajdę w niej coś, co mi pomoże. Może jakiś klucz?

Zamknięta była na szyfrowy zamek. Mudi sam ułożył kombinację cyfr, a ja nie miałam najmniejszego pojęcia, jak go otworzyć. Zaczęłam od zero, zero, zero - mruknęłam do siebie. Ostatecznie cóż innego miałam do roboty!

Zaniósłam aktówkę do sypialni Mammala i Nasserin, bo tam mogłam przez frontowe okno usłyszeć, czy ktoś nie wchodzi do domu. Usiadłam na podłodze i przesunęłam ząbki zamka na 0-0-0. Nacisnęłam guzik. Nic się nie stało. Przesunęłam numerki na 0-0-1 i ponownie spróbowałam otworzyć zamek. Wciąż nic. Pilnie nasłuchując odgłosów z ulicy, by w porę zauważyć powrót Mudiego, pracowałam systematycznie z zamkiem: 0-0-3, 0-0-4, 0-0-5. Próbowałam stale od nowa, a monotonna praca pomagała mi zabić co prawda czas, lecz jednocześnie napawała mnie pesymizmem.

Doszłam do 1-0-0, ale bez skutku. Próbowałam dalej. Cała ta zabawa wydawała mi się bez sensu; w aktówce nie było prawdopodobnie nic użytecznego. Lecz miałam jeszcze 900 cyfr i nic innego do roboty.

Ustawiłam 1-1-4. Nic.

1-1-5. Nic. Po co to wszystko?

1-1-6. Nic. A co, jeśli Mudi wrócił po cichutku, węszy teraz w mieszkaniu i za chwilę nakryje mnie na włamywaniu się do jego prywatnej własności?

Ustawiłam cyfry na 1-1-7 i, zniechęcona, nacisnęłam zamek. Klamerki odskoczyły!

Otwierając wieko aktówki nie mogłam złapać tchu z radości. W środku był telefon. Klawiszowy, słuchawkowy telefon z całym oprzyrządowaniem. Mammal kupił go podczas pobytu w Niemczech. Kabel zakończony był wtyczką wyglądającą jak zwykła wtyczka do sieci elektrycznej - z dwoma bolcami. Pasowała do gniazdka I telefonicznego.

Ruszyłam w kierunku gniazdka, ale wnet zatrzymałam się. Prze-! cięż Eszej była w domu, piętro niżej. Słyszałam, jak krząta się po j mieszkaniu, słyszałam hałasujące dziecko. Poza tym wiedziałam, że instalacja telefoniczna była tandetna. Za każdym razem, gdy ktoś j wykręca numer na górze, telefon na dole pobrzękuje. Eszej domyśli się natychmiast. Czy mogę ryzykować? Nie! Dawła już dowody swej lojalności wobec Mudiego. Nie akceptuje tego, co Mudi zrobił,

ale będzie posłuszna. Jeśli daidian życzyłby sobie tego, na pewno będzie! mnie szpiegować.

Czas mijał - dwadzieścia minut, może pół godziny. Stałam w kory-1 tarzu z telefonem w ręku gotowa podłączyć go, ważąc w duchu stopień ryzyka. Wtem usłyszałam, że wewnętrzne drzwi mieszkania Essej najpierw otwierają się, a potem zamykają. Wkrótce i drzwi na ulicę otworzyły się i zamknęły. Podbiegłam do okna i przysunęłam twarz do

190

okiennicy w samą porę, by dostrzec Essej, idącą z dziećmi ulicą. To była odpowiedź na moje modlitwy.

Natychmiast włączyłam telefon, zadzwoniłam do Helen w ambasadzie i z płaczem opisałam jej szczegółowo moją rozpaczliwą sytuację.

- Sądziłam, że jest pani w domu Ellen i że zaczęłyście działać
- powiedziała.
- Nic z tego. On zamknął mnie tutaj. Zabrał Mahtab. Nie mam pojęcia, gdzie ona teraz jest i czy nic jej się nie stało.
- W jaki sposób mogę pani pomóc? - spytała.
- Proszę, żeby pani nic nie robiła, póki nie odzyskam Mahtab
- powiedziałam pośpiesznie. - Nie chcę ryzykować, że już jej nie zobaczę.
- Może porozmawiałaby pani z panem Vincopem - zaproponowała. Przełączyła telefon. Ponownie wyjaśniłam, że wolę, by ambasada nie podejmowała aktywnej pomocy, aż do chwili gdy znów będę miała Mahtab pod opieką.
- To nie jest rozsądne - powiedział - musimy tam przyjść i spróbować panią wydostać. Trzeba zawiadomić policję, że została pani uwięziona.
- Nie! - krzyknęłam do słuchawki. - Taka jest moja wola. Żądam, żebyście niczego nie robili w tej sprawie. Nie kontaktujcie się ze mną. Nie starajcie się mi pomóc. Gdy tylko będę mogła, sama się z wami skontaktuję; nie wiem, kiedy to nastąpi - może jutro, a może za pół roku, nie wiadomo. Ale sami nie kontaktujcie się ze mną.

Odłożyłam słuchawkę zastanawiając się, czy mogę zaryzykować telefon do Ellen w pracy, ale w tym momencie usłyszałam dźwięk przekręcanego klucza w zewnętrznych drzwiach. Wracła Eszej z dziećmi. Szybko rozłączyłam telefon i wepchnęłam go na powrót do aktówki, stawiając ją na poprzednim miejscu.

Niepokoili mnie zdjęcia, jakie zrobiłam Mudiemu, gdy zabierał mi Mahtab. Na rolce były też inne. Gdyby je wywołał, wyszłoby na jaw, co zrobiłam - a on - byłam tego pewna - wpadłby we wściekłość. Szukałam w torbie z aparatem innego filmu, żeby włożyć go tam zamiast poprzedniego, ale nic nie znalazłam.

Samo zdjęcie było w gruncie rzeczy mało przydatne, bo ukazywało jedynie plecy Mahtab, w momencie gdy Mudi pchał wózek. Z pewnością nie warto dla tych zdjęć narażać się na furię Mudięgo. Otworzyłam kasetę, prześwietliłam film i włożyłam go na powrót, w nadziei że zniszczyłam zdjęcia, na których Mudiemu zależało.

Dwa dni potem, bez żadnego powodu, Eszej wyszła z domu, zabierając Mariam i Mehdiego. Podglądając przez okno ujrzałam, że wsiada do radiotaxi, szamocząc się z walizą, z nieposłusznymi dziećmiakami i swoim czadorem. Wyglądało na to, że wybiera się z wizytą do krewnych. Reza

191

nadal był poza domem w interesach. Teraz zostałam już całkowicie odizolowana.

Czasami Mudi wracał wieczorem do domu; czasami - nie. Doprawdy - nie umiałam powiedzieć, co lepsze. Nienawidziłam tego człowieka i bałam się go, ale był on jedynym ogniwem łączącym mnie z Mahtab. W te wieczory, gdy przychodził - obładowany zakupami - był szorstki i mrukliwy, a moje pytania o Mahtab zbywał krótko:

- Czuje się dobrze.
- Czy daje sobie radę w szkole?
- Nie chodzi do szkoły - odparł ostro. - Nie pozwalają jej chodzić do szkoły po tym, co zrobiłaś. To twoja wina. Wszystko popsułaś, więc nie chcą jej tam. Za dużo z tobą kłopotów.

Potem podjął następny wątek:

- Jesteś złą żoną. Nie urodziłaś mi więcej dzieci. Zamierzam pojąć drugą żonę, żeby wreszcie mieć syna.

Momentalnie pomyślałam o antykoncepcyjnej spirali. Co będzie, jeśli Mudi dowie się o niej? Co będzie, jeśli Mudi zbije mnie tak, że będę potrzebowała pomocy, a jakiś irański lekarz odkryje spiralę? Jeżeli nie zabije mnie Mudi, zrobią to zapewne irańskie władze.

- Zaprowadzę cię do Chomejniego i powiem, że go nie lubisz

- wrzeszczał. - Zaprowadzę cię do władz i powiem, że jesteś agentem CIA.

Racjonalnie rzecz biorąc, można było wątpić w realność tych pogroźek. Ale słyszałam już takie historie o ludziach, oskarżonych z błahych powodów lub nawet bez powodu, więzionych i straconych bez sądu. Byłam całkowicie zdana na łaskę zarówno tego obłąkanego człowieka, jak i jego równie obłąkanego rządu. Wiedziałam, że mój los zależy wyłącznie od kaprysu Mudiego i jego ajatollaha.

Zamknięta w mieszkaniu sam na sam z moim dręczycielem, nie śmiałam spierać się z nim. Ilekroć dostrzegałam błyski szaleństwa w jego oczach, zmuszałam się do trzymania języka za zębami i miałam nadzieję, że nie usłyszy łomotu mego serca.

Całą wściekłość skupił na fakcie, że nie jestem muzułmanką:

- Będziesz płonąć w ogniu piekielnym - krzychał. - A ja pójdę do nieba. Dlaczego wreszcie nie otworzysz oczu?

- Nie wiem, co będzie - odparłam miękko, pragnąc go udobruchać.

- Nie jestem sędzią. Tylko Bóg może mnie sądzić.

W owe noce, kiedy Mudi zostawał w domu, spaliśmy w tym samym łóżku, ale on kładł się z dala ode mnie. Walcząc desperacko o wolność, parokrotnie przysuwałam się do niego i kładłam głowę na jego ramieniu, choć aż mnie mdliło z odrazy. Lecz na Mudim nie czyniło to żadnego wrażenia. Stękając odwracał się na drugi bok, plecami do mnie.

Rano zostawiał mnie samą, zabierając teczkę, a wraz z nią - telefon.

Szalałam ze strachu i nudy. Wciąż obolała i rozbita po tej strasznej walce z Mudim, ogarnięta depresją i rozpaczą, leżałam godzinami w łóżku, nie mogąc zasnąć ani wstać. Innym znów razem przemierzałam mieszkanie, jakbym czegoś szukała. Niektóre dni upływały mi w kompletnym otumanieniu. Długo nie wiedziałam ani troszczyłam się o to, jaki jest dzień tygodnia, jaki miesiąc, czy jutro wszędzie słońce. Pragnęłam tylko jednego: zobaczyć moją córeczkę.

Podczas jednego z takich pełnych męczarni dni, cały mój lęk skoncentrował się na jednej drobnej rzeczy. Wepchnąwszy palec do wnętrza ciała, zaczęłam szukać końca miedzianego drucika, wtopionego w spiralę antykoncepcyjną. Znalazłam i przez chwilę wahałam się. Co będzie, jeśli dostanę krwotoku? Byłam przecież uwięziona w domu bez telefonu. A jeśli wykrwawię się na śmierć?

W tej chwili było mi obojętne, czy przeżyję, czy umrę. Szarpnęłam drucik i aż zawyłam z bólu, lecz spirala pozostała na swoim miejscu. Próbowałam jeszcze parokrotnie, ciągnąc mocniej i skręcając się z bólu. Nic to nie dało. Sięgnęłam wreszcie po pęsetkę w zestawie do manicure i chwyciłam za drucik. Ciągnąc powoli ale uparcie, krzycząc z nieopisanego bólu, zdołałam ostatecznie doprowadzić rzecz do końca. Nagle w moim ręku znalazł się kawałek plastiku z miedzianym drucikiem, który mógł wydać na mnie wyrok śmierci. W środku czułam ból. Odczekałam chwilę, by upewnić się, że nie krwawię.

Przyglądałam się spirali - wąskiemu paskowi z matowobiałego plastiku o długości trochę ponad dwu centymetrów z wtopionym miedzianym włókienkiem. Co z tym zrobić? Nie mogłam jej po prostu wyrzucić do kosza na śmieci, bo Mudi mógłby ją tam znaleźć. Jako lekarz, od razu zorientowałby się, co to takiego.

Może utopić? Miałam wątpliwości, czy spłynie wraz z wodą w toalecie. Jeżeli zatka rurę, trzeba będzie wezwać hydraulika, ten zaś pokaże Mudiemu jakiś dziwny przedmiot, który spowodował zator w odpływie.

Metal był miękki. Może uda mi się ją pociąć. Z pudełka z przyrządami do szycia, należącego do Nasserin, wygrzebałam nożyczki i zabrałam się do roboty, tnąc wszystko na maleńkie kawałki.

Poszłam po nóż kuchenny i najszybciej, jak umiałam, odkręciłam okiennicę. Wychyliwszy się, najpierw obserwowałam chodnik sprawdzając, czy nikt mnie nie widzi. Następnie wyrzuciłam kawałki spirali na ulicę Teheranu.

5 kwietnia były urodziny taty. Miał sześćdziesiąt pięć lat, jeśli jeszcze żył. Urodziny Johna przypadały 7 kwietnia. Kończył piętnaście lat. Czy wiedział, że jeszcze żyję?

13 — Tylko razem z córką

193

Nie byłam w stanie dać im prezentów. Nie mogłam upiec dla nich tortu. Nie mogłam zadzwonić, by złożyć im życzenia. Nie mogłam im wysłać kartek.

Nie wiedziałam nawet, na jaki dzień przypadają te urodziny, bo straciłam rachubę czasu.

Czasem stałam nocą na balkonie, patrzyłam na księżyc i myślałam sobie, że chociaż ten świat jest tak ogromny, to jest tylko jeden księżyc

- ten sam, który świeci dla Joego, Johna, dla mamy i taty, i dla mnie. I ten sam księżyc widziała także Mahtab.

Ta świadomość przywróciła mi w jakimś sensie poczucie jedności z nimi.

Pewnego dnia, gdy wyglądałam przez frontowe okno, nagle wstrzymałam oddech. Była tam panna Alavi, stała na chodniku po drugiej stronie ulicy i patrzyła na mnie. Przez chwilę sądziłam, że ta postać jest tylko z/uczeniem, wytworem mojego otępiatego umysłu.

- Co pani tu robi? - spytałam zaskoczona.

- Od dawna obserwuję ten dom, czekając godzinami - odparła.1

- Wiem, co panią spotkało.



W jaki sposób dowiedziała się, gdzie mieszkam? W ambasadzie?! W szkole? Nieważne: byłam podekscytowana widokiem tej kobiety, i gotowej ryzykować życie, by Mahtab i mnie wydostać z tego kraju. I Lecz w tym momencie jęknęłam, bo uświadomiłam sobie, że Mahtab i nie ma przy mnie.

- Co mam robić? - spytała.

- Nic - odpowiedziałam ogarnięta rozpaczą.

- Muszę z panią porozmawiać - powiedziała, ścisząc głos, bo zdała sobie sprawę, że ta rozmowa po angielsku przez ulicę z kobietą w oknie może wydać się podejrzana.

- Proszę poczekać - powiedziałam.

W mig usunęłam okiennicę, potem wsunęłam głowę między pręty i w ten sposób kontynuowałyśmy naszą niezwykłą konwersację ściszo-1 nymi głosami.

- Obserwowałam dom przez wiele dni - powiedziała panna Alavi. Wyjaśniła, że przez jakiś czas towarzyszył jej brat siedzący w samo-1 chodzie. Wzbudziło to jednak w kimś podejrzenia, spytano go, co tu i robią. Brat panny Alavi odparł, że obserwuje dziewczynę mieszkającą w jednym z okolicznych domów, ponieważ zamierza ją poślubić. ??? wyjaśnienie okazało się wystarczające, ale sam incydent zaniepokoił j

- zdaje się - brata. Tak czy owak - była teraz sama.

- Wszystko już przygotowane do podróży do Zahidan - powiedziała.

- Nie mogę jechać. Nie mam Mahtab.

- Znajdę ją.

194

Czy to możliwe?!!

- Proszę nie robić nic, co wzbudziłoby podejrzenia.

Skinęła twierdząco. A potem zniknęła równie tajemniczo, jak się pojawiła. Na powrót ustawiłam okiennicę, ukryłam nóż i znów popadłam w letarg, zastanawiając się, czy aby to wszystko nie było tylko snem.

Pewnie Bóg sprawił, że świat obracał się wolniej. Zdawało mi się, że każda doba miała czterdzieści osiem, a może nawet siedemdziesiąt dwie godziny. To były najdłuższe dni w moim życiu. Wynajdywanie sposobów na zabicie czasu stało się niezmiernie wyczerpującym zajęciem.

Wymyśliłam bardzo chytrą strategię porozumiewania się z Mahtab. Z tego, co znalazłam w domu bądź z produktów przynoszonych przez Mudiego, starałam się przyrządzić ulubione potrawy Mahtab, aby potem - przez jej ojca - przesłać to córeczce. Najbardziej smakował jej bułgarski pilaw.

Z kilku kawałków białej włóczki udało mi się zrobić szydełkiem maleńkie buciki dla lalki Mahtab. Potem przypomniało mi się, że jest kilka bluzek z golfami, które nosiła narzekając, że są zbyt ciasne przy szyi. Obcięłam ściągacze wokół kołnierza, żeby były wygodniejsze, a z pasków materiału uszyłam ubranka dla lalki. Znalazłam też białe bluzki z długimi rękawami, z których Mahtab wyrosła. Obciąwszy rękawy i doszywszy uzyskany w ten sposób materiał do bluzek sprawiłam, że teraz były o wiele dłuższe i moja córka mogła je nosić.

Mudi wziął te prezenty ze sobą, ale nie chciał udzielić mi żadnych informacji o dziecku. Raz tylko, gdy przyniósł z powrotem lalczyste buciki, przekazał mi słowa Mahtab:

- Ona mówi, że nie chce tych bucików, bo inne dzieci je pobrudzą. Starałam się nie okazać Mudiemu, jaką radość sprawiły mi te słowa.

Dzielna mała Mahtab rozumiała mój plan. W ten sposób przekazywała mi: Mamusiu, ja żyję. I była z innymi dziećmi. To wykluczało dom Amme Bozorg, chwała Bogu.

Gdzie mogła jednak przebywać?

Z nudy i frustracji zaczęłam teraz przeglądać pisane po angielsku książki Mudiego. Większość traktowała o islamie, ale to mi nie przeszkadzało. Przeczytałam je od deski do deski. Był także słownik Webstera - także go przeczytałam. Żałowałam, że nie ma Biblii.

Bóg był moim jedynym towarzyszem podczas tych pełnych nudy dni i nocy. Nieustannie z Nim obcowałam. Stopniowo - choć nie miałam świadomości, jak długo to trwało - w moim udręczonym umyśle zaczął się kształtować pewien

plan. Bezradna w tej pułapce, niezdolna do jakiegokolwiek obrony, chwyciłam się wszelkich sposobów, jakie mogły mnie zbliżyć do Mahtab. Dlatego zwróciłam większą uwagę na religię, którą wyznawał Mudi.

195

Bardzo skrupulatnie przestudiowałam podręcznik opisujący obyczaje i rytuał modlitw muzułmańskich, potem zaczęłam je praktykować. Przed modłami myłam ręce, dłonie, twarz i stopy. Następnie wdziewałam biały modlitewny czador. Podczas modłów wierny klęcząc pochyla się w pokorze przed wolą Allaha, a wówczas głowa nie powinna dotykać niczego, co zostało wykonane ludzką ręką. Poza domem jest to proste. W pomieszczeniach mieszkalnych wierny musi posługiwać się kamieniem modlitewnym, znalazłam ich w domu kilka. Były to zwyczajne bryłki stwardniałej gliny o średnicy około trzech centymetrów. Mogłyby to być jakiegokolwiek kawałki ziemi, lecz te zostały ulepione z ziemi w Mekce.

Odziana w czador, pochyloną głową dotykając kamienia, położywszy przed sobą na podłodze otwarty podręcznik, regularnie odprawiałam modły.

Pewnego ranka, gdy Mudi wstał z łóżka, wprowadziłam go w zdumienie towarzysząc mu w rytualnych ablucjach. Patrzył na mnie zaskoczony, jak zakładałam czador i zajmuję właściwe dla mnie miejsce w hallu. Znałam nawet to swoje miejsce - nie obok niego, ale za nim. Razem zwróciliśmy się twarzą do Mekki, intonując uroczyste modły.

Pragnęłam osiągnąć dwa cele. Po pierwsze - zadowolić Mudiego, nawet gdyby dostrzegł, co się kryje za moją religijną gorliwością. Powinien domyślić się, że pragnę zasłużyć na jego przychylność dla odzyskania Mahtab, ale czy nie o to mu właśnie chodziło? Odebranie Mahtab to był ostateczny środek, mający zmusić mnie do uległości i pogodzenia się z jego koncepcją naszego przyszłego życia. Czyż nie był to dowód na to, że jego strategia przyniosła efekty?

Jednakże nawet to było dla mnie celem drugorzędym. W moich muzułmańskich modłach bardziej byłam szczerą, niż Mudi mógłby przypuszczać. W istocie desperacko szukałam pomocy u każdej instancji. Jeżeli Allah jest taką samą najwyższą istotą, jak i mój Bóg, będę spełniać jego

wymagania tak gorliwie, jak tylko potrafię. Chciałam zadowolić Allaha bardziej nawet niż Mudiego.

Po zakończeniu modłów, Mudi rzekł krótko:

- Nie powinnaś modlić się po angielsku.

Teraz miałam nowe zadanie. Przez cały dzień i kilka następnych dni I uczyłam się słów arabskich, starając się przy tym przekonać samą siebie, że tak naprawdę nie przemienię się w posłuszną irańską żonę.

Pewnego dnia wróciła Ellen, oznajmiając się dzwonkiem do drzwi. Rozmawiałyśmy przez okno.

- Wiem, że Mudi zabronił nam przychodzić, ale musiałam sprawdzić, czy jeszcze żyjesz - powiedziała. - Czy coś się zmieniło?

- Nic.

- Czy wiesz, gdzie jest Mahtab?

196

- Nie. A ty?

- Nie wiem - odparła. Potem zaproponowała:

- Może pomógłby Aga Hakim. Mudi go szanuje. Mogłabym pomówić z Agą Hakimem.

- Nie - odpowiedziałam pośpiesznie. - Jeśli Mudi dowie się, że rozmawiałam z kimkolwiek, to tylko pogorszy sprawę. Nie chcę, by sytuacja bardziej się skomplikowała. Pragnę tylko zobaczyć Mahtab.

Ellen zgodziła się ze mną, kiwnęła potakująco głową otuloną w czador, ale była zawiedziona.

- Możesz zrobić coś dla mnie - powiedziałam. - Przynieś mi Nowy Testament.

- Dobrze, ale w jaki sposób zdołam ci go dostarczyć?

- Spuszczę na sznurku koszyk, albo coś w tym rodzaju.

- W porządku.

Ellen odeszła, ale nie przyszła nigdy z Nowym Testamentem. Być może w poczuciu winy z powodu tej potajemnej wizyty opowiedziała o wszystkim Hormozowi.

Pewnego słonecznego dnia, stałam na balkonie od podwórza, zastanawiając się, czy już oszalałam, czy jeszcze nie. Jak długo to wszystko trwa? Próbowałam przypomnieć sobie ów dzień awantury z Mudim. To było miesiąc temu? A może dwa? Nie byłam w stanie obliczyć. Postanowiłam liczyć piątki, bo tylko te dni czymś się wyróżniały; w piątek muezzini częściej nawoływali do modłów. Wysiłając pamięć, przypominałam sobie tylko jeden piątek od czasu naszej bijatyki. Czyżby upłynął tylko jeden tydzień? Czyżby wciąż był kwiecień? Po przeciwnej stronie betonowego podwórza, na sąsiedniej ulicy, zauważyłam sąsiadkę, obserwującą mnie przez otwarte okno. Nigdy przedtem jej nie widziałam.

- Skąd jesteś? - spytała zniecierpliwiona kulawą angielszczyzną. Byłam zaskoczona i przestraszona. A także nieufna.

- Dlaczego pani pyta?

- Bo wiem, że jesteś cudzoziemką.

Rozpacz rozwiązała mi język, wybuchnęłam potokiem słów. Nie zastanawiałam się, czy ta kobieta jest przyjacielem czy wrogiem.

- Jestem uwięziona w tym domu - plotłam beładnie. - Zabrali moją córeczkę, a mnie zamknęli w tym domu. Potrzebuję pomocy. Proszę, niech mi pani pomoże.

- Współczuję ci - odparła. - Zrobię, co się da.

I cóż takiego ona może zrobić? Zamężna kobieta w Iranie w gruncie rzeczy była tylko trochę bardziej swobodna niż ja. Potem jednak zaświtała mi pewna myśl.

- Chciałabym wysłać list do rodziny - powiedziałam.

197

- Dobrze. Napisz list. Potem ja przejdę ulicą, a ty go zrzucisz. Naprędce nagryzmołam list, który z całą pewnością był bardzo nieskładny. Najszybciej, jak mogłam, opisałam przebieg wydarzeń i ostrzegałam mamę i ojca, by nie

naciskali na ambasadę lub Departament Stanu zbyt mocno, dopóki nie odzyskam Mahtab. Napisałam, że ich kocham. Łzy kapały na papier.

Odkręciłam okiennice frontowego okna i - z kopertą w ręku - czekałam na pojawienie się kobiety. Przechodniów było niewielu, nie wiedziałam jednak, czy uda mi się ją rozpoznać wśród innych zawoalowanych kobiet. Kilka niewiast przeszło, żadna jednak nie uczyniła porozumiewawczego gestu.

Nadchodziła jeszcze jedna. Odziana w czarne manto i rusari, szła pośpiesznie, jakby zaabsorbowana codziennymi sprawami. Ale gdy zbliżyła się do mojego punktu obserwacyjnego, spojrzała w górę i ledwo dostrzegalnie skinęła głową. List wysunął mi się z palców i spłynął na chodnik, jak opadający liść. Moja nowa sojuszniczka podniosła go szybko i wsunęła pod płaszcz, nie zmieniając nawet tempa marszu.

Nigdy już jej nie spotkałam. Choć spędzałam na balkonie sporo i czasu, w nadziei że znów ją ujrzę, to jednak ona uznała zapewne, iż ponowne nawiązanie kontaktu byłoby zbyt ryzykowne.

Jak się spodziewałam, moje uczestnictwo w modłach nieco zmiękło - I czytało Mudiego. W nagrodę przynosił mi wydawany po angielsku I dziennik „The Khayan”. Wszystkie relacje skażone były tam irańską propagandą, ale wreszcie mogłam czytać we własnym języku coś więcej i niż księgi religijne czy słownik. A poza tym znałam teraz datę. Trudno mi było uwierzyć, że przebywałam w tym odosobnieniu od zaledwie! półtora tygodnia. Może „The Khayan” podaje także nieprawdziwe j daty - myślałam - tak, jak wszystko inne?

Pojawienie się gazety zwiastowało nieoczekiwaną zmianę także j w mojej sytuacji, czy raczej w postawie Mudiego w stosunku do mnie. J Do domu przychodził teraz co wieczór, przynosząc mi „The Khayan”, 1 a czasami jakiś przysmak.

- Truskawki - oznajmił, wracając późnym popołudniem któregoś i dnia.
- Są drogie i trudno je zdobyć.

Jakże niezwykła i ewidentna propozycja zawarcia pokoju! Odmówił Mahtab kupienia truskawek tego wieczoru, kiedy wracaliśmy od Ellen i Hormoza - ostatniego, jaki Mahtab i ja spędziłyśmy razem.

Upłynął prawie rok od czasu, gdy po raz ostatni jadłam truskawki. I Te tutaj były drobne i mało soczyste, i zapewne w smaku też nie i najlepsze, ale w owej chwili wydawały mi się egzotycznymi wręcz owocami. Pożarłam trzy i nie bez wysiłku powstrzymałam się przed zjedzeniem następnych.

- Zanieś truskawki Mahtab - powiedziałam.

198

- Dobrze - odparł.

W niektóre wieczory Mudi był stosunkowo miły, chętny do pogawędki. Innym znów razem zachowywał się z dystansem i budził we mnie lęk. I choć nieustannie pytałam o Mahtab, nie chciał mi nic powiedzieć.

- Jak długo to będzie jeszcze trwało? - spytałam. Mruknął tylko coś w odpowiedzi.

Jeden za drugim upływały ponure dni.

Dzwonek u drzwi obudził nas w środku nocy. Zawsze czujny do obrony przed demonami, które go prześladowały, Mudi wyskoczył z łóżka i podbiegł do okna wychodzącego na ulicę. Przebudzona z ciężkiego snu, nasłuchiwałam z sypialni, gdzie doszedł mnie głos Mostafy, trzeciego syna Baba Hadździ i Amme Bozorg. Usłyszałam Mudiego mówiącego po persku, że zaraz zejdzie.

- Co się stało? - spytałam, gdy Mudi wrócił do sypialni, by wrzucić na siebie jakieś odzienie.

- Mahtab jest chora - odparł. - Muszę jechać. Serce mi załomotało.

- Pozwól mi jechać także! - łkałam.

- Nie, zostaniesz tutaj.

- Błagam!

- Nie!

- Proszę, przywieź ją do domu.

- Nie. Nigdy jej tu nie przywiozę.

Gdy szedł do drzwi, wyskoczyłam z łóżka i pobiegłam za nim, gotowa pędzić ulicami Teheranu w nocnej koszuli, by dotrzeć do mojej córeczki.

Mudi jednakże odepchnął mnie, zamknął drzwi na klucz, a mnie zostawił na pastwę panicznego lęku. Mahtab była chora! Chora tak bardzo, że trzeba było w środku nocy posłać Mostafę po Mudiego. Czy zawiezie ją do szpitala? Czyżby była aż tak chora? Co to za choroba? Moje dziecko! Moje dziecko! - łkałam.

Podczas tej nie mającej kresu nocy spędzonej we łzach i czarnej rozpacz, próbowałam poukładać w głowie nowe informacje o Mahtab. Dlaczego właśnie Mostafa?

Potem przypomniałam sobie, że przecież Mostafa i jego żona Maluk mieszkają tylko trzy domy dalej od nas. Mudiemu to miejsce musiało wydać się odpowiednie na ukrycie Mahtab. Moja córka znała ich i dość dobrze czuła się z ich dziećmi. Ostatecznie Maluk była trochę schludniejsza i sympatyczniejsza niż pozostali członkowie rodziny. Myśl, że Mahtab przebywa z Mostafa i Maluk, sprawiła mi nieco ulgi, lecz za mało, by ukoić moje zbolełe serce. Dziecko najbardziej potrzebuje matki, gdy jest chore. Czyniłam wysiłki, by za pośrednictwem myśli przekazać jej moją miłość i przynieść ulgę; miałam nadzieję, modliłam się, żeby mnie usłyszała, żeby czuła, jak bardzo martwię się o nią.

199

W ciągu minionych tygodni sądziłam, że moja udręka dosięgnęła już dna, teraz wszelako moja rozpacz dowodziła, że tamto nie było jeszcze najgorsze. Ciężkie, okropne godziny nocy wlokły się niemiłosiernie, wreszcie zaczęło świtać, a ja wciąż nie miałam żadnych wieści. Ranek włókł się jeszcze wolniej. Z każdym uderzeniem moje serce krzychało w rozpacz: Mahtab, Mahtab, Mahtab! Nie mogłam jeść, nie mogłam spać.

Nic nie mogłam robić.

Byłam jedynie w stanie wyobrażać ją sobie w szpitalnym łóżku

- osamotnioną.

Długie, bolesne i dręczące popołudnie ciągnęło się w nieskończoność. Był to chyba najdłuższy dzień mojej żalostnej egzystencji.



Nagle ogarnęło mnie szaleństwo, poderwałam się na równe nogi. Wyrzałam przez okno sypialni, wychodzące na tyły domu, i na sąsiednim podwórzu zobaczyłam kobietę. Była to służąca, stara kobieta okryta czadorem. Pochylała się nad zbiornikiem ozdobnej fontanny, myjąc niezgrabnie jedną ręką naczynia i garnki. Widywałam ją podczas tej czynności wielokrotnie, ale nigdy nie rozmawialiśmy.

Lecz teraz podjęłam decyzję. Ucieknę z tego więzienia, pobiegnę do domu Mostafy i Maluk i uratuję moje dziecko. Zbyt otumaniona, by myśleć logicznie, nie brałam pod uwagę następstw. Cokolwiek miałoby się stać, ja muszę zobaczyć moją córeczkę - natychmiast!

Na oknie wychodzącym na tyły domu nie było krat ani okiennicy. Przysunęłam do okna krzesło i weszłam na nie, przeszłam przez ramę, stopami szukając wąskiego gzymsu, który wystawał na około pięciu centymetrów od zewnętrznego muru.

Stojąc na gzymsie, kurczowo zaciskając dłonie na ramie okna, znajdowałam się tylko o krok od dachu parterowego domu obok. Obróciłam głowę w prawo i zawołałam:

- Chanum!

Stara kobieta odwróciła się do mnie gwałtownie.

- Szoma englisi sohbat mikonid? - Czy mówi pani po angielsku?

- spytałam.

Miałam nadzieję, że zrozumiemy się na tyle, iż pozwoli mi wejść na dach, wpuści do środka, a potem na ulicę.

Jednakże w odpowiedzi na moje pytanie kobieta chwyciła tylko swój czador i uciekła do domu.

Ostrożnie jęłam włączyć z powrotem do domu. Nie mogłam liczyć na pomoc, nie da się stąd wyjść. Krążyłam po mieszkaniu, szukając jakiegoś rozwiązania.

Rozejrzałam się za czymś do czytania, przetrząsając bibliotekę Mudiego, w nadziei że znajdę coś po angielsku, czego jeszcze nie przeczytałam od deski do deski. Znalazłam czterostronicową broszurę,

która zsunęła się za stertę książek, i obejrzałam ją z ciekawością. Nie widziałam jej przedtem. Był to rodzaj instruktażu po angielsku, zawierał szczegółowy opis muzulmańskich modlitw dla określonych rytuałów.

Przysiadłam na podłodze i bardzo uważnie przeczytałam broszurę. Moją uwagę zwrócił opis rytuału zwanego nasr.

Nasr to uroczysta przysięga składana Allahowi, rodzaj ślubowania, umowy, transakcji. Reza i Essej uczynili nasr. Jeżeli Allah sprawi, że zdeformowane stopy Mehdiego zostaną wyleczone, oni zobowiązują się dostarczać co roku do meczetu miski chleba, sera, sakei oraz innych artykułów spożywczych, by tam zostały pobłogosławione i rozdzielone między potrzebujących.

Głośnik uliczny nawoływał do modlitwy. Łzy płynęły mi po twarzy, gdy wypełniałam rytualne ablucje i wdziewałam czador. Wiedziałam już, co należy zrobić. Złożę nasr.

Niepomna, że mieszam doktryny islamu i chrześcijaństwa, mówiłam głośno: „Obiecuję, o Allahu, że jeśli Mahtab i ja znów się połączymy i bezpiecznie wrócimy do domu, udam się do Jerozolimy, do Ziemi Świętej. To jest mój nasr". Następnie na głos czytałam z książki, z pełnym uszanowaniem i oddaniem, długą specjalną modlitwę po arabsku. Byłam przepojona głęboką wiarą. Odcięta od świata, komunikowałam się z Bogiem bezpośrednio.

Nadszedł wieczór. Teheran pogrążył się w mroku. Siedząc w hallu na podłodze, starałam się czytaniem skracać sobie czas.

Nagle rozbłysły światła. Po raz pierwszy od wielu tygodni przerażające zawodzenie syren ostrzegających o nalocie dotarło do mojego już i tak zmaltretowanego mózgu.

Mahtab! - pomyślałam. Biedna Mahtab będzie przerażona. Pobiegłam zrozpaczona do drzwi, ale oczywiście były zamknięte, a ja uwięziona w mieszkaniu na piętrze. Udręczona, chodziłam w tę i z powrotem po mieszkaniu, nie troszcząc się o własne bezpieczeństwo. Przypomniałam sobie, co John napisał w liście: „Proszę cię, opiekuj się Mahtab, nie puszczaj jej od siebie ani na

chwilę". Płakałam z żalu nad moją córeczką, a łzy te płynęły z najgłębszej głębi, z najmroczniejszego mroku, z najboleśniejszego bólu w moim życiu.

Na zewnątrz syreny wciąż zawodziły, słychać było odległe wybuchy pocisków artylerii przeciwlotniczej. Doszedł mnie huk odrzutowych silników i potem odgłos eksplozji bomb - także odległe. Cały czas modliłam się za Mahtab.

Po zaledwie kilku minutach nalot się skończył - był chyba najkrótszy z dotychczasowych. Mimo to byłam rozdygotana, samotna w ciemnym domu, w zaciemnionym mieście, w czarnej rozpacz. Leżałam, łkając.

201

Po upływie może pół godziny usłyszałam, że drzwi od ulicy otwierają się. Ze schodów doszedł mnie odgłos ciężkich kroków Mudiego, pobiegłam więc do hallu, gotowa błagać go o choćby strzępek wiadomości o Mahtab. Drzwi otwały się, a on stał tam, ledwo widoczny w słabym blasku kieszonkowej latarki, sylwetka ludzka na tle zasłony z nocnej ciemności.

Trzymał coś, jakby duży, ciężki tobołek. Podeszłam bliżej, żeby zobaczyć, co to takiego.

Nagle pojęłam. To była Mahtab! Owinięta w koc, tuliła się do i niego, przytomna, ale apatyczna. Jej twarz bez wyrazu nawet w zadem- j nionym mieszkaniu wydawała się upiornie blada.

202

??

?, dzięki Ci Boże, dzięki - westchnęłam. W tym momencie przyszedł mi na myśl mój nasr, to szczególne ślubowanie, jakie dziś uczyniłam. Bóg spełnił moją prośbę. Nie posiadałam się ze szczęścia, a jednocześnie byłam przerażona. Moja dziecina była tak strasznie smutna, przybita i chora. Objęłam męża i córeczkę.

- Kocham cię za to, że przywiozłeś ją do domu - powiedziałam, choć zdawałam sobie sprawę z niedorzeczności moich słów. Przecież to on był przyczyną mojej udręki, lecz tak byłam mu wdzięczna za to, że widzę Mahtab, iż przynajmniej w połowie to bezsensowne oświadczenie było prawdziwe.

- Myślę, że ten nalot był znakiem od Boga - rzekł Mudi. - Nic dobrego nie wyniknie, jeśli będziemy osobno. W takich czasach trzeba być razem. Bardzo niepokoiłem się o ciebie. Nie powinniśmy się rozstawać.

Czoło Mahtab było wilgotne od gorączkowego potu. Wyciągnęłam ręce, a Mudi oddał mi ją. Jak dobrze było mieć ją znów w objęciach.

Gdy niosłam ją w towarzystwie Mudiego do sypialni, nie powiedziała ani słowa. Otuliłam ją szczerze kołdrą, wzięłam szmatkę zmoczoną wodą i obmyłam czoło. Była przytomna, ale czujna, widocznie bała się powiedzieć cokolwiek w obecności Mudiego.

- Czy jadła coś? - spytałam.

- Tak - zapewnił.

Jednakże rzeczywistość przeczyła temu twierdzeniu. Mała bardzo schudła.

Przez całą noc Mudi nie spuszczał z nas oka. Mahtab nic nie mówiła, była apatyczna, ale moje zabiegi sprawiły, że gorączka spadła. Spędziliśmy noc we troje w tym samym łóżku. Mahtab w środku, jej sen był płytki, często budziła się z powodu bólu brzuszka i biegunki. Całą noc tuliłam ją do siebie, tylko na chwilę zapadając w męczący sen. Tak bardzo bałam się zadać Mudiemu pytanie: Co będzie dalej?

Rankiem Mudi gotując się do wyjścia powiedział - nie to, że gniewnie, ale już nie tak serdecznie, jak poprzedniej nocy:

- Ubierz ją.
- Proszę, nie zabieraj jej.
- Nie. Nie zostawię jej tutaj z tobą.

Nie śmiałam spierać się z nim w tej strasznej sytuacji. Mudi miał nade mną całkowitą władzę, nie mogłam ryzykować ponownej izolacji. Milcząc wciąż, Mahtab pozwoliła mu ubrać się, a w domu pozostała matka, której się zdawało, że jej serce pęknie z rozpacz.

Między nami trojgiem działo się coś niezwykłego. Sporo czasu zajęło mi rozszyfrowanie owych nieuchwytnych zmian w naszym zachowaniu, niemniej intuicyjnie wyczuwałam, że wkraczamy w nową fazę naszej wspólnej egzystencji.

Mudi stał się łagodniejszy, mniej agresywny i bardziej rozważny niż I poprzednio. Na zewnątrz wydawał się spokojniejszy, sprawiał wrażenie człowieka zrównoważonego. W jego oczach jednak mogłam dostrzec coraz głębsze zatroskanie. Denerwowały go problemy materialne.

- Wciąż nie otrzymuję pieniędzy za pracę w szpitalu - narzekał. - Cała ta praca za darmo.
- To niedorzeczne - powiedziałam. - Doprawdy, trudno w to uwierzyć. Skąd więc masz pieniądze?
- Pieniądze na życie pożyczam od Mammala.

Nie wierzyłam mu jednak. Byłam przekonana, że pragnie, bym myślała, iż nie ma pieniędzy i dlatego nie możemy nic zmienić w naszej sytuacji.

Jednakże z jakiejś nieodgadnionej przyczyny Mudi stopniowo zmieniał obiekt swoich ataków złości. Zaczął przyprowadzać Mahtab do domu niemal co wieczór, z wyjątkiem dni, kiedy miał nocny dyżur w szpitalu. Po tygodniu czy dwóch pozwalał niekiedy, by Mahtab zostawała ze mną w ciągu dnia, kiedy on

był w pracy, a rygiel zasuwany na drzwiach z podwójnym zamkiem dawał nam dobitnie do zrozumienia, że nadal jesteśmy więźniarkami.

Pewnego ranka wyszedł jak zwykle, czekałam więc na znajomy odgłos ryglowania drzwi, ale nic takiego nie nastąpiło. Słyszałam jedynie cichnące echo kroków Mudiego. Pobiegłam do okna sypialni i ujrzałam, że oddała się ulicą.

Czyżby zapomniał nas zamknąć? A może to tylko podstęp?

Przyjęłam, że raczej to drugie. Siedziałyśmy z Mahtab cały czas w domu, dopóki w kilka godzin później nie wrócił w o wiele lepszym humorze niż przedtem. To mnie upewniło, że niezamknięcie drzwi było próbą. Obserwował mieszkanie - lub zaangażował kogoś do szpiegowania - a my okazałyśmy się godne zaufania.

204

Częściej i z większym przejęciem Mudi mówił o nas trojgu jako rodzinie, dążąc do tego, by nasz związek stał się tarczą chroniącą przed wrogim światem. Dni przerodziły się w tygodnie, ja zaś byłam coraz głębiej przekonana, że zwrócił mi Mahtab na zawsze.

Mahtab także uległa metamorfozie. Z początku niezbyt chętnie mówiła o szczegółach swego życia z dala ode mnie.

- Często płakałaś? Czy prosiłaś tatusia, by przywiózł cię tutaj? - pytałam.

- Nie - odparła cichym, wystraszonym głosikiem. - Nie prosiłam go. Nie płakałam. Nie rozmawiałam z nikim. Nie bawiłam się. Nic nie robiłam.

Wielokrotnie starałam się skruszyć ten mur, tę ochronę nawet przede mną. W końcu dowiedziałam się, że była poddawana licznym przesłuchaniom, zwłaszcza przez żonę siostrzeńca Mudiego - Maluk. Wypytywano ją, czy mama chodziła z nią do ambasady, czy próbowała uciec z kraju. Mahtab zawsze po prostu odpowiadała: Nie.

- Próbowałam uciec z domu, mamusiu - powiedziała, jak gdyby sądziła, że mogę się gniewać na nią o to, że nie zdołała wydostać się stamtąd. - Znałam drogę powrotną z domu Maluk. Czasem, jak wychodziłam z Maluk po zakupy, chciałam uciec i wrócić, i znaleźć ciebie.

Wdzięczna byłam w duchu losowi, że nie udało się jej uciec. Wyobrażałam sobie Mahtab samotną na zatłoczonych ulicach Teheranu, wśród pędzących bezładnie samochodów, prowadzonych przez nieostrożnych kierowców, i z tymi bezdusznymi, złośliwymi, podejrzliwymi policjantami - straszne!

Oczywiście nie uciekła. Nie zrobiła nic. I to właśnie było czymś nowym w zachowaniu mojej córki. Wbrew swej woli asymilowała się. Podporządkowała się. Ból i strach były zbyt silne, by ryzykować. Była żałośnie, chorobliwie zniechęcona i złamana.

Zmiany zachodzące w obojgu stały się przyczyną transformacji mojej osobowości. Długie dni spędzane w zamknięciu, w mieszkaniu Mammala, stały się okazją do refleksji. Luźne myśli przekształcałam w logiczne stwierdzenia, analizując i układając plany w sposób bardziej precyzyjny niż poprzednio. Nie ma wątpliwości, że nigdy nie przystosuję się do życia w Iranie. Można też przyjąć za pewnik, że nigdy, przenigdy nie należy ufać choremu, niezrównoważonemu umysłowo Mudiemu. Na razie był lepszy, rozsądniejszy, nie tak przerażający, ale w najmniejszym stopniu nie powinnam na nim polegać. Mogę jedynie skorzystać z tych okoliczności, by na jakiś czas poprawić moją sytuację, do chwili gdy znów zaczną się problemy.

Jak tego dokonać? Nie miałam pojęcia, jak to wypadnie w szczegółach, ale opracowałam już ogólną strategię. Należy najpierw zmienić orientację i zdwoić wysiłki w celu wydostania się z Mahtab z Iranu i powrotu do Ameryki, ale wymagać to będzie odmiennych i bardziej

205

przemyślanych działań. Doszłam do wniosku, że od tej chwili muszę i wszystko zachowywać w tajemnicy przed córką. Przesłuchania u Maluk i głęboko mnie zaniepokoiły. Byłoby niebezpieczne powierzyć Mahtab zbyt wiele informacji, na wypadek gdyby ją w przyszłości znów przesłuchiowano. Nie będę jej mówić o powrocie do Ameryki. Ta decyzja była dla mnie niezwykle bolesna, ale tylko powierzchownie. Gorąco pragnęłam podzielić się z córką każdą dobrą wieścią. Lecz w głębi duszy byłam przekonana, że nic nie mówiąc bardziej okażę jej swą miłość. Nie rozbudzając jej nadziei. Gdy już będziemy w drodze do Ameryki

- a wciąż nie miałam pojęcia, jak tego dokonam - dopiero wówczas powiem jej o tym.

Tak więc, podczas gdy Mudi - dla siebie tylko wiadomych powodów

- szukał u żony i córki emocjonalnego oparcia, my - każda na swój sposób - otaczałyśmy się ochronnym murem.

To nam dawało pozorny spokój, stwarzało byt, który powierzchownie zdawał się łatwiejszy, cichszy, bezpieczniejszy, ale nie ujawniane napięcie pogłębiało się. Codzienna egzystencja poprawiała się, lecz wewnętrznie każde z nas podążało jakby innym torem, co w efekcie mogło okazać się bardziej niebezpieczne i gorsze w skutkach niż poprzednia sytuacja.

.

Mammal i Nasserin wciąż przebywali poza domem, mieszkali u krewnych. Natomiast Reza i Eszej powrócili do swojego mieszkania. Eszej 1 i ja nawiązałyśmy ostrożną przyjaźń.

Szesnasty dzień perskiego miesiąca ordibeheszt, który tego roku przypadał 6 maja, to dzień urodzin Mehdiego - dwunastego Imama. Wiele wieków temu zniknął, zaś szyici wierzą, że w dniu Sądu Ostatecznego pojawi się znów wraz z Jezusem. Do zwyczaju należy przedkładać mu w tym dniu wszelkie życzenia i prośby.

Eszej zaprosiła mnie do domu pewnej starej kobiety, która obchodziła właśnie czterdziesty rok wypełniania swego nasr. Złożyła przyrzeczenie, że jeśli jej córka wyleczy się z niemal śmiertelnej choroby, będzie co roku w dniu urodzin Imama organizować uroczyste spotkania.

Eszej powiedziała, że na przyjęciu będzie około dwustu kobiet. W wyobraźni widziałam już długi dzień lamentów i modłów, powiedziałam jej więc, że nie mam ochoty tam iść.

- Chodź ze mną - prosiła. - Każdy, kto pragnie, by spełniło się jego życzenie, idzie tam, daje zapłatę kobiecie czytającej Koran, a ona modli się za niego. Zanim upłynie rok, przed następnymi urodzinami Imama Mehdiego, życzenie to się spełni. Nie masz żadnego życzenia, którego spełnienia byś pragnęła? - uśmiechnęła się do mnie ciepło i szczerze. Znała moje pragnienia!



- Dobrze - odparłam. - Jeżeli Mudi mi pozwoli, pójdę.

Ku memu zaskoczeniu Mudi zgodził się. Prawie wszystkie jego

206

krewniaczki tam pójdą, a Essej będzie opiekować się Mahtab i mną. Chciał, bym wzięła udział w tym pobożnym zgromadzeniu.

W oznaczonym dniu rano dom wypełnił się ludźmi. W mieszkaniu Rezy zebrano się kilkunastu mężczyzn, kobiety tymczasem upychały się w samochodach, by udać się na wielką uroczystość do domu owej kobiety, znajdującego się w pobliżu lotniska, a więc około godziny jazdy w kierunku południowym.

Dzień ten obfitował w niespodzianki. Weszliśmy do domu pełnego nie osłoniętych kobiet, odzianych w pstrokate łaszki - purpurowe stroje wieczorowe z przepastnymi dekolami, wyszywane cekinami suknie bez ramiączek, obcisłe spodnie. Wszystkie miały uczesania prosto od fryzjera i bardzo obfity makijaż. Pyszniły się złotą biżuterią. Ze stereofonicznych głośników huczała muzyka bandari z głośnymi bębenkami i perkusją. W hallu kobiety tańczyły zmysłowo, ręce wznosiły ponad głowę, rytmicznie poruszając biodrami. Ani jedna nie miała zasłony.

Essej rzuciła czador, ukazując suknię w kolorze turkusowego ze skandalicznie dużym dekoltem, była obwieszona złotą biżuterią niczym choinka.

Nasserin ubrana była w dwuczęściowy kostium w czerwony deseń. Zohre i Fereszta także tam były, ale ani śladu ich matki - Amme Bozorg: Jest chora - wyjaśniły.

Gdy ujrzałam, jaki nastrój panuje w tym towarzystwie, zrozumiałam dlaczego. Amme Bozorg nie lubiła radosnej atmosfery, takie spotkanie musiało przyprawić ją o chorobę.

Wkrótce zabawa zaczęła się na dobre, kilka kobiet zainicjowało coś w rodzaju tańca brzucha. Inne zaczęły śpiewać, przyłączało się coraz więcej tancerek wystrojonych w jaskrawe sukienki.

Jedna po drugiej podchodziły do kobiety czytającej Koran w rogu hallu, która przez głośnik oznajmiała życzenie każdej, po czym intonowała modły.

Fereszte życzyła sobie, by udało się jej zdać egzaminy w szkole.

Zohre pragnęła zdobyć męża.

Essej prosiła, by Mehdi zaczął chodzić.

Nasserin nie miała żadnych życzeń.

Po jakimś czasie tej hałaśliwej zabawy Essej spytała:

- Ty nie masz żadnych życzeń?
- Mam, ale nie wiem, jak je wyrazić. Essej dała mi trochę pieniędzy:
- Podejdź do kobiety i daj jej to. Potem usiądź obok, a ona pomodli się za ciebie. Nie musisz mówić, jakie masz życzenie. Ale powinnaś skupić się na swym pragnieniu podczas modlitwy.

Wzięłam Mahtab za rączkę i zbliżyłam się do świętej niewiasty. Wręczyłam jej pieniądze i, nic nie mówiąc, siadłam opodal.

Owinęła wokół mej głowy skrawek czarnego jedwabiu i zaczęła się modlić.

207

Ale ze mnie idiotka - pomyślałam. To na nic. Lecz potem przyszło mi do głowy, że może istnieje cień szansy, że się uda. Muszę próbować wszystkiego.

Skoncentrowałam się - pragnę wraz z Mahtab wrócić do Ameryki.

Rytuał trwał zaledwie kilka chwil. Wracając do Essej zdałam sobie sprawę, że mogę mieć kłopoty. Essej, Nasserin, Zohre, Fereszte - każda z licznych „siostrzenic” Mudiego obecna w tym domu - może powiedzieć, i najpewniej powie mu, że miałam życzenie. Będzie chciał wiedzieć, jakie.

Postanowiłam sama mu powiedzieć zaraz po powrocie, zanim ktokolwiek mnie uprzedzi.

- Miałam dziś życzenie. Prosiłam Imama Mehdiego, by spełnił moją prośbę - powiedziałam w domu.
- A czego sobie życzyłaś? - spytał podejrzliwie.
- Prosiłam, by sprawił, abyśmy we troje stanowili znów szczęśliwą rodzinę.

Mudi stopniowo zmniejszał nadzór, w niecały miesiąc odkąd po raz pierwszy przyprowadził Mahtab, ponownie żyliśmy prawie jak rodzina. Pozwalał Mahtab spędzać ze mną po kilka dni w tygodniu. Czasem nawet pozwalał mi zabierać ją na zakupy; innym razem natomiast pilnował nas zazdrośnie. Wiodłyśmy dziwną, klasztorną egzystencję.

Ogromnie trudno mi było uzbroić się w cierpliwość, ale tylko to mogłam uczynić. Teraz grałam zarówno przed Mahtab, jak i przed Mudim. Recytowałam muzułmańskie modlitwy bardzo żarliwie, a Mahtab - idąc za moim przykładem - robiła to samo. Z czasem Mudi dał się wywieść w pole, pragnął bowiem wierzyć w to, że nasze życie normuje się stopniowo. Przerazało mnie teraz tylko jedno. Ponieważ stanowiliśmy rodzinę, musiałam udawać miłość do męża. A co będzie, jeśli zajdę w ciążę? Nie chciałam pomnażać swoich kłopotów wydając na świat nowe życie w tym obłąkanym kraju. Nie chciałam nosić w łonie dziecka, którego ojca nienawidziłam. Cięża uwięziłaby mnie o wiele skuteczniej niż wszystko, co stało się poprzednio.

Dziewiątego czerwca są moje urodziny. Nie zamierzałam urządzać żadnej uroczystości z tej okazji. Mudi miał dyżur w szpitalu, kazał więc mi i Mahtab zejść na dół, by Eszej mogła nas mieć na oku. Próbowałam oponować, lecz był nieugięty. I tak - w urodzinowy wieczór - obie z Mahtab zamiatałyśmy podłogę w mieszkaniu Eszej, uprzątając zdechłe karaluchy, które przyłaziły zwabione wszechobecnym zapachem moczu Mehdiego. Potem rozłożyłyśmy koce i próbowałyśmy zasnąć.

W środku nocy zadzwonił telefon. Odebrała Eszej i usłyszałam, jak powtarza: na, na.

208

- To moja rodzina - powiedziałam - chcę z nimi porozmawiać. Dziś są moje urodziny.

W nagłym odruchu nieposłuszeństwa chwyciłam słuchawkę - usłyszałam głos mojej siostry Carolyn. Przekazała mi najświeższe wiadomości o stanie ojca, nie ulegającym zmianie, a także o tym, że Joe podjął pracę przy montażu w mojej

dawnej firmie ITT HANCOCK w Elsie. Łzy stanęły mi w oczach, coś ścisnęło mnie w gardle tak, że z trudem mogłam mówić.

- Powiedz mu, że go kocham - tylko tyle zdołałam wykrztusić. - Powiedz Johnowi... że... też go kocham.

Następnego ranka Mudi wrócił z długiego nocnego dyżuru w szpitalu. Przyniósł bukietik strotek i chryzantem na moje urodziny. Podziękowałam i pośpiesznie opowiedziałam mu o telefonie Carolyn, chcąc uprzedzić Rezę lub Essej. Ku mej uldze zareagował na tę wieść raczej obojętnie, bez gniewu.

Pewnego dnia Mudi zabrał nas na spacer w letnim słońcu, o kilka domów od nas mieszkało starsze małżeństwo, jacyś jego krewni. Ich syn Morteza - niemal rówieśnik Mudiego - mieszkał z rodzicami. Kilka lat wcześniej stracił żonę, więc rodzice pomagali mu opiekować się jego córeczką Elkam, starszą o kilka lat od Mahtab. Była to urocza dziewczynka, bardzo ładna, ale smutna i ogromnie osamotniona, całkowicie ignorowana przez ojca i dziadków.

Na początku ze słów Mortezy wywnioskowałam, że krewni starają się przekonać Mudiego, by dał mi nieco więcej swobody.

- Tak się cieszymy, że przysłaś - mówił Morteza. - Nie było cię ostatnio widać. Zastanawialiśmy się, czy coś się stało, niepokoiłiśmy się o ciebie.

- Czuje się świetnie - odparł Mudi, jego twarz wyrażała niezadowolenie. - Sami widzicie, że dobrze wygląda.

Morteza pracował w ministerstwie, które między innymi kontrolowało połączenia teleksowe z zagranicą. Była to bardzo odpowiedzialna funkcja, dająca wiele przywilejów. W trakcie rozmowy powiedział nam, że nosi się z zamiarem spędzenia z Elkam urlopu w Szwajcarii lub Anglii.

- Dobrze by było, gdyby poduczyła się trochę angielskiego przed wyjazdem - stwierdził.

- Bardzo chętnie udzielę jej lekcji - zaproponowałam.

- Świetnie - zgodził się Mudi. - Moglibyście przyprowadzać ją rano do naszego domu. Betty uczyłaby ją angielskiego, gdy ja będę w pracy.

Później zaś, w drodze powrotnej, Mudi oznajmił, że bardzo jest zadowolony. Elkam jest sympatycznym dzieckiem, lepiej wychowanym niż większość irańskich dzieci, a on pragnie jej pomóc. Był szczególnie przywiązany do dziewczynki, bowiem tak jak ona stracił matkę we

14 — Tylko razem z córką

209

wczesnym dzieciństwie. Poza tym - dodał - zadowolony jest, że znalazło się dla mnie zajęcie.

- Pragnę, byś była tutaj szczęśliwa - powiedział.

- I ja pragnę być tu szczęśliwa - skłamałam.

Uczenie Elkam angielskiego okazało się odpowiedzią na moje modlitwy. Mudi nie zabierał już Mahtab w ciągu dnia do domu Maluk. Mahtab potrzebna nam była jako tłumaczka, a po skończonej lekcji obie ładnie się bawiły.

Reza i Essej postanowili odbyć pielgrzymkę do świętego meczetu w Meshedzie, gdzie Amme Bozorg doznała cudownego uzdrowienia. Przed narodzeniem Mehdiego Reza i Essej uczynili nasr, zobowiązując się do odbycia pielgrzymki, jeśli Allah pobłogosławi ich synem. Fakt, że Mehdi był kalekim i niedorozwiniętym dzieckiem, nie miał znaczenia. Powinni byli wypełnić nasr. Gdy poprosili, byśmy im towarzyszyli, nalegałam na Mudiego, by przyjął zaproszenie.

Natychmiast pomyślałam o tym, że do Meshedu polecimy samolotem, miasto to bowiem położone jest w najdalej na północny wschód wysuniętym krańcu Iranu. Ostatnio często na liniach wewnętrznych zdarzały się porwania, co dawało nikłą, ale nie mniej realną szansę, że nasz lot może zakończyć się, niezgodnie z rozkładem, w Bagdadzie. Ponadto podróż z pewnością uspokoi Mudiego. Bez wątplenia moje pragnienie uczestniczenia w pielgrzymce przekona go o rosnącym przywiązaniu do jego stylu życia.

Była jeszcze inna, głębsza przyczyna mej gorliwości. Naprawdę chciałam odbyć tę pielgrzymkę. Essej powiedziała mi, że jeśli ktoś prawidłowo odprawi rytualne modły u grobu w Meshedzie, spełnią się jego trzy pragnienia. Ja miałam tylko jedno pragnienie, ale żarliwie chciałam uwierzyć w cudowną moc Meshedu.

- Ludzie przywożą tam chorych fizycznie i psychicznie, przywiązują | ich do grobu i czekają na cud - mówiła z powagą Essej. - Wielu j doczekało się cudu.

Nie wiedziałam już, w co wierzyć, a w co nie w tej religii j Mudiego. Wiedziałam tylko tyle, że desperacko pragnę wierzyć I w cokolwiek.

Mudi chętnie przystał na uczestnictwo w pielgrzymce. On także miał życzenia.

Lot do Meszhedu trwał krótko, a po przybyciu Mudi wepchnął nasi do taksówki i pojechaliśmy do hotelu. On i Reza zarezerwowali miejsca I w najlepszym hotelu w mieście.

- A co to takiego - mruknął, gdy dotarliśmy do naszego zimnego i wilgotnego pokoju. Czekająca na nas zmięta pościel. Postrzępiony kawałek tkaniny zawieszony w oknie służył za zasłonę. Na zszarzałym {

210

tyнку ścian pełno było pęknięć. Dywan był tak obrzydliwy, że nie odważyliśmy się zdjąć butów. Smród z toalety zwał z nóg.

„Apartament” Rezy i Essej obok naszego pokoju nie był ani na jotę lepszy. Postanowiliśmy niezwłocznie odwiedzić haram - grób, częściowo wskutek gorliwości religijnej, a częściowo by uciec z hotelu.

Essej i ja włożyłyśmy aby, które na tę okazję pożyczłyśmy. Jest to strój arabski, podobny do czadoru, ale ma jeszcze elastyczną szarfę, przytrzymującą szatę. Dla takich jak ja nowicjuszy aba jest o wiele wygodniejsza.

Udaliśmy się do meczetu znajdującego się w odległości kilku domów od hotelu. Szliśmy ulicą pełną sprzedawców, konkurujących głośnym zachwalaniem muzułmańskich różańców i kamieni modlitewnych. Inni sprzedawcy proponowali hafty i biżuterię z turkusów. Wszędzie wokół nas rozlegały się z głośników modły.

Był to największy meczet, jaki dotychczas widziałam, ozdobiony wspaniałymi kopułami i minaretami. Przeciskaliśmy się przez tłumy wiernych, oblegających zewnętrzny basen, gdzie myto się przed modłami. Następnie - w ślad za przewodnikiem - przeszliśmy przez obszerny podwórzec, potem odbyliśmy wycieczkę po rozmaitych pomieszczeniach, gdzie podłogi wystlane były perskimi

dywanami, a na ścianach wisały gigantyczne pozłacane i posrebrzane lustra. Ogromne kryształowe żyrandole oświetlały scenerię, ich odbite w lustrach światło raziło oczy.

Gdy zbliżaliśmy się do haramu, mężczyźni i kobiety podzielili się. Obie z Essej, ciągnąc za rękę Mariam i Mahtab, próbowałyśmy torować sobie drogę łokciami pośród ekstatycznie rozmodlonego tłumu, pragnęłyśmy podejść na tyle blisko, by dotknąć haramu, by wyjawić Bogu nasze pragnienia, ale kilkakrotnie zostałyśmy odepchnięte. W końcu usunęłyśmy się na bok, żeby się pomodlić.

Po chwili Essej postanowiła znów spróbować. Zostawiwszy mnie i Mahtab, dała nura w rozmodlony tłum, w ramionach trzymając Mariam. Przepchnęła się wreszcie do haramu unosząc Mariam wysoko ponad tłumem, by dziecko mogło dotknąć grobu.

Później Mudi złościł się na mnie, że nie dałam Mahtab takiej szansy.

- Jutro ty weźmiesz Mahtab - powiedział do Essej.

Trzy dni upłynęły w religijnej ekstazie. Udało mi się wywalczyć dostęp do haramu, a dotykając grobu modliłam się gorąco do Allaha, by spełnił tylko jedno moje życzenie - by pozwolił Mahtab i mnie wrócić bezpiecznie do Ameryki, zanim umrze mój ojciec.

Pielgrzymka wywarła na mnie głębokie wrażenie, sprawiła, że jak nigdy dotąd czułam, iż religia Mudiego stała się mi bliska. Być może był to skutek mojej rozpaczy połączonej z hipnotycznym urokiem otoczenia. Tak czy owak poczęłam wierzyć w moc haramu. Czwartego i ostatniego dnia naszego pobytu w Meszhedzie postanowiłam powtórzyć święty rytuał z całym oddaniem, na jakie było mnie stać.

211

- Chciałabym pójść do haramu sama - powiedziałam Mudiemu.

Nie zadawał pytań. Moja pobożność była dlań oczywista. Lekkim uśmiechem wyraził swe zadowolenie z metamorfozy, jaką we mnie dostrzegał.

Z hotelu wyszłam wcześniej, zanim inni byli gotowi, by zanieść przed grób świętego mą ostatnią i najszczerzą suplikę. Przybywszy do meczetu ucieszyłam

się stwierdzając, że wyprzedziłam tłumy. Z łatwością dotarłam do haramu, wsunęłam kilka riali mężczyźnie w turbanie, który zgodził się pomodlić za mnie - za moje tajemne pragnienie - po czym usiadłam przy grobie, pogrążywszy się w głębokiej medytacji. Raz po raz powtarzałam Allahowi moje życzenie i czułam, że ogarnia mnie uczucie niezwykłego spokoju. W jakiś sposób wiedziałam, że Allah-Bóg spełni moje pragnienie. Wkrótce.

Fragmenty układanki zaczęły trafiać na swoje miejsca.

Mudi zabrał nas pewnego dnia do domu Amme Bozorg, ale nie przebrał się tym razem, jak zazwyczaj podczas wizyty, w luźną piżamę. Pozostał w swoim ubraniu i po kilku minutach wdał się w ostrą wymianę zdań ze swoją siostrą. Przeszli na dialekt szusztari, którym posługiwali się w dzieciństwie, tak więc nie mogliśmy z Mahtab niczego zrozumieć, ale zdaje się, iż kontynuowali jakąś poprzednią sprzeczkę.

- Muszę coś załatwić - powiedział do mnie nagle. - Ty i Mahtab zostaniecie tutaj.

Po czym szybko wyszedł z Madżidem.

Niechętnie powróciłam do tego domu, z którym wiązały się ponure wspomnienia, nie miałam także ochoty przestawać z kimkolwiek z jego mieszkańców. Razem z Mahtab przeszliśmy na tylne patio obok i basenu, by pogrzać się trochę w słońcu, które z trudem przenikało przez naszą ciężką odzież. A także by odseparować się od reszty rodzinki, i

Ku memu niezadowoleniu, Amme Bozorg wyszła za nami.

- Azizam - powiedziała miękko. „Kochanie"! Amme Bozorg i nazwała mnie „kochaniem"! Otoczyła mnie długimi kościstymi ra-j mionami.

- Azizam - powtórzyła. Mówiła po persku używając prostych słów, które sama mogłam zrozumieć, lub które Mahtab mogła przetłumaczyć:

- Man chali, chali, chali mota'assefam, azizam - Bardzo, bardzo mi przykro, kochanie. - Wzniosła ręce do góry i zawołała:

- Aj Chuda - O, Boże. Po czym powiedziała:

- Idź do telefonu, zadzwoń do rodziny. To podstęp - pomyślałam.



- Nie - odparłam. Przy pomocy Mahtab wyjaśniłam:
- Nie mogę, bo Mudi nie pozwala mi telefonować. Nie mam jego zgody.

212

- To nic. Zatelefonuj do rodziny - obstawała.
- Tatuś będzie się gniewał - powiedziała Mahtab.

Amme Bozorg przyglądała się nam uważnie. Badałam wyraz jej oczu i to, co można było wyczytać z twarzy okrytej czadorem. Co się tu dzieje? - zastanawiałam się. Czy to pułapka, zastawiona przez Mudiego, by dowieść, iż nie jestem mu posłuszna? A może coś się zmieniło, a ja nie mam o tym pojęcia?

Amme Bozorg rzekła do Mahtab:

- Twój tatuś nie będzie się gniewał, bo mu nic nie powiemy. Nadal wzbraniałam się, byłam coraz bardziej podejrzliwa i niepewna,

bo przypomniały mi się podstępne chwyt, jakie stosowała wobec mnie dawniej, zwłaszcza w Qum, kiedy to poleciła mi siedzieć, a potem naskarżyła, że odmówiłam odbycia pielgrzymki do grobu świętego muzułmańskiego męczennika.

Amme Bozorg zniknęła na chwilę, ale wkrótce powróciła w towarzystwie córek - Zohre i Fereszte - które przemówiły do nas po angielsku.

- Zatelefonuj do rodziny - powiedziała Zohre. - Naprawdę bardzo nam przykro, że nie masz z nimi kontaktu. Zadzwoń do wszystkich. Rozmawiaj, jak długo chcesz. My jemu nic nie powiemy.

To słowo „jemu”, czyli Mudiemu, zostało wypowiedziane z odcieniem złości.

To właśnie ostatecznie mnie przekonało. W tej chwili możliwość rozmowy z rodziną, jakkolwiek krótkiej i pełnej goryczy, warta była narażenia się na wściekłość Mudiego.

Zatelefonowałam więc, wyplakując w słuchawkę mój smutek i miłość. Oni także płakali, ojciec przyznał się, że jego stan pogarsza się z każdym dniem, że cierpi coraz większe bóle, a lekarze poważnie biorą pod uwagę konieczność następnego

operacji. Połączyłam się także z Joem i Johnem, którzy mieszkali w domu ich ojca, budząc ich w środku nocy.

Podczas moich rozmów Amme Bozorg pozostawiła nas same, nie podsłuchiwała. Potem zaprosiła mnie do hallu. Wraz z Mahtab, Zohre i Fereszcie jako tłumaczkami odbyliśmy rozmowę, która wiele spraw mi wyjaśniła.

- To ja powiedziałam Mudiemu, żeby z powrotem przyprowadził Mahtab do ciebie - stwierdziła. - Powiedziałam mu, że nie powinien już nigdy robić czegoś takiego. Nie powinien traktować ciebie w taki sposób.

Czy to możliwe, żeby ta kobieta, której nienawidziłam i która była tak wrogo do mnie nastawiona, przemieniła się w sprzymierzeńca? Czyż była na tyle rozsądna, by dostrzec szaleństwo rozwijające się w umyśle jej młodszego brata? I na tyle litościwa, by próbować osłonić mnie i Mahtab przed nieprzewidywalnymi dramataми? Trudno mi było to wszystko tak od razu rozgryźć. Rozmawiałam z nią bardzo ostrożnie,

213

zdawało mi się jednak, że rozumie i akceptuje moje opory. Uznała zapewne, że zmiana w jej nastawieniu może mi się wydawać niepojęta. Nie mogłam jej oczywiście zawierzyć moich prawdziwych sekretów. Ale czy powinnam się spodziewać, że pomoże w utemperowaniu Mudiego?

Tego dnia udało mi się rozwiązać jeszcze inny problem. Większość naszych bagaży nadal znajdowała się w szafie sypialni, którą niegdyś - tysiące lat temu - oddano do naszej dyspozycji w tym domu. Nikt z tego pokoju nie korzystał, wciąż należał do nas. Oczekałam, aż zostanę sama, weszłam tam i odnalazłam paczkę z lekami, które Mudi przywiózł z Ameryki.

Małe różowe tabletki znalazłam w wąskim plastikowym pudełku. Nazywały się „Nordette”. Nigdy zapewne nie dowiem się, w jaki sposób Mudiemu udało się przeszmugłować środki antykoncepcyjne przez odprawę celną w muzułmańskim kraju, gdzie kontrola urodzin jest sprzeczna z prawem. Być może dał łapówkę komu trzeba. W każdym razie znalazłam te pigułki; wiele opakowań rozproszonych wśród rozmaitych innych leków. Czy Mudi je liczył? Nie miałam pojęcia. Nie i wiedziałam już co gorsze, strach przed wykryciem

faktu, iż wzięłam te tabletki, czy obawa przed zajściem w ciążę; w końcu postanowiłam zaryzykować i zabrać miesięczną dawkę.

Schowałam mały pakunek pod ubraniem, lecz plastikowe pudełeczko szeleściło przy każdym ruchu. Mogłam się jedynie modlić o to, by nikt nie usłyszał.

Gdy Mudi wrócił, żeby zabrać mnie i Mahtab do domu, nikt nie powiedział o moich rozmowach z Ameryką. Gotując się do wyjścia i umierałam ze strachu na każdy szelest, towarzyszący moim ruchom, ale i najwidoczniej tylko ja go słyszałam.

Po powrocie do domu ukryłam tabletki pod materacem. Następnego dnia połknęłam pierwszą pigułkę nie mając pojęcia, czy czas jest odpowiedni i modląc się, by zadziałała.

Zaledwie kilka dni później do Mudiego zatelefonował Baba Hadździ mówiąc, iż pragnie nas odwiedzić i porozmawiać. Mudiemu nie wypadało odmówić.

Krzątałam się po kuchni przygotowując herbatę i poczęstunek dla 1 czcigodnego gościa, w strachu, że być może przybywa po to, by i poinformować Mudiego o moich rozmowach z rodziną. Tymczasem zaś z sypialni podsłuchałyśmy z Mahtab rozmowę, która, nieoczekiwanie, nappełniła mnie otuchą.

O ile zdołałyśmy zrozumieć, Baba Hadździ mówił: „To mieszkanie [ należy do Mammala. Mammal przeniósł się do rodziny z twojego ( powodu, bo Nasserin nie chce chodzić cały czas zakryta we własnym mieszkaniu, dlatego że ty tu jesteś. Mają już tego dosyć. Piętro niżej jest mieszkanie Rezy, którego także używasz. Oni też są już zmęczeni tą

214

sytuacją. Musicie się natychmiast przeprowadzić. Musicie się stąd wynieść."

Mudi odpowiadał spokojnie i z szacunkiem. Oczywiście zastosuje się do „prośby" Baba Hadździ. Stary pan potaknął głową wiedząc, iż jego słowa wsparte są uświęconym autorytetem. Po czym, odczekawszy chwilę, wyszedł.

Mudi był rozwścieczony na swoją rodzinę, na swych własnych krewniaków. Nieoczekiwanie Mahtab i ja stałyśmy się wszystkim, co posiadał. Teraz my troje stanęliśmy - osamotnieni - przeciw temu niesprawiedliwemu światu.

Położyliśmy Mahtab do łóżka i rozmawialiśmy długo w noc.

- Pomogłem Rezie przebrnąć przez szkołę - narzekał - dawałem mu wszystko, czego potrzebował. Dałem mu pieniądze, dałem mu samochód, załatwiłem mu dom. Przyjechał Mammał, to ja płaciłem za operację i wszystko załatwiałem. Zawsze dawałem moim krewniakom wszystko, czego chcieli. Gdy dzwonili do Ameryki i chcieli płaszcze, to im wysłałem. Wydałem na nich mnóstwo pieniędzy, ale oni już o tym zapomnieli, zapomnieli o wszystkim, co dla nich zrobiłem. A teraz chcą mnie stąd wyrzucić!

Potem dobrał się do Nasserin.

- Albo ta Nasserin! Jest taka głupia - wcale nie musi bez przerwy się zakrywać. Dlaczego nie może być taka jak Eszej? Oczywiście, bardzo było im wygodnie z nami, ty sprzątałaś, gotowałaś i zmieniałaś pieluchy Amirowi. Wszystkim ty się zajmowałaś. Ona raczyła tylko co kilka tygodni wykąpać Amira przed świętami. Co z niej za matka i żona? A teraz, w lecie, ma wakacje, nie musi chodzić na zajęcia na uniwersytecie. Nie potrzebują już niańki, no to mówią nam „wynocha"! A tu nie ma ani dokąd pójść, ani nie ma pieniędzy, to jak mogą oczekiwać, że się wyprowadzimy?

Dziwnie było słyszeć te słowa. W poprzednich miesiącach Mudi - powodowany muzułmańską gorliwością - ubolewał nad niedbałością Eszej w okrywaniu twarzy i wychwalał Nasserin jako przykład przyzwoitości. Zmiana jego postawy była zaskakująca.

Z troską w głosie wyraziłam mu moje współczucie. Gdybym była na miejscu Nasserin, z pewnością nie życzyłabym sobie obecności Mudiego w moim domu, ale nawet o tym nie wspomniałam. Stałam całkowicie po stronie męża, jak tego oczekiwał. Znow byłam jego sprzymierzeńcem, nieustraszonym poplecznikiem, jego najzagorzalszym stronnikiem - starałam się ugłaskać jego ego tyloma nieszczerymi pochlebstwami, na ile tylko było mnie stać.

- Naprawdę nie mamy pieniędzy? - spytałam.

- To prawda. Wciąż mi nie płacą w szpitalu. Nie załatwili dotąd formalności.

Uwierzyłam mu, zastanawiałam się więc głośno:

215

- Dokąd wobec tego mamy się wynieść?

- Madżid obiecał, że znajdzie mieszkanie, jakie będziemy sobie życzyli, a Mammal i on pokryją koszty.

Z wielkim trudem udało mi się ukryć radość. Nie miałam wątpliwości, że wyniesiemy się z tego więzienia na pierwszym piętrze, a to dlatego, że Mudi dał słowo Baba Hadździ. Ponadto wiedziałam, że nie ma mowy o powrocie do domu Amme Bozorg, ponieważ Mudi aż gotował się ze złości na tę swoją, tak przedtem uwielbianą, siostrzyczkę. W gruncie rzeczy mieszkanie z którymkolwiek z krewniaków nie wchodziło w rachubę, ponieważ to oni urazili jego godność.

W cichości ducha miałam nadzieję, że Mudi dojdzie do wniosku, iż nadszedł czas, abyśmy wrócili do Ameryki.

- Oni ciebie nie rozumieją - mówiłam łagodnie. - Tyle dla nich zrobieś. Ale zostawmy to. Wszystko się jakoś ułoży. W końcu mamy siebie, jest nas troje.

- Tak - odparł. Ucisnął mnie. Potem pocałował. Podczas tych kilku chwil, jakie nastąpiły później, udało mi się zapomnieć o teraźniejszości. W tym momencie moje ciało stało się jedynie narzędziem, którym posługiwałam się - bo musiałam - w celu odzyskania wolności.

Szukaliśmy domu do wynajęcia, włączając się brudnymi ulicami w towarzystwie pośrednika. Wszystko, co nam zaprezentowano, było w opłakanym stanie, przez dziesiątki lat nie tknięte miotłą czy pędzlem malarza. Reakcje Mudiego zachęcały mnie do wybrzydzenia, ponieważ i jemu jeżył się włos na widok otoczenia. Upłynął prawie rok, nim odciął się wreszcie od sentymentów dzieciństwa, zaczął dostrzegać nędzę, którą jego rodacy uznali za codzienną normalność. Jemu już się tu nie podobało.

Wokół jego szyi zaciskała się pętla niefortunnych zbiegów okoliczności. Choć nadal zajmował cieszącą się szacunkiem posadę w szpitalu, jednak praktykę

lekarską uprawiał nielegalnie, nie mógł przekonać antyamerykańsko nastawionych władz do nostryfikacji dyplomów, nie był w stanie wyegzekwować swoich poborów, nie był zdolny zapewnić i rodzinie pozycji, na jaką - jego zdaniem - zasługiwała.

Mudi zżymał się również na to, że musi podporządkować się żądaniom starszyny rodowej. Baba Hadździ miał przyjaciela, który był / pośrednikiem najmu nieruchomości. Pokazał nam mieszkanie w sąsiedztwie domu Mammala. Lokal nie podobał się nam, odmówiliśmy więc wynajęcia go, co stało się powodem ostrej dyskusji Mudiego i Babal Hadździ.

- Nie ma tam podwórka - narzekał Mudi. - Mahtab powinna mieć podwórko do zabawy.

i pragnie

- Niei

-???

-Prz kuchenki,

Przysli perski, by Mudiego. miała nic on sam. wobec s/ -To własne n

- ?? wsz\

Baba że za. <?I

poszukać czeg lekarski i /? Po chwili

- Trzeba

216

- To nie jest takie ważne - odparł Baba Hadździ. Potrzeby i pragnienia dzieci nie interesowały go zupełnie.

- Nie ma tam mebli ani żadnych sprzętów - ciągnął Mudi.

- To nieważne. Nie potrzebujecie mebli.

- Przecież nic nie mamy - argumentował Mudi. - Nie mamy kuchenki, lodówki, pralki. Nie mamy ani jednego talerza czy łyżki.

Przysłuchując się konwersacji, stwierdzając, iż lepiej już rozumiem perski, byłam zaskoczona i zadowolona ze sposobu argumentacji Mudiego. Chciał, żeby Mahtab miała podwórko. Chciał, żebym ja miała niezbędne sprzęty. Chciał, żebyśmy wszyscy coś mieli, nie tylko on sam. A pragnął tego wszystkiego na tyle mocno, by stanąć okoniem wobec szacownej głowy rodu.

- To nie jest ważne - powtarzał Baba Hadździ. - Będziecie mieli własne mieszkanie, a wszyscy damy wam, co potrzeba.

- Ta ar oj'- odparł Mudi prawie krzyżąc na świętego męża. - To wszystko tylko ta'arof.

Baba Hadździ wyszedł rozwścieczony, Mudi zaś począł się obawiać, że za daleko się posunął.

- Musimy szybko znaleźć mieszkanie - powiedział. - Trzeba poszukać czegoś na tyle dużego, żebym mógł tam urządzić gabinet lekarski i zaczął zarabiać trochę pieniędzy.

Po chwili zastanowienia dodał zatroskany:

- Trzeba sprowadzić nasze rzeczy z Ameryki.

•

Reza Szafii, krewniak Mudiego, był anestezjologiem w Szwajcarii. Jego cykliczne odwiedziny u rodziców stanowiły okazję do wielkich uroczystości, a gdy dostaliśmy zaproszenie na obiad wydany na jego cześć, Mudi wpadł w zachwyty. Ponieważ pracował w szpitalu i zamierzał otworzyć prywatną praktykę, fachowe rozmowy były dlań najważniejsze. Pragnęliśmy wręczyć Rezie Szafii specjalny prezent, więc Mudi polecił mi, żebym wzięła Mahtab i kupiła go. Wydał bardzo szczegółowe instrukcje w pewnym sklepie cukierniczym, gdzie mieli orzeszki pistacjowe, by sporządzono ozdobną kompozycję. Przybyliśmy tam z Mahtab w upalne popołudnie i stwierdziłyśmy, że jest zamknięty z powodu przerwy na modły.

- Zaczekajmy tam • - powiedziałam, wskazując cień drzew po przeciwnej stronie ulicy. - Jest strasznie gorąco.

Czekając zauważyliśmy w pewnej chwili oddział pasdarów, czających się na ulicy. Składał się z białej ciężarówki-pikapa, wypełnionej mężczyznami w mundurach, i pakonu, w którym siedziały cztery policjantki. Odruchowo podniosłam dłoń do czoła z satysfakcją stwierdzając, że żaden zabłąkany kosmyk włosów nie wysunął się spod rusari. Tym razem mnie nie dostaną - powiedziałam sobie w duchu.

217

Po jakimś czasie zmęczyło nas czekanie, więc przeszliśmy na drugą stronę, by sprawdzić, czy coś wskazuje na to, że sklep zostanie wkrótce otwarty. Gdy tylko znalazłyśmy się na ulicy, pakon ruszył z kopyta i z piskiem opon zatrzymał się tuż obok nas. Cztery pasdarki wyskoczyły w mgnieniu oka i otoczyły nas. Mówiła tylko jedna:

- Nie jesteś Iranką? - spytała oskarżycielsko po persku.

- Nie.

- Skąd przyjechałaś?

- Z Ameryki - odpowiedziałam po persku. Mówiła do mnie szybko ostrym tonem, wystawiając na ciężką próbę

moją ograniczoną znajomość języka.

- Nie rozumiem - wyjąkałam. To jeszcze bardziej rozżłościło pasdarkę.

Wyładowywała na mnie i

swą furię w tym niezrozumiałym dla mnie języku, dopóki mała Mahtab nie zdołała przetłumaczyć jej słów:

- Chce wiedzieć, dlaczego nie rozumiesz - wyjaśniła. - Mówi, że na początku dawałaś sobie radę po persku.

- Powiedz jej, że rozumiem tylko kilka słów. To nieco udobruchało pasdarkę, nadal jednak trajkotała, a Mahtab f

tłumaczyła.



- Zatrzymała cię, bo twoje skarpety opadają. Podciągnęłam więc moje nieprzyzwoite skarpety, a pasdarka od-

maszerowała, zostawiając Mahtab na odchodnym instrukcję:

- Powiedz swojej matce, żeby nigdy nie wychodziła na ulicę i w opadających skarpetach.

Tak więc, przykładnie ukarana, nabyłam pistacje, a w drodze powrotnej uprzedziłam Mahtab, by nie mówiła ojcu o tym incydencie. { Wolałam, żeby Mudi nie dowiedział się o czymś, co mogłoby skłonić go do ograniczenia naszej swobody. Mahtab zrozumiała.

Tego wieczora udaliśmy się do domu Arnu (stryjka) Szafii w dzielnicy Geisza, by przekazać mu pistacje dla syna Rezy. Było tam pięćdziesiąt j lub sześćdziesiąt osób.

Późnym wieczorem, kiedy już niektórzy goście wyszli, a my zamierzaliśmy pójść w ich ślady, nagle rozległ się złowieszczy jęk syren. I Zgasło światło. Przytuliłam do siebie Mahtab i obie wcisnęłyśmy się pod ścianę wraz z czterdziestoma innymi gośćmi.

Czekaliśmy w pełnej napięcia ciszy na odgłos artylerii przeciwlot-1 niczej, która niechybnie zacznie strzelać. Z oddali słychać było tylko przerażający warkot zbliżających się samolotów, ale artyleria milczała.

- Niedobrze - ktoś powiedział. - Może skończyła się nam amunicja. Atakujące samoloty huczały niemal tuż nad nami, niepokojąco

blisko. Huk eksplozji ogłuszył mnie, doznałam przez ułamek sekundy niesamowitego wrażenia, że ciemny upiór przesunął się przez pokój, pozostawiając za sobą chłód i bezradność. Ściana grzmotnęła mnie

218

w plecy, obie z Mahtab poleciałyśmy przed siebie. Zabrzęczały filiżanki. Słychać było tłukące się szkło.

Zanim cokolwiek zdołaliśmy uczynić, wstrząsnął nami drugi, a potem trzeci wybuch. Dom zadygotał. Wokół sypał się tynk. Doszły mnie z boku krzyki, ale zdawały się dziwnie słabe. Czekaliśmy w ciemności na zawalenie się stropu nad

naszymi głowami. Mahtab płakała rozpaczliwie. Mudi kurczowo ścisnął moją dłoń.

Czekaliśmy bezradni, wstrzymując oddechy, walcząc z panicznym strachem.

Stopniowo wszystko zaczęło wracać do normy. Upłynęły długie minuty, nim ktokolwiek zdał sobie sprawę, że ryk silników samolotowych i piekielny odgłos eksplozji bomb zastąpiły syreny karetek pogotowia. Z zewnątrz dochodziły krzyki ofiar.

- Na dach! - zawołał ktoś i wszyscy jak jeden mąż pobiegliśmy na płaski dach. Miasto było zaciemnione, lecz łuny pożarów i reflektory ambulansów, samochodów policyjnych i wozów strażackich oświetlały panoramę spustoszonych dzielnic. Starając się przebić wzrokiem gęsty dym i kurz, dojrzeliliśmy wszędzie wokół nas śmierć i zniszczenie. Okoliczne budynki zamieniły się w otwarte kratery na powierzchni ziemi. Noc czuć było prochem i spalonym mięsem. Na ulicy pod nami rozhisteryzowani mężczyźni, kobiety i dzieci biegali jak dotknięci szaleństwem, krzycząc, płacząc, szukając rozproszonych rodzin.

Kilku mężczyzn udało się na pobliską ulicę, by zasięgnąć wiadomości. Powrócili z wieścią, że wszystkie ulice są zamknięte dla ruchu - z wyjątkiem karetek i wozów strażackich. Nie wydostaniemy się stąd dzisiejszej nocy - powiedział jeden z nich.

Koczowaliśmy na podłodze domu Arnu Szafii, obie z Mahtab dziękowałyśmy Bogu, że nas ocalił. Ponowiliśmy nasze gorące modły o wyzwolenie.

Następnego ranka ulice nadal były zamknięte, ale po Mudiego przysłano ze szpitala ambulans. Kiedy on zajęty był przez cały dzień opatrywaniem ofiar nalotu, my - uwięzieni w domu - spekulowaliśmy na temat braku reakcji artylerii przeciwlotniczej poprzedniej nocy. Wielu wyrażało pesymistyczny pogląd, że władzom skończyła się amunicja. Jeśli była to prawda, to wkrótce rozpęta się nad nami nowe piekło.

Te pogłoski musiały roznieść się po mieście, po południu bowiem rządowa stacja telewizyjna przekazała oświadczenie mające na celu wyciszenie plotek. O ile zdołałam zrozumieć, spikerzy prosili ludność, by się nie niepokoiła. Przyczyną

braku reakcji artylerii przeciwlotniczej było to, że rząd próbował innych środków. Nie powiedziano jednak jakich.

Wieczorem Mudi powrócił do domu Arnu Szafii. Dzielnica nadal była zamknięta dla ruchu z wyjątkiem pogotowia ratunkowego, tak

219

więc i tę noc spędziliśmy tutaj. Był zmęczony i rozdrażniony po całym dniu anestezjologicznego nadzorowania operacji licznych rannych, przywożonych karetkami. Przyniósł przynębiające informacje o bardzo wielu ofiarach nalotu. W jednym tylko domu - pełnym gości urodzinowych - zginęło siedemdziesięcioro dzieci.

Reza Szafii zmuszony był opóźnić swój powrót do Szwajcarii, a tego wieczoru przedstawił Mudiemu pewien projekt:

- Nie możesz pozwolić, by Betty i Mahtab pozostały tutaj - powiedział. - Tu jest dla nich zbyt niebezpiecznie. Pozwól mi zabrać je do Szwajcarii. Dopilnuję, by zawsze były ze mną. Nie pozwolę im niczego zrobić.

Do jakiego stopnia Reza Szafii orientował się w mojej sytuacji? - zadawałam sobie pytanie. Czy naprawdę zamierzał pilnować nas w Szwajcarii, a może tylko pragnął rozwiać obawy Mudiego, że uciekniemy? Dla mnie nie miało to znaczenia, ponieważ byłam pewna, że ze Szwajcarii będziemy mogli wrócić do Ameryki.

Jednakże Mudi zgasił tę słabą isierkę nadziei w jednej chwili:

- Nie, w żadnym razie - burknął. Wolał raczej narazić nas na niebezpieczeństwa związane z wojną.

W domu Arnu Szafii spędziliśmy jeszcze dwa dni, nim ratownicy zdołali pozbierać wszystkich rannych i zmarłych. Informacje rządu brzmiały z każdym dniem coraz bardziej tajemniczo. Reporterzy przekazywali wiadomości, że powodem milczenia artylerii przeciwlotniczej było to, że obecnie Iran dysponuje najnowocześniejszymi rakietami typu powietrze-powietrze, o wiele skuteczniejszymi niż artyleria. Jeden z komentatorów powiedział, że ludzie zdziwią się, gdy się dowiedzą, skąd pochodzą owe rakiety.

Ameryka? Rosja? Francja? Izrael? Wszyscy spekulowali, lecz Mudi był pewien, że nowa broń pochodzi ze Stanów Zjednoczonych. Z powodu embarga na dostawy broni - mówił - prawdopodobnie przekazują ją przez kraj trzeci, każąc płacić Iranowi wyższe ceny. Mudi był pewien, że chciwi amerykańscy handlarze bronią nie mogą lekceważyć klienta o tak nienasyconych potrzebach.

Nie wiedziałam ani też nie troszczyłam się o to, skąd pochodzą rakiety, modliłam się tylko, żeby nie trzeba ich było używać.

W kilka dni po powrocie do mieszkania Mammala, nastąpiły nowe j wydarzenia. Rząd obiecywał srogie odwet na Iraku za zbombardowanie I Geiszy, a teraz oznajmił, że dokonano ataku na Bagdad przy użyciu I nowej broni, rakiet ziemia-ziemia, które dosięgnąć mogą Bagdadu z terytorium Iranu, bez pomocy lotnictwa.

Informacja o tej drugiej broni stała się pożywką dla dalszych spekulacji co do źródła zaopatrzenia Iranu w tak skomplikowane urządzenia. Rząd oznajmił triumfalnie, że ta nowa broń wyprodukowana | została właśnie tu - w Iranie. Mudi wyraził swój sceptycyzm.

220

Pewnego dnia Mudi pozwolił, byśmy z Mahtab towarzyszyły Essej i Mariam podczas zakupów lekkiej odzieży dla dziewczynek. Po całym przedpołudniu biegania po sklepach, najęłyśmy w drodze do domu pomarańczową taksówkę i wszystkie cztery wpełnęłyśmy się na przednie siedzenie. Znajdowałam się w środku z Mahtab na kolanach. Taksówkarz ruszył, a gdy manewrował przekładnią biegów, poczułam, że dłonią gładzi moją nogę. W pierwszej chwili sądziłam, że to przypadek, ale gdy przepychaliśmy się zatłoczoną jezdnią, jego dłoń wędrowała coraz wyżej, aż do uda.

Był to cuchnący, wstrętny mężczyzna, łypał na mnie pożądliwie kątem oka. Mahtab zajęta była Mariam, więc skorzystałam z okazji i dźgnęłam go łokciem w żebra. To go tylko rozochociło. Położył dłoń na mojej nodze i miętosił. A potem dłoń błyskawicznie zaczęła wędrować coraz wyżej.

- Motaszakker indza! - Proszę tu zatrzymać! - zawołałam. W ten sposób powiadamięło się taksówkarzy, gdy dotarło się do miejsca przeznaczenia.

Taksówkarz wcisnął hamulec.

- Nic nie mów, tylko prędko wysiadaj - powiedziałam do Essej. Wypchnęłam ją i dziewczynki na chodnik, sama gramoląc się za nimi.

- Co się stało? - spytała. - Przecież nie tu jechałyśmy?

- Wiem - odparłam. Trzęsłam się cała. Powiedziałam dziewczynkom, żeby obejrzały wystawy, a gdy odeszły, wszystko wyznałam Essej.

- Słyszałam o takich przypadkach - powiedziała. - Mnie się nigdy nic takiego nie zdarzyło. Sądzę, że oni traktują w ten sposób tylko cudzoziemki.

Uniknąwszy jednej nieprzyjemności, zdałam sobie sprawę z następnej.

- Essej - błagałam - proszę, nie mów o tym Mudiemu, bo jak się dowie, to nie pozwoli mi wychodzić do miasta. Bardzo cię proszę, nie mów o tym także Rezie.

Essej zadumała się nad moją prośbą, i po chwili kiwnęła potakująco głową.

Pogarszanie się stosunków Mudiego z jego irańską rodziną dało mi wiele do myślenia. Starając się zrozumieć tego człowieka w miarę możliwości jak najlepiej, by być przygotowaną na kontratak, badałam szczegóły jego życiorysu. Wyjechał do Anglii, gdy tylko osiągnął pełnoletność. Po kilku latach spędzonych tam, przeniósł się do Ameryki. Uczył w szkole, ale porzucił tę pracę, by studiować na politechnice. Potem - już jako inżynier - przeniósł się na medycynę. Następnie były trzy lata w Corpus Christi, dwa w Alpenie i rok w Detroit - po czym zburzył spokojny byt przywożąc nas do Teheranu. A teraz znów, po prawie roku, w jego życiu zapanował chaos.

221

Nie mógł się ustabilizować. Umiał zachować życiową równowagę jedynie przez jakiś czas, a potem znów zmieniał miejsce. Zawsze z pozoru istniały przyczyny obiektywne, coś, na co mógł rzucić winę. Lecz teraz - ponieważ - dostrzegłam, że w każdym przypadku przyczyna tkwiła w nim samym. To było maniactwo, które nie pozwoliło mu zaznać spokoju.

Co zatem uczyni następnym razem? - zastanawiałam się. Wydawało się, że nie ma dla niego wyjścia. Coraz wyraźniej dawał do zrozumienia, że to ja byłam

jego jedynym przyjacielem i sprzymierzeńcem. Stanęliśmy razem, osamotnieni wobec okrutnego świata.

Te wszystkie fakty dawały mi - nikłą, co prawda - nadzieję, że skłonny będzie podjąć decyzję o powrocie do Ameryki, ale istniały pewne przeszkody.

Któregoś wieczoru, na próbę, zahaczyłam o temat powrotu do Ameryki. Mudi spochmurniał raczej, niż się rozgniewał. Opowiedział mi historię, w którą, jak się wydawało, wierzył, a która mnie wydała się wielce dziwaczna:

- Pamiętasz doktora Modżallali? - spytał.
- Oczywiście - odparłam. Doktor Modżallali był przyjacielem Mudiego w Corpus Christi, zanim - wkrótce po zajęciu ambasady USA j w Teheranie - on i Mudi gwałtownie zerwali stosunki.
- Pracował dla CIA - stwierdził. - Chciał, abym i ja pracował dla CIA, bym buntował irańskich studentów przeciwko Chomejnemu. Naturalnie odmówiłem. Ale teraz nie mamy już czego szukać w Ameryce, j Jeśli tam wrócę - zabiją mnie. CIA mnie śledzi.
- To nieprawda! - zaprotestowałam. - To ty tak mówisz.
- To jest prawda! - krzyknął.

Nie ciągnęłam już tej sprawy, widząc jego rosnące rozdrażnienie.<sup>1</sup> Nie sądziłam, by był na tyle ważną osobą, żeby znaleźć się na „liście do odstrzału” CIA, lecz on najwyraźniej miał inne zdanie na ten temat. Tak więc ten urojony powód kazał mu pozostawać w Iranie.

Poznałam w końcu inną, z pewnością najważniejszą przyczynę, uniemożliwiającą Mudiemu powrót do USA. Pewnego dnia Mudi pozwolił mnie i Mahtab wyjść po zakupy, weszłam więc do sklepu Hamida i zatelefonowałam do ambasady, do Helen. Rozmawiałam z nią o szansach powrotu Mudiego do Stanów.

Nie może wrócić. Skończyła się ważność jego karty stałego pobytu - powiedziała.

Tak więc mógłby obecnie powrócić do Ameryki tylko wówczas, gdybym ja - jego żona - wyraziła na to zgodę. Na pewno bym tak zrobiła, choćby po to, abyśmy

obie z Mahtab także mogły wrócić do domu, ale proszenie mnie o zgodę zraniłoby jego męską ambicję.

A więc o to chodziło. Zbyt długo czekał. Jego wspaniały plan zawalił się. To Mudi jest teraz uwięziony w Iranie!

222

Pewnego dnia w „The Khayan” wyczytałam ogłoszenie agencji wynajmującej mieszkania cudzoziemcom.

- Chyba mówią po angielsku - powiedziałam Mudiemu - może powinnam skontaktować się z nimi?

- Dobrze, zadzwoń do nich - odparł.

Telefon odebrała kobieta mówiąca doskonale po angielsku, była zachwycona dowiedziawszy się, że amerykańskie małżeństwo poszukuje lokum. Umówiliśmy się na następnego dnia późnym popołudniem, gdy Mudi skończy już dyżur w szpitalu.

Podczas kolejnych popołudni pośredniczka pokazała nam kilka mieszkań, które były czyste, jasne, umeblowane w eleganckim, zachodnim stylu. Żadne jednak nam nie pasowało. Jedne były zbyt małe, inne znów zbyt odległe od szpitala. Wiedzieliśmy jednak, że tym razem dobrze trafiliśmy. Domy i mieszkania należały do inwestorów przebywających za granicą lub do kulturalnych Irańczyków, którzy pragnęli, by wynajęte lokale były utrzymywane w dobrym stanie. Z tego powodu nie chcieli wynajmować ich swoim ziomkom.

Wiedzieliśmy, że wcześniej czy później znajdziemy odpowiednie miejsce, lecz godziny pracy Mudiego ograniczały nas w czasie, wobec tego pośredniczka zaproponowała logiczne rozwiązanie. Nieświadoma układów w naszym małżeństwie, spytała prostodusznie:

- A może by Betty chodziła ze mną w dzień. W ten sposób możemy obejrzeć o wiele więcej mieszkań, a jeśli coś się jej spodoba, to wówczas pan by to zobaczył.

Spojrzałam na Mudiego, ciekawa jego reakcji.

- Dobrze - powiedział.

Później, gdy zostaliśmy sami, nie omieszkął uściślić swej zgody następująco:

- Ona musi po ciebie przyjechać. Będziesz z nią cały czas. A potem musi cię przywieźć z powrotem do domu.

223

- W porządku - odparłam. Powoli, bardzo powoli rozluźniały się krępujące mnie pęta.

Następnego dnia znalazłam wspaniałe mieszkanie, najodpowiedniejsze - zważywszy okoliczności. Był to przestronny, dwupoziomowy apartament, największy z trzech w budynku. Położony był w północnej części Teheranu, gdzie wszystkie domy były z reguły nowsze i czystsze, tylko około 15 minut jazdy taksówką od szpitala.

Dom zbudowano za panowania szacha, zaś mieszkanie, które mnie interesowało, zostało ładnie urządzone włoskimi meblami. Były tam wygodne kanapy i fotele, elegancki komplet w jadalni, nowoczesne sprzęty w kuchni. Telefon już zainstalowano, nie musieliśmy więc zapisywać się na nie kończącej się liście oczekujących. Od frontu znajdował się obszerny, pokryty soczystą trawą, dziedziniec z dużymi basenem.

Apartament obejmował większą część powierzchni dwu kondygnacji, i miał doskonały rozkład w dwu skrzydłach, które pośredniczka nazywała! willami, dzięki czemu można było urządzić Mudiemu gabinet. Willa po prawej stronie, na tyłach domu, mogła stanowić naszą siedzibę, i natomiast frontowa część nadawała się znakomicie na gabinet przyjęć. Szerokie drewniane drzwi oddzielały jedno skrzydło od głównej części j apartamentu, tworząc zarówno poczekalnię, jak i sam gabinet.

Duża sypialnia oraz pokój dla Mahtab znajdowały się na wyższe» kondygnacji, tam też była ogromna łazienka z wanną, prysznicem i toaletą w zachodnim stylu. Nasza sypialnia przylegała do mniejszego j apartamentu, położonego tyłem do ulicy.

Wieczorem Mudi przyszedł wraz ze mną obejrzeć apartament i on także» z miejsca zachwycił się nim. Bez żadnych sugestii z mojej strony zauważył że to



znakomite miejsca dla lekarza na urządzenie prywatnego gabinetu. I A ja wiedziałam, że jest to również znakomite miejsce dla ???i?? planów. Tutaj, będąc panią we własnym domu, i jako małżonka doktora, zdobędę jeszcze więcej swobody. Mudi nie będzie w stanie kontrolować moich ruchów lub trzymać mnie z dala od telefonu. Nie będzie żadnych mieszkających z nami szpiegów, nie będzie sposobu, by j trzymać mnie pod kluczem.

Trochę niepokoiło mnie to, że w pewnym stopniu zaczynamy się na dobre instalować, martwiło mnie też, że nie mogę powiedzieć Mahtab, iż ten nowy dom nie będzie domem na stałe. Nie mówiła już o powrocie do Ameryki. Dostrzegałam w jej oczach marzenie o tym, ale nie śmiała ujawnić swoich pragnień nawet wówczas, gdy byliśmy same.

Przeprowadzka, finansowana przez Madżida i Mammala, nastąpiM w końcu czerwca. Obaj też dali Mudiemu sporą sumę gotówką, by I mógł nabyć niezbędne przedmioty: ręczniki, koce, poduszki, zastawę stołową, garnki i żywność.

Inni krewniacy także nam pomogli, zadowoleni, że wreszcie urządl

wes

rozmowom To, co usl;

- Jak tw
- No, Sza ni si
- To z kimś la! i ona ? niezadowo Bet lv jej nie

Nic/byt zgodzi/ się

- Tak.

- Pi

długo lu Mudi wzm

dzamy się na swoim. Aby uczcić nasze pogodzenie się, aga i chanum Hakim zaprosili nas na kolację, zgotowawszy Mudiemu niespodziankę, która później okazała się dla mnie bardzo obiecującym wydarzeniem. Gdy weszliśmy do ich domu, Mudi nagle rozpromienił się na widok dwóch nieoczekiwanych gości.

- Szamsi! Zari! - wołał radośnie.

Były to siostry, które wychowywały się w Szusztar obok domu Mudiego. Stracił z nimi kontakt po wyjeździe z Iranu, a teraz nie posiadał się z radości, że znów je widzi. Z miejsca polubiłam Szamsi Nadżafi, i to zanim jeszcze poznałam szczegóły jej życia. Szamsi nosiła czador, ale zupełnie innego rodzaju niż te, jakie dotąd widziałam. Jej czador uszyty był z przezroczystej koronki - mijając się tym samym z celem. Pod nim Szamsi nosiła czarną spódniczkę i różowy sweterek - według zachodniej mody. I rozmawiała ze mną uprzejmie nieskazitelną angielszczyzną.

Mudi był zachwycony dowiedziawszy się, że mąż Szamsi jest chirurgiem w jednym z prywatnych szpitali w Teheranie.

- Może doktor Nadżafi załatwi ci tam pracę - zauważył aga Hakim. W trakcie rozmowy dowiedziałam się czegoś, co mnie ucieszyło:

Szamsi i Zari przez dziesięć miesięcy w roku mieszkały w Ameryce. Doktor Nadżafi dzielił swój czas pomiędzy oba kraje: tu przyjeżdżał, by pobierać niebotyczne honoraria praktykując prywatnie, a sześć miesięcy w roku spędzał w Kalifornii, uczestnicząc w seminariach i studiując; chwalił sobie amerykańską swobodę i czystość. Zari była o piętnaście lat starsza od Szamsi. Była wdową, obecnie mieszkała z siostrą. Jej angielszczyzna nie była taka gładka, jak u Szamsi, ale i ona była wobec mnie bardzo miła. Obie kobiety uważały się za Amerykanki. Siedzieliśmy na podłodze jedząc kolację, ja przysłuchiwałam się rozmowom prowadzonym częściowo po persku, częściowo po angielsku. To, co usłyszałam, bardzo przypadło mi do gustu. Zari spytała Mudiego:

- Jak twoja siostra odnosi się do Betty?

- No, nie wszystko się między nimi dobrze układa - odparł. Szamsi zaatakowała Mudiego:

- To nie w porządku z twojej strony narażać żonę na kontakty z kimś takim, jak twoja siostra - powiedziała. - Wiem jaka jest, Betty i ona nigdy nie znajdą wspólnego języka. Ona zawsze będzie z Betty niezadowolona. Obie kultury są zbyt odmienne. Jestem przekonana, że Betty jej nie cierpi.

Niezbyt przejęty przyganą ze strony kobiety, Mudi jednakowoż zgodził się z nią:

- Tak. To nie było w porządku - odparł.

- Powinniście wrócić do domu - mówiła Szamsi. - Dlaczego tak długo tu mieszkacie?

Mudi wzruszył ramionami w odpowiedzi.

! 5 — Tylko razem z córką

225

- To błąd - ciągnęła - nie bądź niemądry. Wracaj. Zari potakiwała siostrze.

Mudi ponownie wzruszył ramionami, nic nie mówiąc. Powinniśmy więcej czasu spędzać z tymi ludźmi - pomyślałam. Mm wyszliśmy, Mudi powiedział serdecznie:

- Musicie przyjść do nas na kolację.

A w drodze powrotnej pragnęłam się upewnić, czy zaproszenie to było czymś więcej niż taarof.

- Wiesz, naprawdę bardzo mi się podobali - powiedziałam. - ZsM prosimy ich jak najszybciej.

- Dobrze - zgodził się, ukontentowany dobrym jedzeniem i spot\* kaniem z przyjaciółmi. - Mieszkają blisko, cztery domy od nas.

W końcu przełożony Mudiego w szpitalu oznajmił, że wypłacono już jego pobory. Pieniądze zostały przekazane na rachunek w banku znajdującym się obok szpitala. Aby podjąć pieniądze, Mudi musiał jedynie powołać się na właściwy numer identyfikacyjny.

Podniecony od razu poszedł do banku, by podjąć pierwszą pensję po prawie rocznym pobycie w Iranie. W banku jednakże poinformowano go, że na rachunku nie ma pieniędzy.

- Ależ my złożyliśmy tam pieniądze - zapewniał Mudiego szef administracyjny szpitala.

- Nie ma pieniędzy na rachunku - uparcie twierdził bank. Mudi kilkakrotnie wędrował w tę i z powrotem między obiema

instytucjami, coraz bardziej zły, w końcu jednak zrozumiał przyczynę nieporozumienia. Biurokracja. Księgowość w Iranie robi się ręcznie. Wpadł we wściekłość dowiedziawszy się, że na swoje pieniądze będzie musiał poczekać jeszcze około dziesięciu dni.

Opowiadał mi tę historię gotując się z wściekłości, wykrzykując przy tym godną uwagi opinię:

- Żeby doprowadzić do ładu ten parszywy kraj, trzeba by ???? atomowej! Zetrzeć go z mapy i zacząć od nowa!

Miał jeszcze więcej powodów do gniewu potem, bo gdy pieniądze wreszcie nadeszły, okazało się, że kwota jest o wiele mniejsza niż mu obiecywano. Ponadto szpital stosował szczególny system spłaszczania płac. Mudi obliczył, że może zarobić tyle samo, pracując dwa dni w tygodniu, jak i w obecnym sześciodniowym cyklu dyżurów. Powiadomił więc szpital, że będzie pracował tylko we wtorki i środy. Zyskał w ten sposób czas dla swojej prywatnej lecznicy.

Umocował na drzwiach tabliczkę, na której po persku było napisane: „Dr Mahmudi. Amerykański dyplom i praktyka. Specjalizacja - łagodzenie bólu”.

226

Jego siostrzeniec, Morteza Ghodsi, prawnik z zawodu, wpadł do naszego domu i nakrzyczał na Mudiego, ujrawszy tę tabliczkę:

- Nie rób tego! - mówił przejęty. - To ryzykowne otwierać praktykę bez zezwolenia. Zaresztują cię.

- Mało mnie to wzrusza - odparł Mudi. - Czekałem tyle czasu, a nikt palcem nie kiwnął w sprawie mojego zezwolenia. Nie myślę dłużej czekać.

-k

Jeśli nawet Mudi żywił obawy, że Mahtab i ja możemy próbować mu się wymknąć, to i tak nie mógł zastosować żadnej formy uwięzienia. Teraz potrzebował nas bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Byłyśmy jego rodziną; byłyśmy jedynymi ludzkimi istotami, jakie miał. Jakkolwiek z racjonalnego punktu widzenia mogłoby to wyglądać na szaleństwo - teraz był zmuszony ufać naszej miłości i przywiązaniu. A to stwarzało szansę.

Niedaleko od domu znajdowała się duża ulica, a przy niej trzy sklepy, gdzie codziennie musiałam robić zakupy. Mijałam nasz dom, przechodziłam na drugą stronę, następnie jeszcze jeden budynek - i już byłam na miejscu.

Jeden z tych sklepów był supermarketem, choć nieporównywalnym z podobnymi centrami w Ameryce, można tam było jednak kupić podstawowe produkty, o ile były w sprzedaży. Zawsze mieli fasolę, ser, keczup i przyprawy. W określone dni sprzedawali mleko i jajka. Drugi sklep specjalizował się w sabzi - zieleninie. W trzecim handlowali mięsem.

Mudi utrzymywał przyjacielskie stosunki z właścicielami tych trzech sklepów. Wraz z rodzinami leczyli się u niego za darmo. W rewanżu informowali nas, ilekroć były dostawy rzadkich i trudno osiągalnych produktów, zatrzymywali także dla nas najlepszy towar.

Prawie codziennie zносиłam sklepikarzom sterty gazet i kawałki sznurków, używanych do zawiązywania żywności. Aga Reza, właściciel „supermarketu”, powiedział kiedyś:

- Jest pani najlepszą kobietą w Iranie. Irańskie kobiety są zazwyczaj rozrzutne.

Wszyscy trzech sklepikarze nazywali mnie „Chanum Doktor” i zawsze znalazł się jakiś chłopak, który zaniósł do domu moje zakupy.

Mudi pragnął, by ziściło się jego marzenie o życiu cieszącego się powodzeniem lekarza, wykształconego w Ameryce, kulturalnego profesjonalisty, który wyrasta ponad nędzę otaczającego go świata, ale brakowało mu czasu na zajęcie się szczegółami. Powierzył mi więc swoje pieniądze.

- Kup, co potrzeba - powiedział. - Urządź dom. Urządź ten gabinet.

Taki podział zadań oznaczał borykanie się z codziennymi kłopotami, które dla mnie - cudzoziemki żyjącej w czternastomilionowym mieście, pełnym czasami wrogo nastawionych i zawsze nieobliczalnych ludzi - nie było łatwe. Nie słyszałam o żadnej kobiecie - Irance, Amerykance czy innej cudzoziemce - ictóra naraża/aby się na ryzyko regularnych<sup>1</sup> wypraw do centrum Teheranu bez opieki mężczyzny, czy przynajmniej towarzystwa innej dorosłej kobiety.

Pewnego dnia Mudi poprosił, bym odwiedziła w mieście sklep należący do ojca Maluk, która opiekowała się Mahtab wówczas, gdy Mudi zabrał mi ją. Chciał, żebym kupiła ręczniki oraz płótna na prześcieradła - luksusy, które plasowałyby nas pośród elity.

- Pojedziesz autobusem - poradził. - To daleko, a autobus jest za darmo.

Dał mi cały arkusz biletów autobusowych, które nieodpłatnie dostawali pracownicy instytucji państwowych.

Nie zależało mi na tym, by zaoszczędzić Mudiemu kilka riali, ale przecież chciałam mieć dostęp do wszelkich środków komunikacji, tak więc obie z Mahtab zastosowałyśmy się do jego polecenia. Najpierw musiałyśmy dojść do ulicy Pasdaran - głównej arterii komunikacyjnej - i taksówką dojechać do przystanku opodal domu Mammala. Wsiadłyśmy tam do pojazdu, który przypominał bardziej amerykańskie Greyhoundy, kursujące na długich trasach, niż zwykłe miejskie autobusy. Miejsca siedzące były zajęte, w przejściu także tłoczyli się pasażerowie.

Wyprawa do centrum zajęła ponad godzinę. Autobus często przystawał, za każdym razem wylewały się z niego tłumy, a nowe pakowały się do środka. Nikt nie czekał cierpliwie na swoją kolej; wszyscy naraz usiłowali wysiąść lub wsiąść, przepychając się łokciami i obrzucając wyzwiskami.

Wreszcie znalazłyśmy sklep i zrobiłyśmy zakupy. Po tym wszystkim obie byłyśmy zupełnie wykończone. Obładowane pakunkami, przepychałyśmy się przez tłum na zatłoczonych ulicach, w końcu udało się nam dotrzeć do dworca autobusowego. Nie mogłam odnaleźć autobusu z tym numerem, jaki - według Mudiego - był dla nas odpowiedni, i zaczynałam się już niepokoić. Dla mnie było niezmiernie ważne wywiązanie się z tego zlecenia bez zarzutu. Gdyby się nie

powiodło, Mudi uzna, że nie potrafię samodzielnie zajmować się takimi sprawunkami. Gorzej - może coś podejrzewać, jeśli spóźnię się bez podania przyczyny.

Przerażenie w moich oczach musiało być widoczne, bo pewien Irańczyk spytał:

- Chanum, cze michahid? - Czego pani szuka?
- Sajjed Chandan - powiedziała. To była dzielnica, w której mieszkał Mammal, skąd mogłam już dojechać do domu pomarańczową taksówką. Wskazałam na autobus: Sajjed Chandan?

228

-Na- odparł, kręcąc przecząco głową. Gestem polecił mi i Mahtab, byśmy poszły za nim i poprowadził nas do pustego autobusu: Sajjed Chandan - powiedział.

Skinęłam mu w podzięcie. Wdrapałyśmy się z Mahtab do środka, przeszkadzały mi w tym wydatnie paczki, którymi byłam objuczona. Mając do wyboru wszystkie wolne miejsca, wybrałyśmy pierwsze z brzegu, tuż za kierowcą.

Autobus wkrótce zapełnił się pasażerami do Sajjed Chandan. Ku memu zaskoczeniu mężczyzna, który wskazał nam autobus, także do niego wsiadł i zajął miejsce za kierownicą. Przypadkiem okazał się kierowcą autobusu.

Podalam mu bilety, ale tylko machnął ręką. Żałowałam, że właśnie te miejsca wybrałyśmy, bo kierowca był szczególnie nieapetycznym człowiekiem. Miał krótko obcięte i czyste włosy, ale to była jedyna schludna rzecz. Bo jego ubranie wyglądało i pachniało tak, jakby nie prano go miesiącami.

Gdy nastąpiła pora odjazdu, kierowca poszedł wąskim przejściem na tyły autobusu i zaczął zbierać bilety. Nie zwracałam nań uwagi. Mahtab była zmęczona i kaprysiła. Ciężyły nam paczki. Wierciłyśmy się, chcąc znaleźć wygodniejszą pozycję na fotelu.

Kierowca dotarł do przedniej części autobusu i wyciągnął rękę. Gdy podawałam mu bilety, chwycił moją dłoń i ścisnął przez chwilę, a potem powoli przesunął rękę wraz z biletami po mojej. To przywidzenie - pomyślałam. Irańczycy nie dotykają kobiet w ten sposób. Zapomniałam o tym incydencie, pragnąc tylko wrócić z Mahtab jak najszybciej do domu.

Moja córka zasnęła i drzemała przez całą drogę aż do końca linii na Sajjed Chandan. Jakżeż ja ją zaniosę do domu z tymi wszystkimi pakunkami - zastanawiałam się. Próbowałam ją obudzić.

- No, Mahtab - przemawiałam łagodnie - pora wysiadać. Ani drgnęła. Spała głęboko.

Wszyscy pasażerowie już wysiedli. Zobaczyłam, że kierowca czeka na nas. Uśmiechał się wyciągając ręce, dając do zrozumienia, że wyniesie Mahtab z autobusu. Bardzo to miłe z jego strony - pomyślałam.

Uniósł Mahtab i - ku memu zaskoczeniu - przytknął obleśnięte wargi do jej policzka, całując śpiące dziecko.

Rozejrzałam się dokoła w nagłym przestroniu. W pustym autobusie było ciemno, przejście wąskie. Pozbierałam pakunki i ruszyłam do wyjścia.

Kierowca, trzymając na jednym ręku Mahtab, drugą zastawił mi wyjście. Bez słowa pochylił się ku mnie, napierając całym ciałem.

- Bebachszid - przepraszam - powiedziałam. Wyciągnęłam ręce i wyrwałam Mahtab z jego objęć. Próbowałam go wyminąć, ale wyciągnął ręce i zatarasował przejście. Nadal nic nie mówił i wciąż napierał na mnie wstrętnym, obrzydliwie cuchnącym ciałem.

229

Teraz przestraszona nie na żarty, zastanawiałam się, co by mi mogło posłużyć jako broń, rozważałam, czy by go nie kopnąć w krocze, byłam półomdlała ze zmęczenia i obrzydzenia.

- Gdzie mieszkasz? - spytał po persku - pomogę ci pójść do domu. Wyciągnął łapę i położył mi ją na piersi.

- Bebac/isz/d- krzyknęłam najgłośniejszym głosem, jaki mogłam. Dzięki nagłemu przyptykowi energii i udanemu manewrowi łokciem, przepchnęłam się j obok niego i wygramoliłam się wraz ze śpiącą wciąż Mahtab z autobusu, i

Temat związany z niebezpieczeństwami życia w zubożałym mieście, pełnym uciekinierów, powrócił znowu podczas mojej wizyty u Ellen następnego dnia. Ellen i ja przestrzegałyśmy niepisanego rozejmu. Mimo jej gróźb



zadenuncjowania mnie w imię powinności muzułmanki, zarówno ona, jak i Hormoz czynili wszystko, co w ich mocy, by ułatwić mi życie w najtrudniejszych momentach. Nigdy nie nalegali, bym wyznała Mudiemu moje plany ucieczki. Choć różniłyśmy się filozofią życia, to jednak nadal wiele nas łączyło, w końcu obie byłyśmy Amerykankami.

Zrobiło się już prawie ciemno, zaczęłam gotować się do wyjścia, i

- Sama nie pojedziesz - powiedziała Ellen.
- Ależ mnie to nie przeszkadza - odparłam.
- Wykluczone. Hormoz cię odwiezie.
- Nie, nie chcę sprawiać mu kłopotu. Dam sobie radę. złapię taksówkę.
- Nie pozwolę ci wyjść samej. - Potem wyjaśniła mi powody takiej ostrożności:
- Wczoraj w sąsiedztwie zamordowano dziewczynę. Znaleźli ją niedaleko stąd. Miała trzynaście lat, wyszła z domu o piątej rano, żeby zdobyć mięso na kartki. Nie wróciła, więc rodzice wszczęli poszukiwania. Znaleźli jej ciało na naszej ulicy. Została zgwałcona i zamordowana, j
- To sprawka Afgańczyków - ciągnęła Ellen. - W Iranie jest bardzo 1 wielu Afgańczyków, nie mają swoich kobiet, gwałcą więc wszystkie, jakie tylko uda się im złapać.

Madżid odwiedził nas wkrótce po tym zdarzeniu. Opowiedziałam mu, co usłyszałam od Ellen.

- Tak, to wszystko prawda - potwierdził. - Takie wypadki zdarzają się co dzień. Niebezpiecznie jest wychodzić do miasta samotnie. Powinnaś być ostrożna.

Pewnego popołudnia zatelefonowała Essej, prawie płakała:

- Jestem przerażona - mówiła. - Dopiero co dzwoniła z Ameryki twoja matka, powiedziała jej, że się przeprowadziłaś. Prosiła o twój

nowy numer telefonu. Powiedziałam, że go nie znam, a ona rozgniewała się i nazwała mnie kłamczucha. No więc dałam jej twój numer, ale teraz jestem pewna, że będę miała kłopoty z daidżanem.

- Nie przejmuj się - pocieszałam Essej. - Mudięgo nie ma w domu, wszystko w porządku. Odłóż słuchawkę, żeby matka mogła się do mnie dodzwonić.

Za chwilę zadzwonił telefon, chwyciłam słuchawkę. Z drugiej strony łamiącym się głosem witała mnie mama. Ojciec także był na linii. Gardło miałam ściśnięte, trudno mi było rozmawiać z nimi.

- Jak się czujesz? - spytałam ojca.

- W porządku - odpowiedział. - Chcieć to móc - jego głos był pełen życia.

- A jak ty się masz? - spytała mama.

- Lepiej. - Opowiedziałam o nowym mieszkaniu i większej swobodzie.

- Jak Joe i John? Tak bardzo za nimi tęsknię.

- Doskonale. Robią się z nich już mężczyźni - odpowiedziała mama. Joe pracował na drugą zmianę w ITT HANCOCK. John - student

drugiego roku - był w drużynie futbolowej. Tak wiele traciłam nie obserwując ich rozwoju.

- Powiedźcie im, że bardzo ich kocham.

- Powiemy na pewno.

Ustaliliśmy pory telefonowania. Gdy Mudi będzie w szpitalu we wtorki i środy, mogą dzwonić i porozmawiamy wówczas swobodnie. To oznaczało, że będą musieli wstać o trzeciej rano, by połączyć się ze mną, ale warto było. W tydzień później mama powiedziała, że postarają się ściągnąć do telefonu Joego i Johna.

Następnego dnia odwiedziłam Essej, by jej stworzyć alibi. Potem

- wróciwszy do domu - opowiedziałam Mudiemu, że podczas mojej tam wizyty zadzwoniła rodzina z Ameryki, pragnąc się z nami skontaktować i że dałam im nasz nowy numer.

- Doskonale - stwierdził. Nie wydawał się ani trochę zaniepokojony tym, że z nimi rozmawiałam, odwrotnie - robił wrażenie, jakby był nawet z tego zbiegu okoliczności zadowolony.

- Przyjdź do nas na herbatę - zaproponowała Szamsi podczas telefonicznej rozmowy.

Poprosiłam Mudiego o zgodę. „Oczywiście” odparł, bo cóż innego mógł zrobić? Darzył Szamsi i Zari szacunkiem i najwyraźniej nie chciał, by się dowiedziały, że dawniej źle mnie traktował.

Herbata tego dnia była cudownym przeżyciem. Szamsi i ja stałyśmy się sobie bliskie, spędzając wspólnie wiele dni tego lata.

Zwykle Szamsi spędzała tylko dwa miesiące w roku w uroczym domu, położonym nieopodal naszego nowego mieszkania. Tym razem zamierzała pozostać w Iranie dłużej, ponieważ oboje z mężem sprzedawali dom, a wszystko, co się dało, wysyłali do Kalifornii. Szamsi bardzo konsekwentnie dążyła do zerwania więzów łączących ją z Iranem, gorąco pragnęła powrócić do Kalifornii, ale myśl o tym, że urwą się także nasze siostrzane stosunki smuciła nas obie.

- Nie wyobrażam sobie powrotu do Kalifornii bez Betty - powiedziała pewnego dnia do Mudiego. - Pozwól mi zabrać ją z sobą.

Ani Mudi, ani tym bardziej ja, nie pragnęliśmy otwartej konfrontacji, do której doszłoby, gdyby któreś z nas zareagowało na to I oświadczenie.

Szamsi była dla mnie jak powiew świeżego powietrza, lecz przez kilka tygodni nie miałam odwagi zwierzyć się jej ze zbyt wielu szczegółów mego życia. Wiedziałam, że mogę liczyć na jej poparcie, jednak nie byłam pewna, czy dochowa tajemnicy. Już przedtem mnie przecież zdradzono. Z pewnością pobiegłaby do Mudiego i nakrzyczała nań za to, że przetrzymuje mnie tu wbrew mojej woli. Jej żywiołowa reakcja mogłaby sprawić, że Mudi wyładowałby swoje niezadowolenie na mnie, i to właśnie w chwili, gdy zaczynałam robić postępy. Tak więc cieszyłam się jej przyjaźnią nie wyjawiając swych zamiarów, dopóki sama nie domyśliła się wszystkiego. Może dał jej do myślenia fakt, że prosiłam Mudiego o pozwolenie na jakiegokolwiek działanie? Każda wyprawa do miasta, każdy wydany rial był z nim uprzednio konsultowany.

Wreszcie pewnego dnia, gdy powiedziałam, jak bardzo martwię się I o ojca w Michigan, spytała:

- To czemu nie pojedziesz i nie odwiedzisz go?
- Nie mogę.
- Betty, bardzo źle czynisz nie odwiedzając ojca. Następnie opowiedziała mi swoją historię:
  - Gdy mieszkałam w Szusztar, a mój ojciec był tu, w Teheranie, pewnego dnia opadły mnie złe przeczucia. Coś mi mówiło, że powinnam go odwiedzić, powiedziałam o tym mężowi. Odpowiedział: „Teraz nie' możesz jechać, pojedziesz za miesiąc, gdy skończy się szkoła". Ostro się wtedy posprzeczailiśmy, po raz pierwszy w życiu. Powiedziałam mu: „Jeżeli nie pozwolisz mi jechać do ojca, to cię porzucę". Wówczas on powiedział: „Jedź".

Gdy Szamsi przybyła do domu ojca w Teheranie, dowiedziała się, I że następnego dnia musi on iść do szpitala na rutynowe badania. Długo w nocy rozmawiali, dzieląc się nowinami i wspomnieniami, a rano towarzyszyła mu do szpitala, gdzie jeszcze tego samego dnia zmarł na atak serca.

- Gdybym nie posłuchała swego serca i nie pojechała do niego, nigdy bym sobie tego nie darowała - mówiła. - Pewnie bym się

232

rozwiódła z mężem z tego powodu. Ale po prostu musiałam zobaczyć ojca. Ty też powinnaś odwiedzić swojego.

- Nie mogę - powtórzyłam, łzy płynęły mi po policzkach. I wtedy powiedziałam jej, dlaczego jest to niemożliwe.
- Nie wierzę, że Mudi zdolny jest do czegoś podobnego.
- To on mnie tu przywiózł, a teraz wszystko układa się dobrze. Jestem szczęśliwa, że ciebie spotkałam i że się przyjaźnimy, lecz jeśli dowie się o tym, że ty znasz sytuację, gdyby dowiedział się, jak bardzo pragnę wrócić do domu, nie zezwoliłby na tę przyjaźń.
- Bądź spokojna, nic mu nie powiem.

Dotrzymała słowa. Ale od owego dnia dała się zaobserwować wyraźna zmiana w jej stosunku do Mudiego. Stała się oschła, traktowała go z rezerwą, kryjąc zresztą swój gniew z równym skutkiem, jak jej koronkowy czador ukrywał zachodnie ubranie pod spodem.

Minęło lato. Pod koniec sierpnia przypadały obchody Tygodnia Wojny. Było to smętne przypomnienie faktu, że obie z Mahtab jesteśmy uwięzione w Iranie od ponad roku. Co wieczór na ulicach odbywały się hałaśliwe marsze. Mężczyźni maszerowali w szyku, dokonując rytualnego biczowania. Rytmicznie uderzali się łańcuchami po obnażonych plecach - raz przez lewe, następnie przez prawe ramię. Śpiewali przy tym monotonie, wprowadzając się w stan podobny do transu. Po plecach spływała im krew, lecz oni nie czuli bólu.

Dzienniki telewizyjne pełne były w większym niż kiedy indziej stopniu obłudnej retoryki, ale teraz łatwiej to znosiłam, znając już lepiej ogromną różnicę między tym, co Irańczycy mówią, a tym, co robią. Te buńczuczne przemowy i krzykliwe hymny pochwalne - to był tylko ta 'arof.

- Chciałabym urządzać przyjęcie urodzinowe dla Mahtab - powiedziałam do Mudiego.

- Dobrze, ale nie będziemy zapraszać nikogo z rodziny - odparł. I najniespodziewaniej w świecie dodał:

- Nie zniósłbym nikogo z nich. Są tacy brudni i cuchnący.

Kilka miesięcy temu urządzenie przyjęcia urodzinowego bez członków rodziny byłoby towarzyską gafą nie do pomyślenia.

- Zaprosimy Szamsi i Zari, Ellen i Hormoza oraz Malihe z rodziną. Malinę była sąsiadką z mniejszego apartamentu od strony naszej

sypialni. Nie mówiła po angielsku, ale bardzo przyjaźnie odnosiła się do mnie. Rozmawiałyśmy codziennie, dzięki niej lepiej zaczęłam rozumieć perski.

Lista gości, którą zaproponował, dowodziła, jak bardzo zmienił się krąg naszych przyjaciół i do jakiego stopnia mój mąż zbliżył się do Ellen i Hormoza. On także czuł, jak bardzo starali się nam pomóc

w kryzysowej sytuacji. W tym względnie spokojnym okresie trudnego! życia Mudiego jego dążenie do zacieśnienia kontaktów z Ellen i ???-? mozem było milczącym przyznaniem, że pewne, a nawet wszystkie! problemy mają źródło w jego niezrównoważeniu psychicznym.

Tym razem Mahtab nie chciała placka z cukierni. Wolała, żebym to ja sama go upiekła. Zadanie nie było łatwe. Zarówno wysokie położenie I Teheranu jak i skala temperatury kuchenki gazowej w stopniach! więcej Celsjusza wystawiały na ciężką próbę moje zdolności kulinarne. zap

Placek okazał się łamliwy i suchy, ale mimo to smakował Mahtabe podobała się jej zwłaszcza tania plastikowa laleczka, umieszczona j w środku placka. pol

Urodziny Mahtab przypadały w tym roku na Eid Ghadir -jeszcze znalazł jedno z niezliczonych świąt religijnych. Dzień był wolny od pracy, I wyd planowaliśmy więc raczej obiad niż kolację. pow

Przyrządziłam rostbef ugarniowany czym się dało, z puree kartoe flanym i prażoną fasolą - ta ostatnia miała ukontentować Ellen.

Przyjęcie było gotowe; przybyli wszyscy z wyjątkiem Ellen i Hor« wa moza. Gdy czekaliśmy na nich, Mahtab zaczęła otwierać paczki i z prezentami. Malihe przyniosła jej kukiełkę Myszki Musz z ogromnym» pomarańczowymi uszami - ulubionej w Iranie postaci z filmowe rysunkowych. Szamsi i Zari miały dla Mahtab prawdziwy specjał - rzadko tu spotykany, świeży ananas. Od Mudiego i ode mnie dostała i komplet złożony z bluzki i spodni - w jej ulubionym cyklamenowym | kolorze. Specjalnym prezentem od nas był rower produkcji tajwańskiej, I który kosztował nas równowartość 450 dolarów.

Odwlekaliśmy posiłek, jak długo się dało, w końcu jednak głód nasi przemógł i siedliśmy do stołu bez Ellen i Hormoza. Przybyli dopiero późnym popołudniem zdumieni, że jesteśmy już po ucztach.

- Zaprosiłaś mnie przecież na kolację - powiedziała Ellen z pretensją w głosie.
- Ależ z pewnością mówiłam ci o obiedzie - odparłam - zaszło I najwyraźniej jakieś nieporozumienie.

- Zawsze wszystko popłaczesz - huknął na nią Hormoz. - Stale I przychodzimy o niewłaściwej porze, bo tobie wszystko się miesza.

Długo jeszcze beształ Ellen w naszej obecności, aż w końcu spuściła I głowę okrytą czadorem.

Los Ellen był dla mnie silnym bodźcem do nieustawania w moicM potajemnych wysiłkach, zmierzających do ucieczki z Iranu. Nawet bezB tego negatywnego przykładu robiłabym wszystko, co w mej mocy, leczą jej sytuacja dowodziła, że sprawa jest paląca. Im dłużej pozostawałam I w Iranie, tym większe było niebezpieczeństwo, że się do niej upodobnię. I

Nasze życie w Iranie znalazło się w punkcie zwrotnym. Choć I warunki obecnie były zdecydowanie lepsze, jednak już przez to samotl rośło ryzyko pograżenia się w bierności. Czy możliwe było osiągnięcie I

234

stanu względnego szczęścia tu, w Iranie, u boku Mudiego? Czy te codzienne wygody nie stwarzają aby nęcącej przeciwwagi wobec prawdziwych niebezpieczeństw, związanych z próbą ucieczki, i to wraz z Mahtab?

Co noc, idąc do łóżka z Mudim, wiedziałam na pewno, że odpowiedź na te pytania brzmi: nie! Nienawidziłam mężczyzny, z którym spałam, więcej - bałam się go. Na razie był zrównoważony, ale to nie potrwa zapewne zbyt długo. Następnym wybuch szału i brutalności był - czułam to w głębi duszy - kwestią czasu.

Często mogłam teraz korzystać z telefonu, często też mogłam potajemnie odwiedzać ambasadę, wznowiłam więc moje starania, by znaleźć kogoś, kto mógłby i chciałby mi pomóc. Na nieszczęście wydawało się, że mój najlepszy kontakt rozplynął się w gorącym powietrzu uchodzącego lata. Telefon panny Alavi nie odpowiadał. Czyniłam bezowocne próby skontaktowania się z Raszidem, którego przyjaciel szmugłował ludzi do Turcji. Ponownie odmówił zorganizowania przerzutu dziecka.

Trzeba było szukać kogoś innego. Ale kogo? I jak?

235

19.

Patrzyłam na adres nabazgrany na skrawku papieru, wciśniętym mi w dłoń przez... kogoś.

- Idź pod ten adres i spytaj o szefa - powiedziano mi tylko. Ktoś dał mi wskazówki. Ujawnienie imienia mego dobroczyńcy oznaczałoby skazanie na śmierć kogoś w Islamskiej Republice Iranu.

Był to adres instytucji znajdującej się na drugim końcu miasta, co oznaczało długą, uciążliwą podróż przez zatłoczone ulice, ale postanowiłam udać się tam natychmiast, nawet gdyby przedsięwzięcie okazało się niepewne. Mahtab była ze mną. Było już wczesne popołudnie, nie wiedziałam, czy uda mi się wrócić do domu przed Mudim. Ale coraz zuchwałiej korzystałam ze swobody. Jeśli będzie trzeba, kupię coś - cokolwiek - do domu i wytłumaczę Mudiemu, że to zakupy zatrzymały mnie w mieście. Przynajmniej raz Mudi da się oszukać.

Nie mogę czekać - zdecydowałam. Trzeba jechać zaraz. By zyskać na cz\*asie, wezwałam kosztowną taksówkę przez telefon, zamiast szukać pomarańczowej. Mimo to podróż była długa i nużąca. Mahtab nie pytała, dokąd jedziemy, być może wyczuła, że chodzi o coś, czego lepiej nie wiedzieć.

Dotarliśmy wreszcie pod wskazany adres, był to biurowiec wypełniony zagonionymi urzędnikami, wykazującymi w tym miejscu niezwykłą aktywność. Znalazłam recepcjonistkę mówiącą po angielsku i spytałam ją o dyrektora.

- Proszę iść na lewo, potem na końcu hallu schodami w dal - poinformowała.

Podążyłyśmy z Mahtab wskazaną drogą i znalazłyśmy się w amfiteatrze biur urządzonych w suterenie. W rogu znajdowała się poczekalnia dla interesantów, z wygodnymi meblami w zachodnim stylu. Były tam również książki i czasopisma.

- Poczekaj tu chwilkę, dobrze? - powiedziałam do Mahtab. Kiwnęła potakująco.

236

|| f—?



- Dyrektor? - spytałam mijającego mnie urzędnika.
- Na końcu hallu - wskazał na gabinet oddzielony od innych pomieszczeń, ja zaś zdecydowanym krokiem poszłam tam.

Zapukałam do drzwi, a gdy odezwał się męski głos, zgodnie instrukcją powiedziałam:

- Jestem Betty Mahmudi.
- Proszę wejść - odpowiedział ów mężczyzna doskonałą angielszczyzną. Ściskając mnie powiedział: - Oczekiwałem pani.

Zamknął za mną drzwi i uśmiechając się serdecznie poprosił, bym usiadła. Był to niski, szczupły pan, ubrany w schludny, gustowny garnitur, w krawacie. Usiadł za biurkiem i nawiązał swobodną rozmowę, pewny, że w swoim otoczeniu jest całkowicie bezpieczny. Mówiąc pukał wódem w blat biurka.

Ów ktoś, kto dał mi adres, opowiedział także w skrócie historię nęczyzny siedzącego przede mną. Miał on swego czasu nadzieję, że idą się mu wraz z rodziną opuścić Iran, lecz warunki jego życia ogromnie się skomplikowały. W ciągu dnia odgrywał rolę cieszącego się powodzeniem biznesmena, z pozoru popierającego rządu ajatollaha. Natomiast w nocy - spiskował.

Znany był pod wieloma imionami; ja nazywałam go Amahl.

- Bardzo boleję nad pani sytuacją - zaczął bez wstępów. - Zrobię wszystko, co w mej mocy, by panią stąd wydostać.

Jego otwartość była zachwycająca i zarazem przerażająca. Znał moją historię. Był przekonany, że może mi pomóc. Ale ja już to znałam, przeszłam już przez podobne sytuacje z Trish i Suzanne, z Raszidem i jego przyjacielem, z moją tajemniczą panną Alavi.

- Proszę posłuchać. Już kilkakrotnie byłam w podobnej sytuacji i zawsze pojawiał się jeden i ten sam kłopot. Nie wyjadę bez mojej córki. Jeśli ona nie będzie mogła wyjechać, to i ja nie wyjadę. Ustalmy to od razu, bo nie ma sensu, żeby marnował pan czas.

- Szanuję pani wolę - powiedział. - Jeśli takie jest pani życzenie, to wywożę stąd was obie. Trzeba być tylko cierpliwą, ponieważ nie wiem, jak i kiedy uda się to zorganizować. Po prostu musi się pani uzbroić w cierpliwość.

Jego słowa sprawiły, że w sercu poczułam ciepło i jasność, choć zaraz starałam się nad tym zapanować. Dawał mi nadzieję, ale szczerze przyznawał, że nie potrafi przewidzieć, jak i kiedy uda się nam uciec.

- Oto numery telefonów do mnie - powiedział, pośpiesznie notując coś na kartce. - Pokażę pani teraz, w jaki sposób je zakodowałem. Są to numery bezpośrednio, jeden do biura, drugi - do domu. Może pani dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Proszę to robić bez wahania. Muszę mieć informacje o pani tak często, jak to tylko możliwe. Niech się pani nie obawia, że mi przeszkadza, proszę dzwonić zawsze, kiedy będzie pani mogła. Ja nie mogę ryzykować kontaktu z panią w domu.

237

Mąż pani mógłby to źle zrozumieć, mógłby być zazdrosny - Amahl zaśmiał się.

Jego humor był zaraźliwy. Szkoda, że jest żonaty - pomyślałam i natychmiast skarciłam się za takie myśli.

- Dobrze - skinęłam głową twierdząco, ogarnięta zdumieniem. Było w nim coś, co kazało wierzyć w sukces.

- Nie będziemy rozmawiać przez telefon - kontynuował instruowanie mnie. - Proszę powiedzieć po prostu „jak się pan miewa” lub coś w tym rodzaju. Jeśli będę miał dla pani jakieś informacje, wówczas powiem, że muszę się z panią zobaczyć, pani zaś powinna tu przyjść, nie możemy niczego omawiać przez telefon.

Coś musi się za tym kryć - pomyślałam. Może chodzi o pieniądze?

- Czy powinnam poprosić rodziców, by przekazali jakąś sumę do ambasady?

- Nie. Teraz nie chodzi o pieniądze. Ja za wszystko zapłacę. Zwróci mi pani pieniądze po powrocie do Ameryki.

Przez całą długą drogę taksówką do domu Mahtab nie odzywała się ani słowem. Chwała Bogu, bo w mej głowie panował zamęt nieopisany. Wciąż

brzmiały mi w uszach słowa Amahla, starałam się ocenić możliwości powodzenia naszego przedsięwzięcia. Czyżbym istotnie znalazła w końcu drogę ucieczki z Iranu?

„Zwróci mi pani pieniądze po powrocie do Ameryki” - powiedział z pewnością siebie.

Pamiętałam także inne słowa: „Nie wiem jak i kiedy uda się to zorganizować”.

238

Skończyło się lat( że popieram ??? sprzeciwiałam

Ku memu zaczęła przyz

Pewnego szkoły, o dzie mniej był po okien, przez ? się jednak, że starej zrzędlive się nam bat/nit

- Chcemy z

- Niestety," Skrzeklh»

naszego don

- Przyszli

- Nikogo i Obie z

jest zadowoli starej baby.

- No cóż-! szkoły. Mi

-0,

- Tak.

- Proszę i Zawsze

zyskawszy

Dyrektorij mieć szarv

20.

Skończyło się lato, ponownie zbliżał się rok szkolny. Musiałam udawać, że popieram pomysł wystąpienia Mahtab do pierwszej klasy, tak więc nie sprzeciwiałam się, gdy Mudi poruszył tę kwestię.

Ku memu zaskoczeniu Mahtab także nie protestowała. Naprawdę zaczęła przyzwyczajać się do myśli o pozostaniu w Iranie.

Pewnego ranka Mudi, Mahtab i ja udaliśmy się do pobliskiej szkoły, o dziesięć minut spacerem od naszego domu. Budynek mniej był podobny do więzienia niż madrase Zainab, miał wiele okien, przez które do wnętrza wpadało słoneczne światło. Wydawało się jednak, że ta jasna atmosfera nie robi wrażenia na dyrektorce, starej zrędlivej niewieście, odzianej w czador, która przyglądała się nam bacznie.

- Chcemy zapisać córkę do szkoły - powiedział Mudi po persku.
- Niestety, w tej szkole nie ma wolnych miejsc - odburknęła. Skrzekliwym głosem podała adres innej szkoły, o wiele dalej od naszego domu.
- Przyszliśmy tutaj, bo jest bliżej - nie poddawał się Mudi.
- Nikogo nie przyjmujemy!

Obie z Mahtab ruszyłyśmy do wyjścia, czułam, że moja córka jest zadowolona, iż nie znajdzie się pod opieką tej szorstkiej, starej baby.

- No cóż - mruknął Mudi - nie mam dziś czasu iść do tej drugiej szkoły. Muszę asystować przy operacji.
- O, to pan jest lekarzem? - zainteresowała się dyrektorka.
- Tak.
- Proszę wrócić. Proszę usiąść.

Zawsze znajdzie się miejsce dla córki doktora. Mudi promieniał, zyskawszy potwierdzenie swej wysokiej pozycji społecznej.

Dyrektorka ustaliła z nami niezbędne sprawy. Mahtab powinna mieć szary mundurek, opończę, spodnie i maghna'e oraz szarfę zszytą

z przodu zamiast węzła, bardziej niewygodne niż rusari, ale | aż tak nieporęczne jak czador. Poinformowano mnie, że powirmai przyprowadzić Mahtab w wyznaczonym dniu na spotkanie mA i córek.

Po wyjściu ze szkoły powiedziałam:

- Jak można chodzić w jednym mundurku. Ma nosić codziennie to samo ubranie?

- Inne tak chodzą - odparł Mudi. - Ale masz słuszność. Powinna mieć kilka.

Poszedł do pracy, zostawiwszy nam pieniądze na skompletowanie mundurków. Gdy tak krzątałyśmy się po mieście, ciepło słonecznego wrześnieowego popołudnia napełniało mnie otuchą. Oto spacerowałam z córką zupełnie wolna. Osiągnęłam następny ważny etap. Gdy Mahtab będzie w szkole, a Mudi w pracy, mogę pójść w Teheranie, dokąd tylko będę chciała.

W kilka dni potem poszliśmy z Mahtab na informacyjne zebranie matek i córek, zabrałyśmy też naszą sąsiadkę Malihe jako tłumaczkę. Co prawda słabo mówiła po angielsku, ale przy jej i Mahtab pomocy rozumiałam z grubsza o co chodzi.

Spotkanie trwało prawie pięć godzin, przez większość tego czasu odbywały się modły i czytanie Koranu. Następnie dyrektorka wygłosiła do rodziców podniosłą mowę, prosząc o datki na szkołę. Powiedziała, że w szkole nie ma toalet, pieniądze potrzebne są na poprawienie warunków, zanim rozpoczną się lekcje. Powiedziałam potem Mudiemu:

- Nie ma mowy. Nie dostaną od nas pieniędzy na wybudowanie toalet. Jeśli stać ich na to, żeby wysyłać na ulice pasdarów, którzy sprawdzają bez przerwy, czy kobietom wystają włosy spod rusari, albo czy im skarpety opadają, to mogą też znaleźć pieniądze na wybudowanie dzieciom w szkołach toalet.

Nie zgodził się ze mną. Przekazał szczodry datek, a gdy zaczęły się lekcje, szkoła była odpowiednio wyposażona w dziury w podłodze.

Rychło ustalili się pewien porządek. Mahtab wczesnym rankiem szła do szkoły. Ja jedynie musiałam odprowadzić ją do przystanku autobusowego, a po południu czekać tam na jej powrót.

Przez większość dni tygodnia Mudi przebywał w domu, prowadząc prywatną praktykę. W miarę jak rosła jego renoma, miał coraz więcej pacjentów. Ludzie zwłaszcza chwalili sobie jego metody łagodzenia bólu, choć wynikły pewne problemy w związku z coraz większą liczbą pacjentek. By temu zaradzić, Mudi nauczył mnie swoich metod. Te dodatkowe obowiązki w połączeniu z pracą recepcjonistki sprawiły, że w ciągu dnia niewiele miałam czasu.

!

przepisów miałam ich subs Moje mówiącej po

- M Wp-

i szarfy, -jak w wszelki

- C

Od rap nauczyciel naturali - Ma

zmariją

formal

żadnych

rodziców

240

16 — Tylko n^E

Żyłam tylko wtorkami i środami - wtedy Mudi pracował w szpitalu. Te dwa dni w tygodniu miałam wyłącznie dla siebie, mogłam bez ograniczeń wędrować po mieście, dokąd tylko chciałam.

Znów zaczęłam regularnie odwiedzać Helen w ambasadzie, zarówno we wtorki, jak i środy. Co tydzień otrzymywałam listy od rodziców i dzieci. Było to przeżycie i radosne, i przygnębiające zarazem. Tak bardzo za nimi tęskniłam! Każdy list od matki budził mój niepokój. Pisała o pogarszającym się zdrowiu ojca, o tym, że nie wiadomo jak długo jeszcze będzie się trzymał. Mówił o nas

codziennie, modlił się o to, by móc nas jeszcze zobaczyć choć raz przed śmiercią.

Telefonowałam do Amahla codziennie - jeśli mogłam. Za każdym razem tylko pytał mnie o zdrowie, dodając: „Proszę być cierpliwą”.

Pewnego dnia udałam się po zakupy. Mudi polecił mi dorobić dodatkowy klucz do mieszkania. Wiedziałam, że sklep z kluczami znajduje się niedaleko od Pol Pizza Shop. Idąc tam mijałam księgarnię, której dotychczas nie zauważyłam, i - kierując się impulsem - weszłam do środka.

Właściciel mówił po angielsku.

- Czy ma pan angielskie książki kucharskie? - spytałam.

- Tak, są piętro niżej.

Zeszłam na dolną kondygnację, gdzie znalazłam sporo używanych, z oślimi uszami, książek kulinarnych i czułam się jak w raju. Tak mi brakowało tych nieskomplikowanych radości, jak czytanie przepisów kulinarnych! W głowie jawiły mi się rozmaite potrawy, miałam nadzieję, że uda mi się zdobyć niezbędne składniki lub ich substytuty.

Moje uniesienie przerwał gwałtownie dziecinny głosik dziewczynki mówiącej po angielsku:

- Mamusiu, czy kupisz mi bajeczki?

W przejściu ujrzałam kobietę i dziecko, obie ubrane w oponce i szarfy. Kobieta była wysoka, ciemnowłosa, miała lekko smagłą cerę

- jak większość kobiet w Iranie. Nie wyglądała na Amerykankę, ale na wszelki wypadek spytałam:

- Czy jest pani Amerykanką?

- Tak - odparła Alice Szarif.

Od razu zawarłyśmy przyjaźń w tym obcym kraju. Alice była nauczycielką szkoły podstawowej w San Francisco, wyszła za mąż za naturalizowanego w Ameryce Irańczyka. Wkrótce po tym, jak jej mąż

- Małek - doktoryzował się w Kalifornii, otrzymali wiadomość, że zmarł jego ojciec. Oboje mieszkają czasowo w Teheranie, aby uregulować formalności spadkowe. Nie podobało jej się tutaj, ale nie żywiła żadnych obaw co do przyszłości. Ich córka - Samira, nazywana przez rodziców Sammy - była w wieku Mahtab.

16 — Tylko ????? z córką

241

- O, mój Boże - zawołałam, patrząc na zegarek - muszę zabrać córkę z przystanku autobusowego. Biegnę.

Wymieniłyśmy numery telefonów.

Wieczorem opowiedziałam Mudiemu o Alice i Małeku.

- Musimy ich zaprosić - powiedział z niekłamaną radością. - Warto ich poznać z Szamsi i Zari.

- Może zaprosimy ich na piątek?- zaproponowałam.

- Dobrze - zgodził się natychmiast.

Gdy zbliżało się piątkowe popołudnie, był równie podniecony jak ja. Polubił Alice i Maleka od razu. Alice była osobą inteligentną, bardzo żywiołową, rozmowną, zawsze gotową opowiedzieć jakąś zabawną historyjkę. Przyglądając się mym gościom tego wieczora doszłam do wniosku, że ze wszystkich ludzi w Iranie tylko Szamsi i Alice wydawały mi się naprawdę szczęśliwe. Być może dlatego, że obie wiedziały, iż wkrótce wrócą do Ameryki.

Alice opowiedziała dowcip:

„Pewien pan wszedł do galerii sztuki i ujrzał portret Chomejniego. Zapragnął go kupić, a właściciel powiedział, że obraz kosztuje pięćset tumonów (jeden tumon równa się dziesięciu rialom).

- Dam trzysta - zaproponował klient.

- Nie, pięćset.

- Trzysta pięćdziesiąt.

- Pięćset.



- Czteryście - powiedział klient - to moje ostatnie słowo.

W tym momencie wszedł inny klient i znalazł obraz Jezusa Chrystusa, który mu się bardzo spodobał, spytał więc właściciela galerii o cenę.

- Pięćset tumonów - poinformował właściciel.

- Biorę - klient odliczył pięćset tumonów i wyszedł z obrazem. Wówczas właściciel powiedział do pierwszego klienta:

- Proszę pana, widział pan tego człowieka. Wszedł, ujrzał obraz, który mu się spodobał, zapłacił tyle, ile zażądałem, i poszedł.

Pierwszy klient odparł na to:

- Zgoda. Jeśli uda się panu ukrzyżować Chomejniego, to ja zapłacę te pięćset tumonów!"

Śmiali się wszyscy, włącznie z Mudim. Szamsi zadzwoniła następnego dnia:

- Betty, Alice jest fantastyczna. Na pewno zaprzyjaźnicie się.

- Bez wątpienia - zgodziłam się.

- Skończ z Elfen - dodała. - Ona jest taka tępa.

Z Alice spotykałam się regularnie. Była jedyną znaną mi w Iranie kobietą posiadającą takie luksusy, jak suszarka automatyczna czy specjalny środek do zmiękczenia upranych tkanin! Miała też musztardę!

A ponadto miała paszport, dzięki któremu mogła wrócić do domu.

z P<

dc

- Masz nie mówić Szamsi, co się z tobą działo w Iranie - ostrzegł mnie Mudi. - Alice też nie wolno ci o tym powiedzieć. Jeżeli to zrobisz, nigdy już ich nie zobaczysz.

Obiecałam, że nie powiem.

To mu wystarczyło, wierzył w to, w co chciał wierzyć - że temat powrotu do Ameryki nigdy już nie będzie poruszany. Zwyciężył. Uczynił ze mnie to, co Hormoz z Ellen.

A dzięki mej obietnicy mógł mi pozwolić na towarzyskie kontakty z Szamsi i Alice. Prawdę mówiąc wybór miał niewielki, bo gdyby spróbował znowu mnie izolować w nowym domu, nie mógłby odgrywać przed naszymi przyjaciółmi farsy o szczęśliwym małżeństwie.

Mimo że stosunki Mudiego z rodziną uległy głębokiej przemianie, zmuszeni byliśmy wypełniać nasze wobec niej obowiązki. Nie chciał zapraszać Baba Hadździ i Amme Bozorg na kolację, ale musiał okazać im szacunek. Już i tak zbyt długo zwlekaliśmy z zaproszeniem.

- Mahtab chodzi do szkoły, o ósmej musi być już w łóżku, przyjdźcie więc o szóstej wieczór - powiedział swej rodzinie przez telefon.

Amme Bozorg napomknęła, że nigdy nie jedzą kolacji przed dziewiątą wieczorem.

- Mało mnie to obchodzi - odparł Mudi. - Zjecie o szóstej, albo w ogóle możecie nie przychodzić.

Przyparta do muru, Amme Bozorg wyraziła zgodę.

Aby zneutralizować jej przykrą obecność, zaprosiliśmy także Ha-kimów.

Przygotowałam wystawną kolację, głównym daniem były krokiety z kurczęciami, do których bardzo starannie wybrałam mięso. Buszowanie po sklepach skończyło się pełnym sukcesem, udało mi się bowiem zdobyć po raz pierwszy w Iranie brukselkę, ponadto przyrządziłam jeszcze duszone pory i marchewkę.

Baba Hadździ i Amme Bozorg, a wraz z nimi Madżid i Fereszte, przybyli o ósmej zamiast o szóstej, lecz spodziewaliśmy się tego i nie mieliśmy za złe. Razem z Hakimami zasiedliśmy w jadalni do posiłku.

Hakimowie byli na tyle bywali, że czuli się zupełnie swobodnie, natomiast Baba Hadździ i Amme Bozorg — choć starali się wypaść jak najlepiej - mieli kłopoty. Baba Hadździ spoglądał na srebrne sztucce, do których nie nawykł, i najwyraźniej nie był pewny, jak się tym posługiwać. Wyobrażałam sobie, że

musi się zastanawiać, co uczynić z serwetką i że śmieszną ekstrawagancją wydaje mu się zapewne osobna szklanka dla każdego z gości.

Amme Bozorg wierciła się na krześle, nie mogła sobie znaleźć

243

wygodnej pozycji. Wreszcie wzięła swój talerz i siadła na podłodze jadalni, gdacząc z zachwytem nad brukselką, którą nazywała „kapustką Betty”.

Po kilku minutach w mojej jadalni zapanował bałagan. Kawałki jedzenia były porzucane po stole i na podłodze, ponieważ goście nabierali potrawy ręką, a tylko z rzadka posługiwali się łyżką. Mudi, Mahtab i ja jedliśmy w milczeniu, posługując się właściwymi utensyliami.

Kolacja wkrótce dobiegła końca, a gdy goście przeszli do salonu, Mudi powiedział do mnie półgłosem:

- Spójrz na miejsce, gdzie jadła Mahtab. Ani obok talerza, ani na podłodze nie znajdziesz nawet ziarnka ryżu. A teraz zobacz, co dzieje się obok miejsc, gdzie siedzieli dorośli.

Nie miałam ochoty tego oglądać. Wiedziałam, że długo w noc przyjdzie mi zbierać ziarna ryżu i inne resztki jedzenia ze ścian i dywanu.

W salonie podałam herbatę. Amme Bozorg dobrała się do cukiernicy, pozostawiając na dywanie słodką strużkę, sypiąc do szklanki jedną po drugiej łyżeczkę cukru.

Pewnego dnia odwiedziłam Akram Hakim - matkę Dżamala, „siostrzeńca” Mudiego, który (ileż to lat temu) oznajmił nam podczas śniadania w hotelu w Austin nowinę o zajęciu ambasady USA w Teheranie. Była tam także bratanica Akram Hakim, najwyraźniej zdenerwowana. Spytałam, co jest tego przyczyną, ona zaś opowiedziała mi po angielsku następującą historię:

Rankiem tego dnia odkurzała swój dom, gdy nagle zachciało się jej papierosa. Włożyła więc manto i rusari i poszła na drugą stronę ulicy, pozostawiwszy córeczki - dziesięcio- i siedmioletnią - w mieszkaniu. Kupiła papierosy i wracała do domu, wtem została zatrzymana przez pasdarów. Kilka pasdarek wciągnęło ją do samochodu i acetonem zmyły jej lakier z paznokci i szminkę z ust.

Wrzeszczały jakiś czas na nią, a potem powiedziały, że zaprowadzą ją do więzienia.

Błagała, by pozwolono jej przedtem zabrać córki. Nie przejmując się pozostawionymi w domu dziećmi, pasdarki trzymały ją prawie dwie godziny w samochodzie, udzielając napomnień. Pytały, czy się modli - odparła, że nie. Powiedziały więc, że poty jej nie wypuszczą, póki nie obieca, że nigdy już nie pomaluje paznokci lakierem i nie będzie używać makijażu. Musiała także obiecać, że będzie się gorliwie modlić. Jeżeli tego nie uczyni - ostrzegaly pasdarki - to jako grzesznica znajdzie się w piekle.

- Nienawidzę pasdarów - powiedziałam.

- Przerażają mnie. Są niebezpieczni - zgodziła się ze mną. Powiedziała też, że na ulicach Teheranu pasdarowie są dokuczliwi,

n

mo

był

pob w to i

pasma twarzy

244

bo sprawdzają prawidłowość obowiązującego ubrania. Ale oprócz tej roli przejmują także obowiązki tajnej policji, czyhają na wrogów republiki lub na jakąkolwiek bezbronną istotę, którą uda się im zastraszyć. Ilekroć pasdarowie pojмали kobietę, której groził wyrok śmierci, mężczyźni najpierw ją gwałcili w myśl zasady, że „kobieta nie może umrzeć dziewicą”.

Pierwszą i ostatnią myślą każdego dnia był stan przygotowań do ucieczki. Nie działo się nic konkretnego, starałam się jednakże z całych sił utrzymać wszelkie kontakty, jakie mogłyby mi być pomocne. Bardzo często odwiedzałam Helen w ambasadzie, niemal codziennie telefonowałam do Amahla.

Każdy szczegół mego codziennego życia podporządkowany był wyższemu celowi. Postanowiłam, że teraz winnam być tak dobrą żoną i matką, jak tylko

potrafię - a to z trzech powodów. Po pierwsze - by ugruntować pozory normalności i szczęścia rodzinnego, usypiając w ten sposób wszelkie podejrzenia Mudiego. Po wtóre - by stworzyć Mahtab miłą atmosferę w domu i nie dać jej odczuć, że jesteśmy więźniami.

- Mamusiu, czy możemy już wrócić do Ameryki? - pytała od czasu do czasu.

- Nie teraz - odpowiadałam. - Może kiedyś, w odległej przyszłości tatuś zmieni zdanie i wszyscy wrócimy do domu.

Marzenia łagodziły nieco jej ból, mojego - nie.

Po trzecie - stwarzając „szczęśliwy dom” broniłam się przed rozstrojem nerwowym. Nie mogłam wiedzieć, co przytrafi się mnie i Mahtab, i kiedy wreszcie uda się nam uwolnić. Nie chciałam zastanawiać się nad wszelkimi możliwymi zagrożeniami, jakie z tym się wiązały. Czasem przychodziły mi na myśl Suzanne i Trish, i że sprzeciwiłam się ich żądaniu, byśmy uciekły z nimi natychmiast. Może popełniłam błąd? Nie byłam pewna. Czy starczy mi odwagi? A gdy nadejdzie czas - to czy ja i Mahtab sprostamy wyzwaniu? Tego nie mogłam przewidzieć. Dlatego aż do decydującego momentu łatwiej mi było żyć, gdy dzień był wypełniony zajęciami.

Chcąc sprawić mi przyjemność Mudi zaproponował, bym odwiedziła pobliski salon piękności. Mogło się to wydawać absurdalne w kraju, w którym nikt nie miał prawa oglądać mojej twarzy i włosów, ale mimo to poszłam. Gdy kosmetyczka spytała, czy ma mi wyregulować brwi i usunąć inne zbędne owłosienie na twarzy - zgodziłam się.

Zamiast wosku lub pęsetki kosmetyczka użyła w tym celu długiego pasma bawełnianych nici. Naprężywszy je mocno, przesuwiała po mojej twarzy w tę i z powrotem, usuwając włoski. Miałam ochotę krzyknąć z bólu, ale jakoś wytrzymałam, dziwiąc się w duchu, dlaczego kobiety

jfc\*f \*/

dają się tak torturować w imię poprawienia urody. Gdy zabieg się skończył, moja twarz przypominała żywą ranę, skóra piekła niemiłosiernie.

Wieczorem zauważyłam na twarzy wysypkę. Wkrótce rozlała się także na szyję.

- Te nici były pewnie brudne - skomentował Mudi.

Wróciwszy pewnego popołudnia do domu z „supermarketu” stwierdziłam, że poczekalnia Mudiego jest przepełniona.

- Otwórz drzwi i wpuść kilka osób do salonu - polecił. Myślałam z niechęcią o wpuszczeniu obcych Irańczyków do mego

królestwa, ale zrobiłam, co kazał, otwierając na oścież dwuskrzydłowe drewniane drzwi, gestem zapraszając pacjentów, by zajęli miejsca na i fotelach i kanapie.

Moim obowiązkiem jako recepcjonistki było podawanie pacjentom herbaty. Niezbyt lubiłam to zajęcie, a teraz zwłaszcza byłam wściekła spodziewając się, że wkrótce salon będzie zachlapany herbatą i zasypany cukrem.

Mimo wszystko podałam herbatę, a kiedy wracałam z tacą z kuchni, jedna z kobiet w salonie spytała:

- Pani jest Amerykanką?

- Tak - odpowiedziałam. - Czy mówi pani po angielsku?

- Owszem. Studiowałam w Ameryce. Usiadłam obok niej, humor mi się poprawił.

- Gdzie? - spytałam.

- W Michigan.

- A ja urodziłam się w Michigan. W jakim mieście pani studiowała?

- W Kalamazoo.

Nazywała się Fereszte Nouruzi. Była piękną młodą kobietą, do Mudiego skierowano ją ze szpitala. Z nie ustalonej przyczyny cierpiała na bóle karku i pleców, sądziła więc, że zabiegi Mudiego mogą pomóc. Rozmawiałyśmy przez prawie trzy kwadranse, póki nie nadeszła jej kolej.

Fereszte często przychodziła na zabiegi, zawsze wówczas wprowadzałam ją najpierw do salonu, gdzie mogłyśmy pogadać. Pewnego razu wyznała mi:

- Znam przyczynę tych bólów.

- Naprawdę? A co to takiego?

- To stres.

Zaczęła płakać. Rok temu - mówiła - mąż jej pewnego popołudnia udał się po benzynę do samochodu i już nie wrócił. Fereszte i jej rodzice szukali go bezskutecznie po szpitalach, ale nie trafili na żaden ślad.

- W dwadzieścia pięć dni potem zadzwonili z policji - płakała.

246

dają się tak torturować w imię poprawienia urody. Gdy zabieg się skończył, moja twarz przypominała żywą ranę, skóra piekła niemiłosiernie.

Wieczorem zauważyłam na twarzy wysypkę. Wkrótce rozlała się także na szyję.

- Te nici były pewnie brudne - skomentował Mudi.

Wróciwszy pewnego popołudnia do domu z „supermarketu” stwierdziłam, że poczekalnia Mudiego jest przepełniona.

- Otwórz drzwi i wpuść kilka osób do salonu - polecił. Myślałam z niechęcią o wpuszczeniu obcych Irańczyków do mego

królestwa, ale zrobiłam, co kazał, otwierając na oścież dwuskrzydłowe drewniane drzwi, gestem zapraszając pacjentów, by zajęli miejsca na fotelach i kanapie.

Moim obowiązkiem jako recepcjonistki było podawanie pacjentom herbaty. Niezbyt lubiłam to zajęcie, a teraz zwłaszcza byłam wściekła spodziewając się, że wkrótce salon będzie zachlapany herbatą i zasypany cukrem.

Mimo wszystko podałam herbatę, a kiedy wracałam z tacą z kuchni, jedna z kobiet w salonie spytała:

- Pani jest Amerykanką?

- Tak - odpowiedziałam. - Czy mówi pani po angielsku?

- Owszem. Studiowałam w Ameryce. Usiadłam obok niej, humor mi się poprawił.

- Gdzie? - spytałam.
- W Michigan.
- A ja urodziłam się w Michigan. W jakim mieście pani studiowała?
- W Kalamazoo.

Nazywała się Fereszte Nouruzi. Była piękną młodą kobietą, do Mudiego skierowano ją ze szpitala. Z nie ustalonej przyczyny cierpiała na bóle karku i pleców, sądziła więc, że zabiegi Mudiego mogą pomóc. Rozmawiałymy przez prawie trzy kwadranse, póki nie nadeszła jej kolej.

Fereszte często przychodziła na zabiegi, zawsze wówczas wprowadzałam ją najpierw do salonu, gdzie mogliśmy pogadać. Pewnego razu wyznała mi:

- Znam przyczynę tych bólów.
- Naprawdę? A co to takiego?
- To stres.

Zaczęła płakać. Rok temu - mówiła - mąż jej pewnego popołudnia udał się po benzynę do samochodu i już nie wrócił. Fereszte i jej rodzice szukali go bezskutecznie po szpitalach, ale nie trafili na żaden ślad.

- W dwadzieścia pięć dni potem zadzwonili z policji - płakała.

246

- Powiedzieli: „Proszę przyjść i zabrać jego samochód”. Nie powiedzieli jednak o nim nic poza tym.

Fereszte wraz z roczną córeczką przeniosta się do rodziców. Minęły jeszcze cztery straszne miesiące, nim policja poinformowała ją, że mąż jest w więzieniu i że może go odwiedzić.

- Schwyłali go po prostu na ulicy i zamknęli w więzieniu - szlochała.
- Minął już ponad rok, a oni nawet nie przedstawili oskarżenia przeciwko niemu.
- Jak to możliwe? I dlaczego? - pytałam.



- Ma dyplom z ekonomii - wyjaśniła. - Ja również. Oboje studiowaliśmy w Ameryce. Takich właśnie ludzi rząd się obawia.

Fereszte prosiła, bym nikomu nie wspominała o jej mężu. Bała się, że jeśli zbyt często będzie się skarżyć, to i ją także zaarrestują. Wieczorem po zakończeniu przyjęć Mudi powiedział:

- Lubię Fereszte. Co robi jej mąż?
- Ma dyplom ekonomisty - odparłam.

^r

- Proszę jak najszybciej przyjechać.

W głosie Amahla dało się słyszeć naleganie, co sprawiło, że serce zaczęło mi walić.

- Mogę przyjechać dopiero we wtorek, gdy Mudi pójdzie do szpitala - odpowiedziałam.
- Proszę najpierw zatelefonować, żebym mógł się przygotować
- poprosił.

Co to może być? Spodziewałam się raczej dobrych wieści i czułam, jak czas wlecze się w nieskończoność. Mahtab poszła do szkoły o siódmej, Mudi wyszedł za kwadrans ósma. Obserwowałam go przez okno, póki nie zniknął w taksówce, po czym zatelefonowałam do Amahla, by potwierdzić wizytę. Pobiegłam następnie do głównej ulicy, gdzie złapałam taksówkę.

Był początek listopada. Lodowate powiewy wiatru zapowiadały śnieg. Rankiem panował duży ruch, a moja wyprawa utrudniona była koniecznością kilkakrotnego zmieniania taksówek, by przedrzeć się przez miasto. Kiedy dotarłam wreszcie do biurowca i zapukałam do drzwi Amahla, w głowie kłębiło mi się od znaków zapytania.

Drzwi otwarły się natychmiast, gospodarz uśmiechał się radośnie.

- Proszę wejść - powiedział. - Proszę siadać. Czy napije się pani herbaty? A może kawy?

- Proszę o kawę.

Niecierpliwie czekałam, aż napełni filiżanki, on jednak najwyraźniej starał się przeciągać tę czynność. Podał mi wreszcie filiżankę kawy, usiadł za biurkiem i powiedział:

247

- No cóż, myślę, że powinna pani skontaktować się z rodziną.

- Czy coś zaszło?

- Może pani powiedzieć rodzinie, żeby na Święto Dziękczynienia przygotowali dwa dodatkowe nakrycia na stole.

Wydałam westchnienie głębokiej ulgi. Tym razem wiedziałam. Tym razem udało się. Mahtab i ja wracamy do Ameryki.

- Jak?

Wyłożył mi plan. Mahtab i ja polecimy irańskimi liniami do Bandar Abbas - miasta na południowym krańcu Iranu. Stamtąd motorówką zostaniemy przeschmuglowane przez Zatokę Perską do Emiratów Arabskich.

- W Emiratach trzeba będzie rozwiązać kwestię dokumentów, ale znajdziecie się już poza terytorium Iranu, a stamtąd nie odeślą was z powrotem. Będziecie mogły dostać z ambasady paszporty i udać się do domu - powiedział.

Myśl o podróży przez morze w otwartej łodzi była trochę przerażająca, lecz jeśli to miałyby otworzyć drogę ku wolności dla mnie i mojej córeczki, na pewno podejmiemy tę próbę.

- Czy będą potrzebne pieniądze? - spytałam.

- Ja zapłacę za wszystko - ponownie mnie zapewnił. - Gdy wróci pani do Stanów, zwróci mi je pani.

- Proszę to przyjąć - podałam mu plik banknotów. - Proszę przechować dla mnie te pieniądze. Lepiej, żeby ich Mudi nie znalazł.

Było tam około dziewięćdziesięciu dolarów i pewna kwota w rialach o wartości sześciuset dolarów - pochodziły z moich własnych zasobów. Amahl zgodził się przechować je dla mnie.

- Powinna pani mieć dokument identyfikacyjny, bez którego nie wpuszczą pani do samolotu - powiedział.

- W ambasadzie mają moje prawo jazdy, akt urodzenia oraz karty kredytowe.

- A irańskie świadectwo urodzenia?

- Nie mam. U nich jest tylko mój amerykański akt urodzenia, ten, który przywiozłam z sobą. Mudi ukrył gdzieś mój irański akt urodzenia.

- Można by spróbować kupić bilet na podstawie amerykańskiego aktu urodzenia - zastanawiał się. - Lepiej by było, gdyby mogła pani zdobyć irański. Proszę zabrać dokumenty z ambasady, ale niech się pani postara wydobyć swoje irańskie świadectwo.

- Dobrze. Kiedy lecimy?

- Mój człowiek w Bandar Abbas zajmuje się właśnie stroną organizacyjną, spodziewam się, że przybędzie do Teheranu za kilka dni. Proszę się nie martwić. I pani, i Mahtab będziecie w domu na Święto Dziękczynienia.

Z biura Amahla zadzwoniłam do Helen.

- Muszę się z panią natychmiast zobaczyć - oznajmiłam.

248

Minęły już godziny przyjęć interesantów w ambasadzie, ale powiedziała:

- Zaraz zejdę na dół i powiem strażnikowi, żeby panią wpuścił. Po tym telefonie Amahl ostrzegł mnie:

- Proszę nie mówić w ambasadzie, o co chodzi.

Byłam jednak tak podekscytowana, że gdy tylko Helen ujrzała mnie, zawołała:

- O Boże, co się z panią dzieje? Wygląda pani na szczęśliwą, zupełnie odmienioną.

- Wracam do domu.
- Nie mogę w to uwierzyć.
- Naprawdę wracam do domu i potrzebne mi są moje dokumenty i karty kredytowe.

Helen była szczerze uradowana. Na jej twarzy pojawił się radosny uśmiech. Uściskała mnie serdecznie. Obie płakałyśmy z radości. Nie pytała o to, jak, kiedy i kto. Wiedziała, że i tak nie powiem, i w gruncie rzeczy nie chciała tego wiedzieć.

Dała mi dokumenty, które przechowywała dla mnie w ambasadzie: prawo jazdy, nasze akty urodzenia i nowe amerykańskie paszporty, które nam załatwiła, a także karty kredytowe. Następnie obie poszłyśmy do pana Vincopa. On również był zadowolony usłyszawszy nowinę, ale podchodził do tego z rezerwą.

- Naszym obowiązkiem jest ostrzec panią przed próbą ucieczki. Nie powinna pani ryzykować życia Mahtab - powiedział.

Jednak wyraz jego twarzy przeczył słowom. Oczywiście, jego obowiązkiem jest ostrzec mnie. Ale najwyraźniej był zadowolony, że moje plany zaczynają się urzeczywistniać.

Uczył jeszcze jedną, bardziej na czasie uwagę.

- Niepokoję się z pani powodu. Jest pani taka szczęśliwa, że każdy to dostrzeże. Mąż szybko domyśli się, że coś się stało — ostrzegaj.

- Postaram się ukryć radość.

Spojrząwszy na zegarek zorientowałam się, że już późno. Mudi co prawda wróci do domu dopiero późnym popołudniem, lecz ja powinnam być w domu kwadrans po pierwszej, kiedy to Mahtab wraca ze szkoły. Przeprosiłam więc i pośpiesznie udałam się w długą drogę powrotną do domu.

Gdy tam dotarłam, było już pół do drugiej, a przed zamkniętą bramą domu zastałam Mahtab z zapłakaną buzią.

- Myślałam, że odjechałaś do Ameryki beze mnie! - szlochała. Bardzo pragnęłam powiedzieć jej, gdzie byłam naprawdę i co nas

czeka! Lecz teraz - bardziej niż kiedy indziej - nie miałam odwagi podzielić się z nią dobrymi wieściami. Czasu było tak mało. Tyle trzeba załatwić spraw. Jej będzie równie trudno jak mnie ukryć radość.

- Nigdy nie pojedę do Ameryki bez ciebie - zapewniałam. Wprowadziłam ją do domu.

249

- Proszę cię, nie mów tatusiowi, że przyszedłam do domu po tobie. | Kiwnęła głową. Łzy obeschły, poszła się bawić. Tymczasem jfl

z głową huczącą od myśli, ukrywałam dokumenty w zapinanym na i zamek błyskawiczny pokryciu kanapy w salonie i starałam się znaleźć I sposób, jak by tu ukryć moją radość.

Przyszedł mi do głowy pewien pomysł, zatelefonowałam do Alice. 1

- Chciałabym urządzić u nas Święto Dziękczynienia. Razem przy-\* gotujemy kolację. Zaprosimy Szamsi i Zari, chciałabym też, byś poznała Fereszte.

Alice zgodziła się od razu.

Wspaniale! - pomyślałam. Już mnie tu nie będzie, ale zachowam się tak, jakbym rzeczywiście miała zostać.

Późnym popołudniem wrócił Mudi i zastał mnie w szampańskim humorze.

- Alice i ja zamierzamy urządzić Święto Dziękczynienia! - oznajmiłam.

- Doskonale! - ucieszył się. Uwielbiał indyka na kolację.

- Trzeba iść na bazar i kupić indyka.

- Dacie sobie same radę?

- Naturalnie.

- To dobrze - odparł Mudi, zachwycony, że żona jest w radosnym nastroju i robi plany na przyszłość.

W ciągu kilku tygodni, jakie potem nastąpiły - w czasie, gdy Mahtab była w szkole, Mudi zaś w pracy - biegałam po Teheranie z energią i żywotnością nastolatki. Wraz z Alice szukałyśmy produktów niezbędnych do kolacji na Święto Dziękczynienia.

Alice była pod wrażeniem mojej umiejętności poruszania się po mieście. Ona też lubiła chodzić do centrum, nigdy jednakże nie odważała się wyruszać samotnie na dalsze wyprawy. Sprawiało jej radość towarzyszenie mi na bazar w poszukiwaniu świątecznego indyka.

Ponad godzinę zajęło nam dotarcie na miejsce. Przechodząc pod sklepieniem ogromnej bramy prowadzącej na bazar, wkroczyłyśmy w szalony świat kolorów i dźwięków. Bazar ciągnął się wzdłuż kilkunastu bloków, jak plaster miodu podziurawiony był po obu stronach krami-kami, w których sprzedawcy zachwalali swój towar. Głośno reklamowano dobra wszelkiego rodzaju. Tłumy przeciskały się środkiem bazaru, omijając ręczne wózki i kłócąc się. Było tam wielu Afgańczyków w workowatych, marszczonych w talii spodniach, na plecach dźwigali niewiarygodnie wielkie pakunki.

- To właściwe miejsce, cała ulica, a na niej wszelkie jedzenie. Ryby, 1 kurczaki, indyki - można dostać każde mięso - powiedziałam do Alice. Przepychałyśmy się z trudem przez niedomyty tłum, hałas przewiercał

250

nam uszy. W końcu dotarliśmy do bocznej uliczki, której szukałyśmy. Znalazłyśmy stragan, na którym było kilka chudych indyków, wiszących u sufitu za głowy. Były tylko częściowo wypatroszone, do piór lepił się pył uliczny, ale tylko takie można było dostać. Chciałam ptaka ważącego około pięciu kilogramów, ale największy miał tylko trzy.

- Możemy przyrządzić także rostbef - zaproponowała Alice. Kupiłyśmy więc tego indyka i zawróciłyśmy do domu.

Długo czekałyśmy na pomarańczową taksówkę. Wiele przejechało nie zatrzymując się w ogóle, ale tu właśnie był najruchliwszy rejon miasta i wszystkie były zapchane. Ramię bolało mnie od dźwigania indyka. Wreszcie jakaś taksówka zareagowała na nasze wołanie. Tylnie siedzenie było wypełnione, wcisnęłyśmy się więc na przednie, najpierw Alice, a potem ja.

Przed moimi oczami przewijały się obrazy znienawidzonego miasta, a ja zatonełam w myślach. Nigdy nie upiekę tego indyka - o tym byłam przekonana. Pomogę natomiast mamie w przygotowywaniu świątecznej kolacji, za którą będziemy po wiek wieków dziękować niebiosom.

- Motaszakker indza! - głos Alice wyrwał mnie ze snu na jawie. - Tu proszę zatrzymać! - poleciła kierowcy.

- Przecież nie tutaj... - powiedziałam.

Uświadomiłam sobie, co zaszło, gdy Alice wypchnęła mnie z pojazdu. Taksówka odjechała.

- Nie uwierzyłabyś, co ten taksówkarz ze mną wyprawiał — powiedziała.

- Ależ tak, mogę sobie wyobrazić. Mnie także spotkało coś podobnego. Nie powinniśmy mówić naszym mężom o tym zdarzeniu, bo już nigdy nie pozwolą nam samym chodzić po mieście.

Alice kiwnęła potakująco głową.

Nigdy nie słyszałyśmy, by taka zniewaga spotkała irańską kobietę, zastanawialiśmy się także, czy prasa irańska - przedstawiająca bez przerwy dane o liczbie rozwodów w Ameryce - nie sprawia, że Irańczycy uważają nas za opętane seksem demony.

Zatrzymałyśmy inną taksówkę i tym razem wcisnęłyśmy się na tylne siedzenie.

Po powrocie do domu spędziłyśmy kilka godzin na czyszczeniu kościstego ptaka i skrupulatnym wrywaniu piór za pomocą pęsetki, a następnie zamroziłyśmy indyka.

Trzeba było odbyć jeszcze wiele wypraw po zakupy. Kilkakrotnie poganiałam Alice, przywożąc ją do domu jeszcze przed południem. Za pierwszym razem powiedziałam:

- Gdyby Mudi pytał, to powiedz, że po zakupach wpadłam do ciebie na kawę i wyszłam około pierwszej.

Alice spojrzała na mnie zdziwiona, ale potaknęła i nie zadawała pytań. Potem zawsze gdy pędziłam do miasta, Alice uznawała, że „jestem u niej”.

Z domu Alice często udawałam się do sklepu Hamida, skąd mogłam zatelefonować do Amahla. Kilkakrotnie musiałam doń jechać, bo miał ważne sprawy do obgadania. Święto Dziękczynienia zbliżało się, a on nadal był pełen optymizmu.

Hamid natomiast widział te sprawy raczej pesymistycznie. Gdy podzieliłam się tą cudowną tajemnicą z moim starym współnikiem w konspiracji, powiedział:

- Nie, nie wierzę w to. Pozostanie pani w Teheranie do powrotu imama Mehdiego.

Nastaly teraz dni tak gorączkowe, że wieczory w domu u boku Mudiego stanowiły swego rodzaju przewrotne interludium, tak pełne napięcia, że wytrzymanie tego wymagało ode mnie prawie nadludzkiego wysiłku. Nie mogłam sobie pozwolić na okazanie zmęczenia, żeby Mudi nie zaczął czegoś podejrzewać. Gotowanie, sprzątanie, zajmowanie się Mahtab - należało wypełniać te wszystkie codzienne obowiązki. A w nocy sen nierychło przychodził, ponieważ myślami byłam w Ameryce. W nocy byłam już w domu.

Skądś tam, z najgłębszej warstwy mojej jaźni, czerpałam siły na prowadzenie takiego trybu życia.

Alice była nieocenionym sprzymierzeńcem, chociaż nie miała pojęcia o sekretach mego życia. Pewnego dnia podczas zakupów powiedziałam:

- Bardzo chciałabym zatelefonować do rodziny. Ogromnie za nimi tęsknię.

Alice wiedziała, że Mudi nie pozwala mi dzwonić do domu. Jej mąż także nie zezwalał na zbyt częste telefony do Kalifornii ze względu na koszty. Lecz Alice miała swoje własne pieniądze, zarobione lekcjami angielskiego, i czasami płaciła za owe zakazane połączenia telefoniczne.

- Muszę cię zaprowadzić na plac Tupchune - powiedziała.

- A co tam jest?

- Centrala telefoniczna. W centrum, w pobliżu bazaru. Trzeba zapłacić gotówką, ale możesz od nich zadzwonić za granicę.



Wspaniała wiadomość. Zaraz następnego dnia, pod wiarygodnym pretekstem konieczności szukania selerów do świątecznego farszu, udałyśmy się na plac Tupchune. Alice połączyła się z rodziną w Kalifornii, ja zaś zatelefonowałam do rodziców w Michigan.

- Znalazłam miejsce, skąd można połączyć się łatwiej niż z ambasady i bezpieczniej, niż gdybyście wy dzwoniли do domu. Teraz postaram się częściej z wami kontaktować.

- Oby ci się udało - powiedziała mama.

Ojciec bardzo się uradował słysząc mój głos. Powiedział, że od razu lepiej się czuje.

- Mam dla was świąteczny prezent - oznajmiłam. - Mahtab i ja będziemy w domu na Święto Dziękczynienia!

252

21.

Proszę nic nie mówić - powiedział Amahl. - Proszę po prostu siedzieć i nie odzywać się.

Uczyniłam, co kazał, siedziałam nieruchomo w biurze Amahla. Podeszedł do drzwi za mną, otworzył je i powiedział po persku kilka słów.

Wysoki śniady mężczyzna wszedł do gabinetu, obszedł mnie wkoło. Przyglądał mi się starając się zapamiętać mój wygląd. Przez chwilę pomyślałam, że może winnam zdjąć rusari, by zobaczyć całą twarz, zdecydowałam jednak nie czynić niczego bez polecenia Amahla. Nie wiedziałam, kim jest ów człowiek, nie chciałam go urazić.

Stał tak minutę lub dwie, następnie odszedł bez jednego słowa. Amahl usiadł za biurkiem nie komentując wizyty mężczyzny.

- Wysłałem kogoś do Bandar Abbas, żeby zajął się zorganizowaniem motorówki. Czekam teraz na jego powrót - stwierdził. - Załatwiam także lot do

Bandar Abbas. Na pokładzie samolotu będą też inni uciekinierzy, ale pani ich nie pozna. Nie będą siedzieć obok pani.

Amahl wzbudzał zaufanie, lecz ja mimo to niepokoiłam się. Sprawy posuwały się do przodu rozpaczliwie wolno. Czas dla Irańczyków ma niewielkie znaczenie; bardzo trudno załatwić coś zgodnie z planem.

Dni upływały jeden za drugim. Był poniedziałek, wkrótce nadejdzie Święto Dziękczynienia, wiedziałam już, że Mahtab i ja w żaden sposób nie zdołamy dotrzeć na święto do domu w Michigan.

- Może uda się w ten weekend - powiedział Amahl pragnąc mnie pocieszyć. - Może w następny. Nie wszystko jest jeszcze dograne. Nie mogę pani wysłać nie mając pewności, że wszystko jest załatwione jak należy.

- A jeśli nigdy nie będzie jak należy?

- Proszę się nie martwić. Pracuję także nad innymi możliwościami. Jeden z moich ludzi spotyka się właśnie z jednym z przywódców plemiennych w Zahidan. Może uda się uciec do Pakistanu. Prowadzę

253

także rozmowy z człowiekiem, który ma żonę i dziecko podobne do pani i Mahtab. Spróbuję go przekonać, żeby zabrał was jako swą żonę i córkę samolotem do Tokio lub do Turcji. Po powrocie opłacę pewnego urzędnika, który potwierdzi w paszportach powrót jego żony i córki do Iranu.

Brzmiało to dość ryzykownie, nie byłam pewna, czy potrafię zachować się jak irańska żona. Zdjęcia paszportowe kobiet robiono im w czadorach, z zakrytą twarzą. Ale gdy celnik lub ktoś przy odprawie spyta mnie o coś po persku, mogą być kłopoty.

- Proszę się pośpieszyć - prosiłam. - Czas nie działa na moją korzyść. Tak bardzo pragnę zobaczyć ojca. Nie chciałabym, by umarł przed moim powrotem. Na pewno poczuje się lepiej wiedząc, że się nam uda dotrzeć do domu. Proszę szybko znaleźć jakiś sposób.

- Postaram się.

Święto Dziękczynienia w Iranie było dla mnie smutnym przeżyciem, zwłaszcza że sama obiecałam rodzinie, iż obie z Mahtab wrócimy do domu. Bogu dzięki, że nie powiedziałam o niczym córce!

W czwartek - w Święto Dziękczynienia - obudziłam się bardzo zgnębiona. I za co miałabym dziękować?

By odzyskać choć trochę wigoru, a przynajmniej spędzić jakoś ten dzień, rzuciłam się w wir przygotowań do świątecznej kolacji, stając na głowie, żeby z kościstego ptaka wyczarować wspaniałą potrawę.

Po południu nastrój poprawiał mi się w miarę przybywania gości. Byłam wdzięczna, że istnieją - zupełnie nowe grono wspaniałych, kochanych ludzi, którzy doceniali uroki cywilizacji, byli - bez względu na miejsce urodzenia - o wiele bardziej Amerykanami niż Irańczykami. Zebrali się w naszym domu, by uczcić to typowo amerykańskie święto. Szamsi, Zari, Alice, Fereszte - jakżeż ja je kochałam, i jak strasznie tęskniłam za domem.

Mój melancholijny nastrój powrócił po kolacji, po zjedzeniu imitacji ciasta z dynią. Mudi rozparł się w fotelu, założył dłonie na brzuchu i drzemał, najwyraźniej zadowolony ze swego losu, jakby przez ostatnie półtora roku nic się nie zmieniło w jego życiu. Jakżeż ja nienawidziłam tego śpiącego obzartucha! Jak boleśnie pragnęłam być z mamą, tatą, Joem i Johnem!

We wtorek - wiedząc, że Mudi będzie w pracy - zadzwonił z Ameryki mój brat Jim. Mówił, że stan ojca nadzwyczajnie się poprawił, gdy obiecałam im, iż wraz z Mahtab będę w domu na Święto Dziękczynienia.

- Przez trzy dni z rzędu wstawał z łóżka i spacerował po domu

254

- opowiadał Jim. - Od dawna nie był w stanie chodzić. Wyszedł nawet do ogrodu.

- A jak się teraz czuje? - spytałam.

- Właśnie dlatego dzwonię. Gdy nie udało ci się wrócić do domu na Święto Dziękczynienia, wpadł w rozpacz. Jego stan pogarsza się z każdym dniem. Potrzebuje nadziei. Czy możesz do niego zatelefonować?

- Nie jest to proste - wyjaśniłam. - Nie mogę dzwonić z domu, bo Mudi natychmiast pozna po rachunku. Muszę jechać do śródmieścia, do tej centrali, nie będzie to łatwe, ale spróbuję.

- Czy zdołacie wkrótce powrócić? - spytał Jim.

- Robię co w mej mocy, by powrócić przed Bożym Narodzeniem. Nie będę już jednak ojcu niczego obiecywać.

- Nie obiecuj, póki nie będziesz zupełnie pewna powrotu - zgodził się ze mną.

Telefon Jima wprowadził mnie w stan przygnębienia. Czułam się tak, jakby to z mojej winy nie udało się nam spełnić obietnicy. Boże Narodzenie! Proszę Cię, Panie Boże, spraw, bym była już w Ameryce, nie w Iranie.

Boże Narodzenie nie jest w Iranie oficjalnie uznawanym świętem, lecz duża grupa Ormian obchodziła je bardzo uroczyście i wesoło zarazem. Jednakże w tym roku otrzymali złowieszcze ostrzeżenie. Na początku grudnia prasa irańska opublikowała na pierwszej kolumnie zalecenie skierowane do Ormian, by poniechali uroczystych obchodów. Szczęście i radość nie mają prawa gościć w kraju będącym w stanie wojny, pełnym bólu i cierpienia - obwieścił ajatollah.

Mudi nie przejmował się tym. Otwarcie afiszował się ze swą praktyką lekarską; przestał interesować się polityką irańską; postanowił, że jego córka będzie miała radosną Gwiazdkę.

Aby zająć czymś czas i odciągnąć uwagę Mudiego od moich częstych wypraw do miasta, rzuciłam się w wir zakupów.

- Mahtab ma tutaj mało zabawek - powiedziałam. - Chciałabym, żeby miała wspaniałe Boże Narodzenie. Kupię jej mnóstwo zabawek.

Zgodził się ze mną, ja zaś prawie całe dni spędzałam na wędrowniach po sklepach, czasem w towarzystwie Alice, czasem sama. Podczas jednej takiej wędrowni obie spędziłyśmy przedpołudnie na bazarze, do domu wracałyśmy autobusem. Alice wysiadła na przystanku obok swego domu, ja zaś musiałam

pojechać sama jeszcze trochę dalej. Spojrzenie na zegarek upewniło mnie, że w porę dotrę na przystanek, złapię taksówkę i dojadę na skrzyżowanie obok naszego domu, gdzie zatrzymywał się szkolny autobus Mahtab.

Wtem kakofoniczny chór syren wdarł się w hałaśliwą o tej porze

dnia ulicę irańską. Syreny w Teheranie były rzeczą zwykłą, tak pospolitą, że kierowcy w ogóle nie zwracali na nie uwagi, lecz tym razem były głośniejsze i bardziej uporczywe niż kiedykolwiek. Ku memu zaskoczeniu kierowca autobusu zahamował, by przepuścić karetki pogotowia. Obok przemknęło kilka samochodów policyjnych, a za nimi ogromne, dziwnie wyglądające platformy, załadowane potężnymi mechanizmami.

- Bom! bom! - pokrzykiwali pasażerowie.

Były to oddziały saperskie. Ellen widziała już taką platformę i opowiadała mi o niej; od razu ją rozpoznałam. Mechaniczne ramiona podnosiły bombę i układały ją w zabezpieczonym zbiorniku w tylnej części platformy.

Zaniepokoiłam się. Gdzieś przed nami, w rejonie, gdzie znajdował się nasz dom, była bomba.

Autobus dojechał wreszcie do przystanku, szybko zatrzymałam taksówkę i udałam się do domu. Po chwili utknęliśmy w korku. Taksówkarz mamrotał przekleństwa pod adresem innych kierowców, ja zaś spoglądałam nerwowo na zegarek. Zanim taksówkarz dotarł w pobliże miejsca, gdzie miałam wysiąść, byłam na skraju szaleństwa. Zbliżał się czas powrotu Mahtab ze szkoły. Będzie przerażona, nie znajdując mnie na przystanku szkolnego autobusu, ponadto zaniepokoi ją gorączkowy ruch samochodów policji. Gdzieś przed nami była bomba!

Korek rozładował się w boczną ulicę, a gdy taksówka skręcała, ujrzałam szkolny autobus tuż przed nami. Mahtab wysiadła na przystanku i rozejrzała się wokół zagubiona. Na rogu ulicy kłębił się tłum policjantów i ciekawskich gapiów.

Rzuciwszy taksówkarzowi kilka riali, wyskoczyłam z samochodu i podbiegłam do Mahtab. Korek uliczny dowodził, że bomba była w pobliżu.

Trzymając się za ręce pobiegliśmy do domu, ale gdy skręciliśmy, ujrzeliśmy ogromną niebieską platformę zaparkowaną na końcu naszej ulicy, niecałe sto metrów od domu.

Przyglądaliśmy się zafascynowane. W tym właśnie momencie gigantyczne ramiona automatu podnosiły skrzynię z żółtego pakona, zaparkowanego przy krawężniku. Mimo swych rozmiarów urządzenie obchodziło się z bombą delikatnie, umieszczając ją ostrożnie w stalowym pojemniku z tyłu platformy.

W kilka minut potem platforma saperów odjechała. Policja węszyła wokół żółtego pakona. Szukali dowodów potwierdzających fakt, że bomba została tam podłożona przez munafiąinów, przeciwników Chomejniego.

Dla policjantów przypadek ten był jednym z wielu. Dla mnie zaś upiornym przypomnieniem niebezpieczeństwa, na jakie narażone byliśmy w Teheranie. Musimy wydostać się z tego piekła, i to jak najprędzej, zanim świat wokół nas wyleci w powietrze.

256

Mudiemu powiedziałam, że większość prezentów gwiazdkowych kupiłam na bazarze, ale to tylko w połowie było prawdą. Od dawna znałam kilka sklepów w pobliżu domu, gdzie mogłam kupić trochę rzeczy, co pozwoliło mi na krótkie wizyty u Amahla w czasie potrzebnym na dojazd do bazaru i z powrotem.

Pewnego dnia zaszalałam jak nigdy przedtem, taszcząc stertę zabawek dla Mahtab, zaniósłam je jednak nie do domu, a do Alice.

- Chciałabym zostawić to wszystko u ciebie. Zabiorę je potem partiami - powiedziałam.

- Zgoda - odparła. Dowiodła swej przyjaźni dla mnie nie zadając pytań. Nie miałam odwagi zwierzyć się jej z moich zamiarów. Alice była jednak kobietą niezwykle inteligentną, spostrzegawczą. Widziała, że nie jestem zadowolona ze swego losu w Iranie, a i ona niezbyt lubiła Mudiego. Z całą pewnością miała świadomość tego, że prowadzę jakieś podwójne życie. Myślała zapewne, że mam romans.

I w jakimś sensie tak było. Między mną a Amahlem nie istniała więź fizyczna. Był on bardzo przywiązany do rodziny, nie zrobiłabym niczego, co mogłoby to

przywiązanie zniweczyć. Był atrakcyjnym mężczyzną zarówno w sensie fizycznym, jak i pod względem przymiotów ducha, otaczała go aura sukcesu, przy tym objawiał głęboką troskę o Mahtab i mnie. W tym znaczeniu byliśmy sobie bliscy, łączył nas bowiem wspólny cel. To Amahl, nie Mudi, był mężczyzną mego życia. Myślałam o nim nieustannie. Po rozczarowaniu, jakie spotkało mnie na Święto Dziękczynienia, zapewniał, że obie z Mahtab znajdziemy się w domu na Boże Narodzenie.

Miałam do wyboru: albo mu uwierzyć, albo postradać zmysły. Lecz pełne gorączkowych działań dni mijały, nie przynosząc widocznego postępu.

Pewnego ranka, wkrótce po wyjściu Mahtab do szkoły i gdy Mudi także odjechał taksówką do szpitala, popędziłam do „supermarketu”. To był dzień dostawy mleka, chciałam tam dotrzeć jak najwcześniej, zanim wszystko zostanie wykupione. Ale gdy skręciłam w główną ulicę, stanęłam jak wryta.

Przed „supermarketem”, sklepem z sabzi i mięsnym parkowało kilka wozów pasdarów. Oni sami - w mundurach - stali na chodniku tu i tam, z bronią wycelowaną w sklepy. W tym momencie obok samochodów pasdarów zatrzymała się wielka ciężarówka.

Odwróciłam się i szybkim krokiem odeszłam, nie chciałam wpaść im w oko. Zatrzymałam pomarańczową taksówkę i pojechałam kilka ulic dalej, do innego „supermarketu”, gdzie też mogłam zrobić zakupy.

Gdy wracałam, ujrzałam z daleka, że oddziały pasdarów wynoszą ze

17 — Tylko razem z córką

257

sklepów produkty i ładują je na ciężarówkę. Pośpiesznie skręciłam za róg, w bezpieczne sąsiedztwo domu.

Już w domu spytałam moją sąsiadkę Malihe, czy wie, co stało się w sklepach, ale wzruszyła tylko ramionami. W chwilę później pojawił się śmieciarz - źródło wiedzy o wszystkim, co działo się w okolicy - i jego Malihe spytała o wieści. Wiedział tylko tyle, że pasdarowie konfiskowali zapasy w sklepach.

Ciekawość, a także troska o los trzech sklepikarzy sprawiły, że wyszłam jednak z domu. Sprawdziwszy, czy jestem szczelnie okryta, postanowiłam pójść do „supermarketu”, jak gdyby nic się nie stało. Gdy tam przyszłam, Aga Reza stał na chodniku i przygnębiony spoglądał, jak pasdarowie kradną jego dobra doczesne.

- Poproszę o mleko - powiedziałam po persku.
- Nistesz - nie ?? - odpowiedział wzruszywszy ramionami, demonstrując stoicki spokój człowieka zdanego na łaskę i niełaskę złodziei, cieszących się poparciem władz.
- Tamum - westchnął. - Skończyło się.

Poszłam potem do sabzi, gdzie jeszcze większa grupa pasdarów rozwiązywała tobołki z zieleniną, a świeże owoce i jarzyny ładowano na ciężarówkę. Ze sklepu obok wywlekano półcie mięsa.

Tego dnia, gdy Mudi wrócił do domu z pracy, a ja opowiedziałam mu, że nasi trzej przyjaciele stracili swe sklepy, skomentował to tak:

- Pewnie handlowali na czarnym rynku, inaczej nie miałyby miejsca coś takiego.

Mudi przejawiał dość dziwne podejście do moralności. Jak wszyscy inni cieszył się, że można na czarnym rynku dostać smakołyki, ale stawał w obronie władzy, która karała sklepikarzy łamiących zakazy. Uważał, że pasdarowie mieli prawo łupić sklepy.

Wypadek ten zmartwił Mahtab, która ogromnie lubiła tych trzech właścicieli sklepów. Tej nocy, a także i w następną, modliła się: „Proszę Cię, Panie Boże, spraw, aby ci ludzie mogli znowu otworzyć sklepy. Byli dla nas tacy dobrzy. Bądź i Ty dobry dla nich”.

Krążyła plotka, że władza chciała przekształcić te budynki w biura, ale sklepy stały nadal puste. Ci trzej poczciwi Iranczyzy zostali wyrzuceni na bruk bez żadnej widocznej przyczyny. Ale widocznie pasdarowie mieli swoje powody.

Upływały tygodnie. Codzienne telefony do Amahla i odwiedziny przy każdej nadarzącej się okazji nieodmiennie kończyły się tak samo. Wciąż czekaliśmy na dogranie szczegółów akcji.



Zastanawiałam się niekiedy, czy aby to wszystko nie jest jeszcze jeden taarof.

- Na pewno wyprawimy panią do domu na Nowy Rok, jeśli już nie

258

na Boże Narodzenie - zapewniał mnie Amahl. - Staram się to zorganizować najszybciej jak potrafię. Wkrótce wywiozę panią stąd. Proszę być cierpliwą.

Tyle razy to słyszałam, zbyt często, poczynając od mojej pierwszej wizyty u Helen w ambasadzie i podczas każdej rozmowy z Amahlem. Z tą radą coraz trudniej przychodziło mi się pogodzić.

Oprócz dotychczasowych scenariuszy pojawił się jeszcze jeden. Amahl wszedł w kontakt z pewnym oficerem służby granicznej, który zgodził się zalegalizować amerykański paszport, wydany przez ambasadę szwajcarską. Pozwoliłby nam wejść na pokład samolotu do Tokio, odlatującego każdego wtorku rano - czyli wtedy, gdy Mudi jest w szpitalu. Amahl usiłował opracować plan działania. Ow urzędnik zwykle nie miał służby we wtorkowe ranki, próbował więc zamienić się z kolegą. Plan wydawał się sensowny, uznałam jednakże, że jest zbyt ryzykowny dla tego urzędnika.

- A co z Bandar Abbas? - spytałam.

- Pracujemy nad tym także - odparł. - Proszę być cierpliwą. Czułam się głęboko zawiedziona. Łzy płynęły mi po policzkach.

- Myślę czasami, że już nigdy nie wydostanę się stąd - powiedziałam.

- Ależ na pewno wyjedzie pani - zapewnił. - Ja zresztą też.

Jego słowa napełniły mnie otuchą, ale póki co musiałam wyjść ponownie na ulice Teheranu i wracać do męża.

Drobne na pozór fakty z życia w tym stojącym na głowie kraju wstrząsały mną raz po raz.

Pewnego popołudnia Mahtab oglądała w telewizji program dla dzieci, na który składały się dwa brutalne filmy animowane, a po nich wygłaszane w uniesieniu muzułmańskie kazanie. Po programie dziecięcym natomiast był magazyn medyczny, który nas obie zainteresował. Była w nim mowa o rodzeniu dzieci i w

miarę jak toczyła się akcja, absurdy kulturowe znów mną wstrząsnęły. Pokazywano, w jaki sposób dzieci przychodzą na świat. Matka była muzulfanką, opiekował się nią lekarz mężczyzna, kamera ukazywała jej obnażone ciało - ale głowa, twarz i szyja były szczelnie osłonięte czadorem.

- Czy zostawisz dla Świętego Mikołaja ciasteczka i mleko? - zapytałam Mahtab.

- A czy on naprawdę przyjdzie do naszego domu? W zeszłym roku nie przyszedł.

Obie z Mahtab rozmawiałyśmy o tym wiele razy i w końcu to ona doszła do wniosku, że Iran znajduje się zbyt daleko od bieguna północnego. Święty Mikołaj nie był w stanie tu dotrzeć.

Powiedziałam jej, że może w tym roku postara się dojechać i tutaj.

259

- Nie wiem, czy przyjedzie, czy nie, ale powinnaś coś zostawić na wszelki wypadek.

Ten argument przekonał Mahtab. Poszła do kuchni przygotować przekąskę dla Świętego Mikołaja. Potem udała się do swego pokoju i wróciła z obrazkiem, który podarowała jej Alice, przedstawiającym Panią i Pana Mikołaja.

- Może Święty Mikołaj będzie chciał zobaczyć, jak wygląda jego żona - powiedziała, kładąc obrazek na tacy obok ciasteczek.

Podekscytowana atmosferą Wigilii Mahtab ociągała się z pójściem do łóżka. Gdy wreszcie otuliłam ją kołderką, powiedziała:

- Proszę, obudź mnie, gdy usłyszysz, że nadchodzi Święty Mikołaj, chciałabym z nim porozmawiać.

- A co byś mu powiedziała?

- Chcę, żeby pozdrowił ode mnie babcię i dziadziusia i powiedział im, że dobrze się czuję, bo wtedy i oni będą mieli wesołe święta.

Coś mnie ścisnęło za gardło. Święty Mikołaj ma dla Mahtab mnóstwo prezentów, ale nie może jej dać tego, czego najbardziej pragnie. Gdyby mógł owinąć ją w ozdobną bibułkę i - machnąwszy czarodziejską różdżką - przerzucić na grzbiecie renifera ponad górami, poza granice Iranu, a potem przenieść

przez ocean na dach pewnego niewielkiego domu w Bannister, w Michigan!  
Gdybyż Święty Mikołaj mógł wsunąć ją przez komin i położyć pod choinką, by swoje posłanie przekazała dziadkowi i babci osobiście!

Tymczasem jednak przed nami były kolejne święta Bożego Narodzenia w Iranie, znów daleko od Joego, Johna, z dala od mamy i ojca.

Tego popołudnia Mudi do późna przyjmował pacjentów, dla których Wigilia nic nie znaczyła. Gdy skończył, spytałam:

- Czy Mahtab mogłaby nie pójść jutro do szkoły?
- Wykluczone - odparł sucho. - Nie może opuszczać lekcji tylko dlatego, że jest Boże Narodzenie.

Nie spierałam się z nim. Usłyszałam bowiem w jego głosie władczy ton, budzący moją czujność. Znów obserwowałam zmianę w jego zachowaniu. W jednej chwili powrócił ten dobrze znany, psychicznie niezrównoważony Mudi, ja zaś nie miałam zamiaru z nim walczyć.

- Mahtab, sprawdźmy, czy Święty Mikołaj był tu w nocy!

Obudziłam ją wcześniej, by miała czas rozpakować prezenty, zanim wyjdzie do szkoły. Jednym susem wyskoczyła z łóżka, zbiegła po schodach i wpadła w zachwyty ujrzawszy, że Święty Mikołaj zjadł ciasteczka i wypił mleko. Potem zobaczyła świąteczne podarunki. Mudi przyłączył się do nas, był w lepszym humorze niż poprzedniego wieczoru. W Ameryce uwielbiał święta Bożego Narodzenia, a ten ranek niósł

260

z sobą wspomnienia pełne ciepła. Uśmiechał się szeroko patrząc, jak Mahtab przebiera w okazałym stosie podarunków.

- Nie mogę uwierzyć, że Święty Mikołaj przyjechał z tak daleka do mnie do Iranu - radowała się.

Mudi napstrykał kilka rolek zdjęć, a gdy dochodziła siódma i Mahtab poszła do swego pokoju, by przygotować się do szkoły, Mudi powiedział do córki:

- Nie musisz iść dziś do szkoły. Albo może pójdziesz trochę później.
- Nie, nie mogę opuścić lekcji - odparła rzeczowym tonem, wpojonym jej przez muzułmańskich nauczycieli. Nie chciała spóźnić się do szkoły, bo by ją potem zaciągnęli do gabinetu dyrektorki i powiedzieli, że jest bad.

Tego wieczoru gościliśmy przyjaciół na świątecznej kolacji, ale wszyscy posmutnieliśmy z powodu zrozpaczonej Fereszcie. Wpadła niemal w histerię. Po ponad rocznym więzieniu jej mężowi przedstawiono oskarżenie i postawiono go przed sądem.

Nawet po wszystkim, co dotychczas słyszałam o tym obłąkanym kraju, z trudem przyszło mi uwierzyć w słowa szlochającej Fereszcie:

- Uznali go winnym „myślenia przeciwko rządowi"! Został skazany na sześć lat więzienia.

Mudi współczuł Fereszcie, bo ją lubił tak jak i ja. Ale później powiedział:

- Tu pewnie chodzi o coś innego.

W duchu nie zgadzałam się z nim, ale wiedziałam, jak bardzo pragnie wierzyć w irańską sprawiedliwość. Bez wątpienia był przeciwny rządowi ajatollaha. Na pewno odczuwał grozę słuchając tej historii, bo coś takiego oznaczało bezpośrednie zagrożenie. Mudi przecież sam otwarcie łamał prawo otwierając prywatną praktykę lekarską bez zezwolenia. Jeżeli można było wsadzić człowieka do więzienia na sześć lat za myślenie, to jak surowa kara może grozić za jawny sprzeciw?

Dzień po Bożym Narodzeniu był na szczęście wypełniony zajęciami, tak więc niewiele miałam czasu na uzalanie się nad sobą. Gromada krewnych Mudiego zwała się nam nieoczekiwanie na głowę, taszcząc z sobą prezenty, a wśród nich jedzenie, ubrania, sprzęty domowe, zabawki dla Mahtab i całe bukiety kwiatów. Był to zwrot o sto osiemdziesiąt stopni w porównaniu z ubiegłym rokiem. Najwyraźniej rodzina starała się okazać, że mnie akceptuje.

Jedynym bliskim członkiem rodziny, który nie przyszedł, był Baba Hadździ, jego nieobecność starała się wynagrodzić nam swym entuzjazmem jego małżonka.

- Azizam! Azizam! - wołała już od wejścia. - Kochanie, kochanie! Objuczona była podarunkami: malutkie sprzęty kuchenne, kwiaty

i skarpetki dla Mahtab; opakowany w celofan prawdziwy i bardzo

261

kosztowny szafran ze świętego miasta Meshed, kilo berberysu, nowe rusari i bardzo drogie skarpety dla mnie. Mudi nic nie dostał.

Była jak zwykle rozgadana, a ja stałam się głównym obiektem jej konwersacji. Koniecznie chciała, bym usiadła obok niej, upewniwszy się, że ktoś wszystko mi przetłumaczy. Każde zdanie zaczynała od azizam i nie znajdowała wprost słów pochwał dla mnie. Byłam taka dobra. Wszyscy mnie lubią. Słyszała o mnie od ludzi tyle dobrego. Tak ciężko pracuję. Jestem taką dobrą żoną, matką - i siostrą!

Dostałam zawrotu głowy od nadmiaru komplementów, udałam się więc do kuchni zmartwiona, że nie zdołam wykarmić tej hordy nie zapowiedzianych gości. W domu były tylko resztki świątecznej kolacji. Najlepiej jak umiałam, przyrządziłam posiłek. Były w nim kawałki kurczęcia i łazanki, kawałki ciasta z owocami, jarzyny i sosy, kulki sera i cukierki.

Amme Bozorg poleciła, by każdy gość spróbował wszystkiego po trochu, bo te niezwykle amerykańskie potrawy, przyrządzone przez jej siostrę, są świetne.

Wieczorem, kiedy już niektórzy goście wyszli, przybyli aga i chanum Hakim. Jako człowiek w turbanie, aga Hakim swoim zwyczajem przejął inicjatywę i skierował rozmowę na tematy religijne.

- Chcę opowiedzieć o święcie Bożego Narodzenia - oznajmił. Zaczął czytać wersety Koranu:

„I wspomnij w Księdze Marię! Oto ona oddaliła się od swojej rodziny do pewnego miejsca na wschodzie. I oddzieliła się od nich zasłoną. Wtedy posłaliśmy do niej Naszego Ducha i on ukazał się jej jako doskonały człowiek. Powiedziała: »Szukam schronienia u Miłosiernego przed tobą, jeśli jesteś bogobojny«. On powiedział: »Ja jestem tylko posłańcem twego Pana, aby dać ci chłopca czystego«. Ona powiedziała: »Jakże mogę mieć syna, kiedy nie dotknął mnie żaden śmiertelnik ani też nie byłam występna?« On powiedział: »Tak

będzie! Powiedział twój Pan: 'To jest dla Mnie łatwe. Uczynimy z niego znak dla ludzi i miłosierdzie pochodzące od Nas. To jest sprawa zdecydowana!^ I poczęła go, i oddaliła się z nim w dalekie miejsce. I doprowadziły ją bóle porodowe do pnia drzewa palmowego. Powiedziała: »Obym była umarła przedtem; obym była całkowicie zapomniana!« Wtedy będąc u jej stóp dziecko zawołało do niej: »Nie smuć się! Twój Pan umieścił u twych stóp strumyk. Potrząśnij ku sobie pień palmy, ona ci zrzuci świeże, dojrzałe daktyle. Jedz, pij i daj oczom ochłodę! A jeśli zobaczysz jakiegoś człowieka, to powiedz: 'Ślubowałam Miłosiernemu post, nie będę więc dziś mówić z nikim'«. I przyszła z nim do swego ludu niosąc go. Oni powiedzieli: »O Mario! Uczyniłaś rzecz niesłychaną! O siostrze Aarona! Twój ojciec nie był złym człowiekiem i matka twoja nie była występna«. Wtedy ona wskazała na nie. Oni powiedzieli: »Jakże będziemy przemawiać do kogoś, kto jest w kotysce, do małego chłopca?« On powiedział: »Zaprawdę, ja jestem sługą Boga! On dał mi

262

Księgę i uczynił mnie prorokiem. On mnie błogosławi, gdziekolwiek się znajduję. On nakazał mi modlitwę i jałmużnę - jak długo będę żył - i dobroć dla mojej matki. On nie uczynił mnie ani tyranem, ani nieszczęśliwym. I pokój nade mną w dniu, w którym się urodziłem, w dniu, w którym będę umierał, w dniu, kiedy będę wskrzeszony do życia«. To jest Jezus, syn Marii, słowo Prawdy, w którą powątpiewają. Nie jest odpowiednie dla Boga, aby przybrał Sobie syna. Niech Mu będzie chwała! Kiedy On postanowi jakąś rzecz, to tylko mówi: »Bądź!« i ona jest." \*

W Koranie zatem stwierdzano, że - aczkolwiek poczęty w sposób cudowny, i wielki prorok - Jezus nie był Synem Boga.

Oczywiście nie zgadzałam się z tym, ale nic nie powiedziałam.

Mudi wydawał się jowialnie zadowolony, że nasz dom stał się ośrodkiem zainteresowania w okresie świąt. Dlatego nawet nie pytając o zgodę zaprosiłam przyjaciół na Sylwestra. Ku memu zdumieniu rozgniewał się.

- Nie będzie żadnych drinków! - rozkazał.

- A skąd tu wziąć cokolwiek do picia? - zapytałam.

- Oni mogą z sobą coś przynieść.
- Powiem, żeby nic nie przynosili. Nie będzie w moim domu żadnego alkoholu. To zbyt niebezpieczne.

To go zadowoliło, ale miał inne obiekcje.

- Nie zezwalam na żadne tańce i całowania. Nie będziesz nikogo całować ani życzyć szczęśliwego Nowego Roku - oświadczył.
- Nie mam zamiaru tego robić. Chcę po prostu spędzić czas z przyjaciółmi.

Mruknął coś wiedząc, że już za późno na odwołanie zaproszeń. Przez całe popołudnie i wieczór miał pacjentów, pracował w gabinecie, nawet wówczas gdy przybyli goście: Alice i Szamsi z mężami oraz Zari i Fereszte. Czekaliśmy z kolacją ponad godzinę, popijając herbatkę i jedząc owoce. Zatelefonowano po męża Szamsi, doktora Nadżafi. Wzywano go do nagłego przypadku, ale odmówił.

- Niech znajdą kogoś innego - powiedział. Nie chciał opuścić naszego towarzystwa.

Gdy Mudi wreszcie wychynął z gabinetu, oświadczył:

- Dzwonili ze szpitala. Mają nagły przypadek. Muszę tam jechać. Wszyscy zastanawiali się, dlaczego Mudi unika naszego towarzystwa.

Podobnie jak doktor Nadżafi, mógł poprosić o zastępstwo.

W chwilę potem przed frontowymi drzwiami zatrzymał się ambulans. Gdy Mudi wrócił o wpół do jedenastej wieczorem, siedzieliśmy przy kolacji.

\* Koran, sura XIX, w. 16-35 (przyp. tłum.).

263

- Zjedz z nami - poprosiłam.

Lecz w tej chwili zadzwonił telefon i Mudi poszedł go odebrać.

- To pacjentka. Ma kłopoty z kręgosłupem i zaraz tu będzie - oznajmił nam.
- Nie powinieneś przyjmować pacjentów o tak późnej porze

- wsparła mnie Szamsi. - Trzeba, byś ustalił godziny pracy.
- Wykluczone. Muszę przyjąć ją teraz. Po czym zniknął w gabinecie.
- Psuje nam wieczór - mruknęła Alice.
- To się często zdarza. Zaczynam się przyzwyczajać. Nie mam mu tego za złe - powiedziałam.

Widziałam, że wszystkim jest mnie żal, ale w gruncie rzeczy o wiele lepiej czułam się w towarzystwie przyjaciół, gdy w pobliżu nie było Mudiego.

Kolacja udała się znakomicie, lecz goście musieli wyjść dość wcześnie. Zachodnie święto Nowego Roku nie było uznawane w Iranie; jutro zaczyna się normalny dzień pracy. W pięć minut zaledwie po północy wszyscy zaczęli zbierać się do wyjścia, gdy oto Mudi nareszcie wyszedł z gabinetu.

- Nie możecie jeszcze wyjść - powiedział z udawanym smutkiem.
- Przecież dopiero skończyłem pracę.
- Musimy wstać wcześniej rano - powiedział doktor Nadżafi.

W chwilę po tym, jak drzwi zamknęły się za naszymi gośćmi, Mudi nieoczekiwanie objął mnie i pocałował niezgrabnie.

- A to z jakiego powodu? - spytałam zaskoczona.
- No, szczęśliwego Nowego Roku.

Nie ma co mówić, szczęśliwy ten Nowy Rok - pomyślałam. 1986. Znowu upłynął rok, a ja wciąż tu jestem. Ile jeszcze lat upłynie?

Skończył się okres świąteczny, a ja odczułam pustkę. Dzięki świątecznym przygotowaniom miałam zajęty czas. Każde święto stanowiło cel sam w sobie. Miałam je przecież spędzić w domu, w Michigan, a nie tutaj. Ale podobnie jak Święto Dziękczynienia, Boże Narodzenie i Nowy Rok nadeszły, przeszły, a w kalendarzu pozostała już tylko ponura zima.

Czas włókł się niemiłosiernie.

- Proszę zachować cierpliwość - mówił Amahl, ilekroć kontaktowałam się z nim.



Miasto okrył śnieg. Ulice zamieniły się w brudne bajory. Co dzień rano budziłam się w coraz głębszej rozpacz, każdego dnia zdarzało się coś, co umacniało poczucie beznadziejności.

Pewnego razu, gdy mijałam zatłoczony plac niedaleko domu, zatrzymała mnie pasdarka. Przypomniało mi się poprzednie spotkanie, kiedy to zdoławszy wypowiedzieć kilka słów po persku, wzbudziłam

264

podejrzenia pasdarki, bo okazało się, że nie wszystko rozumiem. Mahtab była w szkole, nie miał mi kto pomóc. Tym razem postanowiłam udawać, że nic do mnie nie dociera.

- Nie rozumiem - powiedziałam po angielsku.

Ku memu zaskoczeniu pasdarka odpowiedziała również po angielsku, pierwszy raz uczynił to przedstawiciel pasdarów. Powiedziała gniewnie:

- Gdy szłaś ulicą, dojrzałam wąski pasek ciała między twoimi skarpetami a płaszczem. Powinnaś nosić dłuższe skarpety.

- Czy sądzi pani, że lubię te skarpety? Nigdy w życiu nie nosiłam czegoś podobnego. Gdybym miała wybór, byłabym już w Ameryce i nosiła rajstopy, a nie te skarpety, które nie trzymają się na nogach. Proszę mi łaskawie powiedzieć, gdzie w Iranie można kupić skarpety, które trzymają się na nogach?

Pasdarka zastanowiła się, na jej twarzy pojawiło się zrozumienie:

- Wiem chanum, wiem - powiedziała grzecznie. Odeszła, pozostawiwszy mnie w osłupieniu. Nie do wiary - spotkałam pasdarkę rozumiejącą moją sytuację.

W owej chwili cierpiałam bardziej niż kiedykolwiek. Tak bardzo pragnęłam znaleźć się w społeczności, w której mogłabym nosić, co mi się podoba. Gdzie mogłabym oddychać swobodnie.

Była już połowa stycznia, gdy około czwartej po południu zadzwonił telefon. Znajdowałam się wówczas w poczekalni gabinetu Mudiego, wśród pacjentów. Odebrawszy telefon usłyszałam głos mojej siostry Carolyn. Płakała do słuchawki.

- Doktor był w domu. Ojciec ma zaczopowanie jelita, postanowili go operować. Bez operacji nie przeżyje, ale lekarze uważają, że jest zbyt słaby, by przeżyć taką operację. Mówią, że może dziś umrzeć.

Przestałam dostrzegać cokolwiek wokół mnie, łzy płynęły mi z oczu ciurkiem, wsiąkając w rusari. Serce mi pękało. Mój ojciec umierał tysiące mil stąd, a ja nie mogłam być przy nim, wziąć go za rękę, powiedzieć, jak bardzo go kocham, dzielić z rodziną ból i smutek.

Zadałam Carolyn mnóstwo pytań o stan ojca, ale przytłoczona rozpaczą prawie nie słyszałam tego, co mówi.

Nagle dostrzegłam obok Mudiego, miał zmartwioną minę. Słyszał rozmowę na tyle dobrze, by domyślić się, o co chodzi. Powiedział cicho:

- Jedź. Jedź zobaczyć się z ojcem.

265

\*\*\*\*\*

22.

Słowa Mudiego kompletnie mnie zaskoczyły. Chciałam się upewnić, czy aby się nie przesłyszałam. Położywszy dłoń na mikrofonie, powiedziałam:

- Ojciec jest w bardzo ciężkim stanie. Uważają, że nie przeżyje tej nocy.
- Powiedz jej, że przyjedziesz.

Przez ułamek sekundy ogarnęło mnie nieopisane szczęście. Lecz już w chwilę potem zrodziły się we mnie podejrzenia. Skąd ta nagła zmiana? Czemu, po

półtorarocznym więzieniu mnie tutaj, Mudi miałby tak nagle pozwolić Mahtab i mnie na powrót do Ameryki?

Rozważałam tę kwestię przez moment.

- Musimy o tym porozmawiać - powiedziałam. Następnie powróciłam do Carolyn:

- Słuchaj - krzyczałam do słuchawki tak, jakbym musiała pokonać odległość wielu tysięcy mil. - Chciałabym pomówić z ojcem przed operacją.

Mudi nie wyraził sprzeciwu. Przysłuchiwał się, jak obie z Carolyn omawiamy szczegóły. Powinnam zadzwonić do Carson City Hospital dokładnie za trzy godziny. Ona przygotuje ojca do rozmowy ze mną przed przewiezieniem go do sali operacyjnej.

- Powiedz jej, że przyjedziesz - powtórzył Mudi. Pełna zwątpienia zignorowałam jego polecenie.

- Powiedz jej zaraz - nalegał.

Coś tu nie gra - pomyślałam. Dzieje się coś niedobrego.

- No, mów! - powtórzył groźnie brzmiącym głosem.

- Carolyn, Mudi mówi, że mogę jechać do domu. Moja siostra wydała okrzyk zaskoczenia i szczęścia.

Po zakończeniu rozmowy Mudi od razu wrócił do gabinetu pełnego czekających pacjentów, uniemożliwiając dalszą dyskusję. Skryłam się w sypialni, płacząc z żalu nad ojcem, oszołomiona, pełna mieszanych

266

uczuć, skonfundowana i jednocześnie uszczęśliwiona oświadczeniem Mudiego, że jedziemy do Ameryki.

Nie pamiętam, jak długo płakałam, gdy wtem zdałam sobie sprawę z obecności Szamsi w pokoju.

- Zadzwoniłam i Mudi powiedział mi, że są złe wieści o twoim ojcu. Obie z Zari przyszłyśmy podtrzymać cię na duchu.

- Dzięki stokrotnie - odpowiedziałam ocierając oczy. Wstałam z łóżka i padłam jej w objęcia, łzy na nowo zaczęły płynąć po mojej twarzy.

Szamsi sprowadziła mnie na dół do salonu. Była tam także Zari, starała się mnie pocieszyć. Wypytywały o wieści o ojcu, wspominały nagłą, niespodziewaną śmierć ich własnego ojca wiele lat temu.

- Musiałam porozmawiać dziś rano z Mudim, zanim dostałaś ten telefon - mówiła Zari. - Bardzo martwię się stanem twojego ojca i powiedziałam Mudiemu, że powinien ci pozwolić go odwiedzić.

Nastawiłam uszu. Czyżby dlatego Mudi tak nagle zmienił swoje nastawienie?

Zari relacjonowała rozmowę z moim mężem. Mudi oznajmił, że nie pozwala mi na wyjazd do Ameryki, ponieważ wie, że ja już nigdy nie wrócę do Iranu.

- Jakim prawem tak postępujesz? - powiedziała Zari Mudiemu. - Nie możesz trzymać jej tu przez resztę życia tylko dlatego, że sądzisz, iż ona nie wróci.

Zari powiedziała mu, że jest bad, ponieważ nie pozwala mi odwiedzić ojca. Było to obraźliwe i złośliwe określenie, zwłaszcza że pochodziło od Zari - kobiety starszej od Mudiego, długoletniej przyjaciółki rodziny, zasługującej w związku z tym na szacunek.

Mimo to Mudi był nieugięty, póki Zari nieświadomie nie podsunęła mu rozwiązania dylematu. W swej prostocie ducha uznała, że Mudi niepokoi się o opiekę nad Mahtab podczas mojej nieobecności, zaproponowała więc:

- Jeśli o to się martwisz, to przecież podczas nieobecności Betty Mahtab może mieszkać z Szamsi i ze mną.

Przez osiemnaście miesięcy, jakie tu przeżyłam, nic nie sprawiło mi większego bólu. Zari miała dobre intencje, ale w ten sposób zastawiła na mnie pułapkę. Ilekroć dyskutowaliśmy z Mudim o powrocie do Ameryki, samo przez się było zrozumiałe, że chodzi o mnie i Mahtab! Mahtab tak to pojmowała, i ja także. Nie byłam w stanie powiedzieć jej, że być może grozi nam rozstanie.

Nie pojedę do Ameryki bez Mahtab.

A jeśli Mudi będzie starał się wysłać mnie samą?

- Dziadziu, przyjeżdżamy w odwiedziny do ciebie! - oznajmiła Mahtab, gdy połączyłyśmy się ze szpitalem. Słowa jej wyrażały

267

ekscytację, lecz na buzi miała wyraz niepewności. Domyśliłam się, że nie bardzo wierzy w to, że ojciec pozwoli nam pojechać. Dziadek mógł rozmawiać ze swą małą Tobby tylko przez chwilę, z trudem wypowiadał każde słowo.

- Tak bardzo się cieszę, że przyjedziecie - mówił do mnie. - Pośpieszcie się, nie zwlekajcie.

Płakałam cicho, starałam się go zapewnić, że wkrótce się spotkamy, choć w gruncie rzeczy byłam świadoma, iż prawdopodobnie nie przetrzyma tego dnia, że już nigdy go nie ujrzę. Jeśli rzeczywiście pojedą do Ameryki, to już tylko na jego pogrzeb.

- Będę się modlić za ciebie podczas operacji - zapewniłam go.

- Chcieć to móc - odpowiedział. W jego głosie wyczułam nową siłę. Potem dodał:

- Daj Mudiemu do telefonu.

- Ojciec chce z tobą rozmawiać - oddałam Mudiemu słuchawkę.

- Dziadku, chcemy cię odwiedzić. Bardzo za tobą tęsknimy - powiedział Mudi. Szamsi i Zari słyszały to wraz ze mną i Mahtab. Wszystkie wiedziałyśmy, że Mudi kłamie.

Rozmowa szybko się skończyła, nadszedł czas operacji.

- Dziękuję ci za to, coś powiedział ojcu - odezwałam się, szukając sposobu załagodzenia narastającego w nim wzburzenia.

Odchrząknął coś. Potrafił być dobrym aktorem, gdy chciał. Doskonale wiedziałam, że nie ma zamiaru wracać do Ameryki, czy pozwolić Mahtab pojechać ze mną. Ale jaką tym razem prowadzi z nami grę?

Mudi przyjmował pacjentów do późnego wieczora. Mahtab była już w łóżku, spała niespokojnie pełna lęku o dziadka i podniecona perspektywą podróży do Ameryki. Leżąc w łóżku płakałam już bez żadnych hamulców. Łkałam z

rozdzierającym smutkiem z powodu ojca, który według wszelkiego prawdopodobieństwa był już martwy. Płakałam nad rozpaczą matki, siostry i brata, nad Joem i Johnem, którzy stracą dziadka, a mnie nie będzie przy nich, żeby ich pocieszyć. Płakałam też nad Mahtab - jak zniesie to dodatkowe brzemień? Słyszała ojca mówiącego, że wracamy do Ameryki, by odwiedzić dziadka. W jaki sposób miałam ja - lub ktokolwiek inny - powiedzieć jej, że ona nie pojedzie i że nie ma już dziadka?

Mudi przyszedł do sypialni tej nocy o pół do jedenastej. Usiadł obok mnie na łóżku. Był teraz miłszy, bardziej opiekuńczy, starał się mnie pocieszyć.

Nawet w głębokiej rozpaczy starałam się opracować strategię, która pozwoliłaby mi wyrwać stąd Mahtab.

- Jedź z nami - prosiłam. - Nie uśmiecha mi się wracać do Ameryki

268

samotnie. Chciałabym, żebyś ty ze mną pojechał. Byśmy pojechali wszyscy troje. W takiej chwili, jak teraz, bardzo ciebie potrzebuję. Bez ciebie nie poradzę sobie z tym wszystkim.

- Nie mogę jechać - odparł. - Jeśli wyjadę, stracę pracę w szpitalu. To, co powiedziałam, było ostateczną próbą uczynienia niemożliwego

możliwym. Starłam się mówić lekko, jak gdybym przedtem nigdy nie ćwiczyła tej kwestii. Powiedziałam więc:

- No dobrze, ostatecznie Mahtab może jechać ze mną, prawda?

- Wykluczone. Musi chodzić do szkoły.

- Jeśli ona nie pojedzie ze mną, to ja także nie jadę - oświadczyłam zdecydowanie.

Wstał bez słowa i wyszedł z pokoju.

- Mammal zajmie się wszystkim - powiedział Mudi następnego ranka.

- Tak się cieszę, że odwiedzisz rodzinę. Kiedy chcesz lecieć? Kiedy zamierzasz wrócić?

- Nie pojedę bez Mahtab.
- Ależ tak - odparł lodowato. - Naturalnie, pojedziesz.
- Jeśli pojedę, to tylko na dwa dni.
- O czym ty mówisz? Zrobię ci rezerwację na samolot do Corpus Christi - powiedział.
- A po co miałabym tam jechać?
- Żeby sprzedać dom. Nie masz po co jechać do Ameryki, jeśli nie załatwisz sprzedaży domu. To nie jakaś tam wycieczka. Nie pojedziesz na kilka dni. Zostaniesz tak długo, aż sprzedasz wszystko, co posiadamy. Wrócisz tu z dolarami. Póki nie zobaczę pieniędzy, nie masz tu po co wracać.

A więc o to chodziło, to ten nieprzytomny pomysł krył się za nieoczekiwaną zgodą na moją podróż do Ameryki. Nic go nie obchodził mój ojciec, moja matka, moi synowie i reszta rodziny. Nie chodziło

o to, by mi sprawić radość tymi odwiedzinami. Chciał pieniędzy.

1 oczywiście zamierzał zatrzymać Mahtab jako zakładniczkę, gwarantującą mój powrót.

- Ani mi się śni! - zawołałam. - Nic z tego. Jadę tam na pogrzeb ojca, nie będę w stanie myśleć o sprzedaży tego wszystkiego. Sam dobrze wiesz, ile tego jest. Nie będzie łatwo tak od razu sprzedać. Jakże w takiej sytuacji mogę być zdolna do zajmowania się takimi sprawami?

- Wiem, że to nie jest proste — to on z kolei zaczął krzyżeć. — Nie obchodzi mnie, jak długo tam zostaniesz. Nie obchodzi mnie, ile czasu to zajmie. Masz nie wracać, dopóki tego nie załatwisz!

269

Gdy Mudi poszedł do szpitala, wybiegłam na ulicę, złapałam taksówkę i pojechałam do biura Amahla. Uważnie wysłuchał opowieści o niespodziewanym rozwoju wypadków w moim pogmatwanym życiu. Na jego twarzy malował się niepokój i zatroskanie.

- Mogę pojechać na dwa dni, tylko na pogrzeb, i wrócić tutaj - podsunęłam. - Wówczas mogłabym uciec z Mahtab zgodnie z planem.
- Nie powinna pani jechać - radził. - Jeśli pani pojedzie, nigdy już więcej nie ujrzy pani Mahtab. Jestem o tym przekonany. On nie wyrazi zgody na pani powrót do Iranu.
- Ale przecież obiecałam ojcu, że przyjadę. Tyle razy go zwodziłam.
- Proszę nie jechać.
- A może pojedę i przywiozę te pieniądze. Mogłabym także przywieźć pieniądze potrzebne na ucieczkę!
- Nie radzę pani jechać. Ojciec nie życzyłby sobie pani przyjazdu wiedząc, że Mahtab jest nadal w Iranie.

Miał słuszość. Czułam to. Wiedziałam, że jeśli opuszczę Iran bez Mahtab choćby na pięć minut, Mudi już na zawsze rozdzieli mnie z nią. Mimo iż życie w Teheranie stało się dla nas ostatnio bardziej znośne, w głębi duszy wiedziałam, że Mudi z przyjemnością usunie mnie ze swojego życia. Będzie miał naszą córkę. Będzie łudził mnie nadzieją, lecz wpierv zmusi mnie do sprzedania wszystkiego żądając, bym wysłała pieniądze w zamian za zgodę na mój powrót. Byłam pewna, że gdy już otrzyma pieniądze, rozwiedzie się ze mną, na zawsze zabroni mi powrotu, znajdzie sobie jakąś miejscową kobietę, która będzie wychowywać Mahtab.

Moja rozmowa z Amahlem przybrała nowy obrót.

- Czy nie dałoby się przyspieszyć ucieczki, zanim Mudi zmusi mnie do wyjazdu?

Amahl kręcił się niespokojnie na fotelu. Zdawał sobie sprawę, że to wszystko trwa już za długo. Wiedział też, że moja sytuacja stała się krytyczna. Jednakże nie był cudotwórcą.

- Bardzo ważne jest, by wszystko zostało właściwie zorganizowane, zanim pani i Mahtab opuścicie Mudiego - powiedział to, co przedtem często powtarzał. - Ukrywanie was w Teheranie do czasu dopracowania szczegółów akcji jest zbyt ryzykowne. Niewiele jest tras wylotowych z miasta. Jeśli będą was szukać na lotnisku lub na punktach kontrolnych autostrad, szybko was znajdą.



- To prawda - zgodziłam się. - Ale musimy się pośpieszyć.
- Spróbuję - obiecał. - Proszę się jednak zbytnio nie martwić. Wyjaśnił, że muszę mieć irański paszport. Ten, który mamy obecnie

i na podstawie którego wjechaliśmy do Iranu, został wystawiony na całą trójkę. Aby z niego skorzystać, musielibyśmy podróżować całą rodziną. Sama nie mogę go używać, nie mogę także wyjechać na paszport amerykański, który Mudi gdzieś schował.

270

- Nie będzie mógł szybko wyrobić pani paszportu - zapewnił.
- Zwykle czeka się rok. Nawet jeśli ktoś postara się przyspieszyć procedurę wykorzystując znajomości, to i tak zajmie to sześć, osiem tygodni. O ile wiem, najszybciej udało się uzyskać paszport w sześć tygodni. Do tego czasu już panią stąd wywiozę. Proszę być cierpliwą.

Tego samego popołudnia rozmawiałam z Carolyn. Ojciec przetrzymał operację. Wciąż jeszcze żył! Mówiła, że gdy go wieźli do sali operacyjnej, opowiadał lekarzom i pielęgniarkom, że Betty i Tobby przyjadą do domu. Moja siostra była pewna, że ta wiadomość pozwoliła mu zebrać siły. Jednakże nadal był nieprzytomny, doktorzy uważali, że jego życie wisi na włosku.

Wieczorem zjawili się Mammal i Madzid. Usiedli z Mudim w jego gabinecie, omawiając szczegóły mojego wyjazdu. Byłam właśnie w kuchni, gdy weszła tam Mahtab. Jej mina zdradziła mi, że dzieje się z nią coś bardzo niedobrego. Nie płakała, ale spoglądała na mnie z mieszaniną gniewu i bólu.

- Czy to prawda, że chcesz wyjechać i zostawić mnie tutaj?
- O czym ty mówisz?
- Tatuś powiedział mi, że pojedziesz do Ameryki beze mnie! Wybuchnęła płaczem.

Podeszłam, by ją przytulić, ale uchyliła się, cofnęła się przede mną aż do drzwi.

- Obiecałaś, że nigdy nie pojedziesz beze mnie - łkała. - A teraz chcesz mnie zostawić.

- Co ci tatuś powiedział?
- Powiedział, że chcesz mnie zostawić i nigdy już do mnie nie wrócisz.
- Chodź ze mną. Porozmawiamy o tym z tatusiem - powiedziałam, biorąc ją za rękę, a w środku czułam narastający gniew.

Szarpnęłam drzwi gabinetu Mudiego, gdzie trzech mężczyzn spiskowali przeciwko mnie.

- Dlaczego powiedziałaś Mahtab, że jadę bez niej do Ameryki?
- krzyczałam.

Odpowiedział mi też krzyżąc:

- Nie ma sensu tego przed nią ukrywać. Musi się do tego przyzwyczajać. Może zacząć przyzwyczajać się od teraz.
- Ja nie pojedę bez niej!
- Owszem, pojedziesz.
- W żadnym wypadku.

Krzyczeliśmy tak na zmianę przez kilka chwil, żadne z nas nie zamierzało ustąpić. Mammal i Madżid demonstrowali brak

271

zainteresowania moją deklaracją, nic ich też nie obchodziło, jaki to ma wpływ na Mahtab.

Na koniec wypadłam z pokoju. Obie poszłyśmy na górę, do mojej sypialni. Objęłam ją i raz po raz powtarzałam:

- Mahtab, nie wyjadę bez ciebie. Nigdy cię nie opuszczę. Pragnęła mi wierzyć, lecz w jej oczach czaiła się nieufność. Wiedziała,

jaką władzę ma jej tatuś nad nami obiema. Spróbowałam jeszcze raz:

- Nie chcę, żeby tatuś się o tym dowiedział, ale jeśli nie zmieni postanowienia przed odlotem, rozchoruję się tak bardzo, że nie będę w stanie wejść do samolotu. Tylko nic mu o tym nie mów.

Czułam, że nadal mi nie wierzy, ja zaś nie miałam odwagi powiedzieć jej o Amahlu. Jeszcze nie teraz.

Płakała tak długo, aż zasnęła wtulona we mnie przez całą, niemiłosiernie długą noc.

Mudi udał się do biura paszportowego, spędził tam cały dzień, wrócił sfrustrowany długą kolejką i tępotą biurokratów. Jak przewidział Amahl, wrócił z pustymi rękami.

- Sama musisz tam pójść. Pójdiesz jutro, a ja z tobą - oznajmił.

- A co z Mahtab? - spytałam, gorączkowo szukając jakiegoś pretekstu. - Ty spędziłeś tam cały dzień. Nie będzie nikogo w domu, gdy ona wróci ze szkoły.

Zastanowił się.

- Pojedziesz więc sama - rzekł w końcu. - Dam ci wskazówki. Ja zostanę w domu i zaczekam na Mahtab.

Wieczorem siedział w gabinecie wypełniając kwestionariusz paszportowy, pisząc podanie, w którym przedstawił nieuchronną śmierć mego ojca. Pouczył mnie, jak dotrzeć do biura paszportowego, podał nazwisko urzędnika, który ma na mnie czekać.

Muszę tam iść - postanowiłam. Muszę się stawić na umówione spotkanie w biurze paszportowym, ponieważ Mudi z pewnością to sprawdzi. Byłam jednak przekonana, że wrócę z plikiem następnych formularzy do wypełnienia i wieloma usprawiedliwieniami opóźnienia.

Biuro było obezwładniającą plątaniną korytarzy, drzwi, długich kolejek mężczyzn i równie długich kolejek kobiet, a wszyscy pełni nadziei uporania się z ogromnie trudnym zadaniem uzyskania zgody na wyjazd z Iranu. Długo o tym marzyłam. Jakie to dziwne i przygnębiające; teraz byłam przerażona na myśl, że mogę dostać paszport i wizę wyjazdową.

Znalazłam wreszcie człowieka, z którym Mudi umówił mnie na spotkanie. Powitał mnie radośnie, mamrocząc coś niezrozumiale po

1

persku, a potem powiódł przez szereg pokoi, posługując się swym autorytetem i łokciami przebijał się na początek rozmaitych kolejek. Wyglądało wszelako na to, iż niewiele wskóraliśmy, i to mnie pocieszało.

W końcu zaprowadził mnie do ogromnej sali, wypełnionej kilkoma setkami mężczyzn. Lustrował uważnie tłum przez chwilę, wreszcie wybrał kogo trzeba - młodego Irańczyka, którego przyciągnął do mnie, mówiąc coś po persku.

- Znam angielski - powiedział ów młodzieniec. - To jest wydział dla mężczyzn.

To raczej było widać.

- On chce, żeby pani tu poczekała. W tej kolejce. Być może za godzinę lub dwie wróci i załatwi pani sprawę.

- A co to ma być?

Młodzieniec przetłumaczył szereg pytań i odpowiedzi.

- Dadzą pani paszport.

- Dzisiaj?

- Tak. Tutaj, w tej kolejce. Próbowałam manewrować:

- Ależ ja dopiero dziś zaczęłam załatwiać formalności.

- To chyba niemożliwe.

- Tak jest. Podanie przyniosłam dopiero dziś rano.

- Ale oni dadzą pani paszport dzisiaj. Proszę tutaj poczekać. Obaj mężczyźni zostawili mnie samą na pastwę hysterii. Czy to być

może? Mudi tak długo czekał na pozwolenie prowadzenia praktyki lekarskiej. Mimo przechwałek, zarówno on jak i jego rodzina niewielki mieli wpływ na biurokrację w służbie zdrowia. Czyżbyśmy oboje z Amahlem nie doceniali znajomości Mudiego w tej dziedzinie? A może to robota Mammala? Lub Madżida? Albo Baba Hadździ - który ma tak rozległe kontakty w biznesie importowo-eksportowym? Przypomniałam sobie, kto z krewnych Mudiego pierwszy powitał nas na lotnisku - Zia Hakim ominął urzędników odprawy.

Pojęłam, i aż się zachwiałam. Stojąc w tłumie rozjazgotanych Irańczyków czułam się nagą, bezwolną, samotną kobietą w społeczności mężczyzn. To naprawdę ma nastąpić? Mudiemu ma się powieść ten szatański plan?

Chciałam odwrócić się na pięcie i uciec. Lecz nie było dokąd, były tylko ulice Teheranu. Ambasada? Policja? Amahl? Ale wszędzie tam nie było Mahtab. Była w domu, w rękach wroga.

Zostałam więc tam, gdzie byłam, posuwając się w kolejce i mając świadomość, że Mudi na pewno zażąda - i otrzyma - relację o mnie dzięki swoim znajomościom w urzędzie.

Kolejka zmniejszała się niepokojąco szybko. Godzinami czekałam na bochenek chleba, ochłap mięsa lub kilo jaj - przy czym połowa była

18 — Tylko razem z córką

273

stłuczek. Czy otrzymanie paszportu nie powinno zająć więcej czasu? Czyżbym teraz miała do czynienia z wyjątkową operatywnością urzędu?

Nadeszła moja kolej, wręczyłam więc naburmuszonemu urzędnikowi moje dokumenty. On w zamian podał mi paszport. Patrzyłam na niego zszokowana, nie wiedząc, co dalej winnam czynić.

W mózgu miałam pustkę, ale gdy wychodziłam z urzędu, przyszło mi do głowy, że Mudi zapewne nie spodziewa się mnie tak prędko. Było trochę po pierwszej. Nie mógł przecież wiedzieć, że tak szybko otrzymam ten przeklęty paszport.

Zaczęłam szybko działać pragnąc znaleźć wyjście z tej nowej pułapki, złapałam więc taksówkę i pojechałam do Amahla.

Pierwszy raz zjawiłam się bez uprzedzenia, jego twarz wyrażała zaskoczenie i niepokój, pojął, że musiało się zdarzyć coś niezwykłego.

- Nie mogę uwierzyć - powiedział oglądając paszport. - To niesłychane. On musi mieć znajomości, o jakich ja nie mam pojęcia. Ja także mam swoje chody, a mimo to nigdy mi się coś takiego nie udało.

- Co z tym zrobimy?

Amahl dokładnie oglądał paszport.

- Tu jest napisane, że urodziła się pani w Niemczech - zauważył. - Skąd się to wzięło? Gdzie się pani urodziła?

- W Almie, w Michigan. Amahl zastanowił się.

- Alman znaczy po persku „Niemcy”. Dobra nasza. Powie pani Mudiemu, że jutro trzeba odnieść paszport z powrotem i poprawić błąd. Na ten paszport pani nie wypuszczą. Jutro rano proszę pojechać do biura paszportowego. Zostawi go pani u nich i odejdzie. Nie wolno dopuścić, by załatwili to od ręki. Mężowi powie pani, że paszport zatrzymano. Wyjaśnienie zajmie trochę czasu.

- Dobrze.

W drodze z biura Amahla do domu, jadąc przez całe miasto, starałam się ułożyć w głowie odpowiedni scenariusz. Byłam tak zaabsorbowana obmyśleniem, jak wytłumaczyć błąd w paszporcie, że Mudi całkowicie mnie zaskoczył.

- Gdzie byłaś? - warknął.

- W biurze paszportowym - odpowiedziałam.

- Dzwonili o pierwszej, że już wydali ci paszport - mówił cicho, ale jego głos brzmiał jadowniczo.

- Dzwonili do ciebie?

- Tak.

- Przepraszam za spóźnienie. W mieście był straszny ruch. Miałam kłopoty z przesiadkami.

Mudi przyglądał mi się podejrzliwie. Czułam, że węszy kłamstwo. Starałam się więc odwrócić jego uwagę:

- Co za oferty! - powiedziałam pokazując mu paszport. - Popatrz

tylko. Czekałam cały dzień, a oni wydali mi paszport z błędem. Tu jest napisane „Niemcy”. Muszę im go odnieść, żeby poprawili.

Mudi obejrzał paszport i stwierdził, że mówię prawdę. Dane w paszporcie nie zgadzają się z aktem urodzenia.

- Jutro - burknął. Więcej już nic nie powiedział.

Rano starałam się przekonać Mudiego, żeby pozwolił mi samej jechać do biura paszportowego. Przecież poprzedniego dnia dałam sobie radę. Mogę się tym sama zająć. Ale w ogóle nie zwracał uwagi na moje argumenty. Mimo że tego dnia umówiony był z pacjentami, zignorował to i wpakował mnie do radiotaxi - najszybszego środka lokomocji. Oстрыm głosem podał taksówkarzowi adres, tak więc o wiele za szybko dotarliśmy do biura paszportowego. Odnalazł swojego kumpla, dał mu paszport, a za pięć minut w jego ręku cudownym sposobem znalazł się dokument prawidłowo wypełniony. Teraz miałam już oficjalną zgodę na opuszczenie Iranu. Sama.

Mudi zrobił mi rezerwację w biurze Swissair na piątek 31 stycznia.

- Wszystko gotowe - powiedział Amahl. - Nareszcie.

Było to we wtorek rano, na trzy dni przed moim odlotem. Ja i Mahtab wyjedziemy z domu jutro, gdy Mudi będzie w szpitalu. Pokrzyżujemy jego plany na dwa dni przed terminem.

Amahl szczegółowo przedstawił mi swoje zamiary. Mimo wysiłków plan odlotu do Bandar Abbas i opuszczenia Iranu motorówką nie był wciąż jeszcze dopracowany. Ponieważ Mudi zaczął działać zdecydowanie, Amahl przygotował jedną z rezerwowych możliwości. Mahtab i ja polecimy z Teheranu do Zahidanu samolotem o dziewiątej rano, tam przyłączymy się do grupy zawodowych przemytników i przez półdzikie góry przedostaniemy się do Pakistanu. Przemytnicy doprowadzą nas do Quetta w Pakistanie. Stamtąd polecimy do Karaczi.

Z miejsca wpadłam w popłoch, ponieważ dopiero co przeczytałam budzącą niepokój notatkę w „The Khayan”. Pisano o małżeństwie australijskim, porwanym w Quetta przez plemienny gang i odstawionym do Afganistanu,

gdzie trzymano ich przez osiem miesięcy. Mogłam sobie wyobrazić ten koszmar, który przeżyli.

Opowiedziałam Amahlowi o tej historii.

- Jest to prawda - potwierdził. - Takie rzeczy zdarzają się bez przerwy, ale nie da się wyjechać z Iranu nie narażając się na poważne niebezpieczeństwo.

Przekonywał mnie, że przywódca plemienia w tym rejonie -człowiek, który sprawował kontrolę nad obiema stronami granicy - jest jego przyjacielem.

275

- Ze wszystkich sposobów opuszczenia Iranu, ten jest najbezpieczniejszy - mówił. - Tam mam najlepsze kontakty. Wariantu Bandar Abbas i innych planów nie da się tak szybko dopracować. Turcja nie wchodzi w rachubę z powodu śniegu w górach. Tamtejsi przemytnicy o tej porze roku nie pracują. Śnieg jest za głęboki, panuje też duży mróz. Tak czy owak Zahidan jest bezpieczniejszy niż Turcja, raz że mam tam przyjaciela, a poza tym na granicy z Turcją jest więcej patroli. Granicy strzegą pasdarowie.

Musiałśmy uciekać natychmiast. Nie mogliśmy już pozwolić sobie na luksus słuchania Amahlowego nieśmiertelnego „Proszę być cierpliwą”. Należało raczej zastosować się do rady mojego ojca: Chcieć to móc.

Dałam Amahlowi na przechowanie plastikową torbę, zawierającą zapasową odzież dla mnie i Mahtab oraz kilka drobiazgów, których nie chciałam tu zostawiać. Między innymi duży, ciężki gobelin, przedstawiający scenę plenerową: mężczyzn, kobiety i dzieci nad strumykiem. Kolorystyka fiołkoworóżowa, janoniebieska i szara była pięknie skomponowana. Udało mi się złożyć gobelin w paczkę o powierzchni około trzydziestu centymetrów. Poza tym były tam fiołki z szafranem, które Amme Bozorg dała mi na Gwiazdkę.

Podczas rozmowy z Amahlem myśli kłębiły mi się w głowie. Wieści z Ameryki były i dobre, i złe zarazem. Ojciec twardo trzymał się życia, czekając na nas. Ja byłam zdecydowana uciekać - Amahl zapewniał sposób. Jutro - o niczym nie mówiąc - sprawię, by Mahtab zamarudziła trochę, nie zdążyła przygotować się do szkoły. Muszę mieć pewność, że szkolny autobus odjedzie bez niej. Następnie sama odprowadzę ją do szkoły. Na ulicy, z dala od Mudiego, wyjawię



jej radosną wiadomość, że wracamy do Ameryki. Gdy mój niczego nie podejrzewający mąż pojedzie do szpitala, Mahtab i ja spotkamy się z Amahlem, który zawiezie nas na lotnisko i wsadzi do samolotu do Zahidanu.

Co za ironia losu - w końcu uciekniemy tą samą drogą, jaką planowała panna Alavi. Zastanawiałam się, co też mogło się z nią stać. Niewykluczone, że ją aresztowali. A może wyjechała już z kraju? Miałam nadzieję, że jej się udało.

- Ile to będzie kosztowało? - zapytałam.

- Chcą dwanaście tysięcy dolarów - odparł. - Proszę sobie tym nie zawracać głowy. Przyśle mi pani po powrocie do Stanów.

- Wyślę pieniądze natychmiast - obiecałam. - Dziękuję panu.

- Nie ma za co.

Dlaczego Amahl robił to wszystko dla Mahtab i dla mnie, ryzykując aż dwanaście tysięcy dolarów, polegając jedynie na mojej uczciwości? Sądzę, iż znam do pewnego stopnia przyczynę, choć nigdy nie pytałam go wprost. Po pierwsze - byłam szczerze przekonana, że Amahl to odpowiedź na moje modlitwy, i te chrześcijańskie, i te muzułmańskie,

276

na uczyniony przeze mnie nasr, na moją prośbę do Imama Mehdiego, na moją pielgrzymkę do Meshedu. Wierzyliśmy w tego samego Boga.

Amahl chciał czegoś dowieść: sobie, mnie, światu. Przez osiemnaście miesięcy uwięziona byłam w kraju, który - mnie przynajmniej - wydawał się zamieszkanym przez prawie samych nikczemników. Sklepiarz Hamid był pierwszym, który dowiódł, że tak nie jest. Panna Alavi, Szamsi, Zari, Fereszte i kilka innych osób stanowiły dowód na to, że nie można ludzi oceniać według ich narodowości. Nawet Amme Bozorg - na swój szczególny sposób - wykazała w końcu, że ma dobre intencje.

Teraz przyszła kolej na Amahla. Motywy, jakimi się kierował, były zarazem i proste, i złożone, pragnął pomóc dwom niewinnym ofiarom irańskiej rewolucji. Niczego w zamian nie żądał. Jego jedyną rekompensatą będzie satysfakcja, jeśli akcja zakończy się powodzeniem.

Czy zakończy się powodzeniem?

Artykuł o porwaniu australijskiej pary oraz to, co mówił w ambasadzie pan Vincop, przerażało mnie. Gdy po raz pierwszy wspomniałam o możliwości ucieczki z przemytnikami, pan Vincop ostrzegł:

- Zabiorą pani pieniądze, przyprowadzą do granicy, zgwałcą, zabiją albo oddadzą w ręce straży.

To ostrzeżenie już nie miało znaczenia. Mój wybór był jednoznaczny. W piątek mogę wsiąść do samolotu lecącego do Ameryki, mogę wygodnie polecieć do domu, by nigdy więcej nie ujrzeć już mojego dziecka. Albo też jutro wezmę córeczkę za rękę i wraz z nią udam się w najbardziej niebezpieczną podróż, jaką potrafiłam sobie wyobrazić.

Doprawdy, nie miałam wyboru.

Albo umrę w górach dzielących Iran i Pakistan, albo dowiozę Mahtab bezpiecznie do Ameryki.

Dygotałam z zimna w lodowatym wietrze po wyjściu z taksówki. Z trudem brnęłam błotnistą ulicą, zatopiona w myślach pokonywałam odległość dzielącą mnie od domu. Mahtab wkrótce wróci ze szkoły. Potem Mudi wróci ze szpitala. Tego wieczora Szamsi, Zari i Hakimowie mieli przyjść na pożegnalną uroczystość. Wszyscy oni byli przekonani, że wylatuję w piątek, by odwiedzić umierającego ojca i że wrócę po pogrzebie. Musiałam zapanować nad sobą, ukryć rodzące się w mej duszy nadzieje i obawy.

Dochodząc do domu spostrzegłam Mudiego i Mammała stojących przy bramie, obaj patrzyli na mnie. Mudi był tak wściekły, że nawet nie zwracał uwagi na zimny wiatr i coraz silniej padający śnieg.

- Gdzie byłaś? - krzyczał.

- Poszłam po zakupy.

- Kłamiesz! Nie masz żadnych paczek.

- Szukałam prezentów dla mamy. Niczego nie znalazłam.

- Kłamiesz! - powtórzył. - Coś kręcisz. Wejź do domu. Zostaniesz tutaj do odlotu w piątek.

Mammal wyszedł coś załatwić. Mudi wprowadził mnie do domu i powtórzył swoją decyzję. Miałam nie opuszczać domu. Nie wolno mi używać telefonu. Przez następne trzy dni będę uwięziona aż do czasu wyjazdu na lotnisko. Wziął wolny dzień w szpitalu, zostanie w domu, by mnie przypilnować. Podczas przyjęć pacjentów zamknął telefon w swoim gabinecie. Popołudnie spędziłam na wewnętrznym, zamkniętym dziedzińcu - tak, bym stale była widoczna z okna gabinetu. Ulepiłyśmy z Mahtab śniegowego bałwana, zawiązałyśmy mu wstążkę w ulubionym przez Mahtab kolorze cyklamenowym.

Znowu byłam więźniem, znowu w pułapce. Nie możemy stawić się jutro na spotkanie z ludźmi Amahla, nie miałam nawet sposobu, by się z nim skontaktować, powiedzieć o ostatnich przerażających komplikacjach.

Tego wieczora dygotałam ze strachu i z zimna przygotowując się na spotkanie z przyjaciółmi, starałam się czymś zająć ręce, mój mózg pracował na wysokich obrotach. Musiałam zadzwonić do Amahla. Powinien znaleźć sposób, by nas wydostać z tego domu. Zadygotałam jeszcze bardziej, uświadomiłam sobie tym razem, że to w domu zrobiło się zimniej. Zaświtała mi pewna myśl.

- Nie ma ogrzewania - narzekałam.

- Popsuło się, czy brak ropy?

- Pójdę do Malihe, sprawdzimy, czy coś się stało z piecem - powiedziałam w nadziei, że moje słowa brzmią wiarygodnie.

- Dobrze, idź.

Starając się nie okazać pośpiechu poszłam do mieszkania Malihe. Spytałam ją po persku, czy mogę skorzystać z telefonu. Kiwnęła potakująco głową. Wiedziałam, że nie zrozumie mojej rozmowy po angielsku.

Szybko wykręciłam numer Amahla.

- Nic z tego - powiedziałam. - Nie mogę jechać. Nie mogę wydostać się z domu. Był tu dziś, kiedy wróciłam od pana, i zaczął coś podejrzewać.

Amahl westchnął ciężko.

- I tak nic by z tego nie wyszło - powiedział. - Właśnie przed chwilą rozmawiałem z ludźmi z Zahidanu. Tam są najcięższe opady śniegu od stu lat. Nie można przejść przez góry.

- Co teraz poczniemy? - jęknęłam.

- Proszę nie wchodzić do samolotu. On nie może tam pani wepchnąć siłą.

- Nie wyjeżdżaj - powiedziała Szamsi tego wieczoru, gdy znalazłyśmy się przez chwilę same w kuchni. - Nie wsiadaj do samolotu. Wiem,

278

co nastąpi potem. Jak tylko wyjedziesz, on odda Mahtab swojej siostrze i znów da się omotać rodzinie. Nie jedź.

- Nie chcę jechać - odparłam. - Nie chcę jechać bez Mahtab. Czułam jednak, jak Mudi zaciskał mi pętlę na szyi. Osaczał mnie.

Może zmusić mnie do wejścia do samolotu; wystarczy, że zagrozi mi odebraniem Mahtab. Nie zniosłabym myśli o tym, lecz nie mogło być także mowy o tym, że zostawię ją tu i wrócę do Ameryki. Tak czy owak - jest dla mnie stracona.

Nie czułam smaku jedzenia, które tego wieczora z trudem udawało mi się przełknąć. Nie docierała do mnie rozmowa.

- Słucham? - spytałam, gdy chanum Hakim zwróciła się do mnie. Chciała, bym jutro poszła z nią do taawone. Był to spółdzielczy dom

towarowy dla członków meczetu agi Hakima. Dostali właśnie transport soczewicy, którą zazwyczaj trudno było kupić.

- Musimy tam pójść, zanim wszystko wykupią - powiedziała po persku.

Szamsi także chciała pójść. Nieobecna myślami, zgodziłam się. Nic mnie ta soczewica nie obchodziła.

Później, gdy Szamsi i Zari wyszły, a Mahtab była już w łóżku, zaś Mudi w gabinecie przyjmował ostatnich pacjentów tego dnia, siedzieliśmy z Hakimami w salonie pijąc herbatę - zjawił się nieoczekiwany i najmniej pożądany gość. Mammal.

Przywitał się z Hakimami, wyniośle zażądał herbaty, a potem z wystudiowaną złośliwością na twarzy wyciągnął bilety lotnicze i zamachał mi nimi przed nosem.

Osiemnaście miesięcy skumulowało się teraz we mnie, by wybuchnąć niekontrolowanym gniewem. Straciłam panowanie nad sobą.

- Dawaj te bilety! - krzyczałam. - Podrę je na kawałki!

Aga Hakim natychmiast przyjął rolę mediatora. Subtelny pan w turbanie, najbardziej wyrozumiały ze wszystkich krewniaków Mudie-go, jął spokojnie mnie wypytywać. Nie mówił po angielsku. Mammal mógłby tłumaczyć, ale nie uczynił tego. Z trudnością wystawiałam się po persku, ale próbowałam desperacko, widząc w adze Hakimie przyjaciela i sprzymierzeńca.

Wybuchnęłam potokiem słów:

- Nie wyobrażasz sobie, przez co przeszłam tutaj - żaliłam się. - On mnie tu trzyma siłą. Chciałam wrócić do domu w Ameryce, ale on mi nie pozwolił.

Hakimowie byli prawdziwie wstrząśnięci. Aga Hakim wciąż zadawał mi pytania, a na jego obliczu malował się ból, gdy usłyszał odpowiedzi. Straszne szczegóły mojej egzystencji przez półtora roku wyszły na jaw.

Wysłuchawszy mnie, wyraził jednak zdziwienie:

- Dlaczego zatem nie cieszysz się z powrotu do domu i ze spotkania z rodziną?

279

- Bardzo chcę wrócić do domu, do rodziny - tłumaczyłam. - Ale on chce, bym została tam tak długo, jak długo wszystkiego nie sprzedam i nie przywozę dolarów. Mój ojciec umiera. Nie chcę jechać do Ameryki tylko po to, żeby załatwiać interesy.

Skończywszy przyjmowanie pacjentów Mudi dołączył do nas w salonie i dostał się natychmiast w krzyżowy ogień pytań agi Hakima. Jego odpowiedzi były spokojne. Uda wai zaskoczenie, jak gdyby teraz dopiero dowiedział się o moich obiekcjach w związku z podróżą.

W końcu aga Hakim spytał:

- No więc, jeśli Betty nie chce jechać, to czy musi?
- Nie - odparł Mudi. - Zrobiłem to dlatego, żeby odwiedziła rodzinę.

Zwrócił się do mnie z pytaniem:

- Chcesz jechać?
- Nie - odpowiedziałam bez namysłu.
- W porządku. To o co cały ten hałas? Twoja sprawa, czy chcesz zobaczyć umierającego ojca. Jeżeli nie chcesz jechać, nie musisz.

Jego słowa ociekały szczerością, miłością i szacunkiem dla mnie, czcią dla mądrej rady agi Hakima. Sprawa została załatwiona.

Przez resztę wieczoru Mudi swobodnie gawędził z Hakimami. Był serdecznym panem domu, odprowadził ich do drzwi, gdy wychodzili, dziękował wszystkim, że przyszli, dziękował adze Hakimowi za troskliwość.

- Przyjadę po ciebie rano, wybierzemy się razem do taawone - powiedziałam do chanum Hakim. Miałam nadzieję, że wyprawa po zakupy da mi okazję do skontaktowania się z Amahlem.

Mudi spokojnie zamknął drzwi za Hakimami, poczekał, aż oddalą się poza zasięg głosu, następnie odwrócił się do mnie z furią w oczach. Uderzył mnie w twarz tak mocno, że upadłam na podłogę.

- Zrobiłaś to! - Wrzeszczał jak szaleniec. - Wszystko zniszczyłaś. Wsiądziesz do samolotu. Jeśli tego nie zrobisz, to zabiorę Mahtab i na resztę życia zamknę cię w domu!

Mógł to zrobić. I zrobi. Tej nocy sen do mnie nie przychodził. Kręciłam się i przewracałam w rozpacz, myśląc o powodach, dla których przywiozłam tu Mahtab, robiłam sobie nie kończące się wyrzuty.

Kłopoty zaczęły się mniej więcej cztery lata wcześniej, wieczorem 7 kwietnia 1982 roku, kiedy to Mudi wrócił z pracy w Alpena General Hospital zatroskany i nieobecny. W pierwszym momencie niczego nie zauważyłam, przygotowywałam bowiem uroczystą kolację. John obchodził dwunaste urodziny.

Przez minione lata byliśmy szczęśliwi. Mudi powrócił do Michigan z Corpus Christi w 1980 roku, zdecydowany raz na zawsze ignorować polityczne wydarzenia w Iranie.

- Wszyscy wiedzą, że jestem cudzoziemcem, nie chcę jednak, by wszyscy wiedzieli, że jestem Irańczykiem - powiedział.

Portret groźnie spoglądającego ajatollaha Chomejniego powędrował na strych. Mudi przysiągł sobie, że w pracy nie da się wciągnąć w rozmowy o rewolucji pamiętając, że jego na nowo wzniecony patriotyzm przyniósł mu w Corpus Christi tylko same kłopoty. W Alpenie wziął się z miejsca do pracy, odzyskując pozycję zawodową i wiodąc życie Amerykanina.

Mój stan psychiczny również od razu się poprawił, zwłaszcza gdy znaleźliśmy dom na rzekę Thunder Bay. Na zewnątrz wydawał się niepozorny, lecz gdy weszłam do środka, zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia. Dom zwrócony był ku rzece. Z tyłu miał duże okna, za którymi roztaczał się zapierający dech w piersiach pejzaż. Schody wiodły na niższy poziom - pięknie rozplanowany, przestronny i jasny. Stąd prowadziło wyjście na ogromne patio, które kończyło się

281

w odległości około czterech metrów od brzegu rzeki. Drewniane molo znakomicie nadawało się do łowienia ryb i cumowania łodzi. Dom usytuowany był w zakolu rzeki. W dole nurtu - dobrze widoczny z tego miejsca - znajdował się malowniczy, kryty most.

Wnętrze było nadspodziewanie przestronne, z dużymi sypialniami, dwiema łazienkami i sporym salonem. Widok na rzekę działał kojąco.

Mudi także był pod wrażeniem tego miejsca. Kupiliśmy dom od razu.

Alpena znajduje się tylko o trzy godziny jazdy od Bannister, tak więc mogłam często odwiedzać rodzinę. Oboje z ojcem folgowaliśmy wspólnej pasji łowienia ryb, wyciągaliśmy ze spokojnej wody samo-głowy złociste i błękitne, okonie, zębacze, a czasem nawet szczupaka. Z mamą spędzałyśmy całe godziny na szydełkowaniu, pichceni i pogawędkach. Byłam zadowolona, że mogę poświęcić im więcej czasu, zwłaszcza że wyraźnie zaczęli się starzeć. Mama cierpiała na gruźlicę skóry, byłam więc szczęśliwa, że może przynajmniej pocieszyć się spędzając czas z wnukami. Malutka Mahtab, stawiająca pierwsze kroki po domu, była źródłem radości dla mamy i taty. Tatuś nazywał ją Tobby.

Bez trudu weszliśmy w środowisko zawodowe Alpeny, często zapraszaliśmy gości, a i nas też często zapraszano. Mudi był ogromnie zadowolony z pracy, ja zaś stałam się szczęśliwą panią domu i matką - aż do chwili, kiedy to Mudi wrócił pewnego dnia z niemym cierpieniem w oczach.

Zmarł mu pacjent - trzyletni chłopiec - podczas prostej operacji, w której Mudi uczestniczył z własnego wyboru. Zawieszono go w czynnościach zawodowych, trwało śledztwo.

Następnego ranka zadzwoniła moja siostra Carolyn. Odebrałam telefon rozbita po bezsennej nocy, z podpuchniętymi i czerwonymi od płaczu oczami. Jak przez mgłę usłyszałam głos Carolyn: ojciec ma raka.

Pojechaliśmy natychmiast do Carson City Hospital, gdzie po raz pierwszy spotkałam Mudiego, i teraz nerwowo przemierzaliśmy poczekalnię, podczas gdy chirurdzy dokonywali kontrolnej operacji jamy brzusznej ojca. Wieści były niedobre. Chirurdzy otworzyli okrężnicę, ale nie byli w stanie usunąć nowotworu w całości. Choroba zanadto się rozwinęła. Odbyliśmy naradę z chemioterapeutą, który powiedział, że można przedłużyć życie ojca na jakiś czas, ale na jak długo - nie wiedział. W gruncie rzeczy wiadome było tylko to jedno - że go utracimy.

Przysięgłam sobie, że spędzę z nim tyle czasu, ile będę mogła, że trzymając go za rękę powiem mu wszystko to, co należy powiedzieć, nim będzie za późno.



Życie wywróciło się do góry nogami. Kilka miesięcy temu byliśmy szczęśliwsi niż kiedykolwiek przedtem. A teraz - zniecka - kariera

282

Mudiego była zagrożona, mój ojciec umierał, a przyszłość rysowała się ponuro. Napięcie odbiło się na nas jako małżeństwie i na każdym z osobna.

Przez kilka następnych tygodni kursowaliśmy między Alpeną i Car-son City. Mudi pomagał ojcu w przetrwaniu pooperacyjnego wstrząsu. Wydawało się, że już sam widok Mudiego łagodzi jego ból. Mudi udzielał ojcu lekarskich porad i potrafił wytłumaczyć medyczną terminologię językiem laika.

Gdy stan ojca poprawił się na tyle, że mógł podróżować, Mudi zaprosił go do Alpeny. Godzinami udzielał mu rad, pomagając pogodzić się z chorobą i ucząc go żyć z kolostomią.

Ojciec był w rezultacie jedynym pacjentem Mudiego. Ilekroć byli razem, Mudi znów czuł się jak lekarz. Jednak kiedy siedział dzień po dniu w domu w Alpenie, nie mając nic do roboty, coraz bardziej markotny, czuł się przegrany. I w miarę upływu tygodni ta bezczynność jąta wyciskać na nim swe piętno.

- To z powodów politycznych - powtarzał w kółko, komentując dochodzenie prowadzone w szpitalu. -

Mudi starał się utrzymać w formie uczestnicząc w rozmaitych seminariach medycznych, ale i to pogłębiało tylko pustkę w jego życiu, nie mógł bowiem w praktyce sprawdzić tego, czego się nauczył.

Oboje martwiliśmy się sytuacją materialną. Byłam przekonana, że powrót do pracy mógłby Mudiego podnieść na duchu. W żadnym szpitalu nie pozwoliliby mu na pracę anestezjologa, dopóki trwało śledztwo, ale miał jeszcze przecież dyplom z osteopatii. Zawsze uważałam, że w tej dziedzinie mógłby odnieść największy sukces.

- Powinieneś pojechać do Detroit - podsuwałam. - Powrócić do kliniki na Czternastej Ulicy. Tam zawsze potrzebowali kwalifikowanych osteopatów.

Było to miejsce jego błyskotliwej kariery i wciąż miał tam wielu przyjaciół.

- Nie. Zostanę tutaj i będę walczył - odparł.

W ciągu kilku dni zmienił się w zamkniętego w sobie człowieka, złościącego się na dzieci i na mnie z najmniejszego, często wyimaginowanego, powodu. Przestał uczestniczyć w medycznych seminariach, bo nie chciał mieć już do czynienia z innymi lekarzami. Dni spędzał siedząc w\* fotelu, patrząc niewidzącym wzrokiem na rzekę, milcząc całymi godzinami. Gdy się tym zmęczył - spał. Czasem słuchał radia lub czytał książkę, nie mógł się jednak skoncentrować. Nie chciał opuszczać domu, nikogo nie pragnął widzieć.

Jako lekarz wiedział, iż zdradza klasyczne objawy depresji. Jako żona lekarza także to widziałam, ale nikogo nie chciałam słuchać i odtrącałam wszelkie próby pomocy.

Na razie starałam się, jako dobra żona, dbać o niego i przynosić

283

ulgę. Cały ten zamęt odbijał się też i na mnie. Dzieci i ja kilka razy w tygodniu jeździliśmy do Bannister odwiedzić dziadka, ale Mudi już nam nie towarzyszył. Zostawał w domu, nadąsany.

Przez całe tygodnie godziłam się z tą sytuacją, unikałam snuć, w nadziei że w końcu obudzi się z tego letargu. Byłam przekonana, że ten stan nie może trwać długo.

Jednakże tygodnie z wolna, dzień po dniu, przemieniały się w miesiące. Większość czasu spędzałam w Bannister z ojcem, znacznie mniej - w domu, gdzie bierna obecność Mudiego była coraz bardziej denerwująca. Nie mieliśmy źródła dochodu; nasze oszczędności kończyły się także. Dopóki mogłam, wstrzymywałam się z wymówkami, lecz pewnego dnia wybuchnęłam:

- Jedź do Detroit i znajdź jakąś pracę! - zażądałam.

Mudi popatrzył na mnie ostro. Nie podobało mu się, że podnoszę głos, ale nie dbałam o to. Wahał się, nie wiedząc jak poradzić sobie z taką wymagającą żoną.

- Nie - powiedział po prostu i zdecydowanie, po czym sztywno wyszedł z pokoju.

Mój wybuch sprawił, że depresja Mudiego przybrała nową, bardziej „wymowną” postać. Bez przerwy głądził, że jest jedna przyczyna wszelkich jego obecnych i dawnych problemów:

- Zostałem zawieszony, bo jestem Irańczykiem. Gdybym nie był Irańczykiem, nigdy by do tego nie doszło.

Kilku lekarzy w szpitalu wciąż było po jego stronie. Wpadali od czasu do czasu i prywatnie wyrażali mi zaniepokojenie stanem Mudiego. Jeden, który miał sporo do czynienia z zaburzeniami emocjonalnymi, zaproponował, iż będzie nas regularnie odwiedzał, by porozmawiać z Mudim.

- Nie, nie chcę o tym rozmawiać - upierał się Mudi. Błagałam, by zasięgnął porady u psychiatry.

- Wiem więcej od nich. Oni mi nie pomogą - odparł.

Nikt z przyjaciół czy rodziny nie był świadom, jak wielkie zmiany zaszły w jego osobowości. Zaprzestaliśmy życia towarzyskiego, ale to było zrozumiałe z uwagi na naszą trudną sytuację materialną. Moi przyjaciele i rodzina mieli swoje własne życie, własne problemy. Nie mogli więc mieć pojęcia o rozmiarach depresji Mudiego, póki ja lub on im o tym nie mówiliśmy. Ani on by tego nie zrobił, ani też ja.

Znalazłam pracę na pół etatu w kancelarii adwokackiej. Mudi był wściekły na mnie, ponieważ uważał, że miejsce jego żony jest w domu, gdzie ma się opiekować mężem.

Jego nastrój pogarszał się z dnia na dzień. Jego miłość własna została już zraniona porażką zawodową, uznał, że ta nowa zniewaga uwłacza jego męskiej godności. Odgrywał się więc żądając, bym w południe wracała z pracy do domu i przygotowywała obiad dla niego,

284

starając się w ten sposób odzyskać dominującą rolę. Zgodziłam się na owo idiotyczne żądanie częściowo dlatego, by go ułagodzić, a częściowo dlatego, że wydarzenia ostatnich miesięcy sprawiły, iż straciłam pewność siebie, byłam skołatana. Nie było już jasne, kto jaką rolę odgrywa w naszym małżeństwie. Sądząc z pozorów wyglądało na to, że ja jestem silniejsza, ale gdyby w istocie

tak było, to czy biegłabym do domu, by przygotować obiad? Doprawdy, nie umiałam na to odpowiedzieć.

W południe często zastawałam go w szlafroku, nic nie robił z wyjątkiem prostych czynności związanych z opieką nad dziećmi. Po przygotowaniu posiłku śpieszyłam z powrotem do pracy. Wieczorem znajdowałam na stole brudne naczynia z ledwo tkniętym jedzeniem. Mój mąż zwykł był leżeć na kanapie. Wegetował.

Jeśli gniewa się dlatego, że pracuję - mówiłam - to dlaczego on sam nic nie robi?

Ta dziwaczna sytuacja trwała ponad rok, w tym czasie moje życie zawodowe dawało mi coraz więcej satysfakcji, podczas gdy w życiu osobistym odczuwałam rosnącą pustkę. Praca, która z początku miała być tymczasowa, stała się wkrótce zajęciem wymagającym coraz więcej wysiłku. Zarobki oczywiście nie starczały na utrzymanie domu na dawnym poziomie, a ponieważ oszczędności już się wyczerpały, jeszcze raz wymogłam na Mudim sprzedaż naszego pięknego domu.

Przed domem ustawiłam ogłoszenie „Dom do sprzedania przez właściciela” i czekałam, co z tego wyniknie. Jeśli się powiedzie, nie trzeba będzie płacić prowizji pośrednikowi handlu nieruchomościami.

Przez kilka tygodni Mudi relacjonował, że kilkanaście par małżeńskich wchodziło oglądać nasz uroczy dom, podziwiali widok na rzekę, ale nie przedstawiono żadnej oferty. Podejrzewam, że Mudi albo umyślnie ich zniechęcał, lub też odstraszał ludzi widok niechlujnego abnegata.

Wreszcie pewnego wieczora Mudi wspomniał, że jakiemuś małżeństwu dom bardzo się podobał, że wrócą jutro, by jeszcze raz rzucić na niego okiem. Postanowiłam być w domu, gdy przyjdą.

Przybywszy w pośpiechu z biura na umówione spotkanie zastałam w domu nieopisany bałagan. Wysłałam Mudiego z domu pod byle jakim pretekstem, by uporządkować wszystko i oprowadzić tych ludzi osobiście.

- Dom nam się podoba - powiedział mężczyzna - ale jak prędko mogą się państwo wyprowadzić?

- Jaki termin odpowiadałby państwu?

- Za dwa tygodnie.

To mi trochę psuło szyki, ale oni gotowi byli uwzględnić hipotekę i wypłacić nam różnicę gotówką. Po odliczeniu kosztów mielibyśmy w kieszeni ponad dwadzieścia tysięcy dolarów, a pieniędzy potrzebowaliśmy bardzo.

285

- Zgoda - powiedziałam.

Gdy Mudi wrócił i dowiedział się, co zostało postanowione, wpadł w złość.

- Dokąd mamy się wynieść za dwa tygodnie? - szalał.

- Potrzebujemy pieniędzy - byłam zdecydowana. - Musimy mieć te pieniądze.

Długo spieraliśmy się, głównie w związku z aktualnymi problemami, ale także rozładowując długo gromadzone frustracje każdego z nas. Walka była nierówna, bo Mudi nie miał już prawie sił do takiej konfrontacji. Czynił słabe próby odzyskania tego, co w jego mniemaniu stanowiło o jego autorytecie jako głowy domu, ale oboje wiedzieliśmy doskonale, że już dawno abdykował.

- To ty jesteś winien naszej sytuacji - mówiłam gniewnie. - Nie będziemy czekać, aż nic już nam nie zostanie. Sprzedamy ten dom.

Zmusiłam go do podpisania umowy sprzedaży.

Przez następne dwa tygodnie byliśmy zajęci bardziej niż kiedykolwiek. Przekopałam szafy, szafki i szuflady pakując resztki naszego życia w Alpenie, choć nie miałam pojęcia, dokąd z tym iść. Mudi ofiarował mi pomoc.

- Spakuj przynajmniej swoje książki - powiedziałam.

Miał ogromną bibliotekę złożoną z literatury medycznej i muzułmańskich wydawnictw propagandowych. Pewnego ranka dałam mu stos pudeł kartonowych, mówiąc:

- Spakuj swoje książki - dzisiaj!

Pod koniec denerwującego dnia, gdy wróciłam późno z pracy, ujrzałam go siedzącego apatycznie, w szlafroku, nie ogolonego i nie umytego. Książki nadal były na półkach. Znowu wybuchnęłam.

- Masz spakować swoje rzeczy dziś w nocy! Jutro wsiądziesz do samochodu, pojedziesz do Detroit i nie wracaj do domu, póki nie znajdziesz pracy. Mam już tego wszystkiego dosyć. Nie mam zamiaru żyć tak jak teraz ani chwili dłużej.
- Nie mogę dostać pracy - zaskomlał.
- Nawet nie próbowałeś.
- Nie mogę pracować, dopóki nie przywrócą mnie do obowiązków w szpitalu.
- Nie musisz być anestezjologiem. Możesz pracować w internie. Był rozbity, jego argumenty - słabe.
- Nie zajmowałem się interną od lat - mówił potulnie. - Nie chcę być internistą.

Teraz przypominał mi Rezę, który nie chciał przyjąć żadnej pracy poniżej stanowiska prezesa firmy.

- Tyle jest rzeczy, których ty nie chcesz, a ja muszę robić - mówiłam z narastającym gniewem. - Zdezorganizowałaś mi życie w tylu dziedzi-

286

nach. Nie mam zamiaru żyć z tobą w taki sposób jak teraz. Jesteś leniem. Wykorzystujesz sytuację. Nie możesz dostać pracy siedząc w domu. Musisz wyjść i rozejrzeć się za czymś. Sama nie spadnie ci z nieba. A teraz wynoś się i nie wracaj, dopóki nie znajdziesz pracy, albo... - słowa te padły, nim zdałam sobie sprawę, co mówię - albo rozwiodę się z tobą.

Nie było wątpliwości, że to ultimatum zabrzmiało serio.

Mudi uczynił, jak kazałam. Już następnego wieczora zatelefonował z Detroit. Dostał pracę w klinice. Miał zacząć w najbliższy poniedziałek, w dzień po Wielkanocy.

Dlaczego - myślałam - czekałam tak długo? Czemu poprzednio częściej nie stawiałam na swoim?

Weekend przed Wielkanocą 1983 roku pełen był gorączkowej krzątaniny. Mieliśmy wyprowadzić się z domu w Wielki Piątek, Mudi zaś zaczynał pracę w Detroit w poniedziałek. Do środy nie udało się nam znaleźć mieszkania. Był to

gorączkowy okres, a mimo to czułam pewną satysfakcję. Przynajmniej coś się działo.

Klient kancelarii, w której pracowałam, wiceprezes miejscowego banku, dowiedziawszy się o naszych kłopotach, zaproponował tymczasowe rozwiązanie problemu. Wniósł był właśnie zastrzeżenie hipoteczne na pewien dom i zaproponował nam wynajęcie go na zasadzie comiesięcznej umowy. Podpisaliśmy stosowny dokument najmu w południe w Wielki Piątek i natychmiast zaczęliśmy przenosić nasz dobytek.

W czasie weekendu Mudi objawił pewną energię pomagając mi w urządzeniu domu. W niedzielę pocałował mnie na pożegnanie, udając się w pięciogodzinną podróż do Detroit. Pocałował mnie po raz pierwszy od wielu miesięcy, ja zaś poczułam jakby cień pożądania, co mnie bardzo zaskoczyło. Nie bardzo palił się do mało ambitnej harówki w klinice, jednakże wyczuwałam, że już jest z nim lepiej. Łatwość, z jaką zdobył pracę, ukołła nieco jego zranioną ambicję. Pensja była bardzo dobra, nieporównywalna co prawda do dochodów w szpitalu, ale i tak wynosiła prawie dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie.

Wkrótce znaleźliśmy się w sytuacji podobnej, jak na początku naszej znajomości. W ciągu tygodnia każde z nas miało swoje zawodowe obowiązki, a w weekendy spotykaliśmy się na zmianę w Alpenie lub w Detroit.

W Mudiego z wolna wstępował nowy duch.

- Świetnie nam idzie! - powiedział podczas jednej z wizyt. Zawsze ogromnie cieszył się na spotkanie z nami. Mahtab rzucała mu się w objęcia, gdy tylko go ujrzała, szczęśliwa, że tatuś jest znów taki jak dawniej.

Minęła wiosna, lato, jesień. Mudi niezbyt lubił Detroit, stwierdzał

287

jednakże, że spotyka mniej fanatyzmu w środowisku wielkomiejskim i uznał, że tam właśnie czeka go przyszłość - w tej lub innej specjalności.

Jeśli o mnie chodzi, znów czułam się wolna. W ciągu tygodnia ja byłam panią swego losu. A w weekendy znów byłam zakochana. Być może tylko taki układ potrzebny był nam dla podtrzymania małżeństwa.

Przynajmniej na razie byłam zadowolona.

M

kolację, W

właśn Szczec'

W marcu 1984 roku odebrałam telefon z Teheranu. Męski głos kulawą angielszczyzną z silnym obcym akcentem przedstawił się jako Moham-med Ali Ghodsi. Powiedział, że jest siostrzeńcem Mudiego. Jeśli się zna ich skłonności do zawierania małżeństw we własnym kręgu - mogło to oznaczać prawie wszystko. Wydawało mi się, że istnieją setki Irań-czyków, których Mudi uważał za swoich siostrzeńców.

Spytał, jak się mamy obie z Mahtab i jakiś czas rozmawialiśmy o niczym. Kiedy spytał o Mudiego, poprosiłam o numer telefonu, obiecując powiadomić męża.

Przekazałam wiadomość do Detroit, zaś Mudi oddzwonił jeszcze tego samego wieczora. To był Mammal - powiedział - czwarty syn jego siostry Amme Bozorg. Mudi wyjaśnił, że Mammal zawsze był zbyt chudy, ale w ciągu ostatnich kilku miesięcy schudł jeszcze bardziej. Lekarze w Teheranie stwierdzili wrzód żołądka i przeprowadzili operację, lecz Mammal wciąż słabował. Zdesperowany poleciał do Szwajcarii na konsultację. Tamtejsi lekarze stwierdzili, że irańscy chirurdzy spartaczyli robotę, że trzeba całkowicie zrekonstruować chory żołądek. Skontaktował się więc z wujkiem w Ameryce pytając, gdzie ma się poddać operacji.

- Niczego mu nie doradzałem. Co o tym myślisz? - spytał.

- Zaproś go tutaj - zaproponowałam. - Pomożemy mu znaleźć odpowiednie miejsce.

Mudiemu bardzo spodobał się ten pomysł.

- Ale z Iranu trudno wy dostać pieniądze - powiedział.

- Mógłbyś przecież zapłacić za operację. Sądzę, że zrobiłbyś to dla mojej rodziny, gdyby to było konieczne.

- Znakomicie!



Wszystko zostało załatwione i po kilku dniach Mammal był już w samolocie do Stanów. Miał przylecieć w piątek na początku kwietnia. Mudi zamierzał wyjechać na lotnisko po niego i zawieźć go do Alpey na weekend, żeby mógł nas poznać.

W przeciwieństwie do niesfornych rewolucjonistów, którzy opadli nas w Corpus Christi, większość znanych mi Irańczyków była kulturalna i uprzejma. Mieli co prawda jakieś przesady w stosunku do kobiet, lecz przejawiało się to raczej w manifestowaniu uprzejmej dworności, co w sumie raczej schlebiało niż obrażało. Postanowiłam być dla siostrzeńca

ranie.

we mnie

ożywioną

przecież

może

persku.

angielsz"

Wkr'

o spokoju

doDeł

-Ni

-Wy

Mudi

w kliatf

zwolnić i Nie I

świadome

mnie. Zg-Post;

linie k

Kuredijan{

kupić l

szczupif Mant

pokoju i; Gdy

zawieraj

należało

wyraźni -Mo - Nie To nie:1

następny

288

19 —Tylko ?^?

Mudiego miłą panią domu. Z przyjemnością przyrządzałam irańską kolację, czekając z dziećmi na ich przyjazd.

Niestety, znieubiłam Mammala od chwili, kiedy przestąpił próg. Był niewielkiego wzrostu, jak większość Irańczyków; mimo to - a może właśnie z tego powodu - zachowywał się pyszałkowato i zuchwale. Szczeciniasta broda i wąsy sprawiały, że wyglądał niechlujnie. Jego małe, głęboko osadzone oczy spoglądały wskroś mnie, jakbym w ogóle nie istniała. Zdawało się, że całą swoją postawą mówi: „Kim ty jesteś? Jestem lepszy od ciebie!”

Stwierdziłam ponadto, że ma niepokojący wpływ na Mudiego. Niemal pierwsze jego słowa brzmiały: „Musisz nas odwiedzić w Teheranie. Wszyscy pragną zobaczyć ciebie i Mahtab”. Słowa te wzbudziły we mnie trwogę. Pierwszy wieczór obaj mężczyźni spędzili prowadząc ożywioną rozmowę po persku. Było to z pewnością zrozumiałe, mieli przecież tyle rodzinnych spraw, ale obawiałam się, że Mudi poważnie może wziąć zaproszenie Mammala. Jednakże rozmawiając wyłącznie po persku, wykluczali mnie tym samym z uczestnictwa w konwersacji, choć angielszczyzna Mammala była znośna.

Wkrótce zaczęłam liczyć godziny do końca weekendu, marząc o spokojnym niedzielnym wieczorze, kiedy to Mudi i Mammal pojedą do Detroit. Jednakże w niedzielę po południu Mudi powiedział:

- Niech posiedzi tu z tobą, póki nie załatwię mu operacji.

- Wykluczone. Jest twoim siostrzeńcem. To twój gość - odparłam. Mudi chłodno zwrócił mi uwagę, że przecież musi pracować

w klinice. Mammal potrzebuje opieki. Jest na ścisłej diecie. Mogę się zwolnić z pracy na kilka dni, aż do ustalenia terminu operacji.

Nie dopuściłam do jakiegokolwiek dyskusji. Gdzieś tam w kątku mojej świadomości zaświtała myśl, że oto Mudi odzyskał dar przekonywania mnie. Zgodziłam się tłumacząc sobie, że to przecież tylko na kilka dni.

Postanowiłam zrobić, co w mojej mocy. Żał mi było Mammala, bo linie lotnicze zapomniały gdzieś jego bagaż. Moja znajoma Annie Kuredijan - Ormianka, z zawodu krawcowa - udała się ze mną, żeby kupić kilka ubrań dla Mammala. Potem dopasowała wszystko do jego szczupłej figury.

Mammal przyjął odzież bez słowa podziękowania, ułożył w swoim pokoju i dalej chodził w nieświeżej koszuli i dżinsach.

Gdy wreszcie odnaleziono i przysłano jego bagaż, okazało się, że zawiera pełno prezentów dla nas. Nie było w nim w ogóle ubrań; choć należało się spodziewać, że spędzi w Ameryce kilka miesięcy, Mammal wyraźnie zamierzał nosić tę samą odzież co dzień.

- Może chcesz, żebym wyprała ci ubranie? - spytałam.

- Nie - odparł bez troski.

To niewiarygodne, ale wydawało się, że Mudi przyjechawszy na następny weekend nie czuł odoru, póki nie zwróciłam mu na to uwagi.

19 — Tylko razem z córką

289

- Dalej, zdejmuj ciuchy, Betty je wypierze - polecił Mammalowi. - Weź też prysznic.

Siostrzeniec Mudiego posłuchał niechętnie. Kąpiel była rzadkim wydarzeniem w jego życiu, traktował to raczej jak przykry obowiązek niż jako odświeżenie.

Mammal był leniwym, wymagającym i bezczelnym gościem przez dwa pełne tygodnie, nim zawiozłam go do Carson City Hospital na operację. Spędziłam tam trochę czasu odwiedzając rodzinę, po czym wróciłam do Alpeny, usuwając Mammala z mego życia.

Mudi powiedział mi potem, że Mammal czuł się obrażony, iż nie zwołałam się ponownie z pracy, nie wynajęłam na noc opiekunki do dzieci i nie odbyłam znów czterogodzinnej jazdy do Carson City, żeby być w szpitalu podczas operacji.

Przez dziesięć dni Mammal pozostawał w szpitalu, wracając do zdrowia. Następnie Mudi przewiózł swojego siostrzeńca-rekon-walescenta z Carson City do Alpeny i znów powierzył go moim staraniom.

- Ani myślę opiekować się nim - zaprotestowałam. - A jeśli coś mu się stanie? Ty jesteś lekarzem. Ty się nim zajmuj.

Mudi puścił mimo uszu moje protesty. Wrócił do Detroit, zostawiając mi Mammala.

Zła na siebie, że znów wpadłam w rolę posłusznej żony, mimo to pielęgnowałam Mammala troskliwie, przygotowując mu pięć dietetycznych posiłków dziennie - zgodnie z zaleceniem lekarzy. Nie znosił mojej kuchni równie szczerze, jak ja nie znosiłam gotowania dla niego. Nie było jednak wyjścia, musiałam uzbroić się w cierpliwość i czekać, aż Mammal będzie na tyle zdrowy, by wrócić do Iranu.

Mudi uznał, że Mahtab powinna poczuć więzi pokrewieństwa z Mammalem. Próbował zmusić ją, by spędzała więcej czasu z jego siostrzeńcem, ale Mahtab reagowała na niechlujnego Irańczyka podobnie jak ja.

- Daj jej spokój - perswadowałam. - Mahtab nie można zmusić do przyjaźni. Taka już jest. Dobrze o tym wiesz. Nie zwracaj na nią uwagi, sama w swoim czasie dojdzie do tego.

Mudi nie słuchał. Skarcił ją nawet parę razy za to, że płochliwie uciekała od Mammala.

W ciągu tygodnia Mudi dzwonił do Mammala z Detroit co wieczór. Rozmawiali po persku czasem godzinami, wkrótce pojęłam, że Mudi posługuje się Mammalem dla kontrolowania tego, co robię. Pewnego wieczora na przykład Mammal nagle podał mi słuchawkę mówiąc, że Mudi chce ze mną porozmawiać. Mój mąż był wściekły: Czemu pozwalam Mahtab oglądać pewne programy w telewizji, wbrew jego zakazowi?

Nasze pogodne weekendy należały już do przeszłości. Mudi przyjeź-

290

47

dzał teraz do Alpey, żeby sobotę i niedzielę spędzić na rozmowie z Mammalem głównie o sprawach rodzinnych, znówrozwodząc się nad ajatollahem Chomejnim, pomstując na zachodnie - zwłaszcza amerykańskie - obyczaje i moralność.

Co miałam robić? Każdego weekendu mój mąż, żyjący w Ameryce od dwudziestu pięciu lat, stawał się krok po kroku coraz bardziej Irańczykiem. Dopóki Mammal był wśród nas, moja miłość do męża była wystawiona na ciężką próbę. Wyszłam za mąż za amerykańskiego Mudiego; ten irański Mudi był niepożądanym obcokrajowcem. Co więcej - on i Mammal już stale mówili o zabranii Mahtab i mnie do Iranu, w odwiedziny do krewnych w Teheranie.

Przez cały czas izolowali się, prowadzili długie, ożywione, niezrozumiałe dyskusje. Nawet mówiąc po persku ścisiali głosy, ilekroć wchodziłam do pokoju.

- Kiedy on wyjedzie? - spytałam pewnego dnia zniechęcona.

- Nie może jechać, póki lekarze nie uznają, że wszystko jest w porządku - odparł Mudi.

Dwa wydarzenia przyspieszyły katastrofę. Po pierwsze - bank znalazł kupca na wynajmowany przez nas dom, zmuszeni więc byliśmy wynieść się. Mniej więcej w tym samym czasie moja praca w kancelarii okazała się zbędna. Dla wszystkich było oczywiste, że powinnam się przenieść. A Mudi wiedział, dokąd powinnam się przenieść. Zarządził, że nadszedł czas, byśmy znów stanowili rodzinę w pełnym wymiarze czasu.

Nie chciałam ruszać się z miejsca, nie byłam pewna, czy chcę zrezygnować z mojej niezależności. Wiedziałam wszelako, że Mammal wkrótce wróci do Iranu, miałam też nadzieję, że zdołamy powrócić do poprzedniego stylu życia - eleganckiego i wygodnego. Choć nie było o tym mowy wprost, ale mogłam wyczuć, że innym wyjściem był tylko rozwód. To jasno wynikało z uporu Mudiiego. Tak więc zgodziłam się przenieść do Detroit. Najgorsze mamy już za sobą - myślałam, miałam nadzieję, modliłam się o to. Powinnam i rzeczywiście spróbuję odbudować nasze małżeństwo.

Mimo to przedsięwzięłam środki ostrożności. Niepewna przyszłości, obawiałam się zajścia w ciążę. Na tydzień przed przeprowadzką udałam się do lekarza i kazałam sobie założyć spiralę antykoncepcyjną.

Mudi mieszkał przez cały czas w małym mieszkaniu, ruszyliśmy więc na poszukiwanie domu. Uważałam, że powinniśmy coś kupić, lecz Mudi obstawał przy wynajęciu na pewien czas mieszkania, potem - mówił - znajdziemy ładny teren i zbudujemy wspólny dom naszych marzeń. Wszystko działo się tak szybko, że w głowie miałam zamęt. Mudi całkowicie już odzyskał przewagę nade mną. Zanim zdążyłam pojąć, co się dzieje, już wynajęliśmy dom w Southfield i przeprowadziliśmy się do niego wszyscy: ja, Mudi, Joe, John, Mahtab i... Mammal.

291

Zapisałam Mahtab do doskonałej szkoły pracującej według systemu Montessori, znajdującej się w pobliskim Birmingham, prowadzonej przez kobietę, która pierwsza przeniosta z Europy do Ameryki koncepcje naturalizmu pedagogicznego Marii Montessori.

Mudi kupił mi nowy samochód, prawie codziennie zabierałam więc Mammala na wycieczki po Detroit lub po zakupy, na które Mudi dawał mu pieniądze bez ograniczeń. Mammal zachowywał się równie nieznośnie i protekcyjnie, jak poprzednio, ale zdaje się być przekonany, że jego obecność działa na mnie podniecająco. A ja naprawdę nie mogłam się doczekać dnia, kiedy wyjedzie do Iranu.

Mammal został u nas aż do połowy lipca, a im bliższy był dzień jego odlotu, tym mocniej obstawał, byśmy wszyscy - Mudi, Mahtab i ja - odwiedzili rodzinę w

Teheranie. Ku memu przerażeniu Mudi wyraził zgodę, oznajmił, że przyjedziemy w sierpniu na dwa tygodnie. Joe i John zamieszkają w tym czasie ze swym ojcem.

Nagle to spiskowanie Mudiego i Mammala do późnej nocy nabrało dla mnie złowieszczej wymowy. Na kilka dni przed odlotem Mammala Mudi spędzał z nim każdą wolną chwilę. Czyżby coś knuli?

Pewnego dnia otwarcie przedstawiłam Mudiemu moje najczarniejsze obawy:

- Co wy robicie? - pytałam. - Zamierzacie porwać Mahtab i wywieźć ją do Teheranu?
- Nie bądź śmieszna - odparł. - Chyba oszalałaś. Powinnaś iść do psychiatry.
- Nie jestem aż taką wariatką, żeby jechać do Iranu. Ty jedź. Dzieci i ja zostaniemy tutaj.
- Ty i Mahtab pojedziecie ze mną. Nie masz wyjścia - powiedział mi na to.

Miałam - rzecz jasna - wyjście. Przykre co prawda, ale już zaczęło kształtować się w moim umyśle. Wszelako nadal żywiłam nadzieję, że uda się uratować nasze małżeństwo - jeśli tylko Mammal wyjedzie. Chciałam sobie i dzieciom oszczędzić urazów, jakie niesie z sobą rozwód. Ale też i nie chciałam jechać do Iranu.

Mudi złagodził nieco swoje stanowisko, próbował mnie przekonać.

- Czemu nie chcesz jechać? - spytał.
- Ponieważ wiem, że jeśli pojedę z tobą, a ty postanowisz tam zostać, nie będę mogła wrócić do kraju.
- A więc tym się martwisz - powiedział czule. - Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. Kocham cię.

Potem coś mu przyszło do głowy.

- Podaj mi Koran.

Wyciągnęłam świętą księgę islamu z regału i podałam mężowi. On położył dłoń na okładce i oświadczył:

- Przysięgam na Koran, że nigdy nie zmuszę cię do pozostania w Iranie. Przysięgam na Koran, że nigdy nie zmuszę cię do pozostania w jakimkolwiek miejscu wbrew twojej woli.

Mammal przyłączył się do tych zaklęć:

- Coś takiego nigdy nie mogłoby się zdarzyć - zapewnił. - Nasza rodzina nigdy by na to nie pozwoliła. Obiecuję ci, że to nigdy się nie stanie. Obiecuję, że jeśliby coś takiego się zdarzyło, nasza rodzina zajmie się tym.

Natychmiast ogarnęło mnie uczucie ulgi.

- Dobrze. Pojedziemy - powiedziałam.

Mudi kupił bilety. Pierwszy sierpnia zbliżał się szybciej, niż bym sobie tego życzyła. Mimo uroczystej, dramatycznej przysięgi mego męża na Koran, ogarniały mnie coraz większe wątpliwości. On sam był coraz bardziej podniecony. Całymi godzinami pożerał każdą informację z Iranu, jaka wpadła mu w ręce. Z czułością opowiadał o swojej rodzinie - zwłaszcza o Amme Bozorg. Zaczął się modlić. Kolejny raz na moich oczach przemieniał się z Amerykanina w Irańczyka. Spotkałam się potajemnie z adwokatem.

- Muszę jechać, albo się rozwieść - tłumaczyłam. - Nie chcę jechać do Iranu. Boję się, że jeśli pojadę, on nie pozwoli mi wrócić.

Zaczęliśmy rozważać wszelkie ewentualności, w trakcie dyskusji zdaliśmy sobie sprawę z jednego niebezpieczeństwa. Rozwód także pociągał za sobą ryzyko - większe może nawet niż podróż do Iranu. Jeśli wniosę pozew o rozwód, jeśli zrażę do siebie Mudiego, wykreśli mnie ze swego życia. Nie zdoła w żaden sposób zabrać mnie do Iranu, ale zupełnie inaczej będzie w przypadku Mahtab. Jeśli ją zabierze do Iranu, wówczas stracę córkę na zawsze.

- Czy miałby prawo do odwiedzin? Czy nie można by było przekonać sędziego o niebezpieczeństwie i skłonić, żeby nie zezwolił na kontakty Mudiego z Mahtab?  
- pytałam.

Adwokat uświadomił mnie, że prawo amerykańskie nie dopuszcza karania przed popełnieniem przestępstwa.



- Nie wykroczył jeszcze przeciw prawu. Nie ma takiego przepisu, dzięki któremu mogłaby pani zabronić mu odwiedzania córki. Niezbyt mi się to podoba, że jedzie pani do Iranu - ciągnął - ale nie widzę w tym nic aż tak złego. Być może Mudi przez tak długi czas żył w napięciu i jest do tego stopnia zgnębiony, że odwiedzając rodzinę nabierze nowej energii. Wróci, by zacząć życie od nowa. Sądzę, że wyjazd dobrze mu zrobi.

Rozmowa z adwokatem wprawiła mnie w jeszcze większe pomieszenie. W głębi duszy wiedziałam, że jeśli wystąpię o rozwód, Mudi porwie

293

Mahtab do Iranu, skazując ją na posępną egzystencję w tym kraju. Nie miałam wyboru, mogłam jedynie liczyć na to, iż - niezależnie od stopnia, w jakim realne czy też nierealne są podstępne zamiary kłębiące się w chorym umyśle Mudiego - kontrasty cywilizacyjne skłonią go do powrotu do Stanów. W tamtym czasie mogłam tylko wyobrażać sobie, jak smętne życie będziemy wieść w Teheranie, musiałam wszelako zaryzykować, w nadziei że po dwóch tygodniach będzie miał dość.

Prawdziwym powodem, dla którego zabrałam Mahtab do Iranu, była alternatywa: na mnie spadnie przekleństwo, jeśli to zrobię, ale Mahtab będzie stracona, jeśli tego nie uczynię.

Nadszedł ten dzień. Obie z Mahtab wzięłyśmy niewiele rzeczy, zostawiając miejsce w bagażu na prezenty dla rodziny w Iranie. Mudi natomiast miał kilka waliz - w tym jedną wypchaną lekami, które - mówił - chce przekazać miejscowej społeczności lekarskiej. W ostatniej chwili Mahtab postanowiła, że musi wziąć swojego królika.

Tak więc 1 sierpnia 1984 roku poleciliśmy najpierw do Nowego Jorku, następnie do Londynu. Tu mieliśmy dwunastogodzinną przerwę, był więc czas na rozejrzenie się po mieście. Kupiłam Mahtab kilka lalek. W miarę upływu czasu ogarniał mnie coraz większy strach przed wejściem na pokład samolotu.

Gdy czekaliśmy na lotnisku Heathrow tuż przed odlotem na Cypr i następnie do Teheranu, Mudi wdał się w pogawędkę z irańskim lekarzem, wracającym do domu po krótkim pobycie w USA.

- Czy trudno jest wyjechać z kraju? - spytałam z niepokojem.
- Nie - zapewnił.

Irański doktor zaoferował pomoc przy odprawie celnej. Mówił, że Irańczycy nałożyli wysokie cła na wszystkie wyroby z USA.

- Jeżeli powie im pan, że zamierza zostać i pracować w Iranie, być może nie każą płacić cła - doradzał.

Nie podobało mi się to, nawet jeśli miałoby służyć zaoszczędzeniu pieniędzy.

- Ale my przecież...
- Wiem - przerwał.
- Nie mamy zamiaru pozostać w Iranie - ciągnęłam. - Jedziemy tam tylko na dwa tygodnie i wracamy.
- Oczywiście - odparł. Potem obaj z Mudim rozmawiali już tylko po persku.

Kiedy nadszedł czas wejścia do samolotu, trzęsłam się ze strachu. Miałam ochotę krzyknąć, zawrócić, biec z powrotem do schodków, ale moje ciało nie chciało słuchać serca. Z Mahtab ufnie trzymającą mnie za rękę weszliśmy na pokład, znaleźliśmy miejsca i zapięliśmy pasy.

Przez całą drogę na Cypr po głowie krążyły mi wciąż te same myśli. Gdy koła dotknęły śródziemnomorskiej wyspy, uznałam, że nadchodzi moja ostatnia szansa. Powinnam wziąć Mahtab, uciec z samolotu

294

i zdążyć na lot powrotny do domu. Zupełnie poważnie rozważałam taką akcję, lecz w tej samej chwili przypomniało mi się, co powiedział adwokat: „Nie popełnił przestępstwa. Nie może mu pani zabronić prawa do odwiedzin”.

Zresztą i tak nie mogłabym wyjść z samolotu. Podczas kołowania na pasie stewardessa oznajmiła przez głośnik, że postój na Cyprze będzie krótki. Pasażerowie lecący do Teheranu winni pozostać na pokładzie samolotu.

Minęło kilka minut i ponownie znaleźliśmy się na pasie startowym, nabieraliśmy szybkości. Dziób samolotu podniósł się, koła oderwały się od ziemi. Słychać było potężny ryk silników, unoszących nas w górę.

Mahtab drzemała u mego boku, zmęczona długą podróżą. Mudi czytał irańską książkę.

Siedziałam odrętwiała, wstrząśnięta, znając punkt docelowy, nie wiedząc jednak jaki los mnie czeka.

295

„

24.

Świt w środę 29 stycznia 1986 roku wstał chłodny i posepny, harmonizujący z moim nastrojem. W lustrze zobaczyłam zaczerwienioną i opuchniętą twarz - efekt nocnych łez. Mudi wyprawił Mahtab do szkoły, następnie oznajmił, że

pojedziemy do biura Swissair oddać tam mój paszport, zatrzymają go aż do chwili, gdy wejdę na pokład samolotu w piątek.

- Muszę iść z Szamsi i chanum Hakim do taawone - przypomniałam. Nie mógł zlekceważyć zobowiązań wobec małżonki człowieka w turbanie.

- Najpierw pojedziemy do Swissair - zdecydował.

Zajął nam to trochę czasu, ponieważ biuro linii lotniczych znajdowało się w odległej dzielnicy Teheranu. Gdy trzęśliśmy się w taksówce na wyboistych ulicach, moje myśli absorbowała wyprawa po zakupy. Czy Mudi pozwoli nam - trzem kobietom - pójść bez niego? Czy uda mi się zadzwonić?

Mudi, niestety, towarzyszył mi do domu Szamsi.

- Co się stało? - spytała ujrawszy mnie. Nie odzywałam się.

- Powiedz mi, co się stało - nalegała. Ciężka nam obecność Mudiego.

- Chodzi o to, że nie chcę jechać do Ameryki - rozplakałam się. - Mudi powiedział, że muszę jechać i zająć się interesami. Mam wszystko sprzedać. Nie chcę jechać.

Szamsi zwróciła się do Mudiego:

- Nie możesz kazać jej zajmować się interesami w takim czasie. Pozwól jej pojechać na kilka dni, by zobaczyła się tylko z ojcem.

- Ani myślę - warknął. - Jej ojciec wcale nie jest chory. To jest oszustwo. Wszystko zostało z rozmysłem zaplanowane.

- Ależ to prawda! - krzyczałam. - Ojciec jest naprawdę chory, dobrze wiesz przecież.

296

W obecności Szamsi i Zari oboje krzyczeliśmy na siebie pełni wzajemnej nienawiści.

- Wpadłaś we własne sidła! - wściekał się Mudi. - To było kłamstwo, żeby ściągnąć cię do Ameryki. A teraz musisz jechać. Pojedziesz i przyslesz tu wszystkie pieniądze.

- Nigdy! - krzyknęłam.

Mudi schwycił mnie za ramię i ciągnął do drzwi.

- Wychodzimy - oznajmił.

- Bozorg - ozwała się Szamsi - opanuj się. O tym trzeba porozmawiać.

- Wychodzimy! - powtórzył.

Brutalnie wypychana za drzwi odwróciłam się i krzyczałam do Szamsi i Zari:

- Błagam, pomóżcie mi! Zaopiekujcie się mną! On zrobi nam krzywdę!

Mudi z trzaskiem zamknął drzwi.

Trzymając kurczowo moje ramię, popychał mnie oblodzoną ulicą w stronę domu Hakimów. Szliśmy jakieś piętnaście minut, całą drogę obrzucał mnie ordynarnymi wyzwiskami, powtarzał plugawe epitety. Wszystkie te przekleństwa nie zraniły mnie tak głęboko, jak słowa: „Nigdy już nie ujrzysz Mahtab!”

Gdy zbliżaliśmy się do domu Hakimów, powiedział:

- Doprowadź się do porządku. Nie lej łez przed chanum Hakim. Nie pozwól, by się czegoś domyśliła.

Mudi podziękował chanum Hakim za herbatę.

- Chodźmy do taawone - powiedział.

We trójkę udaliśmy się do sklepu w meczecie. Mudi ani na moment nie zwolnił chwytu na moim ramieniu. Kupiliśmy zapas soczewicy i wróciliśmy do domu.

Po południu Mudi pracował w gabinecie. Nie odzywał się, pilnował mnie tylko w milczeniu, miało to trwać jeszcze dwa dni, póki nie wsiądę do samolotu lecącego do Ameryki.

Powróciwszy ze szkoły i upewniwszy się, że ojciec jest zajęty, Mahtab przypadła do mnie w kuchni. Powiedziała nieoczekiwanie:

- Mamusiu, zabierz mnie dziś do Ameryki.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy powiedziała coś takiego. Ona także wiedziała, że mało czasu już pozostało.

Otoczyłam ją ramieniem. Po policzkach płynęły nam łzy, mieszały się z sobą.

- Mahtab, nie możemy pojechać. Ale nie martw się. Nie opuszczę Teheranu. Nie pojedę bez ciebie do Ameryki - mówiłam.

Jakim cudem miałam spełnić tę obietnicę? Czy Mudi był zdolny wepchnąć mnie do samolotu kapiącą i wrzeszczącą? Tak, z wszelką pewnością mógł to uczynić - byłam tego świadoma - i nikt by nawet

297

nie próbował przeszkodzić mu w tym. Mógł też podać mi jakiś środek odurzający, pozbawić mnie świadomości. Mógł uczynić wszystko.

Późnym popołudniem przyszła Fereszte, żeby się ze mną pożegnać. Widziała, że jestem przygnębiona i jak mogła, starała się mnie pocieszyć. Moja gra była skończona - z nią, z innymi przyjaciółmi, z Mudim. Dłużej nie mogłam już udawać, że jestem szczęśliwą muzułmańską żoną. Po co?

Mudi pojawił się zniemacka, żądając herbaty. Spytał Fereszte o męża, wywołując tym od nowa jej łzy. Wszyscy mieliśmy własne problemy.

Proszę, o Boże - modliłam się - proszę, spraw, bym mogła uciec z Mahtab od Mudiego. Proszę, proszę, proszę!

Nie wiem, czy usłyszałam, czy też wyczułam nadjeżdżający ambulans. Widziałam migające światło, które wpadając przez okno odbijało się na przeciwległej ścianie, czy też je wyśniłam? Nie było słycać syreny. Po prostu zajechał przed dom. To była zjawa.

To była karetka! Mudi musiał pojechać do szpitala.

Jego wzrok spotkał się z moim. Między nami płynęły strumienie niemej nienawiści, rozczarowania, zaskoczenia. Jakżeż mógł jechać do szpitala i zostawić mnie bez kontroli? Co mogę zrobić? Dokąd mogę uciec? Wahał się przez chwilę, rozdarty między głęboką nieufnością do mnie a swoim lekarskim poczuciem obowiązku. Nie mógł odmówić stawienia się do wypadku, ale także nie mógł wypuścić mnie spod nadzoru.

Fereszte wyczuła dramatyzm sytuacji.

- Zostanę z nią do twego powrotu - zapewniła.

Mudi bez słowa chwycił torbę lekarską i wskoczył do oczekującego ambulansu.

Odjechał. Nie miałam pojęcia, kiedy wróci. Za pięć godzin, a może za pół godziny - wszystko zależało od rodzaju wypadku.

Mój umysł wyrwał się z letargu. To jest szansa, o jaką się modliłam - powiedziałam sobie w duchu. Zrób coś! Natychmiast!

Fereszte była dobrą przyjaciółką, kochającą i w pełni godną zaufania. Mogłabym powierzyć jej swoje życie. Ale ona nic nie wiedziała o Amahlu, nie znała sekretnych stron mego życia. Dla jej własnego dobra nie mogłam jej w to mieszać. Jej mąż siedział w więzieniu za „myślenie przeciwko rządowi”, i już samo to czyniło jej sytuację niebezpieczną. Nie mogłam jeszcze bardziej jej obciążać.

Zmarnowałam kilka minut, przegrywając część nie znanej mi puli czasu, jaki miałam do dyspozycji. A potem powiedziałam, starając się nadać głosowi obojętny ton:

- Muszę wyjść i kupić kwiaty, idziemy wieczorem na przyjęcie. Zaprosiła nas sąsiadka Malihe, miała to być jeszcze jedna pożegnalna

298

kolacja. Pretekst brzmiał wiarygodnie, przynoszenie kwiatów było w dobrym tonie.

- Dobrze, podrzucę cię - powiedziała Fereszte.

Dobra nasza. Możemy wydostać się poza naszą ulicę i sąsiedztwo prędezej niż na piechotę. Tak prędko, jak to możliwe bez wzbudzania podejrzania, że się śpieszę, otuliłam Mahtab i wskoczyłyśmy do samochodu Fereszte.

Zaparkowała przed kwiaciarnią kilka domów dalej, a gdy otworzyła drzwi, by wysiąść wraz z nami, powiedziałam:

- Zostaw nas tutaj. Chcę się przewietrzyć. Wrócimy z Mahtab do domu na piechotę.

Nawet dla mnie brzmiało to idiotycznie. Kto miałby ochotę spacerować po śniegu i lodzie.

- Pozwól, bym cię podwiozła - nie poddawała się Fereszte.
- Nie, dziękuję. Naprawdę potrzebuję świeżego powietrza. Chcę się przejść.

Pochyliłam się, by ją uściskać.

- Zostaw nas tutaj - powtórzyłam. - Jedź już. Dziękuję ci za wszystko.

Mówiąc „okay” miała łzy w oczach.

Wysiadłyśmy z Mahtab i patrzyłyśmy, jak odjeżdża. Zimny wiatr chłostał nas po twarzach, nie dbałam o to. Potem się tym zajmę. Mahtab nie pytała o nic.

Dwa razy przesiadałyśmy się z jednej taksówki do drugiej, by zmylić trop. Wreszcie wysiadłyśmy na zaśnieżonej ulicy i znalazłyśmy automat telefoniczny. Drżącymi palcami wykręciłam numer prywatnego biura Amahla. Odebrał telefon natychmiast.

- To jest absolutnie ostatnia szansa. Muszę uciekać natychmiast - powiedziałam do słuchawki.
- Potrzebuję więcej czasu. Nie wszystko jest do końca zorganizowane.
- Nie mogę czekać. Musimy ryzykować. Jeśli teraz nie wyjadę, stracę Mahtab.
- W porządku, proszę przyjechać.

Dał mi adres mieszkania w pobliżu biura i polecił sprawdzić, czy nie jestem śledzona.

Odłożyłam słuchawkę i podzieliłam się z Mahtab wspaniałą nowiną:

- Mahtab - jedziemy do Ameryki. Ku memu osłupieniu zaczęła płakać.
- O co chodzi? Nawet dziś po południu mówiłaś, że chcesz, abym zabrała cię do Ameryki.
- Tak - chlupała - chcę pojechać do Ameryki, ale nie teraz. Muszę wrócić do domu i zabrać królika.

Starłam się zapanować nad sobą.



- Posłuchaj. Królika kupiliśmy w Ameryce, prawda? - Kiwnęła potakująco. - W Ameryce kupimy nowego. Chcesz jechać do Ameryki, czy wolisz wrócić do domu, do tatusia?

Mahtab otarła łzy. W oczach mojej sześciolatniej córeczki dostrzegłam determinację i w tym momencie pojęłam, że Mudi nie zdołał wpoić jej pokory. Nie była posłusznym irańskim dzieckiem. Była moją stanowczą, amerykańską córeczką.

- Chcę jechać do Ameryki - zdecydowała.

- To chodźmy prędko. Musimy złapać taksówkę.

!

!

-

- Betti? - spytała młoda kobieta przez szparę w uchylonych drzwiach.

- Tak.

Odsunęła się na bok, wpuszczając mnie do mieszkania. Ponad godzinę zajęło nam przedzieranie się przez szalejącą w Teheranie burzę śnieżną zmienianymi kilkakrotnie taksówkami. Dzięki temu Amahl miał sporo czasu na przygotowanie naszego niespodziewanego odlotu.

- Amahl powiedział, żebym przyniosła wam jedzenie, jeśli będziecie głodne - poinformowała owa kobieta.

Ani mnie, ani Mahtab nie chciało się jeść. Co innego miałyśmy teraz w głowie. Pomyślałam jednak, że każdy sposób jest dobry, żeby podtrzymać nasze siły,

byśmy mogły sprostać wyzwaniu, jakie czekało nas w tę niepewną, targaną wichrami noc i w niebezpieczne dni, jakie po niej mogą nastąpić. Powiedziałam więc:

- Tak, bardzo proszę.

Kobieta wdziała czarne rusari, ukrywając pod nim młodą twarz. Może jest studentką - pomyślałam. Ile o nas wie? Co ją łączy z Amahlem?

- Wrócę niedługo - obiecała.

Zostawiła nas same w nowym otoczeniu. Podbiegłam do okna i zaciągnęłam zastony.

Mieszkanie było niewielkie i trochę zaniedbane, ale bezpieczniejsze niż ulica. W salonie była stara sofa ze sterzcącymi sprężynami. W sypialni nie było łóżka; na podłodze leżały zwinięte legowiska.

Strach jest zaraźliwy, mój odbijał się w oczach Mahtab. Czy Mudi wrócił już do domu? Czy zawiadomił policję?

W oczach Mahtab dostrzegłam coś więcej niż tylko lęk. Podniecenie, energia, nadzieja? Wreszcie przecież coś zrobiliśmy. Na złe czy dobre

- miałyśmy już za sobą długie, ogłupiające miesiące bierności.

W głowie huczało mi od pytań. Co będzie, jeśli nie zdołamy szybko wydostać się z Teheranu? Może utkniemy tutaj na wiele dni i nocy?

.

301

Tylu ludzi mówiło mi, że ucieczka może się udać tylko wówczas, gdy wszystko jest zaplanowane co do minuty. Złamałyśmy tę zasadę.

Chwyciłam słuchawkę telefonu i - zgodnie z instrukcją - zadzwoniłam do Amahla, by mu zakomunikować, że dotarliśmy bezpiecznie na miejsce.

- Halo - usłyszałam znajomy głos.

- Jesteśmy tu - powiedziałam.

- Bettiii! - zawołał - tak się cieszę, że udało się wam tam dotrzeć. Nie martwcie się, wszystko będzie dobrze. Zajmiemy się wami. Nawiązałem kontakty i całą noc będę się tym zajmował. Jeszcze nic nie jest ostatecznie dopięte, ale mam już pewien pomysł.

- Proszę się śpieszyć.

- Oczywiście, proszę być spokojną. Wszystko się uda. Potem dodał:

- Dziewczyna przyniesie jedzenie, później musi wyjść. Rano ja przyniosę wam śniadanie. Musicie pozostać w mieszkaniu, nie opuszczać budynku i nie podchodzić do okna. Jeśli czegoś będziecie potrzebowały, proszę do mnie zatelefonować. Może pani dzwonić o każdej porze nocy, jeśli zajdzie potrzeba.

- Rozumiem.

- Przyszło mi coś właśnie do głowy, proszę to zapisać. Odłożyłam słuchawkę i z torebki wyłowiłam długopis oraz skrawek

papieru.

- By móc wywieźć was z Teheranu, musimy opóźnić działania pani męża. Chciałbym, żeby pani do niego zadzwoniła. Musi go pani przekonać, że być może wróci pani do niego.

- Rozmowa z Mudim jest ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę

- opierałam się.

- Wiem, ale tak trzeba.

Dał mi następnie szczegółowe wskazówki, co mam powiedzieć, ja zaś wszystko zanotowałam.

Wkrótce po rozmowie z Amahlem wróciła dziewczyna z irańską pizzą - na suchym placku hamburger i trochę pasty pomidorowej

- oraz butelkami coli. Wysłuchała podziękowań i szybko wyszła, jej zadanie zostało wykonane.

- Nie chcę tego - powiedziała Mahtab patrząc na nieapetyczną pizzę. Ani ja nie miałam na nią ochoty. W tym czasie podstawowym naszym pokarmem była adrenalina.

Popatrzyłam na nabazgrane notatki, przepisałam je, dokładnie przeczytałam, a następnie w myśli przeprowadziłam próbę rozmowy. Zdałam sobie sprawę, że staram się odwlec tę rozmowę, więc z ociąganiem podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer naszego domu. Mudi podniósł słuchawkę po pierwszym dzwonku.

- To ja - powiedziałam.

302

- Gdzie jesteście? - warknął.

- W domu przyjaciela.

- Jakiego przyjaciela?

- Nie mam zamiaru ci mówić.

- Wracaj natychmiast do domu - rozkazał.

Ton głosu był agresywny, ale ja - postępując w myśl wskazówek Amahla - ciągnęłam niezrażona:

- Musimy porozmawiać - powiedziałam. - Chciałabym, żeby sprawy ułożyły się, jeśli i ty tego chcesz.

- Tak, chcę - jego głos był już bardziej opanowany, wyrachowany.

- Wróć do domu, to się tym zajmiemy - zaproponował.

- Nie życzę sobie, by inni dowiedzieli się o tym, co zaszło - mówiłam.

- Nie życzę sobie, byś informował Mammala, Madzida, siostrę lub kogokolwiek innego. Jeśli mamy rozwiązać ten problem, to jest to tylko nasza sprawa i oboje musimy o tym porozmawiać. Przez ostatnie dni Mammal znów wtrącał się w nasze życie, co przyniosło żałosne rezultaty. W ogóle nie zamierzam z tobą rozmawiać, jeśli nie zgodzisz się na ten warunek.

Mudi nie był zachwycony buntowniczym tonem mego głosu:

- Wróć do domu, to porozmawiamy o tym - powtórzył.
- Jeśli wrócę do domu, postawisz Mammala za progiem, by porwał Mahtab, a mnie zamkniesz - jak obiecałeś.

Mudi był skonsternowany, nie wiedział w tym momencie, jak ma ze mną rozmawiać. Jego głos zabrzmiał pojednawczo:

- Absolutnie nic podobnego się nie stanie. Odwołałem jutrzejsze zajęcia. Wróć. Zjemy kolację i będziemy rozmawiać całą noc.
- Nie wsiądę w piątek do samolotu.
- Tego nie mogę ci obiecać.
- A ja ci powiadam, że nie wsiądę do samolotu w piątek - mówiłam już podniesionym głosem. Powinna się kontrolować. Nie dać się wciągnąć w kłótnię. Masz zyskać na czasie, a nie sprzeczać się
- skarciłam samą siebie.

Po drugiej stronie linii Mudi krzychał na mnie:

- Nie myślę ci niczego obiecywać! Masz natychmiast wrócić do domu! Daję ci pół godziny na powrót, w przeciwnym razie zrobię, co należy w takiej sytuacji.

Wiedziałam, że ma na myśli powiadomienie policji, wyciągnęłam więc moją kartę atutową, którą podsunął mi Amahl:

- Posłuchaj - mówiłam wolno - prowadzisz praktykę lekarską bez zezwolenia. Jeśli będziesz robił trudności, ja powiadomię o tym władze.

Głos Mudiego natychmiast złagodniał:

- Nie, proszę cię, nie rób tego - błagał. - Potrzebujemy pieniędzy. Robię to przecież dla nas, proszę, nie rób tego. Wróć tylko do domu.
- Muszę to przemyśleć - powiedziałam odkładając słuchawkę.

Nie miałam pojęcia, co Mudi teraz robi, wiedziałam tylko, że nie powiadomił dotychczas policji, byłam zaś przekonana, iż moja groźba powstrzyma go od tego skutecznie przynajmniej tej nocy.

Zwróciłam się teraz do Mahtab, która uważnie przysłuchiwała się końcowej części mojej rozmowy z Mudim.

- Czy jesteś pewna, że chcesz jechać? Powinnaś wiedzieć, że jeśli wrócimy do Ameryki, nigdy już nie zobaczysz tatusia.

- Tak, chcę tego. Chcę jechać do Ameryki.

Znowu zaskoczyła mnie swoim rozsądkiem. Determinacja w jej głosie umocniła moje postanowienie. Teraz nie mogło już być mowy o powrocie.

W ciągu kilku następnych godzin podekscytowane rozmawialiśmy o Ameryce, snując wspomnienia. Tak długo tam nie byliśmy! Naszą pogawędkę parokrotnie przerywał Amahl pytając, czy wszystko jest w porządku i niekonkretnie informował, że sprawy posuwają się do przodu.

Ostatni raz zatelefonował pół godziny po północy:

- Nie będę już dzwonił dzisiejszej nocy. Powinnyście się wyspać, przed wami ciężkie dni. Idźcie spać, odezwę się rankiem.

Obie z Mahtab zsunęłyśmy połówki gruzłowatej kanapy, resztę nocy spędziłyśmy na modlitwach i na przewracaniu się z boku na bok. Mahtab udało się zasnąć, ja natomiast czuwałam nadal, aż do świtu, który wolno ją wciskać się do pokoju, wtedy też zatelefonował Amahl zawiadamiając, że zaraz przyjdzie.

Zjawił się około siódmej, niósł piknikową torbę z chlebem, serem, pomidorami, ogórkami, jajkami i mlekiem. Przyniósł też książeczkę do malowania i kolorowe kredki dla Mahtab oraz torbę z zapasową odzieżą i przedmiotami, które zostawiłam w jego biurze we wtorek. Podarował mi również kosztowny skórzany plecak - pożegnalny prezent od niego.

- Całą noc pracowałem, rozmawiałem z różnymi ludźmi - poinformował. - Postanowiono, że uciekniecie do Turcji.

Turcja! Wpadłam w popłoch. Najpierw lot do Bandar Abbas, a potem motorówka przez Zatokę Perską; lot do Zahidanu i prze-szmuglowanie do Pakistanu; lot do Tokio na pożyczone paszporty - to były drogi dotychczas brane pod uwagę. Turcja była dla Amahla najgorszym wyjściem. Sam mi mówił, że ucieczka przez Turcję byłaby nie tylko najtrudniejsza w sensie fizycznym, ale i najbardziej ryzykowna ze względu na zaangażowanych w to ludzi.

- Ponieważ obecnie uznano was za zaginione, nie możecie wyjechać przez lotnisko - wyjaśnił. - Musicie opuścić Teheran samochodem. Do granicy tureckiej droga jest długa, ale to i tak najbliżej.

Prowadził rozmowy z kimś, kto dowiezie nas do Tabrizu w pół-

304

nocnozachodniej części Iranu i potem dalej na zachód, następnie zostaniemy przeszmuglowane przez granicę w sanitarce Czerwonego Krzyża.

- Chcieli trzydzieści tysięcy dolarów - powiedział. - To zbyt dużo. Targuję się z nimi. Doszliśmy już do piętnastu, ale i to za wiele.

- W porządku, niech będzie - powiedziałam. Nie miałam pojęcia, ile zostało na naszych kontach, ale nic mnie to nie obchodziło. Gdy wrócę, to jakoś przecież zdobędę te pieniądze.

Amahl pokręcił głową:

- To wciąż za wiele - powiedział.

Zdałam sobie sprawę, że mówimy o pieniądzach Amahla, a nie moich. To on musiał zapłacić od ręki nie mając w dodatku gwarancji, że uda mi się wrócić do Ameryki i zwrócić dług.

- Będę próbował obniżyć cenę - mówił. - Dziś mam dużo pracy. Jeśli będziecie czegoś potrzebowały, proszę dzwonić do biura.

Spędziłyśmy z Mahtab dzień w napięciu, siedząc blisko siebie, rozmawiając i modląc się. Raz czy dwa wzięta do ręki książeczki do malowania, ale nie potrafiła się skupić. Ja zaś chodziłam w tę i z powrotem po zniszczonych perskich dywanach, podtrzymywała mnie jedynie adrenalina w żyłach, mój nastrój stanowił dziwną mieszaninę radości i obaw. Czy powodował mną

egoizm? Czy wystawiałam na ryzyko życie mego dziecka? A nawet choćby w tych warunkach, to czy nie byłoby dla niej lepiej, by się tutaj wychowała - ze mną czy beze mnie - niż żeby w ogóle nie dorosła?

Amahl przyszedł koło południa i oznajmił, że udało mu się wytargować cenę dwunastu tysięcy dolarów.

- Proszę się zgodzić - powiedziałam. - To dla mnie nieistotne.
- Nie sądzę, bym zdołał bardziej obniżyć cenę.
- Proszę się zgodzić - powtórzyłam.
- Dobrze - odparł. Potem zaczął mnie zapewniać:
- Ci ludzie nie zrobią wam krzywdy. Obiecuję. To są dobrzy ludzie. Sprawdziłem ich pod każdym względem i gdybym czuł, że mogą być niebezpieczni, nie wysłałbym was z nimi. Co prawda nie taką drogę wybrałbym jako najlepszą, ale musimy działać tak szybko, jak tylko się da. Będą się wami dobrze opiekować.

Noc z czwartku na piątek znów przeistoczyła się w bezsenność. Kanapa była tak niewygodna, że tym razem przeniosłyśmy się na podłogę, rozkładając legowiska. Mahtab zasnęła z dziecięcą ufnością, ale ja nie mogłam zaznać spoczynku, póki nie dowiozę córki do Ameryki - lub zginę próbując tego dokonać.

Wczesnym rankiem w piątek przybył Amahl przynosząc znów jedzenie: kurczaka owiniętego w gazetę i rzadko spotykane w Iranie płatki kukurydziane dla Mahtab, jeszcze kilka książeczek do malowania, koc i manto dla Mahtab, czarny czador dla mnie i małą paczuszkę

20 — Tylko razem z córką

305

balonowej gumy do żucia produkcji niemieckiej. Podczas gdy Mahtab zajęła się tym ostatnim specjałem, Amahl przedstawił nasze położenie.

- Dzień i noc pracuję nad naszym planem - powiedział. - To nie jest łatwe, bowiem większość ludzi nie ma telefonu.
- Kiedy wyjeżdżamy? - dopytywałam się niecierpliwie.



- Jeszcze nie wiem - przyznał. - W związku z tym chciałbym, żeby pani ponownie zatelefonowała do męża, ale nie stąd. Wrócę tu później i zajmę się Mahtab, tak więc może pani wyjść i zadzwonić do domu z automatu. Napiszę, co powinna mu pani powiedzieć.

- Zgoda.

Obie z Mahtab ufałyśmy Amahlowi bezgranicznie. Z nikim innym nie zgodziłaby się pozostać, gdy ja wyjdę. Rozumiała jednak to, co się wokół niej działo.

Kiwnęła głową akceptując plan Amahla, uśmiechała się żując gumę.

Po południu porzuciłam stosunkowo bezpieczne schronienie w mieszkaniu Amahla i wyszłam na lodowato zimne, niebezpieczne ulice Teheranu. Po raz pierwszy od półtora roku byłam zadowolona, że mogę ukryć się pod czadorem. Zimny wiatr poniewierał mną, gdy brnęłam do automatu, który znajdował się na rogu ulicy, w bezpiecznej odległości od domu. Skostniałymi dłońmi wzięłam słuchawkę i wykręciłam numer Mudiego. Z torebki wyjęłam kartkę z instrukcją. Telefon odebrał Madżid.

- Gdzie jesteście? - zapytał. - Powiedz, gdzie jesteście? Ignorując to pytanie sama zapytałam:

- Gdzie Mudi? Chcę z nim rozmawiać.

- Mudiego nie ma w domu. Pojechał na lotnisko.

- Kiedy wróci?

- Za jakieś trzy godziny...

- Chcę z nim porozmawiać o tej sprawie.

- On także chce z tobą porozmawiać. Przyjedź, proszę.

- Dobrze więc, jutro przyjadę z Mahtab i moim adwokatem, wówczas porozmawiamy. Nie życzę sobie, by ktokolwiek poza Mudim był przy tym obecny. Powiedz mu, że mogę przyjść między jedenastą a dwunastą lub między szóstą a ósmą. Mój adwokat może mi towarzyszyć tylko w tych godzinach - kłamałam.

- Przyjdź między jedenastą a dwunastą - powiedziała Madżid. - Mudi odwołał wszystkich pacjentów na jutro. Przyjdź bez adwokata.
- To wykluczone. Bez adwokata nie przyjdę w ogóle.
- Przyjdź sama z Mahtab - nalegał - wszystko omówimy razem. Ja też będę.
- Boję się - powiedziałam. - Poprzednio, gdy Mudi zbił mnie i zamknął, ani ty, ani wasza rodzina nic dla mnie nie zrobiliście.
- Nie obawiaj się. Będę tu - powtórzył.

306

Korciło mnie, by roześmiać się szyderczo w nos jednemu z licznych krewnych Mudiego, i zrobiłam to:

- Dużo mi z tego przyjdzie - parsknęłam. - Już raz przez to przeszłam. Przekaż mu wiadomość.

Cała rozmowa sprawiła, że drżałam z przerażenia. Wiedziałam, po co Mudi pojechał na lotnisko. Chciał wycofać mój irański paszport ze stanowiska Swissair. Nie mógł dopuścić, bym pierwsza go dostała. Czy następnym krokiem będzie powiadomienie policji?

Nawet w gwarantującym anonimowość czadorze czułam się naga wracając ulicami Teheranu do mieszkania Amahla. Wszędzie byli policjanci z gotową do użytku bronią. Byłam pewna, że wszyscy na mnie patrzą.

Wiedziałam teraz, że bez względu na grożące nam niebezpieczeństwa musimy im stawić czoło, musimy uciekać. Choćby przemytnicy w pół-nocnozachodnim Iranie byli nie wiem jak groźni i przerażający, nie stanowili większego niebezpieczeństwa niż mój własny mąż. Już byłam i obrabowana, i porwana, i zgwałcona. A Mudi bez wątplenia był zdolny do morderstwa.

Kiedy wróciłam do mieszkania, Amahl oznajmił:

- Dzisiejszej nocy odjedziecie.

Rozłożył mapę i pokazał mi trasę naszej wyprawy, długiej i trudnej jazdy z Teheranu to Tabrizu, a następnie do górzystej krainy kontrolowanej przez kurdyjskich rebeliantów, patrolowanej przez pasdarów. Kurdowie byli wrogo

nastawieni do rządów szacha, ale równie wrogo odnosili się do władzy ajatollaha.

- Gdyby ktoś z wami rozmawiał, proszę nie udzielać żadnych informacji - ostrzegał. - Proszę nic nie mówić o mnie. Proszę nie mówić, że jesteście Amerykankami. Proszę nie mówić, o co chodzi.

Przemytnicy mieli nas zabrać z Teheranu do granicy, potem przez granicę do Turcji w sanitarce Czerwonego Krzyża, a wreszcie do Wan - miasta leżącego w górach wschodniej Turcji. Odtąd będziemy zdane na siebie. Nadal powinniśmy być bardzo ostrożne - przestrzegał. Nie przekroczymy granicy oficjalnym przejściem, tak więc w naszych amerykańskich dokumentach nie będzie stosownych pieczęci. Oglądając nasze paszporty, władze tureckie mogą powziąć jakieś podejrzenia. Jeżeli zostaniemy zatrzymane, urzędnicy tureccy nie zawrócą nas co prawda do Iranu, ale mogą nas zatrzymać, a najpewniej rozdzielią.

W Wan musimy złapać samolot lub autobus do Ankary - stolicy Turcji, a tam udamy się od razu do ambasady Stanów Zjednoczonych. Dopiero wówczas będziemy bezpieczne.

Amahl wręczył mi garść monet.

- Proszę telefonować do mnie z każdego automatu w drodze. Musi pani bardzo uważać na to, co mi powie.

307

Przez chwilę zamyślony wpatrywał się w sufit.

- Esfahan - wymienił nazwę irańskiego miasta. - To będzie zaszyfrowana nazwa Ankary. Kiedy dojedziecie do Ankary, proszę powiedzieć, że jesteście w Esfahanie.

Pragnęłam go zatrzymać, porozmawiać, być z nim. Bo póki był tu obecny fizycznie, czułam się bezpieczna. Wyszedł jednak, bo trzeba się było zająć sfinalizowaniem wyprawy w samym środku muzułmańskiego świątecznego dnia.

Czy to mój ostatni piątek w Teheranie? Modliłam się do Boga - do Allaha - aby tak było naprawdę.

Poczucie rzeczywistości wzięło górę. Co należy zabrać? Spojrzałam na ciężki gobelin, który we wtorek przytaszczyłam do biura Amahla. Co też mi przyszło do głowy? - zapytałam samą siebie. Przecież tego nie potrzebuję. Niczego nie potrzebuję. Tylko dotrzeć do domu - to wszystko. Gobelin musi zostać, a razem z nim szafran.

Bizuterię zapewne można będzie wymienić w drodze na gotówkę, potrzebny był też zegarek. Włożyłam więc świecidełka do torby wraz z nocną koszulą Mahtab i zmianą bielizny dla mnie. Mahtab spakowała ciasteczka i płatki kukurydziane oraz kilka książeczek do swej szkolnej teczki. Teraz już byliśmy gotowe. Czekałyśmy tylko na sygnał.

Około szóstej zadzwonił Amahl.

- Wyruszacie o siódmej.

Tylko godzina. Po wielu dniach, tygodniach, miesiącach została tylko godzina. Czułam się jednak nie przygotowana. Dobry Boże - modliłam się - co też ja robię? Proszę, bądź z nami. Proszę Cię, opiekuj się moją córką, cokolwiek by się stało.

Dziesięć po siódmej przyjechał Amahl z dwoma mężczyznami, których nigdy przedtem nie widziałam. Byli młodsi, niż mogłabym się spodziewać, prawdopodobnie trochę po trzydziestce. Jeden z nich, mówiący kilka słów po angielsku, ubrany był w dżinsy, bawełnianą koszulkę i skórzaną kurtkę motocyklisty. Przypominał Fouziego z serialu „Happy Days”. Drugi - brodaty - nosił sportową marynarkę. Byli mili dla mnie i Mahtab.

Nie było czasu do stracenia. Pomogłam Mahtab włożyć manto, sama także ubrałam się w moje manto, a twarz prawie całkowicie zasłoniłam czadorem. Tym razem dziękowałam Bogu, że mogę skryć się w tej czarnej odzieży.

Zwróciłam się do Amahla, ogarnęła nas fala wzruszenia. To było pożegnanie.

- Czy jest pani pewna, że naprawdę chce to uczynić? - spytał.

- Tak. Chcę jechać - potwierdziłam. Miałyśmy w oczach mówiąc:

- Kocham was obie, naprawdę.

308

Następnie zwrócił się do Mahtab:

- Masz niezwykłą mamusię, opiekuj się nią.

- Będę się opiekować - obiecała uroczyście.

- Wdzięczna jestem za to, co pan dla nas zrobił - powiedziałam.

- Zwrócę panu te dwanaście tysięcy dolarów dla przemytników, jak tylko szczęśliwie dotrę do Ameryki.

- W porządku - powiedział.

- Lecz pan także był w to całą duszą zaangażowany - dodałam.

- Powinnam i panu zapłacić.

Amahl popatrzył na moją córeczkę. Była przestraszona.

- Jedyłą zapłatą będzie dla mnie uśmiech Mahtab - powiedział. Potem odsunął rąbek czadoru i lekko pocałował mnie w policzek.

- A teraz w drogę! - polecił.

Wraz z Mahtab i młodym człowiekiem, podobnym do Fouziego, wymknęliśmy się za drzwi. Drugi mężczyzna pozostał z Amahlem. Fouzi powiódł nas do samochodu nieznannej marki, zaparkowanego na ulicy. Wdrapałam się do środka i wzięłam Mahtab na kolana. Ruszyliśmy w gęstniejącą ciemność piątkowego wieczoru, w niepewną drogę, pełną nieznanymi niebezpieczeństwami, prowadzącą do nieokreślonego celu. Oto stało się - pomyślałam. Albo nam się uda, albo nie. Uda się nam tylko wtedy, gdy Bóg tak zechce. A jeśli On nie zechce, to znaczy, że inne były Jego wyroki. Lecz gdy tak brnęliśmy wśród trąbiących samochodów, gburliwych kierowców i gniewnych, niezadowolonych przechodniów, nie mogłam uwierzyć, że Bóg pragnąłby dla nas takiego życia.

Syreny i klaksony zawodziły wokół nas. Był to normalny hałas, ale mnie zdawało się, iż ma na celu zwrócenie uwagi na nas. Szczelnie otuliłam twarz czadorem, odsłaniając tylko lewe oko, ale nadal czułam się podejrzana i dobrze widoczna.

Jechaliśmy około pół godziny, w zasadzie w kierunku naszego domu w północnej części miasta, ale niezbyt blisko. Nagle Fouzi nacisnął hamulec, zrobił ostry zwrot kierownicą i wprowadził samochód w małą uliczkę.

- Bia, zud basz - proszę się pośpieszyć! - zakomenderował. Wyszliśmy na chodnik, gdzie znów wepchnięto nas na tylne siedzenie

innego samochodu. Nie było czasu na pytania. Jeszcze kilka nieznanymi osobami wskoczyło za nami i ruszyliśmy z kopyta, pozostawiając Fouziego na ulicy.

Zaczęłam przyglądać się naszym nowym towarzyszom. Obie z Mahtab siedziałyśmy za kierowcą, mężczyzną chyba po trzydziestce. Obok niego był chłopiec, może dwunastoletni, zaś najbliżej drzwi - inny mężczyzna, starszy niż kierowca. Na prawo od nas - w środku na tylnym siedzeniu - siedziała dziewczynka w wieku Mahtab, ubrana w płaszcz deszczowy, a obok niej kobieta. Rozmawiały po persku, zbyt

309

szybko, bym mogła zrozumieć, ale z familiarnego tonu ich głosów zorientowałam się, że stanowią rodzinę.

My stanowiliśmy rodzinę! W jednej chwili pojęłam. To była nasza osłona.

Kim byli ci ludzie? Jak dużo wiedzieli o nas? Czy i oni zamierzali uciekać?

Kierowca prowadził samochód na zachód, klucząc ulicami, w kierunku autostrady prowadzącej z miasta. Na obrzeżach Teheranu zatrzymaliśmy się przy posterunku kontrolnym policji. Inspektor zajrzał do samochodu. Skierował lufę karabinu w nasze twarze. Ale ujrzał tylko typową irańską rodzinę, która w piątkowy wieczór opuszcza miasto, siedem osób upakowanych do jednego samochodu. Machnął nam ręką.

Gdy znaleźliśmy się na trasie szybkiego ruchu, nowoczesnej dwukierunkowej autostradzie, samochód przyśpieszył, pędziliśmy przez noc z szybkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Kobieta na tylnym siedzeniu usiłowała nawiązać ze mną rozmowę, przeplatając słowa angielskie z perskimi. Nie mogła wiedzieć, że jesteśmy Amerykankami, ale najwyraźniej wiedziała. Udawałam, że nie rozumiem. Wkrótce też zapadłam w udawaną drzemkę, zniechęcając ją tym samym do próby konwersacji. Mahtab spała niespokojnie.

Od Amahla dowiedziałam się, że Tabriz leży w odległości czterystu pięćdziesięciu kilometrów od Teheranu, a stamtąd było jeszcze około stu pięćdziesięciu do granicy. Inni pasażerowie, uspokojeni, po trochu zasypiali. I dla mnie sen byłby dobrodziejstwem, ale nie przychodził.

Spoglądałam lewym okiem ukradkowo przez okno, by zobaczyć jak daleko jesteśmy. Zegarek tykał nie kończące się minuty. Obliczyłam, że przy tej szybkości z każdą minutą jesteśmy prawie dwa kilometry bliżej granicy.

Mijaliśmy znaki drogowe, obwieszczające nie znane mi miasta o obco brzmiących nazwach: KAZAWIN, TAKISTAN, ZIAABAD.

Trochę po północy, gdzieś w irańskim pustkowiu pomiędzy Zia-abadem a Zandżanem kierowca zwolnił. Zaniepokoiłam się widząc, że podjeżdżamy na parking stacji benzynowej, obok była mała przydrożna kawiarnia. Pasażerowie samochodu zapraszali mnie gestami do środka, ale nie chciałam ryzykować, że mnie tam ktoś przyłapie. Obawiałam się, że policja już nas szuka. Wskazałam więc śpiącą w moich ramionach Mahtab, dając do zrozumienia, że pozostaniemy w samochodzie.

Rodzina weszła do kawiarni i siedziała tam przez całą wieczność. Na zewnątrz parkowało sporo samochodów. Przez okno kawiarenki widziałam dużo ludzi, którzy - przerwawszy na chwilę podróż - popijali herbatę. Zazdrościłam Mahtab snu; czas szybciej mija, gdy się śpi. Gdybym mogła zamknąć oczy, zasnąć i obudzić się w Ameryce!

310

W końcu jeden z mężczyzn wyszedł do samochodu. „Neska” - mruknął podając mi niespodziewany dar w postaci kubka kawy. W Teheranie prawie niepodobna było dostać kawy, a tu parujący napój w walącej się restauracji, w samym środku niedostępnego pustkowia. To była mocna, okropna kawa, lecz uznałam, że to bardzo miło ze strony owego człowieka, iż mi ją przyniósł. Wymamrotałam podziękowanie i zaczęłam popijać kawę. Mahtab ani drgnęła.

Wkrótce potem wszyscy wrócili do samochodu i znów oddalaliśmy się od Teheranu, coraz bliżej granicy. Szeroka, wielopasmowa autostrada ustąpiła tymczasem miejsca wąskiej, dwujezdniowej drodze, pnącej się spiralnie, wkręcającej się jak wąż w pasmo górskie.

Wnet do szyb samochodu zaczęły przylepiać się płatki śniegu, kierowca włączył wycieraczki i odmrażacze szyb. Burza stawała się coraz gwałtowniejsza. Wkrótce droga przed nami pokryła się twardą lodową skorupą, ale nasz kierowca wcale nie zmniejszał szalonego tempa jazdy. Jeżeli jakimś cudem policja nas nie dopadnie, to z pewnością zginiemy w gigantycznej kraksie - myślałam ponuro. Był dobrym kierowcą, ale gdyby przyszło mu gwałtownie zahamować, to już po nas.

Zmęczenie przemogło lęk. Zapadłam w niespokojny sen, budząc się przy każdym wstrząsie.

Wreszcie nad mroźnym krajobrazem wzeszło słońce. Wokół nas wynurzały się z mroku pokryte śniegiem góry. Daleko na zachodzie szczyty były wyższe, bardziej niedostępne. Gnaliśmy wciąż oblodzoną drogą.

Widząc, że już nie śpię, kobieta obok znów próbowała nawiązać ze mną rozmowę. Mówiła coś o tym, że chce pojechać do Ameryki.

- Iran jest taki niedobry - mamrotała - nie możemy dostać wiz. Mahtab obok mnie poruszyła się, przeciągnęła i ziewnęła.

- Udawaj, że nie rozumiesz - szepnęłam jej do ucha. - Nie tłumacz. Kiwnęła głową potakująco.

Zbliżaliśmy się do Tabrizu, samochód zwolnił, bo dojeżdżaliśmy do posterunku. Serce przestało mi bić na widok kilku żołnierzy, którzy jedne samochody przepuszczali, inne zaś zatrzymywali. Nasz należał do tych wyrywkowo zatrzymanych. Butny oficer pasdarów wetknął głowę przez okno i rozmawiał z kierowcą. Wstrzymałam oddech, bo obie z Mahtab miałyśmy tylko paszporty amerykańskie. Czy znajdowałyśmy się już na liście uciekinierów? Pasdar krótko pogadał z kierowcą, a potem machnięciem ręki pozwolił nam odjechać, nie sprawdzając dokumentów. Wszyscy w samochodzie wyraźnie odetchnęli z ulgą.

Wjechaliśmy do Tabrizu. Miasto było mniejsze od Teheranu, czystsze i nowsze. Może takie wrażenie odniosłam dlatego, że było pokryte świeżym śniegiem, a może w tym mieście poczułam powiew wolności?



Tabriz był bardzo ściśle związany z Republiką Islamską, znajdował się wszelako na uboczu rewolucyjnych działań. Oddziały pasdarów i irańskiego wojska były wszędzie, ale moje pierwsze wrażenie było takie, że ludność Tabrizu w większym stopniu czuła się u siebie niż mieszkańcy Teheranu.

Jakby Teheran w mniejszej skali, Tabriz pełen był kontrastów - nowoczesnej, wysokościowej architektury i rozpadających się ruder. W Iranie Wschód spotyka się z Zachodem, trudno powiedzieć, jaki styl życia weźmie ostatecznie górę.

Kierowca kluczył bocznymi drogami, aż wreszcie gwałtownie zatrzymał wóz. Krótkimi urywanymi zdaniem kobieta poleciła chłopcu wysiąść z samochodu. Rozumiałam po persku na tyle, by zorientować się, że chłopak jedzie w odwiedziny do ciotki. Poinstruowano go, że ma nic nie mówić o nas i o tym, co robiliśmy. Chłopiec wysiadł i podążył krótką uliczką, ale po kilku minutach wrócił. Ciotki nie ma w domu - oznajmił. Kobieta wysiadła i wraz z nim poszła tą samą drogą. Zaniepokoiło mnie to, nie wiem dlaczego. A potem uświadomiłam sobie, że choć była mi zupełnie obca, to jej obecność w samochodzie dodawała mi pewności siebie. Mężczyźni byli mili, ale nie miałam ochoty zostać z nimi sam na sam. Pragnęłam, aby jeszcze jakaś kobieta była ze mną.

Mahtab stała się niespokojna:

- Niedobrze mi - zapiszczała. Głowę miała rozpaloną, mówiła, że boli ją brzuch. Przesunęłam się bliżej przednich miejsc i otworzyłam drzwi w samą porę, bo w tej chwili przechyliła się i zwymiotowała do rynsztoka. Ona także odczuwała napięcie. Czekaliśmy nerwowo kilka minut, wreszcie kobieta wróciła - sama.

Ciotka była w domu - relacjonowała - ale nie słyszała pukania chłopca. Ulżyło mi, gdy zorientowałam się, że owa kobieta będzie nam towarzyszyć w dalszej drodze. Znowu ruszyliśmy.

W zaledwie dwie czy trzy minuty później zatrzymaliśmy się na ruchliwym skrzyżowaniu. Był to główny plac miasta. Nasz kierowca stanął tuż przed kierującym ruchem policjantem.

- Zud baszt Zud baszt - szybko! szybko! - powiedziała kobieta, w chwili gdy jakiś mężczyzna na chodniku otworzył drzwi samochodu i gestem polecił nam wysiąść. Wprowadzono nas do samochodu stojącego tuż za nami, tymczasem

nasz poprzedni kierowca wiódł ożywiony dialog z policjantem, który mówił, że w tym miejscu nie wolno się zatrzymywać. Jeśli to całe zamieszanie było zaplanowane - to udało się znakomicie. Zanim ktokolwiek zdołał się zorientować, obie z Mahtab byłyśmy dobrze ukryte w tym drugim samochodzie. Mąż, żona i córka wepchnęli się za nami i znów ruszyliśmy w drogę, pozostawiając pierwszego kierowcę nadal głośno

312

sprzecającego się z policjantem. W Iranie takie scenki są codziennością.

Kobieta wskazała na naszego kierowcę, starszego mężczyznę chyba koło sześćdziesiątki:

- Nie rozmawiaj z tym człowiekiem - powiedziała szeptem - nie mów, że jesteś Amerykanką.

Kierowca wydawał się dość przyjazny, nie zdawał sobie pewnie jednak sprawy, że odgrywa rolę w międzynarodowym dramacie. Być może polecono mu po prostu przewieźć nas z punktu A do punktu B. Najpewniej nie pragnął wiedzieć nic ponad to.

Przejechaliśmy Tabriz i skierowali się do innego miasta. Kierowca woził nas po ulicach, robiąc nie kończące się rundy. Wokół nas pełno było straszliwych śladów wojny. Widać było całe budynki rozwalone przez bomby. Każda ściana wyglądała jak plaster miodu, zryta pociskami. Wszędzie było mnóstwo wojskowych patroli. Po pewnym czasie zatrzymaliśmy się w bocznej uliczce tuż za niebieskim pikapem, wewnątrz którego znajdowali się dwaj mężczyźni. Ten obok kierowcy wysiadł i skierował się niespiesznie do naszego samochodu, porozmawiał z kierowcą w nieznanym języku, który w podnieceniu uznałam za turecki.

Mężczyzna powrócił do pikapa, który wnet ruszył. Nasz samochód ruszył w ślad za nim, ale wkrótce zgubiliśmy trop w ulicznym ruchu. Przez chwilę kręciliśmy się po mieście. Czemu to tak długo trwa?

- niecierpliwiłam się. Jedźmy już. Była sobota - dzień, w którym miałam zjawić się w domu z adwokatem na spotkanie z Mudim. Jak długo będzie czekał, nim dotrze do niego, że został oszukany? Kiedy gniew jego wzmoże się do tego

stopnia, że powiadomi policję o mojej ucieczce? A może już to zrobił? Nie mogłam tego wiedzieć.

Pomyślałam o Amahlu. Nie mogłam skontaktować się z nim, jak tego sobie życzył. Musi się niepokoić.

A co z Joem, Johnem i moimi rodzicami w dalekim Michigan? Czy Mudi dzwonił do nich? Czy też może oni telefonowali z wiadomościami o ojcu? Co Mudi mógł im powiedzieć? Czy teraz obawiają się jeszcze dodatkowo o życie Mahtab i moje, tak jak o ojca? Czy moją rodzinę czekają trzy pogrzeby w najbliższej przyszłości?

Pośpieszmy się! - chciałam krzyknąć.

Wyjechaliśmy wreszcie z miasta i skierowali się autostradą na zachód. Godziny mijały w milczeniu, które przerwał tylko jeden incydent. Nakon! - mruknął kierowca. Obejrzał się na Mahtab. - Nakon!

- nie rób tego.

- Kopiesz w jego fotel - skarciłam Mahtab. Podciągnęłam jej nogi bliżej naszych siedzeń.

Kontynuowaliśmy podróż. Wreszcie po południu podjechaliśmy do opuszczonego domostwa przy polnej drodze. Zaraz za nami stanął

313

pikap - ten sam, który spotkaliśmy w mieście. Musiał jechać za nami. Powiedziano nam, byśmy weszły do pikapa, a gdy to uczyniłyśmy, samochód odjechał, pozostawiając nas same z kolejnym kierowcą i obcym mężczyzną.

Kierowca przypominał wyglądem Indianina bardziej niż Irańczyka. Jego kruczoczarne włosy były dobrze ostrzyżone i uczesane, wysokie, wydatne kości policzkowe dominowały na dużej, rasowej twarzy. Ponury wyraz malujący się na niej budził mój niepokój.

Drugi mężczyzna, siedzący w kabinie, okazał się bardziej przyjazny. Był wysoki i szczupły, miał w sobie coś władczego. Gdy pikap wymanewrowywał z podjazdu opuszczonego domostwa, uśmiechnął się do mnie i powiedział po persku:

- Nazywam się Mosehn. Przejechaliśmy zaledwie kilkaset metrów i skręciliśmy w polną

drogę, prowadzącą do maleńkiej wioski. Było tam tylko kilka rozproszonych chat, a choć ziąb panował ostry, dzieci ganiały bez butów, ledwo odziane. Zahamowaliśmy gwałtownie, nasz kierowca wyskoczył z samochodu. Podbiegł do ceglanego muru, wspiął się na niego, sprawdzając, co jest po przeciwnej stronie. Droga była wolna. Skinieniem polecił nam podjechać. Mosehn wśliznął się na miejsce szofera i powolutku podtoczył samochód. Gdy otworzyła się żelazna brama, wjechaliśmy do środka. Brama natychmiast zatrzasnęła się za nami.

- Zud baszt Zud basz! - ponaglał Mosehn. Mahtab i ja wyskoczyliśmy z samochodu prosto na błotniste

podwórze pełne kur i owiec. Potykając się brnęliśmy za Mosehnem, który prowadził nas do przypominającego stodołę domostwa w rogu podwórza. Niektóre zwierzęta podążały za nami.

Cementowe ściany stodoły wzmagwały jeszcze i tak przenikliwy ziąb, drżałyśmy na całym ciele. Mój oddech zawisł w powietrzu na kształt lodowej chmurki, gdy szeptałam do Mahtab:

- Teraz lepiej się nie odzywaj. Nie tłumacz niczego, póki cię o to nie poproszę. Nie daj poznać po sobie, że cokolwiek rozumiesz. Udawaj zmęczoną i senną. Nie trzeba, by ci ludzie dowiedzieli się czegokolwiek o nas.

Objęłam moje dziecko ramionami starając się w ten sposób ogrzać ją i siebie, jednocześnie rozglądałam się po stodole. Na podłodze rozpostarto płachty w jaskrawych kolorach, poszywane wyglądały jak kołdry bez waty. Wzdłuż ścian leżały koce. Mężczyźni przynieśli piecyk mazutowy, zapalili go, podciągnęli płachty leżące w pobliżu pieca i gestem zaprosili nas, byśmy usiadły. W trakcie tych czynności jeden z nich potrącił piecyk, przez co trochę mazutu rozlało się na tkaninę. Bałam się, że może to spowodować pożar.

Usiadłyśmy tak blisko piecyka, jak tylko się dało, otulając się

wyziębionymi, wilgotnymi kocami. Mały piec nie na wiele mógł się zdać w odrętwiającym chłodzie. Powietrze przenikał smród mazutu. Wierciłam się niepewna, czy cieplej nam będzie w wilgotnych kocach, czy raczej bez nich. Czekałyśmy na to, co miało dalej się wydarzyć.

- Wrócę później - obiecał Mosehn. Następnie wyszedł wraz z innymi mężczyznami.

W chwilę potem do stodoły weszła kobieta ubrana w strój kurdyjski, tak odmienny od bezbarwnych szat kobiet w Teheranie. Miała na sobie kilka warstw spódnic w jaskrawych kolorach, sięgających ziemi, zebranych mocno w talii; nastroszone na biodrach poszerzały je monstrualnie. Na plecach miała przywiązane chyba roczne dziecko o wyrazistych - podobnie jak nasz kierowca - rysach. Domyśliłam się, że to jego syn.

Kobieta była niesłychanie ruchliwa. Najpierw przez kilka minut czyściła sabzi, a potem wyszła. Obserwowałam ją przez otwarte wrota, polewała podwórze wodą. Wkrótce znów weszła do środka, jęła zbierać z podłogi szmaciane chodniki i koce, zwijając je i składając. Potem zamiatała gołą już podłogę miotłą z suchego zielska związanego gałgankiem. Podczas tej krzątany do szopy weszło kilka kur, przegoniła je swą namiastką miotły i dalej sprzątała.

Co będzie dalej? - zastanawiałam się. Czy Mosehn i ten drugi naprawdę wrócą po nas? Ile ta kobieta o nas wie? Co o nas myśli? Nie dała po sobie nic poznać, ignorowała naszą obecność zajmując się swoją robotą.

Po pewnym czasie opuściła nas na krótko, po czym wróciła z chlebem, serem i herbatą. Choć byłyśmy bardzo głodne, sera nie dało się jeść, tak był ostry. Popijałyśmy herbatę i przeżułyśmy nieco twardego chleba.

Wieczór przyniósł z sobą przygnębiającą ciszę i bezruch. Mahtab i ja dygotałyśmy tyleż samo ze strachu, ile z zimna, czułyśmy się bezbronni i bezsilni. Tkwiłyśmy gdzieś tam, na obrzeżu cywilizacji, gdzie nawet najlepsze warunki życia były prymitywne. Jeśliby tym ludziom przyszło do głowy wykorzystać nas w jakikolwiek sposób, nie miałybyśmy szans zdane na ich łaskę i niełaskę.

Po wielu godzinach wrócił Mosehn. Doznałam ulgi na jego widok. Coś w jego zachowaniu sprawiało wrażenie, jakby należał do lepszej klasy. Rozumiałam

oczywiście, że w mojej beznadziejnej sytuacji naturalną kolejną rzeczą odczuwam jakby pokrewieństwo z każdym, kto pełnił rolę opiekuńczą wobec nas. Bolesne i smutne było rozstanie z Amahlem. Najpierw więc byłam bardzo nieufna wobec kobiety w samochodzie, następnie coraz bardziej jej ufałam. A teraz Mosehn. Moje życie - i życie Mahtab - znajdowało się w jego rękach. Pragnęłam czuć się z nim bezpieczna. Musiałam czuć się z nim bezpieczna.

- Co masz w torbie? - spytał.

315

Wysypałam wszystko - książeczki Mahtab, kilka sztuk zapasowej odzieży, biżuterię, pieniądze, monety do automatu telefonicznego od Amahla, nasze paszporty - na kamienną podłogę.

- Bedehman - daj mi to - powiedział.

Czyżby był, mimo wszystko, tylko złodziejem? - pomyślałam. Obrabuje nas tu i teraz? Nie było co dyskutować. Zdobyłam się tylko na wyrażenie chęci zatrzymania zegarka, „żeby wiedzieć, która godzina”. Całą resztę po prostu mu oddałam.

Mosehn ułożył rzeczy w małe pakunki i posegregował je.

- Jutro - mówił po persku - założycie wszystko, co zmieścicie na sobie. Resztę zostawcie. - Przebierał w palcach moje dwa naszyjniki i bransoletkę z pereł, następnie włożył je do kieszeni. Pragnąc go ułagodzić wydobyłam moje przybory do makijażu i także mu podałam:

- Daj to swojej żonie - powiedziałam. Czy miał żonę?

Zrobił też zawiniątko z pieniędzmi, paszportami i złotym naszyjnikiem.

- Zatrzymaj to na dzisiejszą noc, ale zanim wyjedziemy, zabiorę te rzeczy - powiedział.

- Dobrze - zgodziłam się pośpiesznie.

Obejrzał szkolny podręcznik, który Mahtab zabrała ze sobą. Była to książka do nauki perskiego. Gdy wsuwał ją do kieszeni płaszcza, w oczach Mahtab załśniły łzy.

- Chcę to zabrać - chlipała.
- Oddam ci ją - powiedział.

Człowiek ten z każdą chwilą wydawał mi się coraz bardziej zagadkowy. Miał miły sposób bycia, ale jego słowa i działania nie pozostawiały nam wyboru. Uśmiechał się do nas po ojcowsku, protekcyjnie, a kieszenie pełne miał moich pereł.

- Wrócę tu jutro — oznajmił. Potem wyszedł w ciemną, mroźną noc.

Wróciła kobieta i od razu wzięła się do przygotowywania nas do snu. Koce, które porządnie poukładała w kącie, teraz przemieniły się w legowiska dla nas, dla kobiety i jej ponuro wyglądającego męża oraz dla dziecka.

Było późno, obie z Mahtab otuliłyśmy się płachtami tkanin, przywarłyśmy do siebie blisko mazutowego piecyka, by się wzajemnie ogrzewać. Mahtab w końcu zapadła w niespokojny, nierówny sen.

Wyczerpana, dygocząca z zimna, głodna, nieprzytomna z niepokoju, leżałam tuż obok córki. Bałam się, że od tego starego piecyka mogą zapalić się koce. Lękałam się, że Mudi w jakiś sposób dowiedział się o nas i teraz depcze nam po piętach. Bałam się policji, żołnierzy, pasdarów. Obawiałam się jutra, niebezpieczeństw związanych z przekroczeniem granicy. Jak oni to zrobią? Czy ja i Mahtab będziemy w sanitarce Czerwonego Krzyża udawać chore lub ranne?

316

Martwiłam się o ojca, mamę, Joego i Johna.

Z tego martwienia się i strachu wpadłam w stan półświadomości, to budząc się, to zasypiając - tak nam zeszła noc.

O świcie szopa wydawała się zimniejsza niż przedtem. Mahtab nawet we śnie dygotała bezwiednie.

Kobieta wstała wcześniej i przyniosła nam herbatę, chleb oraz ser - jeszcze bardziej zjełczały, niejadalny. Gdy popijałyśmy herbatę i żuły twarde chleb, kobieta wróciła z prawdziwym rarytasem - pestkami słonecznika na malutkiej tacy. Gezy Mahtab rozwarły się z podniecenia. Byłyśmy tak głodne, że z całą

pewnością pochłonie wszystko naraz. Ona natomiast podzieliła ziarna na dwie małe porcje.

- Mamusiu, nie możemy wszystkiego zjeść dzisiaj. Trzeba trochę zaoszczędzić - powiedziała.

Wskazała jedną porcję pestek:

- Tyle zjemy dziś, a tamte zachowamy na jutro.

Zaskoczyła mnie tym racjonowaniem cennych pestek. Ona także odczuwała niepewność naszej sytuacji.

Niewiasta krzątała się po podwórzu przygotowując małe prymitywne palenisko. Gotowała kurę, pewnie jedną z tych, jakie łążyły po podwórzu, sama ją zabiła i oczyściła. Byliśmy strasznie głodne!

W powietrzu unosił się smakowity aromat gotowanej kury, przez otwarte wrota wpadał do środka, kobieta zaś powróciła i zaczęła przygotowywać sabzi. Usiadłam obok, by jej pomóc, upajając się nadzieją na gorący posiłek.

Kura była gotowa, na podłodze rozłożone talerze, zasiedliśmy więc do uczy, gdy wtem zjawił się Mosehn.

- Zud baszt Zud baszt - rozkazał.

Kobieta wstała i pośpieszyła na zewnątrz, a po chwili wróciła z naręczem odzieży. Szybko ubrała mnie w ciężki, jaskrawy kurdyjski strój. Składał się z czterech warstw, pierwsza miała długie rękawy z prawie ośmiocentymetrowej szerokości paskiem tkaniny, zwisającym u nadgarstka. Na to nałożyła mi następne szaty, wciągając je przez głowę i wygładzając spódnice. Zewnętrzna warstwa uszyta była z ciężkiego aksamitnego brokatu w kolorze jasnopomarańczowym, niebieskim i różowym. Gdy już ostatnia suknia była na miejscu, owe zwisające u rękawów paski tkaniny zostały zawiązane wokół nadgarstków, tworząc gruby mankiet.

Następnie owinięto mi szczelnie głowę długą tkaniną, której końce zwisały z jednej strony. Byłam Kurdyjką.

Mahtab nadal nosiła manto.



Mosehn oznajmił, że część drogi odbędziemy na koniach.

- Nie mam spodni - powiedziałam.

Zniknął na moment i powrócił z parą długich, ciepłych, sztruksowych

317

spodni męskich. Podwinęłam mankiety usiłując naciągnąć spodnie pod licznymi warstwami kurdyjskich spódnic. Ledwo udało mi się w nie wbić, nie mówiąc o zapięciu zamka błyskawicznego, wiedziałam jednak, że to mi musi wystarczyć. Następnie Mosehn wręczył mnie i Mahtab grube wełniane skarpety. Nałożyłyśmy je i wciągnęłyśmy buty. Dopiero teraz byłyśmy gotowe.

Mosehn poprosił o pieniądze, naszyjnik i paszporty - resztki naszych kosztowności z wyjątkiem zegarka. Nie miało sensu martwić się błyskotkami, które, gdy szło o nasze życie, nie miały już wartości.

- Zud baszt Zud basz! - ponaglał.

Wyszliśmy za nim ze stodoły, pozostawiając nietknięty obiad, i wdrapałyśmy się do niebieskiego pikapa. Jak poprzedniego dnia - za kierownicą usiadł ten drugi mężczyzna. Wyprowadził pojazd przez bramę tyłem, po czym wyjechaliśmy z wioski do tej samej szosy, którą przyjechaliśmy, a potem dalej do głównej drogi.

- Nie martw się, nie martw się - powtarzał Mosehn. Wytłumaczył mi jak mógł najlepiej swój plan po persku, wtrącając od czasu do czasu zwroty kurdyjskie i tureckie. Powiedział, że przez jakiś czas pojedziemy pikapem, potem przesiądziemy się do innego wozu, a wreszcie do czerwonego samochodu.

Szczegóły nie były jasne. Mogłam mieć jedynie nadzieję, że wszystko zostało dokładniej zorganizowane, niż to Mosehn był w stanie opisać.

Nadal miałam co do niego mieszane uczucia. Jego zachowanie często miało w sobie coś złowieszczonego. Był w posiadaniu moich pieniędzy i biżuterii. O paszporty nie dbałam, bez wiz i tak były bezużyteczne. Jeśli tylko uda nam się dotrzeć do ambasady USA w Ankarze, na pewno dadzą nam nowe. Ale co z pieniędzmi? A biżuteria? Nie chodziło mi o jej wartość, lecz o zamiary Mosehna.

Z drugiej strony, był troskliwy i uprzejmy. Jak przedtem, stanowił dla mnie ogniwo w łańuchu działań, jedyną nadzieję bezpieczeństwa, stąd też zrodziło się we mnie pragnienie, by to z jego strony nadeszła ochrona i pomoc. Czy będzie nam towarzyszył przez całą drogę?

- Nigdy z nikim nie przechodziłem przez granicę - powiedział po persku. - Ale ty jesteś moją siostrą. Przejdę granicę wraz z tobą.

Osobliwe. W mgnieniu oka poczułam się lepiej.

Po pewnym czasie natknęliśmy się na inną ciężarówkę, jadącą w przeciwnym kierunku. Przy mijaniu obaj kierowcy gwałtownie zahamowali. Mosehn popędzał: Zud basz!

Wyszliśmy na jezdnię. Odwróciłam się do Mosehna przekonana, że się do nas przyłączy.

- Daj to mężczyźnie w drugiej ciężarówce - polecił podając mi paszporty. Potem straciłam go z oczu, bowiem kierowca wcisnął gaz do deski. Niebieski pikap zniknął, a wraz z nim Mosehn.

318

A więc nie pojedzie z nami - stwierdziłam. Nigdy już go nie zobaczymy.

Drugi samochód zawrócił i zahamował tuż za nami. Wdrapałyśmy się do kabiny. Nie tracąc czasu kierowca ruszył krętą drogą, w góry.

Był to otwarty samochód, rodzaj dżipa. W kabinie byli dwaj mężczyźni, podałam paszporty temu w środku. Wziął je ostrożnie, jakby parzyły. Nikt nie miał ochoty zostać przyłapany z amerykańskimi paszportami.

Odjechaliśmy niezbyt daleko, samochód zatrzymał się, a mężczyzna w środku polecił nam przesiąść się na niczym nie osłoniętą „pakę” wozu. Nie miałam pojęcia, dlaczego chce, byśmy tam właśnie były, ale wykonałam polecenie. Natychmiast ruszyliśmy w dalszą drogę z karkołomną szybkością.

Poprzedniej nocy w cementowej stodole myślałam, że już zimniej być nie może. Myliłam się. Przytuliłyśmy się do siebie na otwartej platformie. Lodowaty wiatr przenikał nas na wylot, ale ani ona, ani ja nie skarżyłyśmy się. I tak oto jechaliśmy podskakując na wyboistej drodze, wijącej się serpentynami w górę.

Ile jeszcze będziemy w stanie znieść? - pytałam samą siebie.

Kierowca zjechał z głównej drogi i prowadził samochód przez pola po kamienistym i wyboistym terenie, najwyraźniej po bezdrożu. Po ujechaniu prawie kilometra zatrzymał się i na powrót zaprosił do kabiny.

Znów pojechaliśmy, samochód z napędem na cztery koła podążał swoim szlakiem. Mijaliśmy z rzadka rozsiane chałupy, nieliczne stada wychudzonych owiec.

Mężczyzna w środku pokazał ręką na szczyt góry. Spojrzałam w tamtą stronę i zobaczyłam odległą sylwetkę stojącego tam człowieka z karabinem przewieszonym przez ramię - był to wartownik. Mężczyzna w środku potrząsnął głową i coś zamruczał. Gdy jechaliśmy dalej, pokazywał coraz to nowych wartowników na szczytach gór.

Nagle - nie, to nie złudzenie - ciszę bezludnej okolicy rozerwał ostry „ping” strzału z karabinu. Po nim natychmiast nastąpił drugi, dźwięczny odgłos odbił się echem od górskich zboczy.

Kierowca natychmiast zatrzymał pojazd. On i ten drugi bladzi byli ze strachu, ich lęk pogłębiał mój. Mahtab dosłownie usiłowała schować się we mnie.

Czekaliśmy w napiętym milczeniu na zbliżającego się z wycelowaną bronią żołnierza. Miał na sobie mundur khaki ściągnięty w tali. Nagle w moich rękach znalazły się paszporty. Nie mając pojęcia, co z nimi począć, wepchnęłam je do buta i czekałam przyciągnąwszy Mahtab jeszcze bliżej do siebie.

- Nie patrz na tego człowieka - szeptałam do niej - nic nie mów.

Żołnierz ostrożnie podszedł do okna samochodu, lufę karabinu wycelował w kierowcę. Serce mi zlodowaciało ze strachu.

319

Trzymając broń wycelowaną w twarz kierowcy, żołnierz powiedział coś w niezrozumiałym dla mnie języku. Podczas gdy obaj mężczyźni prowadzili ożywioną rozmowę, ja starałam się nie patrzeć na nich. Obaj mówili podniesionymi głosami. Żołnierz miał głos zły i butny. Mahtab zacisnęła rączkę na mej dłoni. Bałam się oddychać.

Wreszcie - po chwili, która zdała mi się wiecznością - żołnierz odsunął się. Nasz kierowca spojrzął na swego towarzysza, odetchnął z wyraźną ulgą. Cokolwiek naopowiadał żołnierzowi, okazało się to dostatecznie wiarygodne.

Znów jechaliśmy trzęsąc się na wybojach, póki nie wjechaliśmy ponownie na autostradę. Samochody wojskowe mijały nas w obu kierunkach. Przed nami pojawił się punkt kontrolny, ale nim tam dotarliśmy, kierowca zjechał na pobocze i gestem nakazał nam wysiąść. Drugi mężczyzna wyszedł z dżipa i skinął na nas, żebyśmy z nim poszły. Najwyraźniej chodziło o to, żeby obejść posterunek.

Poszłyśmy za tym człowiekiem otwartą przestrzenią, płaskowyżem wśród gór, pokrytym śniegiem, lodem i zmarzniętym błotem. Znajdowaliśmy się wciąż w polu widzenia posterunku, nikogo nie dało się oszukać. Czułam się, jakbym była celem na strzelnicy. Brnęliśmy po polu kilka minut, aż dotarliśmy do innej autostrady, na której panował duży ruch w obie strony.

Spodziewałam się, że tu zabierze nas dżip albo ów czerwony samochód, o którym wspominał Mosehn. Ale zamiast czekać na poboczu, nasz przewodnik wiódł nas skarpą wzdłuż drogi. Podążałyśmy za nim zmarznięte, nieszczęśliwe i zdeorientowane.

Nasz szlak niepokojąco prowadził w tym samym kierunku, co ruch na szosie: w górę, w dół, w takim samym tempie, nie zwalnialiśmy nawet wówczas, gdy obok nas przejeżdżały hałaśliwe, budzące grozę samochody wojskowe. Niekiedy ślizgaliśmy się po zlodowaciałym błocie, ale nie ustawialiśmy. Mahtab dreptała małymi nóżkami, lecz ani razu nie usłyszałam jej narzekań.

Brnęliśmy w ten sposób przez godzinę, aż u stóp szczególnie stromego wzgórza nasz przewodnik znalazł równe miejsce w śniegu. Kiwnął na nas, byśmy usiadły i odpoczęły. Używając kilku perskich słów - i na migi - polecił nam pozostać tam i dał do zrozumienia, że wróci. Potem szybko się oddalił. Siedziałyśmy w śniegu, pozostawione same sobie w naszym własnym świetle, patrząc, jak znika za grzbietem podłużnego, pokrytego lodem wzgórza.

A niby dlaczego miałby wrócić? - myślałam z goryczą. To miejsce jest straszne. Amahl zapłacił tym ludziom z góry. Już nas upolowali. Czemu by na miłość Boską ten mężczyzna miał wrócić.

Nie wiem, jak długo tkwiłyśmy tam czekając, pełne niedowierzania, niepokoju, modląc się.

320

Bałam się, że ktoś się zatrzyma i zacznie pytać, może nawet oferować pomoc. Co powinnam wówczas powiedzieć?

Nagle zobaczyłam przejeżdżającego obok dżipa, prowadził go ten sam człowiek, który spławił żołnierza. Spojrzał na nas, ale nie pokazał po sobie, że nas rozpoznaje.

Ten człowiek nie wróci - w mej głowie uporczywie krążyła ta sama myśl. ???  
długo mamy tu siedzieć i ???????? Dokąd mamy pójść?

Mahtab nie odzywała się. Ale jej buzia wyrażała determinację większą niż przedtem. Przecież wracała do Ameryki.

Ten człowiek nie wróci. Teraz już byłam pewna. Poczekamy tu do zapadnięcia zmroku. Potem musimy coś przedsięwziąć. Ale co? Ruszyć na własną rękę na zachód - matka i córka - samotnie próbujące przedrzeć się przez góry do Turcji? Czy może raczej odnaleźć powrotną drogę do posterunku, poddać się tracąc złudzenia, a nawet i życie? Albo po prostu zamarzniemy tu na śmierć w nocy, umrzemy objęte ramionami tuż obok autostrady?

Ten człowiek nie powróci.

Przypomniała mi się historia, którą opowiadała mi Helen - jakże to już dawno temu było - o Iranie i jej córce, które porzucono tak jak i nas. Córeczka umarła. Kobieta ledwie przeżyła, a w wyniku tej tragedii straciła wszystkie zęby. Porażka tej kobiety nie dawała mi spokoju.

Byłam zbyt sparaliżowana zimnem i panicznymi myślami, by dostrzec zbliżający się czerwony samochód. Zjechał na skarpę i zwalniał właśnie, gdy go ujrzałam.

Ten człowiek wrócił! Szybko wsadził nas do samochodu i polecił kierowcy ruszać.

W kwadrans później przybyliśmy do jakiegoś domu przy głównej drodze. Był to biały, murowany budynek w formie sześcianu, z płaskim dachem. Podjazd

zakręcił wokół domu na tyły, na podwórzu szczekał wielki, brudny kundel, a skąpo odziane, bose dzieciaki biegały po śniegu.

Wszędzie rozwieszono było pranie, zwieszało się z gałęzi drzew, słupków i framug okiennych tworząc sztywne, zamrożone festony.

Kobiety wraz z dziećmi zebrały się w grupkę bacznie nas obserwując. Były ponure, brzydkie, płaskonose. Kurdyjskie ubrania sprawiały, że wydawały się niemal kwadratowe, wrażenie to wzmagały spódnice bardziej pękate niż te, które ja nosiłam. Lustrowały nas podejrzliwie, podpierając się pod boki.

- Zud baszl - powiedział „człowiek, który wrócił”. Skierował nas z powrotem do części domu od strony drogi, weszliśmy do sieni. Kilka kobiet rękami pokazywało, żebyśmy zostawiły tam nasze buty. Wyczerpanie i lęk dawały o sobie znać. Wszystko wokół zdawało się takie nierealne, traciło kontury.

21 — Tylko razem z córką

321

Kobiety i dzieci nie przestawały nas pilnować, gapiąc się bezmyślnie, kiedy zdejmowaliśmy utyflane w śniegu i błocie obuwie. Potem zaprowadzono nas do wielkiego, zimnego i pustego pomieszczenia. Kobiety gestami zapraszały nas, byśmy usiadły.

Siadaliśmy więc na twardej jak klepisko podłodze, przyglądałyśmy się milcząco i ostrożnie tym Kurdyjkom, które spoglądały na nas także niezbyt przyjaźnie. Monotonie brudnych, pobielanych wapnem ścian zakłócały tylko dwa okienka z żelaznymi kratami oraz - jedyny tam - obraz przedstawiający mężczyznę, Kurda, z wydatnymi kośćmi policzkowymi, na głowie miał kudłatą czapę w rosyjskim stylu.

Jedna z kobiet napaliła w piecu i przygotowała herbatę. Inna podała nam kilka kromek twardego, zmarzniętego chleba. Trzecia przyniosła koce.

Owinęłyśmy się szczelnie, ale mimo to drżałyśmy na całym ciele.

Co one sobie myślą? - zastanawiałam się. O czym rozmawiają w tym niezrozumiałym kurdyjskim narzeczu? Czy wiedzą, że jesteśmy Amerykankami? Czy Kurdowie także nienawidzą Amerykanów? A może jesteśmy

sprzymierzeńcami, wspólnymi wrogami sztyckiej większości? „Człowiek, który wrócił" usiadł obok nas, milcząc. Nie miałam jak się dowiedzieć, jakie są dalsze plany.

Po chwili do pokoju weszła jeszcze jedna kobieta, paradując w najbardziej pękatej spódnicy, jaką kiedykolwiek widziałam. Wraz z nią wszedł chłopak - na oko dwunastoletni. Kobieta podeszła do nas, powiedziała coś ostrym głosem do chłopca i nakazała mu usiąść obok Mahtab. Uczynił to i spojrzał na kobietę chichocząc wstydUwie. Kobieta, która - jak sądziłam - była jego matką, stała nad nami, jak strażnik.

Czułam narastający lęk. Co tu się dzieje? Ta sceneria była tak dziwaczna, że prawie wpadłam w panikę. Renegatka w tym odległym kraju, bezbronny pionek zdany na łaskę ludzi, którzy sami byli wyjęci spod prawa we własnym, wrogo do nich nastawionym państwie, modliłam się w duchu o pomoc. Czy to wszystko działo się naprawdę? Bo jakżeby inaczej przeciętna Amerykanka mogła znaleźć się w tak nieprawdopodobnej sytuacji?

Teraz już wiedziałam, przypomniałam sobie. Mudi! Jego oblicze czało się w migotliwych cieniach na ścianie, uśmiechnięte głupawo. Ogień w jego oczach, gdy mnie bił, gdy uderzył Mahtab, teraz lśnił w piecu mazutowym. Kurdyjskie głosy wokół mnie stawały się coraz głośniejsze, mieszały się z pełnym wściekłości, obłądnym wrzaskiem Mudiego.

Mudi!

Mudi zmusił mnie do ucieczki. Musiałam zabrać Mahtab. Ale, mój Boże, myślałam, że spotka ją nieszczęście.

322

Czy ci ludzie coś knują? Czy zamierzają odebrać mi Mahtab? Kim jest ten chłopak i jego okazała matka? Czy wybrali Mahtab na narzeczoną? Minione półtora roku przekonało mnie, że w tym dziwacznym kraju wszystko może się zdarzyć.

Nie warto było! - krzyczało mi w duszy. Jeśli mają ją sprzedać lub wykorzystać do czegoś innego, to nie warto było uciekać. Wolałabym już do końca życia pozostać w Iranie. Jak mogłam wpakować Mahtab w taką kabałę?

Staralam się opanować, przekonując mój rozgorączkowany umysł, że ten strach to tylko skutek ponurych wizji, mających źródło w zmęczeniu i napięciu.

- Mamusiu, nie podoba mi się tutaj - Mahtab także odczuwała niesamowitą atmosferę.

Od czasu do czasu chłopak próbował odsunąć się od Mahtab, ale owa niewiasta - jego matka? - spoglądała nań, a on się uspokajał. Po mojej drugiej stronie „człowiek, który wrócił” odpoczywał w milczeniu.

Siedzieliśmy tak może pół godziny, gdy wtem wpadł do izby jeszcze jeden mężczyzna, a jego pojawienie się spowodowało ożywienie wśród kobiet. Natychmiast podały mu gorącą herbatę i chleb. Krzątały się wokół niego sprawdzając, czy szklankę ma stale napełnioną. Usiadł na podłodze po przeciwnej stronie pokoju, na nas nie zwracał najmniejszej uwagi. Wydobył zwitek bibułki papierosowej i zaczął preparować coś w rodzaju skręta, tyle że zamiast tytoniu włożył jakąś białą substancję. Marihuana, haszysz, opium? Nie miałam pojęcia, jak wyglądają, ale cokolwiek to było, nie wyglądało na tytoń. Nagle poznałam go! To jego portret wisiał na ścianie. Najwyraźniej był panem tego domu. Czy te kobiety były jego żonami? - zastanawiałam się. Czyżbym uciekła od zmaskulinizowanego społeczeństwa po to, by wpaść w inne, gdzie mężczyzna był jeszcze ważniejszy?

- Kiedy stąd odejdziemy? Nie podoba mi się tutaj - szeptała Mahtab.

Spojrzałam na zegarek. Zbliżał się wieczór.

- Nie mam pojęcia, czego się spodziewać. Bądź gotowa - odpowiedziałam.

Izbę z wolna ogarniał mrok. Ktoś przyniósł świecę, a w otaczającej nas ciemności drżący płomyk czynił całą scenerię jeszcze bardziej surrealistyczną. Monotonne buzowanie piecyka otępiało nas.

Tkwiłyśmy tu cztery godziny, nieufnie obserwując dziwnych ludzi, którzy i nam przyglądali się podejrzliwie.

Z oczekiwania pełnego napięcia wyrwało nas szczekanie psa, zapowiadające nadejście kogoś. Wszyscy w izbie skoczyli na równe nogi, czujni, wyczekujący.



Po paru minutach do wnętrza wśliznął się starszy mężczyzna. Miał może około sześćdziesiątki - lub tak mi się zdawało. To surowa kraina, skóra marszczy się wcześniej. Miał na sobie ubranie w kolorze khaki, prawdopodobnie zdobyte w wojsku, kudłatą czapkę i wojskowego kroju kurtkę o barwie oliwkowobrazowej. Pan domu powiedział coś do nas, jakby go przedstawiał.

Starszy mężczyzna mruknął salam lub coś w tym rodzaju. Potem ruszył szybkim krokiem przez izbę, przez chwilę grzał dłonie nad piecykiem gawędząc z innymi. Był ożywiony, pełen energii, gotów na wszystko.

Jedna z kobiet przyniosła nam nowe odzienie, gestem polecając zdjąć liczne warstwy kurdyjskiego stroju. Potem pomogła mi wdziać cztery inne suknie, niewiele różniące się od poprzednich. Fałdy tego nowego odzienia były jeszcze bardziej nastroszone, pewnie zgodnie z obyczajem innego regionu. Gdy kobieta skończyła mnie ubierać, byłam tak okutana, że z trudem się ruszałam.

Podczas zmiany garderoby ów starszy mężczyzna wiercił się bez przerwy po izbie, gotów do wyjścia. Gdy tylko skończyłam się przebierać, gestem polecił iść za nim do mniejszej izby, gdzie było nasze obuwie. Powiedział coś, a jedna z kobiet zdmuchnęła świecę, pograżając izbę w ciemnościach, słabiutko rozpraszanych odbłaskiem piecyka. Następnie otworzył drzwi tylko na tyle, byśmy mogły wziąć buty. Zamknął drzwi szybko i cicho.

Mahtab miała kłopoty z nałożeniem bucików, a ja znów z trudem mogłam pochylić się, by jej pomóc. Szybko! Szybko! Starszy mężczyzna ponaglał nas gestem.

Wreszcie byłyśmy gotowe. Mahtab odważnie chwyciła mnie za rękę. Nie miałyśmy pojęcia, dokąd idziemy, ale z radością opuszczaliśmy to miejsce. Pewnie ten człowiek zaprowadzi nas do sanitarki Czerwonego Krzyża. W milczeniu podążałyśmy za panem domu i naszym nowym przewodnikiem, wstępując w mroźną noc. „Człowiek, który wrócił” także wyszedł. Drzwi za nami natychmiast zostały zamknięte. Szybko lecz bez hałasu prowadzono nas na tyły domu.

Pies szczekał wściekle, głos jego niósł się echem po okolicy wraz z atakami porywistego wiatru. Podbiegł do nas, trącił nosem. Skuliłyśmy się przerażone.

Doszło mnie rżenie konia.

Gwiazdy lśniły mocnym światłem, lecz z jakiejś przyczyny nie oświetlały podłoża. Natomiast lśnienie to zabarwiało niebiosą niesamowitą, szarobiałą poświatą. Ledwie mogliśmy dojrzeć naszego przewodnika.

Gdy dotarliśmy do oczekującego rumaka, człowiek, który gościł nas przez ostatnie cztery godziny, podszedł tak blisko do mnie, że

324

mogłam dostrzec rysy jego twarzy w mętnej poświacie. Gestem wyraził pożegnanie, ja zaś z kolei starałam się podziękować mu w ten sam sposób.

Starszy mężczyzna, nasz przewodnik, kiwnął na nas, byśmy wsiadły na konia. „Człowiek, który wrócił” podstawił dłonie, na nich oparłam stopę, a stary w tym samym czasie wsadził mnie na koński grzbiet. Koń nie miał siodła tylko koc, który starałam się jakoś pod sobą ułożyć. „Człowiek, który wrócił” podniósł Mahtab, sadzając ją przede mną. Wicher przenikał nawet przez liczne warstwy odzieży.

- Trzymaj głowę nisko, jest bardzo zimno - poradziłam Mahtab. Otuliłam ją ramionami i dłońmi chwyciłam się końskiej grzywy. Zwierzę było niewielkie, przypominało koniki amerykańskie. Jakaś krzyżówka, prawie osiołek.

Stary szybko ruszył przodem przez bramę podwórza i zniknął w ciemności. „Człowiek, który wrócił” chwycił naszego konia za uzdę i poprowadził za nim.

Lata całe nie dosiadałam konia, a już na pewno nie bez siodła. Koc pode mną ślizgał się po grzbiecie zwierzęcia, grożąc w każdej chwili zsunięciem się na zmarzniętą ziemię. Z całej siły, na jaką było stać moje wyczerpane ciało, trzymałam się kurczowo grzywy konika. Mahtab bezustannie dygotała w moich ramionach.

W otwartym polu posuwaliśmy się niezbyt szybko. Stary często wracał z ostrzeżeniem. Niekiedy trzeba było omijać spłachetki lodu, trzaskały bowiem pod końskimi kopytami. To było ryzykowne. W tej górzystej krainie każdy dźwięk odbijał się takim echem, jak strzał z karabinu, mógł więc zaalarmować czujnych pasdarów, patrolujących okolicę bezustannie. Hałas był naszym wrogiem.

Teren wznosił się stopniowo do podnóży wzgórz, za którymi znajdowały się jeszcze wyższe partie gór. Wkrótce w ogóle już nie było płaskiego terenu. Koń, szukając kopytami oparcia, kiwał nami w przód i w tył oraz na boki. Był dziarski, cierpliwie wykonywał swą pracę. Widać było, że już nie raz szedł tą drogą.

Kiedy dotarliśmy na szczyt jednego ze wzgórz, koń niespodziewanie zachwiał się na stromiźnie, a my - nie przygotowane - zsunęliśmy się z jego grzbietu. Nawet padając kurczowo przyciskałam do piersi dziecko, chroniąc je przed potłuczeniem. Spadłyśmy ciężko w zlodowaciały śnieg. „Człowiek, który wrócił” błyskawicznie pomógł nam stanąć na nogi, otrzepał ze śniegu. Mahtab - mimo iż buzię miała wysmaganą wiatrem, ciało poobijane, mimo że była głodna i umęczona - nadal przejawiała determinację i spokój, na tyle silna, by nie płakać.

Ponownie wdrapałyśmy się na konika, starałam się skuteczniej trzymać grzywy, tym bardziej że nadal to pieliśmy się pod górę, to znów zjeżdżaliśmy w dół - ku niewidocznemu i nieznanemu przeznaczeniu.

325

Nie dotarliśmy nawet jeszcze do najwyższych gór - stwierdziłam. W jaki sposób uda się nam zrealizować ten szalony pomysł? Nie mogę się nawet utrzymać na koniu. Oni wreszcie machną na mnie ręką.

Noc stała się jeszcze zimniejsza i bardziej ponura - o ile to było możliwe. Gwiazdy znikły. Wściekły lodowaty wicher smagał nam twarze.

Brnęliśmy dalej to w górę, to znów w dół, aż wreszcie wzgórz ustąpiły miejsca górskim szczytom, z których każdy kolejny był bardziej niedostępny niż poprzedni. Droga pod górę wydawała się łatwiejsza, byliśmy bowiem osłonięci przed wichurą. Pod górę koń biegł szybko, z rzadka potykając się na bryłach lodu, zahaczając też o gałęzie wystające z kępek krzewów.

Zejscie w dół po stoku było natomiast nieporównanie bardziej niebezpieczne. Ilekroć wspieliśmy się na szczyt, natychmiast chwytał nas w szpony siekący twarze wicher, rzucając w nas śniegiem, który ranił jak śrut. Ponadto śnieg był tam głęboki. Brnęliśmy w zaspach tak wielkich, że pieszy wpadł w nie po czubek głowy.

Bolały mnie ręce. Nie czułam palców u nóg. Chciałam krzyknąć, spaść z konia i leżeć tak pogrążona w niepamięci. Obawiałam się odmrożeń. Z pewnością po tej potwornej nocy stracimy palce u nóg. Biedna Mahtab dygotała bez przerwy.

Bezustannie walczyłam ze sobą, by skoncentrować się na naszym zadaniu. Nie miałam sposobu, by dowiedzieć się, jak długo przyjdzie nam jechać w tych warunkach.

Nie umiałam obliczyć upływu czasu. Nawet gdybym mogła w tej ciemności odczytać wskazania zegarka, to przecież ani na chwilę nie wolno mi było puścić końskiej grzywy. Czas i przestrzeń stały się pustymi słowami. Byliśmy zagubieni na wieki w ciemnej, mroźnej pustyni.

Wtem doszły mnie głosy z góry. Serce stanęło mi z rozpaczy. To pasdarowie - byłam tego pewna. Czy po tym wszystkim, co przeżyliśmy, mieliby nas właśnie teraz schwytać?

Lecz „człowiek, który wrócił” prowadził nas naprzód, niczym nie zaniepokojony, a po kilku minutach natknęliśmy się na stado owiec. Niezwykłe było spotkać zwierzęta w takim miejscu! Jak one mogą żyć w tym okrutnym klimacie? Ich mięso zapewne jest twarde - myślałam. Zazdrościłam im grubego, wełnianego futra.

Kiedy podjechaliśmy bliżej, zobaczyłam, że starszy z naszych towarzyszy - przednia straż - rozmawia z pastuchem, człowiekiem odzianym od stóp do głów na czarno. Widać było jedynie zarys twarzy i kij pasterski.

Pastuch cicho powitał „człowieka, który wrócił”. Przejął od niego uzdę i po prostu dalej nas prowadził, pozostawiwszy owce, a laska

326

służyła mu do zachowania równowagi. Obejrzałam się, instynktownie szukając mego opiekuna, zniknął jednakże bez pożegnania.

Stary nadal podążał przodem jako zwiadowca, jechałyśmy więc prowadzone przez pastucha.

Brnęliśmy znów pod górę i w dół przez kolejny szczyt. A potem następny. Udawało się nam utrzymać na koniu, ale miałam wrażenie, że dłonie nie

stanowią już części mego ciała, być może przymarzły. Nie miałam w nich czucia. Nie wytrzymamy tego - krzyczałam w duchu. Po tym wszystkim nie damy rady. Mahtab w moich ramionach nie przestawała dygotać, była to jedyna oznaka, że jeszcze żyje.

W pewnej chwili spojrzałam w górę. Przed nami, na szczycie wyższej i bardzo stromej góry ujrzałam obraz upiornie odcinający się na tle mętno-białego nieba. Kilka koni i ludzie na ich grzbietach. Pasdarowie - szepnęłam.

Ze wszystkich nieszczęść, jakie mogły na nas spaść, najgorsze byłoby dostanie się w łapy pasdarów. Tyle okropnych historii słyszałam o nich. Gwałcili schwytane kobiety - nawet młode dziewczęta - zanim je zabili. Dreszcz mną wstrząsnął, bo przypomniało mi się, co w takich razach mówiono: kobieta nie może umrzeć dziewicą.

Zadrzałam jeszcze bardziej - o ile to w ogóle było możliwe.

Jechaliśmy dalej.

Po pewnym czasie znów usłyszałam w górze jakieś głosy, tym razem wyraźniej, jakby kłótnię. Teraz już wiedziałam na pewno, że zostaliśmy schwytani przez pasdarów! Trzymałam Mahtab kurczowo, gotowa stanąć w jej obronie. Łzy bólu i rozpacz zamarzały mi na policzkach.

Czujny pastuch zatrzymał konia.

Nastuchiwaliśmy.

Wiatr niósł do nas głosy. Na górze znajdowało się kilku mężczyzn, najwyraźniej nie troszczyli się o ukrycie swojej tam obecności. Ale głosy ich nie brzmiały już kłótniwie.

Czekaliśmy na powrót starego, nie przychodził jednak. Ułynęło jeszcze kilka pełnych napięcia minut.

Wreszcie pastuch stwierdził zapewne, że możemy bezpiecznie iść dalej. Szarpnął uzdę i powiodł nas szybko w stronę, skąd dochodziły głosy.

Kiedy podjeżdżaliśmy, koń nastawił uszu na odgłos parskania innych koni. Wjechaliśmy w środek grupy złożonej z czterech mężczyzn rozmawiających tak obojętnie, jakby to była zwykła wycieczka. Mieli z sobą jeszcze trzy konie.

- Salam - powiedział do mnie cicho jeden z mężczyzn. Nawet wśród ryku burzy głos ten wydał mi się znajomy, lecz dopiero po dłuższej chwili rozpoznałam rysy twarzy. To był Mosehn!

- Nigdy z nikim dotąd nie chodziłem przez granicę - powiedział

327

przywódca tej wyjętej spod prawa bandy. - Ale tej nocy zrobię to dla was i przeprowadzę na drugą stronę. Zejdźcie teraz z konia.

Najpierw podałam mu Mahtab, potem sama z ulgą zsunęłam się na ziemię, stwierdzając, że nogi mam równie skostniałe, jak ręce. Z trudem udało mi się stanąć na nich.

Mosehn wyjaśnił zmiany, jakie zaszły w planach. Tego popołudnia, kiedy nasz pikap został ostrzelany i zatrzymany przez żołnierza, uniknęliśmy aresztowania tylko dzięki sprytowi kierowcy, który wymyślił jakąś historyjkę, tłumaczącą naszą obecność w przygranicznej okolicy, ogarniętej działaniami wojennymi. Incydent ten nakazywał ostrożność. Obecnie Mosehn uważał, że zbyt niebezpieczne byłoby przejechanie granicy sanitarką, mogłoby nas to ponownie narazić na indagacje. Tak więc w dalszą drogę udamy się na koniach, przekroczymy granicę z dala od wszelkich dróg, przez bezludne, niedostępne góry.

- Mahtab powinna jechać z jednym z mężczyzn na innym koniu - powiedział Mosehn po persku.

- Nie, nie chcę! - zaprotestowała nagle Mahtab.

Po pięciu dniach uciezki, po bezustannym głodowaniu, cierpieniu, zamęcie, w końcu wybuchnęła płaczem. Łzy płynęły jej po policzkach, zamarzając natychmiast na szalu. Po raz pierwszy płakała, po raz pierwszy objawiła swą rozpacz, odkąd zdecydowała się wrócić do Ameryki bez królika. Aż do tej chwili moja dzielna, mała dziewczynka wytrzymała wszystko bez słowa skargi, póki nie groziło jej rozdzielenie ze mną.

- Chcę jechać z tobą, mamusiu - płakała.

- Cicho, kochanie - uspokajałam. - Już tyle przejechałyśmy. Jesteśmy przy granicy. Jeżeli pojedziemy jeszcze trochę dalej, przejdziemy granicę i będziemy mogły polecieć do Ameryki. W przeciwnym razie trzeba będzie wrócić do tatusia. Proszę cię, postaraj się zrobić to dla mnie.

- Nie chcę jechać sama na koniu - znowu zachlipała.

- Będzie z tobą jeden z tych panów.

- Nie chcę jechać na koniu bez ciebie.

- Ale tak trzeba. Oni wiedzą, co jest najlepsze. Proszę cię, żebyś pojechała. Zaufaj im.

Gdzieś w głębi jestestwa Mahtab odnalazła źródło siły i wytrwałości. Otarła łzy znowu dzielna. Zrobi, co każe Mosehn, ale jest pewien kłopot:

- Muszę do toalety - powiedziała. Tu w niedostępnych górach, w ciemnościach nocy, w obecności obcych mężczyzn, w samym środku śnieżnej burzy - załatwiła naturalną potrzebę.

- Mahtab, strasznie mi przykro, że to tak wyszło. Nie przypuszczałam, że będzie tak trudno. Nie wiem, jak ty to przetrzymasz. Nie wiem, czy to da się przetrzymać - powiedziałam.

328

-!

Choć była wyczerpana i wygłodzona, trzęsa się z zimna na lodowatym wietrze, znalazła w sobie odporność.

- Wytrzymam - zapewniła z mocą. - Jestem twarda. Zrobię wszystko, co trzeba, żeby wrócić do Ameryki.

Po chwili dodała:

- Nienawidzę tatusia za to, że przez niego musimy robić to wszystko. Pozwoliła wsadzić się na kolana mężczyzny dosiadającego świeżego

konia. Mosehn pomógł mi wsiąść na drugiego, uzdę przejął nowy przewodnik. Pozostali szli piechotą prowadząc mnie i Mahtab oraz dwa zapasowe konie. I

tak znów ruszyliśmy w drogę. Spojrzałam za siebie, by zobaczyć, jak Mahtab się miewa. Słyszałam stąpanie jej konia, ale nie mogłam go dojrzeć. Nie widziałam też mojej córki.

Bądź dzielna, moja droga - mówiłam w duchu do niej, i do siebie także.

Zdawało się, że nie kończąca się, straszna noc dobiega kresu. Góry były teraz lepiej widoczne niż poprzednio. W górze - góry, w dole - też góry. Kiedy wreszcie przekroczymy granicę? A może już przekroczyliśmy?

Zwróciłam się do mężczyzny prowadzącego mego konia:

- Turcja? Turcja? - szepnęłam wskazując na ziemię.

- Iran, Iran - odparł.

Weszliśmy na teren zbyt stromy dla koni z ciężarem na grzbiecie. Mosehn powiedział, że musimy zsiąść i dalej iść piechotą, wciąż pod górę i po lodzie. Zsunęłam się z konia na ziemię. Moje nogi były zbyt słabe, nie mogłam się na nich utrzymać. Stopy plątały się w długich spódnicach, buty ślizgały się po oblodzonej ziemi. Jeden z mężczyzn chwycił mnie w porę, zanim upadłam. Postawił mnie, a następnie - trzymając pod ramię - pomagał wspinać się po stoku. Za mną inny mężczyzna niósł Mahtab „na barana”. Starłam się, jak mogłam, lecz opóźniałam całą grupę ślizgając się, potykając, zaplątując w spódnice.

Gdy wreszcie dotarliśmy do szczytu, mój wyczerpany mózg doszedł do wniosku, że skoro pokonujemy najbardziej stromą górę, to pewnie tu jest granica.

- Turcja? Turcja? - pytałam tego, który trzymał mnie pod ramię.

- Iran, Iran - odpowiedział.

Podczas zejścia ponownie dosiedliśmy koni. W chwilę potem zapadliśmy w zaspy śnieżne. Przednie nogi konia ugięły się. Moje stopy pogrzyżyły się w śniegu.

Mężczyzna poty szturchał i poganiał konia, aż oporne zwierzę stanęło wreszcie na nogi, gotowe do dalszego marszu.



Blisko podnóża góry natknęliśmy się na parów w płaskowyżu dzielącym ją od następnego szczytu. Mój przewodnik odwrócił się, przysunął twarz blisko mojej tak, bym go wyraźnie widziała i położył palec na ustach. Wstrzymałam oddech.

329

Mężczyźni czekali w milczeniu kilka minut. W górach osłonięci byliśmy nierównościami terenu. Ale teraz przed nami rozpościerał się pokryty śniegiem płaskowyż, oświetlony blaskiem nieba. Tam nasze cienie będą dobrze widoczne na tle gładkiego, białego podłoża.

Mój przewodnik znów nakazał mi ciszę.

Wreszcie jeden z mężczyzn żywo ruszył naprzód. Widziałam szarawy kontur jego ciała, kiedy przechodził po płaskim terenie. Później jego postać zniknęła.

W kilka minut potem wrócił i coś szeptem powiedział do Mosehna, ten zaś z kolei zaszepotał do mego przewodnika. Następnie ledwo słyszalnie powiedział do mnie:

- Musimy przeprowadzić was pojedynczo - mówił po persku. - Ścieżka wokół parowu jest zbyt wąska, zbyt niebezpieczna. Ty pojedziesz pierwsza, a potem przeprowadzimy dziecko.

Nie dał mi nawet czasu na protesty. Poszedł przodem. Jego tropem podążył mój przewodnik chwyciwszy końską uzdę. Zostałam rozdzielona z Mahtab.

Modliłam się, by nie zauważyła mojej nieobecności.

Wyszliśmy na płaskowyż, pokonując otwartą przestrzeń tak szybko i cicho, jak się tylko dało. Wkrótce odnaleźliśmy ścieżkę tuż na krawędzi urwiska, tak wąską, że z trudem mieścił się tam jeden koń. Podążaliśmy oblodzoną ścieżką, wiodącą po obrzeżu stoku wzdłuż rozpadliny, a potem dalej - wzdłuż stoku po przeciwnej stronie płaskowyżu. Widać, że ci mężczyźni znali swoją robotę. W dziesięć minut byliśmy po drugiej stronie.

Mój towarzysz pozostał ze mną. Mosehn natomiast wrócił po Mahtab.

Siedziałam w milczeniu na koniu, dygocząc, wypatrując Mahtab. Próbowałam wzrokiem przebić się przez ciemność. Prędzej, proszę, prędzej - błagałam w duchu. Obawiałam się, że Mahtab dostanie hysterii.

Ale oto była, skulona w objęciach jednego z mężczyzn, drżąca niepokojem, ale czujna i cichutka.

Wtedy właśnie przewodnik dostrzegł moje pytające spojrzenie. Wskazując na ziemię, szepnął: Turcja, Turcja.

Alhamdulillah - chwala Bogu - powiedziałam z westchnieniem ulgi.

Mimo niewiarygodnego mrozu poczułam przyptyw cudownego ciepła. Byłyśmy w Turcji! Wydostałyśmy się z Iranu!

Ale jeszcze daleko było do prawdziwej wolności. Jeśli złapie nas turecki patrol graniczny, może otworzyć ogień do grupy intruzów. Jeśli uda się nam tego uniknąć, Turcy mogą nas aresztować, a wówczas trzeba będzie odpowiadać na mnóstwo niewygodnych pytań. Jednak wiedziałam przynajmniej tyle - o czym zapewniał mnie Amahl - że władze tureckie nie odeślą mnie z powrotem do Iranu.

Wtem zawładnęła mną straszna myśl. Ciarki mnie przeszły, bo

330

uświadomiłam sobie, że przez dwadzieścia minut, kiedy ja czekałam po jednej stronie parowu, Mahtab znajdowała się wciąż na terenie Iranu. Bogu dzięki, że nie wiedziałam o niebezpieczeństwie, póki nie minęło.

Znowu dawał się we znaki lodowaty wiatr. Wciąż przecież byliśmy w górach, w środku śnieżnej burzy. Symboliczna linia na mapie ani na jotę nie zmieniała warunków atmosferycznych, nie dawała ciepła, którego tak bardzo potrzebowałyśmy. Jaką cenę przyjdzie nam zapłacić za wolność? Byłam pewna, że parę palców u nóg mogę już odpisać na straty. Miałam nadzieję, że Mahtab wiodło się lepiej niż mnie.

Znów wspinaliśmy się pod górę zbyt stromą, żeby wjechać na nią konno. Tym razem zsunęłam się z konia i sromotnie wpadłam w śnieg, zanim mój towarzysz zdołał mi pomóc. Obaj z Mosehmem postawili mnie na nogi, a potem podtrzymywali w dalszym marszu. Jak długo człowiek może funkcjonować tylko dzięki adrenalinie? - sama sobie zadawałam pytanie. Na pewno wkrótce padnę.

Wydawało mi się, że mój duch na pewien czas opuścił ciało. Część mojej jaźni obserwowała obiektywnie, ale i ze zgrozą, desperackie wysiłki człowieka podczas drapania się na szczyt góry. Potem widziałam, że w trakcie jazdy w dół staram się wypocząć. Następnie znów obserwowałam samą siebie zmagającą się - na piechotę - ze wspinaczką na kolejny szczyt.

- Ile jeszcze tych gór? - spytałam Mosehna.

- Nazdik - blisko - odparł.

Pragnęłam znaleźć pocieszenie w tej lakonicznej informacji, ale tak rozpaczliwie potrzebowałam ciepła i odpoczynku. Może dałoby się znaleźć jakieś miejsce, w którym schronilibyśmy się i trochę nabrali sił?

Znów spojrzałam w górę na groźną sylwetę szczytu przed nami. Góra była wyższa i bardziej niedostępna niż te, które już mieliśmy za sobą, albo tak mi się zdawało za sprawą paraliżującego zmęczenia?

- Ten szczyt przed nami jest ostatni - szepnął Mosehn.

Tym razem, gdy zsunęłam się z konia, moje nogi zawiodły kompletnie. Szamotałam się bezsilnie w śniegu, ale nie mogłam ustać nawet z pomocą obu mężczyzn. Nie umiałabym powiedzieć, czy moje nogi wciąż jeszcze należą do mnie. Mimo nieprawdopodobnego mrozu czułam się tak, jakby ogarnęły mnie płomienie.

- Da daąiąę digar - tylko dziesięć minut - powiedział mój przewodnik, pokazując ręką w górę.

- Pozwólcie mi odpocząć - błagałam.

Mój przewodnik nie pozwolił. Postawił mnie na nogi i ciągnął dalej. Stopy ślizgały mi się na lodzie, w pewnej chwili zachwiałam się tak, że przewodnik puścił moje ramię. Upadłam do tyłu, zjeżdżając kilka metrów po stoku, aż zatrzymałam się na nie dającej oparcia zaspie. Przewodnik podbiegł do mnie.

- Nie dam rady - jęknęłam.

331

Przewodnik cichym głosem zawołał o pomoc, przybył Mosehn.

- Mahtab - szepnęłam - gdzie ona jest?

- Czuje się dobrze. Nasz człowiek niesie ją na rękach.

Mosehn razem z przewodnikiem zaczęli mnie wyciągać. Zarzucili sobie moje ręce na ramiona i w ten sposób podnieśli mnie na ziemię. W milczeniu ciągnęli mnie po stromiznie. Moje nogi zwisały bezsilnie wlokąc się po śniegu.

Mimo ciężaru mężczyźni lekko wspinali się pod górę, nie mieli nawet zadyszki.

Kilkakrotnie zwalniali uchwyt, próbując postawić mnie na własnych nogach. Za każdym razem nogi natychmiast uginały mi się w kolanach, znów musieli chronić mnie przed upadkiem.

- Błagam. Muszę odpocząć - jęczałam.

Rozpacz w moim głosie zaniepokoiła Mosehna. Pomógł mi położyć się na śniegu, potem przyłożył lodowatą dłoń do mojego czoła, sprawdził temperaturę. Jego twarz - o ile zdołałam dojrzeć - wyrażała współczucie i niepokój.

- Nie dam rady - dyszałam. Byłam pewna, że umrę tej nocy. Ja już nie wrócę do domu, ale wy dostałam Mahtab z Iranu. Ona wróci.

I to wystarczy.

- Zostawcie mnie - powiedziałam Mosehnowi. - Jedźcie z Mahtab. Wróćcie po mnie jutro.

- Nie! - Mosehn warknął na mnie ostro.

Ton jego głosu poruszył mnie bardziej niż uderzenie w twarz. Jak możesz coś takiego mówić - skarciłam sama siebie. Tak długo czekałam na ten dzień. Muszę iść dalej.

- W porządku - westchnęłam.

Ale nie było we mnie siły. Nie mogłam się ruszać. Obaj mężczyźni użyczyli mi swoich sił. Znów postawili mnie na nogi i dalej ciągnęli pod górę. Miejscami zasy sięgały mi powyżej kolan. Mimo iż nogi mieli mocne, często potykali się pod swym bezradnym ciężarem. Wszyscy troje kilka razy padaliśmy w śnieg. Ale

moi towarzysze nie ustawali. Po każdym upadku podnosili się na nogi bez słowa, chwyтали mnie za ramiona i dalej ciągnęli.

Popadłam w odrętwienie. Chyba straciłam przytomność.

W kilka lat potem -jak mi się zdawało w tym mglistym i eterycznym świecie - usłyszałam szept Mahtab: Mamusiu!

Była tuż obok. Doszliśmy do szczytu.

- Przez resztę drogi możecie jechać na koniach - powiedział Mosehn. Jedną rękę położył na moim biodrze, drugą podstawił pod moją

stopę. Mój przewodnik zrobił to samo z drugiej strony. W ten sposób obaj podnieśli moje zmarznięte zeszywniałe ciało na wysokość końskiego zadu i posadzili na grzbiecie zwierzęcia. Ruszyliśmy w dół po stoku.

332

Udało mi się jakoś utrzymać na koniu aż do podnóża góry. Wciąż otaczała nas ciemność, ale wiedziałam, że wkrótce będzie świtać. Z ledwością widziałam twarz Mosehna, który stanął przede mną, palcem pokazując odległe, słabo migoczące światółka.

- Tam jedziemy - powiedział. Wreszcie znajdziemy schronienie. Wytężyłam wszystkie siły, by utrzymać się w siodle przez końcowy etap niewiarygodnie długiej nocy.

Jechaliśmy jeszcze dziesięć minut, nim doszło mnie szczekanie psa anonsującego nasze przybycie. Wnet dotarliśmy do domu ukrytego w górach. Na frontowe podwórko wyszło kilku mężczyzn, najwyraźniej czekali na nas. Kiedy podjechaliśmy bliżej, stwierdziłam, że dom jest w gruncie rzeczy zrujnowaną chatą, samotnym rajem przemytników na wschodniej granicy Turcji.

Mężczyźni w chacie szerokimi uśmiechami i podnieconymi głosami powitali naszą grupę. Otoczyli zaraz Mosehna i jego kompanów, gratulując powodzenia ekspedycji. Mężczyzna wiozący Mahtab postawił ją ostrożnie na ziemi i przyłączył się do uroczystych powitań. Nie zauważana, niezdolna zeskoczyć z konia, puściłam jego grzywę i zwyczajnie zsunęłam się po jego boku, padając na

niską cementową werandę. Leżałam bez ruchu. Mahtab podbiegła do mnie, chcąc mi pomóc, lecz wydawało się, że mężczyźni - nawet Mosehn - w ogóle o nas nie pamiętają. Kilku zajęło się końmi, inni skryli się w ciepłe domu.

Zbierając resztki sił zaczęłam czołgać się na rękach, wlokąc za sobą bezsilne nogi. Mahtab pomagała ciągnąc mnie. Łokcie obcierałam o twarde, zimny cement. Wzrok utkwiałam w drzwiach chaty.

Jakoś udało mi się dotrzeć do progu. Dopiero wtedy Mosehn zwrócił uwagę na mój stan. On i jeszcze ktoś wciągnęli mnie do niewielkiego domu. Krzyczałam z bólu, kiedy Mosehn ściągał buty z moich zmarzniętych stóp. Mężczyźni podciągnęli mnie i Mahtab na środek pokoju i ułożyli przed buzującym piecem.

Minęło wiele, bardzo wiele minut, nim byłam w stanie poruszyć choćby jednym muskułem. Leżałam spokojnie starając się wchłonąć jak najwięcej ciepła od ognia.

Ciepło odnosiło skutek, jak wolno działające, wzmacniające lekarstwo przywracało mi życie. Mogłam już uśmiechnąć się do Mahtab. Udało się! Byłyśmy w Turcji!

Usiadłam wreszcie. Zaczęłam ruszać palcami rąk i nóg, by pobudzić krążenie. Nagrodą był silny, piekący ból.

Gdy tak powracało czucie, zaczęłam obserwować, co działo się wokół mnie, i znów ogarnął mnie niepokój. Dom pełen był mężczyzn. Tylko mężczyźni, Mathab i ja - odpoczywające przy ogniu. Tak, byłyśmy w Turcji, lecz nadal zdane na łaskę lekceważących prawo

333

przemysłowców. Czyżby prowadzili nas tutaj tylko po to, by zgotować nam jeszcze okrutniejszy los? Czy Mosehn byłby zdolny do czegoś takiego?

Być może czując rosnące we mnie obawy, jeden z nich przyniósł mi i Mahtab gorącą herbatę. Wzięłam do ust kilka kostek cukru i popijałam herbatę w ten sposób, że cedziłam ją przez cukier

- na irańską modłę. Zwykle nie słodzę herbaty, ale teraz potrzebowałam energii. Zachęcałam Mahtab, by także pokrzepiła się cukrem.

Pomogło.

Upłynęła jeszcze godzina, nim wreszcie poczułam, że mogę chodzić. Niepewnie stanęłam na nogi. Widząc to, Mosehn skinął, byśmy poszły za nim. Wyprowadził nas ponownie w mroźny szary świt, potem szliśmy wokół domu, za którym znajdowała się inna chata.

Weszliśmy do środka, do pomieszczenia pełnego kobiet i dzieci, jedne rozmawiały, inne - owinięte w koce - spały na podłodze.

Kiedy zjawiłyśmy się tam, podeszła do nas jedna z kobiet ubrana w kilka warstw kurdyjskich spódnic. Mosehn powiedział po persku:

- To moja siostra. Dołożył drewna do ognia.
- Jutro zabierzemy was do Wan - powiedział. Potem wyszedł do męskiej chaty.

W Wan przemytnicy kończyli swoje zadanie. Gdy tam jutro przybędziemy, zdane już będziemy tylko na własne siły.

Siostra Mosehna przyniosła nam grube puchowe kołdry i znalazła dla nas miejsce na zatłoczonej podłodze, tuż pod ścianą i z dala od ognia. Budynek był zimny i wilgotny. Przytuliliśmy się z Mahtab pod kołdrami.

- Jesteśmy w Turcji. Jesteśmy w Turcji - powtarzałam, jak litanie.
- Czy możesz w to uwierzyć?

Mahtab przytulona do mnie zasnęła głęboko. Była szczęśliwa w moich ramionach, ja zaś szukałam w tym ufnym śnie otuchy. W głowie wciąż mi huczało. Każda część ciała pulsowała boleśnie. Byłam głodna jak wilk. Przez następnych kilka godzin sen przychodził i odchodził. Większość czasu spędzałam na modlitwie, dziękując Bogu, że przywiódł mnie aż tutaj i prosząc o dalszą pomoc. „Proszę Cię, Boże, zostań z nami przez resztę drogi - błagałam. - Tylko przy Twojej pomocy zdołamy dobrać do końca.”

Gdy około ósmej rano przyszedł Mosehn, trwałałam w półświadomym odrętwieniu. On sam wyglądał na wypoczętego po zaledwie kilkugodzinnym śnie. Mahtab budziła się powoli, wreszcie przypomniała sobie, że jesteśmy w Turcji. Natychmiast poderwała się na równe nogi, gotowa udać się w dalszą drogę.

Ja także czułam się jak nowo narodzona. Byłyśmy w Turcji. Mahtab była ze mną. Czułam się tak, jakby każdy członek mojego ciała został dokładnie obity, ale w palcach rąk i nóg wróciło czucie. Ja także gotowa byłam do drogi. Mosehn wyprowadził nas na zewnątrz do zupełnie nowego pojazdu, z łańcuchami na kołach. Wdrapałyśmy się do kabiny, za kierownicą siedział jeden z przemytników.

Jechaliśmy wąską górską drogą, wijącą się serpentynami tuż na krawędzi stromych uskoków. Nie było tam żadnych balustrad, chroniących przed upadkiem w przepaść. Przemytnik jednakże był dobrym kierowcą, a łańcuchy na oponach zwiększały przyczepność. Jechaliśmy stale w dół, coraz głębiej w terytorium Turcji, coraz dalej od Iranu.

Wkrótce zatrzymaliśmy się przy zagrodzie wtulonej w górski stok, weszliśmy do środka, gdzie czekało na nas śniadanie złożone z chleba, herbaty i znów ostrego zjełczanego sera. Choć głodna, niewiele zjadłam. Wypiłam za to kilka szklanek mocno słodzonej herbaty.

Kobieta przyniosła dla Mahtab kubek gorącego koziego mleka. Spróbowała i oświadczyła, że woli herbatę.

Pojawiła się niebywale tęga niewiasta, bezzębna, pomarszczona i siwa wskutek surowego życia w górach. Z wyglądu miała około osiemdziesiątki. Przyniosła odzież dla mnie i Mahtab w takim samym kurdyjskim stylu, nieco tylko zmodyfikowanym według tureckich gustów.

Przez dobrą chwilę siedzieliśmy nic nie robiąc, zaczęłam się trochę niecierpliwić. Spytałam kogoś, co się stało, i dowiedziałam się, że Mosehn poszedł do „miasta” po samochód. Powiedziano mi też, że owa stara tęga kobieta, która pomogła nam się ubrać, to matka Mosehna. Żona jego też tu była. To wyjaśniało jedną z zagadek. Mosehn był Turkiem, a nie Irańczykiem. Tak naprawdę - jak stwierdziłam - nie był ani jednym, ani drugim. Był Kurdem i nie uznawał granicy, przez którą przeszliśmy w nocy.

Powrót Mosehna z samochodem wprowadził ożywienie. Wręczył mi niewielką paczkę owiniętą w gazetę, po czym polecił nam iść do samochodu. Szybko wepchnęłam paczkę do torby i zwróciłam się do matki Mosehna z



podziękowaniami, za gościnę, lecz ona - ku memu zaskoczeniu - wdrapała się za mną na tylne siedzenie, dając znak do odjazdu.

Jeden z przemytników usiadł za kółkiem, a obok - młody chłopak.

Pędziliśmy przez górskie okolice, przeistoczeni teraz z wyglądu w typową kurdyjsko-turecką rodzinę. Ogromne rozmiary matki Mosehna sprawiały, że siedzącej obok niej Mahtab w ogóle nie było widać. Być może taki był zamierzony efekt. Matka Mosehna

335

najwyraźniej nabrała animuszu podczas tej górskiej jazdy na złamanie karku, paliła z ukontentowaniem tureckie papierosy, wydzielające gryzący dym.

U stóp góry kierowca zwolnił. Przed nami wyrósł budynek wartowni. Zesztywniałam. Turecki żołnierz zajrzał do wozu. Pogadawszy z kierowcą, sprawdził jego dokumenty, ale od nas już nie żądał papierów. Matka Mosehna dmuchnęła mu w twarz papierosowym dymem. Strażnik machnął ręką, dając nam wolną drogę.

Ruszyliśmy dwupasmową asfaltową szosą, biegnącą po wysokogórskiej równinie. Mniej więcej co dwadzieścia minut musieliśmy zatrzymywać się przy kolejnych posterunkach. Za każdym razem serce podchodziło mi do gardła, ale bez kłopotów puszczano nas dalej. Matka Mosehna znakomicie nas maskowała.

W pewnej chwili kierowca zatrzymał się na poboczu autostrady, w miejscu, skąd wyboista drożyna prowadziła do odległej wioski, składającej się z paru ruder. Chłopak na przednim siedzeniu wysiadł z samochodu i odszedł tą drogą. My zaś pognaliśmy w kierunku Wan.

Uświadomiłam sobie, że w ogólnym zamieszaniu przed naszym odjazdem z farmy nie miałam okazji pożegnać się z Mosehnem i podziękować mu. Poczulałam wyrzuty sumienia.

A potem przypomniała mi się paczka, którą mi wręczył przed odjazdem. Wówczas wsadziłam ją do torebki nie otwierając. Teraz wyjęłam ją i odwinęłam gazetę, a w środku znalazłam nasze paszpory, pieniądze i biżuterię. Były tam wszystkie moje dolary, irańskie riale zostały wymienione na gruby plik tureckich lirów. Mosehn zwrócił wszystko - z wyjątkiem złotego naszyjnika. Był to

osobliwy koniec naszej krótkiej i niecodziennej znajomości. Zawdzięczałam Moseh-nowi życie swoje i Mahtab. Pieniądze i biżuteria nie miały dla mnie znaczenia. Widocznie Mosehn uznał, że złoty naszyjnik to wystarczający napiwek.

Znów zatrzymaliśmy się przy polnej drodze prowadzącej do kolejnej nędznej wioszczyzny. Matka Mosehna odpaliła następnego papierosa od poprzedniego. Wyskoczyła z wozu i także odeszła bez pożegnania.

Teraz byliśmy już tylko my i kierowca w samochodzie pędzącym do Wan.

W pewnej chwili podczas jazdy, w samym środku bezludnej okolicy, kierowca odwrócił się i gestem polecił nam zrzucić zewnętrzną warstwę odzieży. Rozebraliśmy się, zostając tylko w amerykańskich ubraniach. Teraz byliśmy amerykańskimi turystkami, jakkolwiek bez stosownych pieczętek w paszportach.

Zauważyłam, że mijane wioski stają się coraz okazalsze, że jest ich coraz więcej. Wkrótce znaleźliśmy się na przedmieściach Wan.

- Lotnisko - tłumaczyłam kierowcy. Mahtab znalazła właściwe perskie słowo, więc twarz jego rozjaśniła się zrozumieniem. Zatrzymał

336

się przed biurem, którego okna ozdabiały reklamówki podróży, po czym dał nam znak ręką, byśmy poczekały, a sam wysiadł. Po chwili wrócił i przy pomocy Mahtab poinformował mnie, że najbliższy samolot do Ankary odlatuje za dwa dni.

To było za długo. Musimy dotrzeć do Ankary jak najszybciej, zanim ktoś się nami zacznie interesować.

- Autobus? - spytałam z nadzieją w głosie.

Kiwnął głową i włączywszy silnik pognał ulicami Wan na dworzec autobusowy. Znów gestem polecił nam zostać w środku, a sam wszedł do budynku dworca, po chwili zaś wrócił i spytał: liry?

Wyciągnęłam z torebki plik tureckich pieniędzy i podałam mu. Wybrał kilka banknotów i zniknął. Wkrótce potem był w samochodzie, szeroko uśmiechnięty

wymachiwał biletami do Ankary. Rozmawiał z Mahtab, z trudem wystawiając się po persku.

- On mówi, że autobus odjeżdża o czwartej po południu - tłumaczyła. Do Ankary dotrzemy w południe następnego dnia.

Spojrzałam na zegarek. Była dopiero pierwsza. Nie chciałam wałęsać się po dworcu przez trzy godziny, więc - pozwoliwszy sobie na odrobinę swobody, skoro już się zaprzyjaźniliśmy - wypowiedziałam jedyne słowo, które dla mnie i - byłam tego pewna - także dla Mahtab było teraz najważniejsze:

- Ghaza - jedzenie - powiedziałam, wkładając dłoń w usta.

Od chwili, kiedy to opuściliśmy bezpieczne schronienie w Teheranie, jadłyśmy tylko chleb i ziarna słonecznika, popijając herbatą.

Kierowca rozejrzał się po okolicy, po czym skinął dłonią. Zaprowadził nas do pobliskiej restauracji i wprowadził do środka. Następnie, gdy już usiadłyśmy, powiedział:

- Tamum, tamum - po czym strzepnął dłonią o dłoń. - Skończone. Mogłyśmy mu tylko podziękować. Odchodząc o mało się nie rozplakał.

Zamawiając nieznaną potrawę z niezrozumiałego menu w obcym kraju nie miałyśmy z Mahtab pojęcia, co przed nami postawią. Byłyśmy więc mile zaskoczone wykwintnym daniem, na które złożył się ryż i kurczak w sosie barbecue. Miało niebiański smak.

Jadłyśmy powoli, delektując się każdym kęsem, zabijając czas, z podnieceniem rozmawiając o Ameryce. Bardzo martwiłam się o ojca. Żołądek miałam pełny, dręczył mnie natomiast głód informacji o rodzinie.

Mahtab nagle rozjaśniła się:

- Ojej, to ten pan, który z nami przyjechał - powiedziała. Obejrząwszy się ujrzałam naszego kierowcę, wracającego do naszego

stolika. Usiadł i zamówił jedzenie i herbatę dla siebie. Najwyraźniej czuł się winny, że zostawił nas same, zanim bezpiecznie wsiądziemy do autobusu.

W końcu we trójkę powędrowaliśmy na dworzec autobusowy. Tam nasz towarzysz odszukał jakiegoś Turka - może dyrektora dworca - i porozmawiał z nim o nas. Turek powitał nas ciepło. Nasz opiekun ponownie strzepnął dłonią o dłoń, mówiąc:

- Tamum, tamum - oczy znów mu zwilgotniały. Odszedł, pozostawiając nas pod opieką owego człowieka.

Turek wskazał nam miejsce w pobliżu pieca. Dziesięcioletni może chłopak podał nam herbatę. Czekałyśmy.

Gdy wskazówki zegara zbliżały się do czwartej, Turek podszedł do nas:

- Paszport? - spytał.

Serce mi załomotało. Patrzyłam nań pustym wzrokiem udając, że nie rozumiem.

- Paszport? - powtórzył.

Otworzyłam torbę i grzebałam w jej wnętrzu ociągając się, nie chciałam pokazywać mu paszportów.

Pokręcił głową i powstrzymał mnie gestem dłoni. Gdy poszedł dalej, sprawdzając dokumenty innych pasażerów, starałam się zrozumieć, o co mu chodziło. Prawdopodobnie miał obowiązek sprawdzić, czy wszyscy podróżni mają dokumenty. Domyślił się, że mamy paszporty, ale nie pragnął wiedzieć nic ponad to. Zadawałam sobie w duchu pytanie, co nasz kierowca powiedział mu o nas.

Wciąż tkwiłyśmy w pokrętnych sytuacjach, w świecie granic i dowodów identyfikacyjnych, szeptanych wyjaśnień i pełnych zrozumienia skinień głową.

Urzędnik podał jakąś informację, z której rozumiałam tylko słowo „Ankara”, więc obie z Mahtab wstałyśmy, podążając za pasażerami wsiadającymi do nowoczesnego, dalekobieżnego autobusu, podobnego do Greyhounda.

Znalazłyśmy dwa miejsca z tyłu po lewej stronie. Kilku pasażerów już siedziało, wkrótce prawie wszystkie miejsca były zajęte. Silnik już pracował, w środku było ciepło.

Dwudziestogodzinna podróż do Ankary to ostatni etap naszej podróży, potem będziemy już bezpieczne.

Po paru minutach byliśmy już za miastem pędząc krętą, górską, pokrytą lodem drogą. Kierowca często balansował na krawędzi katastrofy, autobus przechylał się niebezpiecznie na ostrych zakrętach, nie ochraniających żadnymi barierami. O Boże - myślałam - czy po to jechałyśmy taki szmat świata, by teraz wylądować w przepaści?

Wyczerpanie dawało mi się we znaki. Ciało pulsowało, utrudzone forsowaniem granicy, ale ból nie mógł odpędzić snu. Popadłam w półświa-domą drzemkę, wciąż nieufna, ale w ciepłe snująca marzenia o przyszłości.

W środku nocy obudził mnie wstrząs. Kierowca autobusu wcisnął gwałtownie hamulec, sunęliśmy przez chwilę na kołach, potem wóz

338

stanął niespodziewanie. Na zewnątrz szalała zadymka śnieżna. Przed nami stały inne autobusy. Zobaczyłam, że z przodu na zakręcie droga była zatarasowana potężną zaspą. Kilka pojazdów ugrzęzło w śniegu, blokując drogę.

W pobliżu znajdował się jakiś budynek, hotel lub może restauracja. Widząc, że przyjdzie nam długo czekać, wielu pasażerów wysiadło, podążając do wygodniejszego pomieszczenia.

Była prawie północ. Mahtab spała mocno obok mnie, a ja oglądałam tę zimową scenerię jak przez mgłę. Znów zapadłam w drzemkę.

Świadomość wracała i odpływała w miarę upływu godzin. Obudziłam się wreszcie dygocząc z zimna, ponieważ ogrzewanie autobusu nie działało, byłam jednak zbyt zmęczona, nie mogłam się ruszyć. Znów ogarnął mnie sen.

Świtało prawie, gdy kolejny raz obudził mnie hałas pług śnieżnego, który przecierał drogę. Mahtab dygotała z zimna, ale wciąż pogrążona była we śnie.

Wreszcie, po sześciu godzinach opóźnienia, ruszyliśmy zaśnieżoną drogą.

Mahtab poruszyła się u mego boku, przetarła oczy, chwilę patrzyła przez okno, nim przypomniała sobie, gdzie jesteśmy. Zadała odwieczne pytanie dziecka w podróży:

- Mamusiu, kiedy dojedziemy? Opowiedziałam jej o parogodzinnym opóźnieniu.

- Dotrzemy do Ankary bardzo późno - powiedziałam.

Autobus gnał kilka godzin z karkołomną szybkością wśród oślepiającej zadymki. Zaczęłam się niepokoić, bo kierowca wciąż mocniej wciskał gaz. Na każdym zakręcie zlodowaciałej, górskiej drogi byłam pewna, że to już koniec. Wydawało się niemożliwe, by autobus utrzymał się na kołach. Strasznie głupio byłoby zginąć w ten sposób.

Około południa autobus znów gwałtownie zahamował - ujrzałyśmy śmierć na własne oczy. Przed nami na drodze coś się stało, a gdy mijaliśmy to miejsce, okazało się, że to gigantyczny karambol. Co najmniej sześć autobusów wywróciło się podczas próby pokonania górskiego zakrętu „na agrafkę”. Ranni jęczący pasażerowie leżeli wokół na śniegu, inni wciąż udzielali im pomocy. Żołądek podszedł mi do gardła.

Nasz autobus czekał w kolejce na możliwość ominięcia miejsca katastrofy. Staralam się nie patrzeć w tę stronę.

Nie do wiary, ale gdy wydostaliśmy się z korka, nasz kierowca znów wcisnął gaz do deski. Modliłam się, byśmy szczęśliwie dojechali do Ankary.

Znów zapadła ciemność - druga noc podróży, która miała przecież trwać tylko dwadzieścia godzin. Teraz sama sobie zadawałam pytanie Mahtab: Kiedy wreszcie dojedziemy do Ankary?

339

Zapadałyśmy w niespokojny, nie przynoszący ulgi sen i znów budziłyśmy się. Ciało bolało mnie przy każdym ruchu, bolało też i w bezruchu. Każdy mięsień krzyczał z bólu. Kręciłam się na siedzeniu, każda pozycja wydawała się niewygodna.

Była druga w nocy, gdy w końcu zajechaliśmy na okazały, nowoczesny dworzec autobusowy w centrum Ankarze. Dwudziestogodzinna podróż z Wan okazała się trzydziestodwugodzinną udręką, ale skończyła się wreszcie.

Była środa, 5 lutego, tydzień po naszej desperackiej ucieczce z potrzasku, w którym zamknął nas Mudi. Pomyślałam, że oto teraz jesteśmy już naprawdę uratowane.

Gdy wysiadliśmy na ruchliwym dworcu, jakiś człowiek powitał nas uniwersalnym hasłem: taxi? Natychmiast więc poszliśmy za nim, starannie unikając spotkania z policjantami.

- „Sheraton”. Hotel „Sheraton” - powiedziałam, nie mając pojęcia, czy jest taki w Ankarze.

- Na.

- Hotel „Hyatt”.

- Na.

- Chub hotel - dobry hotel - powiedziałam.

Zdaje się, że zrozumiał to perskie słowo, bo natychmiast skręcił do handlowej części miasta. Jadąc ulicami zwolnił na chwilę wskazując na pogrążony w ciemności budynek, nieczynny w nocy. Amrika - powiedział.

Ambasada! Trzeba tu przyjść, gdy tylko otworzą rano. Taksówkarz przejechał jeszcze jeden budynek dalej, następnie zawrócił na jakiś bulwar, zatrzymując się przeciw elegancką fasadą budynku noszącego angielski napis: Hotel Ankara.

Dając znak ręką, byśmy poczekały, taksówkarz wszedł do środka, a po chwili wrócił z recepcjonistą mówiącym po angielsku.

- Owszem, mamy wolne pokoje. Czy macie paszporty? - spytał.

- Tak.

- Proszę wejść.

Dałam taksówkarzowi sowity napiwek. Obie z Mahtab weszłyśmy za recepcjonistą do ładnie urządzonego hallu. Tam wypełniłam karty rejestracyjne, wpisując adres rodziców w Michigan.

- Poproszę o paszporty - powiedział recepcjonista.
- Proszę bardzo.

Gmerałam chwilę w torbie. Postanowiłam zastosować się do rady Amahla. Podając urzędnikowi paszporty, wraz z nimi wręczyłam mu także niebagatelną kwotę stu pięćdziesięciu dolarów.

- To za pokój - powiedziałam.

Recepcjonista bardziej zainteresował się pieniędzmi niż paszportami. Obdarzył mnie przyjaznym uśmiechem, potem zaś towarzyszył nam

340

i boyowi hotelowemu do - jak nam się zdawało - najwspanialszego pokoju hotelowego na świecie. Były tam dwa podwójne łóżka pokryte pluszowymi narzutami, rozkładane fotele, łazienka była duża i nowocześnie urządzona, z osobną garderobą, w pokoju znajdował się także telewizor.

W chwilę po wyjściu recepcjonisty i boya obie z Mahtab padłyśmy sobie w objęcia, nie posiadając się ze szczęścia.

- Czy możesz w to uwierzyć? - pytałam. - Umyjemy wreszcie zęby, weźmiemy kąpiel... i spać.

Mahtab natychmiast powędrowała do łazienki, by na zawsze zmyć z ciała pył Teheranu.

Wtem rozległo się głośne pukanie do drzwi. Wiedziałam już: chodzi o paszporty.

- Kto tam? - spytałam.
- Recepcjonista - odparł stłumiony głos.

Otworzyłam drzwi i ujrzałam go z naszymi paszportami w dłoni.



- Gdzie wydano wam te paszporty? - spytał surowo. - Tu nie ma wiz ani pieczętki zezwalającej na wjazd do Turcji.
- Zgadza się - odparłam. - Rzeczywiście jest z tym kłopot, ale rano wszystko załatwię. Rano od razu pójdę do ambasady.
- Niestety, tu zostać nie możecie. Te paszporty nie są w porządku. Muszę powiadomić policję.

Tylko nie to, na miłość Boską, po tym cośmy przeszły.

- Proszę pana - błagałam. - Moja córka jest w łazience. Jesteśmy strasznie zmęczone. Jesteśmy głodne i zziębnięte. Proszę pozwolić nam zostać tu tylko dziś w nocy, a zaraz rano pójdziemy do ambasady.
- Przykro mi, ale moją powinnością jest wezwać policję - powtórzył. - Musicie opuścić pokój.

Zachowywał się uprzejmie, ale nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do swoich zamiarów. Choćby mu nie wiem jak było nas żal, nie mógł ryzykować utraty pracy. Czekał, gdy my tymczasem wrzuciłyśmy do torby nasz mizerny dobytek. A potem eskortował nas do hallu na dole.

Byłyśmy wreszcie bezpieczne, przez całe dwie minuty - pomyślałam z goryczą.

W drodze na dół znów spróbowałam go przekonać:

- Dam panu jeszcze więcej pieniędzy. Proszę pozwolić nam zostać tu na noc.
- Niestety, nie mogę. Naszym obowiązkiem jest zgłaszać policji wszystkich cudzoziemców, którzy się u nas zatrzymują. Nie mogę pozwolić wam tu zostać.
- Czy mogłybyśmy chociaż pozostać w hallu do rana? Błagam, niech mi pan nie każe wyprowadzać jej na ulicę w taki mróz.

Potem wpadłam na pomysł:

341

- Czy mógłby pan zatelefonować do ambasady? Może uda nam się porozmawiać z kimś, kto ureguluje nasze sprawy od razu?

Zgodził się, pragnąc nam okazać pomoc w granicach swoich uprawnień. Przez chwilę z kimś rozmawiał, następnie podał mi słuchawkę. Po drugiej stronie był Amerykanin - strażnik z piechoty morskiej.

- O co chodzi? - jego głos brzmiał nieufnie.
- Nie pozwalają mi zostać tutaj, ponieważ nasze paszporty nie są ostemplowane. Musimy się gdzieś zatrzymać. Czy mogłybyśmy przyjechać?
- Wykluczone! - mruknął. - Nie możecie tu przyjechać.
- To co mamy robić? - jęknęłam zrozpaczona. Jego głos zawodowego żołnierza stał się lodowaty:
- W jaki sposób dostałyście się do Turcji bez pieczętek w paszportach?
- Nie chcę o tym mówić przez telefon. Proszę to zrozumieć.
- Jak dostałyście się do Turcji? - ponowił pytanie.
- Na koniu.

Żołnierz wybuchnął śmiechem, najwyraźniej ubawiony.

- Proszę pani, jest trzecia rano. Nie mam czasu na żarty. Wasza sprawa nie dotyczy ambasady. To sprawa policji. Proszę iść na policję.
- Jak pan może mówić coś takiego! - krzyczałam. - Od tygodnia unikam policji jak ognia, a pan teraz każe mi iść na policję? Musicie mi pomóc!
- Nic podobnego, niczego nie musimy.

W skrajnej rozpacz, o krok od wolności, od której dzieliło mnie całe morze biurokracji - odłożyłam słuchawkę i powiedziałam recepcjoniście, że muszę poczekać do rana, wówczas porozmawiam z kimś z ambasady. Ponownie błagałam, by pozwolił nam zostać w hallu.

- Nie mogę wam pozwolić pozostać tutaj - powtarzał. Mówił zdecydowanie, ale ton głosu mu zmięknął. Może też ma małą córeczkę. Jego zachowanie ośmieliło mnie do jeszcze jednego manewru:
- Czy mógłby pan zamówić rozmowę z Ameryką na koszt abonenta?

- Owszem.

Gdy czekałyśmy na połączenie z Bannister w Michigan, recepcjonista wydał polecenie komuś na zapleczu i po chwili przyniesiono nam czajniczek herbaty, szklaneczki i prawdziwe serwetki. Piłyśmy herbatę powoli, upajając się chwilowym spokojem i w nadziei, że nie będziemy musiały wyjść w tę mroźną, czarną noc.

W Ankarze była środa, w Michigan - jeszcze wtorek, gdy powiedziałam do matki:

- Mahtab i ja jesteśmy w Turcji!

- Bogu niech będą dzięki! - zawołała. Płacząc z radości opowiedziała, że poprzedniego wieczora moja siostra Carolyn zatelefonowała

342

do mnie do Teheranu, a Mudi poinformował ją ze złością, że zniknęłyśmy i nie ma pojęcia, co się z nami stało. Bardzo się o nas niepokoił.

Obawiając się odpowiedzi, spytałam:

- Co z tatą?

- Trzyma się - odpowiedziała mama. - Wyszedł nawet ze szpitala. Jest tutaj. Zniosę mu telefon do łóżka.

- Betty!!! - ojciec krzyczał do słuchawki. - Jestem taki szczęśliwy, że uciekłyście. Przyjeżdżajcie do domu jak najszybciej. Będę się... trzymał, póki was nie zobaczę - mówił już słabym głosem.

- Wiem, że będziesz się trzymał, tatku. Chcieć to móc! Słuchawkę znowu wzięła mama, poprosiłam, by skontaktowała się

z urzędnikiem Departamentu Stanu, z którym kiedyś pracowała, i żeby on z kolei sprawił, iż ktoś z Waszyngtonu wyjaśni moje położenie ambasadzie w Ankarze.

- Gdy tylko przyjadę do ambasady, zaraz do was zatelefonuję - obiecałam.

Po skończonej rozmowie otarłam łzy i wróciłam do rzeczywistości.

- Co mi pan radzi zrobić? - spytałam recepcjonistę. - Nie mogę iść z nią na ulicę w środku nocy.

- Najlepiej będzie jeśli wsiądziecie do taksówki i pojedziecie od hotelu do hotelu - poradził. - Może gdzieś was przyjmą. Proszę nie pokazywać paszportów, o ile nie będzie to konieczne.

Oddał nam paszporty i moje sto pięćdziesiąt dolarów, a potem zadzwonił po taksówkę dla nas.

Wyraźnie nie zamierzał powiadamiać policji. Po prostu nie chciał pakować się w kłopoty. A gdy taksówka przyjechała, polecił kierowcy: hotel „Dedeman”.

Tam recepcjonista był bardziej wyrozumiały. Kiedy zapewniłam go, że następnego dnia załatwimy formalności paszportowe, spytał:

- Czy ma pani kłopoty z policją?

- Żadnych - odparłam.

- W porządku - powiedział. Potem polecił, bym wpisała się pod fałszywym nazwiskiem. Podałam w rejestrze nazwisko panięskie: Betty Lover.

W pokoju obie z Mahtab wzięłyśmy gorącą kąpiel. Umyłyśmy zęby i zapadłyśmy w błogi sen.

Rankiem zatelefonowałam do Amahla:

- Bettiii! - zawołał radośnie. - Gdzie jesteście?

- Esfahan! - odpowiedziałam pełna szczęścia.

Wydał okrzyk zadowolenia na tę zaszyfrowaną nazwę Ankary.

- Jak się macie? Czy wszystko dobrze poszło? Czy byli dla was dobrzy?

- Tak - zapewniłam. - Dziękuję. Dziękuję po stokroć. Och, Boże, dzięki z całego serca!

Potem objadałyśmy się na śniadanie jajkami i odsmażanymi kartofelkami polanymi keczupem. Piłyśmy sok pomarańczowy. Haustami połykałam prawdziwą kawę.

Po śniadaniu złapałyśmy taksówkę i pojechałyśmy do ambasady Stanów Zjednoczonych. Kiedy płaciłam za kurs, Mahtab popiskiwała:

- Mamusiu, popatrz. Popatrz! - palcem wskazywała na amerykańską flagę powiewającą na wietrze.

Po wejściu podałyśmy nasze nazwisko urzędnicze w kabinie ze szkła kuloodpornego. Wręczyłyśmy jej nasze paszporty.

Po chwili zjawił się mężczyzna, stanął za urzędniczką. Przedstawił się jako Tom Murphy, wicekonsul. Już został powiadomiony przez Waszyngton.

- Przepraszam za to, co zdarzyło się w nocy. Obiecuję pani, że ten strażnik nie dostanie premii w przyszłym roku. Czy nie zechciałaby pani pozostać kilka dni i zwiedzić Turcję?

- Dziękuję, nie! - zawołałam. - Pierwszym samolotem chcę wracać do domu.

- Dobrze. Załatwimy formalności paszportowe i dziś po południu wsadzimy was do samolotu - zapewnił.

Prosił, byśmy poczekały kilka minut w hallu ambasady. Usiadłyśmy na ławeczce, moje oczy napotkały jeszcze jedną amerykańską flagę, która zawieszona była na pionowym maszcie w hallu. Poczułam jakiś ucisk w gardle.

- Mahtab, czy możesz uwierzyć, że jedziemy do domu? Czy możesz uwierzyć, że w końcu jedziemy do domu?

Pomodliłyśmy się obie po prostu: Dzięki Ci, Boże. Dzięki.

Gdy tak czekałyśmy, Mahtab znalazła - lub ktoś jej dał - kredki. Zajęła się rysowaniem na papierze listowym z naszego hotelu. W głowie kręciło mi się z przejęcia, nie zwracałam więc na nią uwagi, póki nie pokazała mi swojego malunku. U góry strony było złociste słońce. W tle - cztery rzędy brązowych gór. Na pierwszym planie natomiast znajdowała się łąka - wspomnienie z domu w Alpach. Po jednej stronie narysowała samolot, czy może ptaka. Na czarno wymalowany był typowy dom kurdyjski, jak wiele tych, które widziałyśmy po

drodze. Dorysowała nawet dziury po kulach w ścianach. W środku znajdowała się czerwono-biało-niebieska flaga, powiewająca na wietrze. Czarną kredką Mahtab narysowała wysnuwające się z flagi słowo:

AMERlCA

344

i

#### POSTSCRIPTUM

Przybyliśmy z Mahtab do Michigan 7 lutego 1986 roku, stwierdziłyśmy, że wolność nie zawsze ma smak tylko słodki. Szalałyśmy z radości spotkawszy się z Joem, Johnem, mamą i tatą. Nasz powrót przywrócił ojcu siły. Przez pewien czas był pełen wigoru i radości życia, lecz w końcu pokonał go nowotwór: zmarł 3 sierpnia 1986 r., w dwa lata po tym, jak Mahtab i ja wylądowałyśmy w Teheranie. Bardzo nam go brakowało.

Mama usiłuje przystosować się do życia bez ojca, często płacze, wdzięczna jest losowi za to, że córka i wnuczka zdołały wyrwać się z piekła, ale martwi się o przyszłość.

Joe i John stanowili nieocenioną pomoc w ponownym przystosowaniu się do życia. Są dobrymi synami, już teraz to bardziej mężczyźni niż chłopcy, dodają nam sił swym młodzieńczym entuzjazmem.

Nie mam żadnych wieści o moich przyjaciółkach - Szamsi, Zari, Alice i Fereszte. Żadna nie wiedziała o moich planach ucieczki i mam nadzieję, że żadna nie miała z tego powodu przykrości. Nie mogę ich teraz narażać, kontaktując się z nimi.

Helen Balassanian nadal pracuje w Sekcji Interesów USA przy ambasadzie Szwajcarii w Teheranie, robiąc co w jej mocy, by pomagać innym ludziom, znajdującym się w sytuacji podobnej do mojej.

Wysłałam krótką informację do Hamida, właściciela sklepu z męską konfekcją w Teheranie. Jego telefon umożliwił mi kontakt z Helen, Amahlem i innymi. W

odpowiedzi otrzymałam list z datą 2 lipca 1986 dostarczony mi przez osobę trzecią. Oto, co napisał:

Moja dzielna Siostrze Betty,

Nie potrafię wyrazić tego, co czułem, gdy dostałem Ust od Ciebie. Usiadłem przy biurku i po raz pierwszy od dawna poczułem zadowolenie. Zawołałem żonę i opowiedziałem jej Twoją historię. Ona także się ucieszyła. Wszyscy byliśmy zadowoleni, że jesteś wreszcie w domu

345

i dobrze się miewasz. Jak wiesz, bardzo polubiłem Ciebie i Twoją malutką, śliczną towarzyszkę M! Nie zapomnę was do końca życia.

Jakieś dwa miesiące temu zamknięto mój sklep pod zarzutem sprzedawania koszulek z angielskimi napisami, tak więc nie pracujemy obecnie. Sytuacja pogarsza się z dnia na dzień. Myślę, że miałyście szczęście.

Pozdrów ode mnie M i złóż w moim imieniu wyrazy szacunku dla Twoich rodziców.

Niech Bóg ma Was w swojej opiece Hamid

Litościwy bankier pożyczył mi pieniądze, abym mogła natychmiast zwrócić dług Amahlowi. W końcu 1986 roku on sam planował ucieczkę, lecz projekty te zostały unicestwione wskutek kontrowersji na tle dostaw amerykańskiej broni do Iranu, co spowodowało większą czujność służb bezpieczeństwa.

Hałas wokół amerykańskich dostaw broni był niespodzianką zarówno dla mnie, jak i dla każdego, kto przebywał w Iranie w ciągu kilku ostatnich lat. Tutaj zaś wiadomo było powszechnie, że USA zaopatrują w broń obie walczące strony: Iran i Irak.

Ponowne przystosowanie się do życia w Ameryce było nie lada problemem dla Mahtab, ale uporała się z tym dzięki elastyczności młodego wieku. W szkole ma same piątki, znów jest szczęśliwym, promiennym dzieckiem. Czasem tęskni za tatusiem - nie tym obłąkanym człowiekiem, który trzymał nas jako zakładniczki w Iranie, ale za dawnym, kochającym ojcem, uwielbiającym nas obie. Tęskni

także za królikiem. Przeszukałyśmy wszystkie sklepy z zabawkami, lecz nie udało się znaleźć takiego samego.

Po naszym powrocie do Ameryki spotkałam Teresę Hobgood, urzędniczkę Departamentu Stanu, która pomagała mojej rodzinie przez całe półtora roku, kiedy trwał ten dramat. Zgodziła się ze mną, że należy opowiedzieć moje przeżycia, żeby ostrzec innych. Wydział, w którym pracuje Teresa, zajmuje się wszystkimi przypadkami kobiet i dzieci zatrzymanych wbrew woli w Iranie i innych krajach muzułmańskich. W swojej kartotece ma obecnie ponad tysiąc takich spraw.

Mahtab i ja musimy pogodzić się z myślą, że być może nigdy nie uwolnimy się od Mudiego, znajdującego się pół świata drogi od nas. Jego zemsta może nas dosięgnąć w każdej chwili - albo bezpośrednio, albo też przez któregoś z jego niezliczonych siostrzeńców. Mudi wie doskonale, że jeśli w jakiś sposób uda się mu ściągnąć Mahtab do Iranu, prawo tego kraju stanie całkowicie po jego stronie.

Być może nie wie on o tym, że moje pragnienie zemsty jest równie bezwzględne, jak jego. Obecnie zarówno w Stanach, jak i w Iranie mam potężnych przyjaciół, którzy nigdy nie pozwolą mu zatriumfować nade

346

mną. Nie mogę podawać w tym miejscu szczegółowo, jakie środki przedsięwzięłam. Powiem jedynie, że obie żyjemy pod przybranymi imionami i nazwiskami w nie ujawnianym miejscu - gdzieś w Ameryce. O Mudim nie mam żadnych wiadomości, z wyjątkiem tego, co przekazała mi Ellen w liście z 14 lipca 1986 r., który wysłała do mojej matki, ta zaś oddała go mnie:

Droga Betty Mam nadzieję, że list ten znajdzie Cię w dobrym zdrowiu i szczęśliwą. W gruncie rzeczy liczyłam na to, że Ty pierwsza do mnie napiszesz i powiadomisz, co się dzieje. Wydawało mi się przecież, że jesteśmy przyjaciółkami.

Kilka razy po Twoim zniknięciu odwiedziliśmy Twego męża. Pomagałam mu nawet w poszukiwaniach. Tak bardzo się martwiłam. Spodziewałam się najgorszego. Dotąd nie wiem, co się z wami stało.



Obecnie już od kilku miesięcy nie widziałam się z doktorem Mahmudi. Wpadliśmy do niego kiedyś, ale nie było go w domu. Przez całą zimę, nawet po irańskim Nowym Roku, wpadaliśmy do Was, by być z nim w kontakcie. Za każdym razem bałwan śniegowy, jakiego ulepiłyście z Mahtab, był coraz mniejszy i mniejszy, aż któregoś dnia została już tylko cyklamenowa szarfa na ziemi. Rozpłynął się w powietrzu, podobnie jak to stało się z Wami...

## SŁOWNIK

### TERMINÓW

### PERSKICH

Aba - szata podobna do peleryny, noszona przez muzułmańskich duchownych, przypomina czador i jest umocowana za pomocą elastycznego pasa

Aga - pan

Aj Ghuda - O Boże!

Alhamdulillah - Bogu dzięki

Allah akbar - Bóg jest wielki

Alman - Niemcy

Amme - ciotka

Amme Bozorg - czcigodna ciotka

Arnu - stryjek

Aszghali - śmieciarz

Azan - wezwanie na modlitwę

Azizam - kochanie

Baba - ojciec

Baba Hadździ - ojciec, który był w Mekce

Bad - zły, zła

Bandari - wesola ludowa muzyka z południa Iranu, zakazana przez ajatollaha Chomejniego

Barbari - owalny chleb

Bebachsizid - przepraszam

Bedehman - daj mi to

Beszin - siadaj

Bia - chodź

Bibi Hadździ - kobieta, która była w Mekce

Bozorg - wielki, czcigodny

Chanum - pani

Choresz - gęsty sos z jarzyn i kawałków mięsa, z przyprawami

Chub - dobrze

Czador - kawał tkaniny w kształcie półkola, który okrywa ramiona, zasłania czoło i podbródek, odsłaniając tylko oczy, nos i usta; przypomina zakonny habit z dawnych czasów

Czaszm - chętnie

Czelokebab - irańska potrawa, kebab podawany na porcji ryżu

Czi michali? - czego chcesz?

Da daghighe digar - tylko dziesięć minut

Da'idżan - drogi wujek

Dombe - kurdiuk, zwal tłuszczu zwisający pod ogonem tłustopóładko-wych owiec hodowanych w Iranie

Dozari - moneta wartości dwóch riali

Eid - święto

Eid-e-Qorban - Święto Ofiar

Estakan - małe szklaneczki o pojemności ćwierć filiżanki, w których pije się w Iranie herbatę

Ghaza - jedzenie

Hadździ - człowiek, który odbył pielgrzymkę do Mekki

Haft sin - sofra zastawiona siedmioma potrawami o symbolicznym znaczeniu, których perskie nazwy zaczynają się na literę s (haft znaczy siedem, sin - to s)

348

8747

Hammam - łaźnia publiczna

Haram - grobowiec muzułmańskiego świętobliwego męża znajdujący się w meczecie; pielgrzymi dotykają haram i modlą się przy nim

Indża - tutaj

„Khayan” - wychodząca w Teheranie gazeta w języku angielskim

Lawasz - płaski, praśny chleb

Maghna'e - duża chusta „Mahdżuba” - wydawany w Iranie magazyn w języku angielskim dla muzułmańskich kobiet, kolportowany na całym świecie

Mahmud - imię własne, znaczy „pochwalony” Mahtab - światło księżyca

Man chali, chali, chali motaassefan - bardzo, bardzo mi przykro

Manto - długi płaszcz bez wcięcia w pasie

Marg bar Amrika - śmierć Ameryce

Marg bar Israil - śmierć Izraelowi

Marse - porzyprawa ziołowa

Maszallah - Chwała Bogu

Masdżid - meczet

Moharram - miesiąc żałoby

Mordę - umarła

Morgh - kamień modlitewny, mały

wzgórek z utwardzanej gliny

Motaszakker - dziękuję

Munafiain - dost. „obłudnicy”, tak określa się w Iranie ruch oporu występujący przeciw

Chomejnemu

Mustakim - prosto

Na - nie

Nadżes - nieczysty

Nagu - nie mów

Nakon - nie rób tego

Namaki - sprzedawca soli

Nanni - pielęgniarka

Nasr - solenna przysięga, ślubowanie Bogu

Nazdik - bliski

"Niestes - nie ma

Nouruz - perski Nowy Rok

Pakon - popularny samochód produkcji irańskiej

Pasdar - specjalne oddziały policji patrolujące ulice w samochodach (mężczyźni w białych nisanach, kobiety w białych pakonach) i sprawdzające,

pisami islamu; pasdarowie patrolują także granice Iranu Rial - jednostka pieniężna w Iranie, jeden rial równa się mniej więcej jednemu centowi amerykańskiemu Rusari - chusta wiązana pod szyją Sabzi - świeża zielenina (bazylija, mięta, pory, szpinak, natka pietruszki), świeże gałązki kolendry itp.) Sag - pies; obelżywy epitet Sajjed Chandan - dzielnica Teheranu Sajjid - tytuł religijny, który oznacza, że jego posiadacz pochodzi w prostej linii od proroka Mahometa, po mieczu i po kądzieli Salam - witaj

Savak - tajna policja szacha Seda Zafar - początek ulicy Zafar Sofra - cerata rozkładana na podłodze

jako obrus Szoma Englizi sohbat mikonid? - czy

mówi pan (pani) po angielsku? Ta'arof - irański zwyczaj czynienia w rozmowie grzecznych lecz pustych propozycji i obietnic Taawone - sklep spółdzielczy Tamum - koniec, gotowe Tasbih - różaniec muzułmański składający się z wielokrotności 33 paciorków Tupchune - plac w Teheranie, na którym znajduje się główna centrala telefoniczna Zud basz - szybciej